PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK CZTERNASTY. — TOM LIII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1897.

KRAKÓW.
Druk W. L. Anczyca i Spółki.
1897.

ROZUMNOŚĆ WIARY.

Bywały na świecie epoki wielkich przewrotów. Raz po raz chwiały się fundamenta społeczeństw wraz z całą budową politycznych urządzeń i zdobyczami wiekowej cywilizacyi. Wszystko co wzniosły wieki, ulegało zniszczeniu lub przeobrażeniu; zmieniały się pojęcia, które przez długie lata panowały niepodzielnie w umysłach, ustępując miejsca nowym myślom i prądom; upadały stare, silnie, jak się zdawało, ugruntowane instytucye, a na ich gruzach powstawały nowe, aby znów kiedyś przeżyć się i runąć — jeden tylko system pojęć i jeden społeczny organizm przetrwał wszystko; z burz i przewrotów wychodził nietknięty i niezmieniony, mimo że te burze przeważnie i najsilniej w jego godziły łono.

Był to Kościół katolicki.

Nieraz wśród powszechnego zamętu przepowiadali ludzie blizki jego upadek — byli to krótkowidzący. Wszyscy, których oko głębiej i dalej sięgło, choć się nawet zaliczali do rzędu nieprzyjaciół Kościoła, dostrzegali zawsze, dawniej zarówno jak dzisiaj, że siła żywotna tej dziwnej i niezwykłej instytucyi wiecznie świeża i potężna ma w sobie coś niespożytego.

Niedawno wybitne czasopismo protestanckie *Gegenwart* przypomniało tę prawdę swym czytelnikom, wskazując bardzo trafnie na niezmierną zdolność adaptacyjną Kościoła katolickiego, będącą właśnie cechą młodego, pełnego życia organizmu. Podobnież i profesor uniwersytetu w Halle, E. Gothein w jednem z najnowszych swych dzieł wyznaje, iż w naszych czasach „na każdym kroku rachować się trzeba z niezłomną siłą katolicyzmu“.

Żyjemy w czasach pod wieloma względami lepszych bez kwestyi, niż dawniejsze; mimo to jednak w oczach naszych coraz groźniejsze chmury skupiają się na widnokręgu. Schyłek dobiegającego do mety wieku posępny cień rzuca na dusze, a niedająca się utaić troska o jutro szarpie sercem ludzkości.

Wszystko zdaje się zachwiane, gruntu coraz mniej pod nogami, wiązania budowy społecznej coraz bardziej się rozluźniają, ściany coraz się głębiej rysują, a podwaliny oddawna już wstrząśnięte niewiele dają nadziei bezpieczeństwa.

Olbrzymi postęp nauki daje wprawdzie człowiekowi do rąk ciągle nowe środki coraz większego podbijania i ujarzmiania natury, ale na najważniejsze dla człowieka zagadnienia nauka mimo całego swego postępu nie daje odpowiedzi. Niegdyś tę odpowiedź dawała wiara — dzisiaj ona w sercach milionów, choć zewnętrznie z Kościołem może jeszcze złączonych, całkiem wygasła; w milionach innych serc, pewnie jeszcze liczniejszych, tli już tylko słabym płomykiem. Najważniejsza zasada moralna nauki Chrystusowej: prawo powszechnej braterskiej miłości, słowami bywa jeszcze uznawane, za to tem bezwzględniej i powszechniej deptane czynem. Ambicya i chciwość jednostek, błędne doktryny, na których wychowano kilka ostatnich pokoleń, doprowadziły do rozstroju interesów, a zatem i warstw społecznych, do rzeczywistej walki o byt; a kto dobrowolnie oczu nie zamyka, widzieć musi, że ta walka jest już silnie rozwiniętą i że mierności w niej ginąć muszą. Potężny obóz przyciąga tłumy ku sobie, głosząc otwarcie, że oprócz Kościoła rzymskiego już niema potęgi, którejby się potrzebował obawiać.

W takich czasach każdemu myślącemu człowiekowi, czy on wierzący, czy niewierzący, mimowoli nasuwać się musi pragnienie bliższego przypatrzenia się temu, co jest pierwiastkiem życia, co jest duszą niespożytego aż dotąd Kościoła, fundamentem jego społecznej budowy — tem jest wiara.

Te myśli były nam pobudką, by kilka słów poświęcić jednej tylko właściwości wiary katolickiej, może bardziej od innych teraz aktualnej.

I.

Wiara katolicka jest zbiorem prawd, objawionych przez Chrystusa Pana o Bogu i naszych względem Niego obowiązkach. Te dogmata, oparte na wierze, a dla rozumu często niedościgłe, odstręczają od Kościoła wielu ludzi dzisiejszych; oniby chcieli tylko „wiedzieć“, a nie chcą słyszeć o wierzeniu. Przyjmowanie jakichkolwiek prawd inną drogą niż bezpośredniego poznania, wydaje im się rzeczą nietylko już zbyteczną, ale wprost godności rozumu uwłaczającą, zatem oczywiście idzie odrzucenie wszelkiej wiary. Bądźmy jednak szczerymi. Czy rozumowi ludzkiemu istotnie zbyteczną jest wszelka wiara, czy się faktycznie bez niej obchodzi, czy się wogóle obejść jest w stanie? Ileż to twierdzeń spotykamy w każdem dziele, nawet naukowem; najmniejsza broszurka, krótki tylko podręcznik sporą zawiera ich liczbę. Czy może prawdziwość wszystkich tych twierdzeń własnym rozumem przenikamy? Byłoby to bardzo naiwnem łudzeniem się co do siły i potęgi naszego rozumu. Kto tylko trochę umysłowo pracował, tego doświadczenie nauczyć musiało, jak trudno nam przychodzi przejrzeć choć nieco dłuższy szereg wniosków, łączących wynik jakiegoś rozumowania z jego bezpośrednio oczywistym punktem wyjścia. Każde prawdziwie filozoficzne badanie dochodzi do uznania tej ograniczoności rozumu ludzkiego od Sokratesa aż do naszych czasów. A jakiż praktyczny wniosek wypływa z tej ograniczoności? Czy ten, że rozum służyć nam nie może poza obrębem najprostszych prawd, że za pomocą wnioskowania wyżej wznieść się nie potrafi? Nie, stąd wynika tylko, że pewność rozumem zdobyta w kwestyach zawilszych w stadyum teraźniejszego naszego umysłowego rozwoju może być tylko rzadkiem zjawiskiem i że chcąc dojść do niej w nieco trudniejszych zagadnieniach, dużo mozolnej potrzeba pracy i dużo natężenia umysłowego, pochłaniającego wielki zasób energii naszego organizmu. Nie każdy ma podostatkiem siły fizycznej, koniecznie potrzebnej do tego zajęcia, nie każdy ma potrzebny do tego czas, nie każdy ochotę do takiej pracy. Dla kawałka chleba i ciężkiej się człowiek pracy podejmuje, ale niezbyt

jest skłonny do natężenia umysłu, i raczej wybiera pracę zewnętrzną, aniżeli wewnętrzną, wymagającą wielkiego skupienia ducha. A więc z wyjątkiem nielicznych jednostek od natury i losu szczęśliwie uposażonych, ogromna większość ludzi, chcąc rozumnie postępować, musiałaby wyrzekać się stanowczego sądu w wielu kwestyach trudnych a przecież nader ważnych, gdyby prócz bezpośredniego poznania rozumowego nie było innego źródła zdobywania pewności o prawdzie. Nie pozostałoby nam nic innego, jak zawieszać sąd, wątpić i pocieszać się nadzieją, że ta władza poznawcza może się z czasem rozwinie, że po kilku tysiącach lat może będzie lepiej; mówię po kilku tysiącach lat, bo w tym krótkim czasie, przez który śledzić możemy rodzaj ludzki, pod względem siły rozumowej żadnego postępu spotrzedz nie możemy.

Tymczasem każdy rozumny człowiek, jako cząstka ludzkości, powinien się przyczyniać, wedle sił, do ogólnego postępu. To zdaje się jasne. Ale jak? Niezawodnie całem swem życiem. Cóż kiedy do tego życia o wiele więcej rozmaitych wiadomości nietylko do działania, ale i do umysłowego kształcenia się potrzeba, aniżelibyśmy własną pracą zdobyć mogli? Wszelkie dążenie do postępu czy to w życiu praktycznem, czy umysłowem, składa się z szeregu konkretnych czynów dążących do jednego celu. Mogę nie wiedzieć, jaki środek do celu doprowadzi, ale chcąc cel osiągnąć, muszę koniecznie coś wybrać, muszę przynajmniej czynem wyjść z tego zawieszenia sądu. Dlatego w praktyce tak postępujemy, że prace między siebie dzielimy. Zadaniu, któremu jeden rozum nigdyby nie podołał, rozum wielu ludzi podołać może. System podziału pracy doprowadza na wszystkich polach, nie wyjmując nauki, do wielkich rezultatów. Nauki podzielone na liczne gałęzie, pozwalają jednostce skupić energię i bystrość umysłu, na jeden punkt. Stąd taki zadziwiający postęp w pojedyńczych dziedzinach wiedzy ludzkiej. Ale właśnie ten wzrost ogólnego zasobu wiedzy wymaga, abyśmy się coraz więcej spuszczali na badania innych ludzi, znanych nam z nauki i sumienności, innemi słowy, żebyśmy im wierzyli. Prawda, że jasne zbadanie i przedstawienie zawiłych zagadnień przez je-

dnych ludzi niemało ułatwia drugim samodzielne poznawanie takowych, strzeże ich od błędnych manowców i wskazuje najprostszą drogę do prawdy. Ale to ułatwienie nie zdaje się być w prostym stosunku do liczby prawd przez ciągłe badania zdobywanych, tak, że postęp wiedzy wcale się nie przyczynia do powiększenia samodzielności i niezależności rozumu ludzkiego. Owszem śmiało powiedzieć można, że bez tej wiary czyli przyjmowania zdobytych prawd od drugich wiarogodnych ludzi, nauki byłyby niemożliwe, niemożliwy wszelki postęp.

Że ludzie aż dotąd tak postępowali, że każdy z nas tak postępuje, to zupełnie jasne; ale czy ten sposób postępowania, to spuszczanie się na zdanie drugich i przyjmowanie pewnych twierdzeń za prawdziwe na tej podstawie, że drugi je zbadał, jest rozumnem? Wskazaliśmy już, że bez takiego dopomagania sobie rozumem drugich, wszelki postęp byłby prawie niemożliwy; a można poprostu powiedzieć, że niemożliwemby było żyć rozumnie. Nie mogąc przekonać się własnem badaniem o prawdzie potrzebnej nam do rozstrzygnięcia jakiejś sprawy a nie mając innego źródła poznania prawdy, musielibyśmy spuścić się na ślepy przypadek, działać na chybił trafił, albo oprzeć się może na jakimś tajnym instynkcie, a takie postępowanie oczywiście rozumnemby już nie było. Zresztą i pozytywnie wykazać można, że wzbogacanie się prawdami przez innych zbadanemi jest działaniem rozumnem. Wierzyć drugim nie zawsze jest rozumnem, ale nie wierzyć w pewnych danych okolicznościach, to się już najoczywiściej rozumowi sprzeciwia. Przecież niejednokrotnie możemy być pewni, iż zła wola żadnego wpływu na świadectwo drugiego nie wywarła, a powątpiewać o jego zdolności poznania prawdy, kiedy wszystkie warunki były po temu, by człowiek rozumny mógł ją poznać, trąciłoby sceptycyzmem. Ktoby opowiadaniu drugich nie wierzył, że Rzym istnieje, tenby zwiedziwszy Wieczne Miasto takiem samem prawem musiał wątpić o jego istnieniu. Tak więc i rozum i potrzeba życiowa każą nam wierzyć ludziom, kiedyśmy się o ich wiarogodności przekonali. To zaufanie wzajemne, które nazwać możemy wiarą ludzką, będzie jednak zawsze według natury prawd i ludzi

mniej lub więcej ograniczone. Kiedy zaś najwyższa istota, Bóg, przemawia, wtenczas rzecz jest oczywista, że trzeba wierzyć bez wszelkiego zastrzeżenia, jeżeliśmy się tylko przekonali, że prawdziwie Bóg przemówił, że coś objawił. Ktoby nie wierzył takiemu świadectwu, tenby i świadectwu własnego rozumu wierzyć nie powinien, co jest absurdem logicznym.

Tak więc z ograniczoności naszego rozumu wynika, że często zadowalniać się musimy poznaniem prawd nie przez własne badanie, ale przez wiarę. To poznanie wiarą, choć ostatecznie opiera się na rozumie, jest z natury swojej niższym rodzajem poznania; przypomina nam naszą nieudolność umysłową, jest dla rozumu, któryby chciał wszystko bezpośrednio i samodzielnie poznać, upokarzającem. Ale odrzucić go, bez kłamstwa i zuchwalstwa nie można. Ubóstwienie rozumu uważa się dzisiaj powszechnie za gruby błąd. Gdyby to przekonanie było nietylko teoretycznem ale i praktycznem, to największa przeszkoda dla wiary u bardzo wielu byłaby usunięta.

II.

Jednak wiara katolicka nietylko dlatego się nie podoba, że nie jest rozumowem prawd poznaniem, ale też dlatego, że wogóle prawdy i to po największej części niedościgłe w sobie zawiera. Jasną jest rzeczą, iż każdy przesadny sceptycyzm wierze się sprzeciwia. Mówię przesadny, nierozumny; bo sceptycyzm w pewnem ograniczonem znaczeniu, jako zasada, że nie trzeba zbyt łatwo przyjmować czegoś za prawdę niezbitą, albo za fałsz oczywisty, że trzeba niejako „podejrzywać to, co uchodzi za prawdę oczywistą“ *(auch gegen das Selbstverständliche misstrauisch sein)* — jak mówi Nordau — powinien być fundamentalną zasadą każdego rozumnego człowieka. Trzeba jednak wystrzegać się zbyt elastycznego stosowania tej zasady, by nie dojść do bezwzględnego sceptycyzmu, który jako system, jako teza sam ze sobą jest w sprzeczności, boć wiadomo, że każdy, co choć jedno stawia twierdzenie, ten już faktycznie uznaje zdolność umysłu ludzkiego do poznania prawdy i zarazem stwierdza

podstawowe pewniki myślenia. Nie tak daleko jednak idzie sceptycyzm, który w naszych czasach tyle umysłów opanowywa. Przyznaje on wogóle umysłowi ludzkiemu zdolność do poznania jakiejś prawdy, ale ogranicza ją wyłącznie do świata zewnętrznego, może lepiej powiedzieć, doświadczalnego [1]. Jeżeli tylko kto z tej sfery empiryi wychodzi i puszcza się na pole metafizyki, to zaraz spotyka się z dość powszechnem niezaufaniem. Czy w rozumie szukać źródła tego stanu umysłów, czy w woli żądnej zbytniej wolności, lękającej się nawet stałości prawdy — trudno rozstrzygnąć. W każdym razie jest to teorya dla woli wygodna, niczem jej nie krępująca, uwalniająca przynajmniej pozornie rozum od wszelkiej niekonsekwencyi w kwestyach najczęściej poruszanych; tej niekonsekwencyi, której ścierpieć nie możemy, jeżeli ją nawet sami w sobie spostrzegamy, a której zarzut nas najbardziej razi.

Kto się bliżej tej teoryi przypatrzy, zobaczy, że i ona zawiera w sobie logiczną sprzeczność. Naprzód same nawet fakta doświadczalne nie dają się logicznie stwierdzić ani zaprzeczyć bez pewników metafizycznych [2]; a powtóre każdy, co twierdzi, że poza sferą doświadczalną jest coś, czego żadną miarą poznać nie można, jak to agnostycy teraźniejsi utrzymują, ten już sam o metafizyce rozprawia, uznaje, że jakoś niedoświadczalny świat poznać można, bo nie poznawszy go zupełnie nie mógłby mówić o jego istnieniu. Logicznie z tych teoryj wyniknąć powinna rozumowa pokora. Ale między wszelką afirmacyą lub negacyą teoretyczną a praktyczną jest głęboka przepaść. Można wprawdzie w teoryi zaprzeczać prawdy nawet najoczywistsze i bezpośrednio z naszej natury wynikające, ale niepodobna nie zatwierdzać tych prawd w życiu praktycznem. Stąd, choć wręcz się neguje wszelką możliwość badań metafizycznych, choć coraz mniej umysłów zajmuje się niemi bezpośrednio, przecież prawie nikogo niema, któryby — naturalnie tylko mimochodem z okazyi nowych zdo-

[1] Nie wchodzę w rozmaite teorye o poznaniu świata tego zewnętrznego, ponieważ rozmaitość tych poglądów niema bezpośredniego wpływu na nasz temat.

[2] Pewnik sprzeczności i zasada przyczynowości.

byczy na polu doświadczalnem — nie stawiał twierdzeń metafizycznych, nie dogmatyzował. Zamiast z pokorą rozumu — spotykamy się z praktycznem jego wywyższeniem, z przechwalaniem się i szczyceniem z zupełnie samodzielnych badań, daleko sięgających wniosków i głębokich prawd, przy zupełnem pomijaniu teoretycznem powagi i rozumnej wiary, jako drugiego źródła wiadomości dla człowieka. Ta sprzeczność między teoryą i praktyką, jak każdy fałsz, mści się; nie chcąc uznać zasad, bez których przecież żyć i działać nie można, zastosowują je oni nie rozumowo; idą za niemi instynktownie z konieczności natury, nie starając się o rozumne ich stosowanie, ponieważ rozumem uznać ich nie chcą. I tak na miejscu metafizyki gruntownej panuje dziś metafizyka niedbale, jak gdyby mimochodem uprawiana a stąd niewykończona, głębiej nieuzasadniona, jednem słowem niezdrowa, niezdolna żadną miarą zaspokoić ludzkości swemi odpowiedziami na najżywotniejsze zagadnienia, które niezwyciężalną siłą rzeczy same nam się narzucają. Zamiast rozumnej wiary rozpowszechnia się coraz bardziej wiara ślepa, nierozumna, zgubna, która jedynie człowieka upośledza. Tą wiarą kierują się dzisiaj miliony tych właśnie ludzi, którzy wiarą katolicką wzgardzili. Popularyzowanie nauki jest także po wielkiej części na takiem przesadnem zaufaniu powadze oparte. Ale nietylko w przekonaniach mas, lecz co gorsza i w życiu ludzi wykształconych, przyjmowanie za pewniki tego, co wcale jeszcze nie jest dostatecznie stwierdzonem, wielką dzisiaj odgrywa rolę. To są logiczne, nieuniknione skutki przesadnego sceptycyzmu naszych czasów. Zwracano już nieraz na nie uwagę, potępiając zarazem, acz z odmiennych przyczyn, system, który je wywołał. Jedni go odrzucają dlatego, że rozumu nie zaspokaja i stąd po wielu próżnych wysiłkach znowu doprowadza ludzi do tego, co oni niewolą rozumu nazywają, tj. do wiary. Drudzy idąc może więcej za popędami serca rzeczywiście do wiary się zwracają. Widzimy, że w ostatnich czasach na wszystkich polach, gdzie duch ludzki pracuje, powstają silne prądy skierowane ku religii i wierze. Lecz i te prądy bardzo się między sobą różnią.

Ruch, któremu Lord Balfour[1] w Anglii i p. Brunetière[2] w Paryżu początek albo przynajmniej większe znaczenie nadali, coraz szersze koła ogarnia. Podniósłszy w tym samym czasie, choć zupełnie niezależnie od siebie, hasło powrotu do wiary, przewodnicy tego nowego kierunku, dowodami zaczerpniętemi ze wszystkich dziedzin nauk nowoczesnych, z wielkim dowcipem i ostrym sarkazmem wykazują niedołęstwo i próżność całej ludzkiej wiedzy rozumowej i proklamują wiarę, jako jedyną ucieczkę dla ludzkości. Ale ta wiara, do której oni zachęcają, jest wiarą opartą nie na rozumie, lecz wyłącznie na uczuciu i sercu, na pragnieniach ukrytych w każdej duszy ludzkiej, na tych ideałach szczęścia, do których instynktowo dążymy. Jest to rodzaj t. zw. fideizmu, który się już często w historyi objawiał, przedewszystkiem u protestantów, ale nigdy nie wytrzymywał zdrowej krytyki, nigdy nie był w stanie na czas dłuższy zaspoić dusz. On tylko w chwilach przesilenia może umysły czasowo ku sobie pociągnąć; stale ich podbić nie zdoła.

Nowi ci fideiści nie są wprost przeciwnikami wszelkiego rozumowego poznania i przez to różnią się od wielu swoich poprzedników. „Nie odmawia się, mówi p. Brunetière, rozumowi właściwej mu powagi i niezależności w jego sferze, tak, jak się nie przeczy powadze doświadczenia“. Nie w tem też błądzą, że pokazują nieudolność rozumu do rozstrzygania wszelkich kwestyj własnem bezpośredniem badaniem. W tem znaczeniu np. nie możnaby nic zarzucić temu zdaniu: „Jeżeli rozum wobec doświadczenia często się myli i jeżeli nauka sama... nieraz mu to udowodniła, dlaczegóżby rozum miał zawsze mieć słuszność przeciw powadze? Jakakolwiekby była wartość jego badań albo ‚metod‘, czemużby się miało koniecznie stosować je bez różnicy do ‚rozstrzygania‘ wszelkiego sporu i wszelkich wierzeń‘“.

Ani w tem słuszności odmówić im nie można, kiedy z hi-

---

[1] *The Foundations of belief, being notes introductory to the study of theology,* 1895.

[2] *Rev. des deux Mondes,* 1 Janvier 1895; 15 Octobre 1896.

storyą w ręku wykazują, jak wogóle wiara i pewien zdrowy instynkt na cały rozwój ludzkości niezmiernie wielki i pożyteczny wpływ wywierały. Błądzą jednak w tem, iż zbyt nizko oceniają znaczenie i działalność rozumu ludzkiego. Jaka np. przesada w takich słowach: „Przypatrzmy się nieco historyi ludzkości; widzimy wprawdzie spustoszenia, które rozum sprawił, ale trudniej nam dostrzedz co zbudował". Błądzą przedewszystkiem, kiedy rozum poprostu degradują [1], nie uznając go za najwyższego kierownika naszych spraw i wykluczając go zupełnie z dziedziny wiary. Wiara, do której oni nawołują, ma należeć do zupełnie innego porządku poznania prawdy; nie wiąże się ona jako dalsze ogniwo z naszym racyonalnym sposobem myślenia, nic niema wspólnego z rozumem.

III.

Nie takie są zasady wiary katolickiej, tej wiary, która od pierwszych czasów swego istnienia niezmiennie trwała i żyła w umysłach ludzkich, największych geniuszów sobie podbijała, do najszlachetniejszych czynów zaparcia i poświęcenia ludzkość wiodła, która wreszcie stworzyła moralność, przed którą z podziwem schylają czoło myśliciele wszystkich wieków. Ta wiara nie jest oderwaną od rozumnego sposobu myślenia i dążenia do prawdy, lecz z natury swojej na nim się opiera. Wiara katolicka nigdy rozumem nie gardziła, uważała go zawsze za iskrę Bożą, za władzę duszy prowadzącą nas pewną drogą do prawdy, jeżeli tylko zechcemy dobrze jej używać. Ta rozumność była zawsze cechą charakterystyczną i nieodłączną naszej wiary. Nie mówię wogóle wiary religijnej. Albowiem religie różnią się nietylko zawartością swych nauk, tj. tem, że jedna inne prawdy do wierzenia podaje niż druga, ale różnią się także wymaganiem roz-

[1] „Choć toby mogło wyglądać na paradoks, przecież niema przesady w tem twierdzeniu, że chcąc znaleść przymiot wywyższający nas najbardziej nad zwierzęta, trzeba będzie szukać go nietyle w naszej władzy przekonywania siebie i drugich za pomocą rozumowania, jak raczej w naszem uzdolnieniu wywierania i przyjmowania wpływu drugich drogą powagi". Temi słowami Balfour kończy najważniejszą część swego dzieła.

maitego przylgnięcia woli do podawanej nauki. Jedne żądają i starają się wyrabiać ślepe, fanatyczne przywiązanie, drugie teroryzmem zmuszają, inne znowu na samo uczucie się powołują; są i takie, co stawiając na pierwszem miejscu zasadę wolnego badania i przyjmowania tylko tego, co rozum zgłębić potrafi, wszelką wiarę niszczą i dlatego, jak doświadczenie pokazuje, w czysty racyonalizm przechodzą. Sama jedna katolicka wiara wymaga wprawdzie przylgnięcia najzupełniejszego, wykluczającego wszelkie wahanie, a przecież żąda od swych wyznawców, by szli za nią nie ślepo, nietylko uczuciem wiedzeni, nie bez racyi. A te dwa wymagania nie są z sobą sprzeczne, bo każda prawda, nawet czysto rozumowa, jest z natury swej nietolerantną. Nie mówię tu o nietolerancyi cywilnej, bezwzględnej, tępiącej i prześladującej każdego przeciwnika, ale o nietolerancyi spekulatywnej, polegającej na tem, że się nie przyjmuje niczego, coby było sprzecznem z uznaną przez nas prawdą, że się nie wchodzi w układy z teoryami, które dążą do pojednania kosztem obopólnych w dogmatach ustępstw. Taka nietolerancya jest nierozdzielnie związana z prawdą; bez niej samo pojęcie prawdy nie mogłoby się ostać. Kto na każde zawołanie jest gotów do zmiany swych przekonań, ten najoczywiściej nie czuje się w posiadaniu prawdy. Zarzuca się Kościołowi katolickiemu tę nietolerancyę, zarzuca mu się, że on jeden tak jest uparty, iż nie daje się użyć do tranzakcyi; ale za mało się zwraca uwagę na to, że każda religia, jeśli chce być konsekwentną tak postępować musi, bo każda religia twierdzi, że prawdę ludziom głosi, a prawda która sama uznaje, że nie jest jedną, wyłączną — już prawdą nie jest.

Niedawno temu niemieckie czasopismo filozoficzne, wychwalając ducha naukowego i nazywając go przesadnie „religią nauk", pisało, że religia nauki nie jest w sprzeczności z dawnym duchem religijnym: jest ona prawowierną, ponieważ gotowa jest do udowodnienia swych wierzeń; jest katolicką, gdyż wszystko co się udowadnia ma powszechną ważność; nietolerantną, ponieważ prawda jest nietolerantną, nie posuwa się jednak aż do prześladowania.

A więc nietolerancya wiary katolickiej żadną miarą się nie sprzeciwia jej rozumności; zdaje nam się, żeśmy to dostatecznie wykazali; trzeba się jeszcze przekonać, czy też rzeczywiście tym przymiotem wiara nasza poszczycić się może.

Nie chodzi tu o żadną kwestyę apryorystyczną, chodzi tu tylko o fakt, jakiej wiary Kościół katolicki wymaga, jaką wiarę za swoją uznaje. Prawda, że na to pytanie wielu niekatolików a może i katolików odpowiedziałoby, że Kościół katolicki wymaga wiary ślepej, tj. aby rozum nie rozbierał tego, co mu się podaje do wierzenia, ale omackiem poddawał się pod jarzmo wiary. Dlatego też nieprzyjaciele wiary (dawni i nowi) szydzą z niej, jakoby była nierozumna. Już za czasów św. Augustyna heretycy przyciągali do siebie wielu zdolnych ludzi obietnicą rozumnego wykazania prawdy, które przeciwstawiali nierozumnym przesądom katolików. „Nie z innej przyczyny, powiada ten święty [1], wpadliśmy w ręce tych ludzi (Manichejczyków), jak z tej, że oni odrzuciwszy groźne jarzmo powagi, obiecywali samym czystym rozumem doprowadzić do Boga i uwolnić od wszelkiego błędu tych, coby chcieli ich słuchać. Cóż bowiem innego zmuszało mnie... iść za nimi i pilnie prawie przez dziewięć lat ich słuchać, jeżeli nie ich zarzuty, że Kościół nas straszy zabobonami i wierzyć nam każe w to, czegośmy jeszcze nie zrozumieli, gdy tymczasem oni nikogo do wiary nie zmuszają, zanimby nie zbadał dokładnie i nie poznał prawdy? Kogoby takie obietnice nie nęciły, przedewszystkiem, kiedy umysł młody, chciwy prawdy... dumny". Te zarzuty już w czasach św. Augustyna były stare, bo podnosili je jeszcze gnostycy za czasów Apostołów.

Już pierwsi Ojcowie Kościoła zbijali tę „fałszywą *gnosis*" nie twierdzeniem, iż rozum wogóle w wierze żadnego udziału mieć nie powinien, ale przeciwstawianiem „prawdziwej *gnosis*". Wiara, uczą oni, powinna być pokorną i prostą, kiedy chodzi o przyjęcie prawd, które nam u w i e r z y t e l n i o n y poseł Boży do wierzenia podaje. Wtenczas nie powinniśmy chcieć rozumem tych prawd przeniknąć, ale mamy je przyjąć bez wahania, bez

[1] *De utilitate credendi* II.

rozbierania, tak jak są, i całą duszą, całem jestestwem swojem do nich przylgnąć, choćbyśmy nie mogli pojąć wewnętrznego ich związku i ich przyczyny. Lekkomyślne zaś badanie i roszczenie sobie pretensyj, jakoby do kontrolowania mądrości Bożej, piętnowali Ojcowie Kościoła mianem zuchwalstwa rozumu, szaleństwa, zbrodni. I tylko do tego sposobu postępowania odnoszą się znane słowa św. Augustyna: „Wierzę, abym zrozumiał", w przeciwieństwie do zasady: „Rozumiem, abym wierzył".

Pod tym względem więc Kościół od pierwszych wieków rozumowe badania w rzeczach wiary potępiał, nigdy nie pozwalał, by rozum był sędzią i ostatnią wyrocznią w dogmatach objawionych. Przytem jednak Ojcowie przyznawali zawsze rozumowi konieczny i nader doniosły udział w sprawie wiary — i to podwójny: jeden przed przyjęciem, drugi po przyjęciu wiary. Przed przyjęciem katechumen był obowiązany przekonać się rozumowo o prawdziwości wiary, to jest nie o treści dogmatów, ale o boskości ich pochodzenia. Nie teroryzmem, nie fanatyzmem Kościół Chrystusowy nawracał, ale tak jak sam Mistrz jego, siłą przekonywującą Boskiego swego posłannictwa. Chrystus Pan żądał wiary, wiary w Siebie tak wielkiej, żebyśmy gotowi byli poświęcić dla niej wszystko, i miłość rodziców i krewnych i nawet życie własne. To rzecz zbyt znana. Ale może rzadziej się zwraca uwagę na to, w jaki sposób Pan Jezus ludzi do tej wiary przygotowywał.

Chcąc zdobyć wiarę legitymuje się z zadziwiającą cierpliwością, przedewszystkiem ilekroć uczeni przeciwnicy żydowscy przeciwko jego nauce powstają. Wspaniały przykład takiego uwierzytelnienia znajdujemy u św. Jana w rozdz. V, od w. 30 do końca. Przeciwnicy jego uznali byli Boskie posłannictwo św. Jana Chrzciciela. Św. Jan Chrz. zaś wskazywał Pana Jezusa jako obiecanego Mesyasza; Pan Jezus więc logicznie na jego się świadectwo przed nimi powołuje. A gdyby tego świadectwa przyjąć nie chcieli, wskazuje swe cuda, w których Boska moc jego tak widomie się objawiała dla ludzi dobrej woli. Nareszcie odsyła ich do Pisma św. słowami: „Rozbierajcie pisma: bo się wam zda, że w nich żywot wieczny macie, a one są, które świadec-

two dają o mnie“ [1]. Trudno znaleść jaśniejszy dowód na to, że Chrystus Pan przed przyjęciem wiary wymagał współdziałania rozumu. Sam naucza i cudami swą naukę potwierdza, a ponieważ nie każdy dowód choć rozumny i sam w sobie przekonywujący z równą siłą na umysły działa, zachęca faryzeuszów, żeby zgłębiali swoje księgi św., by przez to samodzielne badanie poznali prawdziwość jego misyi. W taki sam sposób, według tej samej rozumnej metody Chrystus Pan odpowiada na zarzuty. Choć one najoczywiściej są tylko płodem złej woli i przewrotnej sofistyki, pozwala przedkładać je Sobie, rozbiera je dokładnie i najdobitniej wewnętrzną ich sprzeczność wykazuje [2]. Od Apostołów wyznania wiary wymaga dopiero po dwóch latach, kiedy już dostatecznie się mogli byli przekonać o Boskiem jego posłannictwie [3]. A wreszcie wyraźnie powiada, że wiara tylko wtenczas obowiązuje, kiedy jest dowodami należycie stwierdzona [4].

Tłumaczy też Chrystus Pan najgłębsze tajemnice używając przypowieści i porównań, żeby uczniowie je pojąć mogli [5], ale tym, którym już dał wystarczające i obfite dowody swego boskiego posłannictwa, nie pozwala żadnego krytykowania, żadnego sceptycznego rozbierania prawd nawet najbardziej niedostępnych dla rozumu ludzkiego. Tego rodzaju krytyka tak dalece jego wierze się sprzeciwia, że woli wszystkich uczniów stracić, aniżeli na nią pozwolić [6].

Nie inaczej postępowali apostołowie: Św. Piotr najwyraźniej w pierwszej swej mowie do żydów, św. Paweł we wszystkich swych naukach do żydów i pogan, nie chcą zabijać rozumu, ale doprowadzają ludzi rozumem do wiary, aby, jak mówią, „rozumną“ była służba nasza, a wiarę nazywają „rozumnym“ pokarmem duszy naszej [7]. Znakiem tej niezmienionej i dziś wiary Kościoła, jest niezliczony szereg apologij katolickich. Nie było może dziesięciolecia, a teraz niema może tygodnia, któryby nie wydał nowej pracy apologetycznej, a celem wszystkich jest: pokazać

---

[1] Jan. v, 39. [2] Mat. xii, 1—14.
[3] Łuk. vi, 13. [4] Jan. xv, 24. [5] Jan. xvi. 12.
[6] Jan. vi, 67 i nast. [7] Piotr. ii, 2.

rozumność wiary katolickiej. Zgadzają się w tym punkcie wszyscy doktorowie Kościoła. Cała scholastyka i najwięksi jej mistrze od św. Anzelma aż do jej upadku jest wielkim dowodem tego, w Kościele katolickim żyjącego przekonania.

Prawie ważniejszem jeszcze w tej kwestyi jest zdanie mistyków, ludzi, którzy nie tyle nauką, co kontemplacyą starali się służyć Bogu, i jakoby już z natury skłonni byli do lekceważenia rozumu. I oni uważali rozumność wiary za fundamentalną zasadę życia bogobojnego, a wszelkie kierowanie się samem tylko uczuciem, wprost potępiali. Św. Jan od Krzyża, wielki ów mistyk i brat duchowny św. Teresy, porównywa człowieka kierującego się w swych sprawach rozumem z tym, który używa rzeczywistego i zdrowego pokarmu; a w innem miejscu swych sentencyj duchownych przeznaczonych jako wskazówki dla ludzi oddanych ćwiczeniom najwyższej doskonałości chrześcijańskiej, powiada: „Słuchaj rozumu i dążąc do Boga rób to, co ci wskaże, a rozum zaprowadzi cię prędzej do Boga, niż wszystkie pociechy duchowne".

A tej rozumnej wiary Kościół nietylko żąda od uczonych, ale od wszystkich bez różnicy. Wierzyć może tylko ten, co już do używania rozumu przyszedł. Ale kto już rozumem włada, ten musi wierzyć rozumnie, inaczej wcale nie wierzy. Od wszystkich uczniów Chrystusowych św. Piotr żąda, by zawsze gotowi byli zdać każdemu sprawę „o tej nadziei, która w nas jest" [1]. Między tezami, które ks. Bautain na rozkaz swego biskupa i z uznaniem Grzegorza XVI. podpisał, jako odwołanie swej fałszywej nauki o rozumie i wierze, czytamy: „Nie mamy prawa żądać od niewiernego, by wierzył w zmartwychwstanie boskiego naszego Zbawcy, zanimeśmy mu nie przedłożyli pewnych na to dowodów". A już dawno przedtem Innocenty XI. zakazał jako „gorszące i w praktyce niebezpieczne" to zdanie: „Zgoda umysłu na wiarę nadprzyrodzoną i do zbawienia koniecznie potrzebną może się ostać przy wiadomości, choćby tylko prawdopodobnej

[1] 1. Piotr, II, 15.

objawienia, owszem nawet i przy obawie, że Bóg może nie przemówił".

W czasie obecnym, kiedy, jak jeszcze nigdy przedtem, fałszywa gnozis zwróciła się nie przeciwko dogmatom w szczególności, ale przeciwko wierze, jako takiej, przeciw samej, że tak powiem, istocie tego aktu, który nazywamy wiarą — Kościół uroczyście przed całym światem zdefiniował rozumność wiary: „Chociaż bowiem wiara jest ponad rozumem — mówi sobór Watykański — nigdy jednak między wiarą a rozumem nie może być istotnej niezgody, gdyż ten sam Bóg, który tajemnice objawia i wiarę wlewa, obdarzył także ducha ludzkiego światłem rozumu: a zaś Bóg sobie samemu zaprzeczać, ani prawda prawdzie nigdy się sprzeciwiać nie może". ...„Nietylko wiara i rozum nigdy w niezgodzie być nie mogą, ale też wzajemnie sie wspierają, gdyż prawy rozum udowadnia podstawy wiary, a oświecony będąc jej światłem rozwija umiejętność rzeczy boskich"... a „gdy je pilnie, pobożnie i trzeźwo bada, przychodzi z daru bożego do pewnego zrozumienia tych tajemnic, nader płodnego, już to przez analogię z prawdami, które przyrodzoną zdolnością pojmuje, jużto przez związek samychże tajemnic między sobą i z ostatecznym człowieka celem". Słowa te są tak jasne, że komentarza nie potrzebują. Świadczą one jawnie o tem, że Kościół teraz tak samo jak za czasów Chrystusa Pana rozumną wiarę wyznaje. Jest to jedna z przyczyn, dlaczego wiara katolicka wywiera tak głęboki wpływ cywilizacyjny na wszystkich, co ją szczerze i całkowicie przyjmują. Bo ona żąda, byśmy myśleli, byśmy nie ślepo, nie instynktownie postępowali, ale jako ludzie rozumni, świadomi przyczyn i celu, do którego dążymy.

Małe doświadczenie wystarczy, by przekonać się o tem, jak rozumnie ludzie wierzą, jak rozumnie postępują i zapatrują się na życie, na cały świat tam, gdzie przez dobre nauki katechizmowe otrzymali prawdziwe i gruntowne wychowanie katolickie. Nie tu miejsce rozwodzić się nad tem, jak nawet prości ludzie, nie posiadający nauki, rozumnie wierzyć mogą. Nie zaszkodzi jednak wspomnieć o tem, o czem u apologetów obszerne znaleść można traktaty, mianowicie, że głębokie naukowe bada-

nia nad autentycznością ewangelii, historyą Kościoła, nieskazitelnością, jednością i harmonią jego nauki, potrzebne są wprawdzie, by wprost odpowiedzieć na podnoszone zarzuty, potrzebne według stopnia wykształcenia każdemu, by pozór prawdy nie wprowadzał go w błąd i nie oddalał od prawdy — ale do rozumnej wiary zupełnie wystarcza poznać z jednej strony zupełną naszą zależność od najwyższej istoty, ograniczoność naszych władz poznawczych i stąd wynikającą potrzebę wiary, z drugiej zaś tę majestatyczną powagę Kościoła, objawiającą się każdemu i wszędzie przez jedność, świętość i duchową potęgę tak, że słusznie każdy prosty czy uczony powiedzieć może ze św. Augustynem: Panie, jeślim błądził, idąc za powagą tego Kościoła nauczającego, toś Ty sam w błąd mię wprowadził.

IV.

Wiara katolicka nie zmieniła się przez wieki, ale myśl ludzka, ta myśl tak dziwnie niestała i potężna, tak sobie zawsze podobna i zmienna, ciągle w rozmaity sposób ją pojmowała, z rozmaitego punktu widzenia na nią się zapatrywała i stąd nowe ciągle strony w niej odkrywała. Dzisiejszy zwrot do wiary, u wielu oparty nie na rozumie, ale tylko na zgodności wiary z potrzebami serca naszego, choć z najszlachetniejszych pobudek pochodzi, przecież zdaje się mieć i niebezpieczne strony.

Zachodzi uzasadniona obawa, że ruch ten nie doprowadzi do prawdziwej wiary, ale do jakiegoś niezdrowego mistycyzmu, który nigdy nie zdoła zaspokoić serc i umysłów. Przestrzedz przed tem uważamy za obowiązek; dziś bowiem, kiedy myśl ludzka błyskawiczną szybkością po całym świecie się rozchodzi, o wiele łatwiej nowo powstające prądy nieostrożnych porywać mogą, zwłaszcza te, które odpowiadają przynajmniej na pozór krzyczącym potrzebom czasów obecnych. Sławny przyrodnik angielski, Mivart, w krytycznym rozbiorze[1] wspomnianej pracy Balfour'a twierdzi, że od czasów pojawienia się dzieła Darwina „o pochodzeniu gatunków“ nie było książki, któraby równe wy-

[1] *The American Catholic Quarterly Review*, n. 81.

warła w Anglii wrażenie. Słusznie można to uważać za „znak czasu“. U nas ten kierunek jeszcze nie jest tak rozwinięty, ale potężny wpływ zachodniej Europy na nasze poglądy sprawi niezawodnie, że wkrótce i u nas umysły w tę stronę się zwrócą. Dlatego zdało nam się być na czasie przeciwstawić prawdziwą naukę Kościoła o rozumności wiary tym błędnym doktrynom sentymentalnym. Na tem jednak nie dosyć; trzeba jeszcze bliżej rozebrać fundamenta i dowody najbardziej ponętne tychże doktryn.

Główna siła tych dowodów jest destrukcyjna; wszystkie dążą do tego, by pokazać, że ani filozofia, ani nauki nowoczesne nietylko nie odpowiadają na najważniejsze dla człowieka pytania, ale wprost doprowadzają do rezultatów sprzecznych z naturą ludzką, niemożliwych w swem zastosowaniu do życia praktycznego. Te dowody są częściowo znakomite, a w książce Balfour'a przeprowadzone czasem z taką w oczy bijącą jasnością i logiką, iż nawet na umysł, źle do tych tez usposobiony wrażenie wywrzeć muszą. Charakterystycznym jednak ich błędem jest to, iż żadnej między fałszywą a prawdziwą nauką i filozofią różnicy nie robią, z błędów jednego systemu (naturalizmu, senzualizmu, pozytywizmu) wyciągają ogólny wniosek o niedorzeczności wszystkich, co więcej o niemożliwości jakiegokolwiek oświecenia się rozumem w najważniejszych kwestyach.

To, co Balfour o sobie powiada, że zawsze łatwiej mu było poznać błędy różnych systemów, aniżeli zawartą w nich prawdę, tego cała jego książka wymownym jest dowodem. Bystry jego umysł wyciąga śmiało ostatnie konsekwencye ze systemów, kiedy chodzi o burzenie. Niema przesady w zdaniu Mivarta, że pierwsze cztery rozdziały jego pracy śmiertelny cios zadały systemowi senzualistycznemu, przedewszystkiem pod względem moralnym wykazując niezaprzeczalnie jego niedorzeczność. Niestety jasność i konsekwencya opuszczają Balfour'a i jego zwolenników, skoro tylko przystąpić im wypadnie do stawiania twierdzeń pozytywnych. Na ruinach, na bankructwie nauki i rozumu opiera się główna ich teza, iż oprócz rozumu drugiem o wiele ważniejszem źródłem naszych przekonań jest serce, każące nam wierzyć, że dusza jest nieśmiertelna, że Bóg istnieje i t. d. „Rozumem —

mówi Brunetière — stajemy się filozofami, geometrami, fizykami, chemikami; serce uczy nas być ludźmi, to jest nie wynosić się nad wszystko: „i to mądrość, przewyższająca niejednę inną". Aż dotąd powierzchowna psychologia uważała jedynie rozum za źródło poznania, odtąd obok tego poznania w ściślejszem znaczeniu trzeba będzie — zdaniem Brunetière'a — uwzględnić także wierzenia tj. poznanie nienależące do porządku racyonalnego, ale niemniej rzeczywiste i pewne, które zawdzięczamy powadze i uczuciu. „Pozorom racyonalnym, — powiada on — wywodom nauki przeciwstawimy inną pewność bardziej wewnętrzną, z której sprawy zdać nie możemy, a której przecież niemniej ufamy".

Ta teza ma w sobie coś ponętnego, przedewszystkiem dla człowieka z umysłem znękanym sceptycyzmem i sercem żądnem pokoju; podaje bowiem pozornie łatwy i prosty sposób dojścia do szczęścia, nie zmuszając przytem do opuszczenia stanowiska sceptycyzmu. Teza to ponętna, bo się powołuje na te najskrytsze pragnienia i potrzeby serca ludzkiego, których głos tak potężny, że go ani siła namiętności, ani nic innego dotąd zagłuszyć nie zdołało. Cóż więc dziwnego, że człowieka, któremu nakazywano szydzić z tych pragnień serca w imię rozumu, mile uderza, kiedy słyszy, że i serce ma swoje prawa, że przecież „nie jesteśmy tylko rozumem". Ale pytamy się o dowody prawdziwości tej tezy, bo przecież nikt nie chce postawić zasady, iż rozumnemu człowiekowi wolno przyjmować za prawdziwe to, na co żadnych dowodów niema: takie twierdzenie byłoby oczywistem zabójstwem prawdy, na oścież otwierałoby bramy fałszowi i kłamstwu. A jednak fideiści nowsi tej zasadzie praktycznie hołdują. Nie chcą żadną miarą udowodnić, że ten głos serca jest czemś więcej, aniżeli próżnem przywidzeniem, że to głos natury, przez który Stwórca do człowieka przemawia; nie, tego niechcą, dowodów żadnych z zasady nie dają, bo wtenczas (jak mówią) nasze postępowanie, nasza wiara byłaby na rozumie oparta, chcą tylko „faktami" nam pokazać, że trzeba wierzyć: Społeczeństwo istnieć nie może bez nadnaturalnej sankcyi prawa moralnego, jednem słowem, bez religii; tego dowodem cała historya, a więc trzeba wierzyć. Wszystkie ideały szlachetności

i cnoty, sztuki i piękna bez religii runęłyby, w poglądzie pozytywizmu i naturalizmu nie miałyby miejsca, a więc trzeba wierzyć.

Kto czytywał katolickich apologetów, temu wiadomo, że i oni często w bardzo podobny sposób potrzeby wiary dowodzą; w samej istocie jednak ich dowodzenia jest niemała różnica. Kto wierzy w Boga, Stwórcę wszechświata, jednostki i społeczeństwa, ten przyznać musi, że i te pragnienia i te ideały, bez których społeczeństwo ludzkie istniećby nie mogło, od Boga pochodzą. Stąd natura tych pragnień była dla apologetów fundamentem wniosków rozumowych. I nowsi fideiści mimowoli wbrew swemu założeniu rozumowo z istnienia tych pragnień wnioskują o istnieniu odpowiadających im ideałów, ale oni ten proces rozumowy ukrywają przed sobą, o ile mogą, ignorują go jak gdyby wcale nie istniał, chcąc, by serce było drugiem źródłem prawdziwych przekonań, niezależnem od rozumu.

Czy sami nie widzą, że odrzucając wywody rozumowe, równocześnie wysilają się na to by nas przekonać prawdziwemi argumentami rozumowemi? Czy może tylko suggestyą chcą na nas działać! Ale przecież ich celem doprowadzić ludzi do prawdy, na której jedynie oparte być może prawdziwe szczęście człowieka, a suggestya do wszystkich celów użyć się daje. Błąd tych teoryj nie polega więc na tem, że się rachują ze sercem i wolą człowieka, ale na tem, że chcą zupełnie pomijać rozum, kiedy chodzi o najważniejsze prawdy. Wprawdzie sami tej zasadzie faktycznie kłam zadają, atoli nie każdy może dostrzeże, tej niekonsekwencyi, ukrywającej się pod formą dobrą i prawdą częściową, a zasada sama podnosząca pragnienie serca do źródła poznania, właśnie dla moralności, w imieniu i dla obrony której te teorye walczą, jest niebezpieczną. Serce i rozum wyszły z ręki jednego Stwórcy, stąd jak rozum żądny prawdy, tak i serce do tej prawdy, jako do swojego dobra lgnie i tylko w niej prawdziwe znajduje uspokojenie. Jest to rodzaj instynktu, ułatwiający nam nadzwyczaj dążenie do prawdy i poznanie jej, ponieważ w tej wielkiej walce o prawdę wola — jak doświadczenie stwierdza — taki ogromny ma wpływ. Ale właśnie dlatego, że

posiadamy rozum, tę władzę rozpoznającą fałsz od prawdy, sprzecznem jest naszej naturze iść ślepo za uczuciami i popędami serca. Można z natury tych dążności rozumowo wnioskować o istnieniu pewnych prawd, nigdy jednak nie można uważać tego lub owego uczucia za źródło poznania prawdy, zanim się nie pokazała jego zgodność z poznanemi przez rozum prawdami. Same dążności serca świadczą o sobie, że koniecznie potrzebują kierownika, bo choć tylko prawda stale serce uspokaja, to przecież to serce przez chwiejność i zmienność swych uczuć samo przyznaje, iż drogi do prawdy wskazać nie potrafi. Człowiek, którego serce ręka w rękę idzie z rozumem, najprędzej i najpewniej do prawdy dochodzi. Niekiedy i serce samo może do prawdy doprowadzić, ale ponieważ żadnych stałych i pewnych wskazówek postępowania w szczegółowych wypadkach nie daje, nie jest wodzem stałym i pewnym i dlatego też teorya oparta jedynie na sercu, żadną miarą nie może być podstawą prawdziwej moralności.

Nie dziwi mnie, jeżeli ludzie oddani innym sprawom czy praktycznym czy naukowym czasem podobnych teoryj bronią, zajmując się niemi mimochodem, nie poświęcając im ani czasu, ani pracy potrzebnej do ich zgłębiania, ale przyznaję, że trudno mi pojąć, jak ludzie światli, rozbierający te kwestye z całą uwagą i świadomością ich doniosłości, nie widzą, iż serce samo nie może być bezpiecznym przewodnikiem na drodze prawdy dla całej ludzkości, tem bardziej, że przeciwnicy z wszystkich obozów jasno wykazują bezpodstawność, sprzeczność tych teoryj.

Nie będzie może od rzeczy przytoczyć z precyzyą sformułowany zarzut znanego członka Akademii nauk moralnych, p. Fouillée: „Hypoteza Mojżesza o stworzeniu, daje nam odpowiedź na pytanie, skąd jesteśmy... Ale hypoteza bramańska o emanacyi i wogóle wszystkie religie dają nam także odpowiedź na to samo pytanie... Jakim więc sposobem bez pomocy filozofii uczynimy wybór między niemi?“ P. Brunetière, przeciwko któremu ten zarzut w szczególności był zwrócony, odpowiada powtarzaniem swojej tezy. Sądzę, że na tak jasny zasadniczy zarzut wypadałoby wprost odpowiedzieć albo przyznać się do

błędu. Znane a głębokie słowa Tertuliana: *anima naturaliter christiana,* byłyby może pewną odpowiedzią na powyższe pytanie. Ale Tertulian mówi *anima* tj. cała dusza ludzka, nie tylko serce. Jeżeli się wyłącznie serca pytamy, to ono pod wpływem najrozmaitszych nieobliczalnych czynników, jednego do tej, drugiego do owej religii doprowadzi. Co więcej, idąc za takim wodzem, częstobyśmy się przerzucali z jednej religii do drugiej i niejedenby sobie własną religię utworzył. I tak się też rzeczywiście dzieje w sektach protestanckich, gdzie wiara na to zeszła że się jedynie uczuciem usprawiedliwia. Brak rozumnego czynnika w wierze, sprawia też u katolików, że w walce życia nie znajdują w wierze silnej podpory, że wiara niema stanowczego wpływu ani na życie jednostki ani na rozwój społeczeństwa; w tym też braku po wielkiej części szukać trzeba przyczyny niezliczonych niekonsekwencyj, których świadkami codziennie jesteśmy: idzie się za wiarą, kiedy nieokreślone jakieś uczucie religijne głośniej w duszy się odezwie ale pod naciskiem pierwszego silniejszego wrażenia prawie bez namysłu od zasad wiary się odstępuje.

Nie wątpię, że wielu katolików wierzących rzekomo li tylko dla pobudek uczuciowych, wierzy w rzeczywistości z prawdziwego przekonania rozumowego, tylko przez brak refleksyi, sami o tem nie wiedzą. Ale ponieważ z nauki założyciela Kościoła katolickiego i z wyroków uroczystych soborów wynika jasno, że wiara nasza musi być rozumną, stąd obowiązek dla każdego katolika, by według wykształcenia swojego, świadomie na fundamentach rozumu wiarę swą opierał.

Ks. Wł. Ledóchowski.

KSIĘSTWO INFLANCKIE XVII. i XVIII. STULECIA.

PRZEGLĄD WYBITNIEJSZYCH JEGO POSTACI.

I.

Traktat oliwski podpisano dnia 23 kwietnia 1660 roku[1]. Wielki kongres oliwski składał się z reprezentantów Polski, Szwecyi, cesarstwa niemieckiego, elektora brandenburskiego i Danii, a także mocarstw pośredniczących: Francyi i Holandyi. Warunki tyczące się Inflant i Polski były: Jan Kazimierz zrzekał się dziedzictwa Szwecyi, poprzestając na dożywotnim tytule króla szwedzkiego. Polska zrzekała się głównej części Inflant za Dźwiną; pozostawały jej tylko trakty dyneburski, rzeżycki, lucyński i maryenhauzki, stanowiące zaledwie czwartą część dawnych Inflant, a które odtąd nosząc miano Inflant polskich lub księstwa inflanckiego wiernie losy Rzpltej dzieliły. Jedyna to aneksya polityczna i cywilizacyjna, która nam się w zamian za tyle strat wobec świata niemieckiego powiodła. Jakkolwiek utraciła Polska w walce ze Szwedami większą część dawnych krajów inflanckich, to jednak ta cząstka, która jej pozostała po

[1] Artykuły traktatu oliwskiego dotyczące Inflant i Polski oddrukował *in extenso* kasztelan Hylzen w książce swojej: „Inflanty w dawnych swych y wielorakich aż do wieku naszego dziejach i rewolucyach“ i t. d. (Wilno 1750) na str. 360—365. Opis całego traktatu podają dzieła: *Acta pacis Olivensis,* wydanie J. G. Bohemiusa, Wrocław 1763 oraz *Instrumentum pacis perpetuae* etc. *in monasterio Olivensi* III. Mai, anno 1660 initae et conclusae. Gedani 1660, in 4-to.

pokoju oliwskim, lepiej od Pomorza i Prus zachodnich przystała do organizmu Rzpltej i z nim się zespoliła.

Proces zjednoczenia i stopniowej asymilacyi nie przedstawia nawet tego oporu, jaki szlachta litewska i ruska aż do unii lubelskiej stawiała wpływom polskim, ani takich zaburzeń i rozterek, jakie wybuchały co chwila w Gdańsku i innych miastach pruskich. Sejm warszawski z roku 1677 nadał tej cząstce dawnych Inflant tytuł „księstwa inflanckiego“, z osobnym biskupem, wojewodą i kasztelanem [1]. Stolicą był Dyneburg czyli jak niegdyś pisywano „Dynembork“. Na sejmiku w tem mieście wybierano sześciu posłów, po dwóch z Korony, Litwy i Inflant; żadnego zaś deputata na trybunał litewski nie posyłano, „ponieważ od sądów tutejszych nie do trybunału, ale do asesoryi koronnej szła apelacya“. Że zaś Inflanty polskie wspólnie do Korony i do Litwy należały, przywileje zatem do tego kraju z kancelaryi królewskiej pod dwiema pieczęciami, koronną i litewską, wychodziły.

Herb województwa, a po roku 1677 księstwa inflanckiego był tenże sam, jakiego dotąd gubernia inflancka czyli ryska stale używa, a który przez króla Zygmunta Augusta dawnym Inflantom przy unii ich z Litwą r. 1566 został nadany [2].

Z osiadłych w tej części dawnego inflanckiego państwa związkowego odwiecznych rodów rycerskich *(Uradel)*, które od mistrzów Zakonu dobra lenne niegdyś tu otrzymały, a których przy unii w roku 1566 liczono tu jeszcze 55 [3], pozostało w traktach dyneburskim, rzeżyckim, lucyńskim i maryen-

[1] Obacz *Vol. leg.,* (wyd. J. Ohryzki, Petersburg 1860) tom v, str. 237.

[2] Jest to gryf biały w polu czerwonem, z koroną na głowie, przedniemi szponami wspięty i w prawej z nich trzymający goły miecz do góry; na piersiach powiązane głoski S i A na pamiątkę dwóch imion królewskich: *Sigismundus Augustus* i uwieńczone koroną; gryf zaś, jak wielu utrzymuje badaczy, miał być wzięty z herbu Jana Hieronima Chodkiewicza, ówczesnego administratora Inflant, który w sprawie złączenia tych krajów z Litwą wielkie położył zasługi. Zdaniem paru osób, gryf inflancki dawny w obu szponach (nie w jednym) miał trzymać miecz do góry; atoli poszukiwania archiwalne, dokonywane przez sfragistyków fachowych, tego twierdzenia poprzeć nie zdołały.

[3] Porównaj „Inflanty polskie“, Poznań 1879, str. 79.

hauzkim, przez wojny szwedzko-polskie od przeszło stulecia bezustannie niszczonych, w r. 1677 już zaledwie 23 [1].

Natomiast znachodzimy tutaj kilkanaście rodów czysto polskich z Korony i Litwy przybyłych, które jeszcze na lat kilkadziesiąt przed utworzeniem księstwa inflanckiego, przeważnie za zasługi wojenne, jużto królewszczyzny, już dobra dziedziczne w tej części Inflant otrzymały [2]. Okoliczność ta nie mało zapewne

[1] Wyliczamy je w porządku alfabetycznym: 1) de Ackerstaff, mieli dobra w Rzeżyckiem; 2) de Anrep, dziedziczyli dobra w Lucyńskiem; 3) de Altenbokum, posiadali dobra Warków, należące niegdyś do zamku rzeżyckiego; 4) Berg de Carmel, panowie na Pressmen z przyległościami; 5) de Borch, panowie na Galen, Trumen, Warkelen, Prelen i Wypingu w Rzeżyckiem i Dyneburskiem; 6) de Drakenfieldt, mieli posiadłości w Rzeżyckiem; 7) de Farenholdt, dziedziczyli dobra Sprykuten w Lucyńskiem; 8) de Finkenaugen, dziedziczyli Dzienigal z przyległościami w Lucyńskiem; 9) de Grothusen, panowie na Siwerhofie w Dyneburskiem; 10) de Heering, posiadali Saxtegal, dobra od zamku rzeżyckiego odeszłe; 11) de Hülsen dictus Eckeln, panowie na Dageten, dziedziczyli dobra Bukhof; 12) de Hummeln, na Humelmojży w Lucyńskiem; 13) de Korff dictus Schmising, panowie na Fehmen, Puschen i Neuteranen w Rzeżyckiem i na zamku Cruceborch w Dyneburskiem; 14) de Lieven, panowie na Liwenhofie w Dyneburskiem, który atoli niebawem ustępują polskiemu rodowi Pociejów; 15) de Ludingshausen-Wolff, panowie na Kombulmojży, Krasławiu, Lixnie, Kirupiu, Nidzgalu i Ambenmojży w Dyneburskiem; 16) de Manteuffel dictus Soye, panowie na Apsul, Duxtegal, Resen, Ramlen, Bersegal i t. d. w Rzeżyckiem, Lucyńskiem i Dyneburskiem; 17) de Offenberg, panowie na Lyuży i Wielonach w Rzeżyckiem; 18) de Plater dictus Brole, panowie na Nidritz w Dyneburskiem, Hasson w Rzeżyckiem, Plasson w Lucyńskiem; 19) de Ryk, dziedziczyli od r. 1568 Strusen w Lucyńskiem, a Dritzen i Piltzen w Rzeżyckiem; 20) de Schenking, dziedziczyli Pylden w Lucyńskiem; 21) de Thysenhus, posiadali starostwo rzeżyckie, z którego ustępują F. Bielińskiemu; 22) de Toedwen, dziedziczyli dobra w Rzeżyckiem; 23) de Valkershenn (czyli Felkerzam) w Rzeżyckiem i Dyneburskiem. Po bliższe szczegóły o tych rodach odsyłamy łaskawego czytelnika do książki naszej: „Inflanty polskie", Poznań 1879, str. 64—92.

[2] Wymieniamy je w tymże porządku alfabetycznym: 1) Belińscy czyli Bielińscy, posiadali całe starostwo rzeżyckie; z nich Franciszek Bieliński już w r. 1685 erygował kościół parafialny w Rzeżycy; 2) Benisławscy, posiadali już w r. 1610 Birże i Zosoły w Lucyńskiem; 3) Brzezińscy, dziedziczyli po Falkerzambach dobra w Dyneburskiem; 4) Chodkiewiczowie, posiadali całe starostwo Maryenhauz; 5) Chodkowscy, otrzymali za zasługi wojenne Rogajż i Brodajsz; 6) Gołembiowscy, odziedziczyli po Roloph'ach Łukno i Ciskady w Rzeżyckiem; 7) Januszewiczowie, dziedziczyli Okrę

przyczynić się musiała do ustalenia tu kultury czysto polskiej i katolickiej, o którą królowie i Rzplta wielką okazywali dbałość [1].

Nic więc dziwnego, że od roku 1677 sądy ziemskie i grodzkie w Inflantach polskich były takie same, jak w innych województwach Rzpltej. To też ordynacya księstwa inflanckiego na sejmie 1677 roku postanowiła wyraźnie, „żeby sposób sądów ziemskich i grodzkich w tej ziemi niczem się nie wyróżniał od innych województw Rzpltej".

W tym celu naznaczono elekcyę podkomorzego, chorążego, sędziego, podsędka i pisarza ziemskich dla Inflant polskich, którzy powinni byli sądzić wszystkie sprawy do ich urzędu należące, zakładając jurydykę roków ziemskich w Dyneburgu trzy razy do roku, a mianowicie na Trzy Króle, nazajutrz po Św. Trójcy

---

w Dyneburskiem; 8) Jotkowie, dziedziczyli Rundany w Lucyńskiem; 9) Karniccy, otrzymali za zasługi wojenne dobra Bryckowszczyznę z Ewersmujżą i t. d. w Lucyńskiem; 10) Kimbarowie, posiadali w Lucyńskiem dobra Sołosz i Lauder, które niebawem, jako wiano, przeszły do Kublickich; 11) Pociejowie, dziedziczyli po Liwenach dobra Liwenhof, i uwiecznili tam swoję pamięć wznosząc kościół liwenhofski; 12) Potoccy, posiadali całe starostwo lucyńskie i już w r. 1686 erygowali kościół parafialny w Lucynie; 13) Sapiehowie posiadali dobra Dyrwany nad jeziorem Łubanem w Rzeżyckiem; 14) Sieliccy, dziedziczyli po Falkerzambach Ruschen Wyschkhof (czyli Agłonę) Kammnitz i Koster w Dyneburskiem, Wyszki zaś już w pierwszej ćwierci XVII. wieku wniosła Elżbieta Sielicka jako wiano w dom Mohl'ów; 15) Sokołowscy herbu Korab, otrzymali za zasługi wojenne Hauszyn i Muschen, tudzież folwark Anselmhof w Rzeżyckiem; 16) Sołtanowie, posiadali Andrepno i Zielonpol w Rzeżyckiem a Lideksn w Lucyńskiem; 17) Szadurscy, mieli za zasługi wojenne dobra Dustechal w Rzeżyckiem i Dunakoln w Lucyńskiem; 18) Wołosowscy, otrzymali za zasługi dobra Bałtyń i Skajstę w Dyneburskiem; 19) Żebrowscy, po Finkenaugen'ach odziedziczyli dobra w Lucyńskiem. Po bliższe szczegóły odsyłamy do książki: „Inflanty polskie", str. 93—102.

[1] Na poparcie tego twierdzenia niech nam będzie wolno przytoczyć choć mały przykład. Jan Andrzej Plater, syn Gotarda, dziedzic dóbr Niedritz czyli Indrycy w Dyneburskiem, w r. 1670 od króla Michała Korybuta otrzymał przywilej zwany *consensus ad cedendum* na starostwo dynaburskie. Jan III. potwierdził ten przywilej w r. 1675, a kiedy 20 lat później tenże Jan Andrzej przeszedł z protestantyzmu na łono rzymsko-katolickiego kościoła w r. 1795, wiadomość ta taką radością przejęła króla, iż go niebawem wyniósł na województwo inflanckie, które odtąd z domu Platerów już nie wychodziło.

i na św. Michał; a jurydykę grodzką przy staroście dyneburskim postanowiono z trzema urzędnikami. Tymi byli: podstarości, sędzia i pisarz grodzki dynemborscy. Taż sama ordynacya postanowiła, że starosta dyneburski grodowy jest zarazem i starostą inflanckim.

Inflanty polskie czyli tak zwane księstwo inflanckie, dla szczupłości swej nie dzieliło się na powiaty, ale na tak zwane trakty, od głównych starostw nazwę swą biorące. Nie był to atoli podział administracyjny, ale raczej konwencyonalny; raz, że około tych czterech głównych punktów, które były niegdyś zamkami obronnymi [1], skupiała się ludność w pierwszych czasach chrześcijaństwa; drugi raz, że po rozwiązaniu krzyżacko-inflanckiego Zakonu starostowie polscy, osiadłszy po opuszczonych przez komturów i wójtów zamkach, zastąpili pod pewnym względem ich władzę.

Głównym punktem pozostał Dyneburg, niegdyś siedlisko komtura krzyżacko-inflanckiego Zakonu, a od roku 1677 gród stołeczny księstwa inflanckiego. Tam się bowiem za czasów polskich odbywały sejmiki jedne po drugich. Czy szło o wybranie posła na sejm do Warszawy, czy też o inne sprawy publiczne, ówczesna szlachta polsko-inflancka nigdzie indziej, jak do swego stołecznego grodu „Dünemborka“ w tym celu się nie zjeżdżała. Tam się też, zwyczajem staropolskim, odbywał wjazd uroczysty nowego wyższego urzędnika — starosty lub wojewody inflanckiego. Opisy szczegółowe podobnych „wjazdów“ przechował nam dotąd *Kurjer Polski*, wychodzący niegdyś w samym centrze Rzpltej, w Warszawie.

Dyneburg wszakże i z innego względu od roku 1677 nie małe miał znaczenie. Był bowiem siedliskiem biskupa inflanckiego.

Od czasu, kiedy upadło arcybiskupstwo ryskie, a następnie i ustanowione później przez sejm warszawski biskupstwo wendeńskie, biskupi inflanccy *in partibus*, mieszkając najczęściej w pry-

[1] Arx Duneborgenis, Dyneburg, arx Rositensis, Rzeżyca, arx Lucinensis Lucyn i arx Marienhausensis Maryenhauza.

watnych miejscach, zarządzali tą małą cząstką dyecezyi, która przy Polsce pozostała.

Następcy ostatniego biskupa wendeńskiego Otona de Schenking: Mikołaj Krosnowski (od r. 1643), Aleksander Chodkiewicz (1649—1676) i Aleksander de Ludingshausen-Wolff (1677--1679) tytułują się wprawdzie biskupami inflanckimi, lecz nie mając utrzymania — Wenden bowiem, Wolmar i inne dobra biskupie przeszły pod panowanie Szwedów — nie rezydują wcale w swej dyecezyi, ale w Warszawie jako wikaryusze prymasa gnieźnieńskiego.

W Inflantach polskich, gdzie ludność wiejska i niemała liczba rodów szlacheckich były katolickimi, wojny szwedzkie sprowadziły i pod względem religijnym stan nader opłakany.

Kościoły, jak na to posiadamy dowody archiwalne niewątpliwe, następujące tylko były w Inflantach polskich w r. 1677. W Dyneburgu jezuicki i katedralny, parafialny w Auli, erygowany w r. 1626 przez Gosiewskiego, wojewodę smoleńskiego, w Urwałdzie z roku 1625, fundacyi Lackiego, dwa ostatnie obsługiwane przez Jezuitów, w Wyszkach fundowany w r. 1621 przez dziedziczkę Elżbietę z Sielickich Mohlową, i w Krasławiu drewniany, w roku 1678 przez Jerzego de Ludingshausen-Wolff'a wzniesiony.

Ponieważ wspomnieni wyżej biskupi inflanccy nie rezydowali w swojej dyecezyi, przeto duchowne potrzeby ich owieczek opatrywali *ratione vicinitatis* biskupi żmudzcy. Rzeczywistym biskupem inflanckim pierwszy był Mikołaj Korwin-Popławski (1685—1710). Osiadł on w Dyneburgu przy katedrze, będącej zarazem kościołem parafialnym, wizytował dyecezyę, odnawiał kościoły.

Już w roku 1685 konsekrował założony na prędce w Liwenhofie w r. 1678 drewniany kościół parafialny, a także nowo ufundowany przez Franciszka Bielińskiego kościół w Rzeżycy. W roku następnym konsekrował takiż kościół parafialny, erygowany w r. 1686 w Lucynie przez Szczęsnego Potockiego, wojewodę krakowskiego a starostę lucyńskiego; w ośm lat potem w r. 1694 założył pierwszy drewniany kościół i klasztor w Posiniu, w których księża Dominikanie osadzeni zostali, a w 12 lat

później (1698 r.) poświęcił w Indrycy kościół także drewniany, przerobiony z protestanckiego i przeniesiony ze wzgórza na dolinę staraniem Jana Andrzeja Platera, który w tym właśnie czasie został katolikiem. Dotąd w Indrycy, równie jak w Berzygale, Faymanach i Kryżborku istniały tylko protestanckie kościoły, z których następnie już tylko jeden kryżborski pozostał luterskim.

Z powodu, że biskupstwo inflanckie było nędznie uposażone a nadto sprawą o wykupno dawnego biskupstwa piltyńskiego obarczone, każdy z biskupów, rezydujących w Dyneburgu starał się jak najprędzej je opuścić i otrzymać inne w Koronie lub na Litwie. Zresztą katedra dyneburska wcale nie była odpowiednią i nie mieli tam biskupi nawet własnego seminaryum. Biskup Teodor de Ludingshausen-Wolff zapisał wprawdzie w 1711 roku na seminaryum dyneburskie 4000 talarów bitych, atoli fundacya zaraz do skutku przyjść nie mogła. Lepsza nadzieja zabłysła dla dyecezyi inflanckiej, gdy w roku 1755 Konstanty Ludwik Plater zaczął wznosić w Krasławiu kościół wspaniały, w którym miał rezydować sufragan inflancki, a o którego fundacyi i dalszych losach na innem opowiemy miejscu.

II.

Czwarta część Inflant, pozostawiona Polsce traktatem oliwskim, w ciągu XVIII. wieku zespalała się coraz ściślej z organizmem Rzpltej i ulegała wszechstronnemu wpływowi kultury polsko-katolickiej. Liczne tego dowody napotykamy w działalności wybitnych mężów inflanckich, którzy w dziejach polskich tego okresu niejednokrotnie ważną odegrali rolę.

Naczelne pod tym względem miejsce w „Księstwie inflanckiem XVIII. stulecia“ zajęło kilku z rzędu Hylzenów, którzy zarówno przez nagromadzone w tej epoce zasoby materyalne, jak i przez wyższe uzdolnienia umysłowe przodowali wśród miejscowego możnowładztwa. Obok dziedzicznej Dagdy [1] główną pod-

[1] Zarówno Dagdę, jak wszystkie inne posiadłości polsko-inflanckie możnowładczego rodu Hylzenów, a mianowicie: Pyłdę, Runtołd, Istalsnę, Kurjanowo, Stalerowszczyznę, Bukmujżę, Essenmujżę, Kurmę, nabytą od

stawą ich olbrzymiej fortuny stało się rozległe starostwo maryenhauzkie i królewszczyzny Bukhof i Essen (*alias* Bukmujża i Essenmujża), które to dobra zostały im nadane przez Augusta II. w pierwszych latach jego panowania.

Pierwszym starostą maryenhauzkim z rodu Hylzenów był szambelan, czyli jak wówczas jeszcze mawiano, podkomorzy nadworny, króla Augusta II., Jerzy Konstanty Hülsen ab Eckeln, który swój żywot zakończył w Gdańsku a pogrzebiony został w kościele słynnego klasztoru oliwskiego pod Gdańskiem, gdzie dotąd zwraca na siebie uwagę podróżnych wspaniały grobowiec, jakim jeden z synów utrwalił tam jego pamięć [1].

Odtąd Maryenhauz był już niemal dziedzicznym w rodzie Hylzenów. Gdy w czasie wojny północnej wspomniany powyżej Jerzy Konstanty Hülsen (piszący się następnie Hylzen) został ojcem drugiego syna, Jana Augusta, późniejszego kronikarza ziemi ojczystej, starostwo maryenhauzkie dla niego zawczasu przez rodziców przeznaczone zostało i odtąd aż do pierwszego rozbioru Polski z rodu Hylzenów już nie wychodziło.

Ród ten kilka z rzędu kościołów tu wznosił, z których pierwszy erekcyą swoją sięga XVII. stulecia. Mamy bowiem

---

Sołtanów Kownatę, wreszcie starostwo maryenhauzkie, znajdzie nasz czytelnik na mapie załączonej do książki naszej: „Inflanty polskie“, Poznań 1879 r.

[1] Oglądał piszący ów grobowiec nie dawniej jak w maju r. 1895. Pomnik w profilu wystaje ze ściany kościoła. Składają go: obelisk, ozdobiony herbem Hylzenów, mający około trzech metrów wysokości i wsparty na dwóch lwach a u góry otoczony aniołkami, oraz cukuł obszerny, na którym spoczywa obelisk. Ten ostatni zawiera długi napis łaciński:

D. O. M.

Hic jacet in spem resurrectionis Georgius Constantinus de Hülsen,
Dominus haeres bonorum Dageten, Stabiten, Essen, Bukhof etc.
Camerarius Regis Augusti II, Maryenhausensis Capitaneus,
vir ingenio aeque ac consilio promptus, in utraque fortuna semper
sibi constans, semper idem inimicitias vel non agnoscebat,
vel ignoscendo superabat i t. d.

Ponad cukułem wystaje bogato rzeźbiona konsola z tegoż żółtawego marmuru a na niej popiersie zmarłego wprawnym dłutem po mistrzowsku wykonane.

przed sobą ciekawą i pouczającą relacyę biskupa inflanckiego Krzysztofa Szembeka (późniejszego prymasa gnieźnieńskiego) do papieża Klemensa XI. pisaną w r. 1714 o stanie dyecezyi inflanckiej; z relacyi tej drukiem dotąd nigdzie nie ogłoszonej wyjmujemy ustęp, dotyczący kościoła i parafii maryenhauzkiej a opisujący dokładnie, ile ta okolica w czasie wojny północnej ucierpiała.

„Szóstym kościołem — są słowa inflanckiego biskupa Krzysztofa Szembeka — jest maryenhauzki, położony nieopodal granic moskiewskich oraz tej części Inflant, która nosi miano Inflant szwedzkich. Ubożuchna ta świątynia, wzniesiona z drzewa, wymaga całkowitego przebudowania aż do fundamentów. W czasie ostatniej wojny, trwającej lat dziesięć, został ten kościółek pastwą Kozaków, Kałmuków i innych złoczyńców, którzy go tak dalece złupili, że nie pozostało w nim z aparatów kościelnych ani jednej niteczki. Dotąd używane tam bywają przeważnie aparaty pożyczane. Parafianie wszyscy ubodzy, nieokrzesani. Miejscowi zaś panowie czyli właściciele tego starostwa, oddawna już po większej części oddaleni, tylko zrzadka tam przebywali“ [1].

Papież Klemens XI. powziąwszy z tej relacyi wiadomość o smutnym stanie Maryenhauzu, wpłynął przez nuncyusza na ówczesnego starostę maryenhauzkiego, Jerzego Hylzena, że je-

[1] „Sexta Ecclesia Marienhausensis prope ipsos Moschoviae et illius partis Livoniae, quae suecica dicebatur limites sita etc.... Ipsa fabrica Tempelli hujus lignea, miserrima, ex fundamentis exstruenda. Decies durante hoc bello, a Cosacis, Calmucis et aliis latronibus spoliatum fuit hoc Tempellum, ita ut nec filum de apparatibus relictum fuisset. Adhuc modo majori ex parte commutatis utitur apparamentis. Parochiani ibi omnes pauperes, rusticelli. Domini autem Loci sive Capitaneatus illius possesores, longius plerumque dissiti, raro ibi residebant“. *Relatio de statu Ecclesiae Livoniensis ab Episcopo Christophoro Szembek anno 1714 ad Summum Pontificem Clementem XI facta.*

Pod powyższym tytułem przechowuje archiwum kościoła katolickiego w Mitawie rękopism po części uszkodzony, zawierający obecnie ogółem stronic in folio 28. Z nich tylko str. 22—28 dotyczy wyłącznie Inflant polskich i stanu kościołów polsko-inflanckich w r. 1714. Strony 1—10 rękopismu obejmują pobieżny przegląd dziejów biskupstwa inflanckiego w jego fazach od r. 1186—1558 i od r. 1584—1714. Str. 10—28 mieszczą w sobie obraz stanu ówczesnego całej dyecezyi inflanckiej, w skład

szcze w roku 1716 z gruntu odnowił kościół i odpowiednio go opatrzył [1].

Wogóle duchowieństwo polskie tych czasów gorliwą opieką otaczało Kościół inflancki i starało się usilnie o rozkrzewianie i utrwalanie w tym kraju wiary rzymsko-katolickiej.

Jeszcze przed prymasem Szembekiem wielkie na tem polu położył zasługi wspomniany wyżej przez nas biskup Mikołaj Popławski [2], założyciel i odnowiciel całego szeregu kościołów i klasztorów, w których przeważnie osadzał gorliwych OO. Dominikanów. Za jego wpływem założyła na samym początku XVIII. stulecia Ewa Justyna z Sielickich Szostowicka kościół i klasztor dominikański w Agłonie, miejscowości słynnej i poza obrębem Inflant z powodu obrazu słynnej łaskami Matki Boskiej

---

której wchodzą całe Inflanty tak szwedzkie jako i polskie, księstwo kurlandzkie i Semigalskie oraz t. zw. ziemia Piltyńska. Strony 13—16 poświęcone Inflantom szwedzkim, str. 16 ma ustępy Livonia polonica i *De episcopatu Curonensi seu Piltinensi*, str. 17—22 traktują: *De Ducatu Curlandiae* (sic!). Nakoniec str. 22—28 zawierają rozdział: *Livonia mere polonica*, dotyczący nielicznych kościołów polsko-inflanckich i ich stanu przed rokiem 1714. Ustęp przytoczony powyżej mieści się na str. 28.

[1] Następnie, już za czasów kasztelana Jana Augusta Hylzena, będącego równocześnie i starostą maryenhauzkim, na miejscu dawnego, przez jego ojca Jerzego Hylzena odnowionego i hojnie wyposażonego kościółka, wzniesiono w r. 1748 wcale obszerny nowy kościół drewniany, który przetrwał lat stokilkadziesiąt. Widok jego zdjęty z natury w r. 1794 podaje Jan Krzysztof Brotze w tomie VII, na karcie 171 słynnego dziesięciotomowego, drukiem dotąd nieogłoszonego rękopismu p. t.: *Sammlung livländischer Monumente* i t. d. (Rękopism ten cenny stanowi unikat ryskiej biblioteki miejskiej, i badaczom dziejów inflanckich niepomierne oddawał i oddaje usługi).

Ponieważ w latach ostatnich i ten drugi w r. 1748 wzniesiony kościół drewniany poczynał grozić ruiną, teraźniejsze właścicielki Maryenhauzu wzniosły nieopodal wspaniałą dwuwieżową świątynię wielkich rozmiarów, o trzech nawach i wysmukłych filarach, których starogotyckie podżebrza o pięknych profilach pionowo rozgałęziają się u góry i przechodzą w żebra ostrołukowych sklepień, mogących przetrwać całe wieki.

[2] Za jego rządów wzniesiono kościoły parafialne: 1) w Rzeżycy 1685 r., 2) w Lucynie 1686, 3) w Posiniu 1694, 4) w Indrycy 1698, 5) w Maryenhauzie 1699, 6) w Agłowie 1700, 7) w Kownacie 1702, 8) w Feymanach 1708 i wiele pomniejszych filialnych.

Agłońskiej, wiernie w „Albumie wileńskim Wilczyńskiego“ przedstawionego.

W rok po zatwierdzeniu założenia tu klasztoru, wydanem przez papieża Innocentego XII., rozpoczęły się w kraju owe znane w dziejach klęski: napad Karola XII., zatargi o tron pomiędzy Augustem II. i Stanisławem Leszczyńskim i t. p. w czasie których i to spokojne ustronie niemało ucierpiało.

O zbawiennym wpływie, jaki pod względem chwały bożej wywierał w XVIII. stuleciu założony przez tegoż biskupa Popławskiego klasztor posiński na przyległe a nawet dalsze okolice, rozwodzi się szczegółowo wydany w Warszawie w 1856 roku tom 31 „Pamiętnika religijno-moralnego“. Dowiadujemy się z niego, że zaraz po założeniu klasztoru, przed samym wybuchem wojny północnej, osiadło tutaj dwunastu zakonników. Ci ciągle udawali się w głąb kraju dla oświecenia w ciemnocie pogrążonego ludu. Nieraz od miejsca pobytu swego tak bardzo się oddalali, że do klasztoru na noc nie byli w stanie wrócić. Bezpiecznego zaś schronienia u miejscowej, zdziczałej w czasie wojen szwedzkich ludności znaleść nie mogli. Jedna część jej żyła w odszczepieństwie od katolickiego kościoła, druga znowu pogrążoną była w dzikiem, groźnem i zaślepionem pogaństwie. Z jednej więc strony spotykała ich wzgardliwa niegościnność, z drugiej barbarzyńska nienawiść.

Cóż tedy czynią wierni swemu misyonarskiemu powołaniu posińscy Dominikanie? Żeby się ustrzedz od zmian powietrza i spokojny mieć przytułek w czasie prac misyjnych, budują po różnych miejscach kraju lepianki z chrustu, prędzej do bud niżeli do mieszkań ludzkich podobne.

Dwanaście takich chatek, to jest tyle, ile było w klasztorze posińskim kapłanów, stanęło niebawem w stronie zachodniej od Posinia, oraz na pobrzeżu gubernii pskowskiej. Nazwy ich następujące: 1) Landskorona, 2) Rundany, 3) Brodajż, 4) Rajpol, 5) Pyłda, 6) Słobodzińce, 7) Ewersmujża, 8) Brygi, 9) Słodzie większe, 10) Słodzie mniejsze, 11) Istra i 12) Koniecpol.

Z czasem przy tych chatkach zbudowano kapliczki, później zaś, gdy się rozsunęły ciemne pogaństwa chmury a promień wiary

jaśniejszym już zaświecił blaskiem, z ośmiu pierwszych małych kapliczek wzniosły się kościoły parafialne, stanowiące dzisiaj cały dekanat przed-lucyński, pozostałe zaś cztery są dotąd kaplicami, do których następnie i inne przybyły [1].

Dominikanie, spełniający nigdyś we wspomnianych świątyniach posługi parafialne, uważali się zawsze za mieszkańców Posinia i zostawali pod zwierzchnictwem posińskiego przeora. Pod jego dozorem później odbywały się studya zakonne w klasztorze posińskim, który okolicznie nazywano w wieku XVIII. wcale trafnie „twierdzą z dwunastu zamkami".

Oprócz Posinia, niegdyś szczególnie ubłogosławionego pomocą bożą w apostołowaniu, tudzież założonej w czasie wybuchu wojny północnej Agłony z obszernym klasztorem, Dominikanie erygowali kościoły i utworzyli dzisiejsze parafie w Wyszkach, Ruszonie, Dyneburgu, Prelach, Warklanach i t. d.

W Wyżkach, Ruszonie i Prelach były małe klasztorki, ze czterema tylko w każdym kapłanami. W Dyneburgu mieli wówczas osobny klasztor z kościołem, gdy tam już była ustanowiona inflancka biskupia katedra, na której, jak już wiemy, zasiadł pierwszy Mikołaj Popławski. Stale do niej wysyłali ku pomocy usług kościelnych czterech swoich kapłanów [2]; biskup zaś inflancki wywdzięczał się utrzymywaniem o własnym koszcie na naukach w Rzymie dwóch młodych inflanckich Dominikanów.

Skutkiem ożywienia wiary w XVIII. stuleciu w Inflantach polskich (stanowiących od r. 1677 wraz z katolicką częścią Kurlandyi dyecezyę inflancką) przez biskupa Popławskiego

[1] Całą tę działalność misyonarską gorliwych Dominikanów posińskich ilustruje w szeregu przepysznych akwarel olbrzymia księga p. t.; *Terra Mariana,* na uczczenie jubileuszu 50-letniego kapłaństwa Ojca św. Leona XIII., w imieniu wszystkich katolickich mieszkańców krajów nadbałtyckich przez nas wydana i utworzona, a której 70 kart w wiernej, lubo znacznie zmniejszonej reprodukcyi fotograficznej mamy przed sobą. Rozmnożeniem tej reprodukcyi za pomocą fotoligrafii zamierza zająć się jedna z największych i najsłynniejszych firm zagranicznych, aby ją i dalszym kołom uczynić przystępną. O księdze tej rozpisuje się pomiędzy innemi także wychodzący we Lwowie *Kwartalnik historyczny.* Rocznik v, str. 222 i 223.

[2] Obacz: „Pamiętnik religijno-moralny", t. XXXI, str. 153.

i jego następców, stanęło wkrótce w tej części kraju aż 9 klasztorów reguł rozmaitych, które wraz z kilkunastu nowo utworzonemi kościołami parafialnemi, przyczyniły się niemało do zachowania w tej części dawnych Inflant wierności wyznaniu katolickiemu.

To też dzięki gorliwemu pasterstwu biskupa Popławskiego, nie później jak w lat cztery po jego zgonie, mógł pisać ówczesny biskup inflancki Krzysztof Szembek do Ojca św., Klemensa XI. słowa pocieszające: „Inflanty polskie z łaski Boga już całe są katolickie, za wyłączeniem tylko bardzo niewielu lutrów i schyzmatyków“ [1].

Że tę gorliwość w ożywianiu wiary w pozostałej przy Polsce części Inflant, zdołała przelać Rzplta oraz miejscowi biskupi także i na zamieszkałą w niej od wieków szlachtę krzyżacko-rycerską, wymownie dowodzą fundacye licznych kościołów, erygowanych w Inflantach polskich w ciągu XVIII. stulecia przez Bergów, Borchów, Felkerzambów, Hylzenów, Korffów, Ludyngshauzów-Wolffów, Manteufflów, Mohlów, Platerów, Ryków, Zyberków i t. d., za których przykładem poszła niebawem osiadła tu już w ciągu wieku XVII. szlachta polska, jako to: Benisławscy, Karniccy, Kubliccy, Sieliccy, Sokołowscy herbu Korab, Sołtanowie, Szadurscy i t. d. a na pograniczu „Inflant polskich“ Szczyttowie (kościół i klasztor w Wołyńcach), Zabiełłowie (kościół parafialny w Linkowie, a filialny w Łankiecie). Wszystkie te rody oświecając stale lud miejscowy i wznosząc w tym kraju klasztory i kościoły jużto parafialne, jużto filialne, przywiązanie ku Polsce i Stolicy apostolskiej bezustannie w Inflantach utwierdzali. Atoli największą pod tym względem zasługę przypisują słusznie badacze dziejów miejscowych rodowi Hylzenów, z którego wybitniejszemi postaciami zaznajomi nas rozdział następny.

---

[1] Obacz: *Relatio de statu Ecclesiae Livoniensis ab Episcopo Christophoro Szembek A. D. 1714 ad Summum Pontificem Clementem XI facta,* gdzie na str. 22 czytamy: „Livonia mere polonica universa jam ex Dei gratia catholica. exceptis paucissimis Lutheranis et Schismaticis“.

III.

Hylzenowie aż do pierwszej ćwierci XVIII. stulecia pisali się Hülsen ab Eckeln[1]. Jeden z przodków, Dydryk Hülsen, w r. 1559 otrzymał od hermistrza Fürstemberga dobra Łowidę w obrębie dyneburskim, wszelako już za Dźwiną w dzisiejszej Kurlandyi położone, co go następnie do książąt kurlandzkich zbliżyło. Jan Franciszek Hülsen był czas jakiś kanclerzem kurlandzkim za czasów księcia Fryderyka Kazimierza (1682—1698), był więc na pół obcym dla Polski. Jeden z jego synów, Fryderyk Hülsen, został starostą kandawskim i po większej części w ziemi piltyńskiej przebywał. Drugi zaś syn, wspominany już przez nas, Jerzy Konstanty Hülsen, poszedł za przykładem szlachty polsko-inflanckiej i kurlandzkiej, jak: Borchów, Denhofów, Felkerzambów, Grothusów, Ludingshauzów-Wolffów, Korffów, Manteufflów, Mohlów, Platerów, Tyzenhauzów, Zyberków i t. d. i służąc u dworu polskiego został podkomorzym nadwornym Augusta II. a potem starostą maryenhauzkim. Wszakże i w Polsce spotykał już ślady przodków swoich, którzy orężem służyli królom polskim, zacząwszy od czasów Zygmunta Augusta i krew swoją przelewali w bojach Rzpltej.

Synowie szambelana i starosty maryenhauzkiego, Jerzego Konstantego de Hülsen'a, Jerzy Mikołaj Hylzen od roku 1746 biskup smoleński[2] oraz ów znany dotąd przez samą tradycyę w Inflantach polskich Jan August Hylzen od r. 1744 kasztelan inflancki a od r. 1754 wojewoda miński, byli już zupełnymi Polakami. Chociaż w żyłach ich nie było jeszcze nic z krwi słowiańskiej, ale duch polsko-szlachecki widocznie wstąpił już w nich i zasiał nowe pierwiastki życia. Nie było odtąd Hülse-

[1] W dawnych dokumentach znachodzimy także podpisy: „de Huelsen dictus Eckeln", co częstokroć tłumaczono następnie po polsku: „z Eklowya-koci Hylzen".

[2] Mamy przed sobą ciekawy panegiryk, zajmujący 30 stron *in folio minori*, przez Pijarów w Warszawie wydany p. t.: „Ilmo, Exmo Revmo Dno Georgio Nicolao in Eklow Hylzen, Episcopo Smolenscensi penes solennem consecrationis actum facta gratulatio Anno D-ni 1746 die 13-ma Febr. incidente in Dominicam Sexagesimae".

nów Niemców na ziemi polskiej — ale byli Hylzenowie magnaci polsko-inflanccy, których liczne i coraz zwiększające się dobra rozszerzały się nietylko w obrębie Inflant polskich [1] ale i na Litwie [2], na Białej Rusi [3], w Koronie [4], w Kurlandyi [5], a nawet na Pomorzu [6].

Starszy syn Jerzego Konstantego Hülsena, Jerzy Mikołaj Hylzen, późniejszy biskup smoleński, mąż nadzwyczaj pobożny, pracowity i głęboko uczony, od lat młodych brał się do pióra. O pracach jego literackich wspominamy w oddzielnem studyum dotyczącem cywilizacyi i literatury inflanckiej wogóle, a w którem płody literatury polsko-inflanckiej (jako dotąd jeszcze przez nikogo nie omawiane osobno) najbardziej staraliśmy się uwzględnić [7].

Pierwiastki zawodu kapłańskiego rozpoczął Jerzy Mikołaj Hylzen w ojczyźnie swojej — Inflantach polskich. Był proboszczem katedralnym inflanckim w Dyneburgu czyli jak dawniej mawiano w Dynemborku. Oświejskie dobra objął jeszcze przed

---

[1] Mieli ich tu cały szereg w XVIII. stuleciu: Dagda z Krzewinem, Nową myślą, Starą myślą i innemi przyległościami, Runtold czyli Rundort, Tulenmujża, Okra, Pyłda, Istalsna, Kurjanowo, Stalerowszczyzna, Bukmujża, Essenmujża, Kurma, Kownata, wreszcie starostwo maryenhauzkie.

[2] Dobra Belmockie i cała Hermanowszczyzna.

[3] Dobra Oświejskie ustąpione przez Sapiehę.

[4] Dobra Kozuńskie pod Warszawą.

[5] Dobra Stabiten czyli Stabben w Kurlandyi górnej, słynne z cudownej skały „Stabbu-rags“ czyli „Słupi Róg“, o której nietylko w niemieckim, ale i w polskim języku już dużo pisano. (Obacz wychodzący w Krakowie *Przegląd Powszechny*, tom VI, str. 200—211; „Słownik geograficzny ziem polskich“. tom X. str. 859 i t. d.).

[6] Dobra Parchowskie w okolicy Gdańska nabyte od polskiej gałęzi Bucholców, starostów lucyńskich, odtąd tylko w Inflantach polskich stale przebywających, aż do czasu, w którym ród ich ostatecznie wygasł.

Nie zaliczamy bynajmniej do zasług Hylzenów, że gromadzili królewszczyzny, bo takich spekulantów miała Polska z pewnością za wiele, ale podnieśliśmy ten szczegół, ażeby następnie tem dobitniej wykazać, jak piękny użytek ze wzrastającej zamożności w kraju ojczystym stale robili.

[7] Obacz *Przewodnik naukowy i literacki*, rocznik 1895, str. 673—689, 769—781, 865—885 i 960—983: „Cywilizacya, literatura i sztuka w kolonii zachodniej nad Bałtykiem“ (Lwów 1895). Taż sama praca wyszła następnie w osobnej odbitce (Lwów 1896, str. 80, w 8-ce).

swoją konsekracyą na biskupa. Był to pasterz zacny, gorliwy i czujny, pojmujący swój wysoki urząd pasterski jak poświęcenie się i pracę. Znaczny folwark Płoskie oddał księżom misyonarzom krasławskim na pomieszczenie nowoutworzonego seminaryum inflanckiego, które wydało mnóstwo gorliwych kapłanów. Gdy w r. 1755 panowała wielka zaraza w smoleńskiem, biskup J. M. Hylzen z inflanckiej swej rezydencyi Dagdy pospieszył tam, aby razem z owczarnią cierpieć i pocieszać cierpiących. Znużony i złamany pracą kapłańską, zrezygnował z biskupstwa a lata ostatnie samej modlitwie poświęcał. Pogrzebiony w kościele oświejskim [1].

Młodszym od biskupa był brat jego Jan August, kronikarz ziemi ojczystej, niemniej czynny. Gromadził coraz więcej królewszczyzn w swoim ręku. Oczywiście, że wpływ jego musiał wzrastać w Inflantach polskich, tem bardziej, że ten swój kraj rodzinny umiał kochać prawdziwie. Nietylko przez prace naukowe, o których na innem miejscu rozpowiadamy, ale i w dziejach Inflant pragnął się odznaczyć; chciał coś zrobić dla ludu wiejskiego licznych dóbr swoich inflanckich. Mieszkał w nich lud w owym czasie jeszcze nieoświecony i wskutek wojen szwedzko-polskich niemal zdziczały; lubo wyznawał wiarę chrześciańską, daleki był przecież od chrześciańskiego życia. Lud ten miał swój własny język łotewski i dziwne pogańskie jeszcze uprzedzenia. W religii jego panował najgrubszy zabobon i gusła, ostatki bałwochwalczych czasów. Czcił dęby i lipy, węże i żmije [2]. Lud

[1] Bliższe o nim szczegóły i opis jego przez niesumienne ręce całkiem już zniszczonego grobowca, podaje książka nasza: „Inflanty polskie“ (Poznań 1879) na str. 71—74.

[2] Jezuita Rostowski opisuje, że na Łotwie katolickiej w Inflantach polskich zbierały się na nabożeństwo tajemne niewiasty około lipy, mężczyźni zaś około dębu. Stwierdza to najzupełniej zbiór pieśni gminnych polsko-inflanckich, ogłoszony w *Magazin der lettisch-literarischen Gesellschaft*, Mitawa 1869, tom XIV, str. 162—206, p. t.: „Lettische Volkslieder gesammelt in der Gegend von Kraslaw im Dünaburgschen von Comtesse Celine Plater und der Gegend von Dritzan im Rositzeschen von Freiherrn Gustav v. Manteuffel“. Jednę z nich przytaczamy w oryginale, gdyż dowodzi ona dokładnie, że według dawnych pojęć ludu polsko-inflanckiego dusze ludzkie z mogił przechodziły w drzewa, co do czci drzew zniewalało:

ten, innego pochodzenia od szlachty, dawniej jeszcze od niej zamieszkiwał te strony i pochodził od pierwotnych mieszkańców nowej ojczyzny Hylzena, którego przodkowie przybyli do Inflant z Westfalii. Dlatego to ludu chciał pamiątkę zostawić kasztelan inflancki. Zacny obywatel zapragnął wydać wojnę przesądom i sprowadzić cywilizacyę chrześcijańską pomiędzy wioski łotewskie naszego kraju. Wspólnie z bratem biskupem myślał stale nad rozszerzeniem oświaty. Druga jego żona, z domu Platerówna, pomagała mu do szlachetnego dzieła.

Kasztelan Hylzen zakładał misye w rozległych dobrach swoich polsko-inflanckich. W dziedzicznej Dagdzie, gdzie miał główną rezydencyę swych posiadłości, założył wspaniały kościół parafialny o dwóch trzypiętrowych wieżach i trzech nawach pięknie sklepionych. Znalazł też człowieka zupełnie wchodzącego w jego widoki, prawdziwego kapłana ludu i apostoła. Był nim ksiądz Michał Roth. Mąż ten iście świątobliwy, ożywiony duchem pierwszego Apostoła Inflant (błogosławionego Mejnarda, biskupa), osiadł na wsi pomiędzy Łotwą naszą, zbliżył się do niej pojęciami i duszą.

Jak dalece ksiądz Roth poznał i uszlachetnił miejscowe narzecze łotewskie, które uczona lingwistyka tegoczesna ochrzciła mianem *die hochlettische Mundart* [1], dowodzi wydane nieco później

1. Meś biejom trejś mosienias,
Mani treszas nairedzieja;
I świż mani upiejtâ,
Tiej upiejta nanasdama
5. I świż mani azarâ!
Tys azars nanasdams
I świż mani Daugawâ;
Tiej Daugawa nanasdama
I świż mani jyureniôs;
10. Tos jyurenis nanasdamys
Irsyt putu gobotu!
Ti izauga kupła lîpa;
Na ti bieja kupła lîpa,
Ti bie dorga dwieselejta,
Ti bie muna dwieselejta.

1. Było wszystkich nas trzy siostry,
Trzecią mnie znienawidzili;
Mnie wrzucili do strumyka,
Ale strumyk mię nie przyjął,
5. Do jeziora mię wrzucili,
Lecz jezioro nie przyjęło;
Więc aż w Dźwinę mię wrzucili,
Mnie i Dźwina nie przyjęła;
Więc do morza mię wrzucili;
10. A i morze nie przyjęło,
Wyrzuciło kupkę piany!
Tu wyrosła bujna lipa;
To nie była bujna lipa,
To duszyczka droga była,
To duszyczka moja była.

[1] Obacz liczne prace lingwistyczne d-ra A. Bielensteina, wieloletniego prezesa towarzystwa naukowego „Die lettisch-literarische Gesellschaft“, tu-

przez Jezuitów połockich pierwsze obszerniejsze religijne, dwutomowe dzieło w języku łotewskim a noszące tytuł: *Wyssamociba katoliszka* (tj. całkowity wykład nauki katolickiej), będące przeważnie płodem jego pracy niezmordowanej i uważane dotąd za niedościgniony pierwowzór pięknej mowy w miejscowem narzeczu łotewskiem. Słodki i łagodny misyonarz zwiedzał chałupy, cieszył chorych i leczył; grzesznikom przynosił słowo zbawienia, pamiętał o potrzebach doczesnych ludu. Kasztelan Hylzen ze swej strony zakładał szpitale, sprowadzał Siostry Miłosierdzia, budował szkółki po wsiach, lokował sumy po różnych dobrach, a procenta od nich obracał na wsparcie podupadłych poddanych. Niejeden grosz przez ręce księdza Michała Rotha spłynął jako dar dobroczynny Jana Augusta Hylzena pomiędzy wioski polsko-inflanckie. I pan i kapłan nie ustawali w zacnej pracy. Księdza Michała Rotha zwano powszechnie apostołem łotewskim jeszcze za jego życia, a po śmierci zwłoki jego, jako istotnie niepodległe zepsuciu, stały się przedmiotem głębokiej czci wdzięcznych miejscowych Łotyszów, którzy go po dzień dzisiejszy uważają za świętego. Ta gorliwa działalność obywatelska i religijna dwóch zacnych mężów, będzie zawsze świeciła w rocznikach naszej przeszłości [1].

---

dzież rozprawy słynnego profesora królewieckiego d-ra A. Bezzenbergera, ogłoszone w r. 1885 w *Magazin der lettisch-littauschen Gesellschaft,* tom XVII, str. 1—180, p. t.: *Lettische Dialectstudien,* wreszcie rozprawy petersburskiego docenta uniwersytetu, magistra E. Woltera, ogłaszanych w *Archiv für slavische Philologie,* i naszą pracę: *Bibliographische Notiz über Schriften welche von 1604—1871 in der hochlettischen Mundart veröffentlicht worden sind,* omawianą pomiędzy innemi i w *Jahresberichte der Geschichtswissenschaft* von Jastrow, 8-ter Jahrgang 1885, Berlin 1889, III, 63, 143.

[1] Jedną z najpiękniejszych pieśni ludowych polsko-inflanckich przypisują niektórzy nowsi badacze księdzu M. Rothowi. Pomimo, iż tego zdania nie podzielamy (gdyż pieśń ta zdaje się pochodzić nie z XVIII. lecz z XVI. lub XVII. stulecia), podajemy ją tu wraz z przekładem możliwie wiernym:

Putnień, łajkâ sołtas zimas
Kur ir tows perekliś?
Zam Dabasym, zam Dabasym!
Ir gon wiel kods kaktieńsz,

Ptaszku! gdy się zima sroży
Gdzie budujesz gniazdko twoje?
Znajdę sobie kącik Boży,
Gdzie skrzydełka spoczną moje.

Gorący patryota Jan August Hylzen uchodził w kraju za uczonego nielada. Niezły łacinnik, wielbiciel Cycerona, słynął mową zwłaszcza w swojej prowincyi. Wyznać atoli potrzeba, że patryotyzm jego lubo szlachetny, był przedewszystkiem patryotyzmem lokalnym. Żałował Jan August Hylzen tych Inflant, co się dostały pod panowanie szwedzkie, wolałby całą inflancką rodzinę widzieć razem pod opieką wolności polskich. Myśl ta przebija w jego pismach i swadach. Przyjacielem króla Stanisława Leszczyńskiego nie był, bo wśród położenia spraw politycznych, widział z nim tylko wojnę domową w ojczyźnie. Na sejmiku przedelekcyjnym wnosił, żeby posłowie inflanccy zobowiązali się przysięgą, jako na Leszczyńskiego nie zezwolą. Chodziło mu oczywiście przedewszystkiem o Inflanty polskie, które padłyby pierwszą ofiarą oporu przeciw królowi Sasowi.

Koda syłta wîtienia
Iksz grumbom
Iksz szkierbom!
Tur tajsu perekleni
Wyssułoboku wîtieni
Zam Dabasym.

Putnień, kad jau płyks ir tiejrums
Kur tod ir tows barûklis?
Iksz Diwa rûkas, iksz Dîwa rûkas!
Ir gon wiel kods gryudieńsz
Koda moza udzienia
Pi cieleniom
Pi stydzieniom!
Tur atrûnu taj woj szaj
Bet atrûnu siew barûkli
Iksz Diwa rûkas.

Putnień, kad jau sausy zory
Kur tod towa dziśmie?
Iksz sirdś dziluma, iksz sirdś dziluma!
Gul tur daudź wiel dziśmieniu,
Daudź na izpłaukuszu zîdieniu
Sirdies kłusâ dybynâ!
Atnok drejż pawusarenia,
Atsadziejwynoj dziśmienia
Diwu tieje nu sirdś dziluma
Dziwam dzid nu sirdś dybyna.

Jest nie jedno załamanie,
Jest szczelinka lub fałdeczka,
W drzewie, w murze, w starej ścianie!
Tam jest miejsce dla gniazdeczka;
A ten kącik Nieba dały,
By się rozgrzał ptaszek mały.

Ptaszku! gdy już nagie pola,
Gdzie też pokarm znajdziesz sobie?
Boża łaska, Boża wola
Zeszlą pomoc w ciężkiej dobie!
Pośród śniegów i zamieci
Dróżka się nie jedna wije;
Tam jagódka nieraz świeci,
Ziarnko się nie jedno kryje.
Z Bożej ręki okruszyny
Pożywieniem są ptaszyny.

Ptaszku! gdzie piosenka twoja,
Gdy ostatni liść opadnie?
Obumarła piosnka moja,
Leży cicha w sercu, na dnie,
Wiele pączków przy niej drzemie;
Aż gdy wiosna znowu błyśnie,
Nowe życie pączki przejmie,
Nowa piosnka z nich wytryśnie
I ku Panu wzleci swemu
Cześć i dzięki nucąc Jemu.

Mówiąc tak śmiało na sejmiku, stawał nader oględny skąd inąd Jan August Hylzen, przeciw uczuciu własnej rodziny. Teść jego należał do zaciętych stronników króla Leszczyńskiego, teściowa, wojewodzina Platerowa, była daleką krewną wygnanego króla. I wogóle przeważała wśród naszej dawnej szlachty polsko-inflanckiej dobre dla Stanisława Leszczyńskiego usposobienie. Kasztelan Hylzen ostro potępiał projekty zapaleńców, którzy szlachtę całą chcieli prowadzić do boju [1], wolał owszem wyprawiać posłów do obozu Marcyana Ogińskiego, wojewody witebskiego, regimentarza na Litwie strony saskiej. Obrany posłem z Inflant na sejm pacyfikacyjny w r. 1735, pracował tutaj nieco Jan August Hylzen dla pogodzenia Augusta III. z narodem, ale szło to mu z wielką trudnością; w kraju wzburzonym i znarowionym mało kto słuchał głosu zdrowego rozsądku. Koniecznością historyczną powodował się późniejszy kasztelan Hylzen. Był za użyciem surowych środków, ale sejm nie przyszedł do skutku. Nie zdziwił się bynajmniej, kiedy stało się to, co przepowiadał, że sejm skończył się na niczem.

Był kasztelan nasz także posłem na drugi sejm pacyfikacyjny w r. 1736. Trzeci raz posłował na sejm 1738 r. [2]. Tu radził wydać do szlachty wici na pospolite ruszenie, bo wojska moskiewskie nie wychodziły z granic Rzpltej. Więc potrzebne były podług J. A. Hylzena wysiłki nie do wypowiedzenia wojny, ale do postawienia się w gotowości i „uczynienia konfederacyi o sobie. Zdanie to innym posłom bardzo się podobało [3].

Na tym sejmie został Jan August Hylzen regentem kancelaryi Wielkiego Księstwa Litewskiego. Dał mu ten urząd zaszczytny w r. 1738 kanclerz Jan Fryderyk Sapieha, sam jako mecenas uczony i przyjaciel uczonych. Niezadługo został tenże

---

[1] Odwodząc szlachtę od tego mawiał Hylzen: „Sam król Stanisław, gdyby się utrzymał na tronie, za złeby nie miał województwu tego kroku ostrożności, boby w tym kroku właśnie widział siłę wypadków“. („Znakomici mężowie XVIII. wieku“, tom II, str. 211).

[2] Teka Podoskiego, IV, 474.

[3] Teka Podoskiego, tamże.

Hylzen starostą brasławskim a wjazd odbywał do grodu w dzień świętego Józefa Kalasantego 1739 roku, dnia 4 lipca.

Odtąd swoje popisy krasomówcze z Dyneburga przenosi do Brasławia, do powiatu, który graniczył z Inflantami polskimi. Był marszałkiem sejmiku przedsejmowego w Bracławiu w r. 1740.

Kanclerz Sapieha coraz więcej przechylając się do zapatrywań Jana Augusta Hylzena, pragnął go pomieścić w senacie. Atoli cała ambicya późniejszego kasztelana była zawsze dla Inflant; przyjąłby krzesło, ale w swojem inflanckiem województwie.

Niemniej życzliwości okazywał mu inny Sapieha, koadjutor wileński, co do zdolności klejnot rodziny. Koadjutorowi był potrzebny J. A. Hylzen dla politycznych widoków, kanclerz znowu więcej myślał o literaturze, a z natury ciężki, nie tak pamiętał o przyjaciołach jakby wypadało. Tak i tutaj, za starostą maryenhauzkim, Janem Augustem Hylzenem, ujmuje się dalszy przyjaciel — koadjutor; stan prowincyi inflanckiej tego wymagał. Starosta maryenhauzki prowadził spór tak zacięty z Borchem, ówczesnym sędzicem inflanckim, że aż po całem księstwie echo się rozlegało. Koadjutor Sapieha z wielką usilnością zdołał ich pogodzić. Spokojność w Inflantach polskich potrzebną była dla wszystkich zacnych obywateli kraju, „gdyż z tego województwa zawsze najlepszych wybierano posłów“ [1]. Kasztelanem inflanckim został kronikarz Hylzen 1 sierpnia 1744 r. za pomocą koadjutora Sapiehy, który mu wtenczas nowe pole do zasług otworzył. Marszałkowstwo trybunalskie przyszło mu w r. 1749—1750. Gdy został wojewodą mińskim, żył mniej życiem publicznem jak prywatnem. Król August III mianował go wojewodą mińskim w r. 1754, gdy odrywając się od pożytecznych w Inflantach zatrudnień, przybył nasz kasztelan-kronikarz na sejm do Warszawy.

Z dwóch synów Jana Augusta Hylzena odznaczył się najbardziej starszy, Józef (urodził się r. 1736, umarł 1786). Uczeń

[1] Julian Bartoszewicz, tamże.

Karola Wyrwicza, Jezuity, podróżował z nim po Europie. Za powrotem do kraju został paziem królewskim a w kilkadziesiąt dni później szambelanem. Był posłem z Inflant na sejm w 1756, licząc zaledwie lat 20. Na starostwo odbył wjazd uroczysty w r. 1758. W r. 1760 został kasztelanem inflanckim po Justynianie Szczycie i ożenił się z Teresą Potocką, córką sławnego w swoich czasach partyzanta Michała, pisarza polnego koronnego, potem wojewody wołyńskiego. Starostwa parchowskiego na Pomorzu ustąpił mu ojciec w r. 1762.

Za bezkrólewia, po śmierci Augusta III., trzymał się na stronie Józef Hylzen, jak ojciec. „Natura w nich ostrożna, niemiecka", powiada Julian Bartoszewicz. Zjechał jednak 24-letni kasztelan na sejm konwokacyjny i trzymał się na nim „familii".

Oczywiście bał się wystąpić z jakim stanowczym wnioskiem lub zdaniem. Kiedy spór się toczył o pozbawienie władzy hetmana Branickiego, Józef Hylzen raz się odezwał z Jabłonowskim, kasztelanem wiślickim, „że wypadałoby wprzódy do hetmana słać delegacyę i prosić go, żeby przystał do Rzeczypospolitej"; potem atoli obejrzał się, że to może będzie zbyt po republikańsku i — jak znaczna większość na sejmie — radził po prostu odebrać hetmanowi dowództwo nad wojskiem. Elekcyę pod Wolą podpisał razem z województwem inflanckiem [1]. Osiadł w dobrach Belmonckich pod Brasławiem, ale ojcu sam zamknął oczy w Warszawie 14 listopada 1767 r. [2]

W kilka godzin po zgonie kronikarza Inflant przybył do pałacu Hylzenów pocieszać wdowę w imieniu króla Jan Borch, wówczas wojewoda inflancki (następnie kanclerz Rzeczypospolitej polskiej) i przywiózł kasztelanowi Józefowi przywilej na województwo mińskie po ojcu. Drugie więc krzesło brał syn po ojcu. W r. 1767 został deputatem brasławskim na trybunał litewski,

[1] *Volumina legum*, VII.

[2] Zwłoki Jana Augusta Hylzena przewieziono niebawem do dziedzicznej Dagdy w Inflantach polskich, gdzie po dzień dzisiejszy przetrwał pomnik grobowy, którym synowie utrwalili pamięć kronikarza Inflant. Napis grobowy podaje książka nasza: „Inflanty polskie" (Poznań 1879) str. 79.

a niebawem z deputata obrany zostaje w Wilnie marszałkiem trybunału.

Konfederacya generalna już wtenczas na dobre burmistrzowała na Litwie. Dzielny Inflantczyk przeto całe swoje usiłowanie w tem położył, żeby zachować niepodległość trybunałowi.

Było to właśnie nie uznawać konfederacyi, bo prawa Rzeczypospolitej stanowiły jasno, że w czasie zamieszek wewnętrznych, kiedy cały rząd narodowy przechodzi w ręce marszałka konfederacyi uznanej za generalną, ustawać mają wszystkie trybunały i obywatele winni okazywać posłuszeństwo nie komu innemu, tylko władzy tymczasowej i dyktatorskiej.

W oporze Józefa Hylzena przeciw konfederacyi, było więcej jak nieuznanie jej: był tam okropny wyrok na nią, że zawiązała się nieprawnie, a co więcej z potarganiem wszelkich praw narodowych. „Wyrok ten — zauważył nader trafnie Julian Bartoszewicz — wydawał nie Hylzen wojewoda, ale Hylzen marszałek trybunału, najwyższej sądowniczej władzy, która miała prerogatywy majestatu i tytuł najjaśniejszy, od której szła apelacya do samego Boga, bo tutaj nikt już na ziemi nie decydował drugi raz tej sprawy, którą raz już zasądził trybunał, chyba drugi trybunał i to na mocy nowszych dowodów“ [1].

Józef Hylzen miał „mądrość stanu“ swojego ojca, Jana Augusta, postępował łagodnie, z umiarkowaniem, ale był tam nieugięty, gdzie miał za sobą sprawiedliwość. Nie sam przekonywał, tylko prawo przez niego przekonywało. Pojąć więc łatwo, ile człowiek taki niebezpieczny był ludziom, którzy wywoływali w kraju zamięszania dla osobistych widoków swoich, albo dlatego, że zmuszeni do tego byli okolicznościami.

Trybunał litewski powinien był ustać wobec konfederacyi generalnej w Radomiu; atoli Józef Hylzen prowadził dalej sądy. Wzywano go gwałtownie, ażeby zrobił akces do konfederacyi. Nie posłuchał. Owszem, wyprawił do króla gońca z prośbą. Poseł rosyjski, książe Repnin, napominał Hylzena za to, że nie słucha

[1] „Znakomici mężowie XVIII. wieku“, tom II. str. 253.

„rozkazów“ konfederacyi i t. d. Atoli zacny marszałek trybunału nie dał się zachwiać ani na chwilę.

Wyznać należy, że za Stanisława Augusta niewielu było w Rzeczypospolitej ludzi, którzyby umieli taką okazać stałość charakteru. Ale wojewoda Józef, znający dokładnie prawo ojczystego kraju, w grę wprowadził wszystkie środki, jakich mu tylko dostarczały *Volumina legum* i zwyczaje narodowe. Nie chwalił tego, czego nie mógł pochwalić sumiennie, będąc o rzeczy inaczej przekonany.

„Zdawało się — są słowa Juliana Bartoszewicza — że hart wielki duszy był w Hylzenie, a dowód tego nieuznanie konfederacyi radomskiej“. Uznał ją przecież na sejm zjeżdżając, na sejmie urzędy biorąc. Mianowany tam albowiem konsyliarzem w asesoryi litewskiej na dwa lata do przyszłego sejmu. Gdy zaś z powodu zaburzeń barskich sejmu nie było, Józef Hylzen zamiast lat dwóch, zasiadał w asesoryi w ciągu lat siedmiu. Drugim w niej był prezesem jako senator. W ciągu tego czasu został wojewodą mścisławskim od roku 1769. Na sejmie pierwszo-podziałowym otrzymał na własność dziedziczną bogate starostwo kozuńskie.

Człowiek dziwnie spokojny, przestawał najczęściej z książkami; znał dobrze literaturę starożytną i nowoczesną francuską, a pisał równie dobrze po łacinie, jak po polsku i po francusku. Nie dużo atoli doznał szczęścia w pożyciu małżeńskiem, a ostatecznie doszło nawet do rozwodu.

Jeszcze za jego życia poszła pani Józefowa Hylzenowa drugi raz za mąż za sławnego w swoim czasie na Litwie Szymona Kossakowskiego, którego fortunę stworzyła. Gryzł się opuszczony małżonek jej pierwszy, bo czuł się ostatnim potomkiem Hylzenów. Miał jednego tylko syna, Jana Jerzego, który umarł w wieku pacholęcym, bratanek zaś jego Idzi, syn jego brata Justyniana Hylzena, starosty maryenhauzkiego, ożenionego z Działyńską, był idyotą[1].

[1] Obacz „Inflanty polskie“ (Poznań 1879) str. 79, gdzie nawet o niewybitnych członkach rodziny Hylzenów wspominamy obszerniej.

Przeżywszy brata Justyniana, podróżował wojewoda Józef po Europie, ażeby się nieco rozerwać. Najdłużej zatrzymał się w Paryżu, poznawał się z członkami Akademii francuskiej, pisywał i odczytywał publicznie uczone swoje rozprawy, a Francuzi je chwalili. Z Paryża udał się do Włoch i umarł w Rzymie w roku 1786, pozostawiwszy warunkowy testament *testamentum occlusum*, w którym całą swoją milionową fortunę na dobre uczynki i podniesienie oświaty w kraju rodzinnym zapisał.

Główne punkta ostatniego jego testamentu z dnia 30 września 1783 roku wypisujemy tu dosłownie z leżącej przed nami kopii autentycznej:

„Uwolnić wieczyście poddanych wszystkich dóbr moich, nadając im wolność wyjścia i udania się, dokądby chcieli z całą ich własnością".

„Łożyć regularnie wiecznemi czasy połowę dochodów wszystkich dóbr moich na pomnożenie i zachęcenie nauk i kunsztów, na edukacyę ubogiej szlachty, na utrzymanie ludzi w potrzebie zostających, na erekcyę szpitalów lub polepszenie tych, które są już ustanowione, także na wspomożenie biednych wieśniaków w ubóstwie lub nieszczęściu pozostających".

Z powodu rozmaitych trudności zaczęto wykonywać zapisy Józefa Hylzena dopiero w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia zmieniwszy całkowicie pierwotne postanowienia testatora.

Wmięszał się w tę sprawę testamentową uniwersytet wileński, z czego jeszcze większe zawikłania wynikły [1]. Niemniej jednak testament ten daje świadectwo działania Józefa Hylzena miłości prawdziwej dla wszystkich stanów kraju rodzinnego, a zarazem prawo do wdzięcznej pamięci w narodzie.

(Dok. nast.).

Gustaw Manteuffel.

[1] Wyjaśnienie tej nader zajmującej sprawy testamentowej czeka osobnego badacza, któryby chciał jej fazy dokładnie przestudyować i opisać. Możnaby niemi sporą księgę zapełnić, a zaprawdę czytałaby się ona z wielkiem zajęciem, z niemniejszą przyjemnością i z serdecznym nieraz śmiechem.

OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

VI.

Studencka bieda.

Między biedakami, pukającymi nieśmiało o wieczornej porze do drzwi znanych dobrodziejów, proszącymi to o protekcyę, to o pożyczkę, to wprost o kilkadziesiąt centów, dostrzedz można raz po raz młodych chłopców, rzadziej dziewczęta, i takich, co z elementarzem się jeszcze biedzą, i takich, co chodzą z poważnemi gramatykami i historyami pod pachą, i takich nawet, którzy w czasie akademickich sezonów przechadzają się parę razy na dzień pod uniwersyteckiemi arkadami. Stosunkowo jeszcze częściej spotyka się ich pismo i podpisy wśród stosów próśb napływających do publicznych instytucyj miłosiernych i osobistości głośnych ze swej uczynności. Niema się temu co dziwić, niema się czem bardzo gorszyć. Żołądki, a cóż dopiero młode żołądki, mają swe prawa; szkoły mają prawa, które rok rocznie pożerają moc pieniędzy na książki, na uniformy, na jakkolwiek przyzwoite buty i ubranie. Jeden pasa podciąga i jak może lekcye powtarza; drugi, mniejsze lub inne o studenckim honorze ma wyobrażenie i, gdy żenujących świadków nie dostrzega, rękę wyciąga. Inne pytanie, czy tego, kto zupełnie na buty lub trzewiki nie ma, co nie ma na kawałek mięsa, a od czasu do czasu nie ma i na kawałek chleba, kto w dodatku nic szczególnego nie obiecuje, można i należy do wyższych szkół pchać; czy w ten sposób nie wyrabiają się legiony malkonten-

tów i suchotników. Ale to pytanie inne. Tu chodzi wyłącznie o stwierdzenie niezaprzeczonego faktu, że biednych i bardzo biednych studencików i studentów płci obojej potężny jest hufiec; o przypatrzenie się, jak hufiec ten wygląda, jak mieszka, czem, jakim przemysłem się żywi.

Urządźmy sobie przechadzkę po studenckich „stancyach“, jak się urzędowo nazywają; wstąpmy do szeregu domów i domków i spytajmy na jakich warunkach możnaby w nich umieścić uczęszczających do szkół chłopca, dziewczynę. A raczej miasto długich opisów i wywodów przepiszmy lakoniczne, bezpośrednio na miejscu robione notatki dwóch wędrowców, którzy istotnie wybrali się na taką pielgrzymkę, szukając stancyi dla 12-letniego chłopca i jego 10-letniej siostrzyczki.

„U stróżki. Czysty, bardzo mały pokoik. Troje dzieci, jedno cudze. Żąda za chłopca za wikt i mieszkanie 13 reńskich miesięcznie. Rano obiecuje dawać kawę, na obiad rosół i mięso, wieczorem kawę z mlekiem, a jeśliby mleka nie było, samą kawę. Obiecuje dawać i masło do bułki, za 3 centy dla całego domu“.

„U praczki. Straszny zaduch. Maleńka izdebka. Syn gospodyni chodzi do czwartej klasy. Śpi na kuferku zaścielonym derką. Inne dzieci także na kuferkach. Gotowa przyjąć na mieszkanie, śniadanie i kolacyę, bez obiadu, za 8 reńskich. Rano kawa z chlebem, na wieczór ziemniaki i rosół“.

„Dwa małżeństwa w jednej izdebce. Rano kawa, w południe barszcz, kasza, wieczór kawałek chleba, albo herbata. Ze życiem, z opraniem 8 złr. za jednego miesięcznie; w najgorszym razie 7 złr. Za sam kąt bez wiktu 5 reńskich na kwartał“.

„U stróżki. Pokoik bez okna, mdłe światło wchodzi z korytarza. Rano kawa; na obiad ‚to co ja sama jadam‘; na wieczór kawa. Za chłopca i dziewczynę razem żąda 12 reńskich miesięcznie“.

„U stróżów. W małej izdebce trzy łóżka. Na jednem sypia dorosła córka i mały chłopiec, na drugiem czeladnik, na trzeciem gospodarstwo. Córka na noc często nie przychodzi, ‚bo musi pracować‘. Żądają 14 złr. miesięcznie za chłopca i dziewczynę; jeśli na tyle niema, 13, a najmniej 12 złr. Na śniadanie

garnuszek kawy z bułeczką; na obiad rosół, ziemniaki albo kasza; na podwieczorek bułeczka; na kolacyę kawa albo herbata. Gospodyni zaręcza: ‚U nas źle nie będą miały, bo i moja córeczka musi mieć regularnie nietylko kawę „gołą“, ale i z mlekiem‘“.

„Ani w jednem miejscu nie proponowano osobnego łóżeczka lub tapczanu dla brata, a osobnego dla siostry. Taki zbytek nawet na myśl nikomu nie przyszedł i wogóle z powodu braku miejsca byłby do wprowadzenia w życie niepodobny“.

Tu kończą się zapiski naszych wędrowców. Dwóch doświadczonych profesorów, jeden gimnazyalny, drugi ze szkół ludowych, uzupełniają własnemi długoletniemi spostrzeżeniami rzucony przez nich obrazek:

„Wielu uczniów, których znam dobrze, synowie ubogich gospodarzów, komorników, rzemieślników, robotników, płacą u nas w Podgórzu, za kąt do spania dwa lub nawet jeden reński miesięcznie. Z domu dostają kaszę i omastę. Rano pożywieniem ich wodzianka z kaszą, na obiad jałowe ziemniaki, wieczorem kawałek chleba. Nazajutrz rano zupa kartoflana, w południe kasza, wieczorem kawałek chleba. ‚Mięsa nigdy prawie nie jem‘ — przyznał mi się jeden z mych uczniów. To mali bohaterzy. Ale cóż? Jeśli zdołają przejść gimnazyum, umierają na suchoty, lub tetryczeją, chowają w sercu niechęć do całego świata i marnują się“.

„Wchodzę do suteren. Niema siennika, łóżka, jest jedynie barłog dla matki i czworga dzieci, Jeden syn chodzi do szkół realnych. Na obiad tego dnia matka przyniosła jedną bułkę“.

„A stancye? Zwiedzałem niedawno temu z obowiązku 20 studenckich stancyj; z tych siedm absolutnie było nieodpowiednich, reszta także nie zasługiwała na pochwałę, ale od biedy, w porównaniu z poprzedniemi mogła jakkolwiek ujść. Wchodzę do do jednej stancyi. Nie wiem, jakim prawem ten ciemny, zimny loch nazywał się ‚stancyą‘; trzy łóżka w nim stały, masa ludzi wszelkiej płci i wieku się kręciła, a w najgłębszym kąciku siedział chłopak i uczył się w tych ciemnościach, wśród ciągłego hałasu. W lecie wybiegnie przynajmniej na ulicę, na podwórko, mówiąc nawiasowo, bynajmniej nie pachnące; ale w zimie?!

Gorsze, wprost straszne dla duszy, dla moralności są stancye, utrzymywane przez wdowy moralnie upadłe.

„I na uniwersytecie straszna nędza materyalna i łącząca się z nią moralna. Mniej więcej 20 procent chłopaków, zapisujących się na uniwersyteckie kursa, liczy wyłącznie na mannę niebieską i na lekcye. To też zdarzają się wypadki, jak jednego z mych przyjaciół, który przez trzy dni nic do ust nie włożył, aż znaleziono go omdlałego z głodu. Inny, biedą przyciśnięty, poszedł na najhaniebniejszą służbę do rozpustnej wdowy; dziś dziadem. Inny, który z trudem mógł sobie zebrać za lekcye 7 reńskich na miesiąc, a przytem pożegnać się nie chciał z pańską miną i pańskiemi aspiracyami, jadł kaszę z łojem, mieszkał na strychu i spał na wiórach. I on potem wpadł w ręce dwóch błaźnic, stracił wstyd i sumienie. Wogóle straszna pokusa i niebezpieczeństwo dla takiego uniwersyteckiego nędzarza, gdy mu się otworzy jakaś droga do lepszego bytu, do pieniędzy. Chce powetować dawną biedę, na wszystko się puścić gotów i puszcza. Wiem o dwóch, których nagłe polepszenie losu doprowadziło do idyotyzmu".

Uczniowie, a przedewszystkiém uczenice seminaryum nauczycielskiego, tak zwane powszechnie „seminarzystki" mieścić się muszą w ciasnych, wilgotnych, ciemnych kątach, cierpią głód i chłód. Położenie tych biednych dziewczyn, mających wychowywać przyszłe pokolenia, jest nieraz istotnie bardzo smutne, daleką smutniejsze, niż męskich kolegów z seminaryum, gimnazyum, uniwersytetu. Chłopcu zawsze łatwiej gdzieś głowę przytulić, łatanym, a choćby dziurawem surdutem i dziurawemi butami się zadowolić, w pogoni za łyżką strawy nie narażony jest na tyle niebezpieczeństw i zasadzek. Ambitna dziewczyna dobywa ostatnich sił, byle przedrzeć się przez egzaminowe wąwozy. Wie, że od tego zależy jej własny los, a może i los jej rodziny; więc pracuje po nocach, krzepi się szklanką lury, zwanej herbatą i zapracowuje sobie na nauczycielski dyplom i na idące za nim ślad w ślad suchoty. Niewiele lat temu[1], jak jedna

[1] W tym samym mniej więcej czasie, w którym pojawił się w *Przeglądzie Powszechnym* artykuł ks. M. Morawskiego „Złe miłosierdzie", który wywołał tyle sprzecznych sądów i gwałtownych krytyk.

ze seminarzystek, której oczekiwany dyplom już, już się uśmiechał, zemdlała w szkole z głodu i niezadługo później umarła z wycieńczenia. Wyszło wtedy na jaw, że zmarła mieszkała u stolarza na strychu, na którym znajdował się skład świeżo zrobionych trumien, a czynsz za to mieszkanie spłacała malując trumny. Gorsza „stancya“, i to na jednej z najbardziej arystokratycznych ulic krakowskich, w której jedynie parawan dzielił apartamenta trzech akademików od apartamentów trzech seminarzystek[1]. „Cóż robić? — tłumaczy się jedna z nich — trzeba mieć gdzieś swój kącik, a tu udało mi się go odnająć bardzo tanio“.

Profesorom gimnazyalnym, znawcom seminaryjnych stosunków wtórują na tę samą smutną nutę katecheci, nauczyciele, nauczycielki ze szkół ludowych krakowskich, podgórskich.

„Straszna rzecz, jak u nas dzieci na Kazimierzu biedne, okropnie biednie! A jaka demoralizacya, niech Bóg broni! Najgorzej z nielicznemi chrześcijańskiemi dziećmi, bo żydowscy koledzy uczą ich wszystkiego, co sami złego wiedzą i robią, a nadto w domu zostawione są bez najmniejszej opieki, w najściślejszem słowa znaczeniu, na bożej opatrzności. A co ciągle widzą, co słyszą, w jakiem towarzystwie przebywają, jakie słyszą i powtarzają przekleństwa: ‚A żebyś uschła jak ta nitka, żebyś z ciała opadła!‘ Czasem znowu zdawałoby się, że dziecko musi mieć rodziców ostatnich żebraków, a oni tymczasem oszczędzają, ciułają, ‚żeby dziecku szczęście zabezpieczyć‘. Miałam w szkole jednę żydóweczkę bladą, wynędzniałą, ciągle głodną; aż nagle dowiaduję się, że ojciec jej kupił sklep za 60.000 guldenów. Córeczki bogatego wekslarza nieumyte, sukienki poszarpane. Wekslarz, mający pięć kamienic, upominał się bardzo na seryo, żeby i jego wnuczki nie pominąć i dać jej darmo szkolne książki“.

Inna nauczycielka opowiada:

„Wiele dzieci z mojej szkoły nie idzie w zimie na obiad do domu, bo niema po prostu po co iść; zostają w ciepłej szkole,

[1] W swoim czasie wskazano mi zupełnie dokładnie ulicę i numer domu, w którym „stancya“ ta się znajdowała. Czy dziś jeszcze istnieje, nie wiemy.

a dopiero wieczorem dostaną coś gotowanego. Albo chłopak do szkoły przyniesie sobie kawałek chleba i trochę wódki w buteleczce; chleb w wódce zamacza i zajada. Dziewczyna zamiast masła do chleba używa szkolnej kredy. Serce się kraje, kiedy się słyszy małą dziewczynkę filozofującą: ‚Umrzemy, no! to umrzemy niech się raz skończy ta bieda'. Prawda, że filozoficzne te wywody są nieraz po prostu papuziem powtarzaniem lamentów, zasłyszanych od starszych; lecz bądź co bądź nie są one bez racyi i fundamentu. Jeść się dziecku chce, a kiedy się domaga, ojciec lub matka bije je, że nie sposób, jak kota w garnku. Ojciec pijak zastawia Żydowi buciki dziecka, albo sukienkę, albo książki za kieliszek wódki. Pytam się:

„Czemuś Marysiu przez cały tydzień w szkole nie była?“

„A bo, proszę pani, tatko zastawił sukienkę za kieliszek wódki Mośkowi z naprzeciwka. Nie miałam w czem przyjść“.

„W tem prawdziwe nieszczęście. Da się dziecku na Boże Narodzenie buciki, albo sukienkę, albo pieniądze. A rodzice wiodą dziecko do Żyda, piją sami, dziecku dadzą bułkę pokropioną wódką i za parę dni przychodzi do szkoły ten sam obdartus, jak był przedtem“.

„Biedne dzieci, a rodzice głupi, że trudno o cierpliwość! Dziecko całe w dziurach; za to je matka tak szmalcem wypomadowała, że w klasie nie wytrzymać. Dziecko głodne, pajdę chlebaby mu trzeba położyć, a matka na pierwsze i drugie śniadanie kupiła mu parę cukierków i dwie makagigi. Za głupstwo, za jedno słowo bije bez upamiętania, ale potem, gdy przyjdzie inny humor, inna fantazya, nie pyta, choć dziecka niema dwa dni w domu. Ciepło, więc po ulicach, poza miastem chłopak czy dziewczyna się błąka, bo cóż je ma do domu ciągnąć? Czy ten barłog, służący za legowisko dla całej rodziny, dla sześciu, ośmiu, dziesięciu osób? Jeszcze dobrze, jeśli dziecko ma jakąś rodzinę i o niej wie. Przy wpisie szkolnym ośmnaścioro dzieci nic mi o swoich rodzicach nie umiało powiedzieć; gdy później widziały, że im dobrze życzę, nie biję, czasem z robactwa oczyszczę, zaczęły mię nazywać ‚mamą‘“.

„Żydziaki, Żydóweczki również biedne i głodne. Rano do-

stanie pół filiżanki czystej herbaty; do szkoły przyniesie sobie na drugie śniadanie kawałek bułki zaprawionej cebulą lub czosnkiem; na obiad matka poda kawałeczek śledzia z grochem, a na kolacyę bez grochu. Tylko na szabas mają ‚kikele' ziemniaki, rybki. W lecie i w zimie chodzą przeważnie jednakowo: włóczkowa chusteczka, cienki, brudny kaftaniczek, perkalikowa spódniczka. Tak samo zimą, latem chodzą i katolickie dzieci. O pończochach, często i o bucikach niema mowy".

Jeszcze inna, bardzo poważna nauczycielka ze szkoły położonej w stosunkowo bogatszej dzielnicy, uzupełnia ten obraz: „Żydzi, posyłający dzieci do naszej szkoły, dość dobrze wogóle się mają i rzadko kiedy zgłaszają się z prośbami czy o obiady dla swych ‚pociech', czy o buciki, czy o książki szkolne. Za to między chrześcijanami wielka nędza. Na przeszło 130 dzieci ledwie 20 ma się w co naprawdę okryć. Do stowarzyszenia ‚butowego', które wzięło sobie za zadanie zaopatrywać w buciki najbiedniejsze dzieci, może 20 dzieci się nie zgłosiło; z żydowskich dzieci — a mamy ich 300 — zgłosiło się może sześcioro, może siedmioro. Nie można się doprosić, żeby dziecko przyniosło do szkoły potrzebne kajety; rodzice nie mają za co kupić. I jak od nich naprawdę żądać tych kilku centów, jak żądać kilkudziesięciu centów za szkolną książkę od tych najbiedniejszych wyrobników, służących, obsługaczek, stróżów, ludzi bez zajęcia. Proszę zaglądnąć do naszych szkolnych spisów pod rubrykę: ‚zatrudnienie ojca lub matki'; innych wyższych i intratniejszych urzędów napróżnoby szukać. A na domiar nieszczęścia ludzie ci nieraz oddani są pijaństwu. Były wypadki, że trzeba było dziecku bułkę kupić, bo w szkole z głodu mdlało".

„Na 270 dzieci — słyszę w innej szkole, na innem przedmieściu położonej — około 190 ma rodziców wyrobników, żyjących z dnia na dzień. Dawniej było dużo dzieci, mieszkających w suterenach, dziś mniej. Utkwiła mi zwłaszcza w pamięci jedna dziewczynka, bledziutka, wymoknięta, przeźroczysta jak alabaster; mieszkała w suterenach, do których drabiną się schodziło. Matki przysyłają nam dzieci jak mogą najprędzej; gdyby mogły, przysłałyby już w czwartym, piątym roku: ‚Niech się choć nauczy

w ławce siedzieć, bo w domu starsze siostry ją biją, a ja nie mam czasu pilnować'. Za to w dwunastym roku chce już matka koniecznie dziecko do służby oddać: ‚Niech za młodu nauczy się pracować!'"

„Na 300 dzieci — streszcza katecheta z tej samej szkoły dłuższe powyższe wywody — około stu ma co jeść; inne trzęsą się z głodu i zimna. Wiele dzieci wskutek nędzy umiera".

VII.

Żydowska bieda.

Słuchając relacyj o nędzy dzieci i rodziców, o sposobach, któremi i oni sami i ich dobroczyńcy usiłują ją zażegnać, spotykamy się na każdym kroku z rozróżnieniem: „Żydzi tak — a chrześcijanie tak..." Mogą teoretycy różnych obozów z tego cieszyć się lub smucić; niezaprzeczonym faktem jest, że jak miłosierdzie, tak bieda żydowska a bieda chrześcijańska płyną dwoma różnemi korytami. Różne ich koryta, różne wody, powiedziećby prawie można, różne kierunki. Między krakowskimi Żydami z pewnością nędzy, i to czarnej nędzy nie brak. Dość przejść się po Kazimierzu i popatrzeć na te obdarte, walące się domy, na te całe, idealnie brudne uliczki i place, które śmiało rywalizować mogą z opisywanemi przez turystów rzymskiemi i weneckiemi Ghettami. Dość zaglądnąć do którego z tych domów, przyjrzeć się wywiędłym twarzom kobiet i mężczyzn, rzucić okiem na rozwieszone po oknach, po balkonach łachmany, których woni i barwy ni chemik nie zdoła w pierwiastkach swych określić, ni najskrajniejsi realiści dokładnie opisać. Dość przejść się po kazimierskich, po podgórskich sklepach, zaglądnąć do kazimierskich nór, w których ludzie, nie wiedzieć, żyją, czy gniją. A ilu tu ludzi, ile rodzin, skąd się wzięły, z czego i jak żyją? Dowiaduj się od morskiego piasku, skąd się wziął, czemu tu góry tworzy, tam przepaści, z jakich i z ilu ziarnek się składa!

Żydowski organ *Sprawiedliwość*[1] kreśli następny, ogólny obraz żydowskiej nędzy w Krakowie:

[1] *Sprawiedliwość*, 1 Jänner 1895. Organ für Handel, Industrie und Angelegenheiten des oeffentlichen Lebens. Redacteur Ch. M. Reichenberg.

„Żyje tu u nas 1000 rodzin, a każda rodzina składa się mniej więcej z sześciu osób, a zatem żyje w Krakowie 6000 Żydów, którzy tak długo nie opalają swego mieszkania, aż dokąd nie otrzymają węgli od ‚Związku dla rozdziału węgli między ubogich'. Żyją setki ojców rodzin, którzy opuścić nie mogą swego mieszkania, a tem samem nie mogą za najnędzniejszym zarobkiem się rozglądnąć z powodu braku obówia..."

Kilku mieszkańców Podgórza, Stradomia i Kazimierza, kilku Żydów, zajmujących się specyalnie sprawą żydowskiej biedy, zwracają uwagę na pewne jej charakterystyczne cechy, a jednocześnie w niemniej posępnych — wogóle mówiąc — kolorach ją malują.

Co Żydom przyznać trzeba, to, że chyba w ostateczności zwrócą się na ulicy z prośbą o jałmużnę. Jak który mię prosi, wiem, że musi być w ostatecznej nędzy. Nie piją, potrzeby mają bez porównania mniejsze, niż my Polacy. Żyd, gdy głodny, kupi za centa harbuzianych pestek, powoli rozłupuje, do ust bierze i wyobraża sobie, że głód wypędza. Kto zupełnie nic nie może ani zarobić, ani wyhandlować, ani wyfaktorować, bierze od kahału upoważnienie, idzie z niem w piątek po bogatszych współwyznawcach i dostaje od każdego pół centa na szabas".

„My mamy tę praktykę, że nikomu nie odmawiamy — zaręcza Żyd wykształcony, gorąco, niemal fanatycznie przywiązany do swej wiary, tradycyi i narodu. Nikomu nie odmawiamy, kto prawdziwie biedny. Ja przynajmniej nie odmawiam nigdy, ani biednemu Żydowi, ani biednemu chrześcijaninowi. Mamy stałych żydowskich ubogich, których wspieramy; mamy wielu obcych, bawiących tu chwilowo. Tutejsi są o wiele wstydliwsi; Żyd nasz, krakowski nasz Żyd wolałby nieraz z głodu umrzeć, niż żebrać. Obcy są czasem natrętni, czasem bardzo natrętni. Od jednego domu do drugiego chodzą. Ale nigdy się na nich nie sprowadza policyantów; to nie odpowiadałoby żydowskiemu sercu. Gdy który zanadto się gminie i wszystkim jej członkom naprzyksza, za długo w Kra-

---

Oryginalnością krakowskiego tego organu jest, że jest pismem ściśle niemieckiem z tytułem polskim.

kowie siedzi, a przytem istotnie sam sobie nie może poradzić, da mu się na rękę hojniejszą zapomogę, 5 albo i 10 reńskich i żąda się, aby się z miasta wyniósł".

„Sami biedni Żydzi, chodzący po żebrach, zaprowadzili sobie pewien porządek; nikt inny nie zaprowadził, nikt ich do tego nie zmusił, oni sami sobie dobrowolnie zaprowadzili. Regularnie w czwartek i w piątek przed południem zbierają na szabas; w inne dnie zostawiają nas w pokoju, chybaby bardzo gwałtowna potrzeba przycisnęła. Zasadą jest przyjętą powszechnie, że nikogo bez datku się nie odprawia; nie można więcej, to się da pół centa. Na jednego, dość nawet biednego kupca, to wypadnie i sześć, i siedm reńskich tygodniowo, tak że niejeden wolałby zapłacić stały roczny podatek, np. 50 lub 60 złr."

„W naszych książkach do modlenia, w ‚Gnomologiach' mamy bardzo wiele pięknych i trafnych zdań o jałmużnie. Prześladowanie, któremuśmy dawniej ulegali, wyrobiło w nas pewnego rodzaju zmysł wzajemnego wspomagania się. My szanujemy naszych ubogich. U was chrześcijan mówi się o ‚dziadach'; my żadnych ‚dziadów' nie znamy, my mamy i znamy biednych ‚starców'. A jaka, dajmy na to, piękna nasza instytucya, którą zwiemy ‚plet', słowo, zdaje się, przekształcone w codziennem używaniu z wyrazu ‚bilet'. Żyd, nie mający gdzie spędzić szabasu, np. podróżny, albo jakiś inny niemający rodziny, ani znajomych, udaje się do zboru, a tam wręczają mu bilet, za pokazaniem którego każdy z nas uważa sobie za obowiązek przyjąć biedaka do domu, ugościć przy własnym stole, poprowadzić potem ze sobą do świątyni. Na inne święta także taki ‚plet' przychodzi. Wielka szkoda, że piękny ten zwyczaj, choć się jeszcze praktykuje, zaczyna jednak wychodzić z mody. Zdarza się też, że ktoś bogatszy, który z jakiegobądź względu nie chce, lub nie może przyjąć do siebie na szabas ubogiego Żyda, płaci za niego w restauracyi. I to dobre lecz bez wątpienia dawny, tradycyjny zwyczaj goszczenia u siebie biednego brata we własnym domu był piękniejszy".

Mój interlokutor mówił z niesłychanym zapałem, kilkakrotnie łzy mu w oczach stawały; zapał, z którym występował

w obronie, w podnoszeniu zalet swych współplemieńców, tłumaczy, jeżeli w niektórych poglądach i szczegółach przeszedł granice ścisłej, przedmiotowej prawdy. Inny Żyd, wpływowy członek wielu miłosiernych stowarzyszeń żydowskich, trzeźwiej na rzeczy patrzy:

„I u nas są żebracy oszuści, żebracy próżniaki. Zwyczaj dawania po pół centa każdemu, co się zgłosi, pielęgnuje próżniactwo. Zdarzają się żebracy, co po domach chodzą, a u siebie w skrytce chowają kilkaset złotych. Co? U nas żebraków niema? Listowych żebranin niema dotąd, lub bardzo mało; ale w poniedziałek, czwartek, w pierwszy dzień miesiąca całe korpusy suną od domu do domu. Licząc dobrze, doliczyłoby się pewnie przeszło 500".

Kto częściej zapuszczać się musiał w żydowskie dzielnice' przyzna słuszność tym słowom; wie dobrze, że spotkać tam można raz po raz żydowskich żebraków, którzy bynajmniej nie do samych wyłącznie współwyznawców o pomoc się zwracają, a w natarczywości, w sztuce zwracania na siebie uwagi nie ustępują w niczem chrześcijańskim kolegom. Ta np. Żydówka, chora na nogi, którą chłopak obwozi na małym wózku po główniejszych placach i arteryach kazimierzowskich, mogłaby śmiało rywalizować już nietylko ze zwykłemi krakowskiemi, ale nawet z kalwaryjskiemi dziadówkami. O losach swych opowiada chętnie dość poprawnym polskim językiem; nie śmiem ręczyć, czy opowiada równie we wszystkich szczegółach szczerze jak chętnie.

„Źle mi idzie, mało ludzie dawają. W piątek zebrałam ledwie do trzech szóstek: nawet na szabas nie wystarczyło. W niedzielę padał deszcz, tom nie mogła wyjechać po prośbie. Dziś dotąd i kilkunastu centów, a przecież chłopakowi, co mię wozi, trzeba dać z 10 centów na dzień. Niewielka to robota, raczej zabawa jak robota. Zresztą jak mu się nastręczy inny jaki zarobek, to nikt mu nie każe mię wozić; a jak żaden inny się nie nastręczy, czysty dla niego zysk".

Umieją żebrać miną i słowem żydowscy kalecy, starzy, umieją czasemi żydowskie dzieci. „Proszę pana o centa na cu-

kierka!“ „Niechże mi pan śliwek za centa kupi!“ „Proszę pana, jabym co zjadła!“

Starcy w łachmanach, wychudli, z obumarłym zwrokiem, dzieci na pół nagie, wychudłe, głodne; nie cukierka lub śliwek, ale przedewszystkiem chlebaby im potrzeba. Przeczyć nie myślę prawdziwości teoryi: „Żydzi jedynie w ostateczności proszą o jałmużnę na ulicy“; w każdym razie fakta dowodzą, że ostateczność ta nie należy w Krakowie do rzeczy zupełnie wyjątkowych.

VIII.

Przyczyny.

Szeroko rozlane wody krakowskiej biedy, krakowskiej nędzy. Zalewa rzemieślnicze warsztaty, przedostaje się do sklepów i sklepików, wszechwładną panią w robotniczych izdebkach, nie zna litości ani dla starców, ani dla dzieci; równie groźna, straszna dla chrześcijan, jak dla Żydów. Z jakiego źródła, a raczej dokładniej mówiąc, z jakich źródeł wypływają te wody? Za dalekoby nas zaprowadziło wszystkie źródła, wszystkie przyczyny krakowskiej biedy szczegółowo wyliczać. Wiele, najwięcej z tych przyczyn jedne i te same na całym świecie, w Krakowie jak w Paryżu, we Lwowie jak i w Berdyczowie; a nie tu czas i miejsce zastanawiać się nad ogólnemi źródłami i przyczynami biedy ludzkiej. Dotkniemy więc tylko niektórych bardziej charakterystycznych; ściślej i wyłączniej odnoszących się do krakowskich stosunków, mogących rzucić na nie pewne odrębne lub jaśniejsze światło.

— Co może być za przyczyna, że bieda w Krakowie tak bardzo się rozwielmożniła?

Proszę postawić to pytanie w pierwszem lepszem mniejszem lub większem kółku ludzi wykształconych. Od razu posypią się kategoryczne odpowiedzi.

„Lenistwo, bezgraniczne lenistwo. Gdzieindziej ludzie pracują, u nas czekają, aż im pieczone gołąbki spadną same do gąbki“.

„Brak przemysłu, brak fabryk. Chciałby niejeden jąć się roboty, ale niema gdzie“.

„Głupi, fałszywy wstyd, nie dozwalający w razie potrzeby chwycić się każdej, choć najprostszej roboty, co pod rękę podpadnie. W Ameryce może być każdy dziesięć razy bogatym panem i dziesięć razy ubogim wyrobnikiem; zbankrutuje, to chwyta napowrót za młot lub hebel, idzie kamienie tłuc, a nie żebrze. U nas, kto raz miał trochę majątku, myśli, że mu głowa spadnie, gdyby się wziął do dratwy, a choćby do zamiatania ulic".

„Zbytek, życie nad stan, karty, pijatyka, loterya... Zastaw się, a postaw się".

„Tłumy najbiedniejszego, wiejskiego i małomiasteczkowego proletaryatu, pomnażającego z dnia na dzień i bez tego dość liczny proletaryat miejscowy. Ściągają wszystkiemi rogatkami do Krakowa, rachują jak na Zawiszę, na krakowskie miłosierdzie i pocieszają się, że bądź co bądź z głodu w takiem mieście zginąć człowiekowi nie dadzą".

Niektóre z tych odpowiedzi, jeżeli tę lub tamtę wzięlibyśmy jako wyłącznie mającą racyę bytu, kłócą się z innemi; w gruncie rzeczy żadna z nich przedmiotu nie wyczerpuje. Nawet wszystkie razem nie wyczerpują go w zupełności, bo oprócz tych głównych źródeł, nie brak licznych mniejszych, bardziej ukrytych. I Wisła prócz wielkich, urzędowych źródeł zasila swe wody mnóstwem innych rozrzuconych po stopach gór, w cieniu starych drzew kryjących się źródełek.

Starszy majster, który w życiu z nie jednego pieca chleb jadł i bardzo ciężką pracą musiał się o niego dobijać, mocno się irytuje na lenistwo, gnuśność młodego pokolenia chłopców i czeladników. Każda irytacya prowadzi do przesady; więc i nasz majster w żałobnych swych trenach trochę przesala i przepieprza. Ale choć ton za wysoki, choć własny interes zanadto z piosnki przegląda, sama jej treść odpowiada, niestety! w wielu, wielu razach smutnej rzeczywistości.

„Bieda, głód?! Ciekawa historya! Jak niema być biedy, kiedy poprostu robić się paniczom nie chce! W pięćdziesiątym szóstym roku życia nie mam chwili wypoczynku i nie chwaląc się, więcej i ciężej pracuję, niż mój ośmnastoletni czeladnik. Chłopaka przyjmę; chciałby zaraz centów na rękę, dobrze jeść,

dobrze pić, papierosy palić... W niedzielę przepijają zarobek; w panów się bawią... Przyjdzie biedaczka, skomli; zlituję się, do służby wezmę, robić każę, a ona mi po paru dniach miotłę w kąt rzuca i w dyrdy, bo mówi: ‚Głupia bym była robić, kiedy mi albo zakonnice, albo panie dobre darmo jeść dadzą'. Powiadam: Sodoma i Gomora! Tak dawniej, panie, nie bywało! Z leniuchami, z rewolucyonistami do ciupy! Odmierzyć temu, odmierzyć tamtemu starym obyczajem po skórze, a jakby taki pijący, palący rak poznał, że musi pracować, zarazby połowa biedy z Krakowa się wyniosła".

Chłop jak dąb silny, zdrowy jak ryba, wyciąga rękę po jałmużnę, a zainterpelowany, czemu do pracy się nie weźmie, zaręcza na wszystkie świętości, że nie sposób pracy się doprosić.

„Bardzo dobrze, mój przyjacielu, weźże się tu zaraz do mycia podłogi, a potem zapłacę, co ci się będzie należeć".

„Co to, to nie! — odpowiada rezolutnie petent — i nie wdając się już w dalsze rozhowory ucieka co tchu z domu, w którym uczyniono mu tak niepolityczne propozycye".

Żebraczka oczy sobie trze, twarz jak może wykrzywia, żeby się wydawała pomarszczoną, schorowaną i na ulicy ciągnie księdza za rękaw, i prosi o parę cencików, bo od wczoraj nic nie jadła.

„Ależ moja kobiecino, takaś jeszcze młoda, mogłabyś się do roboty wziąć!"

Żebraczka odeszła parę kroków, roześmiała się, podskoczyła: „A tobym była głupia, żebym robiła!..."

„Długie lata praktykowałem w szpitalu — opowiada lekarz szeroko znany z dobrego swego serca — więc miałem sposobność przypatrzeć się największej biedzie krakowsko-podgórskiej. — Jest bieda, ale jest też wstręt do pracy, bezgraniczny, nie do uwierzenia. Znam dziadów, co się wprost w swem dziadostwie lubują. Młody chłopak, wygląda jak lew, a idzie Żydom na wysługę, szczęśliwy, że jak mu się nie będzie chciało robić, to i pół dnia i cały dzień będzie się wylegiwał w izbie, albo na świeżem powietrzu. O! nie sam tylko Neapol ma swych lazaronów! — Przychodzi do szpitala zawodowy dziad, dziadówka.

Zdrów, mógłby z Herkulesem się mocować, ale mu zimno, więc człowiekowi żal się robi i przyjmuje. Zapisuje się go na ‚wspólne' jedzenie, to znaczy takie, jakiego napróżno każdy niższy urzędnik domaga się u oszczędnej żony. Ale dziadówka, jak rano zupę zobaczy, krzywi się: ‚Ja chcę kawy!' Każesz dać kawy. ‚Proszę pana, ja chcę ze śmietanką, nie z mlekiem!' Wychodzi ze szpitala; daje mu się ubranie po umarłych, a w dodatku z funduszu Wencla, 3 albo 4 reńskie, albo kartkę do Arcybractwa Miłosierdzia. Dziś wyszedł ze szpitala, za trzy dni spotykam tego samego draba na Kazimierzu; ubranie Żydowi oddał, sam nagi, jak przedtem, do roboty chybabyś kijem przymusił".

„Co długo szukać? Miałem kolegę z drugiej klasy. Rozpróżniaczył się, rozłajdaczył; zeszedł na żebraka i wreszcie zarwał gdzieś tyfus plamisty. Spotkaliśmy się po długiem niewidzeniu w szpitalu; wyleczyłem go, wypasłem, dałem eleganckie ubranie i sześć reńskich na pierwsze potrzeby. Nie upłynął tydzień, jakiś żebrak chwyta mię koło św. Mikołaja i lamentuje, że nic jeszcze dzisiaj w ustach nie miał. Patrzę — mój koleżka, ale znowu po staremu, obszarpany. Lenistwo, któremu w pomoc przyszło pijaństwo, schwyciło go w takie straszne szpony, że nie było żadnego możliwego lekarstwa. Darmo; kto raz zasmakuje w wygodnym żebrackim chlebie, tego chyba cudem lub kijem nagonisz do uczciwej pracy. Żebractwo to najwygodniejsza, a dla niejednego i najrentowniejsza karta przemysłowa".

Ktoś inny nie leniłby się do pracy, ale napróżno w głowie szuka, napróżno pyta znajomych i nieznajomych, jakiemi ścieżkami, jakiemi sztuczkami wytropić pożądaną pracę. Dobrze, jeśli w zimie gęsty śnieg padnie, a poczciwe słońce nie zanadto się spieszy przemienić go we wodne kałuże; po paru dniach musi magistrat bądź co bądź nająć robotników do usuwania z ulic nieproszonego gościa. Ale w lecie śnieg nie pada; w zimie także nie zjawia się na zawołanie; zresztą nie każdy zaprządz się może do uprzątania śniegu, do zamiatania ulic, do tłuczenia kamieni. Przemysł stosunkowo bardzo mało rozwinięty; fabrycznych kominów trudno się doszukać; wszystkie cokolwiek lepiej

płatne miejsca po niewielu fabrykach zajęte i żeby się na które dostać, trzeba bez liku petycyj i rekomendacyj.

Smutne i niesłychanie demoralizujące te dnie, tygodnie, w czasie których ktoś potrzebujący gwałtownie zarobku i pragnący poczciwie pracować, poluje za jakiemkolwiek możliwem zajęciem. Z jednego końca miasta pędzi na drugi, pędzi na drugi, przebiega setki i tysiące schodów, pisze listy, na prawo, na lewo pokazuje swe papiery, wyczekuje godzinami w przedpokojach chlebodawców, przyjaciół i znajomych panów chlebodawców; wciska faktorom do ręki ostatnie grosze. Obietnic nie brakuje; grzecznych zapewnień: „Nie zapomnę o panu, jak tylko jakiekolwiek miejsce się otworzy"; tyle i na tak różne tony wypowiedzianych, że utworzyćby z nich można porządny kawałek na całą orkiestrę; ale też dziewięć razy na dziesięć kończy się wszystko na zapewnieniach i obietnicach. Co robić? Cóż, jak starego przysłowia się trzymać: „Na frasunek dobry trunek". Zarobku nie możesz znaleźć, mało masz centów w kieszeni; przegraj, przehulaj, przepij te co masz!..

Sposobności i zachęty nie braknie. Cudzoziemiec, którego oprowadzonoby wyłącznie po niektórych, dajmy na to, kazimierskich uliczkach, napisałby z pewnością w swych „Wrażeniach z podróży": „Kraków jest niesłychanie oryginalnem miastem", bo nie jest to właściwie miasto, ale raczej jeden wielki szynk! Są ulice, o których bez najmniejszej przesady można trawestować znany wiersz o kamieniach: „Stoi szynk przy szynku, przy tym szynku szynk, a nad temi szynkami jeszcze jeden szynk". Dawny mieszkaniec Kazimierza, zarazem wyborny znawca jego tajemnic, zaręcza mi, że na jednej jedynej uliczce, powtarzam, nie wielkiej ulicy, ale uliczce, dorachował się sześciu szynków. W jednej kamienicy dwa, zdarza się, że i trzy „propinacye wódek i wszelakich likworów", wyciągają ku przechodniowi zdradzieckie ramiona. Lecz po co na Kazimierz się fatygować? Wszak na Małym Rynku, na najgłówniejszych, wprost z Głównego wybiegających ulicach tyle szynków, szyneczków, ile najbardziej pijacka dusza zapragnie. I tutaj znajdują się kamienice, w których dwa lub nawet trzy szynki dostarczają mieszkańcom

pożądanej wódczanej ochłody wśród upałów, zagrzewki wśród mrozów.

Starzy i młodzi, chłopaki i dziewczyny czasem ledwie od ziemi odrosłe, przyzwyczajają się do tej ochłody, do tej zagrzewki.

„Franek, masz centa?“ — pyta mularczyk kolegę.

„Mam“.

„I ja mam. Pójdźmy do szynku, zrobimy rejwach!...“

Inny, młody chłopak opowiada nietylko bez wstydu, ale z widocznem upodobaniem, z odcieniem dumy:

„Była laba (feta). Żałuj, żeś nie był. Mańka się wydała. Ja był ścięty, Wicek leżał, Ferdyk spał!“...

Gdybyż przynajmniej obszarpana, brudna jak noc szynkarka-czarownica dawała tylko prostą siwuchę, stosunkowo najmniej szkodliwą, bo najmniej nadającą się do przeróżnych transformacyj. Ale na zwykłej żytniówce, kartoflance najmniej zyskać i oszukać można. Co innego koniaki, likiery; co innego wina, w których wszystkie możliwe soki, prócz soku winogronowego się znajdują. Słuchając opowiadań fachowców, czem i w jaki sposób krakowsko-podgórscy Żydzi poprawiają smak i win i wódek, mdło się robi i lepiej się dopiero rozumie, czemu nawet w niezbyt wielkiej ilości użyte, wywierają tak szkodliwy wpływ na zdrowie, organizm, rozum pochłaniających je biedaków.

W prośbach, listach, opowiadaniach i narzekaniach żebraczych powtarza się ciągle monotonna zwrotka: „Mąż mój się rozpił“ — „żona się rozpiła“ — „rodzice się rozpili“ — „dzieci się rozpiły!“ Było niezgorzej, grosz do grosza składał się na czarną godzinę; wtem jeden z członków rodziny zapoznał się, poprzyjaźnił z niegodziwym jakimś kolegą, coraz częściej z nim po szynkach zaczął chodzić, coraz częściej w domu do kieliszka zaglądać; oszczędności się rozpłynęły, długi zaczęły róść, aż wreszcie czarna nędza zaglądnęła do domu i wyjść z niego nie chce.

Człowiek dobrze znający krakowskich żebraków, pisujący im nieraz listy z prośbami do „różnych hrabin“ zwierza się:

„To mię najbardziej gniewa, kiedy dowiem się, że później

za pieniądze otrzymane za mojem pośrednictwem bale, pijatyka. Schodzą się na „herbatkę“, w której więcej rumu, albo wódki, jak wody i dopiero zaczynają sobie opowiadać, gdzie, od kogo i jak udało im się dostać centy; dopiero pić na zdrowie litościwych hrabin i hrabiów. Wesoło wtedy idzie — całodzienny zarobek pójdzie z herbatką, a nazajutrz nie mają rzeczywiście co do ust włożyć“.

Podobną teoryę życia wprowadzają na swe nieszczęście w praktykę drobni, i wcale nie sami tylko najdrobniejsi rzemieślnicy, sklepikarze, kupcy. Poważny profesor uniwersytetu, który oddawna studyuje i porównuje życie, obyczaje i zwyczaje dawnych i dzisiejszych krakowskich rzemieślników i kupców, bardzo pesymistycznie wyraża się o dzisiejszym ich stanie, a na przyszłość stawia jeszcze smutniejsze horoskopy.

„Dlaczego? Rzecz prosta. Wieluż mamy rzemieślników, którzyby ściśle zastosowywali rozchody do dochodów? Mówił dawniej szlachcic. „Zastaw się a postaw się“; powtarza to teraz mieszczanin jeszcze częściej. Znam szewca, który zarabiał tygodniowo około 12 reńskich; z tego 5 reńskich szło regularnie na niedzielną pijatykę. Nawet kobiety już się nieraz do tego trybu życia wzwyczaiły i chodzą za mężulkami po śniadańkach, przesiadują po restauracyach. Coby to było za święto, żeby pan krawiec, albo pan stolarz, nie poszedł do handelku na zabawę z towarzyszami! Raz np., pamiętam, przyjechał osobno do Krakowa jeden z niemieckich posłów do wiedeńskiego parlamentu, żeby poznać się i pokonferować z tutejszymi przemysłowcami. Ba! zwyczajów naszych nie znał; nie wiedział, że my się już od Wiednia nauczyli, jak w niedzielę żyć wedle wymogów cywilizacyjno-niemieckich, a broń Boże, w domu siedzieć. Zeszło się wszystkich razem, ledwie ze dwudziestu, bo to była niedziela, a jedenaste przykazanie opiewa: W niedzielę idź z żoną do knajpuszki!...“

Czego kubek nie wypompuje z kieszeni, to wyciągną karty; komu nie da rady ani wódka ani wino, ani domino, ani karty, na tego czyha zdradliwy, rządowym orzełkiem zabezpieczony przed karygodnemi napaściami, loteryjny kantor. Są dnie, są

zwłaszcza wieczory, w których kantory te, choć dość stosunkowo gęsto po mieście rozsypane, tak są zawalone tłumem interesentów, że szpilki wepchnąć niepodobna, i wielu musi swej kolei oczekiwać na świeżem powietrzu. Kucharki, służące, stróże, stróżki, ekspresi, fiakrzy, żołnierze, szewcowe, szwaczki, prości wyrobnicy, wyrobnice, chłopcy, młodziutkie dziewczyny ciągną wszystkiemi drogami jak ptaki na lep, dobijają się kto pierwszy złoży loteryi w ofierze, ciężko tygodniowym potem zapracowane krajcary. Na czołach wielu lśni złoty promień nadziei; nie tają się z nią i w entuzyastycznych wyrazach usiłują przelać w innych własne uczucia. Gdyby nie przeświadczenie, że głupstwo ludzkie samo z siebie granic niema, nasunąćby się prawie mogło podejrzenie, że to płatni urzędnicy-reklamiści.

„Ja na pewniaka stawiam“ — zaręcza jedna.

„Mnie — dodaje druga — św. Stanisław się przyśnił. Ho! ho! jak św. Stanisław się przyśnił, to już wiem, co to znaczy“.

Trzecia baba przytakuje z wyrazem głębokiego przeświadczenia: „Jakże nie grać, jak się śni?!“

Czwarta opowiada licznemu gronu kumoszek: „Raz mi jedna kobieta numer powiedziała i akurat wyszedł. Niektórzy tak już mają, że numera wiedzą“.

W innym kącie przedarły sobie drogę bardziej pesymistyczne uczucia.

„Stawiamy, bo stawiamy. Zawsze miło człowiekowi się spodziewać, że za parę dni do bogactwa dojdzie. Ale prawdę mówiąc, tylko krew piją z biednego narodu. Ja sam tej jednej zimy przegrałem 27 florenów“.

„Nie może być, a musi Austryak loteryę znieść! Dwanaście lat stawiam, a nic nie wygrałem. Gdyby mi się wróciły te wszystkie pieniądze, com do kantoru zaniósł — ho! ho! — nie potrzebowałbym stać o łaskę ludzką“.

„Ja parę razy wygrałem, ale zliczyć wszystko razem, tom przegrał ze dwadzieścia razy więcej. Gdyby mię posłem do Wiednia zrobili, wiedziałbym co gadać“.

„A czemuż — pytam — przyszedłeś tu teraz przyjacielu?“

„Ha! trudno! natura wilka ciągnie do lasu!...“

„Sidła zastawione — filozofuje babinka, wyciągając z węzełka ostatnie centy. — Ptak myśli, że będzie sobie mógł podjeść i do sideł leci".

Lenistwo, nieudolność, szynki, loterya wytwarzają i chodują rodzime, krakowskie ubóstwo. Dość go i za dużo, ale nadto, przypływa całą falą bieda z całej okolicy bliższej, dalszej, z poza pruskiego a zwłaszcza z poza rosyjskiego kordonu. W Krakowie tyle dobroczynnych osób, tyle dobroczynnych zakładów, tyle przeróżnych instytucyj; więc jeśli jeść co nie masz, jeśliś chory, zbiedzony, zarobku nie możesz znaleść, prześladują cię czy za najsłuszniejszą, czy nawet za niezupełnie słuszną sprawę, idź, jedź do Krakowa, a tam ci już poradzą. Litościwe panie z Jasła, Przemyśla, Rzeszowa, z przeróżnych mniejszych i większych miasteczek wysyłają nieraz ubogiego na własny swój koszt do Krakowa i zaręczają mu: „Byleś się tylko do Krakowa dostał, to z głodu nie zginiesz". Rozpoczyna się w Krakowie większa jakaś fabryka, jakaś budowa na większą skalę; mnóstwo robotników ze wsi napływa, a potem wracać im się już nie chce do wiejskiego, monotonnego życia i pomnażają krakowski proletaryat. Fala głodnych, potrzebujących gwałtownie zarobku, każdego dnia wzrasta; a chleba, a zarobku nie więcej dzisiaj, niż było wczoraj; może nawet dzisiaj jeszcze mniej. Prosty stąd wynik i inny być nie może: bieda rośnie, szerzy się, potężnieje.

Takie główne, a przynajmniej najbardziej charakterystyczne korzenie krakowskiej biedy, takie jej przyczyny. A jakie skutki, jakie z tego drzewa owoce?

IX.

Skutki.

Dawno to stwierdzona i niejednokrotnie powtarzana prawda: „Nędza niedobrą jest doradczynią". „Pański dziad" kłamie, a schwytany na kłamstwie, tłumaczy się: „Muszę trochę swą biedę ubarwić, bo inaczejby mię nikt nie wspomógł". Zwykły dziad łże bez zająknienia się; uczy powtarzać kłamstwa swe dzieci. Bez liku kłamliwych żalów, poetycznych upiększeń w żebraczych listach. Bez liku różnych sposobów i sposobików, figlów i fi-

gielków, któremi żebrak lub żebraczka z profesyi starają się „miłosierne osoby“ pobudzić do wydatniejszego miłosierdzia. Dobrze, jeśli na mniej więcej niewinnych kłamstwach, na zwykłych, mniej szkodliwych oszustwach się kończy.

Gorzej i smutniej, kiedy nędza otwiera furtkę do wprost niemoralnych, najszkodliwiej na rodziny, na całe społeczeństwo oddziaływających zarobków.

Socyaliści nasi[1] w swych pisemkach, pismach, kalendarzach, w wydawanych pod swym patronatem powieściach i powiastkach, malują z szczególnem zamiłowaniem, w różnych wielkościach, różnemi farbami, to różową, to czerwoną, to dla odmiany czarno-purpurową, następny, do przesytu powtarzany obrazek:

Na przewiewnem poddaszu lub w ciemnych suterenach cała rodzina wije się z głodu i zimna. Matka schorowana cicho na łóżku jęczy, kilkoro dzieci z płaczem domaga się chleba, dorosła córka siedzi pod oknem i drżącą z osłabienia ręką haftuje. Ojca niema, poszedł pracy szukać, pracy choć najcięższej, choć najgorzej płatnej. Wrócił, ale ponura jego twarz, zaciśnięte usta złą wróżbą. Nikt już nie pyta, czy zarobek znalazł; wszyscy wiedzą, że jak nie jedli w południe, tak jeść nie będą wieczorem. Sprzedać niema już co, pożyczyć, nikt nie pożyczy. Wtem z nagłem postanowieniem, ze złowrogim błyskiem w oczach, wstaje dziewczyna od roboty, zarzuca na siebie płaszczyk i wybiega z domu. Za kilka godzin powraca złamana, shańbiona, ale w ręku niesie złoty pieniądz, który na dni kilka zabezpieczy całą rodzinę od głodowej śmierci. Teraz już wie, gdzie i jak można dostatni zarobek znaleść; zarzuciła igłę, a natomiast każdego dnia wieczorną porą powtarza swe wycieczki“.

Obrazek malowany z bardzo jawną i bardzo wyraźną tendencyą, powtarzany raz po raz, aby w pilnych a naiwnych czytelnikach socyalistycznych pism wyrobić przekonanie, że tego rodzaju wypadki nie są bolesnemi wyjątkami, ale stałą regułą. Kto ciągle takim i jedynie takim obrazkom się przygląda, gotów

[1] Mówiąc ściślej, socyaliści francuscy a przedewszystkiem niemieccy, których utwory tłumaczą na wyścigi socyalistyczne gazetki lwowskie i krakowskie.

w końcu uwierzyć, że każda dziewczyna, która dostała się na manowce, została na nie zapędzona li tylko nędzą, jest ofiarą nieszczęsnego dzisiejszego społecznego porządku. Tak bezwątpienia nie jest. Kiedy petentka pisze lub mówi, że jeśli pożądanego wsparcia nie dostanie, będzie musiała zejść z drogi cnoty, to zwyczajnie dawno już po niej nie chodzi.

Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że zdarzają się wypadki, w których nie sama lekkomyślność, nie chęć życia próżniaczego, pociąg do zabaw, do strojów, lecz rzeczywista bieda, złączona z brakiem głębszego, możnaby czasem powiedzieć, heroiczniejszego moralnego poczucia, popchnęły nieszczęśliwą istotę na drogę występku.

„Co mam robić — pyta z żalem i wstydem młoda, bardzo przystojna żona biednego robotnika — Mój mąż zarabia dwa reńskie na tydzień, a dać mu muszę dobrze zjeść, bo inaczej bez litości bije. Rób co chcesz, mówi, bierz sobie skąd chcesz, ale jeść dawaj! Hańbą swą zarabiam i jeść daję".

Najczęściej bieda z lekkomyślnością się łączy i wspólnemi siłami z nieporównaną szybkością pchają swą ofiarę na dół.

Wywiędła, ku ziemi schylona staruszka żali się ze łzami: „Mam młodą krewnę, którą się opiekowałam; była dawniej zupełnie porządną dziewczyną. Krucho było i jest koło nas; ot dzisiaj mam w kieszeni na całe gospodarstwo 10 centów. Rada nie rada musiałam posyłać Zosię do pracy, do miasta; pilnować nie mogłam, z kim się wdaje; prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, jaki to magazyn, w którym szyje, i jakie tam ma koleżanki. Albo to był czas na dowiadowanie się? Mój Boże! przynosiła z początku do domu po parę centów; ale czego się za to nie nauczyła?! Kurzy papierosy, pije, łajdaczy się. Raz oszczędzałam długo i kupiłam jej buciki za 3 reńskie; a ona w ten sam dzień wyrzuciła 5 reńskich na pijatykę. Dziś powszechnie znana jako ladacznica; stąd mniej jej nawet płacą. Czasem do mnie się zgłasza i prosi, żeby jej dać co zjeść".

W tym samym maleńkim domku, położonym na jednem z dalszych przedmieści, siwiutka staruszka opowiada o innego rodzaju, niemniej smutnym przemyśle, do którego ją bieda do-

prowadziła. Po ścianach rozwieszone obrazy Pana Jezusa, Matki Boskiej, na stoliku dwie talie kart z kabalarskiemi znakami znać dają, że mała ta, uboga izdebka jest gabinetem wróżki-kabalarki.

„Długo nie mogłam sobie rady żadnej dać, tem bardziej, że miałam dzieci, które przecież trzeba było na ludzi wykierować, aby potem nie potrzebowały na matkę płakać. To nie szło i tamto nie szło. Chwyciłam się prania, od jednego do drugiego chodziłam, prosiłam o pracę, o zmiłowanie. Kiedy bardzo było źle, brałam garnuszki i szłam od klasztoru do klasztoru. Byłam u jednej pani na wsi za gospodynię; potem za bonę u innej pani na Bukowinie; Bóg jeden wie, co wycierpiałam. Strasznie mi było ciężko; uprzykrzyły się, oj! uprzykrzyły te ciągłe jałmużny, kłaniania się, proszenia. Aż raz na Czarnej Wsi, patrzę, jakiś szpargał pod nogami się pląta. Patrzę, co takiego? Na okładce napisane: ‚Sybilla czyli zręczna wróżka'. Przeczytałam pilnie i odtąd zaczęłam wróżeniem na chleb zapracowywać. Ja wiem, że to baniałuki, że to blaga. Ale syna nie mogę opuścić, a on sam sobie nie da rady, w dodatku pozaciągał długi, i płacić kto będzie, jak ja nie zapłacę? I sama stara jestem, teraz mam astmę; doktor polecił mi dobre wino pić; bez kawy, i to dobrej, trudno mi się obyć. Tyle wycierpiałam, że teraz już nędzy, chodzenia po jałmużnie zanadto się boję. A z kart, z wróżenia niezły chleb. Czasem zbierze się 50, 60 reńskich miesięcznie; na dzień najmniej jeden reński, ale zwykle więcej. Ilu tu do mnie różnych ludzi przychodzi! Czasem przez trzy, cztery godziny jednym ciągiem muszę mówić, tak, że mi zupełnie w gardle wyschnie. Niektórzy przysyłali mi fiakra, żebym pojechała do nich, do domu wróżyć, ale nie chciałam; kto chce, niech się do mnie pofatyguje. Moja służąca wyuczyła się odemnie, jak z kart wróżyć, i również miała u siebie masę osób. W całym Krakowie i Podgórzu jest może ze sześć kabalarek, a każda ma dosyć do roboty".

„W wolniejszych chwilach piszę dla różnych biednych ludzi listy z prośbami do pań, panów, księży. Przynosi i to jakiś dochód".

Chcemy mieć dokładniejszy obraz opłakanych skutków, jakie czarna nędza za sobą niesie? Przejdźmy się po szpitalach, po więzieniach, policyjnych aresztach, zaglądnijmy do sądowych

aktów. A niezdrowa socyalna agitacya, która objęła tak stosunkowo szerokie masy i takie wśród nich szerzy spustoszenie, czy mogłaby kiedykolwiek popłynąć tak wartkim strumieniem, wyżłobić sobie tak głębokie koryto, gdyby nie trafiła na odpowiedni, oddawna przez biedę, ciężką biedę przysposobiony, podmulony grunt?

Trzeba więc z biedą walczyć, trzeba starać się ją ile możności usunąć, tam na pierwszem miejscu, gdzie występuje w najboleśniejszych swych i najszkodliwszych objawach. Walka ta, nakazana przez wiarę, miłość bliźniego i proste humanitarne uczucie, prosty nawet, na ściśle ludzkich, własne dobro mających na względzie motywach oparty rozum stanu, toczy się od dawna w Krakowie na całej linii. Jeśli które miasto, to właśnie Kraków ma sławę miasta miłosiernego, humanitarnego. Jak wygląda to miłosierdzie, gdzie, w jaki sposób i z jakiem powodzeniem walka z biedą się toczy, czemu podjęte usiłowania nie przynoszą zawsze odpowiednich skutków, w jaki sposób i na jakiej drodze przynieśćby je mogły w pełniejszej mierze?

(C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Sprawy wewnętrzne XVI. i XVII. wieku.

Ustrój państwa polskiego, tak dziwny dla nowożytnego badacza, rozbudzał zawsze ciekawość historyków i od czasów Lelewela nie przerwał się ani na chwilę tok prac w tym przedmiocie; długo jednakże to trwało zanim się spostrzeżono, jaką metodą to zagadnienie rozwiązać należy. Był to istny węzeł gordyjski; to też przecinano go! Wywody w tej sprawie opierały się do ostatniej niemal chwili nietyle na badaniach, ile na doktrynerskich kombinacyach.

Nieodżałowanej pamięci Adolf Pawiński już w roku 1888 w dziele swem „Rządy sejmikowe", doszedł do przekonania, że punkt ciężkości politycznego życia polskiego spoczywał w okresie 1572—1795 bardzo często nie w sejmie walnym, ale na sejmikach; wynikało z tego, że ustrój Rzpltej był federacyjnym. Rezultat ten stwierdza obecnie znakomicie drugie dzieło, w którem sięga do genezy sejmikowych rządów, wydane 1895 r. „Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego, 1374—1505". Dotychczas sądzono, że sejmiki powstały na podstawie przywileju nieszawskiego z r. 1454; okazuje się, że były one przedtem, a mianowicie sformowały się na podstawie paktu koszyckiego z r. 1374, mocą którego król Ludwik złożył w ręce szlachty

prawo uchwalania podatków ponad dwugroszową egzakcyę z łanu. Autor pozbierał skrzętnie wszelkie źródłowe dane o sejmikach i udowodnił, że zakres ich kompetencyi sięgał zaraz od początku nietylko daleko poza ramy samorządu lokalnego, ale odnosił się niemniej do spraw politycznych i to w ten sposób, że każdy sejmik był przedstawicielem zupełnej udzielności *(souveraineté)* swej „ziemi"; żadna ziemia nie zrzekała się swej udzielności na korzyść drugiej lub ogółu ziem. Jest to udzielność średniowieczna, korporacyjna, szlacheckiego stanu w obrębie pewnej ziemi. Korporacya ta niema wcale obowiązku poddać się naciskowi innych podobnych korporacyj. Ziemie łączą się w prowincye: wielkopolską i małopolską, które obradując osobno na sejmach generalnych, mogą też przeprowadzać u siebie odmienne ustawy, do tego stopnia, że nawet w materyach podatku i wojska mogą powziąć uchwały wręcz przeciwne; może w wojnie brać udział jedna tylko prowincya, może jedna z nich uchylić się od podatku, który obowiązuje w drugiej; sposób wybierania podatku także był inny. Dopiero w r. 1493 mamy pierwszy sejm walny, dążący do zlania się dwóch połów państwa; odtąd rozpisuje się podatki uniwersałem wspólnym dla wszystkich ziem obojga prowincyj. Sejm walny powstaje przez zrzeszenie się ziem, ale nie zaciera wcale ich indywidualności historycznej i politycznej; dlatego to na sejmie walnym nie liczy się głosów, nie rozstrzyga większość, nie musi bynajmniej ustąpić mniejszość; posłowie nie są bowiem reprezentantami całego państwa, ale każdy z osobna przedstawia w swej osobie pewną tylko ziemię, i od niej tylko ma mandat i instrukcyę; jeżeli ta instrukcya staje w sprzeczności z instrukcyami innych ziem, on niema prawa zmienić swego *votum* w imię interesu całości państwa, bo on nie tej całości jest reprezentantem, ale udzielności swej ziemi; co najwyżej, może odwołać się na nowo do swojego sejmiku, po nowe instrukcye. Nawet sam król musi się tej drogi trzymać i nieraz też udawało się królowi postawić na swojem przez apelacyę od sejmu walnego do prowincyonalnego lub wprost do sejmików; o apelacyi w przeciwnym porządku nie mogło być mowy, bo sejm nie był bynajmniej zwierzchnią władzą sejmików, ale

tylko ich kongresem. Były usiłowania, żeby sejm walny uczynić najwyższą władzą i jedynym przedstawicielem udzielności; ale się nie udały. Udzielność ziem i województw pozostała na zawsze zasadą ustroju Rzpltej.

Takie są rezultaty ogólne Pawińskiego. A zatem grunt pod ustrój Rzpltej przygotowały czasy piastowskich dzielnic po śmierci Bolesława Krzywoustego, i wcale niema zasadniczej różnicy prawnej pomiędzy księciem np. łęczyckim, wiodącym ongi wojnę na własną rękę (bo jest udzielny); a posłem np. łęczyckim wołającym *veto* (bo ziemia łęczycka jest udzielną). Ostateczny rezultat tedy byłby taki, że średniowieczny ustrój państwowy trwał w Polsce pod tym względem aż do końca, a raczej, mówiąc ściśle, że doba 1493—1791 stanowi długi okres walki tego ustroju z prądem przeciwnym udzielności województw. Ale autor nie wdaje się już w te dalsze wywody.

Obok Pawińskiego staje Rembowski z dziełem: „Konfederacya i rokosz w dawnem prawie państwowem polskiem". Dowodzi, że ustawa rządowa polska nie była jakimś wyjątkiem w Europie, lecz tylko pewną odmianą konstytucyi stanowej wspólnej całemu Zachodowi, dopóki jej tam nie przełamał oświecony absolutyzm. Niedostatki feudalizmu wywołały konstytucyę stanową, a ta wiodła wszędzie do konfederacyj, które początkiem swym sięgają XII. wieku i stanowią nieuchronne jej uzupełnienie. Wszędzie panowała zasada, że większość nie może narzucić swej woli mniejszości, wszędzie reprezentacye stanowe wdzierały się w sferę prerogatyw korony, a konfederacye uzurpowały sobie wprost władzę zwierzchniczą. Oprócz jednej tylko Anglii, wszędzie stosunki publiczne oparte były na zasadach prawa prywatnego, mianowicie umowy i prócz Anglii wszędzie też trzymano się zasady, że podatek jest ofiarą, a nie obowiązkiem, a rozchody państwa winny się stosować do dochodów. Tysiączne szczegóły, pozbierane przez autora z całej Europy, wymownie to stwierdzają. I w Polsce była tak samo konstytucya stanowa, a zatem i u nas powstały konfederacye. Najstarsze są konfederacye miejskie z pierwszej połowy XIV. wieku, a potem szlacheckie, już to o dziesięciny, już to przeciw władzy

starosty generalnego, przy królu i przeciw królowi. Reprezentacya stanowa rozpoczyna się dopiero w XV. wieku (1454, względnie 1468), a składała się z duchowieństwa, szlachty i miast. Miasta same wycofały się z sejmowania pod koniec XVI. w., ale dla zaznaczenia zasady brały zawsze udział w elekcyi i instalacyi królów. Sejm a sejmik pojęte w tem dziele zupełnie według Pawińskiego, z którego dzieł autor już korzystał; dodaje jeszcze od siebie liczne nowe przyczynki stwierdzające tem wyraźniej, że nie sejm, lecz owe 60 sejmików posiadało władzę zwierzchniczą. Dopiero w r. 1677 uzyskał sejm władzę prawodawczą bezwzględną przynajmniej w zakresie finansowym. Była dążność, żeby sejm uznać przedstawicielem państwa całego, i każdego posła uważać za przedstawiciela nie ziemi, lecz całej Rzpltej, ale zamiary te nie udały się, głównie z powodu elekcyjności tronu. To też aż do r. 1717 trzymano się ściśle zasady: „nic na nas — bez nas“, a zasada ta wiodła konsekwentnie do nieuznawania większości. Konfederacye miały zaradzić płynącym stąd niedostatkom ustawy; ponieważ cały ustrój stanowy dłużej w Polsce przetrwał, niż na Zachodzie, więc też i konfederacye dłużej się u nas utrzymały. Konfederacya była aktem legalnym, uznawanym przez prawo publiczne; podczas bezkrólewia ona to reprezentowała władzę państwową. Rokosz natomiast był nielegalnym, jakkolwiek nie brakowało prób wymyślenia dlań teoryi prawnej. — Na końcu dzieła stwierdza autor, że teorya o państwie praworządnem *(Rechtsstaat)*, nie da się zastosować do historyi Polski nowożytnej (jak to uczynił Bobrzyński).

Prof. Adolf Pawiński w Warszawie wydaje już od lat wielu wspólnie z Aleksandrem Jabłonowskim zbiór historyczny p. t.: „Źródła dziejowe“, uwzględniający wewnętrzne sprawy kraju w przeszłości. Bez przesady można powiedzieć, że połowę tego, co wiemy o Polsce XVI. wieku, zawdzięczamy temu wydawnictwu, kierowanemu nader systematycznie i umiejętnie. Każdy tom poprzedza rozprawa, podająca główne wyniki i wnioski z nowowydanego materyału.

Zeszłego roku wyszedł tom V. jednej seryi tego zbioru,

p. n.: „Polska XVI. wieku pod względem geograficzno-statystycznym“, obejmujący „Mazowsze“. Znajdziemy tu, jak we wszystkich poprzednich tomach, odpowiedź na wszelkie zapytania statystyczne, na jakie tylko źródła odpowiedzi dostarczyć mogły. Wydawca staje się bowiem wobec swych źródeł kompletnym dyrektorem nowożytnego biura statystycznego, stara się usilnością swą wydobyć najformalniejsze takie biuro na wiek XVI., z całem bogactwem zagadnień właściwych tej nowożytnej instytucyi. Źródła nie zawsze oczywiście skore do odpowiedzi; ale co tylko z nich wycisnąć się da, znajdujemy w wydawnictwach Pawińskiego. Na pytanie: j a k ą była Polska, nikt jeszcze tak odpowiadać nie umiał. Zdwaja się zasługa tego prawdziwie wielkiego uczonego, zważywszy, że dobry przykład staje się w tym wypadku wskazaniem metody, jak źródła wyzyskiwać należy i czego w nich szukać.

„Mazowsze“ jest przedstawione i opisane co do swego historycznego obszaru, sprawdzona rozległość, podział administracyjny, stosunek powiatów do województw, ich rozdrobnienie, gęstość zaludnienia, stosunki kościelne, stanowe, rolnicze, miejskie i t. p. Dla scharakteryzowania tylko, w jakim kierunku używać można tych publikacyj, kilka szczegółów z V. tomu: Mazowsze miało w XVI. wieku na milę kwadratową 1.019 głów, podczas gdy w Wielkopolsce stosunek ten wyraża liczba 807, a w Małopolsce tylko 675; na jednę milę kwadratową przypadało na Mazowszu dziesięć wsi, a łanów 60 (w płockim powiecie aż 92), podczas gdy w Wielkopolsce było ich na milę □ tylko 36, a w Małopolsce ledwie 27. Ludność ta jest w znacznej części szlachecką; stosunek szlachty do nieszlachty korzystniejszy dla pierwszej niż gdziekolwiek indziej, ale bo też ta kraina jest klasyczną ziemią szlachty zagrodowej, ubogiej. Łanów szlachty zagrodowej było w XVI. wieku w Małopolsce na milę □ jeden, w Wielkopolsce dwa, a na Mazowszu dwadzieścia. Latyfundyów tu niema, chyba biskupie; ale świeckie, magnackie fortuny całkiem tu nieznane; rozdrobnienie zaś własności braci szlachty dochodzi do tego stopnia, że na jednym folwarczku niedużym siedzi bardzo często kilku właścicieli, mając poddanych chłopów

po dwu do czterech. Oczywiście mazowiecki szlachcic w takich warunkach sam własnej ręki do roboty przyłożyć musiał. Mazowsze dostarcza też głównie szlachty osadniczej na Litwę i Ruś. Gęstość szlacheckiego zaludnienia wymaga znaczniejszej ilości urzędów; toteż jest tutaj niemal 30 powiatów, niektóre zaledwie po 5 mil kwadr. Parafij stosunkowo do zaludnienia mniej, niż gdzieindziej: 446 (bo brak bogaczy-fundatorów), ale co do obszaru obejmuje jedna parafia przeciętnie mniej niż $1^1/_2$ mili □. Miast i miasteczek 94, jedno przeciętnie na 6 mil □, mniej zatem niż w innych prowincyach; są okolice, w których jedno miasto przypada dopiero na 11—15 mil □. Przeciętna ludność miasteczka 678 głów. Co do własności wsi, królewszczyzn jest zaledwie 5%, duchownych 9%, reszta wszystko szlacheckie. Tyle dla okazania, do czego można się informować w publikacyach Pawińskiego i Jabłonowskiego.

A. Jabłonowski poświęca się głównie badaniu ziem ruskich. Dawniej już opracował Wołyń i Podole, a niedawno wyszły w „Źródłach dziejowych“ w seryi „Polska XVI. w.“ dwa tomy (IX. i X.) poświęcone Ukrainie, tj. województwom kijowskiemu i bracławskiemu. Tutaj było dóbr duchownych 10%, królewskich 24%, a prywatnych 66%. Nieustanne najazdy tatarskie sprawiały, że mimo wielkich wysiłków kolonizacyjnych, przypadała jedna wieś ledwie na $1^1/_2$ mili □; gęstość zaludnienia w północnej Kijowszczyźnie 117 głów na milę □, w południowej zaledwie 97 głów; w województwie bracławskiem 194 głów. Obliczenia te ważne są do jednej sprawy: Kozacy dostarczali z łatwością po kilkadziesiąt tysięcy zbrojnych — czyż to z tej słabej ukraińskiej ludności? Już dawno twierdzono, że żywioł kozacki nie był wytworem ukraińskiej Rusi, lecz całej Rzpltej; teraz cyfry dostarczają już na to niezbitego dowodu.

Ludnością Ukrainy pod względem narodowym zajął się tenże A. Jabłonowski w rozprawie: „Etniczna postać Ukrainy w epoce zjednoczenia jej z Koroną“. Autor zwraca przedewszystkiem uwagę na fakt już znany (a przecież nieuwzględniany!), że ludność Ukrainy przed najściem Mongołów była nie słowiańską, lecz turańską, koczowniczą. Część ich „z biegiem czasu uległa

wyższości kultury ruskiej" w sąsiedztwie. Nawzajem zaś ludność ruska „wybiegała w step" i asymilowała się do koczowniczego życia. Za czasów litewskich zaczyna się zwolna zwiększać znaczenie żywiołów osiadłych, rusko-słowiańskich, jakkolwiek jeszcze „w ciągu XV. w. przeważała na Ukrainie na pewno ludność koczownicza". Ludność ta, „nie przestając być z ducha i obyczaju Turańcami, mieszając się ciągle z Rusią, przybrała już i jej język, a może i powierzchowną wiarę". Bywają wsie „już ruskie ale zaczyn w nich turski widoczny". Dopiero po strasznym najeździe Menli-Gireja, który niemal całkiem wyludnił Ukrainę, zaczyna się tu ruch osadniczy nowy, od północnego zachodu na południowy wschód, a „z nieznacznym może wyjątkiem, jest to ruch ludności słowiańsko-ruskiej nadewszystko". Znaczna część przybywała tylko na lato, dla łowieckiego i rybackiego przemysłu; pochodzili oni w olbrzymiej większości z nad górnego Dniepru. „Rozważając wykaz z r. 1552 dorocznych gości na Niżu, ze zdumieniem dostrzegamy, że pomiędzy nimi Małorusinów w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu prawie niema" To są Białorusini! Natomiast daleko w stepie, zwłaszcza na Zadnieprzu spotykamy się ze „Sewrukami", którzy należą do typu małoruskiego. Nad Bohem osadnictwo jest również małoruskie (z górnego litewskiego Polesia). „Znaczenie pierwiastka północnego wielkoruskiego, w składzie wytwarzającej się nowej ruskiej ludności, prawie żadne". W samym Kijowie w r. 1552 dwóch zaledwie z Moskiewszczyzny pochodziło. „Za to występują tam częściej sąsiedzi z za Dniestru, przez pół słowiańscy jeszcze wtedy Wołosi". „A takie było zbliżenie między Rusią a Wołochami, że bez oporu prawie przechodził jeden typ etniczny w drugi; za Dniestrem dolnym Rusin zanikał, na dnieprowym zaś Niżu a Pobożu Wołoch odrębność swą zatracał". Byli nawet Serbowie na Ukrainie. Przypływ litewski niewiele ma znaczenia, nieco więcej jest żywiołu polskiego, choć i ten „w połowie XVI. w. jeszcze bardzo nieznaczny". Napływ polski jest niemal wyłącznie wojskowy; odrębności narodowej utrzymać nie zdołał bo „na całej Ukrainie stepowej niebyło ani jednego kościoła zachodniego obrządku".

W połowie XVI. w. są już liczni „Kozacy“, uważani przez ludność osiadłą za wrogów na równi z Tatarami. Sama nazwa jest turska i stosowano ją do tej części ludności, która po menligirejowskim najeździe trudniła się „tatarskim najezdniczym przemysłem“. Byli oni już zruszczeni, a po czasie wytworzyła się z nich na Ukrainie odrębna warstwa społeczna, która przybrała cechy małoruskie, jakkolwiek nie brakło wśród nich nietylko Białorusinów lub Wołochów, ale także Polaków a nawet Tatarów. W drugiej połowie XVI. w. stał pod Krzemieńczugiem za ujściem Taśminy do Dniepru meczet tatarski kozacki. Hetman niżowy Pawluk był synem ochrzczonego Turka. Przypływ ustawiczny krwi turskiej trwa przez cały wiek XVI. Część Kozaczyzny osiedlała się też w ziemi kijowskiej po wsiach i nie brak też turańskiego pierwiastka w XVI. w. w Kijowie, w Żytomierzu, w Mozyrzu i t. d. Ziemiaństwo obydwóch województw składa się z Polaków, Ormian, Turańców i Rusinów; ale ruskie cechy udzielają się wszystkim.—Rejestr Kozaków Niżowych Zaporoskich z r. 1581 wykazuje, że wśród nich była wielka rozmaitość etniczna. Autor bada pod tym względem oddział złożony z 500 ludzi i 30 z przybocznego pocztu porucznika. W tym poczcie trzecia część szlachty, z których większość Polaków, dwóch Wołochów, jeden Moskwicin, reszta Ruś, ale z różnych stron Rusi. W samym za to zastępie ledwie piąta część żywiołów nie ruskich; Rusini ci zaś pochodzą przeważnie z Kijowszczyzny, z Białej Rusi i litewskiego Polesia; mniej z Wołynia, jeszcze mniej z Podola, a najmniej z Rusi Czerwonej. Polacy wśród „mołojców“ znajdują się ze wszystkich ziem piastowskich, jest ich w rejestrze 10%, „Moskwicinów“ zaś ledwie 4%; Tatarów, Wołochów, Łotyszów i Greków razem 3%. W okresie Unii lubelskiej (1569) „żywioł małoruski tak już był wziął górę nad wszystkimi innymi, że rozstrzygał i o całej przyszłości kraju. Wszystko odtąd, co zapadało na Ukrainę, musiało się w nim roztapiać“. Powstał tu jednak odrębny typ małoruski, różny od sąsiednich tejże grupy etnicznej.

Jakkolwiek w Ukrainie dużo krwi turańskiej, nie jest ona przez to etnicznie bliższą Moskwie. Podścielisko bowiem histo-

ryczne narodu rosyjskiego, wielkoruskiego, nie jest turskie, lecz czudzkie, dalej zaś wywierały tam wpływ żywioły turańskie północne, otatarzeni Czudowie typu kazańskiego, podczas gdy Ukraina była pod wpływem pierwiastka krymsko-czerkieskiego, zmieszanego z żywiołem nie czudzkim, lecz kaukaskim; nadto był tu zawsze silny dopływ żywiołów aryjskich, czysto-słowiańskich. Toteż Kozaczyzna naddnieprska a Kozaczyzna Dońska, to zupełnie coś innego pod względem etnograficznym.

Ruchom społecznym zwykł w Polsce towarzyszyć coraz częściej ruch naukowy; jest to jedna z najcenniejszych zalet tego pokolenia, a wielkie świadectwo, że życie publiczne pogłębia się. Wiadomo, że dziś na wszystkich uściech w Polsce jest „lud“! A oto równocześnie akademia oświadczyła, że za jedno z głównych swych zadań uważa historyę polskiego włościaństwa i zaczynając rzecz od fundamentów zbiera też od kilku lat źródła do tego tematu. Zajmą one kilka tomów w „Starodawnych prawa polskiego pomnikach“. Zanim będzie można wydawnictwo samo ogłosić, zanim będzie można zabrać się do wyczerpujących studyów przygotowawczych, dzieli się akademia na publicznych dorocznych zebraniach z ogólnem pierwszem wrażeniem, odniesionem z tych i innych źródeł, już wprawdzie drukowanych, ale do tego tematu jeszcze nie wyzyskiwanych. Zabierali głos dwaj członkowie akademii: Bobrzyński i Ulanowski. Oba odczyty ogłoszono drukiem.

M. Bobrzyńskiego „Karta z dziejów ludu wiejskiego w Polsce“ polega na zbiorze *Volumina legum*. Okazuje się, że „zaprowadzenie poddaństwa ludu wiejskiego nie nastąpiło jednym aktem prawodawczym w sposób peremptoryczny, lecz rozwinęło się powoli przez cały szereg postanowień od r. 1496 aż do r. 1573, potrzebowało zatem niemal całego stulecia. Nie sformułowało się ono podówczas jako szereg ściśle określonych, na cały lud wieśniaczy rozciągniętych i nałożonych ciężarów, lecz ostatecznie streściło się w tem, że każdy właściciel dóbr otrzymał władzę prawodawczą i możność określenia ciężarów tych poddańczych według swej woli, interesu i sumienia“.

Konstytucya r. 1493 pozwala każdemu kmieciowi opuścić rolę, byle wybudował zagrodę i uiścił się względem pana z obowiązków, określonych zwyczajem danej ziemi; synowie włościańscy mają zupełną swobodę stanowienia o swym losie. Konstytucya r. 1496 pozwalała już tylko jednemu z synów szukać zajęcia poza rodzinną wsią, czy to dla zarobku, czy to na nauce. W r 1503 postanowiono, że syn włościański może obrać sobie zawód naukowy tylko przed 12 rokiem życia, rzemieślniczy kiedykolwiek, jeżeli mu jednak pan na to zezwoli. Następne konstytucye stanowią coraz częściej o wydawaniu zbiegłych włościan. Ekwiwalent pieniężny za zbiegłego chłopa wynosił 10 grzywien, a zatem za tę cenę można było wykupić chłopa z czyjegoś poddaństwa i zbiega całkiem legalnie u siebie przechowywać (w dobrach duchownych lub w mieście). W r. 1543 orzeczono jednak, że znosi się wogóle wszelki wykup wbrew woli dawnego pana, choćby nawet za najwyższą cenę. Proces o zbiegłego kmiecia był przewlekły i zawiły; uproszczono go tedy i skrócono. Nie na wiele się jednak to wszystko zdało, dopóki ten, kto zbiega przyjmował, mógł mu zapewnić korzystniejsze warunki od dawnego pana. Dlatego więc w r. 1519 i 1520 ustawą publiczną nałożono na kmieci robociznę w całym kraju, bez względu na umowy prywatne. Każdy włościanin ma być odtąd obowiązany do robocizny jednego dnia w tygodniu z każdego łanu. Zamieniać robociznę na czynsz dozwolono tylko w dobrach królewskich i to tylko tym, którzy czynsz swój odtąd zwiększą. Chodziło o to, żeby utrudnić przenoszenie się z dóbr szlacheckich do duchownych lub królewskich. Od r. 1520 nie zwiększono już ciężarów poddańczych żadną ustawą; nie było tego trzeba, skoro w r. 1518 stało się, że sąd najwyższy, sąd asesorski królewski w Krakowie oddalił ze skargą poddanego, skarżącego swego pana o przynaglanie do robocizny i o gwałty, motywując wyrok tem, „ażeby poddani swoich panów nie pozywali przed króla“. Zasada ta przeszła w prawo zwyczajowe, a skoro chłop nie mógł pana zaskarżyć, nie trzeba już było ustaw o ciężarach poddaństwa, bo wola pana była sama faktycznie ustawą dla chłopa. Sejmy już się tem zajmować nie po-

trzebowały, toteż nawet nie zabezpieczano wcale ustawowo zasady poddaństwa aż do r. 1573. Wtenczas dopiero, w konfederacyi *inter dissidentes* wprowadzono poddaństwo do ustawy, zastrzegając, że ani *sub praetextu religionis* chłop nie mógł się uwolnić od władzy swego pana. Jakkolwiek proklamowano tu już zupełnie formalnie poddaństwo ludu, jednakże szlachta z jednej strony skromny jeszcze zrobiła użytek ze swych praw (już nieograniczonych), z drugiej strony zaś „proces poddaństwa zupełnego zamknął się faktycznie nie przed końcem XVII. wieku".

W zachodnich prowincyach niebezpiecznie było zwiększać ciężary poddańcze, bo na wschodzie każdy chętnie zbiega przyjmował wobec wielkiej potrzeby rąk do pracy; zakazy i wyroki pozostawały bez egzekucyi. Cóż dopiero, gdy się zważy, że we wschodnich prowincyach nie istniało nawet jeszcze gospodarstwo folwarczne. „Tam właściciel ziemi był szczęśliwy, jeżeli przez zapewnienie swobód powiodło mu się założyć osadę, tam zadowalniał się czynszem swych osadników. Chłop polski wiedział o tem wybornie i stąd zwiększone na zachodzie poddaństwo miało tylko ten skutek, że całe masy ludu polskiego popchnęło do emigracyi na wschód i na północ". Na Mazowszu mógł się chłop przesiedlać swobodnie aż do r. 1563, a we wschodniej części Mazowsza nawet aż do r. 1576. W Prusiech królewskich obowiązywały polskie ustawy o sądowem ściganiu zbiegłych kmieci dopiero od r. 1567, a opór przeciw tej ustawie znać tam aż do połowy XVII. wieku. Na książęce Prusy rozszerzono to prawodawstwo dopiero w r. 1616, ale pozostało tam ono martwą literą, skoro właśnie w XVII. wieku zaludniły się Prusy książęce gęsto osadnikiem polskim. Ruś i Litwa potrzebowały osadnika jeszcze bardziej, a gdy odzyskano Smoleńszczyznę, wydał król uniwersały, wzywające do wychodźtwa w tamte strony. Na żądanie szlachty ograniczono w r. 1611 wolność przenoszenia się do województwa smoleńskiego tylko do poddanych dóbr królewskich, a w r. 1626 emigracyi tej wogóle zakazano, ale zakazy nic nie skutkowały i napróżno wymyślano jeszcze aż do r. 1641 nowe środki ustawodawcze. „Zbiegali kmiecie w Smoleńskie tak dalece, iż szlachta sąsiednich ziem przedsiębrała uchwały i środki, ażeby

nikogo, nawet ludzi wolnych, w Smoleńskie nie przepuszczać". Po Smoleńszczyznie przyszła kolej na Czernichowskie — i tu zakazy nic nie pomagały. O wykonaniu ustawy nie mogło być mowy. A tam, na wschodzie, pan nie mógł korzystać z ustaw o poddaństwie; rad, że ma ręce do roli, chętnie zawierał z chłopami umowę, obowiązującą obustronnie i poprzestawał na małych wymaganiach. Pomyślny stan wieśniaka na wschodzie wpływał też na polepszenie jego doli na zachodzie; szlachta zachodnich prowincyj nie mogła wyzyskać ustawy, którą sobie uchwaliła, nie mogła zwiększać poddańczych ciężarów, lecz owszem musiała je miarkować i do pozostania ludność zachęcać.

Zresztą nie trzeba nawet było uciekać daleko. Ludność wieśniacza chodziła za zarobkiem do miast, godząc się nie na rok, lecz na tygodnie; z miasta wychodziła w lecie na żniwa, pewna, że znajdzie chętnego, kto ich z ochotą najmie. Warstwa tych zarobników mnożyła się coraz bardziej; zwano ich ludźmi luźnymi *(homines vagi)* lub hultajami. Nigdzie stale się nie osiedlając, chodzili za przygodnym zarobkiem; chłop odzyskiwał wśród ludzi luźnych zupełną wolność osobistą. Liczne konstytucye wymierzone przeciw nim nie miały zgoła znaczenia, bo szlachcic swoją drogą upominał się na sejmiku o akcyę przeciw hultajom, ale swoją drogą sam kontent był, gdy mu się przy pilnej robocie do najmu nawinęli; zawierając zaś z nimi umowę, sam im dopomagał do osobistej wolności, uznając z konieczności, że dają oni swą pracę tylko skutkiem umowy czasowo ograniczonej. — Jak na Zachodzie „w hultaje", podobnież chodziło się na Wschodzie „w kozaki". „Hultaj pozostał mianem obelżywem, Kozak przeszedł do poezyi".

Po wojnach za panowania Jana Kazimierza trzeba się było zagospodarować na nowo; spustoszone województwa ofiarowały wieśniakom jak najlepsze warunki, żeby ich tylko do siebie ściągnąć. Dopiero też w wieku XVIII. wchodzą w życie postanowienia ciężkich ustaw przeciw ludowi, niewykonalne dotychczas. Tłumna emigracya chłopska skończyła się. „Wówczas dopiero wyrabia się w rzeczywistości to poddaństwo i te jego ciężary, które przetrwały rozbiory i które znamy z czasów poroz-

biorowych. Na pochwałę szlachty powiedzieć należy, że równocześnie też rozpoczyna się w jej łonie ruch, który zwolna zmierza do reformy stosunków poddańczych".

Profesora B. Ulanowskiego „Wieś polska pod względem prawnym od wieku XVI. do XVIII.", polega na księgach gromadzkich wsi Kasina Wielka, w powiecie Limanowskim (w dzisiejszej Galicyi); są tego cztery tomy, obejmujące czasy 1513—1767. Do r. 1597 właścicielem był szlachcic, a potem klasztor Dominikanów krakowskich. Wieś osadzona była pierwotnie na prawie magdeburskiem.

Pan dziedziczny *(haeres)*, a następnie Dominikanie, stanowią „dwór", tj. władzę zwierzchniczą wsi; zastępcą pana jest „starosta". Naczelnikiem gromady jest wójt, obok niego siedmiu przysiężnych, czyli ławników i dziesiętnicy. Poddani obowiązani są względem dworu do bezwzględnego posłuszeństwa; nie byli jednak pozbawieni pewnej samodzielności, a o ile każdy z nich z osobna niewiele znaczył, gromada jednak miała swój zakres wpływów i działania. Gromada miała prawo prezentacyi starszyzny; z trzech przedstawionych kandydatów dwór jednego zatwierdzał. Niema sądów bez wójta i ławników; bez nich nie może pan poddanego wyzuć z dziedzictwa, ani „wyświecić" ze wsi. Nie brak przykładów, że ustawy we wsi obowiązujące wychodziły z inicyatywy nietylko dworu, lecz także gromady. Suma czynszów i opłat jest stałą dla całej gromady; jeżeli jaką rolę przyłączono do dworu, przypadający na nią czynsz oddaje dwór gromadzie. Dwór bardzo często daje ulgi czynszowe. Pańszczyzna, ten najdotkliwszy ciężar, jest pod kontrolą samejże gromady; dwór egzekwuje ją surowo, gdy tego ekonomiczny interes wymaga, ale uwzględnia też wszystkie przypadki przeszkadzające jej odrobieniu. Zaległości wobec dworu są też w tej mierze znaczne; dość przytoczyć, że w r. 1767 gromada Kasińska zalegała za kilka lat ostatnich z 6.000 dni roboczych. Dwór ma duży dochód z propinacyi, ma zupełny monopol napitku we wsi; wstrzemięźliwość mieszkańców jest przeciwną ekonomicznemu interesowi dworu. Grunta dzierżyli chłopi albo dziedzicznie albo dożywotnio; czasem też za najmem albo dzierżawnie. Dzielą się

na kmieci, zarobników, zagrodników, chałupników i komorników. Mają prawo testamentu. W dziedziczeniu bracia wykluczają prawa sióstr. Sądy są trojakie: gajone wielkie, rugowe i podsądki. Na „rugowych“, wybrany przez gromadę ławnik musiał oddawać t. zw. „rug“, tj. zostawał publicznym oskarżycielem wszystkich przestępstw popełnionych we wsi od ostatniego sądu. Kary były pieniężne i chłosta cielesna; więzienia niechętnie naznaczano. Za zabójstwo kara śmierci przez ścięcie; za zdradę pana lub gromady odebranie gruntu. Karę oznacza ławica, pan ją zatwierdza lub łagodzi. Za przekroczenie przeciw moralności ławica bardzo była surową, a pan względniejszy. Wieś polska była małem państewkiem sama w sobie; wszelkie potrzeby tak materyalne, jakoteż społeczne, zaspokajała sobie sama u siebie; chłop uważał stosunek swój do gromady i dworu za naturalny, a związek ten za konieczny, związek zaś wsi swojej z państwem tylko za dodatkowy ciężar, o którego potrzebie nie miał zgoła pojęcia; istnienie nawet takiego związku chłop spostrzegał wtenczas chyba dopiero, gdy przypadła na wieś czasem t. zw. stacya żołnierska.

Mała ta rozprawka, licząca zaledwie 44 str., obfituje w mnóstwo charakterystycznych szczegółów, a jest ważnem dopełnieniem studyów prof. Bobrzyńskiego i pożądaną bardzo właśnie dlatego, że dotyczy czasów, w ktorych *adscriptio glebae* rozwinęło się już w zupełności i ustaliło.

Do spraw religijnych XVI. wieku mamy dzieło T. Wierzbowskiego: „Jakób Uchański, arcybiskup gnieźnieński 1502—1581; na poglądy jednak autora, jakoby Uchański „rzucił podstawy katolickiej reakcyi“, zgodzić się nie można. Ważne i cenne dzieło ks. biskupa E. Likowskiego: „Unia brzeska“, pomijam, ponieważ rezultaty jego podane były niedawno na tem miejscu w obszernym referacie.

(C. d. n.)

Dr. Feliks Koneczny.

KOŚCIÓŁ ZAMKOWY W BRZEŻANACH I JEGO POMNIKI.

(Dokończenie).

Kto jest twórcą wspaniałego pomnika Adama Sieniawskiego i pomnika jego synów, długi czas nie wiedziano i nawet nie zastanawiano się nad tem. Przyczyną tej obojętności było zakorzenione u nas niestety jeszcze dotąd mniemanie, że sztuki plastyczne u nas nigdy nie kwitnęły, że przodkowie nasi mieli pociąg do koni i korda, ale brakowało im poczucia piękna w sztuce, że trzeba koniecznie dopiero za granicę jechać, aby w tym kierunku zobaczyć rzeczy widzenia godne. Dopiero studya od niedawna prowadzone przez bardzo nielicznych naszych uczonych stopniowo wykazują, że jeżeli na innych polach kultury przewyższyliśmy wiele narodów znajdujących się w szczęśliwszych od nas warunkach, to na tem polu przynajmniej niewiele poza nimi pozostaliśmy; — co więcej, że przeszłość nasza pozostawiła nam dzieła oryginalne pierwszorzędnej artystycznej wartości, mogące śmiało stanąć obok dzieł obcych, cieszących się europejską sławą. Niestety o tej pracy polskich uczonych ogół społeczeństwa naszego i dziś jeszcze wie bardzo mało i niewiele jest nadziei, aby się zmienił ten stan wyobrażeń pierwej, dopóki i ta gałąź kultury nie stanie się podstawą powszechnego wykształcenia tak, jak stały się inne.

Wysoka artystyczna wartość pomników brzeżańskich nie dozwalała naszym archeologom spać spokojnie. Do wyznaczenia im właściwego stanowiska w dziejach sztuki polskiej nie wystar-

czała sama estetyczna analiza samego dzieła; pożądane jest nazwisko mistrza, który je wykonał, gdyż dopiero wtedy można na pewne orzec, pod jakiemi wpływami kształcił się artysta, w jakich warunkach swe utwory powoływał do życia, czy w kraju utworzył szkołę, któraby była krzewicielką dalszą jego artystycznego kierunku; wtedy dopiero można na pewne dany utwór zestawić z innemi tego samego mistrza i jego szkoły utworami i wzajemny stosunek osób i dzieł określić. Gdy o twórcy brzeżańskich pomników źródła archiwalne grobowe zachowywały milczenie, inną obrano drogę: drogę zestawiania ich z innemi podobnemi dziełami, aby tą drogą dojść po nitce do kłębka. Te mozolne badania wnet pomyślny uwieńczył rezultat. Prof. Zacharjewicz wykazał[1], że pomiędzy dwoma najpóźniejszymi pomnikami Sieniawskich w Brzeżanach a pomnikiem Ostrogskich w katedrze tarnowskiej zachodzi tak bliskie pokrewieństwo, iż z wszelkiem prawdopodobieństwem twierdzić można, że wyszły z pod tego samego dłuta; a ponieważ twórcą pomnika Ostrogskich, jak świadczy umieszczony na nim napis, jest Jan Pfister z Wrocławia, temuż więc samemu mistrzowi należy przypisać i dwa ostatnie pomniki brzeżańskie. To przypuszczenie stwierdziły następnie niezbicie archiwalne poszukiwania[2] p. Władysława Łozińskiego, które przyniosły bliższe o tym mistrzu wiadomości, mianowicie, że był synem Jerzego Pfistera, malarza wrocławskiego, że osiadł stale w Polsce, tu się ożenił z córką lwowskiego aptekarza, Katarzyną Świątkiewiczówną, i tu umarł jako mieszczanin brzeżański *civis Brzeżanensis*, pozostawiwszy dwoje dzieci: Annę, wydaną za szlachcica Bartłomieja Kowalkowskiego, i syna Jana, który za przykładem ojca obrał sobie także zawód rzeźbiarza. Z tego właśnie faktu, że i syn twórcy brzeżańskich pomników obiera sobie zawód rzeźbiarza, śmiało wnosić możemy, że kierunek artystyczny, jaki one przedstawiają, nie ogranicza się u nas jedynie do dzieł ich twórcy, lecz spuścizna jego ducha artystycznego żyła u nas dalej w jego po-

[1] „Sprawozdanie Komisyi do badania sztuki w Polsce", t. V, str. LXIII.
[2] Tamże, str. LXVI.

tomkach i uczniach. Badaniom naukowym może się kiedyś uda ugrupować około Jana Pfistera starszego cały szereg imion i dzieł rzeźbiarzy, którzy bezpośrednio lub pośrednio od niego naukę czerpali. Do tej nadziei uprawnia nas wysokie artystyczne stanowisko mistrza i jego twórczy geniusz, który nie mógł pozostać bez szerszego wpływu. Że to był geniusz rzeczywiście twórczy, tego najlepszym dowodem niezwykłe, uderzające bogactwo pomysłów. Jan Pfister ma przedewszystkiem tę właściwość, cechującą twórczy talent, że nietylko innych nie naśladuje, ale i sam się nie powtarza. Znamy trzy jego wielkie arcydzieła: dwa w Brzeżanach, jedno w Tarnowie. Wszystkie mają to wspólne, co w dziełach tego samego mistrza wspólnem być musi: technikę, sposób modelowania figur, stylizacyę szczegółów dekoracyjnych; ale budowa całości jest zawsze nowa i świeża i zawsze tak odrębna, iż doznaje się wrażenia, jakoby mistrz usilnie przestrzegał, aby być zawsze nietylko oryginalnym, ale co więcej, aby zawsze niespodziankę sprawić tym, którzy u niego artystyczne zamówienia czynili. O pomniku grobowym Mikołaja Firleja, wojewody krakowskiego † 1599 w Bejscach, w Królestwie Polskiem, powiecie pińczowskim, pisze prof. Łuszczkiewicz[1], że jest „wspaniały, bogactwem form i techniką zbliżony do pomnika Ostrogskich w Tarnowie". Być więc łatwo może, że to czwarte większych rozmiarów w naszym kraju Jana Pfistera dzieło, a ze znanych najwcześniejsze: po niem następowałby pomnik Ostrogskich w Tarnowie z 1621 roku, a ostatnie w chronologicznym porządku miejsce zajmowałyby pomniki brzeżańskie. Nasuwa się przypuszczenie, że mistrz, sprowadzony do kraju, rozpoczyna swą działalność na zachodzie; następnie posuwa się na wschód; podają go sobie z rąk do rąk możne rody, których pamięć w dziełach sztuki uwiecznia. Ile jeszcze na tej olbrzymiej przestrzeni od Śląska do Brzeżan może się znajdować jego prac, na które dotąd nie zwrócono uwagi!

Pomnik Adama Hieronima Sieniawskiego, tudzież pomnik

[1] „Sprawozdanie Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce". t. IV, str. XLVI.

jego trzech synów wystawiła ku uczczeniu pamięci męża i synów Katarzyna ze Sztemberku Kostczanka, żona Adama Hieronima Sieniawskiego.

Nim opuścimy mury kaplicy zachodniej, warto jeszcze rzucić okiem na piękny z czarnego marmuru barokowy ołtarz, stojący przy ścianie południowej, po lewej stronie portalu. Dwie kolumny gładkie, uwieńczone korynckiemi kapitelami, dźwigają szczytowe nakrycie, u góry w środku wycięte. W ołtarzu na tle ciemnoczerwonego aksamitu wisi krzyż dębowy z pięknie wykonanym bronzowym odlewem Chrystusa, nad którym na fryzie ołtarza czytamy: *Ave Maria, gratia plena, Dominus Tecum.* Domysł stąd łatwy, że wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego nie jest współczesny z ołtarzem, lecz później umieszczony. Tak też jest w istocie, gdyż umieszczono go dopiero przed niewielu laty podczas restaurowania Kościoła; dawniej jaśniał w ołtarzu obraz Matki Boskiej, malowany na blasze, przywieziony z Rzymu; w czasach zaniedbania kościoła zamkowego przeniesiono go do cerkwi gr.-kat. w Brzeżanach i umieszczono w bocznym po prawej ręce ołtarzu, gdzie się dotychczas znajduje, a o jego pochodzeniu głosi następujący napis polski: „Obraz cudowny Matki Boskiej z kaplicy zamkowej w Brzeżanach“.

Oprócz tego ołtarza nie posiada obecnie kościół zamkowy w Brzeżanach żadnego innego. Z dwóch innych ołtarzy: wielkiego i bocznego, który stał po lewej stronie kościoła w miejscu, gdzie presbiteryum rozszerza się w nawę główną, tylko stosy gruzów znaleziono, kiedy przystępowano do restaurowania kościoła. Wskutek tego braku ołtarzy i innych sprzętów, przybytek ten, pełny świetnych wspomnień przeszłości i kryjący w sobie dzieła sztuki pierwszorzędnej wartości, sprawia wrażenie pustki.

Odźwierny zachęca nas jeszcze do wyjścia na chór i do zaśpiewania „dla pięknej akustyki“. Powiada, że, gdy jeden człowiek na chórze śpiewa, to tak się głos rozchodzi, jak gdyby dwudziestu śpiewało. Wychodzimy — lecz nie dla doświadczania akustyki, wabi nas tam bogata ornamentyka, zdobiąca nad chórem część sklepienia, ścian bocznych, tudzież ściany tylnej.

Inna epoka rozwinęła tutaj całe bogactwo swego zepsutego smaku — epoka Sasów. Nie panują tu twarde marmury, pełne barwy, siły, życia, lecz gips blady i kruchy, tak jak bladem i kruchych obyczajów było społeczeństwo epoki, która te ozdoby po sobie zostawiła.

Ze środka sklepienia spływają aż na ściany boczne owalne girlandy, splecione z liści, kwiatów, owoców, gron, otaczające jakby ramy ośm obrazów świętych, malowanych na sklepieniu i ścianach; miejsca nie wypełnione gipsaturą lub obrazami zdobią malowane wazony z kwiatami. Od girland zwieszają się na dół aż do posadzki chóru festony i wisiory z liści, owoców, kwiatów, rzeźbione starannie w gipsie. Tylną ścianę, o którą się chór opiera, zdobi ponad oknami bogata gipsowa armatura ze skrzyżowanych zbroi, sztandarów, bębnów, proporców, dział, kopij i t. p., otaczająca tarcze herbowe z Leliwą (Sieniawskich) i Śreniawą (Lubomirskich),

Ta cała dekoracya, więcej pretensyonalna i napuszysta niż artystyczna, nie przykuwa nas do siebie. Rozstajemy się z nią bez żalu za nią, a nawet z pewną goryczą do czasów, które ją wydały i, zobaczywszy już wszystko, co tu było godnego widzenia, opuszczamy mury świątyni.

Trudno nam jednak jakoś od nich odejść. Oglądamy je zewnątrz. Prześliczna fasada przykuwa jeszcze do siebie nasz wzrok, pragniemy ją sobie głęboko w pamięci zapisać. Wspaniałe dzieło wspaniałe wywołuje w duszy obrazy: oczyma wyobraźni widzimy postępujące na modlitwę ku podwojom kościoła te potężne postacie rycerskie, które oglądaliśmy na nagrobkach, co jedną dłonią niosły nasienie oświaty i kultury w te ziemie, a drugą zasłaniały je od wroga — obszerny podworzec zaludniamy zbrojnem rycerstwem, wyruszającem na wyprawę wojenną. — Niemniej jak fasada kościoła imponujące wrażenie wywierają mury kaplicy z lewej strony, całe wyłożone ciosem, przyozdobione w narożnikach pilastrami zdobnemi w korynckie głowice. Ale za to tem dziwniej uderza nas kaplica po drugiej stronie, cała pokryta tynkiem; co więcej, część ściany kościoła przed kaplicą również jest pozbawioną monumentalnego chara-

kteru. Cóż może być tego przyczyną? Miałażby ta świątynia, pozostająca przez tyle wieków w ręku możnego rodu, nie doczekać się ostatecznego wykończenia? Tak nie jest — a całą zagadkę rozwiązują nam śliczne renesansowe odrzwia kamienne, dziś zamurowane, umieszczone wysoko w murze nawy, prowadzące na chór kościoła. Otóż do tej strony świątyni przypierała widocznie niegdyś budowa, dziś już nieistniejąca, zasłaniająca ściany kaplicy; był to prawdopodobnie zdobny krużganek, łączący wnętrze świątyni z zabudowaniami zamkowemi. Tędy, zdaje się — jeżeli wiadomości poety są trafne — można się było dostać do owego klasztoru nad bramą, w którego murach zakonnicy mieszkali.

Ta zagadka zachęca nas do szukania innych. Wracamy się raz jeszcze, mijamy front świątyni, mijamy lewą kaplicę, szukamy przy murach gotyckiego presbiteryum szkarp, zdobnych w wieżyczki i iglice. Niema ich. Czy były, trudno na razie odpowiedzieć, bo mury obdrapane i częścią zabielone, a przy swej grubości i bez szkarp były w stanie udźwigać sklepienie. Natomiast uderza nasz wzrok niemile ogromny kamień, stanowiący górny węgar okna podziemi kaplicy lewej, gdyż psuje symetryczny układ ciosów, pokrywających jej ściany. Skąd on się tutaj wziął, to tłumaczą nam wykute na nim herby Leliwa ze Śreniawą, stylizowane w ten sam sposób jak i gipsatury nad chórem. To znowu zabytek saskiej epoki, psujący harmonię całości kaplicy tak, jak czasy saskie *(si licet parva componere magnis)* psują harmonię całości dziejów naszych. Myśl nasza znowu ucieka do wnętrza kaplicy i tłumaczy sobie to, na co przedtem nie miała odpowiedzi: mianowicie, czemu ściany wewnętrzne tej kaplicy takie puste i gołe, podczas gdy kaplicę z przeciwległej strony kościoła zdobią bogate gipsatury, a gdzieniegdzie i szczątki ornamentu, kutego w kamieniu? Oto zapewnie ostatni potomek możnej rodziny Sieniawskich, Adam Mikołaj, hetman w. k., ożeniony z Lubomirską, postanowił w podziemiach tej kaplicy urządzić grób dla siebie, a ściany przyozdobić takiemi samemi gipsaturami, jakiemi przyodział część kościoła nad chórem i, przygotowując grunt pod te nowe ozdoby, ogołocił jej

mury z dawniejszych; boć nieprawdopodobne, aby zbudowana równocześnie z nawą główną i z kaplicą zachodnią, jak tego jej zewnętrzne mury dowodzą, miała wewnątrz nie otrzymać odpowiedniego przyozdobienia. On też kazał umieścić na zewnątrz kaplicy nad oknem podziemia kamień ze swoim i swej żony herbem.

Po tych spostrzeżeniach i kombinacyach stają nam przed oczyma duszy jasno dzieje całego kościoła i jego zabytków, tudzież ich stopniowy rozwój. W jego murach i rzeźbach czytamy jego dzieje niemniej jasno, jakbyśmy je czytali w archiwalnych dokumentach. Te właśnie kamienne głoski upoważniają nas do twierdzenia, że gotyckie presbiteryum było pierwotną kaplicą zamkową, która stanąć mogła w końcu XV. lub początku XVI. wieku, a wzniósł je prawdopodobnie założyciel Brzeżan, Mikołaj Sieniawski, przy pomocy krajowych murarzy w pierwszych latach swego na Brzeżanach dziedzictwa. Później sprowadziwszy do budowy zamku budowniczych, wykształconych pod kierunkiem mistrzów renesansu, prawdopodobnie z Krakowa, powierzył im także dalszą budowę kościoła. Ze skromnych resztek na portalach i ramach nyż kaplicy zachodniej można sobie nietrudno dośpiewać w duszy, jak się przedstawiało pierwotnie jego wewnętrzne przyozdobienie. Tym też mistrzom należy przypisać wykonanie trzech najstarszych pomników Sieniawskich. Postać, jaką mu oni nadali, niezbyt długo w całości zachował, bo już wnuk założyciela Brzeżan, Adam Hieronim Sieniawski, okrywa gipsaturami kaplicę z prawej strony kościoła, o czem świadczy nietylko stylizacya ornamentów, odpowiadająca w zupełności epoce, w której on żyje, ale nadto najniewątpliwiej dowodzi tego jego monogram, umieszczony na sklepieniu latarni. Z tego też czasu pochodzą zapewnie rzeźby z marmuru czerwonego, zdobiące fryz, tympanon i trójkątne pola ponad oknami na froncie świątyni. Żona Adama Hieronima Sieniawskiego wznosi w kaplicy przez niego przyozdobionej wspaniałe mauzolea dla męża i synów.

Po dwóch następnych dziedzicach Brzeżan nie znajdujemy w naszej świątyni żadnych pamiątek, bo ich ważniejsze zajmo-

wały sprawy. Syn Prokopa, Hieronim Adam, bierze udział z własnym pocztem prawie we wszystkich ważniejszych wyprawach wojennych za Władysława IV. i Jana Kazimierza — i jakie życie, taka śmierć jego: wskutek trudów i wycieńczenia umiera podczas oblężenia Zbaraża 1650. Daleko głośniejszym od niego wojownikiem jest jego syn, Mikołaj, tem głośniejszy, że walczy nie zawsze na podrzędnem, ale nieraz na samodzielnem stanowisku. Kiedy w 1673 r. Jan Sobieski wyrusza na Turków pod Chocim, on zwraca się ku Barowi, aby zatrzymać na sobie Tatarów i Kozaków Doroszeńki i nie dozwolić im złączyć się z armią turecką. Z tego zadania wywięzuje się świetnie: odbiera im najważniejsze stanowiska (Satanów, Międzybórz, Zynków), a nareszcie rozgramia ich do szczętu. W dwa lata później po zwycięstwie Sobieskiego pod Lwowem, kiedy uciekający nieprzyjaciel rozdzielił się na kilka oddziałów, Sieniawski dopada jeden z nich pod wodzą Adżigireja i roznosi go pod Brzeżanami (1675). Pod Wiedniem jako hetman polny koronny dowodzi lewem skrzydłem. To jego wybitniejsze i do pewnego stopnia samodzielne czyny; oprócz tego, dodać trzeba, nie brakło jego obecności na placu boju prawie w żadnej ważniejszej potrzebie. Wobec tego nieustannego życia w obozie i na koniu, czyż można się dziwić, że ani hetman Mikołaj, ani ojciec jego, Hieronim, nie pomyśleli o pomnikach dla siebie, że, zajęci prawie bez przerwy obroną ojczyzny, nie mieli czasu zajmować się przyozdabianiem rodowej świątyni.

Dopiero ostatni z Sieniawskich Adam, kasztelan krakowski, hetman w. kor., żyjący już w nieco spokojniejszych czasach († 1726), zamierza ją w nową, stosownie do panującego smaku, przyodziać szatę. Jego to dziełem przybranie nad chórem sklepienia i ścian w gipsowe girlandy i festony; jego sławę mają głosić skrzyżowane zbroje, proporce, bębny, surmy wojenne, otaczające jego i jego małżonki herby, na tylnej ścianie chóru umieszczone; jego i jego rodziny zwłoki miały kryć podziemia lewej kaplicy, której ścianę zewnętrzną zeszpecił umieszczeniem w niej kamienia, psującego harmonię prostej ale szlachetnej zdobności ścian; on to prawdopodobnie i jej wnętrzne kazał ogo-

łocić z dawnej zdobności i wygładzić je na przyjęcie nowej, zastosowanej do złego smaku saskiej epoki. Gdyby dzieje milczały o tym dumnym magnacie, jego charakter moglibyśmy już z tego wyczytać, co z jego polecenia w tym kościele zrobiono. Wartość jego tak się ma do wartości jego przodków, jak i zabytki sztuki, które po sobie pozostawili. Adam Sieniawski to jedyny całego rodu, który niesympatyczną pozostawił po sobie sławę jako zacięty przeciwnik Stanisława Leszczyńskiego, a gorliwy poplecznik Augusta II. Te surmy i bębny, z lichego materyału, licho wykonane, głoszą tę lichą sławę, jaką sobie zdobył zwycięstwem pod Kaliszem nad stronnictwem przeciwnem; lub tę, jaką mu przyniosło podejmowanie z niesłychanym przepychem w Piotrowinie cara Piotra W. i szukanie u niego dla siebie poparcia dla uzyskania korony polskiej. Nim jednak zawakowała po Auguście II. korona polska, umarł w 1726 r. Adam Sieniawski bezdzietnie, kończąc niezbyt chlubnie pełne chwały i niespożytych dla ojczyzny zasług swych przodków dzieje.

Z wygaśnięciem rodu Sieniawskich i ich rezydencya i ich kościół poszły w poniewierkę. Późniejszym dziedzicom [1] Brzeżan, o ile w nich mieszkali, już było nieswojsko w olbrzymich komnatach zamkowych: były im za wielkie, czuli wkoło siebie pustkę, niknęli w ich ogromnych przestrzeniach, które im się mogły wydawać zbudowanemi dla olbrzymów, nie dla zwykłych ludzi. I tak też rzeczywiście było. Dawni dziedzice zamku musieli czuć się olbrzymami, dźwigającymi pieczę nad obszernemi ziemiami ruskiemi. Swietny dwór wielkopański, niewiele ustępujący królewskiemu, i hufce zbrojnego rycerstwa mogły te mury zaludnić, a wystawne festyny i rycerskie zabawy mogły je jedynie ożywić. Kiedy z upadkiem kraju tego wszystkiego brakło, pustka wystraszyła późniejszych dziedziców zamku. Zamek, pozbawiony z czasem warownych murów, ogołocony z bogactw, kosztowności, dzieł sztuki, które przywożono do pańskich rezy-

[1] Brzeżany po śmierci ostatniego z Sieniawskich przeszły w dom Czartoryskich, obecnie są własnością Potockich.

dencyj, zniszczony nadto częściowo pożarem, zamieniono w ostatnich latach częścią na koszary, częścią na browar.

Losy zamku dzielił i kościół zamkowy. Zniszczony, opustoszały stał się mieszkaniem ptactwa, które się chroniło do niego przez puste otwory okienne. Później, oddany wojsku na magazyn, stał się ofiarą wandalizmu tych, co w nim gospodarowali. Powyrywano miedziane złocone litery z napisów na pomnikach, poniszczono części pomników, a kiedy runęło sklepienie krypty podziemnej, niewykryci złoczyńcy złupili groby Sieniawskich. Wskutek zaniedbania i wilgoci, a częścią też wskutek złośliwości ludzkiej, zawaliły się dwa ołtarze, a co się stało z innemi przyborami i sprzętami kościelnemi, o tem nawet tradycya miejscowa nic nie umie dzisiaj powiedzieć.

Z tego opłakanego stanu dźwignął kościół przez gruntowną i staranną restauracyę dziedzic dóbr brzeżańskich, Stanisław hr. Potocki, który — jak głosi napis na pamiątkowej tablicy — „kaplicę zamkową mieszczącą grobowce Sieniawskich, założycieli Brzeżan, przodków swoich, oddając cześć zasługom około dobra ojczyzny położonym w r. 1878 odnowił". Nie szczędził też kosztów na sprawienie wspaniałego (jak można wnosić z ustawionej dotychczas mensy) bronzowego ołtarza, który od lat kilkunastu spoczywa w pakach, leżących pod chórem muzycznym. Ale śmierć przeszkodziła mu do zupełnego dokonania chwalebnego dzieła. Dziś zasmucają oko powybijane szyby w oknach latarni prawej kaplicy, zupełny brak oszklenia niektórych okien facyaty, a przedewszystkiem wielki ołtarz, którego dotychczas nie zadano sobie trudu z pak wydobyć i na mensie ustawić, a o którego ustawieniu już przed czternastu laty pisał dr. Maciszewski [1], oczywista przypuszczając, że ustawienie ołtarza będzie już faktem dokonanym wtedy, kiedy jego broszura prasę drukarską opuści.

A przecież kościół ten ma znaczenie nietylko jako pamiątka przeszłości, jako zabytek sztuki polskiej, jako świadek kultury, którą nieśliśmy w ziemie wschodnie Rzeczypospolitej,

[1] „Pomniki Sieniawskich w Brzeżanach". Lwów 1882, str. 7.

słowem ma znaczenie nietylko historyczne, ale mógłby mieć niemałą cywilizacyjną doniosłość i dla obecnej chwili, gdyby go zechciano ocenić i z niego w tym celu skorzystać.

Jest pewnikiem niezaprzeczonym, że obok literatury, stanowiącej zawsze i wszędzie główny środek humanitarnego i umysłowego wykształcenia, w równie wysokim stopniu, choć mniej wszechstronnie kształci i uszlachetnia umysł człowieka także każda inna z sztuk pięknych: i muzyka i malarstwo i rzeźba i architektura. Kto dzieła sztuki posiada, tego obowiązkiem jest z nich korzystać. Mieszkańcy Brzeżan są o tyle w szczęśliwszem od innych położeniu, że mają wśród siebie jeden wprawdzie i to niewielki, ale znakomity, pierwszorzędnej wartości zabytek architektury, a w nim kilka doskonałych dzieł dłuta. Lecz iluż jest pomiędzy nimi takich, którzy je choćby raz jeden widzieli? A przecież warto im przypatrywać się wielokrotnie! Mają one bowiem to do siebie, co jest właściwością każdego arcydzieła, że chociaż go nieraz początkowo z braku potrzebnego w dotyczącym kierunku wykształcenia nie umiemy zrozumieć i ocenić, to przecież, im częściej i dłużej pozostajemy pod jego wpływem, tem większe na nas wywiera wrażenie, tem więcej je rozumiemy, tem więcej w niem odkrywamy piękności, tem więcej nam się podoba, tem więcej pod jego wpływem bezwiednie kształcimy się i uszlachetniamy. Czyż — choćby tylko dla tego praktycznego celu — nie opłaciłoby się poczynić kroki, gdzie należy, aby tę świątynię uczynić przystępną szerszej publiczności? Czy nie mogłaby w niej miewać niedzielnego nabożeństwa np. dziatwa szkoły wydziałowej, nie tak bardzo od niej odległej? Na umysł zwłaszcza młodociany, wrażliwy, inny wpływ wywierają dzieła sztuki, niż liche wyroby, jakie znajdujemy po innych kościołach. Do oddania zaś kościoła na spełnianie w nim służby bożej nie potrzeba prawie niczego więcej oprócz wydobycia z pak górnej części ołtarza i ustawienie go na mensie.

Są też jeszcze inne i to daleko ważniejsze powody, dla których ta świątynia obywatelom Brzeżan powinna być szczególnie drogą i dla których szczególną powinni ją otaczać opieką. Ileż to wspomnień z przeszłości miasta wiąże się z jej murami!

Wszak stąd wzięło ono początek, ten sam jej, co i miasta założyciel, pod jej opieką i zasłoną ono się wznosiło! Ileż razy nietylko mieszkańcy miasta, ale i okolicznych wsi w dniach trwogi przed nieprzyjacielem szukali tu ocalenia życia i mienia? Ileż płaczu, westchnień i modłów o ratunek do Najwyższego w jej ścianach wznosili? Tu przecież spoczywają popioły założycieli, opiekunów i obrońców miasta i kraju. Tu we wspomnieniach i dziełach sztuki drzemią nietylko dawne dzieje miasta, ale i poważna część dziejów narodowych.

Jan Bryl.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Kazania gnieźnieńskie. Tekst i glosy z rękopisu wydał, uwagami i słownikiem opatrzył *Władysław Nehring*. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności, 1896. (Osobne odbicie z tomu XXV. Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie).

Językiem polskim zajmowali się nasi uczeni już oddawna, ale prawdziwie naukowe traktowanie tej sprawy jest świeżej daty: zaczyna się ono mniej więcej przed trzydziestu laty z gramatyką ks. Fr. Malinowskiego. Jak dotąd praca ogranicza się przeważnie na wydawaniu i objaśnianiu zabytków rękopiśmiennych z przed XVI. lub z początku XVI. wieku, a główną zasługę ma w tej mierze Akademia Umiejętności.

Wśród wykształconej publiczności polskiej wiadomości o piśmiennictwie polskiem średniowiecznem są bardzo szczupłe, niemal żadne. Co nie nosi na sobie stempla XVI. wieku, to już niegodne uwagi. Że takie zapatrywanie jest błędne, tego dowodzić nie potrzeba. Skąd się zaś wzięło? Może stąd, że dawniejsi historycy literatury zajmowali się zabytkami języka polskiego z czasów przed Rejem zanadto; lada fragment, który jest wyłącznie pomnikiem językowym a nie literackim, zajmował ich nieraz więcej, aniżeli niejeden znaczny poeta. Za to dzisiejsi wpadają w drugą ostateczność: u nich literatura polska zaczyna się dopiero z Rejem. Tymczasem tak nie jest. Historyk literatury polskiej, który teraz przyjdzie, będzie musiał poznać dokładnie wiele pomników średniowiecznego piśmiennictwa polskiego, które dotąd znane są i przystępne jedynie filologom, gramatykom. Jednym z takich pomników są

„Kazania gnieźnieńskie“ ciekawe pod względem językowym, ale niemniej ciekawe i dla historyi literatury.

Dla badań językowych jest to zabytek nader cenny i ważny. Przedewszystkiem jest jednym z najstarszych. Piśmienne zabytki języka polskiego zjawiają się bardzo późno. Pomijając nazwiska osób i miejsc w dyplomatach, widzimy pojedyncze wyrazy i glosy polskie w rękopisach łacińskich od XIII. dopiero wieku, a i to w bardzo szczupłej liczbie. Dopiero z połowy XIV. wieku pochodzą niezbyt dawno odkryte Kazania świętokrzyskie (dziś w bibliotece w Petersburgu), najdawniejszy pomnik języka polskiego, większych nieco rozmiarów. Po nich idzie Psałterz Floryański z końca XIV. wieku. Trzecie miejsce zajmują omawiane właśnie Kazania gnieźnieńskie [1]. Napisane około r. 1400 wykazują cały szereg form i wyrażeń starożytnych i stanowią dla badaczów mowy pierwszorzędny materyał.

Co w nich najciekawsze, to ślady gwary czyli narzecza ludowego. Język polski, podobnie jak wszystkie inne języki, dawniej zarówno jak i dzisiaj dzielił się niewątpliwie na gwary czyli narzecza. U Czechów, więcej jeszcze u Niemców, występuje ten fakt bardzo wybitnie; są całe pomniki pisane w jakiemś narzeczu. U nas tego niema. Prawie we wszystkich zabytkach staropolskich wieku XIV. i XV. język jest niemal wszędzie ten sam. Tem bardziej więc zwracają na siebie uwagę Kazania gnieźnieńskie. Pisarz, który je w kodeks wpisywał, mówił językiem tej okolicy, z której pochodził, z domieszką języka literackiego [2]. Otóż przy pisaniu od czasu do czasu nasunął mu się wyraz gwarowy i dlatego napisał ubodzi zamiast ubogi, drodziem zamiast drogiem, ogzień zamiast ogień, nia chciał zamiast nie chciał. Po prostu pisał tak jak wymawiał.

Pod względem literackim Kazania gnieźnieńskie może jeszcze ciekawsze. Piśmiennictwo średniowieczne ma jednę olbrzymią gałąź, dotąd mało, a u nas prawie wcale nieopracowaną: to kaznodziejstwo. Jakie skarby dla nauki języka, historyi kultury, etnografii mieszczą się w tych zapomnianych kazaniach średniowiecznych, to pokazała praca prof. Al.

[1] Przechowane w kodeksie kapituły gnieźnieńskiej. Forma przymiotnika „gnieźnieński“ jest zdaniem prof. Nehringa, jedynie racyonalna i jedynie używana przez lud w okolicy Gniezna; forma „gnieznieński“ zdaje się być utworzoną na wzór łacińskiego *gnesnensis*.

[2] I dzisiaj każdy człowiek wykształcony nie mówi czystym językiem literackim, ale mieszaniną języka literackiego i miejscowego narzecza: Krakowianin wykształcony mówi inaczej niż Poznańczyk lub Warszawiak.

Brücknera. Z polecenia berlińskiej Akademii odbył on naukową podróż, w której badał przedewszystkiem biblioteki polskie (Wrocław, Kraków, Lwów, Warszawa i Petersburg). Rezultatem jest cały szereg studyów, z tych kilka (w Rozprawach wydziału filologicznego Akad. Um. t. XXIV. i w Bibliotece warszawskiej r. 1891 i 1892) poświęconych średniowiecznym kazaniom. Zbiorów kazań w językach narodowych jest bardzo niewiele, przeważająca ilość napisana jest po łacinie. Stąd wysnuwano dziwny wniosek, że w kościele katolickim mówiono do ludu kazania po łacinie; oczywiście dziś nikt nie wątpi, że mówiono je w języku ojczystym, spisywano zaś po łacinie dlatego, że łacina była językiem powszechnym, którym każdy duchowny władał bardzo dobrze. Odsyłając do wspomnianych studyów prof. Brücknera, zaznaczamy tylko, że te kazania przedstawiają bogaty zasób wiadomości o kulturze, obyczajach i zwyczajach ówczesnego społeczeństwa, tak np. dowiadujemy się z nich wielu szczegółów, tyczących się ubioru, potraw, wielu szczegółów historycznych, przesądów i guseł i t. p.

Kazania gnieźnieńskie są zupełnie tego samego typu, co i inne średniowieczne, taki sam układ systematyczny, niemal pedantyczny, takie same suche przedstawienie, które jednak — podobnie jak i w innych — ożywione jest przykładami, opowiadaniami i legendami. Dowiadujemy się z nich np. o ludowym humorze z owych czasów. W kazaniu na dzień św. Bartłomieja skarży się autor, że lud przekręca imię świętego: „ale wy go Bartodziejem[1] nazywacie, a w tem wy bardzo miłego Krysta gniewacie". Są tam i legendy, które średniowieczna epoka czcią otaczała, nieraz źródło swe mające w apokryfach, a które w ten sposób (jak to wykazał prof. Brückner) przechodziły do ludu. — Przytaczamy wyjątek z kazania na Boże Narodzenie, aby dać próbę języka i sposobu przedstawienia rzeczy.

„A przez to-ć to jiste wiesiele (= wesele) byłoć jest[2] ono wielikie, a to ku czworakiemu rozdzieleniu. A napirwe-ć (najpierwej) jest ci ono ku wysokości było wielikie, przez to, iż ci jest ono od ziemie aż do nieba było dosięgło, a wszytki angioły jest ci ono było uwiesieliło. A przez to święci angieli takoć oni są byli wielikim wiesielim (= weselem) napełnieni, iżeć oni z niebios na ziemię są byli k nam stąpili a swe wiesiele pastyrzom sąć oni byli powiedzieli. A wtoreć

[1] Ten, który dzieje (robi) barty (ule); wyraz „bartodziej" przybrał wnet znaczenie pogardliwe.

[2] Był jest = był, chodził jest = chodził, jest był robił = robił był.

to jiste wiesiele jest ono było ku głębokości wielikie, przez to, iż ci jest ono było pkieł (= piekło) rozbiło, a wszytki-ć święte jest ono było wypuściło. Trzecie-ć to jiste wiesiele ku długości jest ono było wielikie, przez to, iż ci się jest ono od wschodu słuńca aż do zapadu było rozciągło. A przez toć ty trzy krolewie, coż są na wchod słuńca swa krolewstwa byli mieli, sąć je oni byli opuścili a do miłego Krysta sąć oni z wielikimi dary byli przyjachali; też ci to jiste wiesiele jest się ono było do zapada słuńca roszyrzyło, iż ci tento jisty cesarz, jemużci (= któremu) jest było to jimię Augustus dziano (= nazywano), jest ci on był w Rzymie matki boże obraz naprzeciw słuńcu widział, a z tegoć to widzenia jest ci on był barzo wiesioł (= bardzo wesół) i jest ci on miłemu Krystowi mirrę, kadzidło był ofierował, a ottychmiast (= odtąd) nijedne ć czci ani chwały sobie czynić jest on był nie dał. Czwarteć to jiste wiesiele byłoć jest ono ku szyrokości wielikie, przez to, iż ci jest ono wszyściek świat było ogarnęło. A przez toć zaprawdę narodzenie tego to dzieciątka naszego Jezu Krysta byłoć jest ono wielikiego użytka i teże (= też) wielikiego wiesiela".

Na tem kończymy nasze sprawozdanie, odsyłając zresztą do samych Kazań, a mamy nadzieję, że kto się zabierze do przeczytania ich, nie pożałuje tego.

Jeszcze tylko parę słów o samem wydaniu. Zabytki staropolskiego języka z wieków średnich wydaje się w ten sposób, że prócz najwierniejszego i najdokładniejszego przedruku samego tekstu dodaje się opis kodeksu i uwagi o pisowni i języku pomnika. Wydanie pana Nehringa (obok wydawnictw prof. L. Malinowskiego) służyć może za wzór tego rodzaju pracom. Wyrazilibyśmy tylko jedno życzenie. W zabytkach, które mogą zainteresować szersze koło ludzi a nie samych filologów, możeby było wskazanem dodawać transkrypcyę tekstu w pisowni dzisiejszej; wobec trudności, jakie dla niewtajemniczonych sprawia średniowieczna pisownia polska, byłoby to rzeczą bardzo pożyteczną; w ten sposób odkrycia naukowe na polu języka polskiego przestałyby może ukrywać się w ciasnej sferze specyalistów i uchodzić w oczach zwykłego śmiertelnika za pewien rodzaj „misteryów". Przedział i brak porozumienia między ludźmi nauki a czytającą publicznością — na co *Przegląd Powszechny* zwracał już uwagę — w interesie samej nauki, co do niektórych przynajmniej kwestyj, ustaćby powinien.

Stanisław Dobrzycki.

Szkoły parafialne w Polsce w XIII. i XIV. wieku. Napisał dr. *Antoni Karbowiak*. Kraków, 1896. Nakładem Akademii Umiejętności. (W 4ce, str. 69).

Historya szkół i szkolnictwa w Polsce czeka swego historyka. Wnioskując z kilku dotychczas ogłoszonych drukiem rozpraw, stać się nim może profesor szkoły przemysłowej w Krakowie, dr. Karbowiak. Od lat wielu skrzętną, iście benedyktyńską pracą gotuje on kilkutomowe dzieło, a jakiej wartości, jakiej doniosłości dla dziejów cywilizacyi Polski ono się stać może, próbką niniejsza rozprawa. Że w średnich wiekach i u nas szkoły jakieś być musiały, że były, ani wątpić; ale jaka ich organizacya, jaki cel i zadanie, jakie dla ogólnego rozwoju umysłowego skutki, kto na nie łożył pieniądze, w których i jak długo one miejscowościach istniały, czego i jak uczyły, o tem wszystkiem mętne i bardzo niedostateczne mamy dotąd wiadomości, oparte na luźnych wzmiankach, porozrzucanych w dokumentach lub kronikach. Zebrać te wszystkie okruchy, a przynajmniej bardzo wielką ich część, i w całość harmonijną ułożyć, to zadanie i praca lat wielu. Dr. Karbowiak podjął się tej pracy, badał polskie i zagraniczne kodeksy, dokumenty, kroniki, studyował opracowania niemieckich badaczy tej epoki i doszedł do tych rezultatów:

1) W Polsce szkoły rozpoczynają się dopiero z XIII. wiekiem, a pierwszą, znaną u nas ustawę szkolną wydaje synod łęczycki 1257 r. 2) Celem owych szkół było wykształcenie przyszłych kapłanów, a stąd chwała boża i dobro Kościoła; stosunkowo tylko bardzo nieliczna młodzież mieszczańska korzysta z szkoły dla celów świeckich. 3) Zakładanie i nadzór szkół należy do Kościoła tj. do biskupa, kapituł, proboszczów. 4) Funduszów stałych szkoła nie ma; dają je to biskupi i inni duchowni, to gminy, to wreszcie uczniowie, składając pewne opłaty roczne za naukę szkolną. 5) Szkoły dzielą się na wyższe katedralne, kolegialne i niższe parafialne; te ostatnie odpowiadają naszym niższym gimnazyom i są przygotowaniem do katedralnych, które zastępują nietylko nasze wyższe gimnazyum, ale nawet w części przynajmniej fakultet teologiczny na uniwersytetach.

W niniejszej rozprawie mowa tylko o szkołach parafialnych. Jeżeli gmina, zawsze za zezwoleniem biskupa, zakłada własną szkołę, to ma prawo mianowania jej rektora, a ten dobiera sobie pomocników. Proboszcz miejscowy i kanonik scholastyk dozorują szkoły. Język wykładowy łaciński, pomocniczy język polski, a częściej niemiecki, bo rektorów sprowadzano zwykle z Niemiec, albo też sami jako wędrowni

studenci, *vagantes clerici*, wpraszali się na mistrzów szkolnych. Ci niemieccy *vagantes clerici* stali się wnet plagą szkół polskich, zajęli wszystkie katedry, a nierzadko zamiast uczyć, życiem swem gorszyli młodzież. Plan nauk ograniczał się na znajomości alfabetu psalmów, śpiewu kościelnego, rachunku kościelnego i gramatyki łacińskiej; w XIV. wieku uczono sygnatury tj. pisania i stylistyki (pisania listów), a nauczyciel tych przedmiotów nazywał się signator.

Seminaryów nauczycielskich nie znano. Niedokończony student szkoły katedralnej, albo skończony student szkoły parafialnej mógł już być magistrem a nawet rektorem, byle miał za sobą kilkuletnią praktykę. Podręczniki szkolne istniały tylko dla nauki łaciny: Donatus, Cato, Theodulus, *Regulae pueriles* i *Doctrinale Alexandri de Villa Dei;* rozbiera je bliżej i ocenia autor na str. 28—38. Życie „żaka" szkolnego nie było monotonne. Uczniowie z obowiązku uczęszczali na nabożeństwa parafialne, oprócz świąt mieli i wigilie świąt wolne, acz feryj dłuższych im nie dawano, szopki i męki pańskie, pielgrzymki pobożne i wycieczki studenckie urozmaicały im żywot, a wykłady szkolne 2—4 godzin dziennie nie bardzo znów męczyły. Chorych uczniów ubogich opatrywano w szpitalach. Dziewczęta nie miały wstępu do szkół parafialnych, które były przygotowaniem tylko do szkół katedralnych prawie wyłącznie duchownych. „W znanych i przystępnych mi źródłach — dodaje znacząco autor — nie znalazłem żadnych śladów szkół na Rusi w XIII. i XIV. wieku". Zato wyraźne ślady szkół żydowskich znajdujemy w przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1264 i w przywilejach Kazimierza Wielkiego nadanych Żydom.

Niedługo zapewne fachowa krytyka i pisma sprawom szkolnictwa poświęcone zajmą się książką d-ra Karbowiaka i poddadzą ją szczegółowej i wyczerpującej ocenie: zamiarem piszącego było tylko podać o niej pierwszą wiadomość i zaznajomić choćby pobieżnie z niezmiernie ciekawą jej treścią szersze warstwy czytającej publiczności.

Ks. Stanisław Załęski.

Historya gimnazyum tarnopolskiego. Okres I. 1820—1848. *Dr. Maurycy Maciszewski.* Tarnopol, 1896. (W 8ce, str. 146).

Żadne może gimnazyum w Galicyi nie ma tak dokładnej historyi i to od pierwszych zaraz początków, jak tarnopolskie, dzięki talentowi i pracowitości obecnego jego dyrektora, p. Maciszewskiego. Urzędowe akta, kroniki jezuickie, szkolne metryki i zapiski, drukowane szematyzmy, opracowania i dzieła z tej epoki, oto źródła, z któ-

rych autor czerpał swe opowiadanie. Zaraz po kongresie wiedeńskim poczęto się krzątać i starać o gimnazyum dla Tarnopola, dzięki jednak drobiazgowości i ostrożnościom bez końca ówczesnego biurokratyzmu rzecz się przewlokła do 1820 r., w którym wygnany z Rosyi zakon Jezuitów w krajach Austryi szukał punktu choćby chwilowego oparcia. Gubernator Hauer i arcybiskup Ankwicz postanowili wygnańców zatrzymać w Galicyi; ten chciał im osierocone dla braku kleru parafie, tamten dla braku nauczycieli szkoły w Tarnopolu [1] powierzyć. Tak się też i stało: dnia 4 listopada 1820 r. Jezuici otwarli sześcioklasowe tarnopolskie gimnazyum, które wnet doszło do cyfry 400 uczniów, a niebawem otwarli dwuletni kurs filozofii, matematyki i fizyki dla stu kilkudziesięciu słuchaczy. Trzymali się swego dawnego systemu nauk *ratio studiorum*, i powoli rugowali rządowe, a wprowadzali własne podręczniki szkolne. Zażyli w tem niemało trudu z nadworną i gubernialną komisyą szkolną i z dyrekcyą miejscową, którą dzierżył każdorazowy starosta tarnopolski. Autor bardzo szczegółowo i dokładnie opowiada i te trudności szczęśliwie pokonane i rozkład nauk na każdą klasę gimnazyalną i na kursa filozofii nietylko w tarnopolskiem, ale i w innych gimnazyach Austryi wprowadzony (str. 18—74). Jest to ze wszechmiar najbardziej zajmujący i najcenniejszy ustęp, a uzupełnia go kronika gimnazyalna, dokumenta i katalog wszystkich profesorów, oraz katalog blizko 3.000 uczniów, którzy od 1820—1848 w tarnopolskim zakładzie nauki pobierali.

Rzecz jasna, że dzieje tej pierwszej doby tarnopolskiego gimnazyum są cząstką znaczną dziejów zakonu Jezuitów w Galicyi; autor zachował wobec nich miarę bezstronnego badacza. Wolny od przesadnych uwielbień, jest zarazem objektywnym i sprawiedliwym; uprzedzeniom niedawnej jeszcze szkoły literatów i historyków naszych nie uległ.

Ks. Stanisław Załęski.

Kilka słów o życiu i pismach Alberta Inesa i ocena jego panegiryku p. t. „Wanda". Napisał *Stanisław Rzepiński*. Sprawozd. c. k. gimn. w Wadowicach za rok szkolny 1895.

Jak o wielu innych poetach XVII. w., tak i o ks. Albercie Inesie T. J. zapomniano u nas. A jednak i tych pisarzów zbadać należy i póki tego nie dokonamy, o całokształcie dziejów naszego piśmiennictwa z owego

[1] Dr. Maciszewski nie dowierza twierdzeniu ks. Załęskiego, wyrażonemu w dziele „Zniesienie Zakonu Jezuitów", że przed oddaniem Jezuitom

okresu mowy być nie może. Ines zasługuje na baczniejszą uwagę choćby dlatego, że nietylko łacińskie pisał wiersze, ale i polskie. Epigramata jego tak wielkie miały powodzenie w XVII. i XVIII. wieku, iż nazywano go polskim Marcyalisem i drukowano nietylko u nas, ale i za granicą, a ponieważ dowcipy jego odznaczały się zawsze czystością myśli i wolne były od żartów dwuznacznych, oddawano je chętnie do rąk uczącej się młodzieży.

P. Rzepiński zamierza w niedalekiej przyszłości ogłosić obszerniejszą monografię o życiu i pismach Inesa. Wtedy będzie czas i sposobność do więcej szczegółowego omówienia zalet i braków poetyckiej Muzy tego pisarza, jakoteż do oznaczenia należytego mu miejsca w szeregu poetów XVII. wieku. Dziś za autorem rozprawy notujemy tylko w krótkości, że Ines pochodził z rodziny pierwotnie hiszpańskiej; jedna jej gałąź przesiedliła się do Szkocyi, skąd znowu protoplasta polskich Inesów przybył za Stefana Batorego do Polski. Ostatni z polskich Inesów, Zbigniew umarł dopiero w r. 1893 w majątku swym pod Stanisławowem.

Co do samej rozprawy p. Rzepińskiego i jej opracowania wiemy już od samego autora, że nie jest ona jeszcze wyczerpującą. Nie mniej jednak podnieść należy staranne zestawienie dość licznych wydań poezyj Inesa, a przytem sprostowanie różnych niedokładności i błędów przez dawnych wydawców i bibliografów popełnianych. Bardziej szczegółowemu badaniu poddaje p. R. poemat Inesa „Wanda“, przyczem z ścisłością filologa bada, czy i jaki stosunek zależności zachodzi między tym poematem a kroniką Długosza, jakoteż Jana z Wiślicy *Belli Brutcni libri tres*, wreszcie Kochanowskiego Eleg. l. I, el. XV, v. 1—106. Zastanawia się też, dość nawet drobiazgowo, nad budową łacińskiego wiersza u Inesa i nad iloczasem w jego wierszach, przyczem mu wytyka, zwłaszcza co do iloczasu, zbytnią nieraz dowolność.

Sąd swój o Inesie streścił p. R w następujących zdaniach:

„Niepodobna mu odmówić autorskiej weny, nawet pewnego dowcipu i nieraz subtelnego cieniowania myśli“. Przy tem jednak pełno w nim „napuszystości, porównań, antytez, gonienia aż do przesytu za zewnętrznym efektem i ciągła gra wyrazów“. „Brakowało mu poczucia prawdy i piękna“. „Był nieodrodnym synem swego wieku. Tak pisał

Tarnopola istniała myśl powierzenia im szkół w Tarnowie. Zdaje się jednak, że ks. Załęski ma racyę. W archiwum zakonnem prowincyała Galicyi znajduje się dokument (pod sygnaturą 1820. 3.), który jego twierdzenie silnie popiera. *(Przyp. Red.)*

jak mniemał, że przed sądem współczesnych największy poklask pozyska". „Być może, że wśród innych warunków, przy wielkiej swej pracowitości i niewątpliwym talencie byłby tworzył dzieła, któreby mu niespożytą zapewniły sławę". Za daleko jednak idzie autor, kiedy z niewinnych słów Inesa, w których mówi, że pieprzne fraszki Kochanowskiego postanowił zastąpić przyzwoitemi co do treści epigramatami własnemi, wysnuwa wniosek, że Ines był dumny i przeceniał się zbytecznie. Do tak surowej i ujemnej charakterystyki potrzebne są chyba poważniejsze dowody.

Mniemano dotychczas, że Kochowski pierwszy wpadł na „niepospolicie oryginalną myśl" dedykowania drugiej księgi liryków Najśw. Pannie. P. Rzepiński przypomniał, że Ines już przed Kochowskim podobną dedykacyę obmyślił: *Dei matri, Virgini magnae, semper augustae, suo vivae vocis oraculo Poloniarum Reginae — se et quidquid suum est — auctor.*

Dowodzi też p. Rzepiński, że jeden był poeta Ines w XVII. w. a nie dwóch, jakto przypuszczano za Jabłonowskim. Chętnie przyznajemy, że Jabłonowski się pomylił, przypisując pewną część wierszy ks. Alberta bratu jego Wilhelmowi (kapitanowi w wojsku koronnem). Mimo to jednak bardzo być może, że dwóch przynajmniej Inesów w XVII. wieku oddawało się poezyi, skoro Kochowski prawie współczesny, w konkluzyi swych liryków powiada w liczbie mnogiej: „Inesom wiersz... Feb dyktował zgoła".

Leszek Dziama.

Pamiętniki Murawiewa („Wieszatela") (1863 – 1865) pisane w r. 1866, tłumaczone z oryginału rosyjskiego przez *J... Cz...* z przedmową *St. Tarnowskiego.* Nakład Spółki Wydawniczej Polskiej. (W 8-ce str. 161, z 16 ilustracyami).

Jaką wartość dla polskiego czytelnika mogą mieć spisane urzędowym stylem okrutne rozporządzenia i krwawa działalność na Litwie wileńskiego wielkorządcy, którego samo nazwisko grozą i wstrętem przejmuje, najboleśniejsze wywołując dla nas wspomnienia. Zapewne, że nie wartość przyjemnej lektury, ale wartość inną, wielką choć bolesną.

Murawiew, przedstawiający się w swych pamiętnikach z całą prawdą i cynizmem, z dziką, nienasyconą namiętnością krwi i mordów, zawziętą żądzą wytępienia i zniszczenia wszystkiego co katolickie i polskie — to nietylko zwyrodniała jednostka — to uosobienie rosyjskiej rządowej idei i narzędzie wcielające tę ideę w system.

Gdyby żadnych innych nie było dokumentów nad ten murawiewowski, przez niego pisany i sobie samemu wystawiony pomnik jego działalności w myśl owej rosyjskiej rządowej idei, nieprzerwanie nurtującej i działającej, książka ta wystarczyłaby jako historyczne świadectwo fałszów, przewrotności i zbrodni dokonywanych z górą od wieku na organizmie podbitego narodu. I w tem wartość tych „Pamiętników“ dla polskiego społeczeństwa, że mu odsłaniają bez ogródki całą nieprzejednaną bezwzględność i brutalną konsekwencyę i siłę tego systemu, który godzi w najświętsze skarby narodu. Poznać takiego nieprzyjaciela i jego system walki z własnych słów Murawiewa, to rzecz doprawdy pożyteczna i potrzebna. Niezrównanie doskonałe *pendant* do tych „Pamiętników“ znajdzie czytelnik w przedmowie Stan. Tarnowskiego.

Wartość starannego wydania podnosi 16 ilustracyj, wykonanych podług oryginalnych portretów lub rysunków, mianowicie: pomnik na cmentarzu krakowskim poległych w roku 1863; margrabia Aleksander Wielopolski, według oryginalnej fotografii; Andrzej hr. Zamoyski, podług sztychu Oleszczyńskiego; ks. biskup Adam Krasiński, wedle fotogramu; Zygmunt Sierakowski, wedle drzeworytu z r. 1864; „Za wolność i ojczyznę“, kopia obrazu Franc. Streita; ks. Mackiewicz, stracony w Kownie w r. 1864; „Po walce“, rysunek Artura Grottgera; Józef Siemaszko, jako metropolita prawosławny (wedle rosyjskiej litografii); „Szczęść Boże“, rysunek Piotra Stachiewicza; „Rok 1863“, rysunek Juliusza Kossaka; „Rok 1863“, druga rycina, rysunek Juliusza Kossaka; „Na zwiadach“, rysunek Piotra Stachiewicza; „Pochód powstańców na Sybir“, rysunek Artura Grottgera; „Polska zakuwana“, szkic Jana Matejki; Michał Mikołajewicz Murawiew, podług ryciny rosyjskiej z r. 1865.

Ludwik Szwejgier.

Pogadanki z dziećmi. Przez *Jadwigę Chrząszczewską*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1896. (W 8-ce, str. 347, IV).

W szeregu prac mających na celu rozwinięcie umysłowe dziecka, trafnie naznacza p. Chrząszczewska „pogadankom“ pośrednie miejsce między swobodną rozmową a systematycznym wykładem szkolnym. Pamiętając o zasadzie Jana Komeńskiego, że nie słowami, lecz okazaniem danego przedmiotu uczy się dzieci tę lub ową rzecz należycie poznawać, podaje autorka przed metodycznem przeprowadzeniem każdej pogadanki dokładną listę okazów, któremi można dziecko zaciekawić

i pobudzić do kształcącej dlań rozmowy. Pogadanki ugrupowała p. Ch. w następujące działy: dzielenie przedmiotów na części — pogadanki moralno-obyczajowe — geometryczne — o własnościach ciał — o zmysłach — pogadanki zoologiczne — odzież — pogadanki botaniczne — mineralogiczne i technologiczne. Lepiej bezwątpienia brzmiałyby nazwy: pogadanki o wymiarach i bryłach, o zwierzętach, roślinach, minerałach. Ostatnie trzy rozdziały książki pod nagłówkiem: ćwiczenia mowy, dają wskazówki, jak uczyć mówić. Znać że tę książkę pisała doświadczona i z umiejętną metodą dydaktyczną obeznana nauczycielka. Zdaje się nam jednak, że czasem czuć w tych pogadankach pewne doktrynerstwo metodyczne, pewien kult dla wyrozumowanych z góry teoryj, nie liczący się dosyć z wiekiem dziecka i jego umysłowym poziomem. Niewłaściwą np. wydaje nam się treść pogadanki wstępnej (dla dzieci od lat pięciu — jak poucza dopisek) „o częściach jednakowych i niejednakowych"; podobnie jak rozdział traktujący „o wartości, cenie i pieniądzach" (str. 60). Wogóle wydaje się nam, że książka p. Chrz. nauczaniu dzieci co najmniej dopiero siedmioletnich odpowiada.

Uderzyć może dlaczego w pogadankach niema mowy o historyi (zwłaszcza polskiej) i o religii. Pominięcie historyi łatwo zrozumieć — autorka drukowała swą pracę w Warszawie; pominięcie zaś religii jakie mieć może przyczyny — nie wiemy. Być może, że autorka nie uważała się za dość kompetentną i uznała za lepsze pozostawić ten przedmiot osobom do jego nauczania w pierwszym rzędzie powołanym tj. matkom i katechetom. Ten jednak pogląd (jeśli rzeczywiście miał miejsce) w tego rodzaju książce jak „Pogadanki" nie wydaje nam się właściwym. Rozmów o Bogu brakować w nich nie powinno.

Leszek Dziama.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Flora von Polnisch-Livland mit besonderer Berücksichtigung der angrenzenden Florengebiete etc. *Dr. Eduard Lehmann. (Archiv für Naturkunde Liv-, Est- und Kurlands*, 2 te Serie, XI. Lieferung. Z mapą). Dorpat 1895. (W wielkiej 8ce, str. 432).

Ta równie ciekawa, jak pouczająca książka d-ra med. Edwarda Lehmanna zestawia skrzętnie wyniki dotychczasowych badań roślinności nietylko w obrębie bezpośrednio znanego autorowi dawnego księstwa inflanckiego czyli tak zwanych Inflant polskich (stanowiących jak wiadomo, już od roku 1802 trzy rozległe powiaty gubernii witeb

skiej, a mianowicie: dyneburski, rzeżycki i lucyński), lecz wogóle w guberniach: inflanckiej czyli ryskiej, kurlandzkiej, estońskiej, witebskiej, kowieńskiej, wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, mohylewskiej, a nawet pskowskiej i petersburskiej.

Najbardziej atoli wyczerpująco opisana jest flora Inflant polskich, którą całkiem samodzielnie opracował szanowny autor na podstawie trzydziestoletnich badań swoich w tymże kraiku, który od lat kilkudziesięciu jako praktykujący lekarz zamieszkuje stale, czyniąc tu corocznie wycieczki botaniczne.

W dziele swojem, obejmującem 432 stron w wielkiej 8 ce, spożytkował dr. Lehmann około 600 dzieł, pomiędzy innemi także 26 prac botaników polskich, przy czem wyraża wielkie uznanie wydawanemu w Warszawie „Pamiętnikowi fizyograficznemu“, skupiającemu w sobie owoce poszukiwań krajoznawczych. Zastanawiającą wszakże jest okoliczność, że autor, znający tak dobrze język polski, nie przytoczył ani razu pracy swego poprzednika, Józefa Gierald-Wyżyckiego, który w połowie bieżącego stulecia wydał znane botanikom polskim, a przed laty powszechnie cenione dzieło dwutomowe pod tytułem: „Zielnik ekonomiczno-techniczny“ (Wilno, 1845 r.) z uwzględnieniem zwłaszcza Inflant polskich i prowincyj je otaczających. Dziełko to dwutomowe cieszyło się większem uznaniem niż wiele innych ksiąg botanicznych polskich, przytaczanych przez szanownego autora.

Cenną swą pracę podzielił p. Lehmann na dwie części. Z tych pierwsza, ogólna, zawiera przegląd zużytkowanej przez niego literatury botanicznej. Po nim następuje rzut oka historyczny na wyniki badań botanicznych w obrębie Inflant polskich i krajów je otaczających, po czem daje szanowny autor obraz treściwy stosunków hydrograficznych, orograficznych i geologicznych Inflant polskich. Tę pierwszą część pracy swojej zakończył p. Lehmann charakterystyką roślinności w obrębie dawnego księstwa inflanckiego czyli t. zw. Inflant polskich.

W drugiej specyalnej części tejże cennej książki opisuje autor szczegółowo naprzód niektóre, pod względem botanicznym nader ciekawe miejscowości Inflant polskich, przedstawiając w ten sposób cenny materyał do studyów porównawczych. Potem następuje rozdział pod tytułem: *Die indigenen Florelemente und ihre Vegetationsgrenzen,* w którym traktowane są geologiczne elementa flory polsko-inflanckiej wraz z dokładnem określeniem granic przez tę wegetacyą zajmowanych.

Z kolei przechodzi szan. autor do najbardziej troskliwie przez niego opracowanego działu pod tytułem: *Die advenen Florelemente und*

ihre Verbreitung durch den Menschen und seine Transportmittel, w którym przedstawia obraz rozszerzania się roślin ze stref oddalonych za przypadkową pomocą komunikacyj jużto wodnych, jużto lądowych, a więc przez statki wodne oraz pociągi kolei żelaznych, roznoszące najmimowolniej rozmaite nasienia przy przewozie towarów. Jest to jeden z najciekawszych i najbardziej pouczających rozdziałów tej książki.

Atoli najobszerniej traktowaną jest część systematyczna dzieła p. Lehmanna, układana według systemu Hausteina. W nomenklaturze botanicznej przystosowuje się autor do profesora Aschersona, idąc w tem za przykładem nadbałtyckiego botanika p. Klinge'go i jego znakomitego podręcznika: *Flora der Ostseeprovinzen.*

Z flory Inflant polskich przytacza i szczegółowo opisuje dr. Lehmann 819 rodzaji, 336 odmian oraz 48 form, a także 33 roślin zdziczałych, ogółem 1236; z flory zaś prowincyj ościennych podaje roślin 1338, 767 i 183, 146, ogółem 2424.

Jak wielkiem uznaniem cieszy się w świecie naukowym znakomita praca d-ra Lehmanna, poświęcona roślinności Inflant polskich i krajów ościennych, tego najwymowniejszym dowodem to, iż w ciągu niewielu miesięcy, odkąd się ta książka na półkach księgarskich pojawiła, omawianą została przez licznych mężów fachowych w łamach poważnych pism naukowych z tejże dziedziny wiedzy, że tylko przytoczymy leżące w tej chwili przed nami:

1. *Botanisches Centralblatt,* tom I, XV, nr. 4; sprawozdanie o dziele Lehmanna napisał dr. H. L. Krause.

2. *Petermann's geografische Mittheilungen,* z r. 1895; referat o tejże książce podał prof. Drude.

3. *Verhandlungen der k. k. zoolog-botanischen Gesellschaft in Wien* z r. 1895; referat skreślił dr. Knapp.

4. Berlińskie czasopismo: *Naturwissenschaftliche Wochenschrift,* nr. 8 z r. 1896; w niem na stronie 93—96 recenzya prof. Aschersona o temże dziele.

5. *Oesterreichische botanische Zeitschrift* z r. 1896—33; referat o książce Lehmanna skreślił prof. Wettstein.

6. Wychodząca w Karlsruhe *Allgemeine botanische Zeitschrift für Systematik, Floristik, Pflanzengeographie etc.,* nr. 1 z r. 1896, w którym to numerze odnośną recenzyę skreślił prof. dr. P. Graebner.

Jakkolwiek dr. Knapp w przytoczonym powyżej referacie o dziele Lehmanna czyni autorowi zarzut, iż rzekomo zbyt mało zużytkowuje w swej pracy dotychczasową literaturę monograficzną, pisma balneolo-

giczne oraz tak zwane *pamiatnyja kniżki*, wydawane od czasu do czasu przez urzędy gubernialne cesarstwa rosyjskiego a nakoniec wylicza szereg roślin, które, zdaniem tegoż d ra Knappa prawdopodobnie dałyby się odszukać w guberniach litewskich Rosyi, wszakże zaznaczyć należy, że całkowita bezzasadność takowych zarzutów wykazaną została niebawem przez uznane powszechnie powagi naukowe. Przeciw stronniczym wycieczkom w referacie d-ra Knappa zaprotestowali bowiem w recenzyach swoich o temże dziele d-ra Lehmana prof. Wettstein w Wiedniu (Obacz *Oesterreichische botanische Zeitschrift* z r. 1896, — 33), prof. Ascherson w Berlinie (Obacz *Naturwissenschaftliche Wochenschrift* z roku 1896, nr. 8), oraz prof. Gräbner w Karlsruhe (Obacz *Allgemeine botanische Zeitschrift für Systematik, Floristik, Pflanzengeografie etc.* z roku 1896, nr. 1). Umieszczone przy końcu recenzyi tego ostatniego słowa, jako nader charakterystyczne, niech nam będzie wolno przytoczyć tutaj dosłownie: „Ultra posse nemo obligatur! Krytykowi (d-rowi Knappowi), który w sposób nie zbyt życzliwy. a nieraz i wprost niesłuszny usiłuje uwydatnić drobne nawet braki i usterki tej książki — od jakich zresztą i obszerne dzieła, choćby najlepsze, nie bywają zazwyczaj wolne — życzymy, aby przyszła jego własna praca nie pozostała zbyt w tyle poza tą florą (Lehmann'a).

Podzielając całkowicie powyższe zdanie prof. Graebnera zaznaczyć tu winniśmy, że całe dzieło d ra Lehmana wzbudza w czytelniku zaufanie ku autorowi i wywodom jego. Nietylko bowiem podaje ono wciąż czytelnikowi sposobność do śledzenia i dochodzenia wiarogodności przytaczanych źródeł oraz przekonywania się o gruntowności naukowych badań szanownego autora, ale zarazem wywiera wrażenie nader sympatyczne z powodu jasności i niezrównanej prostoty, z jaką autor przedstawia czytelnikom ten owoc poważnej i wieloletniej pracy swojej.

Gustaw Manteuffel.

Rechtsgeschichte Liv-,Est-und Kurlands. Prof. dr. *Schmidt Oswald.* (Ogłoszone w *Dorpater juristische Studien*, Tom III, zeszyt 2 i 3 przez d-ra *E. Nottbeck'a*, z przedmową wydawcy). Jurjew (niegdyś Dorpat), 1894, bei E J. Karow. (Str. VIII. i 403 w 8-ce).

Po ostatecznem zatarciu w r. 1892 wszelkich śladów dawnej niemieckiej wszechnicy dorpackiej czyli *Universitatis Cesareae Dorpatensis*, której zadaniem (wedle pięknych słów jej dostojnego założyciela, cesarza Aleksandra I., uwiecznionych w akcie erekcyjnym z 12 grud. 1802 r.) było „pośredniczyć stale w przelewaniu na Rosyę cywilizacyi

zachodnio-europejskiej", i po ustanowieniu na jej miejscu z woli cesarza Aleksandra III. uniwersytetu jurjewskiego czyli *Universitatis Cesareae Jurjeviensis* na modłę szkół wyższych czystorosyjskich — nawet samą nazwę miasta Dorpatu raz na zawsze zniesiono. Przetrwała ona atoli przypadkowo w wydawanem przez uczonych niemieckich czasopiśmie p. t. *Dorpater juristische Studien*, pojawiającem się i dotąd od czasu do czasu na półkach księgarskich, a w którem ogłaszane bywają płody dawnych studyów prawniczych byłego uniwersytetu dorpackiego.

Zeszyty 2 i 3 tomu III. przyniosły nam przy końcu roku 1894 sporą książkę o kilkuset stronach ścisłego druku, powstałą z prelekcyi zmarłego w Dorpacie w r. 1890 profesora historyi prawa nadbałtyckiego, d-ra Oswalda Schmidt'a. Najpilniejszy a poważny już wiekiem uczeń zmarłego, dr. Eugeniusz Nottbeck, uporządkowawszy spuściznę rękopiśmienną swego dawnego nauczyciela i mistrza, ogłosił skwapliwie jego wykłady z zakresu prawa Inflant, Estonii i Kurlandyi.

Wyznać należy, że rękopis przeznaczony wyłącznie do wykładów z katedry uniwersyteckiej, a którego treść uczony prelegent co chwila wzbogacał ustnemi uzupełnieniami, pozostawia mało miejsca do kontrowersów. Główne zalety tej pracy leżą oczywiście w odpowiedniem ugrupowaniu treści nadzwyczaj różnolitej, w jasności wyrażeń, pełności obrazów, w udatnem przeprowadzeniu treści głównej. „Kto pragnie nauczać, nie powinien popadać w wątpliwości; kto chce być pożytecznym, ten powinien coś przynieść do skarbnicy nauki", głosi znane adagium Dorpatczan.

Wymaganiom powyższym zdaje się całkowicie odpowiadać dzieło pośmiertne prof. Schmidt'a, a zaś publikacya jego zasługuje na tem szczersze uznanie, że jest to pierwsza próba ujęcia historyi prawa prowincyj nadbałtyckich w całkowity obraz.

Nie zbywało wprawdzie i dotąd na obszernych monografiach, traktujących o pojedynczych częściach miejscowej historyi prawa, nie brakło rozpraw, dotyczących historyi źródeł z tej dziedziny wiedzy, nie brakło dysertacyj, odnoszących się wyłącznie jużto do historyi procesu karnego i cywilnego, jużto do historyi prawa karnego i cywilnego nadmorskich krain tutejszych. To też odnośna literatura (za wyłączeniem tylko prawa prywatnego) należycie uwzględnioną została już w samym wstępie do pracy pośmiertnej prof. Schmidt'a. Nie mieliśmy atoli po dzień dzisiejszy podręcznika historyi prawa nadbałtyckiego, ujętej w całość organiczną.

Jedyne dwie książki, jakie z tego zakresu wiedzy istnieją, a mia-

nowicie: *F. G. Bunge's Einleitung in die liv-,est- und kurländische Rechtsgeschichte und Geschichte der Rechtsquellen* oraz wydana przez hr. Sieversa i br. Rahdena w języku rosyjskim, a przez Jerzego Brewerna w tłumaczeniu niemieckiem *Geschichtliche Übersicht der Grundlagen und der Entwickelung des Provincialrechts in den Ostseegouvernements,* nie mają na celu ujęcie rozwoju miejscowego prawa w jednolity obraz, ale raczej dążą do monograficznego przedstawienia pojedynczych części tego prawa.

I tak, w przytoczonem powyżej pomnikowem dziele Bunge'go traktowaną jest wyczerpująco i występuje na plan pierwszy historya źródeł do prawa nadbałtyckiego; Sieversa zaś i Rahdana *Geschichtliche Übersicht* i t. d. zajętą jest przeważnie historycznem przedstawianiem ustroju tutejszych instytucyj państwowych *(Behördenverfassung)* oraz praw stanów nadbałtyckich *(Ostseeprovinciales Ständerecht).*

Niemniej jednak pozostanie niespożytą zasługą dzielnego profesora dorpackiego F. G. Bunge'go, że w obszernych swych pracach naukowych: *Forschungen aus dem Gebiete des römischen Rechts in den Ostseegouvernements Russlands,* zarówno jak: *Forschungen aus dem Gebiete des Privatrechts der baltischen Lande* i w wielu innych dziełach z tego zakresu wiedzy, uporządkował naukowo całkowity system prawny krajów nadbałtyckich. Jako znakomity profesor jedynego uniwersytetu krajowego stał się założycielem nowej szkoły prawniczej, która odtąd pracowała już stale w kierunku przez założyciela wytkniętym rozszerzając coraz bardziej zakres tej gałęzi umiejętności prawnej. Jako ostatnie ogniwo tych dawnych studyów dorpackich prawniczych, równie wytrwale jak sumiennie i umiejętnie prowadzonych, przedstawia się obecnie czytelnikowi sympatyczna książka przytoczona w nagłówku.

Pracę tę swoją doprowadził ś. p. prof. Schmidt zaledwie do drugiej połowy roku 1888; nie dotyka więc już ona roku 1889, który dla prawnego życia prowincyj nadbałtyckich tak niepomiernej był doniosłości. Paragraf 135 i ostatni, dotyczący wprowadzenia w owym właśnie roku rosyjskiej reformy sądowej do krajów tutejszych (ob. str. 361—366 tego wielce pożytecznego dzieła), dodany został przez wiernego ucznia-wydawcę dla uzupełnienia obrazu.

Gustaw Manteuffel.

La Conjuration de Cinq-Mars. Par *J. P. Basserie,* avec une préface par *Alfr. Mézières,* de l'Acad. franç. Paris 1896. Perrin et Cie. (Str. 326).

Są w dziejach kwestye, które wydają się nigdy niewyczerpane: taką jest proces i zagłada Templaryuszów, taką również spisek i zgon

biednego Cinq-Marsa. Co dziesięć lub dwadzieścia lat ukazuje się nowe dzieło, rzucające snop światła na te czarne chwile, oświecając coraz to z innej strony czeluście serc ludzkich i kłębiące się w nich gady podłości. Proces Templaryuszów może zająć czytelników na większą skalę; sprawa Cinq-Marsa zaś więcej nas osobiście dotyczy. Pragniemy poznać, jakim był w istocie jedyny człowiek, rzec można niemal jedyna istota, która zdolna była wzruszyć serce Maryi Ludwiki, podwójnej naszej królowej. Pani ta, na polskim tronie uwieńczona aureolą bohaterskiego nieszczęścia, we Francyi nie zbyt miłą zostawiła pamięć. Widziano w niej kobietę piękną, ambitną, o potężnym umyśle i gwałtownej woli, ale pozbawioną serca, gotową stąpać po trupach, byle dojść do celu, trochę nieprzymierzając, jak znienawidzony przez nią Richelieu. Zarzucają jej, iż siostry swoje pozostawiała w klasztorze w zupełnej nędzy, posądzano ją o brak wiary i praktykę czarów... Z tych jedynie drugi zarzut zbić możemy choćby tylko sprowadzeniem do Polski świeżo przez św. Wincentego a Paulo założonego zakonu; za to listy sekretarza jej de Noyers pełne są astrologii i nie brak dowodów, że się nią bawiła królowa. Wielu wówczas ludzi umiało to ze sumieniem swojem pogodzić. Zresztą lepiej już o sumienie nie pytać, jeśli się chce z zimną krwią doczytać do końca dzieje smutnego dramatu, w którym sama Marya Ludwika stoi nieco na uboczu, działając raczej uczuciem niż czynem, zasilając jedynie ogniem własnej zawiści koło skądinąd puszczone w ruch.

Książka, napisana przez kobietę, pannę Basserie. Jeśli się jednak (co wiele osób czyni) przedmowę zostawi na koniec, można całe dzieło przeczytać, nie dopatrując nigdzie niewieściej dłoni. Dokumenta, ścisłe fakta, treść nabita prawie do zbytku, zmuszają czytelnika do ciągłego natężenia uwagi, odejmując opowieści pozór lekki, jakim się chlubią zazwyczaj francuskie utwory. Czuć, że tu przeszedł powiew pedanteryi niemieckiej, lub, co może prawdopodobniejsze, iż autorka pragnęła umyślnie odjąć cechę romansu tym z natury już romantycznym dziejom. Oto co pisze w przedmowie swej członek Akademii, Alfred Mézières: „Alfred de Vigny skreślił romans Cinq-Marsa piórem artysty, poety. Tu mamy obecnie dzieje prawdziwe, czerpane z najlepszych źródeł, dramatyczniejsze od romansu i stokroć bardziej bolesne. Zauważono już nieraz, że gdy historyk się z blizka rzeczywistości przygląda, odkrywa w niej dziwniejsze wypadki i bardziej niespodziane momenta, niżby wyobraźnia wytworzyć je śmiała. Życie Cinq-Marsa zawiera w krótkim przeciągu lat streszczenie największych przeciwieństw i krańcowych

ostateczności spraw ludzkich. To co tak szybko przeżył wydałoby się nieprawdopodobnem, gdyby nie było prawdziwem". W dalszej ocenie p. Mézières czyni autorce zarzut, zresztą jedyny, że w nieszczęsnym ulubieńcu królewskim widzi raczej ofiarę niż winowajcę; trudno jednak patrzeć nań inaczej, zważywszy, że konając pod toporem kata miał lat 22, że go dzieckiem prawie ambicya matki i wyrachowanie kardynała rzuciły w wir intryg dworskiego życia, że mu nie dano czasu wykształcić się prawidłowo i rozwinąć a wszystkie w nim piękne strony umysłu i serca skrzywiono. Richelieu chciał mieć przy boku króla kreaturę swoją i szpiega i rolę tę biednemu chłopcu przeznaczył. Henryk d'Effiat bronił się, płakał, chciał pod chorągwie uciekać ze dworu, napróżno! nałożono mu więzy złote, przykuto do człowieka znudzonego i nudzącego innych, chorego, zgryzionego, niemogącego się obejść bez wszechpotężnych usług ministra, którego nienawidził. Charakter Ludwika XIII. w stosunku z Cinq-Marsem występuje dziwnie nędznie; przywiązuje się doń namiętnie, nie prawdziwą ojcowską przyjaźnią, ale miłością śmieszną, jaką niektóre stare panny kochają psa lub papugę. Ulegał wszelkim kaprysom faworyta, który konając z nudów robił co mógł, aby się wydać nieznośnym i otrzymać odprawę; znosił od tego faworyta impertynencye i lekceważenie a równocześnie wyprawiał sceny zazdrości, kłótnie i dąsy, poniżające godność nietylko królewską, ale i starszego człowieka. Nieraz Richelieu przerywał swe polityczne prace, aby godzić zwaśnionych i wtedy król kazał Henrykowi podpisywać pakt nowej na przyszłość miłości i zgody. Trudno byłoby uwierzyć gdyby nie dokumenta. Cinq-Mars nudził się do wściekłości, od rana do wieczora związany bezczynną służbą, skazany na rolę uroczego błazna, zmuszonego nie rozśmieszać lecz bawić. Z nudów rzucił się w rozpustę; w ciemną noc, gdy już uspił swe stare królewskie dziecię, dosiadał cichaczem konia i wymykał się do Paryża, gdzie go czekało towarzystwo wesołe a zgubne w salonach pięknej Marion Delorme. Oczywiście podpatrywano go i donoszono królowi, który, tym razem słusznie, łajał surowo i... nudził dalej, zamiast 18-letniego chłopaka zająć pracą lub posłać do wojska. A kardynał? Ten gromił także, ale nie za młodzieńcze wybryki. On żądał szpiegostwa, powtarzania sobie wszystkich słów monarchy, podpatrywania jego zamiarów. Tu zaś Cinq-Mars, z innych miar jeszcze dziecinny, okazywał męską szlachetność i śmiałość. Wynikiem jej były sceny straszne. Henryk nie ustępował, ale wychodził z pod krwawych szpon swego „dobroczyńcy" zdrętwiały, drżący i niemy, a potem wpadał w długie

nerwowe łkanie. Richelieu postanowił go ugiąć i w tym celu usiłował go zmiażdżyć, wolę jego zniweczyć, poczucie honoru zdeptać. Był pewny, że gdy tego dokaże, przysposobi sobie narzędzie, o jakiem marzył. Ale sztuka nie udała się: młodzieniec nie ugiął się, ale jął nienawidzić. Postawiony między pieszczotami i wymówkami króla a obelgami kardynała miotał się i gorzkniał, szarpiąc daremnie łańcuch, który go przywiązywał do dworu. Mienił się najnieszczęśliwszym z ludzi, zazdrościł losu każdego żołdaka w czasach, gdzie mu świat cały pomyślności zazdrościł. Raz przecie na czas krótki wydostał się na wojnę — było to w chwili oblężenia Arras. Wtedy dzielnością swoją dopomógł do odniesienia zwycięstwa. Zaraz potem jednak trzeba było powrócić i zgrzytając zębami słyszeć, jak Richelieu w ujemnem świetle działalność jego przedstawiał; czytać, jak przez kardynała podsunięty artykuł gazety mienił dowodem tchórzostwa bladość, jaką chwilowe niedomaganie w czasie bitwy lica jego okryło. Richelieu chciał mu obrzydzić rzemiosło wojenne. I znów wywołał tylko nienawiść.

Wkrótce jednak w życiu Henryka zjawił się żywioł nowy: poznał księżniczkę mantuańską i mimo różnicy stanowiska i wieku głęboką miłością pokochał. Marya Ludwika dała się wzruszyć szczerością tego uczucia, przyrzekła mu swoją rękę, byle dostąpił książęcej godności. Biednemu chłopcu zapłonęło w głowie; zostać *duc et pair* wydało mu się rzeczą nietylko możliwą, ale łatwą przy łaskach, jakich zażywał u króla. Trzeba jednak było czekać, a on czekać nie chciał. Upojony szczęściem widział jak większość ludzi w podobnych chwilach, wszystko w świetle różanem; każdy człowiek zdał mu się przyjacielem, nawet w strasznym kardynale zapomniał swego tyrana, pomnąc tylko dobrodziejstwa dni dawnych. Pierwsze spotkanie z wielkorządcą zmroziło ten zapał: Richelieu przyjął jego zwierzenia z obelżywem szyderstwem, obelżywem dla niego, dla jego matki, dla księżniczki Maryi: „chyba oszalała zniżając się do tak chudego pachołka, ona, której o mało brat królewski nie pojął“... Henryk jak zwykle wysłuchał obelg w milczeniu i dopiero wracając do siebie wybuchnął wściekłością i łzami. Odtąd też w charakterze jego nastąpił zwrot: ustały hulanki wygnane uczciwem uczuciem, ale równocześnie miejsce dziecinnych dąsów i trwogi zajęły chęć zemsty i chciwa ambicya. Cinq-Mars przestał się wyrywać od boku króla, zamienił się w zwinnego dworaka, u którego młodzieńczy wdzięk i zmienny humor rozpieszczonego dziecka miały maskować wybitny cel: wygnanie kardynała od dworu. Nienawiść jego podsycaną była z różnych stron: przez Maryę Ludwikę z jednej, z drugiej przez

wręcz odmiennego człowieka — Franciszka de Thou. Ten ostatni nie był już młody ni piękny, dusza rozmarzona i piękna, pragnąca namiętnie dobra ludzkości a upatrująca nieprzyjaciela tego dobra w obecnym kierowniku państwowej nawy. Jemu kardynał nie był nic zawinił — przeciwnie miał doń urazę za zarzuty w książce ojca jego, prezydenta de Thou, jednemu z rodziny Richelieu czynione. Osobiście więc był mu obojętnym, ale za to polityka jego wydała mu się szatańską — i nie bez pewnej słuszności. Była to polityka nienawiści i pychy, depcąca w kraju i poza krajem wszystkie względy ludzkości, wszystkie prawa cnoty i wiary dla wywyższenia jednego bożyszcza — rządu. Gdyby się był zatrzymał w połowie swego dzieła i zgniótłszy tylko warchołów rząd ten na silnej oparł podstawie — wtedy byłby zasłużył na trwożliwą cześć, jaką historya opromieniła jego imię. On jednak przekroczył miarę; druzgocąc wszystko inne wyśrubował tron na wysokości, kędy zasiadający władca musiał dostać zawrotu głowy i runąć w przepaść wraz z tronem. Nabuchodonozorska świetność Ludwika XIV. nie ostała się długo: w rękach już jego następcy cały gmach zaczął się chylić, aż i legł w błocie, w którem zanurzon aż po dziś dzień spoczywa. Tego współcześni widzieć jeszcze nie mogli, ale widzieli dzieło Lutra ugruntowane w Niemczech ręką francuskiego purpurata przez poparcie i podżeganie protestantów niemieckich, przez podsycanie strasznej trzydziestoletniej walki coraz to nowem żarzewiem; widzieli we własnym kraju wojnę uporczywie trwającą przez wściekłą zazdrość do niemieckich i hiszpańskich Habsburgów, a przez wojnę kraj nurzający się we krwi, wyczerpany z grosza i z chleba tak, że miejscami chłopi wygrzebywali trupy, aby się niemi pożywić a patrzący na to żołnierze mogli tylko odwracać oczy i łzy litości ocierać. W opinii wielu Richelieu nie miał w tem nawet wielkich, publicznych celów, ale działał dla własnej ambicyi. Tak przynajmniej sądził de Thou a wraz z nim setki i tysiące ówczesnych Francuzów. Uważali kardynała za uosobienie nieszczęścia Francyi i zguby jego z patryotycznych pobudek pragnęli. De Thou nie przypuszczał wprawdzie, aby złem walczyć przeciw złemu i zbrodnią pozbyć się zmory. Myśli jego jednak trafiając u Cinq-Marsa na grunt osobistą uprawiony krzywdą, przesiąkły go do samej głębi. Dziwny to był stosunek, w tym czasie właśnie bliższą przyjaźnią wzmocniony: de Thou zainteresował się bogatą naturą młodzieńca, pokochał go jak młodszego brata, marzył, aby zeń dla króla anioła stróża uczynić, przeciw kardynałowi podniecał go bezwiednie, poniekąd kierował nim, a równocześnie ulegał mu w czynie. Cinq-Mars posługiwał

się nim tam nawet parękroć, gdzie widział, że przyjaciel wbrew swemu przekonaniu przez słabość serca się skłania. De Thou nie był jedynym jego doradcą; znalazł się i człowiek, pchający do czynu, ułomny a cięty, margrabia de Fontrailles. Ten kuł zwolna żelazo, aż wykuł, co chciał; Cinq-Mars dał się wciągnąć w ów nieszczęsny spisek przez książąt Orleańskiego i de Bouillon uknuty, przymierze zawarte z Hiszpanią przeciw stronnictwu kardynała rzekomo w celu uwolnienia króla z pod jego przemocy. Na tę przemoc Ludwik XIII. głośno wtedy się żalił, ulubionym jego wobec Cinq-Marsa tematem rozmowy były uszczypliwe mowy i żarty na kardynała. Cinq-Mars parękroć ośmielił się wyrazić, iżby go warto zgładzić, na co król odpowiadał milczeniem, które niejeden byłby zapewne za przyzwolenie uważał. Uczciwsze propozycye, aby ministra oddalił, odrzucał jako rzecz niemożliwą. Cinq-Mars nie byłby nigdy zdolnym zamordować wroga, był jednak dość dziecinnym aby się takim zamiarem półsłówkami przechwalać. Gdy z królem, bardzo już chorym, do południowych prowincyj na wojnę zjechał, w czasie oblężenia Perpignan, los kardynała wisiał na włosku. Niechęć króla ku niemu zdała się z każdym dniem wzrastać a on sam gorzej jeszcze od króla chory nie był w stanie się bronić; potęga Cinq-Marsa wzmagała się, znaczna część wojska za nim szalała, a on z uśmiechem znaczącym pokazywał sztylet niezwykłej długości, utkwiony przy szpadzie, zwierzał się bez zastanowienia, usiłował do celów swoich wciągnąć każdego. Niejeden słuchał mile, obsypywał go objawami przychylności, a potem głos swój do chóru oskarżeń przyłączył. Takim np. był marszałek Schomberg, w którym po tym czynie nie znać pobratymstwa krwi z naszymi, polskimi Schombergami [1]; u tych mniej było zewnętrznego blasku, ale imię ich brzmi czysto jak szczęk rycerskiego oręża.

W spisek wmieszanych było osób wiele — zbyt wiele; była pono wmieszana królowa. Fontrailles sam jeździł do Madrytu konferować z księciem Olivanes. Dotąd nikt nie wie dokładnie jak rzecz wyszła na jaw; różne wersye chodziły po ludziach, a między niemi najgorsza, którą autorka za dość prawdopodobną uważa, iż królowa Anna sama zdradziła siebie i drugich: traktowano ją jako wroga i chciano dzieci odebrać — usiłowała więc się ratować. I w istocie uratowała się, uratował się również książę Orleański, gubiąc wspólników, uratował się,

[1] Niewiadomo, czemu nazwisko to bywa najczęściej przekręcane i pisane Szemberg, tak, że się niejeden czytający nie domyśla prawdziwego brzmienia.

choć z trudem, książe de Bouillon, kosztem odstąpionego królowi Sedanu. Cinq-Mars nie posiadał twierdzy, aby się nią okupić a prócz istotnej zbrodni miał na sumieniu swoje pogróżki: Richelieu byłby przebaczył zdradę (boć ją innym darował) ale nie przebaczył swej trwogi, nie przebaczył upokorzenia, iż on, wszechwładny pan kraju, o mało nie upadł przed wpływem 22 letniego chłopaka. Na Cinq Marsa zatem i na mało co świadomego sprawy Franciszka de Thou złożono wszystko. Wszyscy współwinni brzemię swoje na ich głowę zwalili. Do tych musiał się zaliczać i Ludwik XIII., skoro tak ukochanego przyjaciela nagle opuścił, listem zadziwiającym podłością inne oskarżenia wyprzedził i drżąc przed rewelacyami Henryka, jął się kardynałowi przymilać. Ohydnym musiał być widok tych dwóch mocarzy schorzałych, nawpół już stojących w grobie a z zażartą chciwością wyszukujących dowodów, aby módz prawnie i jawnie uderzyć bezbronnego winowajcę, który za wszystkich potężnych winowajców odpowiadać musiał. Król upajał się sam własnem oburzeniem, wmawiał w siebie sprawiedliwy gniew, na dawnego ulubieńca miotal niemal przekleństwa, był jednak śmiertelnie smutny...

Czem byłby mógł zostać Henryk Cinq-Mars gdyby mu nie przewrócono głowy i nie skrzywiono serca, dowodzi jego postępowanie w więzieniu. Jakiemi były te więzienia opowiadać nie trzeba. Kto zna dzieje niewoli francuskiej Jana Kazimierza, ten się domyśli męczarni fizycznych i moralnych, cierpianych przez nieszczęsnych więźniów kardynała. Dano mu wszakże pociechę: Jezuita, O. Malavalette miał wstęp do komnaty, kędy z pięciu strażnikami dniem i nocą przebywać musiał; kapłan ów siadywał godzinami przy łożu chorego ze zgryzoty młodzieńca, leczył rany, koił wzburzenie, poruszał najgłębszą skruchę. I stało się, że gdy wszyscy spiskowcy na wstępie z trwogi przed karą ulegli, Cinq-Mars, najmłodszy, który prócz kary musiał się i zemsty obawiać, do końca prawie milczał, zasłaniając wszystkich. Dopiero gdy ich własne deklaracye usłyszał, gdy go okłamano twierdząc, że i de Thou go zdradził a w zamian za szczere wyznanie obiecano zdradziecko amnestyę — biedak uległ zgryziony, wyznał wszystko od początku do końca i na mocy tego wyznania został skazany. Na mocy również słów jego skazano Franciszka de Thou. Tortury z nim nie użyto, obawiając się, aby nie powtórzył słów króla, o których Richelieu wiedział wybornie ale wiedzieć nie chciał.

Skazano ich i stracono, czyniąc z szlachetnego ale o słabem sercu marzyciela i z młodzieniaszka miłością, zemstą i ambicyą po-

pchniętego do zdrady, dwie męczeńskie niemal ofiary otoczone po koniec świata aureolą smętnego uroku. Cinq-Mars musiał mieć już potężny urok za życia, skoro był jedynym w dziejach Francyi faworytem, którego lud Paryża ubóstwiał tak, iż Richelieu nie chciał procesu odbywać w stolicy w obawie poważnych zaburzeń. Niemniej przeto, gdyby karą jego było wydalenie, nie byliby ludzie o nim zapomnieli, tak jak zapominają o niewinnych nieraz ofiarach upadłych pod kaprysem monarchy lub ludu. Marya Ludwika usiłowała raz dać znak życia narzeczonemu: paź odważny podjął się cisnąć mu bilecik oblepiony w kulce wosku w chwili, gdy go przez Lyon do nowego przewożono więzienia. Ale kulkę schwycili strażnicy i więźniowi przeczytać nie dali... Aresztowanie jego wzbudziło było w księżniczce wielki płacz i większą jeszcze trwogę. Cinq-Mars bowiem posiadał mnóstwo jej listów, z których niejeden mógł ją politycznie zgubić. Pokazało się potem, że właśnie te listy przezornie był zniszczył, ostrożniejszy dla niej niż dla siebie. Marya Ludwika pono pocieszyła się wkrótce rozpoczynając z księciem d'Enghien *da capo* to, co dopiero z Cinq-Marsem skończyła, tj. rolę bogini górującej całą potęgą swego rozumu, piękności i woli nad klęczącym przed nią śmiertelnikiem. Skoro zaś jej ulegli tacy ludzie jak wielki Condè i dzielny książe de Gesvoes, skoro miał uledz potem Jan Kazimierz, cóż dziwnego, że i biedny, gorący ale dziecinny Cinq-Mars również ulegać musiał?

Opis stracenia w książce panny Basserie jest zbyt długi; wprawdzie cytowany ze współczesnych opisów; de Thou w nim jednak tak długo na rusztowaniu się modli, rozmawia, tyle razy głowę pod cios układa i znów ją podnosi, że się wydaje wręcz niepodobnem, aby nawet wtedy pozwolono skazańcowi tak ze śmiercią się pieścić. Drugi zarzut, który autorce uczynić można jest, że pisze jakoby wszyscy czytelnicy byli uczonymi, jak gdyby dla historyków i to francuskich pisała. Stąd dla nas Polaków, znających lepiej Ossolińskiego i Zamoyskiego od obu francuskich ministrów-kardynałów (choć ci nam się niepoślednio dali we znaki) wypływa niejedna niejasność. Wolelibyśmy trochę mniej erudycyi a więcej powietrza i światła. Ale jak mówiliśmy, być może, iż p. Basserie umyślnie dla uczonych pisała tak, aby jej dzieło za źródło dziejowe służyło. Czy w niem pomimo dokumentów i nauki niema nieco tendencyi, nieco bezwiednego romantyzmu? Nie śmielibyśmy przysięgać. Podając proste sprawozdanie a nie krytykę, trzeba nam było osobistościom dramatu zachować koloryt jaki mają w oryginale. Może należałoby niektóre z nich narysować mniej czarno —

zupełnie jasnych chyba niema wcale, prócz drugorzędnych postaci: O. Malavalette, dowódcy straży więziennej Citona i pułkownika Faberta. I mimowoli, czytając dochodzi się do pouczającej konkluzyi, że jeżeli nasze czasy od opisanych tu nie lepsze, to z pewnością nie gorsze.

T. W.

L'antisémitisme de Saint Thomas d'Aquin. Par *l'abbé H. Gayraud.* Paris. Deutu.

Co parę wieków, rozwielmożnienie Izraela budzi w społeczeństwach chrześcijańskich słuszną obawę i troskę, wiedzie do wznowienia środków obronnych przeciw niebezpiecznemu żywiołowi, który jednocześnie zagarnia materyalne bogactwa świata, i podkopuje moralność ludzkości całej. Bo nie trzeba w antysemityzmie upatrywać ściśle tylko ekonomicznej kwestyi. Stokroć mniejszą krzywdę finansową ponoszą chrześcianie z rąk izraelickich aniżeli moralną. Jeśli wystarcza jednego na wsi karczmarza Żyda, aby zdemoralizować całą osadę, pijaństwem, rozpustą, ułatwieniem kradzieży i namową do tejże, na szerszych widowniach, nawet w literaturze, prasie czy życiu, wszędzie wpływ izraelski pogłębia szlak zepsucia, dostarcza misyonarzy niemoralności, przesłańców poniżenia zmysłowego. Bronić się tedy należy, bronić się mamy prawo, a niestety! ani umiemy, ani próbujemy. To stałe kupowanie w handlach żydowskich, to popieranie Żydów na każdem polu, utrwala oczywiście wśród nas coraz dotkliwsze uciemiężenie polskiego ludu i polskiej duszy przez zbyt gościnnie przyjętego, zbyt pobłażliwie cierpianego Izraela. Po wszystkich krajach świata powiał dziś prąd asemityzmu czy antysemityzmu. W niektórych częściach Europy wytworzył już ten prąd osobne stronnictwa, w innych jest tylko dotąd zasadą i zdaniem. Ale wszędzie ucisk chrześcijan przez rozpanoszonych Semitów budzi niepokój słuszny, i słuszne też szukanie środków ochronnych.

Dziś chcemy sygnalizować pojawienie się książki nad inne znaczącej, wśród licznych i coraz liczniejszych antysemickich na Zachodzie publikacyj. Czemuby nie zasięgnąć zdania najpierwszego w Kościele teologa, wielkiego filozofa chrześcijańskiego, który nie mógł pominąć kwestyi żydowskiej w swych pismach, a to tem bardziej, iż za dni jego antysemityzm istniał już, owszem występował w sposób gwałtowny, bądź namiętnym szałem i mściwym wybuchem pokrzywdzonych, bądź spokojniejszem i wytrawnem działaniem zbiorowem całych społe-

czeństw chrześcijańskich. Święty Tomasz dwukrotnie rozbiera ową zawiłą kwestyę, raz w *Sumie*, drugi raz w osobnem piśmie do księżnej Brabantu, która go się radziła jak ma postępować wobec swych izraelskich poddanych. We wstępnym rozdziale ks. Gayraud streszcza dziejowe objawy niechęci i oburzenia przeciw Żydom, w gruncie usprawiedliwione, w skutkach nieraz straszne i posuwające się do gwałtów, które Kościół stale potępiał. Wiadomo, że Rzym udzielał opieki swej litościwej wywołańcom izraelskim, że nigdy Stolica święta nie pochwalała mściwych i okrutnych rozporządzeń, któremi inne państwa ścigały Żydów. Atoli rządząc się miłością, kierując zawsze miłosierdziem, Kościół uznawał zawsze konieczność warowania się przed semickim rozrostem, słusznemi środkami ostrożności i przezorności. Zaczem do prawa publicznego wprowadzał stale rodzaj legalnego antysemityzmu, i surowego i umiarkowanego zarazem, który miał na celu pohamowanie lichwy, okiełznanie żywiołu semickiego, niedopuszczanie Żydów do stanowisk, któreby ich wynosiły ponad chrześcijan, tychże czyniąc im podległymi i t. p. i t. p. W tych ustawach tkwił antysemityzm wszelkiej pozbawiony namiętności, oparty na doktrynie i rozwadze, nie dającej się nigdy zlać i zespolić z chwilowemi i karygodnemi wybuchami gwałtów antysemickich. Nieprzychylni Kościołowi pisarze, wzięli stąd asumpt do pomawiania Kościoła o brak tolerancyi, nazywali prześladowaniem Żydów to, co właściwie było tylko słusznem pomiarkowaniem ich zakusów i zapędów.

Ks. Gayraud wybornie ową rdzenną ocenia różnicę, a przypomniawszy zdanie św. Tomasza o edyktach stosowanych do Żydów, przytoczywszy wskazówki przezeń udzielane księżnej Brabantu, wyjaśnia i stwierdza, jak dalece ów antysemityzm prawodawczy odznaczał się zawsze roztropnością i sprawiedliwością. Zapewne, niepodobna żywcem przenieść w nasz wiek i nasze stosunki całego rynsztunku ustaw średniowiecznych, pełnych surowości zarazem i przezorności, które sobie zjednały uznanie i pochwały św. Tomasza, ale można w nich znaleść niejednę trafną i dla naszych czasów praktyczną wskazówkę. I tak np. godziło się odbierać synom Izraela i na dobro ogółu obracać, wszelkie ich brudne zyski lichwy, krzywdy jawnie dokonane i sprawdzone. Alboż nie możnaby dziś przeprowadzić śledztwa wykazujące nieprawy a skandaliczny przyrost niektórych potęg finansowych i okroić na cele publiczne grosz oszukaństwem wydarty społeczności chrześcijańskiej? Niegdyś każdy Żyd musiał nosić jawny znak swego wyznania, czapkę czy łatkę żółtego koloru. Nie godziłożby się ściślejszego żądać okre-

ślenia wyznaniowego przy spisie ludności? W średnich wiekach karano srodze nadużycia lichwiarzy. Czyżby ręka sprawiedliwości nie potrafiła dziś dosięgnąć udoskonalonego mechanizmu lichwiarskiego, kryjącego hańbiące rzemiosło pod osłoną bankowych pożyczek i spekulacyj? Niegdyś odsuwano starozakonnych od wszelakich stanowisk rządzących chrześcijanami. Alboż dziś nie godziłoby się żądać, aby nie stawiano tak często chrześcijan w bezpośredniej zależności od izraelskich szefów i kierowników? Św. Tomasz z Akwinu przedewszystkiem radził księżnie Brabantu, aby zniewalała do pracy swych izraelskich poddanych. I dziś wartoby zastosować ów rodzaj przymusu żywiołowi wyzyskującemu pot i trud cudzy, nigdy ręki nie przykładając do osobistego znoju.

Rady św. Tomasza nie zwietrzały, ani się też przestarzały. Stąd niniejsza książka ma wielkie aktualne i oportunistyczne znaczenie. Ale czy wpadnie ona w ręce tych, co tworzą ustawy i zmieniają prawodawstwa pojedyńczych krajów i narodów? Oni to winniby przedewszystkiem czerpać w spuściźnie św. Tomasza, aby pewną prawną podstawą ocalić byt i przyszłość społeczeństw chrześcijańskich.

N.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Król serbski u papieża. — Z patryarchatu carogrodzkiego. — Trwoga rządu węgierskiego przed klerykalizmem.

KRÓL SERBSKI U PAPIEŻA

Nikogo nie dziwi, że papież, jako udzielny władzca w wojnie z królem sabaudzkim, nie przyjmuje na swój dwór watykański nikogo z Kwirynału; każdy dwór tak poczyna sobie, kiedy zerwie stosunki z dworem nieprzyjacielskim. Ten powód, zrozumiały nawet dla innowierców, sprawił, że cesarz niemiecki podczas pobytu w Rzymie nie zajechał do Watykanu jako gość domu sabaudzkiego, odprowadzony świtą z Kwirynału, ale z własnego pałacu swojego, w którym mieszka poseł berliński, cesarz Wilhelm odbył uroczysty wjazd do Watykanu.

Dwór sabaudzki oczywiście z gniewem na to spogląda, ale nie może przepisywać papieżowi praw, jak ma przyjmować swoich gości. Więc niejeden zwolennik Piemontczyków mógł ciekawie oczekiwać, czy papież nie będzie przecie zmuszony odstąpić od swojej polityki, kiedy zechce przyjąć odwiedziny króla serbskiego. Król Aleksander miał poruszyć sprawy hierarchii katolickiej w swojem królestwie i podobno omówić początek jakiegoś konkordatu. Na taką rozmowę wypadało papieżowi przyjąć króla serbskiego; ale ten nie utrzymuje poselstwa w Rzymie, ani nie posiada własnego pałacu, z którego mógłby odbyć wjazd do

Watykanu; stąd powstawać mogła nadzieja czy obawa, że papież pozwoli królowi serbskiemu, jako gościowi królestwa sabaudzkich, z ich dworu i z ich świtą zajechać do Watykanu.

Nadzieje spełzły na niczem. Ciekawi Rzymianie ujrzeli króla Aleksandra, jak w ubiorze cywilnym po południu 26 listopada opuszczał Kwirynał i dworskim powozem odjechał do swojego urzędnika, którego od kilku tygodni umieścił w Rzymie w hotelu zwanym *Albergo del Quirinale;* tutaj przywdział jeneralski mundur serbski i ze swoim ministrem wojny wsiadł do najętego pojazdu, otoczonego oddziałem konnej żandarmeryi, za którą królewska świta serbska ruszyła przed kościół św. Piotra. Po drodze nie zastali rozstawionego wojska, tylko na placu św. Piotra jedna brygada piechoty oddała honory. Tu stanęła konnica włoska, a król ze świtą objechał kościół i stanął na dziedzińcu św. Damazego, gdzie czekał na gości książę Ruspoli, *magister sacri hospitii.* Ten dalej króla do papieża prowadził, otoczony gronem dostojników świeckich i duchownych. Po posłuchaniu król papieżowi przedstawił członków świty i zaszedł do kardynała Rampolli. Przed piątą wrócił do hotelu, gdzie zabawił w gościnie u swojego urzędnika i w tym czasie przyjął odwiedziny księcia Ruspolego i paru dostojników papieskich. Nakoniec przywdział strój cywilny i dworskim powozem wrócił do Kwirynału. Na drugi dzień odjechał do Neapolu, skąd wrócił *incognito* i znowu w hotelu, a nie w Kwirynale, przyjął w odwiedzinach kardynała Rampollę. Przez pomyłkę mimowolną, czy przez umyślnie fałszywą pogłoskę dzienniki poruszyły opinię publiczną doniesieniem, że kardynał Rampolla odwiedził króla serbskiego w Kwirynale.

Wolnomyślne pisma nie tają gniewu, iż nie mogą ujrzeć w Rzymie katolickich mocarzy, a nawet innowierców papież przyjmuje pod takiemi warunkami, które przynoszą wstyd domowi sabaudzkiemu.

Z PATRYARCHATU CAROGRODZKIEGO.

Biskupia stolica carogrodzka przywłaszczyła sobie tytuł patryarszy jeszcze przed czasami świętych Jana Złotoustego i Ignacego; za czasów tego ostatniego już nawet

Rzym używał dla biskupów carogrodzkich miana patryarchów, ale tylko honorowych, podobnie jak do dziś mianuje Rzym patryarchów w Wenecyi i Lizbonie: jednak kościoły wschodnie, nawet najstarsze, jak jerozolimski i aleksandryjski, uznawały w Focyuszu rzeczywistego patryarchę i czciły w nim jakiegoś nad sobą zwierzchnika. Ta uroszczona władza nad Wschodem wiele sił dodała carogrodzkim biskupom w rokoszu przeciw Rzymowi i stanowiła spójnię wszystkich kościołów odszczepionych za czasów Focyusza.

Dzisiaj z patryarchatu carogrodzkiego nie zostało w samej rzeczy wiele więcej, prócz tytułu honorowego. O jego władzę nikt nie dba poza obszarem cesarstwa tureckiego, a nawet pod berłem sułtańskiem jeden biskup po drugim wypowiada ekumenicznemu patryarsze ostatki posłuszeństwa.

Tak np. Rumuni w swojem królestwie i w państwie tureckiem dają sobie radę zupełnie z własnym rządem albo z sułtanem w sprawie swoich biskupstw, a do carogrodzkiego patryarchy nie myślą iść po nic, jak nie wzywają z Rzymu pomocy papieskiej. Świeżo sprawa kościelna obaliła w Rumunii ministeryum Stourdzy, a nie zamąciła spokoju biskupowi w Carogrodzie. Tak zwany prymas odszczepionego kościoła rumuńskiego, metropolita z Bukaresztu, Gennadios, wpadł w silny zatarg ze swoim Synodem. Przeciwnicy sporządzili długi spis skarg i zarzutów na niego; nie przesłuchanego, bez obrony potępili, zsadzili z biskupiej stolicy i skazali do monasteru na pokutę w pobliżu Bukaresztu. Nie można powiedzieć, co Gennadios podniósłby na swoją obronę, ale można twierdzić, że pomiędzy zarzutami niektóre tchną osobistą niechęcią do oskarżonego, bo potępiają jego postępki, co prawda sprzeczne z dawnemi wyrokami soborów, ale przyjęte w kościele odszczepionym i codziennie wykonywane przez innych biskupów bez niczyjej obrazy. Inne zarzuty nie wchodziły w obręb władzy synodalnej, ale należały do zakresu władzy świeckiej. Więc mógł Gennadios oczekiwać, że rumuński rząd wytoczy przeciw niemu sprawę sądową i rozpozna zarzuty: tymczasem bez żadnego sądu rząd w sposób nieludzki wykonał wyroki synodu i przez to oczywiście ciężko na-

raził sobie stronników Gennadiosa a za kulisami Rosyę. Zwolennicy Gennadiosa nie zaniedbali żadnego środka, aby obudzić w ludzie litość nad skazańcem, i przez to zmusić rząd do ponownego śledztwa. W tej myśli wywołali poważne rozruchy uliczne zaraz po otwarciu izby poselskiej. Minister Stourdza widocznie nie czuł za sobą silnych pleców, bo zamiast stawić czoło burzy, ustąpił z pola walki i z całym gabinetem upadł. Następca jego Aurelian przyjął na siebie obowiązek trudny: ma uspokoić umysły i Gennadiosa najprzód z zarzutów oczyścić, a potem skłonić, żeby dobrowolnie ustąpił z biskupiej stolicy. Cały przebieg tej sprawy przedstawia kościół rumuński w stanie nędznym: rządzi nim synod na wzór petersburskiego, i może za jego wskazówkami, i świecka władza wydaje ostatnie słowo o zwierzchnikach kościelnych, bez żadnej troski o jakąś Głowę Kościoła najwyższą, czy w Carogrodzie, czy w Rzymie.

Nie weselej wyglądają ostatnie wypadki w obszarze tureckim, nad którym rozciąga swoją władzę biskup carogrodzki. I tutaj doznaje ze strony Rumunów oporu, na który nie znajduje lekarstwa. Tureccy Rumuni, głównie osiedleni w Macedonii, dotychczas nie pokazywali wyraźnych znaków, że mniej chętnie znoszą polityczną władzę sułtana i religijne rządy patryarchy ekumenicznego, Greka. Przeciwnie, sami używali w domu greckiego języka i tak przychylnie spoglądali na króla Karola w Bukareszcie, jak na króla Jerzego w Atenach. Tylko niektórzy żywiej pamiętali, że są Rumunami; jednak nawet w nich cały zapał narodowy polegał na szkołach rumuńskich, których dość pozakładali, a w niczem nie uchybiali obowiązkom wiernopoddańczym względem sułtana. W nagrodę za ich „postawę wierną i lojalną“, jak świeżo doniosły dzienniki, sułtan uznał ich za osobny naród i rozporządził, żeby dla sześciu młodych Rumunów otworzyć miejsce w szkole sułtańskiej, która wychowuje przyszłych urzędników. Na tem nie koniec ruchu rumuńskiego: dnia 6 listopada bojarzy obrali sobie w Carogrodzie osobnego arcybiskupa, który obejmuje władzę nad innymi biskupami rumuńskimi w Turcyi, i w początku grudnia poświęcił osobną świątynię w Pera dla Rumunów, przyczem odśpiewał hymn dzięk-

czynny dla sułtana. Uradowani Rumuni w Bukareszcie urządzili w Izbie owacyę na cześć sułtana, a patryarcha oburzony założył protest przeciw nowej stolicy biskupiej dla Rumunów w Konstantynopolu, zaprotestował przeciw poświęceniu świątyni dla nich, protestował nakoniec przeciw pobłażliwemu sułtanowi, który popiera religijny bunt jego poddanych. Czy sułtana przestraszy swoim protestem, o tem nikt nie wie nic; ale pewnie Rumunów nie przestraszy, którzy odpadli od niego, tem samem prawem, co on od następcy św. Piotra.

Inną stratę przewidywać może dla siebie patryarcha ze strony Serbów, zamieszkałych w Turcyi. Ci, poparci silnie przez rząd białogrodzki, wymogli, że dostaną słowiańskich biskupów w Prizrendzie i Skopii (Ueskueb); patryarcha obietnicę spełnił w Prizrendzie, ale w ostatnich tygodniach wyznaczył Greka, na biskupa w Skopii. Zakipiało pomiędzy Serbami, którzy zamieszkują 11000 domów w dyecezyi; a Grecy ledwo 50 domów. Rząd rosyjski wraz z sułtanem poparł prośbę Serbów, żeby patryarcha cofnął wybór. Ten zwołał swój synod, który orzekł, że nie można cofnąć wyboru prawnie dokonanego. Sprawa dotychczas zagmatwana nie zapowiada blizkiego końca.

Tym sposobem patryarchat carogrodzki może wkrótce zostanie zwykłem biskupstwem greckiem w Konstantynopolu, bo Grecy w swojem królestwie nie uznają jego władzy, to samo w swoich państwach Bułgarzy, Serbowie już od XIV. wieku, Rosya i Ruś od XVI., Rumunia i Czarnogóra od kilkunastu lat, Bośnia i Hercogowina tylko pozornie nie wypowiedziały posłuszeństwa. Z powodów polityczno-narodowych biskupstwo carogrodzkie wyrosło na patryarchat i zerwało z Rzymem: z tych samych powodów schodzi na zwykłą stolicę prowincyonalną.

Cały ten przewrót obecnych stosunków w bałkańskich Kościołach czyżby nie torował tylko drogi dla Moskwy? Zdobyty Carogród, ogłoszone dawne państwo bizantyńskie, niby to odziedziczone przez w. książąt moskiewskich, zniszczone patryarchaty ekumeniczne a wprowadzony jeden święty synod z Pobiedonoscowami dla wszystkich patryarchatów i egzarchatów wschodnich, słowem cały wschód zjednoczony znów pod jedną głową

carosławną, czyż to nie możebny do spełnienia zamiar w chwili, kiedy kruszy się państwo otomańskie?

TRWOGA RZĄDU WĘGIERSKIEGO PRZED KLERYKALIZMEM.

Przez parę tygodni dzienniki europejskie, nawet wolnomyślne, ze zgrozą opisywały postępki Bánffyego przy ostatnich wyborach do izby poselskiej. Przez ten czas nic nie odpowiadał żaden z rządowców węgierskich na najostrzejsze zarzuty; nakoniec któryś z nich wystąpił w wiedeńskim przeglądzie *Die Zeit* z obroną Bánffyego i przedstawił niebezpieczeństwa, od których Bánffy ocalił Węgry przez zwycięstwo, odniesione przy wyborach nad klerykalizmem. Gdyby nie to zwycięstwo, odniesione z przelewem krwi klerykałów, ich stronnictwo podniosłoby głowę na Węgrzech i poparłoby klerykałów austryackich, którzy żywią zamiary wrogie dla Węgier, dla Prusaków, dla zjednoczonych Włoch, słowem, dla całej Europy, bo nawet może pragną niespokojną Polskę odbudować, a w takim razie któż nie rozumie, jakie klęski spadłyby na królestwo węgierskie? Kto nie wierzy w te niebezpieczeństwa, do tego stronnik Bánffyego przemawia następnemi słowami:

„Klerykalna Austrya może węgierskiemu państwu grozić poważnem niebezpieczeństwem, jeżeli w polityce zewnętrznej rzuci na szalę głos taki, jakiego wymagają klerykalne zapędy. W Niemczech *Centrum* zdobyło sobie stanowisko miarodajne, w Bawaryi klerykalizm panuje samowładnie, w Austryi wnet dojdzie do rządów. Jak długo mają państwa, opanowane przez klerykałów należeć do trójprzymierza wraz z wolnomyślnem królestwem włoskiem, które ciągle stawia opór katolickim wiecom i odmawia władzy doczesnej Ojcu świętemu? Ale Magyarzy ulegają popędowi samozachowawczemu, dlatego z zapałem strzegą trójprzymierza, które przeszkadza wszelkim zmianom geograficznym w obrębie państw sprzymierzonych. Co więcej: kto zaręczy, że u tajnych naczelników klerykalnego prądu nie dojrzewają w głowach zamiary jeszcze donioślejsze? Czy można powiedzieć komu, że wielkoniemieckie pomysły Austryaków usnęły już raz na zawsze i nic ich nie ocuci? A gdyby braterska ręka austryackich klerykałów przebyła granice niemieckiego cesarstwa i uścisnęła

bawarską dłoń na zadatek przymierza, zawartego pokryjomu przeciw protestanckiemu cesarstwu w Berlinie? A gdyby polscy sternicy nawy austryackiej nie byli sami dalecy od myśli równie opacznych? Jakiekolwiek skutki wypadłyby z takich przewrotów, dla protestanckich Węgier nie wypadłoby nic pociesznego. Bawarya wcielona do Austryi, czy Austrya przyrośnięta do Bawaryi: i jedno i drugie zmniejszyłoby wpływ Węgier i napędziłoby małemu narodowi węgierskiemu trosk bardzo poważnych. Przed takiem to niebezpieczeństwem truchleją Węgry, może niesłusznie, ale pewno nie bez powodu. Bo chociażby nawet daleko zapatrzeni rezyserzy z Kalksburga (mianowicie Jezuici) dzisiaj tylko nad tem pracowali, żeby Austryę ująć w swoje ręce, przecie *l'appétit vient en mangeant.* Węgry nie chcą się mięszać do austryackiej polityki, ale kiedy ta polityka dla nich samych zaczyna tworzyć niebezpieczeństwa, wtedy nie mogą już trzymać rąk założonych. Na ministeryum Hohenwarta padł cios z węgierskiej ręki. Jeżeli czego żałują dziś na Węgrzech, to śmierci Juliusza Andrassego, to tego wypadku, że nie znaleźliśmy następcy dla męża, który posiadał tyle powagi, że bez wielkiego hałasu obalił rząd, zarówno niebezpieczny dla Węgier, jak dla Austryi".

Taki głos tem więcej znaczy, im wyraźniej wypowiada takie same zasady, jakie świeżo także przezierały przez polityczne artykuły, umieszczane w peszteńskim *Lloydzie.* Z takich głosów można dość dokładnie rozumieć, do czego zmierzały pociski, miotane zuchwale w węgierskich dziennikach przeciw hr. Badeniemu; skąd powstał taki zapał, z jakim wolnomyślni posłowie napadli na rząd wiedeński za katolicką przemowę, którą hr. Schafgotsch miał do związku nauczycieli i zachęcał ich, żeby w dobrym duchu prowadzili młodzież z własnego przekonania przynajmniej, kiedy ich do tego nie zmusza ustawa szkolna, pisana w duchu wolnomyślnym.

Kto we wszystkich zaczepkach na rząd hr. Badeniego nie widzi rozpaczliwych wysiłków liberalizmu, aby nie zginąć, ten niełatwo zrozumie, co mogło zajść z redaktorem pisma *Die Zeit,* co wpadło na myśl autorowi artykułu o niebezpiecznych klerykałach, żeby puszczać w świat podobne brednie? Czy już cały

liberalizm tak samo głowę traci, jak ta *Neue Freie Presse*, która ni stąd ni zowąd umieszcza w numerze z przedostatniego listopada anonsy, odbite dość jaskrawo, o chrześcijańskich posadach nieobsadzonych? Albo także liberalny związek „Kainachthaler Wirtschaftsverein“ nie mógł sobie poradzić w Gracu z katolikami i upadł, ale na swoje miejsce postanowił założyć inne towarzystwo, któreby mniej raziło chrześcijan: więc powstaje „chrześcijański związek chłopski“, do którego wolnomyślne pisma zaciągają ochotników i wydają ogniste odezwy. Ale w jakim duchu zakładają nowy związek, nie potrzeba wiele pytać; dość w jednej z tych odezw czytać następne słowa:

„Księdza, jako zwiastuna słów Bożych, czcząc i miłując, chrześcijański związek chłopski potępi wszelkie nadużycia, popełniane na kazalnicy, w konfesyonale, w domu Bożym, z tym zamiarem, aby na własną rękę prowadzić politykę, siać niepokój i niezgodę między wiernymi, rozpowszechniać kłamstwa i przekręcać wypadki, słowem, bałamucić wieśniaków, jak to, pożal się niebu, zdarzało się i zdarza właśnie w chrześcijańskich pismach ludowych. Nie ścierpimy, aby ktobądź zaciemniał umysł chłopski, aby paczył chłopski rozsądek, psuł serce i napełniał je niewyrozumiałością i pychą, ponieważ to wszystko nietylko prawdziwej nauce Chrystusowej sprzeciwia się, ale musi budzić odrazę w człowieku wolnym“.

Widocznie nowi chrześcijanie zdali z odszczególnieniem egzamin z katechizmu, ale nie tego, którego uczą chrześcijanie, tylko innego, ułożonego przez wolnomyślnych postępowców.

Ks. Czaykowski.

Zakład hr. Zamoyskiej w Zakopanem.

Jednem z charakterystycznych znamion obecnej doby jest prąd dążący do emancypacyi kobiet, do równouprawnienia ich z mężczyznami. Burzliwe na Zachodzie fale tego ruchu dochodzą i do nas i budzą wielkie aspiracye z jednej, zgorszenie i opór z drugiej strony.

Prąd ten, powiadają jedni, to prąd niezdrowy, szkodliwy, popie-

rają go histeryczki, umysły zblazowane, marzyciele i wogóle ludzie pragnący zmian i przewrotu. Głosząc równouprawnienie istot faktycznie słabszych, budząc w nich fałszywe aspiracye, naruszając zuchwale przez Opatrzność i wieki nakreślony porządek, wiodą przywódcy emancypacyi społeczeństwo do tego samego rozczarowania, do tego samego bankructwa, jakiego doznały doktryny filozofii XVIII. wieku lub idee liberalizmu w naszym stuleciu.

Kobieta, mówią drudzy, tak samo myśli i czuje, tak samo lub więcej nawet pragnie i cierpi jak mężczyzna; dlaczego wobec równych obowiązków ma mieć nierówne prawa? Wszakże posiada zdolność kształcenia się wyższego, a zatem przyswojenia sobie tych warunków, jakie potrzebne są do osiągnięcia najwyższych stanowisk, dostępnych obecnie tylko dla mężczyzn, dlaczego więc wykluczać kogoś, jeżeli ma wszystkie po temu warunki, od zajęć np. lekarskich, prawniczych, od prawa wyborczego czynnego i biernego? Czyż to nie przesąd i bezprawie?

To skrajne zapatrywania — nie brak i pośrednich, więcej na praktycznym gruncie opartych. Mniemają, że zupełne równouprawnienie byłoby niedorzecznem wobec nierówności sił i uzdolnienia, jednakże koniecznem jest, aby daleko szerszy zakres zajęć był dla kobiety inteligentnej przystępny, choćby ze względów całkiem praktycznych. Wszak dzisiaj wobec zmateryalizowania społeczeństwa coraz trudniej wychodzić panienkom za mąż, coraz częściej występuje żądanie posagu, a w braku tegoż grozi staropanieństwo i walka o byt. Trudno żądać, aby kobieta z inteligentnych warstw zadowalniała się zajęciem praczki, szwaczki, a i nauczycielki zajęcie lub telegrafistki nie jest zbyt nęcące. Chodzi o to zatem, aby kobieta mająca zdolność po temu, mogła samodzielnie zająć wyższe stanowisko, dające jej te warunki, z których wyszła.

Nie można odmówić pewnej słuszności tej argumentacyi i można nawet, wobec natarczywie odzywających się haseł, już dziś powiedzieć, że przypuszczenie kobiet do wyższych studyów jest tylko kwestyą czasu. Czy to będzie dla nich, ogółem biorąc, korzystne, czy wybicie się jednej lub drugiej na wyższe stanowisko nie będzie okupione znacznie większemi stratami, to przyszłość najniezawodniej okaże.

Na razie widzimy w usiłowaniach pewnych kół społeczeństwa naszego, dążących do zakładania gimnazyów żeńskich lub innych zakładów dla kobiet, niejako przedwstępne kroki do urzeczywistnienia powyższego celu, lecz także przeświadczenie, że w dotychczasowem wychowaniu kobiet są luki i braki, które uzupełnić i usunąć jest wła-

śnie jednem z zadań prądu emancypacyi kobiet. Czy jednak zamiast za tym prądem iść ślepo, nie byłoby ważniejszem i potrzebniejszem zastanowienie się nad innemi, tak piekącemi pytaniami z zakresu wychowania kobiet? I tak zapytamy: Co czyni dzisiejsze wychowanie np., aby kobietę przygotować do jej właściwego zadania życia? Zadaniem zaś przeważnej części kobiet zawsze jest i będzie strzeżenie ogniska domowego jako żona, matka i gospodyni domu. Co czyni dzisiaj szkoła, aby ją do tego wysokiego zadania przygotować?

Weźmy stany najniższe. Córka robotnika, wyrobnika, rzemieślnika lub drobnego gospodarza idzie do szkoły, nauczy się czytać, pisać, rachować, trochę katechizmu, nieco czasami szyć i haftować, a potem idzie w służbę. Służy najpierw jako niańka i niańczy dzieci 2 lub 3 lata, staje się następnie sługą do wszystkiego, a właściwie do niczego, po kilku latach zaś emancypuje się na kucharkę z wielkiemi niekiedy pretensyami. Czy do wszystkich tych zajęć ma ona jakiekolwiek przygotowanie? Prawie żadnego. Stąd też to partaczenie na wielką skalę, to zmienianie służby ustawiczne, te nieustanne skargi pań na sługi i odwrotnie — nietylko u nas pospolite. Podróżnik Edmund de Amicis pierwotnie w mniemaniu, że tylko jego matka żyje ze sługami na wojennej stopie, rychło przekonał się, że skarga na sługi towarzyszy mu po Hiszpanii, Anglii, Hollandyi, nawet i w Konstantynopolu. Szkoda, że u nas nie był w Galicyi; z pewnością jeszcze przeraźliwsze akordy na ten temat byłyby słuch jego raziły. Kucharka, robotnica, córka włościanina wychodzi za mąż, ile błędów w tym nowym zawodzie! Możemy śmiało powiedzieć, że śmiertelność by o połowę się pomniejszyła, gdyby kobiety w najniższych warstwach były nieco tylko przygotowane do obowiązków żony, matki i gospodyni domu.

A jednak zadanie robotnicy, włościanki, żony rzemieślnika nietyle jest skomplikowane, ile zadanie kobiety ze średnich warstw. Córka urzędnika, mieszczanina zamożniejszego idzie do szkoły wydziałowej, czy pensyonatu, niekiedy do seminaryum żeńskiego, uczy się tu najróżnorodniejszych dyscyplin, kilku języków, przedewszystkiem musi — ma słuch czy nie — całe godziny harcować palcami po klawiszach, idą lekcye tańca, część składa egzamina niełatwe na nauczycielki, część idzie na t. zw. kursa uzupełniające, uczy się tam nawet historyi sztuki, estetyki, filozofii i innych mądrości. Każda z nich umie haftować, rzadziej jest obeznaną z krawieczczyzną, a wyjątkowo tylko z kuchnią i gospodarstwem domowem. Jednem słowem panna taka 18 letnia, w salonie, na balu, w towarzystwie umie się popisać, a jeżeli ma piękną

toaletę, piękną twarzyczkę i figurkę i umie być zajmującą, to w 19 lub 20 roku życia wychodzi za mąż i zwie się kobietą wykształconą. W małżeństwie dopiero występuje odwrotna strona medalu: kształcono ją wyłącznie do salonu, a ona musi chcąc nie chcąc zajmować się kuchnią, gospodarstwem i dziećmi. Ile przytem pomyłek, błędów, ile kwasów i waśni domowych, ile bolesnych zawodów. A przyczyną tego głównie zupełny brak przygotowania do obowiązków stanu.

W najwyższych sferach wreszcie czyż jest inaczej? Wychowanie dziewcząt stanu średniego jest w części zmodyfikowaną nieco kopią wychowania panienek ze sfer arystokratycznych. Wadliwość już tam się objawiająca, tu w całej pełni występuje. Chcąc scharakteryzować dosadnie edukacyę córek z domów arystokratycznych, moglibyśmy z małemi różnicami powtórzyć to, co Taine w swoich *Les origines de la France contemporaine* o wychowaniu dzieci arystokracyi francuskiej pisze. Całe kształcenie młodego pokolenia zmierza do błyszczenia w salonie; na przygotowanie do licznych i niełatwych obowiązków pani licznego dworu w tem wychowaniu miejsca zwykle niema. To też rzadko kto jest tak mało do obowiązków i trudów życia przygotowany i przeciw nim uzbrojony, jak te pańskie dzieci. Nie zapominamy oczywiście o chlubnych wyjątkach, nie dość licznych jednakże, aby społeczeństwu naszemu wyrobić za granicą reputacyę gospodarczego, rządnego i oszczędnego. Nie dziw więc, że z wyjątkiem kilkunastu wielkich domów arystokratycznych, inne coraz więcej podupadają i nikną. Nieodpowiednie wychowanie dzieci, zwłaszcza córek, niepoślednią w tem obok innych przyczyn gra rolę. Przyzwyczajanie dzieci do życia nad stan bez względu na faktyczne warunki, głównie sprowadziło na nas ekonomiczną ruinę i cały szereg nieobliczonych klęsk tak w stanach średnich jak i wyższych.

Czyż niema na to środków zaradczych? Rzecz ciekawa, że społeczeństwo polskie jako całość niemal bezradne, w jednostkach wyjątkowych znajduje *remedium* na swe biedy i choroby. Myśmy i w czasie panowania największej anarchii mieli ludzi trzeźwych, którzy złe widzieli i przeciwdziałać mu usiłowali. Toż samo możemy i dziś powtórzyć w kwestyi wychowania kobiet. Bez ankiet, bez alarmu dziennikarskiego, bez reklamy przychodzi prywatna osoba, kobieta o szerokim umyśle i gorącem sercu społeczeństwu w pomoc. Zrozumiawszy główne braki w wychowaniu kobiecem, tworzy zakład mający na celu te braki uzupełnić, przygotować dorastającą kobietę do życia praktycznego. Osobą tą jest hr. Zamoyska z domu Działyńska, wdowa po ś. p.

jenerale Zamoyskim. Zakład swój założyła najpierw w Kórniku w W. Ks. Poznańskiem, a gdy władze pruskie ujrzały w nim groźbę dla zjednoczonego państwa niemieckiego, przenosi go do Galicyi, gdzie w Zakopanem setki uczenic różnych stanów wychowuje na chwałę Bogu, pożytek ojczyźnie i bliźnim Niewiele słychać o zakładzie hr. Zamoyskiej, bo założycielka nie lubi rozgłosu, a jednak zakład ten mógłby być do pewnego stopnia wzorem, jak należałoby na większą skalę w całym kraju uzupełnić wychowanie kobiece. Dzięki uprzejmości samej kierowniczki zakładu, danem mi było bliżej zaznajomić się z organizacyą, urządzeniami wewnętrznemi i metodą wychowania w tym zakładzie. Na tej to podstawie kreślę zatem opis jego.

Zakład hr. Zamoyskiej mieści w sobie trzy oddziały. Pierwszy przeznaczony jest dla panienek z domów bogatych, którym nie chodzi o wprawę ale tylko o ogólne pojęcie o gospodarstwie i robotach kobiecych; nauka trwa rok jeden. Uczenice muszą mieć co najmniej lat 18. Utrzymanie wynosi 50 złr. miesięcznie. Godziny ranne poświęcone są zajęciom gospodarskim, nauce w kuchni, piekarni, mleczarni, pralni, spiżarni i podwórzowem gospodarstwie. Popołudniu ma miejsce przechadzka, szycie, haft, czytanie, nauka religii, rachunkowości gospodarskiej, kroju i t. p. Ćwiczenia te mają na celu uzupełnienie wykształcenia potrzebnego kobietom, ale nie mogą zastąpić nauk szkolnych, po ukończeniu których uczenice do zakładu przybywać winny. Uczenice same sobie usługują, rzeczy swoje utrzymują wedle udzielonych im wskazówek. Same do wszystkich zajęć przykładają ręki.

Drugi oddział przeznaczony jest dla panienek średnich warstw. Mając w przyszłości niejednokrotnie własnoręcznie, aczkolwiek z pomocą sługi, przykładać się do zajęć gospodarskich, potrzebują daleko więcej wprawy i biegłości w tychże. Dlatego nauka w tym oddziale trwa od 1—3 lat, stosownie do tego, co uczenica po ukończeniu nauki robić zamierza. I w tym oddziale przyjmuje się panienki dopiero po ukończeniu 16 roku życia. Utrzymanie miesięczne wynosi 30 złr. Stół właściwy jest osobom średniej zamożności. Podział dnia jest taki sam, jak w oddziale pierwszym. Od żadnych zajęć uchylać się nie mogą, o ile siły ich na nie pozwalają.

W oddziale trzecim trwa nauka 3—5 lat i to całkiem naturalnie, gdyż uczenica tego oddziału, pochodząca z warstw uboższych, przeznaczona jest według wszelkiego prawdopodobieństwa własnoręcznie prowadzić całe gospodarstwo domowe czy własne czy cudze; musi z niem być zatem najgruntowniej i najdokładniej we wszystkich szczegó-

łach obeznana. Przyjmuje się do tego oddziału dziewczęta od 14 do 18-go roku życia. Wstępujące winny okazać metrykę i świadectwo lekarza, że mają zdrowie i siły potrzebne do zajęć gospodarskich. Utrzymanie wynosi 10 złr. miesięcznie, stół jest oczywiście czeladni. Uczą się w tym oddziale nauki kucharstwa przez 3 miesiące, piekarstwa i mleczarstwa przez 2 miesiące, tyleż czasu poświęcają nauce w śpiżarniach, piwnicach, i również 2 miesiące nauce w oborze, chlewach i kurnikach. Nauka prania, prasowania i maglowania trwa 6 miesięcy, białego szycia, haftu i cerowania 12 miesięcy, krawieczczyzny i gorseciarstwa 8 miesięcy. Po ukończeniu 3 lat nauki wybiera sobie uczenica jakieś zajęcie, któremu się specyalnie poświęcić zamierza, a nauka ta trwa zwykle 2 lata. Kilka godzin tygodniowo, najwyżej 2. godziny dziennie, poświęca się na naukę religii, rachunków, historyi i geografii, w najogólniejszym zarysie, wreszcie śpiewu i rysunków dla tych, które mają potrzebne do tego zdolności. Obecność kilku cudzoziemek w zakładzie daje możność wprawiania się w konwersacyi francuskiej i angielskiej. Lekcye muzyki na żądanie za oddzielną dopłatą 1 złr. 50 ct. miesięcznie uczenicom wszystkich trzech oddziałów są udzielane. Za używanie fortepianu płaci się miesięcznie 70 ct. Uczenice także mogą się wyuczyć ogrodnictwa warzywnego, introligatorstwa i trochę szewstwa. Taki jest mniej więcej plan i program naukowy w zakładzie zakopiańskim.

Co do liczby osób przebywających w zakładzie, wynosi ona około 150 osób. Personal nauczycielski liczy 13 osób, wśród których jest kilka cudzoziemek. Duszą całej instytucyi jest prócz założycielki jej córka hrabianka Marya. Nadto zatrudnionych jest w zakładzie stale około 15 starszych tj. kierowniczek w poszczególnych gałęziach gospodarczych. Są one wszystkie wychowankami zakładu i pozostają w nim z powołania. Wynagrodzenie ich bowiem jest skromne, wystarczające na ubranie i drobne tylko oszczędności. Mimo to, że gdzieindziej daleko więcej mogłyby zarobić, zostają chętnie tutaj, uważając pracę w zakładzie za powołanie swego życia. Liczba uczenic wynosi przeciętnie około 120. Chwilowo znajduje się w oddziale pierwszym uczenic 10, w oddziale drugim 29, w trzecim 66. Pochodzą zaś ze wszystkich trzech zaborów.

Uczenice pierwszego oddziału pochodzą z rodzin najzamożniejszych, po części arystokratyczno-szlacheckich. Przybywają tu zwykle po ukończeniu wykształcenia w domu pod kierownictwem guwernantek. W oddziale drugim znajdują się przeważnie córki notaryuszów, lekarzy,

średnich obywateli ziemskich, wogóle panienki ze sfer inteligentnych. Wstępują do zakładu zwykle ukończywszy jeden z pensyonatów. Przyjęcie do dwóch pierwszych oddziałów jest dosyć utrudnione. Kierowniczka z zasady nie robi żadnych ustępstw materyalnych rodzicom pragnącym swe dzieci tutaj umieścić. Twierdzi całkiem słusznie, że kto chce swe dzieci w pierwszym lub drugim oddziale ulokować, musi mieć na to odpowiednie środki; inaczej wychowanie nie będzie odpowiadało warunkom materyalnym rodziców i uczenicy, będzie przygotowaniem do życia nad stan, co właśnie jest jednym z głównych błędów narodowych. Tem chętniej nawet całkiem bezinteresownie przyjmuje p. generałowa panienki do oddziału trzeciego, raz że tu się nauczą najwięcej gospodarstwa, powtóre nauczą się żyć w skromnych warunkach, pracować i oszczędzać, czego naszemu społeczeństwu najwięcej nie dostaje. Na 66 uczenic w tym oddziale 56 wychowuje się bezpłatnie. Rekrutują się one z różnych warstw; są najpierw córki włościańskie, nauczycieli ludowych, krewniaczki księże, córki zubożałej szlachty.

Ponieważ punkt ciężkości całej nauki już to ze względu na liczbę uczenic, już to na czas trwania nauki, skupia się właśnie w tym oddziale, przeto opis wychowania w nim daje najlepsze wyobrażenie o organizacyi wewnętrznej i metodzie pedagogicznej i o całym zakładzie.

Dziewczyna wstępująca do trzeciego oddziału podlega najpierw egzaminowi z katechizmu, czytania, pisania, rachunków, śpiewu, głównie dlatego, aby ewentualne braki w tych przedmiotach mogły być w czasie pobytu w zakładzie uzupełnione. Po egzaminie powierza się przybyłą t. zw. dziesiętnicy tj. starszej uczenicy, mającej obowiązek dozorowania i pouczania 10 młodszych w najgłówniejszych zasadach porządku, czystości, karności w zakładzie oraz i w najprostszych zajęciach gospodarskich, jak zamiataniu, ocieraniu kurzu i t. d., co niezbyt łatwo uczenice sobie przyswajać zwykły. Skoro tylko panienka nauczyła się jako tako szyć i posiada siły dostateczne do pracy, idzie do jednego z zajęć gospodarskich. Zmiana tych zajęć ma miejsce 1 i 15 każdego miesiąca. W czasie nauki w jednej gałęzi gospodarczej uczy się prócz praktyki także i teoryi tejże, a nadto i rachunkowości podwójnej. Uczenice zniewolone są do zapisywania ceny wszystkiego, co do odnośnej gałęzi wchodzi i co z niej wychodzi, by skonstatować dochód i rozchód, o ile się pokrywają nawzajem w pokrewnych gałęziach gospodarskich. W ten sposób teorya idzie tu ustawicznie ręka w rękę z praktyką i nie pozostaje martwą literą bez wartości.

W czasie rekreacyi jest pewna część kolejno zobowiązana do mycia naczyń, znoszenia drzewa do palenia, zbierania wiórek, podlewania ogrodowizn latem, a zamiatania śniegu zimą i t. p.

Największy interes budzi wśród uczenic zmiana zajęcia. Uczenica, opuszczając jakąś gałąź gospodarczą, musi zdać egzamin, polegający na tem, że podczas jednego lub dwóch dni samodzielnie pracuje i zdaje sprawę z tego, co umie.

Co tydzień dziesiętnice, czuwające nad swemi młodszemi towarzyszkami, zbierają się u kierowniczki w celu odczytania not swych podwładnych. Każda z uczenic otrzymuje, jeżeli nie miała żadnych złych not, 20 h. tygodniowo, jeżeli dobre przeważają, 10 h., jeżeli złe są liczniejsze, odchodzi z niczem. Jeżeli przez cały miesiąc uczenica nie otrzymała żadnej złej noty, podwaja jej się premię, tj. otrzymuje 1·60 k. Za to kupują sobie dziewczynki szpilki, igły i t. p. drobnostki, przyczem są zobowiązane zapisywać troskliwie swe osobiste dochody i rozchody.

Co czwartek wieczór odbywają się konferencye główne z uczenicami, jednakże tylko z temi, które się dobrze sprawowały, nie otrzymały więcej nad jedną złą notę w ciągu tygodnia. Na konferencyach tych bywają pogadanki w kwestyach gospodarczych, religijnych, socyalnych, zwłaszcza tych, które są aktualne. Wykluczone od konferencyi muszą się udawać do osobnego pokoju, gdzie wysłuchać muszą napomnień i uwag za swe złe noty. Urządzenie to ma wielkie znaczenie jako środek wychowawczy w zakładzie.

Środki karne w nim wogóle nieliczne są zastosowane do błędów i przewinień. Tak np. która rozmawia w godzinach zakazanych, zostaje odosobnioną od innych na czas pewien, która była opieszała, musi wypełniać cięższą pracę, która wywołuje sprzeczki i niezadowolenie w jakimś oddziale, wykluczona bywa na czas pewien od wszelkich zajęć, co dla niej bywa bardzo kompromitujące i ambarasujące.

Co do nagród, to oprócz powyżej wymienionych istnieją inne jeszcze; np. przypuszczenie do adoracyi Najsł. Serca P. Jezusa w pierwszy piątek miesiąca za postępy dobre w nauce religii. Za porządek i czystość otrzymuje uczenica lepszą bieliznę i odzienie. Najpiękniejszą nagrodą jednakże dla uczenicy, będącą zarazem chlubą dla zakładu, jest to, że swem wzorowem zachowaniem wysługuje przyjęcie do zakładu bezpłatne np. swej siostry, krewnej lub przyjaciółki. Niektóre w ten sposób wysłużyły przyjęcie trzem z kolei uczenicom. Tak więc własna zasługa czyni je dobrodziejkami dla rodzeństwa lub ubogich przyjaciółek.

Dziesiętnice również bywają klasyfikowane, jednakże nie publicz-

nie. Co tydzień odbywa się dla nich osobna konferencya, na której omawia się ich obowiązki, stosunek do podwładnych uczenic, zasługi ich zadania.

Jednym ze środków wychowawczych, praktykowanych w zakładzie, jest wysyłanie uczenic, będących na ukończeniu swego wykształcenia, do domów, czy to rodzicielskich, czy znajomych, bogatych, czy ubogich w razie choroby lub innego wypadku tamże zaszłego. Chodzi o to, aby się przekonać, o ile są zdolne do samodzielnej pracy domowej, nadto, aby im dać pewną znajomość życia. Taka praktyka najlepiej odsłania ich zalety i biegłość w zawodzie, lub też wady i braki i daje możność naprawienia takowych przed ostatecznem wypuszczeniem uczenicy z zakładu, a nadto zaprawia uczenice do dobrego zużytkowania swej wolności, co jest ostatecznym celem wychowania.

Rok rocznie urządzają uczenice wystawę swych prac w zakładzie dla przekonania się o korzyściach, jakie odnoszą z nauki. Jest na tej wystawie obiad wystawny; przy każdem daniu mała karteczka oznajmia nazwę uczenicy kucharki i przepis potrawy własnoręcznie przez nią sporządzony. Dalej jest wystawa drobiu, inwentarza przez uczenice pielęgnowanego, wystawa ogrodowizn, płócien, robót ręcznych, haftów, wogóle wszystkich przedmiotów gospodarstwa domowego. Przy kasie wystawiony bilans kosztów zakładu, który najwymowniej świadczy i przekonywa o prawdzie, iż w pocie czoła trzeba pracować naprawdę na kawałek chleba. Wystawa jest publiczna, uczenice zapraszają na nią rodziców i krewnych.

Uczenicom nie wolno żadnych prezentów robić nauczycielkom i kierowniczce, natomiast tym, które na własny koszt bawią w zakładzie, wolno z własnych pieniędzy uszyć coś w darze np. coś z bielizny lub odzieży, którą kierowniczka rozdziela między ubogich. Inne uczenice, które nie mają własnych pieniędzy, mogą swą wdzięczność i przywiązanie dla mistrzyni swej okazać całoroczną pracą, zbierając np. w czasie rekreacyi z własnej woli wióry lub gałązki do palenia. Inne przynoszą zebrane z ziemi przez cały rok szpilki, igły, nici, w ten sposób praktykując porządek i ekonomię. Inne przynoszą zebrane i wysuszone zioła dla chorych. Inne recytują z własnej pilności wyuczone ustępy z Pisma św., nadające się jako odpowiedź dla niewierzących, jako słowa pociechy dla cierpiących, słowa otuchy dla wątpiących i t. p. Uroczystość tę, mającą miejsce w październiku, kończą śpiewy religijne i narodowe.

Celem bowiem głównym wychowania w zakładzie jest zaszczepie-

nie miłości Boga, ojczyzny i obowiązków. Przewodnią myślą zaś kierowniczki jest ta, aby wpoić w uczenice szacunek dla stanu, w jakim Opatrzność je postawiła, aby wyrobić w nich silną wolę do poświęcenia się mu z odwagą na pożytek dla kraju. Gotując zaś odrodzenie ojczyzny przez modlitwę, pracę i praktykowanie wszystkich cnót chrześcijańskich, mają przyczynić się do rozszerzerzania królestwa bożego na ziemi. Całem wychowaniem religijnem kieruje katecheta zakładu, który spełnia także funkcye kapelana w kaplicy zakładowej.

Duch ten katolicko-narodowy przenikający całe wychowanie obok pracowitości i oszczędności francuskiej tu przestrzeganej powinny wzbudzać zaufanie do zakładu.

Mimo to obok głosów pełnych uwielbienia dla zakładu słyszeć się dadzą i opinie ujemne. Zarzucają mu np., że zbyt forytuje francuszczyznę, że zakład, posługując się wszelkiego rodzaju wynalazkami z zakresu gospodarstwa domowego bardzo kosztownemi i na nich kształcąc uczenice, nie przysposabia właśnie do skromnych warunków, do jakich większość kształcących się jest przeznaczona. Być może, że zarzuty te nie były bezpodstawne w dawnych latach, kiedy p. jenerałowa przywykła do francuskich stosunków rozpoczynała swą wzniosłą misyę wychowania tęgich gospodyń polskich. Możemy jednak stwierdzić, że doświadczenie długoletnie nie poszło w las, że założycielka zakładu co do zasad głównych niezłomna z całą usilnością pragnie i stara się wychowanie zastosować do istotnych potrzeb społeczeństwa. Najlepszym zaś dowodem zaufania do zakładu jest coraz większa ilość zgłoszeń o przyjęcie, na które z powodu braku miejsca niejednokrotnie miesiące całe trzeba czekać.

Społeczeństwo nasze coraz więcej bowiem odczuwa potrzebę wykształcenia kobiet w zakresie gospodarstwa domowego; niestety ani szkoły publiczne, ani prywatne pensyonaty tej potrzebie nie czynią zadość. Prócz zakładu zakopiańskiego, prócz kilku pensyonatów klasztornych i nowo zakładającego się instytutu wychowawczego Rodziny Maryi, w Łomnie, ostatniego dzieła ś. p. ks. arcybiskupa Felińskiego, wreszcie prócz zakładającego się również z inicyatywy Związku chłopskiego zakładu bł. Kingi dla wiejskich gospodyń w Starym Sączu, które starają się teoryę z praktyką, wychowanie religijno-moralne z intelektualnem i domowo-gospodarskiem połączyć w jednę całość i w ten sposób najlepiej przygotować do przyszłych zadań życia, wszystkie inne szkoły żeńskie tylko teoryę uwzględniając, grzeszą jednostronnością

i nie przysposabiają młodzieży żeńskiej do przyszłych obowiązków stanu. „Bo też to nie jest zadaniem szkoły“, powie mi kto, „kształcenie domowo gospodarskie należy do matki, jest rzeczą domu“. Niezawodnie, gdyby wszystkie dorastające dziewczęta miały matki, miały gospodarne matki, i gdyby gospodarstwo domowe nie podlegało także prawom postępu i udoskonalania się. Tak samo mówiono dawniej, że wykształcenie fachowe, przemysłowe, rzemieślnicze nie powinno być troską wychowania publicznego lecz rzeczą prywatną. Że i gospodarstwo domowe, jako jeden z najważniejszych czynników ekonomicznych potrzebuje umiejętnego wykształcenia, uznały to inne pod względem ekonomicznym daleko wyżej stojące społeczeństwa, że wymienimy tylko niemieckie i stworzyły cały szereg szkół gospodarstwa domowego przeważnie z prywatnych lub komunalnych funduszów. Nawet taka Rosya, jak widzimy ze sprawozdania wystawy w Niżnym Nowogrodzie, posiada kilkanaście podobnych szkół czy to do gospodarstwa wiejskiego, czy miejskiego domowego.

Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzić, że nasz ustrój szkół żeńskich wcale a wcale nie przysposabia do życia praktycznego. Czytając instrukcye widzimy na każdej prawie stronie wskazówki, aby nauka uwzględniała życie praktyczne, i gdyby te przepisy ściśle były wykonywane, panienki czy to ze szkół wydziałowych, czy seminaryów żeńskich mogłyby sporą ilość wiadomości wynieść potrzebnych w gospodarstwie domowem. Tylko nauczyciele i nauczycielki zobowiązani teoryę do praktyki zastosowywać, winni się ze szczegółami gospodarstwa domowego, wchodzącemi w zakres ich przedmiotu dokładnie obznajamiać i na tych szczegółach teoryę objaśniać. Zatem niech uczą się panienki chemii, aby umiały analizować mleko, masło, margarynę i t. p. przedmioty, aby umiały złe od dobrych odróżniać, aby umiały chemicznie plamy wywabiać i t. d. Niech uczą się fizyki, ale fizyki zastosowanej do potrzeb życia, jak np. można w tani sposób wywoływać niższą temperaturę podczas upałów, aby konserwować artykuły spożywcze. Ile pożytku mogą przynieść nauki przyrodnicze, jeżeli się zwróci baczną uwagę na rośliny lekarskie, trujące, lub warzywne! Zwłaszcza nauka geografii nadaje się do praktycznego wykształcenia kobiet. Niechby tylko każdy zakład żeński posiadał małe muzeum geograficzno-handlowe, zatem rozmaite gatunki kawy, herbaty, ryżu, korzeni, razem z cenami tych produktów, dalej rozmaite tkaniny, wyroby przemysłowe, potrzebne w życiu codziennem. Niechby tylko każdy nauczyciel obznajomiony z po-

trzebami domowemi na te przedmioty szczególniejszą zwracał uwagę i naukę geografii okazami illustrował. To zajmie, to pouczy, to utkwi w pamięci, jako kapitał na przyszłość. Bardzo pożądane było niedawno rozporządzenie władz szkolnych, zaprowadzające naukę hygieny w seminaryach żeńskich. Tylko dorywcze i wyjątkowe traktowanie tego przedmiotu w seminaryach istotnej potrzebie nie zaradzi. Naukę hygieny należy traktować najsumienniej i najdokładniej we wszystkich zakładach żeńskich, czy rządowych, czy prywatnych jako osobny przedmiot, a wtedy tylko najważniejsze i nieodzowne zasady hygieniczne staną się własnością ogółu i mogą przynieść dla społeczeństwa pożądane skutki. Tak więc i przy dzisiejszym ustroju szkół żeńskich możnaby wiele zdziałać w kierunku praktycznego wykształcenia kobiet, gdyby ściśle i rozumnie przestrzegano tego, czego przepisy żądają.

Wiadomości jednak wyniesione ze szkoły nie wystarczą, jeżeli młodzież żeńska praktycznie do praktycznego życia nie będzie przysposobioną. Koniecznem przeto jest, aby na wzór innych społeczeństw zakładać szkoły gospodarstwa domowego, zwłaszcza po większych miastach, gdzie zanik ducha praktycznego u kobiet najbardziej daje się we znaki. Na rząd w tej sprawie nie można się oglądać, gdyż i w innych krajach nie rządy, lecz społeczeństwa same sobie radzą, inicyatywa prywatna ma i w tej kwestyi wielkie pole do działania. Potrzebnych jest oczywiście kilka rodzajów szkół gospodarstwa domowego: dla uboższych i zamożnych warstw wiejskich i miejskich. Powstanie takich zakładów przy ofiarności jednostek, instytucyj dobroczynnych, gmin nie przedstawiałoby zbyt wielkich trudności, zwłaszcza jeżeliby się wyzyskało w tym celu już istniejące instytucye. Mamy np. w Krakowie kursa dopełniające dla panien kosztem miejskim utrzymywane. Te dopełniające kursa przy szkole św. Scholastyki zasługiwałyby w całem tego słowa znaczeniu na to miano, gdyby do nich dodano trzeci kurs gospodarstwa domowego dla panien zamożniejszych na wzór istniejących za granicą podobnych zakładów miejskich. Dla warstw uboższych musiałyby powstać oczywiście odrębne szkoły; punktem wyjścia dla nich mogłyby być tanie kuchnie dla ubogich, których celem jest właśnie dostarczanie taniej a zdrowej strawy dla uboższej ludności. Te kuchnie mogłyby się stać szkołą praktyczną gospodarstwa domowego dla dziewcząt uboższych, kończących szkoły wydziałowe czy ludowe, gdyby na ich czele stanęły osoby biegłe w gospodarstwie i obeznane z potrzebami warstw uboższych. Pod kierownictwem rozumnych gospodyń i kie-

rowniczek 13 lub 14-letnie dziewczynki powinne się wyuczyć porządku domowego, zasad hygieny, prania, prasowania, gotowania, robienia zakupna na targach i w sklepach. Ze względu jednak, że takie dorastające dziewczyki w domach uboższych są potrzebne do pilnowania młodszego rodzeństwa i wysyłanie ich do szkoły połączoneby było z trudnościami ze strony rodziców, należałoby przy takim zakładzie założyć schronisko dla małych dzieci, gdzieby młodsze rodzeństwo uczenic znalazło podczas nauki rozumną opiekę i nadzór, a uczenice same pod kierownictwem nauczycielki nauczyłyby się, jak należy z dziećmi się obchodzić, pielęgnować je, bawić i pouczać. Podobne zakłady gospodarskie istnieją w protestanckich społeczeństwach i utrzymywane są częścią przez instytucye dobroczynne, częścią przez gminy. U nas w Krakowie i innych miastach galicyjskich, gdzie się tyle dla ubogich czyni, częstokroć bezużytecznie czyni, czyżby się nie dało z niewiele większym może wydatkiem uskutecznić w podobny sposób wiele dzieł dobroczynnych i praktycznych zarazem Z dumą i radością patrzymy, jak dzięki inicyatywie i ofiarności prywatnej powstają wciąż w kraju nowe zakłady i instytucye naukowe czy dobroczynne, niedawno np. szkoła rolnicza dla synów włościańskich; czyż podobne zakłady dla córek włościańskich nie byłyby również pożyteczne i pożądane w tej chwili, kiedy płody gospodarstwa kobiecego na wsi stanowią jeden z głównych dochodów krajowych?

Także i szkoły dla sług byłyby pożądane. Mamy już wprawdzie początki tychże np. w Krakowie w niektórych klasztorach żeńskich, które zajmują się sługami, pozbawionemi służby, mamy tu nawet osobny zakład, trudniący się kształceniem sług w zakresie gospodarstwa domowego, tak samo, jak i pod względem intelektualnym i moralnym: Schronisko dla sług założone przez Bractwo Królowej Polski. Takich schronisk powinno być więcej, jak najwięcej, aby każda sługa mogła się pochlubić patentem swego uzdolnienia i umiejętnem wykonywaniem pracy je stwierdzać.

Poruszyliśmy wprawdzie tylko pobieżnie kwestyę wychowania i wykształcenia kobiet w kierunku praktycznym; poruszenie jednakże tej kwestyi było w chwili obecnej tem więcej wskazane, o ile sprawa wychowania kobiet wogóle jest na porządku dziennym, kiedy rozpoczyna się na dobre walka o emancypacyę kobiet. Nie stajemy bynajmniej w rzędzie przeciwników wyższego wykształcenia płci pięknej, mniemamy jednak, że społeczeństwu naszemu, znajdującemu się w kry-

tycznem położeniu ekonomicznem, potrzebne są nie tyle kobiety lekarze i profesorowie, ile rozumne, skrzętne i oszczędne gospodynie. Społeczeństwo zaś, które zakłada dla wyjątków gimnazya, zaniedbuje zaś równocześnie dla ogółu najważniejszej nauki gospodarstwa domowego, podobne jest do budowniczego, który wznosi efektownie udekorowane drugie piętro, nie bacząc, że dolne ściany gmachu i fundamenta się rysują.

Dr. K. Krotoski.

Druk ukończony 31 grudnia 1896 r.

MIRON COSTIN [1].

PRZYCZYNEK DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ XVII. WIEKU.

Minęły, zdaje się, bezpowrotnie chwile, które ścisłemi, choć nie zawsze serdecznemi węzłami łączyły Polskę z Mołdawią i Multanami. Wiele ponurych kart i postaci w tej przeszłości odnaleźć można; nie brak w niej jednak i jasnych momentów, opromienionych blaskiem chwały i poświęcenia; nie brak i mężów wybitnych, którzy tym czasom minionym niemało dodają uroku i sprawiają, że miło je badać i o nich myśleć.

Do rzędu ciekawych i pociągających postaci w dziejach dawnej Mołdawii należy bezwątpienia Miron Costin, jeden z pierwszych i lepszych historyków rumuńskich, w każdym razie jeden z najlepszych synów swej ojczyzny. W polskim czytelniku postać ta niezwykła tem żywsze budzi zajęcie, że jakkolwiek Rumun z urodzenia i z przekonań, zostawał jednak z Polską w bardzo blizkich, życzliwych i całkiem wyjątkowych stosunkach, znaczną część burzliwego swego życia w Polsce przepędził, a co najciekawsza, pisał po polsku prozą i wierszem, jak to zresztą wiadomo z niektórych podręczników naszej literatury. Nawet tragiczna śmierć jego, wedle wersyi historycznej, dziś dość powszechnie przyjętej i dostatecznie uzasadnionej, miała być spowodowaną sympatyami dla naszej ojczyzny, które na-

[1] Oprócz nazwiska Costina (czytaj Kostina) wszystkie inne rumuńskie nazwy pisałem wedle ortografii polskiej, tak jak je wymawiać należy.

onczas nie znajdowały pokupu i uznania w otoczeniu mołdawskiego hospodara.

W ostatniem dziesięcioleciu badacze rumuńskiej przeszłości zajmowali się wiele Mironem Costinem; wyświecono niejeden niejasny punkt w jego życiu i w politycznej działalności, a bukareszteńska Akademia Umiejętności wydała zbiór jego pism, obejmujący dzieła zarówno w rumuńskim jak i w polskim napisane języku [1]. Dla autora tych kart, który od kilku lat zajmuje się z obowiązku literaturą rumuńską, było to pobudką, aby na podstawie najnowszych rumuńskich źródeł skreślić dla polskich czytelników choćby pobieżny szkic życia i działalności męża, złączonego tak ścisłemi węzłami z tą Polską, która miała Chocim i Sobieskiego.

I.

Familia Costinów należy do najstarszych w Rumunii. Już około r. 1392, napotykamy jej imię w starych dokumentach. Należąc do najstarszych rodzin w kraju, należała zarazem do najbardziej wpływowych i była spokrewnioną nawet z księciem mołdawskim, Barnowskim. Jeden z przodków Mirona dopomógł krewnemu Barnowskiego, Mojżeszowi Mogile, do tronu, a inny walcząc wraz z wojskiem polskiem przeciw panującemu wówczas hospodarowi Szczepanowi Tomszy, zginął śmiercią z ręki kata, gdy wojska polskie poniosły klęskę. Już więc między przodkami Mirona znajdowali się mężowie w pewnych z Polską żyjący stosunkach.

Mimo że losy tej rodziny od dawien dawna z losami Rumunii ściśle były złączone, podnoszono nieraz wątpliwości, czy Costinowie są rzeczywiście pochodzenia rumuńskiego. Dymitr Kantemir w dziele swem *Descriptio Moldaviae* utrzymuje, że Costinowie są familią serbską. Nie udowadnia on jednak tego twierdzenia i dziś jest rzeczą powszechnie przyjętą, że wobec innych

[1] „Miron Costin. Opere complete... de V. A. Urechiă... Tipăritŭ sub auspiciile Academieĭ Române". Bucurescĭ. Tomul I, 1886 (8vo, pag. XII + 799). Tomul II, 1888 (8vo, pag. XV + 656).

pewniejszych źródeł ostáć się ono nie może. Przyczyną pomyłki Kantemira była zapewne okoliczność, że przodkowie Costina zamieszkiwali wieś Syrbÿ, a jest to w Rumunii przyjętym zwyczajem, że możnym rodzinom nadają nazwiska od miejsca mieszkania lub odwrotnie.

W październiku 1633 roku, czyli, jak sam o sobie pisze, w r. 7142 od stworzenia świata, urodził się Miron Costin. Miejsce jego urodzenia jest dotąd niepewne; niektórzy pisarze, jak np. kanonik Cipariu, utrzymują, że ujrzał światło dzienne w Barze. To jednak zdanie niema za sobą żadnych dowodów a skądinąd jest pewnem, że ojciec Mirona, Aleksander, uchodząc przed prześladowaniem księcia mołdawskiego Wasyla Lupula, wyemigrował do Polski dopiero około 1641. W tym też czasie uczęszczał Miron do jezuickich szkół w Barze i stamtąd wyniósł początki wykształcenia, które go później głośnym uczyniło. I znowu utrzymuje Dymitr Kantemir, że Miron wraz ze swym bratem był pierwszym Rumunem, który wychowanie w Polsce otrzymał, gdy tymczasem już około 1401 r. biskup krakowski Piotr Wysz Radoliński założył przy Uniwersytecie Jagiellońskim bursę dla Rumunów, a profesor historyi na Wszechnicy bukareszteńskiej, dr. Urekje, wyznaje bez ogródek, że już w najdawniejszych czasach Polska dla Mołdawii była pierwszorzędnem źródłem kultury i wykształcenia, tak dalece, że stawia sobie pytanie, czy też najstarszy filozof rumuński, „Mojżesz filozof“, znany i głośny już w r. 1423 nie wyszedł może z łona akademii krakowskiej. Choć nie wiadomo czy Miron Costin posiadał jaki stopień akademicki, to jednak pisma jego wskazują, że był on bardzo wykształcony, a co jeszcze więcej uderza, wykształcenie to przypisuje p. Urekje szkołom jezuickim. Twierdzenie to w ustach profesora, prawie fanatycznie do swego Kościoła przywiązanego, jest bądź co bądź dowodem niezwykłej bezstronności historycznej.

W Polsce zetknął się Miron z Włochami i wogóle z elementem romańskim; ta okoliczność rozbudziła w jego sercu żywą miłość do swego narodu, a zarazem zaszczepiła w niem pragnienie, aby światu ogłosić, że i jego ziomkowie są potomkami po-

tężnej Romy. Myśl ta jest odtąd gwiazdą przewodnią Costina we wszystkich jego dziełach i pracach literackich.

Aleksander Costin wrócił wraz z synem do Mołdawii pod koniec panowania hospodara Lupula, który przejednany przyjął ich z otwartemi rękami, dając zaraz tak ojcu jak i synowi największy dowód zaufania. Było to w czasie buntu wielkiego kanclerza Szczepana Georgje; hospodar w nader trudnem będąc położeniu, wysłał starego Costina w poselstwie do nowego pretendenta, powołując go natychmiast na swój dwór. Misya była dość niebezpieczna i rzeczywiście niewiele brakowało a byłby ojciec Mirona śmierć poniósł od straży węgierskich, które go pod miastem Bakowem ujęły. W tym samym czasie z polecenia Lupula udał się i młodziutki Miron do Piotra Potockiego, starosty Kamieńca. Książe kazał mu przypomnieć, jako niedawno wykupił go własnym majątkiem z niewoli tatarskiej i błagał o pomoc przeciwko niebezpiecznemu rywalowi. Miron wywiązał się tak dobrze z poselstwa, że Potocki bawiący wówczas w swych dobrach, porzucił wszystko, a zebrawszy sporą garść wojska, szedł na pomoc wiernemu przyjacielowi. Przyszedł już jednak za późno, bo wtedy dopiero, kiedy Lupul, widząc z jednej strony niechęć bojarów a z drugiej wiedząc, że wojsko wroga niedaleko, opuścił Chocim, w którym tymczasowo przebywał i przebywszy Dniestr schronił się do Kamieńca. Zajście to miało miejsce w roku 1653.

Tak więc objawia się już w młodym wieku w Mironie szczególna zdolność dyplomatyczna a zarazem i szlachetność jego charakteru, gdyż mimo prześladowań, jakich niegdyś przedmiotem była jego rodzina ze strony Lupula, pozostał księciu wiernym nawet w złej doli a i później w swej historyi sądził go przychylnie i zupełnie bezstronnie, z objektywnością właściwą wyższym umysłom. „Wiele przykrości — powiada — ponosili ojcowie moi od księcia Wasyla, lecz po prawdzie mówiąc, nie mogę pisać inaczej“.

Szczepan Georgje zostawszy księciem Mołdawii, wszelkiemi sposobami starał się umocnić swój chwiejny tron, a osłabić potęgę turecką; dlatego między innymi połączył się z Rakoczym,

księciem Siedmiogrodu i Konstantynem Basarabem, hospodarem Multan. Zaledwie wiadomość o tych krokach Szczepana doszła do Stambułu, zrozumiał zaraz sułtan, że naturalne to trójprzymierze ma wielkie szanse powodzenia i że w obecnym stanie rzeczy Mołdawia, Multany i Siedmiogród z pod panowania Turcyi łatwo się wybić mogą, jeżeli ich połączeniu prędko przeszkodzić nie potrafi. Zamianował więc wielkim wezyrem Küprulego. Rzeczywiście samo imię nowego wezyra wystarczyło, aby rozbić przychodzące do skutku trójprzymierze. Hospodar chcąc uratować sytuacyę wezwał Mirona i wysłał go do Bukaresztu, aby księciu multańskiemu odwagi dodał i do wytrwania go zachęcił. Niestety — napróżno! Jeszcze przed upływem roku obu książąt rumuńskich zrzucono z tronu, a nowy hospodar Mołdawii, Gika, otrzymał rozkaz wyruszenia do walki przeciw Rakoczemu. Rakoczy mając do czynienia z wojskami hana, hospodara i samego wezyra, poddać się musiał; Siedmiogród spustoszono, Gika okrył się w tej wojnie sławą a wraz z nim i Miron, który walczył w jego szeregach i już przedtem swą wierność nowemu panu okazał, wyruszając razem z kapitanem Wojciechowskim, który Gice służył, przeciwko jednemu z buntujących się książąt. Wyprawa na Rakoczego skłoniła Mirona do gorliwszego zajęcia się historyą węgierską.

Przez kilkanaście następnych lat działalność publiczna Mirona Costina jest mniej ruchliwą i mniej wybitną; piastuje on różne niższe i wyższe urzędy, mieszka częścią w Chocimie, jako pyrkałab, częścią w Jassach na „ulicy Krzywej“, która pod tem nazwiskiem jeszcze dzisiaj istnieje i przy której dotąd znajdują się ruiny dawnej jego własności. Czas ten wolniejszy od ważniejszych zajęć obraca Miron przeważnie na gospodarkę i prowadzenie interesów majątkowych; powiększa znacznie swe dobra a przez oszczędność i mądrą administracyę staje się jednym z najbogatszych bojarów Mołdawii.

Pojawia się na nowo na szerszej widowni politycznej w r. 1672, pod koniec panowania księcia Duki. W tym czasie wybierał się sułtan Mehmed z potężną armią pod Kamieniec a rozłożywszy się obozem blizko Jass, odwiedził miasto, gdzie

go książe wraz z bojarami suto i okazale przyjmował. Miron znajdował się przy boku księcia, nie wiadomo jednak, czy brał udział w skardze, przez bojarów do sułtana na księcia zaniesionej a to z powodu wielkich podatków nakładanych na kraj. Sułtan rozgniewany chciał natychmiast usunąć Dukę, na przedstawienie jednak wezyra odłożył swój zamiar na później. Tymczasem Kamieniec poddał się Turkom; przyczyniła się do tego i ta okoliczność, że pewien Mołdawianin podrobił dla Turków z polecenia i rozkazu Duki plan twierdzy; sułtan wywdzięczył się księciu za tę przysługę, zmuszając go zaraz po upadku Kamieńca do wyrzeczenia się tronu.

Na miejsce Duki wyznaczono hospodarem Petriczejkę. Wielki wezyr zażądał od niego, aby mu przysłał którego z znaczczniejszych bojarów dla załatwienia pewnych interesów; Petriczejko wybrał Mirona. Spotkanie się tegoż z wezyrem tak nam opowiada kronikarz Nekulcze: „Gdy Miron Costin przybył do namiotu wezyrskiego, posadził go wezyr naprzeciwko i kazał mu otwarcie powiedzieć, czy jest zadowolony z tego, że sułtan zdobył Kamieniec, czy nie. Widząc wahanie Mirona uśmiechnął się i zachęcał go do szczerego wypowiedzenia tego, co czuje. Na to Miron: My Mołdawianie pragniemy, aby się cesarstwo jak najwięcej rozszerzało, ale nie cieszylibyśmy się, gdyby się rozszerzyć miało i na naszą ojczyznę. Wtenczas zaśmiał się wezyr i rzekł: dobrześ powiedział“. Przyznać trzeba, że odpowiedź ta była wcale dyplomatyczną. Trudno było bowiem a nawet dość niebezpiecznie zadrzeć z Polakami, a z drugiej strony wiedział też Miron, że jego głowa nie siedzi silniej na karku, jak głowa niejednego z bojarów i książąt mołdawskich, które Turcy strącali jak makówki.

Jeżeli dotychczas usposobienie Mirona względem Polaków było zawsze przyjazne a sympatya jego dla naszej ziemi stałą i niezmienną, to teraz stajemy wobec faktu, który mógłby go nam w niekorzystnem przedstawić świetle. Polska zemściła się wkrótce po upadku Kamieńca — Sobieski wyprawiał się pod Chocim. Dla obrony twierdzy wysłał sułtan Husejna paszę, a książe multański, Grzegorz Gika, otrzymał wraz z Petriczej-

kim rozkaz, aby mu z wojskami swemi towarzyszyli. Obaj książęta, widząc niebezpieczeństwo, jakie zagrażało krajom, gdyby Turcy na stałe w Kamieńcu i Chocimie zapanowali, postanowili przejść na stronę polską i rzeczywiście wkrótce to uczynili. Po krwawej walce poddał się Chocim Polakom a 18.000 Turków padło na polu bitwy. Tymczasem Gika widząc, że jego żona znajduje się z dziećmi w Konstantynopolu i że im tam wielkie grozi niebezpieczeństwo, udał się do obozu tureckiego, składając całą winę swego postępowania na wojsko. Ten krok zniechęcił bojarów mołdawskich. Postanowili więc oni opuścić Petriczejkę, który wszelkiemi sposobami ich zachęcał, aby wiernymi pozostali Polsce i nie chciał im pozwolić rozjechać się. Wtedy, jak nam opowiada kronikarz rumuński, powstał kanclerz Miron i rzekł: „Czy to będzie z wolą Waszej Ks. Mości czy też bez niej, my nie pozwolimy, aby Tatarzy nasze domy zabrali. I pokłonił mu się i powiedział: żegnaj mi W. Ks. Mość i wyszedł — a za nim wszyscy bojarzy i kapitani pokłonili się po porządku i poszli". Książe, opuszczony od wszystkich, mając przy sobie jedynie hetmana Hebeszesku i metropolitę Dozofteja udał się na spotkanie Polaków do Czerniowiec i — rozumie się — stracił tron i koronę kiążęcą.

Przy bliższem rozpatrzeniu się w całem tem zdarzeniu, zdaje mi się, że nie można postępowania Mirona bezwzględnie potępić. Załogi tureckie leżały w kraju, Polska dość osłabiona, nie była w stanie Mołdawii przeciw półksiężycowi bronić; niebezpieczeństwo zatem grożące ojczyźnie poety jedynie spokojnem porozumieniem się z Turcyą można było jako tako zażegnać. Miron uważał krok Petriczejki za chybiony i wspominał później często, że gdyby książe był poszedł za głosem rozsądku, nie byłby tak prędko panowania utracił.

W każdym razie odstąpienie księcia i jego sprawy srodze niebawem pomściło się na bojarach i na całym kraju. Na miejsce szlachetnego Petriczejki został hospodarem Dumitraszek Kantakuzino, najgorszy z wojewodów, jacy kiedykolwiek na stolicy jaskiej zasiadali. Kantakuzino patrzał się z początku dość krzywo na Mirona, wiedząc, że za jego przykładem szlachta mołdawska

opuściła Petriczejkę, wkrótce jednak zmuszony okolicznościami począł używać jego posług i pośrednictwa. Polska zbroiła się przeciwko Mołdawii, Turcya nie była skorą do udzielenia pomocy; Miron radził, aby na zimę ściągnąć do kraju wojska tatarskie, sądząc, że jedynie tym sposobem będzie można ojczyznę od klęski uratować. Księciu podobała się ta rada, bał się bowiem Polaków, którzy tu i owdzie w małych podjazdach Mołdawię przebiegali; gdy jednak rzeczy nie układały się po jego myśli, wysłał Mirona dwa razy do Polski celem zawarcia pokoju i przyznać trzeba, że poseł przyczynił się bądź co bądź niemało do zakończenia rozruchów. Działo się to w roku 1675, a już w następnym Kantakuzino został wypędzony z Mołdawii a miejsce jego zajął nowy hospodar, Antoni Ruset, Grek.

Lud i kraj cały chwalił nowego pana, który mimo że był Grekiem a tem samem już znienawidzonym przez Rumunów, potrafił sobie jednak ująć wszystkich. Niestety niedługo panował. Synowie jego niepodobni do ojca, w otoczeniu dobranych, podobnych sobie towarzyszów, przebiegali całą Mołdawię i dopuszczali się na mieszkańcach największych i najobrzydliwszych gwałtów. To ich postępowanie było powodem zguby Ruseta. W kraju uformowało się potężne stronnictwo przeciwne hospodarowi; na czele stanęli: wielki hetman Buhusz i wielki kanclerz Ruseta, Miron Costin.

Ponieważ w tym samym czasie Turcy prowadzili wojnę z Kozakami i oblegali Czehryn (1677), zmusiła Porta księcia Mołdawii i Dukę, ówczesnego księcia Multan, aby im towarzyszyli pod mury miasta. Duka przewidując, że dni jego panowania na Multanach są już policzone, intrygował między bojarami mołdawskimi, pragnąc, aby jego na miejsce Ruseta wybrano. Liczna partya z Buhuszem i Mironem na czele była, jakeśmy już wspomnieli, swemu władcy przeciwna, dlatego też usłuchano namów Duki. Książe widząc zamiary Mirona usunął go zgrabnie i delikatnie z urzędu, lecz napróżno. Przeciwnicy wymogli na wezyrze, wracającym z pod Czehryna, usunięcie Ruseta; zdetronizowanego księcia wysłano do Konstantynopola, gdzie się nad nim w nieludzki sposób znęcano, dopóki się ogro-

mną sumą z tej strasznej niewoli nie wykupił; dawny hospodar w biedzie i niedostatku wraz z dziećmi żył w Carogrodzie, utrzymując się z rybołostwa.

Postępowanie Mirona w całem tem zajściu rzuca ciemną plamę na jego życie; najłagodniejszy nawet historyk nie jest w stanie go uniewinnić. Postąpił nierozsądnie i niesprawiedliwie — choć na jego pochwałę powiedzieć trzeba, że błąd swój i winę uznał i za nią żałował — lecz o tem później.

Na razie pokazało się, że krok Costina był co najmniej chybiony i niepolityczny. Popierany przez niego Duka, zraził sobie w niedługim czasie kraj cały. Był on raczej „karczmarzem", niż księciem, powiada kronika rumuńska. Wielu ze szlachty mołdawskiej zmówiło się, aby go wraz z Mironem (który tymczasem znowu został wielkim kanclerzem) i z hetmanem Buhuszem, zamordować. Wspólnicy jednak tego spisku zostali zdradzeni i poginęli z ręki kata.

Nadszedł rok 1683, sławny rok pogromu półksiężyca pod Wiedniem. Z rozkazu sułtana musiał i Duka z 2.000 żołnierza towarzyszyć armii tureckiej. Miron nie opuścił go w tej potrzebie. Pod Wiedniem stracił Duka wielką część swych namiotów, bagaży i żołnierzy, a uciekając przed potęgą bohaterskiego króla Polaków, wstąpił na dwór Apafiego, księcia Siedmiogrodu. Tutaj dowiedział się, że w czasie jego nieobecności wkroczył zdetronizowany Petriczejko z posiłkami polskiemi do Mołdawii. Miał więc teraz hospodar przed sobą dwie drogi. Jedni radzili mu iść najpierw na Multany, potem zapewnić sobie pomoc turecką lub tatarską i wtedy dopiero rozpocząć walkę z Petriczejkiem; inni, a z nimi Miron Costin, byli zdania, że wypada raczej przejść południowe stoki zachodnich Karpat i czemprędzej stanąć w Mołdawii. Poszedł książe za radą Costina i rozłożył się obozem pod wsią Domneszt. Tymczasem Petriczejko uwiadomiony o nadejściu Duki, wysłał pod pułkownikiem Bajińskim tęgi podjazd przeciwko niemu. Wojewoda zmiarkowawszy niebezpieczeństwo zamyślał się cofnąć do Fokszań, gdzie się znajdowała jego małżonka, Miron jednak odradzał tego kroku, utrzymując, że nie wypada opuszczać ziemi zroszonej krwią

przodków, i sądził, że wiadomość o wysłanym podjeździe była fałszywą.

Rada ta była dla księcia fatalną, gdyż w sam dzień Bożego Narodzenia, gdy siedział z bojarami przy obiedzie, wojsko polskie otoczyło pałac i Duka wraz z całym orszakiem dostał się do niewoli. Niewiele brakowało a Miron byłby zginął w tym dniu dla niego i jego księcia tak fatalnym; szczęściem poznał go któryś z Polaków i ocalił.

Zarzucano Mironowi, że zdradził księcia i wydał go Polsce; twierdzenie to niema najmniejszej podstawy, gdyż żaden historyk o tej zdradzie nie wspomina, owszem znajdują się dowody pozytywne, że Miron działał według swego najlepszego przekonania, chociaż trudno zaprzeczyć, że tym razem opuściły go jego znane przymioty: dar przezorności i mądrej rady; było zanadto hazardowną rzeczą w 140 żołnierza stanąć obozem tak blizko nieprzyjaciela.

Dukę wywieziono do Lwowa, gdzie też 1685 r. umarł, a ponieważ Petriczejko przed wojskiem tureckiem do Polski schronić się musiał, udał się wraz z nim na wygnanie i Miron Costin i tu napisał w r. 1684 swój poemat historyczny w języku polskim pod tytułem: „Opisanie ziemie Mołdawskiej i Multańskiej przez Mirona Kostyna, Wielkiego Logofeta ziemie Mołdawskiej". O tym poemacie będzie mowa niżej.

W którym roku powrócił do ojczyzny nie wiadomo. To tylko wiemy, że powitał on ziemię ojczystą za hospodarstwa Konstantyna Kantemira. Przyczyną powrotu jego był, zdaje się, niedostatek i przykre warunki życia, gdyż jak nam mówi Dymitr Kantemir w swem *Vita Constantini Cantemiri*, Mołdawianom w szeregach polskich walczącym zmniejszono najpierw żołd, a potem zupełnie go zniesiono; tak więc Miron, chociaż Polaków zawsze wielce sobie cenił [1], widział się zmuszonym pożegnać Polskę.

Zdawało się, że pobyt jego w kraju ojczystym nie będzie pod nowym panem do najprzyjemniejszych należał, gdyż jeszcze

[1] „Licet Polonos semper magnifecerit". *Vita C. Cantem.*

pod Wiedniem, czy to z powodu jakiegoś uprzedzenia, które czuł do Kantemira, czy też miłością ojczyzny zagrzany, publicznie gorzkie Konstantemu czynił wymówki. Kantemir bowiem postradawszy wszystko w bitwie, zamyślał udać się do Tatarów, Miron zaś podejrzywał go, że księcia dlatego tylko odstępuje, ponieważ spodziewa się jego śmierci i upadku i sądzi, że w takim razie wszystkie dobra zagarnie. Pamięć tego zajścia onieśmielała Mirona. Ostatecznie jednak podejrzenie swoje odwołał i księcia przeprosił a uzyskawszy zupełne z jego strony przebaczenie, udał się na dwór książęcy, gdzie jego rodzony brat, Welićko, urząd hetmana piastował. Książe Kantemir dawnego nieprzyjaciela przyjął serdecznie, zamianował go starostą w Putnie, dzieciom jego ponadawał rozmaite urzęda, a jednemu synowi dał nawet swą córkę, Saftę, w małżeństwo.

Wiadomość ta o obrazie księcia i nieporozumieniu między nim a Costinem opiera się cała na opowiadaniu Dymitra. Ile w tem jest prawdy, nie można z wszelką pewnością powiedzieć, gdyż autor ten wiele rzeczy, Costina się tyczących, bardzo stronniczo przedstawił.

Stosunki między Kantemirem i Mironem były z początku serdeczne; brat Mirona, Welićko, i Miron sam walczyli pomyślnie z różnemi bandami polskiemi i kozackiemi i wkrótkim czasie oczyścili kraj z tej nieznośnej plagi. Kantemir odwdzięczał się braciom — ale nie długo.

Był to pan zacny, miłujący sprawiedliwość i wierny w obietnicach, przytem jednak chwiejny i słabego charakteru. Uległ on silnemu wpływowi niektórych możnych familij, które korzystając z jego braku energii, całkiem go opanowały i w jego imieniu rządziły. Kraj podnoszący się pomału po tylu walkach i spustoszeniach, popadł znowu w wielką nędzę; rozporządzenia nader uciążliwe, coraz cięższe podatki i haracze drażniły ludność w najwyższym stopniu, tem więcej, że Kantemir idąc za poradą złych doradców, którym familia Costinów była solą w oku, usunął Welićkę z hetmaństwa a Mirona ze starostwa. Obaj należeli do rzędu tych nielicznych, którzy mieli odwagę robić księciu pewne przedstawienia i wskazywać bez ogródek złe skutki z jego

słabości mogące wyniknąć. Książe niełaskę okazaną Costinom usprawiedliwiać i tłumaczyć miał tem, że spiski knowali przeciwko niemu. Mieli oni stać w relacyi z dworem multańskim, gdzie zdecydowano usunąć Kantemira i zastąpić go innym hospodarem. Zdaje się, że Welićko znosił się istotnie z Multanami, lecz żaden dokument nie wspomina ani słowem o należeniu do owego spisku Mirona, a co najważniejsza, sam książęcy syn, wspomniany powyżej Dymitr Kantemir, który gdzie tylko może, Mironowi łatkę przypina, milczy zupełnie o jego współudziale.

Costinowie i po swem usunięciu nie pochwalali postępowania księcia a raczej jego spólników. To zachowanie się dwóch sławnych i w całym kraju znanych mężów, było przyczyną, że się utworzyło wielkie stronnictwo, nieprzyjaźnie dla księcia usposobione, które też postanowiło położyć koniec całej gospodarce niedołężnego władcy.

Kwiat szlachty mołdawskiej z bratem Mirona, Welićkiem, na czele, zebrał się na ślubie jednego z bojarów, Jana Paladiusza. Postanowiono tam, że ujdą wszyscy na Multany do hospodara Brynkowjana, śmiertelnego wroga Kantemira, z jego pomocą podążą do Konstantynopola, oskarżą Kantemira, wyrobią złożenie go z tronu, a na jego miejsce zostanie hospodarem Welićko. Pomiędzy zebranymi bojarami znalazł się zdrajca, niejaki Eliasz Tifeskul. Poznawszy cały plan sprzysiężenia, udał się do księcia i wyjawił mu wszystko. Kantemir wysłał natychmiast wojsko, kazał dom otoczyć i winnych uwięzić. Wielu uratowało się ucieczką na Multany, Welićko jednak został schwytany i zaprowadzony do Jass. Rozdrażniony książe uderzył go buzdyganem w głowę i kazał zamknąć do piwnicy; skorzystali z tej okazyi nieprzyjaciele Welićki i rzekli księciu: „Ponieważ zapomniałeś się tak dalece, żeś go uderzył, nie pozostaw go żywym; bo jeżeli teraz ujdzie rąk naszych, pojutrze zgubi nas wszystkich“. Kantemir posłuchał niewczesnej rady, i następnej nocy kazał Welićkę wyprowadzić z więzienia i ściąć.

Można było łatwo przewidzieć, że Miron po śmierci brata użyje wszelkich sposobów, by otrzymać zadośćuczynienie; bał się tego Kantemir i wszedłszy raz na złą drogę, chciał być kon-

sekwentnym i choć niesłusznie iść dalej. Wydał więc rozkaz, aby schwytano Mirona. Znajdował się on w miejscowości Berbosz, blizko miasta Niamc. Jak mówi kronikarz Nekulcze, nie wiedział on nic o spisku brata i innych sprzysiężonych przeciw księciu bojarów. W ostatnich dniach umarła mu żona; przygotowywał się właśnie do jej pogrzebu, kiedy nadeszli siepacze księcia. Kilku z nich, przyjaźnie dlań usposobionych, radziło mu ratować się ucieczką do Niamcu, w którym znajdowała się załoga polska; Costin jednak, nie poczuwając się do niczego, nie usłuchał ich rady; spodziewał się, że w najgorszym razie książe powoła go do Jass, gdzie się będzie mógł usprawiedliwić. Tymczasem nadszedł Makri, przełożony nad siepaczami i kazał natychmiast Mirona związać i powlec z sobą. Nieszczęśliwy, nie przeczuwając jeszcze, co się z nim stanie, błagał, aby przynajmniej zmarłą żonę pochować mu dozwolono, lecz twarde serce Makriego odmówiło tej prośbie. Oderwano więc zbolałego męża od martwych zwłok żony, nad której trumną duchowni ostatnie już odmawiali modlitwy i zaprowadzono gwałtem do miasta Roman. Tam mu powiedziano, jaki los go czeka. Z rozkazu księcia miał być ściętym.

Widząc, że niema już ratunku, wyspowiadał się Miron, jak wspomina Dymitr Kantemir, przyjął komunię, wysłuchał mszy i położył głowę pod miecz kata, zapewniając raz jeszcze, że jest niewinnym i że tragiczna jego śmierć jest słuszną karą za niesprawiedliwie postępowanie względem Ruseta. Po dokonaniu wyroku przeniesiono ciało jego do Berbosz i w tym samym dniu, w tym samym grobie męża ze żoną połączono znów razem.

Opisane tu zajścia miały miejsce w grudniu 1691 roku.

Co mogło spowodować księcia do wydania tak surowego wyroku? Syn księcia Dymitr, który najobszerniej te sprawy opisał, czyni Mirona winnym spisku przeciwko księciu.

Twierdzi on, że Miron wraz z bratem porozumiewał się z księciem Multan celem usunięcia z tronu hospodara; że książe namawiał go nawet do zamordowania swego pana, a Miron zobowiązał się to uczynić na Boże Narodzenie z okazyi ślubu

swego syna z córką Kantemira. Utrzymuje dalej, że skoro hospodar dowiedział się o knowanym przeciw sobie spisku, Miron chcąc się ratować i odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia, napisał do niego z Putny list, w którym go uwiadamia, że rozeszła się w Bukareszcie pogłoska o jego zamordowaniu i że wiernemu jego słudze Mironowi nie udało się dotąd wyśledzić nazwisk odpowiednich bojarów. Potem opowiada Dymitr Kantemir pojmanie i śmierć Welićki, tak jakeśmy je opowiedzieli powyżej, przyczem jednak dodaje, że on przed śmiercią miał oskarżyć brata i jemu nieszczęście swoje przypisać, dalej opisuje straszną scenę oderwania Mirona od trupa żony, jego zamordowanie i kończy tym szczegółem, że idąc na śmierć nieszczęsny kanclerz napisał list do księcia, w którym się przyznał do winy i błagał tylko o litość nad swemi dziećmi, które żadnego udziału w sprzysiężeniu nie miały.

Całe to opowiadanie Kantemira jest już z tego powodu bardzo podejrzane, że jest to *oratio pro domo sua;* syn pragnął gwałtowny krok ojca uniewinnić. Dalej wszystkie kroniki współczesne obszernie opowiadają nam o katastrofie, a w żadnej nie znajdujemy ani słowa o rzekomej zdradzie Mirona, przeciwnie zapewniają nas, że umarł on niewinnie. Wreszcie sam książe Kantemir żałował bardzo swego porywczego kroku, „płakał przed bojarami i przeklinał tych, którzy go do zamordowania Mirona namawiali"; później uwięził nawet prześladowców Mirona, a synom jego wysokie ponadawał godności.

Jakaż więc była prawdziwa przyczyna śmierci?

Nie da się zaprzeczyć, że przyczyniła się do niej surowa krytyka, jakiej postępowaniu Kantemira nie szczędzili Costinowie; Welićko w swojej ku księciu niechęci szedł tak daleko, że raz np. na jakimś bankiecie dworskim Kantemirowi nieumiejącemu czytać, rzucił w twarz słowa, że człowiek, który czytać nie umie, jest bydlęciem. Tego rodzaju zajścia mogły rozgoryczyć księcia przeciwko całej rodzinie. Nadto nie ulega wątpliwości, że Kantemir podejrzywał Mirona o tajne znoszenie się z Sobieskim, z Brynkowjanem, hospodarem Multan i Duką, dawnym panem Mołdawii. Wiedział dobrze, że Miron Costin

sprzyja polityce polskiej, która się wielce od jego poglądów różniła. Współcześni pisarze dotykają owych stosunków w swych listach i wyraźnie o tem wspominają, że Miron jest nadzwyczajnie przywiązany do Polski i że polską wyłącznie politykę popiera. Tak de Castagnères, ambasador francuski, pisze w swej relacyi z Konstantynopola pod dniem 15 czerwca 1690 r., że książę i bojarzy, z wyjątkiem Mirona i jego partyi, pracują nad tem, aby przyjąć Niemców w Mołdawii, jako zabezpieczenie się przeciw Polakom. Jezuita francuski, Filip Avril, w swem dziele: *Voyage entrepris pour découvrir un nouveau chemin à la Chine* mówi, że kiedy chodziło o ściągnięcie Niemców do Mołdawii i wstępne kroki były już poczynione, książę zażądał od bojarów, aby złożyli przysięgę na ewangelię, że cała ta sprawa przed światem ukrytą zostanie. Oparł się jeden Miron, który z całą familią swą i z wielkim hetmanem Mołdawii nadzwyczaj sobie cenił interesa polskie [1], i dopiero wtenczas zastosował się do rozkazu księcia, gdy mu tenże kilka razy zagroził, że go stracić każe i że wygubi całą jego rodzinę. Potwierdzenie tych wiadomości znajdujemy w gazecie francuskiej p. t.: *Recueil des nouvelles ordinaires et extraordinaires, relations et récits des choses avenues tant en ce royaume qu'ailleurs, pendant l'année mil six cent quatre vingt douze. Paris 1693.* Przed dniem 1 lutego 1692 donosi ona z Warszawy, że hospodar kazał ściąć ośmiu głównych urzędników swojego dworu pod pozorem porozumiewania się z cesarzem i z Polską [2]; w numerze z 8 lutego tegoż roku potwierdza tę wiadomość, utrzymując jednak, że kazał ich stracić jedynie pod pozorem porozumiewania się z Polską, ponieważ spiskowcy mieli zażądać protektoratu Polski [3]. Bliższe szczegóły

[1] „Lequel avec toute sa famille et le grand général de Moldavie son parent, paraissait extrêmement attaché aux interêts de la Pologne". *Voyage* etc. Paris 1692, pag. 334—366.

[2] „On a appris par des lettres de Moldavie, que le Hospodar... a fait couper la teste a huit des principaux officiers de la Cour, sous prétexte d'intelligence avec l'empereur et la Pologne".

[3] „On a eu confirmation de la nouvelle qui estoit venue que le Hospodar de Moldavie avoit fait couper la teste a huit de ses principaux officiers sous prétexte d'intelligence avec la cour de Pologne. On assure

podaje wreszcie pod dniem 15 lutego, gdzie też wyraźnie wspomina o śmierci wielkiego kanclerza [1].

To były prawdopodobne przyczyny tragicznego końca wielkiego męża, a tak rzeczywiście widzimy, co też i nowsi historycy rumuńscy, jak prof. Urekje, potwierdzają, że przywiązanie do Polski na jego niekorzyść wyszło i że dla sympatyj swych do kraju naszego tak marnie zginął.

„I nie powołał ich przed dywan swój książe Kantemir, aby im udowodnił winę lub chytrość, ale po tyrańsku ich zamordował. Tak złączyły się od początku świata zazdrość i zawiść i nie przestają kąsać wszystkich i nikt ich zębów ustrzedz się nie zdoła". Temi słowy odzywa się kronikarz Mustja, zdając sprawę z tej krwawej karty w historyi mołdawskiej, jednej z tysiąca.

O potomkach Costina nie wiele mamy do powiedzenia. Wiadomo tylko z historyi, że syn Mirona, Mikołaj Costin, kanclerz i hetman mołdawski, kończył swe nauki na uniwersytecie krakowskim, należał do najuczeńszych ludzi swego czasu, równie jak ojciec przywiązanym był do Polski i niejednę Polakom wyświadczył przysługę.

(Dok. nast.).

Wiktor Wiecki.

---

qu'ils avaient eu des conférences secrètes où il avait esté proposé de faire une manière de confédération pour se mettre sous la protection des Polonais".

[1] „On a receu le détail de ce qui s'est passé à la Cour du Hospodar de Moldavie à l'egard de plusieurs de ses officiers qui avaient dessein de se mettre sous la protection de la Pologne... Le Hospodar fit couper la teste à son chancelier".

KSIĘSTWO INFLANCKIE XVII. i XVIII. STULECIA.

PRZEGLĄD WYBITNIEJSZYCH JEGO POSTACI.

(Dokończenie).

IV.

Niemniejszą od Jana Augusta i Józefa Hylzenów ozdobą Inflant polskich w XVIII. stuleciu był dziedzic Indrycy nad Dźwiną, Jan Ludwik Plater, starosta inflancki i dyneburski. Założył on w uroczo położonym Krasławiu, w prawdziwie malowniczej okolicy wzdłuż brzegów Dźwiny i wpadającej do niej Krasławki, główną rezydencyę Platerów i ściągnął w tę prześliczną ustroń całe życie Inflant polskich.

Właśnie z tym krasławskim domem Platerów połączył się drugim swym węzłem małżeńskim wielbiciel dawnego rycerstwa, kronikarz ziemi ojczystej, Jan August Hylzen, któremu w rozdziale poprzednim kilka poświęciliśmy stronic. Platerowie, jak już wiemy, stanowią także odwieczną inflancką rodzinę z dawnych czasów rycerskich. Jan Ludwik Plater, ojciec młodej dziewicy, którą wybrał sobie za dozgonną towarzyszkę życia młody wdowiec Jan August Hylzen, wojewodował w Inflantach polskich. Kreśląc jego portret w jednej z późniejszych mów swoich, przechowanych nam przez Danejkowicza, powiada Jan August Hylzen o teściu, że to był „nieporównany wódz i gospodarz, ojciec i opiekun prowincyi naszej“ tj. Inflant polskich.

J. L. Plater miał wiele rozumu, wiele bystrości pojęcia

i fabryk upadł całkowicie przy pierwszym rozbiorze Rzpltej polskiej.

Trwalej ustalił swą pamięć w rodzinnym Krasławiu tenże K. L. Plater, wznosząc tam w latach 1755—1767 prawdziwie wspaniały kościół murowany (w stylu włoskim), który miał kiedyś zostać katedrą biskupów inflanckich, tudzież gmach obszerny dla seminaryum dyecezalnego, na który oddawna już (od 1711 roku) przygotował znaczne zasoby były dziedzic dóbr krasławtkich, a ówczesny biskup inflancki Teodor z Ludyngshauzu Wolff.

Miał tu rezydować stale sufragan inflancki, dla którego fundusz był zapewniony zapisami szlachty rycerskiej. Fundacya ta, do której teraz głównie przyczynili się biskupi: Antoni Ostrowski, inflancki i Jerzy Mikołaj Hylzen, smoleński, zatwierdzoną została ustawą sejmu z roku 1768 [1].

Synem założyciela katedralnego kościoła w Krasławiu, wojewody Konstantego Ludwika, był Kazimierz Konstanty Plater, obrany posłem z Inflant na sejm elekcyjny w roku 1764. Był nim także ruchliwy ten mąż na sejmie z 1766 r. Członkiem rady nieustającej mianowany w roku 1776, zostawał lat siedm w departamencie sprawiedliwości. Później na sejmie grodzieńskim roku 1784 powtórnie do tejże rady zawezwany, zostawał w niej znowu lat cztery. Postawiony przy królu nie zawsze szczęśliwie wpływał na bieg interesów zagranicznych i towarzyszył mu w podróży do Kaniowa 1789 r. [2]; w roku 1792 jeździł jako poseł

---

[1] Konstytucya na sejmie ekstraordynaryjnym warszawskim w r. 1768 odbytym, kościół krasławski na katedrę biskupów inflanckich temi słowy zatwierdza: „Nowo erygowany kościół na katedrę biskupom y Dyecezyi Inflanckiey w Krasławiu, wieczystych dobrach Wielmożnego Plattera, wojewody mścisławskiego, z funduszem dla OO. Misyonarzow y Seminaryum dyecezalnem, na wieczne czasy aprobujemy y potwierdzamy". (Porównaj *Volum. legum,* wydanie Jozafata Ohryzki, tom VIII, str. 379). Kościół wedle własnego planu wykonywał włoski architekt Paracco, który niebawem osiadł stale w Inflantach polskich. Synowie i wnukowie jego, już najzupełniejsi Polacy, posiadają dobra ziemskie w Lucyńskiem i piszą się: Parako. Szczegół powyższy przytaczamy jako dowód wymowny, z jaką łatwością żywioły obce przyjmowały kulturę polską w województwie inflanckiem. Nie braknie i wielu innych przykładów na poparcie tego twierdzenia.

[2] Tę podróż do Kaniowa odbytą wraz z królem Stanisławem Augu-

polski do Petersburga; wreszcie po drugim rozbiorze Polski, któremu zapobiedz już nie zdołał, w roku 1793 został z ręki Sieversa ostatnim podkanclerzem litewskim.

Małżonka jego, Izabela z Borchów Platerowa, urodzona również w Inflantach polskich w ciągu wieku XVIII.[1], pani bardzo światła i w swoim czasie niemały wpływ na kulturę księstwa inflanckiego i dalszych województw wywierająca, nie może zostać pominiętą w szkicu niniejszym. Ona bowiem pierwsza u nas w Polsce była redaktorką czasopisma. Wydawała je przez lat kilka w Warszawie. Tytuł jego: *Przyjaciel dzieci, pismo tygodniowe.* Biblioteki nasze inflanckie przechowują starannie 5 tomów tego czasopisma, wydawanego w 8-ce od r. 1789—1792.

Synem tej pierwszej redaktorki polskiej i jej małżonka Kazimierza Konstantego Platera (Targowiczanina) był Michał Plater, znany osobiście piszącemu i to bardzo blizko. Odznaczał się on jako oficer inżynieryi przy sztabie Tadeusza Kościuszki, którego był adjutantem w roku 1795. Nominacyę na ten urząd zaszczytny przechował z dobrze uzasadnioną dumą aż do śmierci zaszłej późną jesienią w pamiętnym roku 1863.

Mąż ten dostojny, słynący w Inflantach nietylko z głębokiego wykształcenia, ale i z cnót rzadkich, ożenił się z ostatnią

stem w r. 1789 opisał szczegółowo w listach nader ciekawych, które zaledwie po siedmiu dziesiątkach lat drukiem ogłoszone zostały. Wydał je w Wilnie w r. 1860 Józef Ignacy Kraszewski, postępując za przykładem ówczesnej redakcyi krakowskiego *Czasu;* ta bowiem już w r. 1856 w dodatku do swego dziennika wydrukowała „Dyaryusz" czyli opis czynności tegoż K. K. Platera, który jako poseł Rzpltej polskiej w r. 1792 jeździł do Petersburga i spisał je własnoręcznie w owym „Dyaryuszu". Oprócz wielu prac ogłoszonych za życia, a nawet na język niemiecki następnie tłumaczonych, zostawił podkanclerzy Plater w rękopiśmie „Dzieje królestwa polskiego za Stanisława Augusta" tomów 16, których atoli dotąd nikt nie ogłasza, dlatego zwłaszcza, że autor tych dziejów przyjął podkanclerstwo od Sieversa w r. 1793, w rządzie tworzonym dla Polski po dokonaniu drugiego rozbioru, z czego wnosić już można, iż poglądy jego nie zawsze się odznaczają niezbędną u dziejopisarza bezstronnością.

[1] Izabela z Borchów Platerowa urodziła się w r. 1735 w Inflantach polskich, w dobrach Warklańskich, stanowiących obecnie dziedziczną posiadłość księżnej Teresy z Sanguszków Sapieżyny, której matka, księżna Marya Sanguszkowa, była z domu Borchówną.

i fabryk upadł całkowicie przy pierwszym rozbiorze Rzpltej polskiej.

Trwalej ustalił swą pamięć w rodzinnym Krasławiu tenże K. L. Plater, wznosząc tam w latach 1755—1767 prawdziwie wspaniały kościół murowany (w stylu włoskim), który miał kiedyś zostać katedrą biskupów inflanckich, tudzież gmach obszerny dla seminaryum dyecezalnego, na który oddawna już (od 1711 roku) przygotował znaczne zasoby były dziedzic dóbr krasławtkich, a ówczesny biskup inflancki Teodor z Ludyngshauzu Wolff.

Miał tu rezydować stale sufragan inflancki, dla którego fundusz był zapewniony zapisami szlachty rycerskiej. Fundacya ta, do której teraz głównie przyczynili się biskupi: Antoni Ostrowski, inflancki i Jerzy Mikołaj Hylzen, smoleński, zatwierdzoną została ustawą sejmu z roku 1768 [1].

Synem założyciela katedralnego kościoła w Krasławiu, wojewody Konstantego Ludwika, był Kazimierz Konstanty Plater, obrany posłem z Inflant na sejm elekcyjny w roku 1764. Był nim także ruchliwy ten mąż na sejmie z 1766 r. Członkiem rady nieustającej mianowany w roku 1776, zostawał lat siedm w departamencie sprawiedliwości. Później na sejmie grodzieńskim roku 1784 powtórnie do tejże rady zawezwany, zostawał w niej znowu lat cztery. Postawiony przy królu nie zawsze szczęśliwie wpływał na bieg interesów zagranicznych i towarzyszył mu w podróży do Kaniowa 1789 r. [2]; w roku 1792 jeździł jako poseł

[1] Konstytucya na sejmie ekstraordynaryjnym warszawskim w r. 1768 odbytym, kościół krasławski na katedrę biskupów inflanckich temi słowy zatwierdza: „Nowo erygowany kościół na katedrę biskupom y Dyecezyi Inflanckiey w Krasławiu, wieczystych dobrach Wielmożnego Plattera, wojewody mścisławskiego, z funduszem dla OO. Misyonarzow y Seminaryum dyecezalnem, na wieczne czasy aprobujemy y potwierdzamy". (Porównaj *Volum. legum,* wydanie Jozafata Ohryzki, tom VIII, str. 379). Kościół wedle własnego planu wykonywał włoski architekt Paracco, który niebawem osiadł stale w Inflantach polskich. Synowie i wnukowie jego, już najzupełniejsi Polacy, posiadają dobra ziemskie w Lucyńskiem i piszą się: Parako. Szczegół powyższy przytaczamy jako dowód wymowny, z jaką łatwością żywioły obce przyjmowały kulturę polską w województwie inflanckiem. Nie braknie i wielu innych przykładów na poparcie tego twierdzenia.

[2] Tę podróż do Kaniowa odbytą wraz z królem Stanisławem Augu-

polski do Petersburga; wreszcie po drugim rozbiorze Polski, któremu zapobiedz już nie zdołał, w roku 1793 został z ręki Sieversa ostatnim podkanclerzem litewskim.

Małżonka jego, Izabela z Borchów Platerowa, urodzona również w Inflantach polskich w ciągu wieku XVIII.[1], pani bardzo światła i w swoim czasie niemały wpływ na kulturę księstwa inflanckiego i dalszych województw wywierająca, nie może zostać pominiętą w szkicu niniejszym. Ona bowiem pierwsza u nas w Polsce była redaktorką czasopisma. Wydawała je przez lat kilka w Warszawie. Tytuł jego: *Przyjaciel dzieci, pismo tygodniowe.* Biblioteki nasze inflanckie przechowują starannie 5 tomów tego czasopisma, wydawanego w 8-ce od r. 1789—1792.

Synem tej pierwszej redaktorki polskiej i jej małżonka Kazimierza Konstantego Platera (Targowiczanina) był Michał Plater, znany osobiście piszącemu i to bardzo blizko. Odznaczał się on jako oficer inżynieryi przy sztabie Tadeusza Kościuszki, którego był adjutantem w roku 1795. Nominacyę na ten urząd zaszczytny przechował z dobrze uzasadnioną dumą aż do śmierci zaszłej późną jesienią w pamiętnym roku 1863.

Mąż ten dostojny, słynący w Inflantach nietylko z głębokiego wykształcenia, ale i z cnót rzadkich, ożenił się z ostatnią

---

stem w r. 1789 opisał szczegółowo w listach nader ciekawych, które zaledwie po siedmiu dziesiątkach lat drukiem ogłoszone zostały. Wydał je w Wilnie w r. 1860 Józef Ignacy Kraszewski, postępując za przykładem ówczesnej redakcyi krakowskiego *Czasu;* ta bowiem już w r. 1856 w dodatku do swego dziennika wydrukowała „Dyaryusz" czyli opis czynności tegoż K. K. Platera, który jako poseł Rzpltej polskiej w r. 1792 jeździł do Petersburga i spisał je własnoręcznie w owym „Dyaryuszu". Oprócz wielu prac ogłoszonych za życia, a nawet na język niemiecki następnie tłumaczonych, zostawił podkanclerzy Plater w rękopiśmie „Dzieje królestwa polskiego za Stanisława Augusta" tomów 16, których atoli dotąd nikt nie ogłasza, dlatego zwłaszcza, że autor tych dziejów przyjął podkanclerstwo od Sieversa w r. 1793, w rządzie tworzonym dla Polski po dokonaniu drugiego rozbioru, z czego wnosić już można, iż poglądy jego nie zawsze się odznaczają niezbędną u dziejopisarza bezstronnością.

[1] Izabela z Borchów Platerowa urodziła się w r. 1735 w Inflantach polskich, w dobrach Warklańskich, stanowiących obecnie dziedziczną posiadłość księżnej Teresy z Sanguszków Sapieżyny, której matka, księżna Marya Sanguszkowa, była z domu Borchówną.

Zyberkówną, córką wojewody Jana Tadeusza Zyberka, a będąc przez teścia formalnie adoptowany przed wstąpieniem w stan małżeński, przyjął jego nazwisko i herb i został praojcem dzisiejszej linii Zyberków polsko-inflanckich, z których atoli niektórzy, od połowy bieżącego stulecia, poczęli mianować się Plater-Zyberkami, a od czasu do czasu nazywają siebie po prostu Platerami.

V.

Do wybitnych postaci XVIII. stulecia w ówczesnych Inflantach polskich należało także kilku Korffów.

Już na początku zeszłego wieku dwóch z rzędu Korffów za zasługi wojenne posiadało starostwo rzeżyckie *(capitaneatus Rositensis)*, naprzód Mikołaj, a następnie syn jego Zygmunt. Dziad pierwszego, także Mikołaj, wojewoda wendeński, wsławił się za króla Jana Kazimierza w ekspedycyach wojennych, a brat dziada, Wilhelm Korff, starosta orleński, walecznie bronił Smoleńska.

Z tychże Korffów polsko-inflanckich Jan Albert miał pewien rozgłos w wieku XVIII. jako uczony i dyplomata u dworu rosyjskiego, od którego posłował w Kopenhadze i Sztokholmie [1]. W końcu XVIII. stulecia widzimy toż samo starostwo rzeżyckie w ręku innego, już nieco zniemczałego Mikołaja Korffa, należącego do linii Korffów na Kryżborku (w dyneburskiem), pochodzącej z domu Korff-Preekuln w Kurlandyi [2].

W tymże XVIII. a także i w XVII. stuleciu piastowali polsko-inflanccy Borchowie wyższe godności krajowe, w których pewne położyli zasługi. I tak: syn Gedeona Borcha, posła z okręgu

---

[1] Jan Albert Korff musiał być istotnie mężem uczonym, gdyż w r. 1735 mianowano go prezesem petersburskiej Akademii umiejętności, co w braku innych dowodów służyć może za miarę jego wykształcenia. Najnowsze dzieło o dziejach nadbałtyckich: *Geschichte Liv- Est- und Kurlands* panów E. i A. Seraphim (Rewel 1896 r., tom 2-gi, str. 623) przyznaje mu obok głębokiej wiedzy także niepospolite zdolności, które wpływ jego ówczesny tłumaczą.

[2] Ród Korffów w wieku XIX. stał się napowrót niemieckim, za wyłączeniem jednej tylko bardzo już podupadłej gałęzi.

dyneburskiego, Fabian Borch był nietylko starostą lucyńskim, ale i dzielnym generałem artyleryi litewskiej; wnuk Gedeona, a synowiec Fabiana, Jan Borch, urodzony w roku 1713, od pierwszej zaraz młodości bywał posłem na sejmy, aż wreszcie w 1744 roku został podkomorzym inflanckim. Był on zrazu nieprzyjacielem politycznym książąt Czartoryskich, jawnym zaś stronnikiem domu saskiego, który już od roku 1735 miewał liczne dowody jego bezinteresownego przywiązania.

Podkomorzy inflancki silnie popierał sprawę królewicza Karola, księcia Kurlandyi i Semigalii, pragnął mu zapewnić tron księstwa, nawet jeździł potem razy kilka do stolicy nadnewskiej w tym celu jako dyplomata, upoważniony do rokowań przez Rzpltą polską, Kurlandya bowiem, jak powszechnie wiadomo, była tylko lenniczem państewkiem Rzpltej. Nieodłączny od księcia Karola, przedstawiał się z nim razem u carowej rosyjskiej Elżbiety w r. 1758. Grały jednak w tem wszystkiem ambitne widoki, nie samo tylko serce.

Ambicya jego atoli, nie ograniczała się bynajmniej na sobie samym. „Doszedłszy urzędów znakomitych w Rzeczypospolitej, ambitny jest dla teścia, dla synów, dla całej rodziny, dla krewnych bliższych i dalszych“ — piszą o nim jego biografowie.

Dla teścia, Jozafata Zyberka, starosty bolnickiego, wyrobił naprzód kasztelanię, a następnie województwo inflanckie, dla synów liczne starostwa.

Możnaby napisać obszerną monografię o Janie Borchu, materyałów nie brak. W bezkrólewiu po śmierci Augusta III. zadarł z początku z Czartoryskimi i był przez nich mocno prześladowany. Na sejmie konwokacyjnym posłował z Inflant, stał za Mokronowskim i wraz z nim salę obrad opuścił. Atoli król Stanisław August zaraz na wstępie swego panowania ocenił charakter jego i zdolności. To też niebawem, bo już w sierpniu 1765 roku, wyniósł go na województwo inflanckie.

Wtenczas i Czartoryscy z Janem Borchem się pogodzili; stąd na pierwszym sejmie delegacyjnym w r. 1767 przyjął od nich pieczęć mniejszą koronną i został podkanclerzym.

Jako zręczny dyplomata wyznaczony został w r. 1767 do układów z Repninem. Wybuchowi konfederacyi barskiej bardzo był przeciwny. Trzymał wszędzie z królem. Starostw miał bez liku, zwłaszcza w rodzimych „Inflantach polskich“, w których kilkanaście fundował kościołów parafialnych, nie licząc filialnych i kaplic. Po pożarze u wspominanych w jednym z poprzednich rozdziałów Dominikanów posińskich, wzniósł na miejscu założonego przez nich w końcu XVII. stulecia drewnianego kościółka i takiegoż klasztoru, wspaniałą świątynię o dwóch wyniosłych wieżach kilkupiątrowych oraz obszerny klasztor murowany. W Prusach dostał starostwo c z ł u c h o w s k i e. Rzeczpospolita na drugim sejmie delegacyjnym kazała mu wypłacić tytułem strat, jakie dla kraju był poniósł, 335.000 złotych, co na owe czasy było sumą olbrzymią [1].

Ambicya jego wtedy już głównie do nabycia starostw się kierowała, bo zresztą miał przed sobą jeden tylko urząd, to jest wielkie kanclerstwo. W marcu 1780 roku został też k a n c l e r z e m w i e l k i m na sześć miesięcy przed śmiercią.

„Był to człek prawy, sprawiedliwy i „stały w przedsięwzięciach“ — piszą jednozgodnie jego biografowie [2]. Miał na owe czasy obszerną naukę i biegłość w prawie, znał dobrze dzieje swojego narodu. Obrotny i nader zręczny, niezmordowany w pracy, umiał z każdej okoliczności zręcznie korzystać. „Uwagi i ‚refleksye‘ jego były zawsze gruntowne, zastosowane do czasu i wy-

[1] Ob. *Vol. legum* (wydanie J. Ohryzki) tom VIII. str. 129.

[2] Jak słusznie to zdanie wypowiedzieli, na to mamy liczne dowody we własnem naszem A r c h i w u m r o d z i n n e m. Całe szeregi dokumentów z czasów małoletności i niepełnoletności Fryderyka Adama Mikołaja Manteuffla, podpisywane przez jego głównego opiekuna Jana Borcha, wymownie tę prawdę potwierdzają. Przeglądał je i sprawdzał kilka razy do roku zrazu podkomorzy, następnie starosta, później wojewoda a od roku 1767 podkanclerzy Jan Borch, zarządzając z niezwykłą już dzisiaj sumiennością wszystkiemi dobrami pupila, położonemi już to w Inflantach polskich, już to w księstwie kurlandzkiem i semigalskiem. Z niemniejszą sumiennością wywiązywał się Jan Borch z obowiązków opiekuna względem małoletniego Stanisława Sołtana, późniejszego marszałka nadwornego Wielkiego Księstwa litewskiego, na co w archiwum Sołtanów liczne znajdują się dowody.

magań epoki. Przekonywać umiał ludzi doskonale, był wymowny a umysł miał nader logiczny. Kiedy potrzeba było milczeć, milczał jak grób i powagę swoją dzielnie utrzymywał".

Z synów jego Michał nabrał pewnego rozgłosu jako podróżnik, zwłaszcza zaś przez studya z zakresu nauk przyrodniczych, którym się z zamiłowaniem zdawał oddawać. Wróciwszy z zagranicy młody kanclerzyc koronny znalazł względy u króla Stanisława Augusta, został generał-lejtnantem w wojsku narodowem, następnie wielkim obożnym litewskim, wreszcie wojewodą bełzkim [1].

Przesiedlonej do Inflant polskich w wieku XVIII. z Kurlandyi odwiecznej rycerskiej rodzinie Zyberków [2] należy się tu wspomnienie, chociażby już z tego względu, że wpływem swoim podnosiła lud, rozwijała jego uczucia moralne i religijne, szerzyła oświatę i tem silniej go wiązała z ojczyzną. Pamiątka tego została w licznych korespondencyach do wychodzącego niegdyś w Warszawie „Pamiętnika religijno-moralnego".

Wiemy już z rozdziału I. niniejszego szkicu, że na początku XVII. stulecia można tu było spotykać wielomilowe przestrzenie kraju bez żadnego kościoła. Później ciągłe wojny szwedzko-polskie przeszkadzały a nawet kładły tamę nieprzepartą pracy

[1] O płodach literackich wojewody bełzkiego Michała Borcha, rozpisywaliśmy się obszernie na innem miejscu, mówiąc o literaturze inflanckiej XVIII. stulecia. Wylicza je najsumienniej dzieło niemieckie czterotomowe, wydawane w Mitawie w latach 1827—1837 pod tytułem: *Schriftsteller-und Gelehrten-Lexicon der Provinzen Liv-Est- und Kurland.* Najwięcej uznania znalazły w swoim czasie jego: *Lettres sur la Sicile et sur l'île de Malte,* pisane w r. 1777 a ogłoszone drukiem w dwóch tomach w r. 1782. Wspomina o nich Goethe w swoich *Italienische Reise* (ob. *Goethe's Werke* tom XXIII). Ośm lat później, gdy złożył senatorstwo ociężały wojewoda, osiadł w dobrach swoich polsko-inflanckich Warklany; otoczony Jezuitami, oddał się praktykom pobożnym i piśmiennictwu. Wtenczas wydał po polsku: „Uwagi nad chorobami, wadami i uszkodzeniami drzew owocowych i do budowy zdatnych" i t. d.; książka ta, niemal dosłownie przełożona z angielskiego, wyszła u Grella w Warszawie w r. 1791, i dlatego nie wspomina o niej przytoczony przez nas powyżej niemiecki *Schriftsteller-Lexicon.*

[2] Rodzina ta pisze się po niemiecku von Syberg zu Wischling; po polsku zaś na Wiszlingu Zyberk albo krótko Zyberk.

apostolskiej, aż zaledwie w wieku XVIII., za doby saskiej, kraj ten wolniej począł oddychać.

Wiara chrześcijańska, jakoby na nowo opowiadana, uszlachetniała serca, podnosiła umysły. Oczywista, że w takiem położeniu rzeczy, wiele się zasłużyli Rzpltej polskiej na jej kresach inflanckich ci wszyscy, którzy tam wznosili kościoły, zaprowadzali misye i nabożeństwa, oświecali lud wiejski.

Jak już wiemy, pierwsze hasło dają tu Hylzenowie, a niebawem naśladują ich inne dawne rody miejscowe. Za Maryenhauzą, Pyłdą, Dagdą i Bukmujżą Hylzenów rychło zaświeciły na ziemi polsko-inflanckiej całe szeregi kościołów parafialnych i filialnych, z których już sami Borchowie wznieśli liczbę niemałą. Resztę erygowały inne starodawne rody inflanckie.

Zaludniło się i rozświeciło w Inflantach polskich. Na samem ich pograniczu w Iłukszcie, w pobliżu odwiecznej komturyi dyneburskiej, założył starosta bolnicki, Jozafat Zyberk w roku 1754 wspaniały kościół i klasztor dla Jezuitów, których umyślnie tam sprowadził. To też niebawem literatura zapisała Zyberkowi wdzięczność za tę fundacyę. Jakób Nakcyanowicz, profesor matematyki w ówczesnej Akademii wileńskiej, dedykował staroście bolnickiemu i synom jego: Janowi Tadeuszowi, Janowi Kazimierzowi i Józefowi Zyberkom, dziełko pod tytułem: *Exercitationes in analysi cum finitorum tum infinitorum mathem.* i t. d. (Vilnae 1758, in 4-to). W dedykacyi umieścił mnóstwo szczegółów biograficznych o Zyberkach.

Oprócz trzech synów, którym owe *Exercitationes* zostały ofiarowane, miał starosta bolnicki także pięć córek, jednę za Strutyńskim, drugą za Reuttem, trzecią za Tyzenhauzem, starostą posolskim a *secundo voto* za Kossakowskim, czwartą za znanym już czytelnikowi Janem Borchem, wtedy jeszcze podkomorzym inflanckim, a piątą ksienią na Litwie. Wszystkie te panie nic niemieckiego w sobie nie miały. „Jan Borch, Inflantczyk ruchliwy i wpływowy — są słowa przytaczanego już kilkakrotnie J. Bartoszewicza — jeszcze za doby saskiej starał się wyrobić teściowi jakie krzesło w senacie, a za doby stanisławowskiej podnosił teścia już własną swoją powagą“. Po Józefie Hylzenie,

który szedł na województwo mińskie, wyrobił teściowi kasztelanię polsko-inflancką w r. 1767 [1].

Zanim się wybrał Jozafat Zyberk na podziękowanie królowi i złożenie senatorskiej przysięgi, upłynęło aż dwa lata. Wtedy już wyższy przyszło mu brać wakans. Przyjechał kasztelan inflancki do stolicy i skoro w dniu 18 czerwca 1769 r. złożył przysięgę na krzesło, zaraz ogłoszony został wojewodą inflanckim [2].

Wakans był po Stanisławie Brzostowskim, sławnym niegdyś marszałku konfederacyi radomskiej. Jan Borch, wtedy już mąż wielkiego wpływu jako podkanclerzy, postarał się o krzesło dla teścia i dlatego, kiedy kasztelan Zyberk przyjechał do Warszawy, już go przed nominacyą zaczynały nazywać miejscowe gazety: „teraźniejszy wojewoda inflancki“ [3].

Jozafat Zyberk, który pomiędzy braćmi swych pradziadów nie jednego liczył komtura, pierwszy w rodzinie został senatorem. O tę godność polską mu tylko chodziło, nie zaś o głos w senacie, gdyż nie był to mąż jakiego wyłącznego stronnictwa, jakich wyłącznych zasad; przeciwnie, każdego sobie ujmował. To też nawet rosyjski generał Czernyszew przepadał za nim. W r. 1775 złożył województwo sędziwy starzec, uprosiwszy atoli króla, by je nadał jego synowi Janowi Tadeuszowi, a niebawem bo już w r. 1776 umarł w dobrach swoich polsko-inflanckich — Liksnie, które przekładał nad Szlosberk, odwieczną rezydencyę kurlandzką swych przodków.

Jan Tadeusz Zyberk, wojewoda inflancki od 10 kwietnia 1775 r., został w r. 1777 wojewodą brzeskim. Osobistość to mniej wybitna niż ojca, który wszędzie zdołał zyskać niezwykłą popularność. Obrany konsyliarzem rady nieustającej w r. 1784 uzyskał na sejmie głosów 117, zasiadał w departamencie policyi [4].

[1] Obacz „Sygillaty“, księga XXXI, karta 107.

[2] Obacz „Sygillaty“, księga XXXIII. Znajduje się w sygilllatach (księdze XXXIII-ciej) jego nominacya na województwo inflanckie z d. 20 czerwca 1769 roku.

[3] J. Bartoszewicz.

[4] *Gazeta Warszawska* nr. 85 (z r. 1784) opiewa szczegółowo, że na go-

Ożeniwszy się po raz trzeci, dopiero wtenczas doczekał się córki, słynnej z rozumu i cnót, jedynaczki, która odziedziczyła cały majątek po ojcu i stryjach a wraz z fortuną nazwisko ojca przekazała mężowi. Wpływem jej i dostojnego małżonka, niegdyś towarzysza Kościuszkowego, całe życie katolickiej okolicy skupiało się w Liksnie, ich głównej siedzibie polsko-inflanckiej i Schlosberku (Schlossberg-Illuxt), kurlandzkiej. W tych dwóch ogniskach Łotwy katolickiej zacni kapłani już od połowy XVIII. wieku stale przewodniczyli ludowi polsko-inflanckiemu, który, dzięki ich gorliwości kapłańskiej, słynie i dotąd z prawdziwej pobożności. Z powodu tej ostatniej przez większość etnografów bywał lud nasz niejednokrotnie porównywany do ludu żmudzkiego, z którym i to ma wspólnego, że z jego łona wychodzi wielu godnych i zdolnych duchownych.

Przyjrzawszy się bacznie działalności i obyczajom dawnych rodów krzyżacko-rycerskich Inflant polskich, nie możemy nie przyjść do przekonania, że zespoliły się one całkowicie z Rzpltą polską, i słusznie do jej najwierniejszych synów zaliczane bywają. Nic też dziwnego, że szczupłe w granicach swoich księstwo inflanckie dostarczyło niemało materyału do wizerunków osób historycznych polskich, skreślonych przez Juliana Bartoszewicza p. t.: „Znakomici mężowie polscy w XVIII. wieku“ (Petersburg 1856 r.). Dziełu temu wiele cennych szczegółów zawdzięczamy. Lubo nie zamierzaliśmy pisać panegiryku odwiecznym rodom inflanckim, korzystaliśmy tem skwapliwiej z niektórych szczegółów przez J. Bartoszewicza podanych, iż malują one wymownie epokę ówczesną i najlepiej wykazują, jak całkowicie Inflanty polskie zlały się z organizmem Rzpltej, z którego jednak już przy pierwszym rozbiorze kraju gwałtem je wyrwano.

VI.

Rozdział niniejszy przekona nas, że i z grona szlachty czysto-polskiej, osiadłej od wieków w Inflantach, zasłużyło wielu w XVIII. stulecia na wdzięczną pamięć u potomności.

---

dność drugiego konsyliarza w departamencie policyi przysięgę złożył w dniu 15 października 1784 r.

Niezaprzeczoną i wielką oddał usługę przeszłości krajowej Jan Szadurski, obożny inflancki, układając w r. 1747 wspólnie z Janem Chrapowickim, starostą szumlińskim, zachowany dotąd w Muzeum Świdzińskich sumaryusz ksiąg metryki litewskiej wielkiej na dobra rozdane przed unią i inne listy od r. 1392 do 1553 z wielkiem staraniem zebrane [1].

Do utwierdzenia niezłomnego przywiązania ku Rzpltej w dobrej i złej doli przyczyniał się w Inflantach polskich niemało Stanisław Sołtan, dziedzic Andrepna i Zielonpola w Rzeżyckiem, a Lideksna ze Sprykutowem w Lucyńskiem, od r. 1782 wielki chorąży księstwa litewskiego, później podkomorzy wielki i poseł na sejm czteroletni, w czasie którego został mianowany marszałkiem nadwornym wielkiego księstwa litewskiego [2].

Nie można także pominąć działalności Jana Benisławskiego, dziedzica dóbr Zosoły w Lucyńskiem, urodzonego tamże w Inflantach polskich w r. 1735, który będąc młody wstąpił do zakonu Jezuitów, w r. 1768 otrzymał stopień doktora św. teologii i w tymże roku wyświęcony został na kapłana. On to w r. 1783 wysłany był do Rzymu dla wyjednania kanonicznej erekcyi arcybiskupstwa mohylewskiego. Podług Rohrbachera i Crétineau-Joly mąż ten cnotliwy, choć niezbyt bystrego umysłu, wpłynął nietylko na stolicę Apostolską, że do łaski swojej przywróciła

[1] Księga *in folio* ma stronic 907 i przechowuje się troskliwie w zbiorach Świdzińskiego przy bibliotece ordynackiej Krasińskich w Warszawie.

[2] Mąż ten dostojny całą fortunę złożył na ołtarzu ojczyzny i synom nic prócz pamiątek nader cennych nie mógł pozostawić; pomiędzy niemi pierścień (dar Tadeusza Kościuszki) z napisem: „Gdzie cnota tam sława, Tadeusz Kościuszko Naczelnik“, ordery polskie, laska marszałkowska, pas złotolity wschodni, podziwiany przez znawców na wystawie zabytków z wieku XVII. w Krakowie r. 1883, gdzie równego sobie nie znalazł. Według świadectwa Lelewela i Józefa Szujskiego, marszałek wielki litewski Sołtan był jednym z tych, co się najbardziej sprzeciwiali przystąpieniu króla do Targowicy. To też po przystąpieniu do niej Stanisława Augusta, Sołtan niebawem podał się do dymisyi. Następcą jego w godności w. marszałka litewskiego został Gielgud, nazywany szyderczo przez szlachtę inflancką „marszałkiem targowickim“. (Obacz J. Szujski, „Historyi polskiej ksiąg XII“, Warszawa 1880 r., str. 381).

zakon jezuicki, ale przez Potemkina i na carową Katarzynę II., że po kasacie Jezuitów zawiesiła działanie znanej bulli Klemensa XIV. na całej przestrzeni państwa rosyjskiego.

Mało kto o tym gorliwym obrońcy Jezuitów dzisiaj wspomina[1], a ci co od czasu do czasu podnoszą tu i owdzie jego niezaprzeczone zasługi, biorą go całkiem błędnie nie za Inflantczyka, ale za Białorusina.

Doktor teologii ks. Jan Benisławski, po kasacie Zakonu jezuickiego mianowany został przez komisyę edukacyjną rektorem szkół brzeskich. Z powodu stosunków rodzinnych i majątkowych przeniósłszy się chwilowo za „kordon rosyjski", spotkał się tam z ambitnym sufraganem wileńskim, biskupem białoruskim, Stanisławem Siestrzeńcewiczem, ekshuzarem, który udawał wielką przyjaźń dla skasowanego już Zakonu jezuickiego, polubił księdza d-ra Benisławskiego i upatrzył w nim narzędzie, mogące mu służyć za wędkę na Zakon. Wziął go nawet do boku swojego i radził się go we wszystkiem. Wpływowi tego zacnego polsko-inflanckiego kapłana przypisać należy, że Siestrzeńcewicz nie chciał już reformować zakonów, gdy się to z Jezuitami nie udało.

Za staraniem znowu tegoż księdza Jana Benisławskiego, seminaryum duchowne mohylewskie weszło w układy z polsko-inflancką gałęzią księży Misyonarzy w Platerowskim Krasławiu względem funduszu, jaki mieli odstąpić na utrzymanie owego seminaryum. Misyonarze krasławscy oddali część swoich dochodów na regensa, dyrektora, profesora i dwóch niepłatnych kleryków.

Zaszedł tak daleko niewierny ekshuzar Siestrzeńcewicz, że słuchał uważnie pobożnych rozmów księdza Benisławskiego, który zawsze i wszędzie — jak na duchownego przystało — zwykł

[1] Obszerniejsza tu o nim wzmianka wywołać nawet może pewne oburzenie w gronie tak zwanych pozytywistów warszawskich, którzy nie znoszą zakonów katolickich i z nieukrywaną zjadliwością czynią zarzut t. zw. klerykalizmu każdemu, kto w cośkolwiek wierzy oprócz Darwina, Comte'a, a w ostatnich czasach i Euzebię Polladino! W takie powagi pozwalają wierzyć ci w końcu XIX. stulecia już nieco zacofani literaci, ale jak wiadomo wszelką wiarę religijną poczytują za największe zacofanie i obskurantyzm.

mawiać z gorliwością religijną, gdyż był kapłanem prawdziwie pobożnym, wymownym, szczerym, otwartym.

Mąż ten rzadkiej zacności i cnoty, nieznający fałszu i obłudy, dał się tak dalece ująć przez chytrego a przebiegłego Siestrzeńcewicza, że ostatecznie uwierzył w szczerość niecnego biskupa ekshuzara i pochlebiał sobie, iż go nawrócił szczerze do Kościoła. Wyrachowanie zaś Siestrzeńcewicza było takie: ksiądz Benisławski był skoligacony z generałem Michelsonem, zwycięscą słynnego w swoim czasie Puhaczewa[1]; generała lubił książe Potemkin, wszechpotężny w stolicy nadnewskiej, więc przebiegły Siestrzeńcewicz trafiał przez Benisławskiego i Michelsona do Potemkina, bo pragnął zostać arcybiskupem.

Zachęcił tedy generała Michelsona do zaznajomienia księdza Benisławskiego z Potemkinem, który niebawem tak się w kapłanie polsko-inflanckim rozlubował, że go miał nawet za świętego, patrząc na szczerą wiarę i prawdziwą niewinność życia męża równie cnotliwego jak uczonego.

Książe Potemkin był także szczerze religijnym człowiekiem i lubił rozmowy ascetyczne; więc podobieństwo skłonności zbliżyło potężnego męża stanu do skromnej cnoty cichego kapłana.

Wziął Potemkin księdza Benisławskiego w podróż ze sobą do Krymu i ciągle z nim przestawał, dysputował, pytał się o katolicyzm i jego obrzędy. W istocie ksiądz Benisławski wiele przez Potemkina zrobił dla sprawy wiary swojej, książe nawet w tej materyi nie postawił ani jednego kroku, nie zasięgnąwszy wprzódy jego rady. To też pomimo formalnej kasaty rozkwitał w tym czasie coraz bardziej zakon jezuicki, znalazłszy w obrębie cesarstwa rosyjskiego jedyną w swoim rodzaju opiekę i ochronę, której doniosłość obecnie zapomniana.

Za radą Benisławskiego przystał wtenczas książe Potemkin na utworzenie osobnego arcybiskupstwa w krajach polskich za kordonem rosyjskim. ale chciał koniecznie, aby w niem nie kto

[1] Obacz: J. Crétineau-Joly, *Histoire religieuse, politique et littéraire de la compagnie de Jésus, composée sur les documents inédits et authentiques*, Paris 1845 (tomów 6 w ósemce) tom 5, str. 485.

inny, lecz sam ksiądz Benisławski został arcybiskupem-metropolitą.

Przeląkł się tego skromny kapłan i wiele biedy zażył zanim księcia skłonił na stronę Siestrzeńcewicza, którego znowu Potemkin nie lubił serdecznie i mawiał aż nazbyt głośno, „że to nie jest żaden kapłan, ale chytry, świecki polityk ekshuzar".

Kiedy utargował jedno, musiał ksiądz dr. Benisławski zrobić w drugiem ustępstwo.

Chciał ostatki życia spędzić w zakonie jezuickim, do którego właściwie nie przestał należeć, gdyż kasatę uważano w zakonie za annulowaną; lecz tego ani dał sobie wmówić książe Potemkin, pomimo opieki, jaką Jezuitów osłaniał. Dał mu tedy koadyutoryę przy temże arcybiskupstwie mohylewskiem, które stworzył, dał mu pensyę odpowiednią i pałac na stałe mieszkanie w Połocku.

Z wielką biedą pozwolił na to ksiądz Benisławski, ciesząc się, że przynajmniej będzie w Połocku u Jezuitów i że jak dawniej będzie im najniższe oddawał posługi. Ten wygórowany ascetyzm świątobliwego kapłana sprawił to, że następcy po nim stracili pałac w Połocku dla sufragana arcybiskupiego raz przeznaczony. Pobiegł niebawem goniec Potemkina po Siestrzeńcewicza, który teraz całkiem odmienne od poprzedniego okazał usposobienie.

Poważał oczywiście obłudny Siestrzeńcewicz księdza Benisławskiego tylko przez interes. Teraz zły, że znalazł świątobliwy eksjezuita wysokie względy, że go wszyscy poważają szczerze i kochają, stał się dla niego więcej niż oziębłym, a najwięcej nie podobała mu się „koadyutorya", gdyż, jak wszyscy ludzie niewierzący, mocno był zabobonny i mniemał, „że to mu skróci życie".

W r. 1782 tedy ustanowiono osobne za kordonem arcybiskupstwo mohylewskie. Ksiądz Benisławski pojechał do Petersburga, a stamtąd do Warszawy, gdzie go poseł Stackelberg przedstawił królowi, po czem na początku roku 1783 wysłany został do Rzymu, żeby przyspieszyć kanoniczną erekcyę arcybiskupstwa. Miał również tajne zlecenie względem utrzyma-

nia zakonu Jezuitów. Podróż swoją skierował na Połock, by się widzieć z Jezuitą Czerniewiczem, świeżo wybranym na wikarego generalnego zakonu, a którego już przedtem miał sposobność przedstawiać osobiście księciu Potemkinowi.

Zniósłszy się obecnie z Czerniewiczem dążył dalej przez Warszawę i Wiedeń ku Rzymowi. W Wiedniu spotkały go niezwykłe honory. Do Rzymu przybył dnia 1 marca i zaraz nazajutrz miał prywatne posłuchanie u Ojca świętego przez dwie godziny.

Niebawem rozeszła się wieść, która się następnie spełniła, że nuncyusz polski, monsignor Archetti wybrany będzie na urządzenie hierarchii rzymsko-katolickiej w Rosyi. Tymczasem długie, częste i bardzo poufne miewał posłuchania ksiądz Jan Benisławski u Ojca św., Piusa VI.

Upłynęło właśnie lat 200 od czasu, jak w tejże samej porze roku inny, a głośny w swoim czasie Jezuita, ojciec Antoni Possewin, miewał częste posłuchania jużto u papieża Grzegorza XIII., jużto u cara Iwana Groźnego, starając się o ułatwienie pokoju pomiędzy Moskwą a Polską; przypomniano to sobie w Rzymie; wyrobił więc z łatwością wszystko ksiądz poseł Benisławski, czego tylko żądał książe Potemkin i Semiramida północy, Katarzyna II. Jedynie względem Jezuitów nie wdawał się Pius VI. w żadne zobowiązania na piśmie, jeno słownie acz sekretnie przyzwolił na dalszy byt zakonu w tak zwanym „kordonie rosyjskim“ [1].

Wyjechał ksiądz poseł z Rzymu 15 kwietnia 1783 roku. Niedługo potem został prekonizowany na koadjutora arcybiskupa metropolity mohylewskiego z tytułem biskupa gadareńskiego.

Po przyjęciu paliusza przez Siestrzencewicza wyświęcono

[1] Po szczegóły obszerniejsze w tej sprawie, wychodzące poza zakres pracy niniejszej, odsyłamy łaskawego czytelnika do przytaczanego już przez nas wyczerpującego dzieła pana J. Crétineau-Joly p. t. *Histoire religieuse, politique et littéraire de la compagnie de Jésus,* a mianowicie do tomu piątego, rozdziału siódmego, zajmującego w piątym tomie (wydania z r. 1845, które mamy przed sobą) strony 461 do 535. Na stronie 491 czytamy: „Benislawski et les Jésuites avaient expliqué à Cathérine II., qu'il n'était pas besoin

8 lutego 1784 roku księdza Jana Benisławskiego na biskupa w petersburskim kościele św. Katarzyny, podówczas jezuickim.

Była to konsekracya dyplomatyczna, jak mawiano w owym czasie w Inflantach polskich, bo zamiast wojewodów i kasztelanów, jak kazał starodawny obyczaj polski, do obrzędu służyli biskupowi sami tylko posłowie katolickich mocarstw zagranicznych wraz z klerem miejscowym. Obrzędu dopełniał przybyły z Warszawy nuncyusz papieski, wspominany powyżej Archetti.

Potemkin, który był na tej uroczystości, wziął zaraz z sobą nowego arcybiskupa Siestrzencewicza i biskupa Benisławskiego do Moskwy i Krymu, ażeby obaj biskupi ukazali się osobiście nowym owieczkom swoim.

Przy urządzeniu sześciu biskupstw katolickich w Rosyi przeznaczono d-ra Jana Benisławskiego na sufraganię połocką, którą też zajął.

W roku 1801 chciał cesarz Paweł usunąć Siestrzencewicza a Benisławskiego osadzić na metropolii. Goniec w tym celu wysłany do Połocka, przeraził tą wiadomością biskupa Benisławskiego, który płakał rzewnie i bał się zaciągać nowej na swą duszę odpowiedzialności przed Bogiem. Wkrótce atoli przemógł swe skrupuły i poszedł za głosem obowiązku, zabrawszy swego nieodstępnego kapelana ze sobą do grodu nadnewskiego, gdzie po zrzeczeniu się na piśmie Siestrzencewicza prezydencyi w konsystorzu i t. d. został sam niejako ministrem wyznania rzymsko-katolickiego w Rosyi.

Otoczył się wtedy zupełnie Jezuitami; wszystko przez nich i dla nich działał. Przetworzył całkowicie konsystorz, wyprowadził wkradające się nadużycia i wiele innych położył zasług jako

pour leur for intérieur d'un bref regulateur. Le consentement verbal du Pape a la même force". „Il fut donc convenu que le Pontife ne donnerait pas de Bulle aux Jésuites de Russie; mais en présence de Benislawski il prononça ces paroles: Approbo Societatem Jesu in Albâ Russiâ degentem. Approbo, approbo". L'adhésion était confirmée par l'élévation de Siestrzencewicz à la dignité archiepiscopale. Cathérine s'en contenta, puisque les Jésuites la trouvaient suffisante. Ils étaient légitimement rétablis en Russie".

Polak prawy i kapłan wzorowy. Za Aleksandra I. złożył swój wysoki urząd lubo biskup żmudzki pragnął i nalegał, żeby go zachował, a Siestrzencewicz pozostał sobie i nadal dla formy metropolitą w szkarłatach.

Atoli gdy z tego rozdwojenia władzy złe pokazały się skutki, zacny biskup Benisławski stanowczo ustąpił.

Odtąd przebywał stale w rodzinnych Inflantach, jużto w Stygłowie, dawnych dobrach kościelnych w trakcie lucyńskim, jużto w dziedzicznych swoich dobrach Zosołach w tymże trakcie położonych, pracując tam w cichości i pokorze nad ożywieniem chwały bożej i ducha polskiego, który tę prowincyę podbił moralnie nierównie skuteczniej, niż ją niegdyś oręż polski był zdobył na inflanckich Krzyżakach. Błogosławioną działalność biskupa w kraju rodzinnym upamiętniły liczne kościółki i kaplice niemal w każdym dworze i dworku stawiane, z których niektóre i dotąd jeszcze istnieją.

Po odpadnięciu Inflant polskich od Rzpltej w roku 1772, czcze tylko tytuły księstwa i urzędów tak senatorskich jak i ziemskich przy Polsce pozostały. Sam zaś kraik, przeszedłszy przy pierwszym podziale Rzpltej pod panowanie Rosyi, z początku przyłączony został do ówczesnej prowincyi dźwińskiej, a od roku 1802 stanowi część utworzonej wtedy gubernii witebskiej.

Po podziale Polski w r. 1772 część biskupstwa inflanckiego do nowo utworzonej archidyecezyi mohylewskiej przyłączono, a i katolicy, mieszkający w dawnych Inflantach szwedzkich (późniejszej gubernii inflanckiej) tudzież w Estonii, faktycznie trafili już w owym czasie pod zarząd duchowny smutnej pamięci arcybiskupa Siestrzencewicza, Kurlandyę zaś całą i Semigalię przyjęli pod swój zarząd *ratione vicinitatis* biskupi żmudzcy. Wszelako do czasu formalnego zniesienia biskupstwa inflanckiego w roku 1798 przez nuncyusza Littę z woli Stolicy apostolskiej dokonanego, jeszcze następujący pasterze tytułu *episcopi Livoniae* stale używali: 1) Antoni Sierakowski od r. 1778—1780, 2) Józef Kazimierz Kossakowski od r. 1780—1794 i 3) Jan Nepomucen Kossakowski od r. 1794—1798.

Gustaw Manteuffel.

PRZEGLĄD NAJNOWSZYCH BADAŃ Z HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ

(1893—1896).

Praca naukowa w dziedzinie historyi literatury należała niedawno u nas do niełatwych i niewdzięcznych zadań. Dzięki niestrudzonej skrzętności kilku uczonych mieliśmy wprawdzie wytknięty szlak, którym szedł przez ciąg wieków ubiegłych rozwój piśmiennictwa, ale co krok w tym pochodzie spotykało się pustkę niczem niezapełnioną, co krok widziało się osobistości, nie dość lub fałszywie ocenione, a co najważniejsza, brakło należytego oświetlenia całym epokom. Wszakże to jest dzisiaj pewnikiem, że, aby znać dzieło, potrzeba poznać autora i jego otoczenie, aby znać literaturę wieku np. XVI., potrzeba koniecznie zaznajomić się z wiekiem XVI., z jego dążeniami, przekonaniami religijnemi i społecznemi, z jego wadami i zaletami, z upodobaniami i słabostkami, ze szkołą i rodziną, z domem i ulicą, ze wsią i miastem, z dworkiem szlacheckim i zamkiem magnata, jednem słowem, potrzeba poznać człowieka wszelakiego stanu przy pracy i wśród spoczynku. A my tymczasem do niedawna nie znaliśmy go wcale. Nie dziw zatem, że się mówiło o dziełach wyłącznie niemal na podstawie dzieł samych, a pytania o ich powstaniu, o wpływach ubocznych, które znalazły w nich swój wyraz, o oddziaływaniu utworów na społeczeństwo, pytania, tyczące się genezy i znaczenia dzieł, pokrywało się milczeniem.

Nie przeczę, że i dziś jeszcze obraz literatury naszej musi się w znacznej części ograniczyć do zarysów tylko, do szkicowania, ale przyznać należy, że w ostatnich latach i w tej gałęzi wiedzy zrobiono dużo, że i dla niej może zaświta nowa, pomyślniejsza doba. Ruch na polu badania literatury ojczystej coraz się ożywia i wzmaga, a główną przyczyną tego pocieszającego objawu wydaje mi się okoliczność, że do współpracownictwa pociągnięto czynniki, dotychczas niedostatecznie wyzyskiwane. Takim czynnikiem są w pierwszym rzędzie archiwa i zbiory rękopiśmienne. Długo dla literatury niemal zamknięte, otwierają się oto i rzucają całe strumienie światła na literacką przeszłość naszą. Wydobywają się z pyłu bibliotecznego dawne książki i w nowych przedrukach dochodzą do rąk szerszego ogółu. Dostępne dla naukowych studyów mogą być już nietylko archiwa i zbiory takich miast, jak Lwów, Kraków lub Warszawa, ale też i mniejszych naszych miasteczek. Ze świeżo ogłoszonego sprawozdania konserwatorów Galicyi zachodniej widać, że zwłaszcza miasto Przemyśl we wzorowym porządku zachowuje swoje zabytki rękopiśmienne. Konserwatorowie zwiedzili tam archiwa miejskie, stowarzyszeń przemysłowych, sądu obwodowego, dyrekcyi skarbu, bibliotekę kapituły ruskiej i łacińskiej, przeglądnęli nawet zbiory w Niżankowicach, Jarosławiu, Dobromilu, Lisku i Brzozowie i wynieśli przekonanie, że zbiory są cenne, zasobne w materyał dotąd niezbadany, a tem mniej wyzyskany. Wprawdzie nie można się spodziewać, aby w tych zbiorach miał się znaleźć jakiś ukryty skarb literacki, ale skoro się obliczy, ile doniosłych dla piśmiennictwa rezultatów osiągnęły dotychczasowe (stosunkowo nieliczne) poszukiwania archiwalne, to musi się przyznać, że nie są one zgoła obojętnemi do oświetlenia naszej piśmienniczej przeszłości. Obok tego czynnika wskazać trzeba jeszcze inny, niemniej doniosłego znaczenia. Jak od niewielu zaledwie lat przetrząsamy archiwa, tak też dopiero w ostatnich paru latach pilniej i uważniej poczynamy się uczyć dziejów obcej literatury z tym zamiarem, aby wskazać i oznaczyć wpływ jej na naszą.

Porównawcze badanie literatury to krok naprzód, a krok takiej wagi, że godzi mu się słów kilka poświęcić. Jeżeli nie-

zawodną jest rzeczą, że żaden duch twórczy nie tworzy sam ze siebie, bez podniet zewnętrznych, to w miarę postępu badań porównawczych utrwala się też i to przekonanie, że nie istnieje zgoła literatura samodzielna i niezwiązana nićmi wspólnych motywów z literaturą powszechną. I tak wiemy, że rzymska była naśladownicą greckiej, że średniowieczna, o ile ją znamy, a znamy dotąd niedokładnie, zawiera ślady i reminiscencye legend starorzymskich. W literaturze nowożytnej olbrzymim motorem, który dawał popęd twórczości wszystkich narodów, jest chrześcijaństwo. Inne czynniki odgrywały mniejszą rolę. Humanizm w różnorodnych swych przejawach naśladował wzory starożytne, ale nie wydał wielkich poetów; największym był może Piotr Ronsard, mistrz formy, boć mianowicie forma ukształciła się wytwornie w wiekach odrodzenia. Natomiast idee chrześcijańskie zapładniały w ciągu wieków największe umysły i tworzyły potężne dzieła, że wymienię choćby utwory Lope de Vegi, Calderona, Tassa, Miltona, Klopstoka i innych. W romantyzmie tkwi cały ogromny skład pierwiastków i wierzeń chrześcijaństwa. Jako reakcya wieku oświecenia, wieku niewiary, romantyzm musiał być i był istotnie wierzącym. W dziejach poszczególnych literatur, jak nić czerwona, snuje się wpływ pewnych motywów i pomysłów, i przechodzi od jednej do drugiej. Klasyczna literatura niemiecka od Klopstoka do Goethego wzorowała się na angielskiej (Joung, Ossian) lub francuskiej (Rousseau); ta ostatnia przerabia motywa szekspirowskie i ulega angielskiej, niemiecka rzuca snopy światła w duńską, polską, francuską, czeską, rosyjską tak, że nawet mistrze posiłkują się obcemi myślami. Jeśli dalej chodzi o poszczególne idee, toć wiemy np., że idea Prometeusza przemyka się od Teogonii Hesioda przez Eschila, Miltona, Goethego, Shelleya, Byrona aż do Mickiewicza, wiemy, że pomysł Fausta żyje już w czwartym wieku po Chrystusie, nawet z nazwą Fausta i pojawia się znów u Marlowa (Tragiczna historya życia i śmierci d-ra Fausta) w angielskiej, u Calderona *(El magico prodigioso)* w hiszpańskiej, u Goethego w niemieckiej. Można powiedzieć zatem, że pewne idee „jak wichru powiewy przewiewają ludzkiego rodu całe tonie“, formując się w różne kształty, zależne

od miejscowych warunków. Nadejdzie może chwila, kiedy powiemy: w Europie istnieje jedna literatura, a tymczasem oto coraz już trudniej rozumieć poetów polskich, jeśli się nie zna francuskich, niemieckich, angielskich i włoskich. Dlatego twierdziłem, że stosując do naszego piśmiennictwa badanie porównawcze, zrobiliśmy w ostatnich latach krok naprzód, a krok ten jest wielkiej wagi.

Trzecim wreszcie czynnikiem dodatnim w studyum literatury obok archiwów i badań porównawczych jest fakt, że się pisarza nie odrywa od tła miejscowego. Ponieważ człowiek bywa w znacznej części wytworem społeczeństwa i kraju, w którym go umieściły warunki urodzenia i wychowania, przeto należy go odpowiednio do tych warunków rozumieć i oceniać. Rzecz prosta atoli, że szczegółowe rozpoznanie życia społecznego, czyto wieków ubiegłych, czy chwili obecnej, nie wchodzi bezpośrednio w zakres badań literackich. Musimy w tej mierze zasilać się wynikami historycznych dociekań w najobszerniejszem tych słów rozumieniu. A chociaż dziś jeszcze życie cywilizacyjne naszego narodu w ubiegłych wiekach nie rozwidnione w całej rozmaitości i w całem mnóstwie swych różnorodnych przejawów, chociaż wciąż jeszcze hipotezy i przypuszczenia niemałą grają rolę, to jednak z pociechą stwierdzić potrzeba coraz pomyślniejszy rozwój historyografii w latach ostatnich, a okoliczność ta sprawia, że i badania naukowo-literackie zwolna zyskują tło pewniejsze i rozleglejsze. Dopóki to rozjaśnienie tła historycznego i obyczajowego w całej pełni nie nastąpi, poznajemy przynajmniej główne osobistości i główne dzieła wieków minionych wcale dokładnie i wyczerpująco.

I.

Najwięcej trudności nastręczają zabytki piśmiennictwa, wsunięte w odległe wieki; brak źródeł, tajemnica, okrywająca najczęściej imię autora, zepsucie tekstu wtrętami późniejszemi, poszarpane zębem czasu rękopisy, stają się przyczyną domysłów i hipotez, przeciwko którym trudno coś powiedzieć, za któremi niewiele też okoliczności przemawia. Świeżo właśnie z szeregiem

takich hipotez o pierwszym naszym łacińsko-polskim kronikarzu XII. wieku, Gallusie, wystąpił młody historyk dr. Gumplowicz [1]. Dotąd wiedzieliśmy o pisarzu, że był kapelanem Bolesława Krzywoustego, że się nazywał *exul et apud vos peregrinus*, a przybył do nas zapewne z Francyi, może z Burgundyi, że pisał kronikę między rokiem 1110 a 1113 i celował niemałem na swe czasy wykształceniem. Dr. Gumplowicz drogą bystrych i nader pomysłowych kombinacyj ustępów dzieła, wydobywa o autorze z pomroki czasu sporo nowych przypuszczeń. Ponieważ Gallus poświęca drugą księgę Pawłowi, biskupowi polskiemu (co wedle autora znaczy kruszwickiemu) i kanclerzowi kruszwickiemu Michałowi, zatem napisał on swą kronikę w Kruszwicy, zwłaszcza, że losami Kruszwicy z upodobaniem się zajmuje. Przybył do Polski przez Wenecyę, Karyntyę i Węgry, gdyż dokładnie wymienia kraje, leżące między Włochami a Polską. Ze słów: *ut aliquem fructum mei laboris ad locum meae professionis reportarem*, wnieść trzeba, że pierwotnie był zakonnikiem i to jakiegoś klasztoru św. Wawrzyńca. Jako kapelan książęcy piastował zapewne godność opata lubińskiego, a po wypędzeniu Zbigniewa z Kruszwicy udał się tam, aby wprowadzić obrządek łaciński zamiast słowiańskiego, któremu hołdowali stronnicy Zbigniewa. Kronikę swą napisał między Wielkanocą a jesienią r. 1113, gdyż wspomina o pielgrzymce Krzywoustego do grobu św. Wojciecha (13 kwietnia 1113), ale nie wie o śmierci króla węgierskiego Kolomana i ucieczce Sobiesława do Polski (w październiku 1113). Wreszcie na podstawie katalogu biskupów włocławskich dowodzi młody badacz, że kronikarz nazywał się Balduinem Gallem i został z woli Bolesława trzecim biskupem w Kruszwicy po Pawle.

Całe to zresztą nader zręcznie spiętrzone rusztowanie domysłów obraca się około Kruszwicy i dedykacyi drugiej księgi biskupowi Pawłowi, jakby około swej osi. Dr. Gumplowicz bierze za pewnik, że *episcopo Poloniensi* znaczy biskupowi kruszwic-

[1] Dr. Max Gumplowicz, *Bischof Balduin Gallus von Kruszwica, Polens erster lateinischer Chronist.* Wien 1895. Sitzungsberichte der kais. Akademie der Wissenschaften in Wien. Philosophisch-historische Classe. B. 132. (8vo, str. 36).

kiemu, gdyż taki tytuł miewali pierwotnie tylko kruszwiccy biskupi. „Sein Sprengel umfasste nämlich ganz Kujavien, die Wiege des Piastenreiches, welches noch Bischof Vincentius Kadłubek als das Stammland der Polanen an der Weichsel, als *Campestrium provinciola* bezeichnet“ [1]. Ale niestety nasi uczeni historycy nie są pod tym względem w zgodzie z d-rem Gumplowiczem [2]. Wprawdzie jeden z nich dr. Kętrzyński przyjmuje powyższą hipotezę, inni atoli, jak dr. Abraham, dr. Wojciechowski i dr. Papée utrzymują, że tytuł *Poloniensis* należał biskupom poznańskim, a jak *dux Poloniae* znaczy zawsze książe wielkopolski tj. poznański, tak *episcopus poloniensis* oznacza biskupa poznańskiego [3]. O ile mi się zdaje, to ostatnie twierdzenie pośród uczonych naszych uchodzi za gruntowniej poparte, a w takim wypadku cała misterna budowa d-ra Gumplowicza spoczywa na glinianych nogach.

Innym kronikarzem zajął się niestrudzony badacz naszej przeszłości dr. A. Małecki: rozbiera on kronikę Baszka [4] i stara się rozstrzygnąć pytanie, czy autorami kroniki są Bogufał II., biskup poznański i Baszko, kustosz katedralny poznański, czy też sam Baszko. Dochodzi do wniosku, że Bogufał nie jest autorem kroniki, gdyż „pod rokiem 1253, jako rokiem śmierci biskupa, podniesiono z całem uznaniem rzadkie i szlachetne zgasłego tego męża zalety; nie pominięto i tego, że miał zamiłowanie w naukach, że cenił księgi i lubił się w nich rozczytywać. Ale o żyłce dziejopisarskiej niema najmniejszej wzmianki. A przecież nie byłby właśnie tego pokrył milczeniem człowiek, który z całą czcią dla zmarłego napisał do tej księgi to wspomnienie pośmiertne i sam był z powołania na niwie dziejowej rozmiłowanym

[1] *Op. cit.*, str. 9.

[2] Por. dwie recenzye pracy d-ra Gumplowicza: jedną bardzo pochlebną Al. Rembowskiego *Bibl. Warsz.*, r. 1896, t. I, str. 364—366, drugą surową i ganiącą, d-ra K. Krotoskiego w *Kwart. Hist.*, 1896, r. X, zesz. IV, str. 871—875.

[3] Por. dr. Abraham, „Organizacya Kościoła w Polsce“, str. 94 i 95, oraz *Kwart. Hist.* r. 1890, IV, 377.

[4] Małecki Antoni, „Kronika Baszka czyli t. zw. Kronika Wielkopolska“. Lwów 1894 (8vo, str. 23).

badaczem i pracownikiem". Obie tedy połowy kroniki są utworem Baszka, jeno druga napisana przed pierwszą; drugą mianowicie połowę układał Baszko przed r. 1280, pierwszą zaś w latach 1295—1297. Zresztą przyjąć należy, że Godysław czyli Gotszalk Baszko, kustosz katedry poznańskiej, a Gosław, dziekan kruszwicki (1268—1277) są jedną i tą samą osobą. W roku zaś 1281 miał Baszko zrezygnować z prałatury kruszwickiej i poznańskiej, zamieniając obydwie na godność dziekana katedry gnieźnieńskiej, gdzie się wspomina do r. 1294; żył jednak do r. 1297, gdyż dopiero w następnym zjawia się jako dziekan gnieźnieński następca jego Mikołaj. Ten rok tedy ostatni uważać wypada za rok śmierci kronikarza.

Tej samej kwestyi poświęcił studyum świeżo dr. W. Kętrzyński [1]. Bada on tekst rękopisów Kroniki Wielkopolskiej, porównywa ją ze źródłami, mianowicie z kroniką Mierzwy i kroniką Wincentego i dochodzi do wniosku, że lubo Kronika Wielkopolska na wstępie powołuje się na kronikę biskupa Wincentego jako na swe źródło, to jednak do końca rozdziału 44 wypisuje tylko z Mierzwy, a dopiero od 45 do 52 z Wincentego. Udowadnia dalej wbrew twierdzeniu prof. Małeckiego, że obcych wtrętów w Kronice Wielkopolskiej niema zbyt wiele, a liczne mniemane wtręty są jej istotnemi i charakterystycznemi cząstkami. Powstała zaś Kronika między rokiem 1350 a 1395 i wszystkie hipotezy co do jej autora, które się nie mieszczą w obrębie tych lat, nie są uzasadnione (str. 49). Z taką samą słusznością, z jaką prof. Małecki przypisuje jej autorstwo Godysławowi, możnaby je przypisać i Wincentemu, i Mierzwie, gdyż wszyscy mówią w pierwszej osobie. Przypuściwszy, że autor siedział na probostwie santockiem, o którego prawach posiada dokładną wiadomość, przyjąćby można, że pisał po r. 1365 a przed r. 1395, być może nawet między 1365 a 1370 (str. 52). Stwierdza dr. Kętrzyński w końcu, że Kronika jest tylko obszerniejszym rocznikiem, że ma dla dziejów podrzędne znaczenie, gdyż prawie

[1] Wojciech Kętrzyński, „O Kronice Wielkopolskiej", Rozprawy Akad. Umiej. Wydział historyczno-filozoficzny, t. XXXIII. Kraków 1896, str. 1—54.

wszystko, co zawiera, znamy z pierwszej ręki i że autorstwo jej — pomimo licznych badań — ciągłą pozostaje tajemnicą.

Ważniejszem dla dziejów literatury, niż powyższe, dziełem o historyografii naszej pierwszych wieków jest książka M. Bobrzyńskiego i St. Smolki o Długoszu[1]. Nie jest to wprawdzie praca zupełnie nowa, pisana bowiem w latach 1877—1879, miała się ukazać w r. 1880 na czterechsetną rocznicę zgonu Długosza i wówczas też odbito jej pierwszy arkusz; w następnym roku ukończono druk całego tekstu z wyjątkiem Regestów, które wydrukowano dopiero w r. 1887, a całość w świat puszczono w pięć lat potem; niemniej przeto w dziele tem doczekaliśmy się zarówno świetnego jak wyczerpującego ocenienia życia, działalności i stanowiska Długosza. Autorowie są wybornymi znawcami wieku XV. i na rozległem tle dziejowem przedstawiają tę osobistość, jako historyka i polityka zarazem. Działalność dziejopisarską Długosza poddają surowej, lecz spokojnej i przedmiotowej ocenie. Dowodzą, że Długosz bywał tendencyjnym stosownie do tego, jak mu wskazywało polityczne stanowisko, że nawet zmieniał i przeinaczał fakta, że wielu stosunków spółczesnych lub minionych należycie wyrozumieć nie potrafił. Tak do r. 1463 w głównem swem dziele pomnikowem był względem króla nieprzychylnym, w następującem zaś dziesięcioleciu po r. 1463 „napróżnoby kto szukał jakiejkolwiek niekorzystnej wzmianki o królu, jakiejkolwiek ostrzejszej krytyki jego postępowania; zdawałoby się, że to kto inny w Polsce panuje, a nie tensam Kazimierz Jagiellończyk, który w pierwszych piętnastu latach był typem tyrana i niedołęgi. Ton opowiadania w niektórych ustępach robi prawie takie wrażenie, jakgdybyśmy czytali rubrykę wiadomości dworskich w którejkolwiek z dzisiejszych gazet urzędowych“. Lecz po dziesięciu latach dziejopis okazuje się znów względem króla niechętnym i nie szczędzi mu przygan. Stało się to może dlatego, że Długosz nie mógł się doczekać godności biskupiej mimo swych zasług. Nie zamykając

[1] M. Bobrzyński i St. Smolka, „Jan Długosz. Jego życie i stanowisko w piśmiennictwie“. W Krakowie 1893. (8vo, str. VII, 336).

oczu na ujemne strony charakteru Długosza i jego dzieła, mogli autorowie tem trafniej i wierniej określić jego ogólne stanowisko. Niezmordowana skrzętność w gromadzeniu i zużytkowaniu materyałów, umiejętna budowa całości, ogrom dzieła, dokonanego siłami jednostki, dają mu pierwszeństwo pośród dziejopisów ówczesnej Europy. Żaden naród nie posiadał wtedy swej historyi na taką miarę, jak *Annales seu cronica inclyti regni Poloniae*. Wobec tego faktu usterki dzieła nie są w stanie zmniejszyć naszej czci dla Długosza, zwłaszcza, że były one wspólne całemu ówczesnemu dziejopisarstwu.

II.

Wkroczyliśmy w przeglądzie badań w progi XV. wieku, a tu należy się całkowite uznanie profesorowi berlińskiego uniwersytetu, d-rowi A. Brücknerowi, który w wybornych rozprawach ostatnimi laty ogłoszonych przyczynił się do rozszerzenia naszego widnokręgu pojęć o literackich zjawiskach wieku [1]. Materyał zebrany przezeń bogaty jest i cenny. Najmniej może rezultatów daje przegląd kilkunastu rękopisów poetyckich, przechowany w księgozbiorach: jagiellońskim i petersburskim. Są to poezye łacińskie, używane w XV. wieku w szkołach. Zasób kilkunastu manuskryptów szczupły, jeśli się zważy, że istnieją z tego wieku setki łacińskich rękopisów teologicznych. Dr. Brückner podejrzywa, że je zniszczyły czas i okoliczności, a liczba powyższa do połowy wyczerpuje wszystko, co nas w tym kierunku z wieku XV. doszło. Jak widać z tych źródeł, zakres dzieł i autorów, z jakich w Krakowie i Polsce uczono świeckiej poezyi, jakich czytano, przepisywano i naśladowano, bardzo jeszcze wązki. Autorowie klasyczni mało znani. Owidyusz gorliwie czytany, mniej Wergiliusz i Lukan, dalej satyrycy Persyusz i Juwenal,

[1] Odnoszą się do tego wieku trzy zwłaszcza rozprawy: 1. „Średniowieczna poezya łacińska w Polsce". Rozpr. Akad. Umiej. Wydz. filolog. XVI, 302—372, XXII, 1—62, XXIII, 268—319; 2. „Kazania średniowieczne". Tamże, tom XXIV, str. 38—97 i 317—390; 3. „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej. V. Wiersze polskie średniowieczne". *Bibl. Warsz.* R. 1893, t. I, str. 256—286.

najmniej Horacy, a innych nawet z nazwiska się nie zna. Natomiast popłacali autorowie starzy, wieku IV. do VI. i średniowieczni wieku XI. do XIV., szczególniej ci, którzy z poezyą łączą dydaktyzm; nadto popłacały bajki (Avian, Ezop), wiersze moralne i satyryczne. Sił własnych próbowano rzadko, głównie zaś we wierszu moralizującym i okolicznościowym. W poezyi łacińskiej religijnej nie lubowano się. „Jeśli wedle samej liczby odpisów sądzić wolno, to *Aurora* Piotra de Riga najwięcej znalazła czytelników, w której księgi starego i nowego testamentu niemal wszystkie przelane w heksametry". Obok epicznych spotyka się w rękopisach poemata dogmatyczne i moralne, najczęściej krótka wierszowana nauka o spowiedzi: *Peniteas cito peccator cum sit miserator.* Większe znaczenie mają pieśni kościelne, hymny, sekwencye, tropy brewiarza. Zbiorów przechowało się dość. Jeden taki zbiór z biblioteki petersburskiej (Łacińskie folio I. nr. 223) opisuje autor dokładnie, zwłaszcza ze względu na glosy polskie. Wogóle w dziele swem o poezyi łacińskiej średniowiecznej dokonał dr. Brückner zadania mozolnego, a to, cośmy wyżej powiedzieli, nie daje o niem nawet słabego wyobrażenia; samo odczytanie, wypisanie i objaśnienie długiego szeregu glos było pracą trudną, a ważną dla historyi języka polskiego.

Obfitszą w rezultaty jest druga rozprawa tego autora o kazaniach średniowiecznych. Przedewszystkiem prostuje rozpowszechnione a błędne mniemanie, jakoby kazania w XV. w. tak mówiono, jak spisywano, tj. po łacinie. Kaznodzieja ówczesny pisał swe mowy po łacinie, ale prawił wyłącznie w języku narodowym. Najdawniejsze zabytki kaznodziejstwa polskiego, kazania świętokrzyskie i gnieźnieńskie pochodzą z połowy wieku XIV. W XV. takich zabytków prawie niema; po polsku pisano wtedy już tylko formułę tj. spowiedź ogólną i modlitwę, a także pieśni duchowne, rymowane dekalogi i pojedyncze zdania lub słowa. Jednakże nie to stanowi istotną wartość kazań średniowiecznych. Zawierają one bogaty materyał do poznania naszej obyczajowości. „Pod względem obyczajowym ciekawe wycieczki przeciw błędom i nałogom spółczesnym, liczne nieraz po kazaniach;

skreślone w nich obrazki rzemieślnika, kupca, rolnika i ich praktyk nie zawsze godziwych, dalej modnisiów, opojów, koster, rzadziej panów duchownych i świeckich, uciskających chłopa, a przekażających sprawiedliwość i sądy, najczęściej zaś wzory kobiet i ich ułomności, plotek, tańców i strojów, zabarwiają i wypełniają szare dotąd tło życia w średniowiecznej Polsce". Ludoznawstwo zdobywa również plon nieskąpy. „Raz bowiem tworzą właśnie kazania walny trakt, po którym masa opowiadań, bajek, wierzeń, pojęć dostała się do umysłowości ludu naszego; powtóre zaś wskazują na przesądy, wierzenia, pojęcia, jakie między ludem w XV. w. już stniały, stają się więc obfitem źródłem ludoznawczem, o pięćset lat starszem niż to, co się po naszych wydawnictwach etnograficznych pojawia".

Przytoczywszy następnie szereg dzieł kaznodziejskich z dwudziestolecia 1390—1412, rozpatrzywszy pod względem językowym i bibliograficznym *Sermones*, kryjące się po rękopisach bibliotek, przechodzi dr. Brückner w drugiej części swej pracy do przesądów i zabobonów u ludu polskiego w wieku piętnastym. Głównem źródłem jest kazanie nieznanego autora o przesądach, ułożone w pierwszej połowie XV. wieku na św. Trójcę, gdyż odstępstwem od Boga i Trójcy św. są wszelkie gusła i czary, jakiemi ów *mille artifex*, szatan — kusi i zwodzi ludzi. Stosują się one wyłącznie do ludu polskiego, ponieważ kaznodzieja zebrał te właśnie rysy, których brak w innych, obcych penitencyałach. Tak tedy we wilię Bożego Narodzenia nie wypożycza się ognia, boby się ogniska nie trzymał; uważa się, aby pierwszy gość, wstępujący w progi domu, ubrany był czysto, aby znany był z dobroci i szczęścia. Resztki i okruchy z wieczerzy wigilijnej wysiewa się. Na Nowy Rok pasterz gromadzki obchodzi domostwa i rozdaje pręty, które należy brać „kosmato"; wypędzają nimi potem po raz pierwszy bydło w pole. Na Gromnice obchodzą z gromnicami domy i krowy, wypalają im sierść w krzyż, aby im pies lub czarownica nie szkodziła, aby czary nie miały dostępu do domów, aby się uniknęło gromu i gradu. W noc popielcową kładą starcy i młodzieńcy sól tartą, by się dowiedzieć, kto rychlej umrze; we wilię sypią przed każdym

szczyptę soli; przed kim stopnieje, ten umrze. We Wielki Czwartek nie myją mis po wieczerzy, a niekiedy zostawiają resztki potraw dla dusz zmarłych lub demona, zwanego „uboże". We Wielką Sobotę chowają głowienki, nadpalone u święconego ognia, aby niemi leczyć konie i bydło. W niedzielę wielkanocną obchodzą pola z krzyżem dla ochrony przeciw gradom; oblewają się wodą i wtrącają w nią albo smagają rózgami, co się zwało dyngusem albo kiczką. Rej też w Postylli wspomina o tem: chrześcijanin na Wielkanoc nie uczyni swej powinności zadość, jeśli w poniedziałek razem z żoną aż po uszy w błoto nie wpadnie „á we wthorek kieską w łeb áz oko wylezye nie weźmie". W dnie krzyżowe zbierają trawy z miejsca, na którem procesya stawała. W Zielone Świątki czynią zabawy pogańskie z wymienianiem dyabłów; nie chcą spać pod dachem, nie rozmawiają z ludźmi, chodzą boso. Noc przed św. Janem czuwają, by przez rok głowy nie bolały; bylicą opasują głowę. Oprócz tych świątecznych przesądów — istniały inne na różne dni tygodnia, inne wśród rozmaitych okoliczności życia, nadto mnóstwo przesądów leczniczych. Gdy głowa boli od „urzeku", liżą czoło i wymawiają pewne zaklęcia; gdy dziecko choruje, leją ołów, by poznać przyczynę choroby i t. d. Obok zaklinań i zażegnywań istniały też rozmaite amulety: *caracteres* pisane i ryte, *appendicula, ligature, plicature*, kostki zwierzęce, ziarna i korzonki, listki i kwiaty i kamyki... Oczywiście byli ludzie, co się temi przesądami, jak rzemiosłem trudnili: *vetulae-phitonissae* albo *incantatrices*. Niejednokrotnie zwracają się kaznodzieje średniowieczni przeciw tym „lekownikom, świętoguślnikom, czaroguślnikom, nawęzaczom".

Pozwoliłem sobie nieco obszerniej przedstawić materyał obyczajowy, wydobyty przez naszego badacza z kazań średniowiecznych, gdyż uczyniono to u nas po raz pierwszy, a rzecz sama posiada niemałe znaczenie, zaznajamia nas bowiem z obyczajami i cywilizacyą dawnych czasów, aczkolwiek bezpośrednio do literatury nie należy. Za to w trzeciej z notowanych powyżej rozpraw zajmuje się dr. Brückner średniowiecznemi wierszami polskiemi. I tu materyał bywa przeważnie rękopiśmienny, zatem

i ta rzecz przynosi nam dużo nowego. Na czele cenna uwaga. „Wszechstronne badania XV. wieku — powiada dr. Brückner — mianowicie liczne źródłowe publikacye pogłębiają i rozświecają coraz to więcej jego tło historyczne, wyjaśniają charaktery, sytuacye, stosunki ekonomiczne, kościelne, państwowe, ale przeszłość to zaklęta niby, własnem żywem słowem, zdaje się, nie odezwała się nigdy, — grube warstwy łaciny przykrywały ją tak szczelnie, że się z pod nich język narodowy wydostać nie mógł. Ale to uprzedzenie, którego się pozbyć należy, chcąc w dziejach kultury tego wieku narodowemu językowi przynależne wskazać stanowisko: wszechwładza łaciny jest ułudą, przesłaniającą stosunki rzeczywiste; panowała ona, nie przeczymy, ale tylko na piśmie, nigdy w mowie, tylko w kaście uczonej, nie w narodzie, w szkole, nie w życiu“. Podobnie jak kazania spisywano po łacinie, ale mówiono po polsku i brak tych ostatnich niczego nie dowodzi, tak też brak wierszy polskich nie wyklucza możliwości, że wiek XV. znaczną ich liczbę posiadał. Przegląd wierszy świeckich i religijnych stwierdza powyższą tezę. Każde ważne zdarzenie opiewano wierszem: zatargi z Zakonem, Grunwald, Chojnice i Toruń, Warnę, wyprawę wołoską, walki z Tatarami aż do zabicia Tęczyńskiego w r. 1461 lub ścięcia Szafrańca r. 1482 ogłaszano pieśniami, z których pozostały tylko urywki, a niekiedy tylko melodya lub nazwa, jak np. z piosnki ludowej „O słowiku“, „Lipka“ i t. p. Z dydaktycznych są wiersze Parkosza, wiersz „Złoty“ o zachowaniu przy stole, wiersze o małżeństwie, wiersze kalendarzowe, rymowane przysłowia. W satyrycznych lubował się wiek XV. Najdawniejszy niedokończony z początku wieku:

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej,
Nie mów często piwa nalej,
Boć piwo jest dziwny olej i t. d.

a także wiersz Jędrzeja Gałki za Wiklefem z przed 1449 r. Z końca stulecia wiersz na chłopów, jak „chytrze bydlą z pany... a robią silno obłudnie“, oraz znaleziony przez d-ra Brücknera w rękopisie petersburskim wiersz p. t.: „Opisanie przechernej i sztucznej natury chłopskiej przeciwko panom swoim“. Autor-

stwo przyznaje się niejakiemu Ściborowi. Oprócz Ścibora wymienia Korybuta Koszyrskiego, zmarłego w 1528. „Opój to i kostera, ale zarazem muzyk i poeta, zwany wówczas rozkoszą dworu i cudem natury, którego żartami i figlami całe księgi napełnićby można“. Religijnych pieśni jest dużo. Najstarszą Bogarodzica, znana z pięciu odpisów z XV. wieku, z których najdawniejsze z 1407 i 1420 roku. Znać tu wpływ czeszczyzny jak i w zbiorze pieśni Jana Przeworszczyka z r. 1435. Z początku XV. wieku zaczęto łacińskie hymny tłumaczyć na język polski, a wraz z dziełami przetrwały i nazwiska „składaczy“, przeważnie kapłanów, zakonników, kleryków. Z pierwszej połowy tego wieku wymienia dwóch autorów pieśni Maryjnych: Słopuchowskiego i mistrza Macieja, oraz przytacza pierwszego „Początek pieśni nowej“ i drugiego utwór:

Mocne boskie tajemności
O Maryey wielebności,
Krześciaństwo wierze wierne
I nabożne a i śmierne
Racz tego posłuchać.

Z drugiej połowy XV. wieku Szymon z Lipnicy i Władysław z Gielniowa, obaj błogosławieni, składali pieśni nabożne. Śpiewano je wśród różnych okoliczności w tym wieku. Niegdyś śpiew kościelny polski nie istniał. Gmina powtarzała wołanie: „Kirye elejson“ czyli „hospodynie pomiłuj ny“, ale w XV. wieku lud śpiewał przy jasełkach kolędy, pieśni wielkanocne, w Zielone Święta, w dni krzyżowe, podczas pielgrzymek pątniczych, podczas nieszporów i kazań. Kaznodzieja na wstępie po wezwaniu łaski Maryi intonował z gminą pieśń „Bogarodzicę“, w kazaniach adwentowych o Duchu św. Po raz pierwszy taka pieśń polska pobożna zabrzmiała w r. 1261, kiedy biczownicy po kraju przeciągali. Dość liczne te utwory średniowiecznej muzy naszej przechowały się po części na kartach kodeksów, po części w drukach kilku, po części wreszcie w rękopisach z wieku XVI. Tak w Bibliotece Kórnickiej znajduje się mały tomik *in quarto*, w starej oprawie, liczący kart 183, pisany kilkoma rękami, największa część ręką Hieronima r. 1551, inne r. 1550 i 1555. Zaczyna się

modlitwą do Panny Maryi, poczem idą pieśni nabożne, szczególniej kolędy.

Najlepszym wyrazem polskiej poezyi średniowiecznej jest wiersz o śmierci *De morte prologus*, poemat liczący 493 wierszy, pisany ośmiozgłoskowym wierszem rymowym. Jest to dyalog między śmiercią a mistrzem, który w końcu skruszony zmienia tryb życia, rozdaje dobra, wstępuje do klasztoru i umiera „dobrym mnichem". Z tego przeglądu wynika, że wiek XV. posiadał spory zasób utworów wierszowanych, że postęp od początkowych wierszy do dyalogu o śmierci o wiele znaczniejszy, niż od tego dyalogu do Reja. „Język nabiera giętkości i śmiałości, ustala się składnia poetycka, rozwija całe bogactwo miar i zwrotek".

Rzecz prosta, że o prawdziwej poezyi przed Kochanowskim niema mowy, ale odtąd nikt już wierszowania polskiego nie może datować od Reja [1].

Kończąc przegląd nowego dorobku wiadomości naszych o literaturze do wieku XVI., muszę zaznaczyć, że plon jej z każdym rokiem mnoży się i rośnie. Jeżeli się do powyższego doda rozszerzony zakres pojęć naszych o początkach poezyi dramatycznej [2], jeżeli się doda okoliczność, żeśmy nawet posiadali epos łacińskie, którego osnową wojna domowa między Zbigniewem Oleśnickim, arcybiskupem gnieźnieńskim a jakimś nieprzyjacielem duchowieństwa i chłopów [3], to zdobędziemy przekonanie, że wspaniały rozkwit literatury naszej w złotym następnym okresie nastąpił nietylko pod wpływem znanych nam dotąd czynników zewnętrznych i wewnętrznych, ale dokonał się zwolna na gruncie podstaw, rzuconych przez wiek poprzedni. Zapewne i humanizm i reformacya i poprawa rzeczypospolitej oddziałały

[1] Por. też M. Bobowski, „Pieśni katolickie polskie od najdawniejszych czasów do końca XVI. w.". Kraków. (8vo, str. 475).

[2] Dr. Władysł. Nehring, „Początki poezyi dramatycznej w Polsce". XV. Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, str. 189—232, r. 1887.

[3] Dr. Wojciech Kętrzyński, „O nieznanej epopei z XV. wieku". Odczyt miany d. 13 października 1887 r. na dorocznem zgromadzeniu w Zakładzie im. Ossolińskich (str. 25). Oraz artykuł: „O początkach poezyi polskiej", d-ra M. Kawczyńskiego, w *Kwart. Hist.*, r. III, z. 1, 1889 r.

na przyspieszenie i spotężnienie tego rozkwitu; niemniej przeto zaczątki już istniały i wiek XVI. nie był Feniksem, który zabłysnął śród popiołów.

III.

O humanistach XVI. wieku mamy do zanotowania dwie cenne rozprawy, jedną o prozaiku Jakóbie Górskim prof. K. Morawskiego, drugą o poecie Klemensie Janickim prof. L. Ćwiklińskiego. Obie odznaczają się rozległą erudycyą, szerokiem tłem historycznem, ścisłą i naukową metodą analizy, gruntownem wyczerpaniem źródeł i przedmiotu; pierwsza nadto celuje wzorową polszczyzną i świętnym stylem [1].

Sama postać Jakóba Górskiego, tęgiego humanisty, profesora i po kilkakroć rektora Wszechnicy Jagiellońskiej, niezmiernie pracowitego i skrzętnego twórcy licznych dzieł z dziedziny filologii, prawa, teologii, poetyki i retoryki, mniej nas na tem miejscu obchodzi. Praca d-ra Morawskiego zawiera poza tem niejedną cenną wskazówkę do znajomości wieku i z tego skorzystamy poniżej. Bezpośrednio do przeglądu niniejszego należy drugie wymienione dzieło o Janickim, którego wyniki wypada nam zebrać. Oceniwszy w uwagach wstępnych pierwszego rozdziału źródła i opracowania życia poety, rozróżnia autor w rozwoju jego cztery okresy: 1) Pierwszych lat dwadzieścia (1516—1537), 2) Na dworze Piotra Kmity (1537—1538), 3) W Padwie (1538—1540), 4) Po powrocie do kraju (1541—1543). Urodził się Janicki w Januszkowie (nie Januszkach) z kmiecej rodziny; ojciec oddał go do szkoły Lubrańskiego w Poznaniu; gdzie na wezwanie profesorów wygłasza w r. 1532 wiersz pochwalny na cześć fundatora zakładu. Kiedy ukończył nauki w Poznaniu, nie wiadomo. W r. 1536 wita poeta arcybiskupa Krzyckiego elegią i dostaje się pod jego opiekę [2]. Rok był do-

[1] K. Morawski, „Jakóba Górskiego życie i pisma". Rozprawy Akad. Umiejętności; Wydział filolog. Ogólnego zbioru tom XVII, z roku 1893. — L. Ćwikliński, „Klemens Janicki, poeta uwieńczony" (1516—1543). Tamże str. 283—476.

[2] Zatem nie w 1535, jak dotychczasowi biografowie oznaczali.

mownikiem arcybiskupa, który w r. 1537 umarł. Osobnego zakresu działania nie miał, ale niewątpliwie zajmował się biblioteką, a może dopomagał arcybiskupowi w pracy literackiej. W tym czasie napisał kilka elegij. Istnieje kwestya, czy po śmierci swego protektora uczcił go elegią, czy nie. W drukowanych wydaniach poematu takiego niema, ale w rękopisie b. biblioteki Załuskich w Petersburgu znalazł się dyalog między rzeczą pospolitą a grobem z powodu przedwczesnej śmierci Krzyckiego. Prof. Brückner uznał go za utwór Janickiego, a do tego sądu po bliższem rozpatrzeniu przyłącza się i dr. Ćwikliński [1].

Bezpośrednio po śmierci Krzyckiego przechodzi poeta na dwór wojewody krakowskiego, Piotra Kmity. Jakim zbiegiem okoliczności tu się dostał, nie wiemy, to pewna wszelako, że pobyt Janickiego przy Kmicie bywał zaprawiony niekiedy żółcią z powodu intryg dworskich [2]. W końcu maja 1537 bawi z nim w Wiśniczu, w sierpniu bierze udział w t. zw. wojnie kokoszej, a w 1538 udaje się do Piotrkowa i niebawem pod wpływem tych wrażeń pisze elegie *Querela Rei publicae* i *Ad Proceres Polonos*. W tymże roku wyjeżdża do Padwy. Pobyt w Padwie trwa z górą dwa lata. Oddziałał on korzystnie na rozwój poety, osobliwie dał mu poczucie talentu i ograniczył miarę w pochwałach [3]. Doznawał tam Janicki wyjątkowych względów słynnego uczonego Łazarza Bonamico i kardynała Piotra Bembo, ale nie miał bytu zapewnionego, w 1539 zaś zaniemógł ciężko na febrę, wodną puchlinę i wrzód około prawego ucha, a choroby te na rok przykuły go do łoża. Pomimo tego po roku otrzymał pierwszy z Polaków wieniec wawrzynowy od Pawła III., a poddawszy się egzaminom, dostąpił promocyi na doktora filozofii w r. 1540.

---

[1] Por. dowód str. 314, 315. Por. też odmienne zdanie K. Kaszewskiego w artykule o powyższem dziele p. t.: „Poeta uwieńczony". *Bibl. Warsz.*, 1893 t. IV, str. 351—352. Ponieważ o dziele d-ra Ćwiklińskiego pisano kilka szczegółowych recenzyj, wymieniam tu prócz powyższej parę. 1) Dr. M. Jezienicki w *Muzeum*, 1893, zeszyt 11—12, str. 976—991; 2) XX. *Przegląd Polski*, r. 1894, ogólnego zb. t. III, str. 582—585; 3) Piotr Chmielowski, *Ateneum*, r. 1893, t. IV, str. 612—618.

[2] Ob. dzieło d-ra Ćwiklińskiego, str. 329 i 359.

[3] Por. sąd K. Kaszewskiego, j. w. str. 357.

Wówczas wrócił do Krakowa i zamieszkał w domu Piotra Kmity. Ten ostatni okres życia jest najsmutniejszym. Poróżniony z Kmitą musiał się ograniczyć do szczupłego dochodu 18 grzywien, jaki mu dawała dzierżawa gruntów plebańskich gołaczowskiego probostwa, którego kolatorem był Kmita. Biedę zwiększyła opieka nad matką po śmierci brata. Mimo choroby jednak, która w kraju wróciła, pomimo ubóstwa pracował wytrwale nad żywotami królów polskich i wydaniem dzieł swych, które wyszły w 1542. Wtedy też napisał najpiękniejszą elegię: *Epithalamium serenissimo Regi Poloniae Domino Sigismundo Augusto.* Znękany cierpieniem i nędzą wyzionął ducha w r. 1543.

Jako humanista, rozmiłowany w pisarzach klasycznych, najwięcej lubował się w Owidyuszu, Katullu i Tybullu, ale ślady wielu innych poetów znajdą się w łacinie Janickiego. Jest on głównie lirykiem, posiada „ciepło i prawdę“ obok wyobraźni. Uczucie jego nie potężnieje do namiętności, jednakże w rzeczach swojskich, w „Skardze“ i „Odezwie“, w *Epithalamium* i „Pieśni do Najświętszej Panny“, umie ono wzbić się na poziom wcale niezwykły.

Dzieło d-ra Ćwiklińskiego zapełnia niemałą doprawdy lukę w historyi naszej literatury. Najlepszy nasz poeta łaciński z pierwszej połowy XVI. stulecia zasługiwał ze wszech miar na taką rzetelną i poważną ocenę i życzyć tylko należy, aby inni poeci nasi doczekali się podobnej monografi.

(C. d. n.).

Antoni Mazanowski.

OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

X.

Środki zaradcze.

O krakowskiem miłosierdziu i dawniejszem i nowszem spisano i liczne i grube tomy; poświęcono mu, jak na nasze stosunki, bardzo znaczną liczbę broszur, rozpraw, artykułów. Streszczać te pisma i broszury, spisać choć w najogólniejszym zarysie historyę krakowskiego miłosierdzia, wyszłoby daleko poza ramy zakreślone i tytułem i celem tych obrazków. Ale z drugiej strony, jeśli obrazki krakowskiej biedy dać mają o niej jakkolwiek dokładniejsze wyobrażenie, trzeba je oświecić promieniami krakowskiego miłosierdzia; jeżeli chcemy się z wszelkiego rodzaju nędzą lepiej zapoznać, wejść choć na chwilę musimy do różnorodnych ochronek, szpitalów, przytulisk; musimy okiem rzucić na różnorodne, różnobarwne instytucye, których zadaniem toczyć walkę z nędzą na całej linii, wszelką znaną, coraz bardziej udoskonalaną bronią.

Z każdym rokiem przeróżnych tych stowarzyszeń, związków, zgromadzeń, przytulisk, równie katolickich jak i żydowskich przybywa i przybywa. Dla przykładu weźmy tylko dwa ostatnie lata. W zaprzeszłym (1894) powstały:

Towarzystwo kasy chorych dla kandydatów notaryalnych.

Stowarzyszenie „Pomoc szkolna“.

Krakowskie stowarzyszenie opieki nad uwolnionymi więźniami.

Stowarzyszenie ku wsparciu biednych wysłużonych żołnierzy wyznania mojżeszowego w Podgórzu.

Zgromadzenie służebnic Serca Jezusowego.

W 1895 r. powołane zostały do życia:

Przytulisko uczestników powstania z r. 1863.

Stowarzyszenie bratniej pomocy uczniów szkoły sztuk pięknych.

Stowarzyszenie domu modlitwy i dobroczynności szewców izraelickich.

Wogóle znajdowało się w Krakowie i Podgórzu z końcem 1895 roku: 16 stowarzyszeń, mających na celu opiekę nad chorymi i grzebanie zmarłych członków, 25 towarzystw dobroczynnych, 6 ochron, 2 zakłady dla niemowląt i podrzutków. Do pierwszej grupy należało 10 stowarzyszeń żydowskich z 1934 członkami i 6 stowarzyszeń katolickich z 1055 członkami. Do drugiej grupy stowarzyszeń ściśle dobroczynnych należało 4504 członków, z tych katolików 1609, Żydów 2895.

Różne biedy, różne jej rodzaje i oddziały; przeciw każdemu w szczególności chrześcijańskie miłosierdzie wyprowadza w pole osobne szeregi, odrębne, nieraz do heroiczności posuwające się powołania i poświęcenia. Biedne dzieci, od niemowlęcych niemal lat na bruk rzucone, pojone ulicznem zepsuciem; biedni starcy jedną nogą stojący w grobie, a niemający zabezpieczonej łyżki strawy; biedni ci, którym choroba, kalectwo wyrywa samą nawet możliwość pracy, zarobku; biedni, a zwłaszcza biedne, rozbijające się napróżno za pracą, wygłodzone, bez dachu, szwaczki, robotnice, służące; bardzo biedne, bardzo nieszczęśliwe istoty, które wpadły w występek i wydźwignąć się z niego nie mogą, bo chłód i głód całą siłą w błocie je trzyma. Chrześcijańskie miłosierdzie przynosi pomoc dzieciom i starcom, chorym i nędzarzom[1].

[1] Spróbujmy wyliczyć krakowskie stowarzyszenia mające na celu nieść pomoc różnorodnego rodzaju biedzie, a oparte bądź na zasadach czysto chrześcijańskich, bądź przynajmniej w pierwszym rzędzie na chrześcijan obrachowane. Spis stowarzyszeń żydowskich umieścimy na innem miejscu, gdy będzie mowa o miłosierdziu specyalnie żydowskiem. Podane daty odnoszą się do końca 1895 r.

Z góry zastrzedz się jeszcze musimy, że umieszczenie jakiego sto-

Niewiele jeszcze lat temu nie można było w Krakowie przejść przez ulicę, żeby się nie zderzyć w najlepszym razie z jedną, w gorszym z dwiema, trzema bandami obdartych niedorostków, z których każdy możliwie najpiskliwszym głosem domagał się to chleba, to cencika, to o dokuczającym sobie głodzie opowiadał, to skarżył się na przejmujące zimno. I dziś spotkasz małoletnich żebraczków, lecz w porównaniu do dawniejszych gromad i wspomnać o nich nie warto; z olbrzymiej napoleońskiej armii pozostała się garść poberezyńskich rozbitków. A cen-

---

warzyszenia w tym spisie, nie oznacza wcale, jakoby się należało koniecznie i bez zastrzeżeń godzić na jego tendencye i sposób postępowania, ale oznacza jedynie, że jednem z zadań danego stowarzyszenia jest dopomagać w potrzebie już to wyłącznie swym członkom, już to szerszym kołom ludności.

Stowarzyszenia ściśle dobroczynne:

Arcybractwo Miłosierdzia i Banku Pobożnego. Członków 260.

Towarzystwo Dobroczynności, udziela przynależnym do Krakowa, starcom, niedołężnym, kalekom opieki, wyżywienia, ubrania i schronienia; udziela sierotom i wogóle biednym dzieciom nauki i całkowitej opieki. Członków 209.

Towarzystwo Dam Dobroczynności św. Wincentego a Paulo. Należy 40 pań.

Towarzystwo Dobroczynności męskie św. Wincentego a Paulo. Członków zwyczajnych 77, honorowych 14.

Stowarzyszenie dobroczynne ku niesieniu pomocy ubogim uczniom ludowych szkół krakowskich, zaopatruje ubogich uczniów w odzież, obuwie, książki. Członków zwyczajnych 74, honorowych 7.

Towarzystwo opieki weteranów polskich z r. 1831, udziela wsparcia, dostarcza zajęcia, wyjednuje opiekę osób i zakładów dobroczynnych, stara się o opiekę lekarską i pociechę duchową, sprawia zmarłym pogrzeby. Członków 77.

Stowarzyszenie pomocy naukowej dla Polek imienia J. I. Kraszewskiego, ułatwia Polkom osiągnięcie wykształcenia uniwersyteckiego. Członków 110.

Krakowskie stowarzyszenie opieki nad uwolnionymi więźniami. Członków zwyczajnych 316, honorowych 16.

Przytulisko uczestników powstania z r. 1863. Członków zwyczajnych 66, wspomagających 133.

Komitet ochron dla małych dzieci. Członków 66.

Towarzystwo bursy dla synów nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych, dostarcza opału, oświetlenia mieszkania, usługi i wszelkiej opieki moralnej i częściowo materyalnej. Członków 60.

Towarzystwo kolonij wakacyjnych dla dzieci, zakłada i utrzymuje

trum, a główne siły armii? Znalazły przytułek w zakładzie księdza Siemaszki, w zakładzie Lubomirskich, w zakładzie św. Józefa, w licznych ochronkach; dostarcza im w miarę możności chleba i ciepłej strawy instytucya „Głodnych dzieci".

Błąkam sie po ulicy Długiej i pytam: „Gdzie tu schronisko ks. Siemaszki? Każda z kolei przekupka, każdy wracający z pracy robotnik rękę naprzód wyciąga: „Tam dalej — tam, gdzie w oknie Matka Boska!" Otóż i w oknie piękny wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, błogosławiącej domkowi, założonemu, rządzonemu

---

po wsiach kolonie, w których słabowite dzieci pod należytą opieką pozostawają przez lato. Członków 123.

Zakład św. Jadwigi, opiekuje się tak pod moralnym jak i materyalnym względem dziewczynami żyjącemi z pracy rąk. Członków zwyczajnych 39, honorowych 48.

Towarzystwo opieki szpitalnej dla dzieci w Krakowie, opiekuje się dziećmi choremi umieszczonemi w osobno dla nich urządzonym szpitalu św. Ludwika. Członków 77.

Krakowskie ochotnicze Towarzystwo ratunkowe. Członków zwyczajnych 87, nadzwyczajnych 59, honorowych 10.

Stowarzyszenia oparte na wzajemnej pomocy:

Dawne, bo założone w r. 1808 Stowarzyszenie „Młodzieży handlowej", ma za zadanie obok innych celów, umożliwić tejże młodzieży dalsze kształcenie się w naukach handlowych i zajmować się losem stowarzyszonych w razie słabości lub niemożności zarobkowania nie spowodowanej z własnej ich winy. Liczy członków zwyczajnych 146, honorowych 30.

Towarzystwo wzajemnej pomocy urzędników Magistratu krakowskiego, ma za cel udzielanie zasiłków na opędzenie kosztów pogrzebu w razie śmierci członka, jego żony lub dzieci. Liczy członków 82.

Stowarzyszenie nauczycielek, umieszcza członków na posadach, udziela im pomocy pieniężnej, opieki w chorobie, stara się o pogrzeb. Członków zwyczajnych 186, honorowych 68.

Towarzystwo wzajemnej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego, udziela członkom pożyczek, pośredniczy w obejmowaniu zatrudnień odpowiednich dla akademika, udziela opieki w chorobie. Członków zwyczajnych 405, honorowych 99.

Towarzystwo wzajemnej pomocy rękodzielników i przemysłowców niesie członkom pomoc w chorobie i nieszczęściu. Członków zwyczajnych 211, wspierających 9, honorowych 9.

Towarzystwo wzajemnej pomocy artystów, popiera moralne i materyalne interesa artystów, malarzy, rzeźbiarzy, inżynierów, architektów i rysowników; udziela im zapomogi lub pożyczki, opiekuje się ubogą młodzieżą kształcącą się w sztukach pięknych. Członków 40.

Towarzystwo bratniej pomocy kelnerów, wspiera członków i przy-

przez pobożnego jej czciciela-Litwina; otóż i skarbona z napisem, uwiadamiającym, że składane do niej datki, przeznaczone „na ofiarę na zakład biednych i opuszczonych chłopców w domu schronienia i dobrowolnej pracy“.

Tak! Biedni i w najściślejszem tego słowa znaczeniu opuszczeni chłopcy, którzy znaleźli schronienie w tym domu. W jaki sposób i z jak drobnych początków dom ten powstał, jak szlachetny jego założyciel walczyć musi ciągle z biedą z jednej strony, a z drugiej z uporem, ze złymi nałogami swych wychowańców, to sam dawniej kiedyś obszerniej opowiedział zaciekawionemu ciekawą instytucyą gościowi, który następnie bardzo to pouczające i interesujące opowiadanie podał do publicznej wiadomości [1]. Dziś przepłynęło znowu lat blizko dziesięć; młodzi

czynia się do opłacenia kosztów pogrzebów, pośredniczy w sprawach służbowych. Członków zwyczajnych 132, wspierających 8, honorowych 8.

Filia wiedeńskiego stowarzyszenia dyetaryuszy: „Samopomoc“. Członków 20.

Towarzystwo krakowskich drukarzy „Siła“, udziela członkom wsparcia w razie kalectwa lub niezdolności do pracy; udziela wsparcia wdowom lub sierotom po członkach; stara się o pogrzeb członków i ich żon. Członków 118.

Towarzystwo kasy chorych dla współpracowników notaryalnych. Członków zwyczajnych 248, nadzwyczajnych 110.

Towarzystwo sług kolei Północnej, udziela członkom zaliczek w razie choroby, płaci wdowom pensyę. Członków 118.

Stowarzyszenie ku niesieniu pomocy wdowom i sierotom po adwokatach. Członków 35.

Stowarzyszenie farmaceutów *Unitas,* ma za zadanie moralne i materyalne wspieranie się wzajemne. Członków zwyczajnych 176, nadzwyczajnych 25.

Stowarzyszenie kandydatów adwokackich popiera interesa swych członków i niesie pomoc pozostałym po nich wdowom.

Pierwsze galicyjskie towarzystwo listonoszów, utrzymuje jedność między członkami i wspomaga udzielaniem jednorazowej odprawy.

Pierwsze galicyjskie stowarzyszenie niesienia pomocy weteranom wojskowym z Krakowa, Podgórza i okolic, dostarcza biednym weteranom środków do życia, lekarstw; przyczynia się do pokrycia kosztów pogrzebu zmarłych swych członków. Zwyczajnych członków liczy 220, honorowych 48.

Drugie stowarzyszenie weteranów wojskowych. Członków zwyczajnych 75, honorowych 35, nadzwyczajnych 5.

[1] Ks. Kazimierza Siemaszki dom schronienia i dobrowolnej pracy dla biednych opuszczonych chłopców, przez Kazimierza Langiego. W Krakowie 1887.

wychowańcy zebrani z ulicy, jak ich poprzednicy, zajęli miejsce starszych, którzy wyszli już „na ludzi“; tylko założyciel i kierownik zakładu nie stracił dawnej energii, nie osłabł na chwilę w dawnem gorącem pragnieniu „uratowania choćby jednej kopy duszyczek młodych od zatracenia wiecznego“.

Przechodzimy przez czyste, obszerne dormitarze, przez sale przeznaczone na naukę i zabawę; przypatrujemy się żwawym chłopakom, przewracającym kozły na przeróżnych „drążkach“ i „barach“; przysłuchujemy się i niefałszywym i fałszywym tonom, wydobywającym się z młodych gardziołków, z pod skrzypcowych smyczków, a jednocześnie ks. Siemaszko rzuca kilka szczegółów o ukochanym swym zakładzie, o swej metodzie, o swych ukochanych urwisach:

„Dziś większy dom, jak był z początku, i stąd więcej kłopotów. Przed dwunastu, trzynastu latami miałem około 30 chłopców; niezadługo cyfra ta podniosła się do 50, później trochę wzrosła i znów spadła. Mniej więcej, 20 starszych chodzi na dzień do warsztatów i tam terminuje; reszta, około 30 ‚szkolników‘, tu się uczy czytać, pisać, rachunków, niemieckiego, śpiewu, gry na jakimś instrumencie. Księżna Marcelina Czartoryska namawiała mię nieraz do spisania obszerniejszego statutu dla mego zakładu. Nie chciałem, bo tych statutów i ustatutowanych zakładów mamy aż za nadto. Jak będzie wola boża, to i tak pójdzie i za mego życia i po śmierci. O ile mogę, przyjmuję młodszych, bo zawsze łatwiej młodszego na człowieka wykierować; piętnasto- lub szesnastoletni o wiele trudniejsi, choć i tacy się przecierają i przyzwyczajają do regulaminu. Dawniej miałem znaczniejszą liczbę czeladników, lecz trudno szło. Taki panicz chciał do teatru, do kawiarni; obecnie też ledwie paru zostało. Zresztą u mnie jak w arce Noego: ślepi, chromi; znalazł się jeden z krzywemi nogami i umysłowo chory, bo go rodzice dzieckiem w beczce trzymali, aby nie figlował; nie brakuje i chłopaków z lepszych i bogatszych rodzin. Brat jednego z mych wychowanków składa w tych dniach doktorat z medycyny. Kilku szlachciców oddało mi swych synów, z którymi sobie nie mogli dać rady. Ale tu nie dom poprawy, trudno było sobie z nimi

poradzić. Niektórzy majstrowie patrzyli dawniej trochę krzywem okiem na mój zakład; powoli oswoili się i przekonali się o jego pożytkach. Dziś pozwalają mi zatrzymywać chłopca u siebie przez całą niedzielę, od soboty wieczór do poniedziałku rano. Wielu do mnie po chłopców się zgłasza i chętnie przystaje na podane przezemnie warunki".

Rozmowa zeszła na otwarty przed paru latami zakład dla opuszczonych, zaniedbanych chłopców fundacyi ks. Aleksandra Lubomirskiego. Przez pewien czas dość popularną była myśl i dostała się nawet na parę zawodów do pism publicznych, aby oba zakłady, dawniejszy, wciąż z niedostatkiem walczący, księdza Siemaszki, i nowy, bogato książęcą wspaniałomyślnością uposażony w materyalne środki, połączyć w jeden. Ks. Siemaszko nie zupełnie z tą myślą się godzi. Dość biednych, nieszczęśliwych chłopców, aby zapełnić i przepełnić oba zakłady. Ścisły regulamin, ściśle ograniczona liczba wychowanków zamyka bramy książęcego przytułku przed niejednym wałęsającym się po ulicach chłopakiem-nędzarzem, który potrzebowałby koniecznie i natychmiast pomocy, opieki; skromny domek na ulicy Długiej, w którym sam fundator i prawa układa, i może od nich w ważnych wypadkach dyspenzować, rozszerzy swe ściany, znajdzie się miejsce na skromne łóżeczko, znajdzie się kromka chleba dla głodnego. O! nie, niema obawy, aby te dwa zakłady miały sobie wzajemnie zawadzać. Niech dziś na trzecim krańcu Krakowa trzeci cudem wyrośnie, a jutro nie będzie się w nim można doszukać wolnego kącika.

Wspaniale, prawdziwie po książęcemu przedstawia się zakład Lubomirskich. Tak wspaniale, że przechodząc przez zakładową bramę, rozpatrując się po barwnych gazonach-dywanach z kwiatów i zieleni, wstępując, rzekłbyś, w zamkowy jakiś przedsionek, natrętnej myśli nie łatwo się ogonić: Czy dobrze i zdrowo, że chłopcy tu przygarnione, przyzwyczajają oko do takich sal, do takich krużganków, do wszystkich tych wspaniałości; czy później pochylony domek na przedmieściu, rzemieślnicza izdebka nie będzie im się wydawać niewygodna, ciasna, wstrętna? Prawda, że mundurki, choć czyste, wygodne, ale skromne; jedzenie zdrowe,

lecz wcale niewykwintne; posłanie chędogie, lecz bynajmniej miękkością niegrzeszące. Prawda, że i koszary i szpitale, i szkoły wziąć można nieraz, zwłaszcza z zewnątrz, za pałace, a jednak nikt im nie robi zarzutu, że wszczepiają zamiłowanie do zbytku w umysły chorych, żołnierzy, uczniów; że dają im przyzwyczajenia, z któremi prędzej, później będą musieli się rozstać.

„Nasi chłopcy — objaśnia i zaręcza oddany całą duszą swej pracy kierownik zakładu — ojcowską, ale nie miękką ręką są trzymani. Zasada nasza, regulamin wypisany w każdej klasie wielkiemi głoskami: ‚Módl się i pracuj!' Niema niebezpieczeństwa, żeby mieli od nas wychodzić ‚półpankami'; sądzę i spodziewam się, że nie zwiększą szeregów niezadowolonych z wszystkich i z wszystkiego. Kolejno czyszczą sobie buty, zamiatają, cały porządek w domu muszą sami utrzymać, robią po parę tygodni u różnych rzemieślników, u krawców, kapeluszników, szewców, aby pokazało się namacalnie, do czego ma który chęć i zdolność. Jeśli nie pokaże zdolności, pójdzie na służącego. Jeśli ma wybitne umysłowe zdolności, może, naturalnie wyjątkowo, i do wyższych szkół się dostać".

„Różnych tu mamy z różnych stron. Jeden chłopak aż z Filadelfii do Krakowa zawędrował; mówi i pisze dziś dobrze po niemiecku i po polsku. A ilu się zgłasza, ilu prosi i błaga na wszystko, co święte, żeby przyjąć ich synów, synowców, wnuków. Serce się kraje, a odmawiać trzeba, bo liczba bardzo ściśle ograniczona. Przez pierwsze dwa lata przyjmowało się po trzydziestu nowych rocznie, teraz po dziesięciu".

Ksiądz Siemaszko utrzymuje: „Dzięki Bogu, że powstał zakład Lubomirskich, ale i mój skromny przytułek ma racyę bytu". Dyrektor zakładu Lubomirskich nie innego jest zdania: „Dzięki Bogu, że ks. Siemaszko zaopiekować się może pewną liczbą chłopaków, dla których u nas absolutnie nie znalazłoby się miejsca". Inaczej sądzi i mówi zarządca trzeciego z rzędu przytułku dla osieroconych, moralnie zaniedbanych chłopców; wolałby aby wszystkie te zakłady razem się połączyły, mniema, że wtedy, rozporządzając bardziej dobranymi ludźmi, poważniejszemi materyalnemi środkami, lepiej mogłyby odpowiedzieć swemu

celowi. Zapewne i w tem jest jakaś racya; ale chyba przeciwne racye potężniejsze.

Trzeci ten pod wezwaniem św. Józefa zostający przytułek, pierwsze z wieku jeśli nie z urzędu zajmuje miejsce, bo liczy już sobie blizko pół wieku istnienia, a przez ten czas różne przechodził koleje, na różnych miejscach w Krakowie i za Krakowem rozpinał swe namioty. Z Podwala przeniósł się do Krzysztoforzyc, dziedzicznej wsi swego założyciela, następnie powtórnie do Krakowa. Wychowanków tylu, ilu zmieścić się może, blizko ośmdziesięciu. Uczą się rzemiosł różnych; pracują w ogrodzie, który niemało się przyczynia do utrzymania zakładu; sami pracują i mają utrzymywać porządek i w sypialniach i w kuchni i w jadalni i w kaplicy. Trochę im to trudno idzie; z domu widać nie bardzo do porządku przyzwyczajeni, a w zakładzie jeszcze się go nie nauczyli. Zarządca tłumaczy, że chłopcy cały dzień w ogrodzie i z ogrodu ziemię i proch nanoszą. Ani słowa, ale jednak gdyby np. można parę Sióstr choć na parę miesięcy sprowadzić, pokazałoby się podobno, że ziemia ogrodowa cudownym jakimś sposobem mniej do butów przylega...

Nieuczęszczające jeszcze do szkół dzieci, od mniej więcej dwóch do siedmiu lat, mają ciepły kącik, zdrowe pożywienie macierzyńską opiekę w ochronkach rozsypanych po wszystkich dzielnicach. Ojciec, matka mogą spokojnie iść do fabryki, do mularki, pewni, że dziecku nic złego się nie przydarzy; że owszem troskliwa zakonnica nakarmi je i napoi, zabawi i czego się da, nauczy. Szczęśliwi wybrańcy z najbiedniejszych, najbardziej opuszczonych chłopców dostają się do przytułku św. Józefa, do zakładu ks. Siemaszki, do zakładu Lubomirskich; 20 chłopców i 20 dziewczyn znajdują naukę moralną i materyalną opiekę w gmachu „Towarzystwa Dobroczynności". A tłumy chłopaków i dziewczynek, uczęszczających do szkół ludowych, głodnych, obdartych, bosych, dla których niema i nie może być miejsca w żadnej ochronce, w żadnym zakładzie, w żadnym przytułku? To pytanie zadało sobie przed pięciu latami kilku ludzi ożywionych, czemu nikt zaprzeczyć nie może, najlepszą wolą, i dzięki ich nawoływaniom i staraniom zawiązał się „Komitet dla gło-

dnych dzieci pod wezwaniem Dzieciątka Jezus", którego zadaniem dostarczać w czasie zimowych miesięcy obiadów dla najbiedniejszych dzieci szkolnych. Ubiegłej zimy — jak czytamy w sprawozdaniu przez Komitet ogłoszonem — „korzystało z rozdawnictwa obiadów przecięciowo 506 dzieci dziennie, większa część dziewcząt, mniejsza chłopców. Przez 81 dni wydano 40.986 obiadów za opłatą 2.959 złr. 16 ct. Kuchnie komitetowe mieściły się w pięciu klasztorach. Nadzór nad dziećmi spoczywał w ręku pań-opiekunek, zakonnic i księży. Na zaproszonych 182 przyjęło udział w pracach Komitetu 178 pań"...

Czy „głodne dzieci" mają racyę bytu; czy dobrze, że w tym kierunku zwrócono w ostatnich latach miłosierdzie publiczne; czy nowe to dzieło miłosierne nie przynosi szczerby dawniejszym a ważniejszym?

Zdania w tej mierze bardzo podzielone, czego najlepszym dowodem ostre dziennikarskie szermierki za i przeciw „głodnym dzieciom". I w ustnych sprawozdaniach, w poufnych rozmowach z najczynniejszymi krakowskimi filantropami zarysowują się równie ostro dwie wręcz ze sobą kłócące się opinie.

Dwóch profesorów gimnazyalnych wspomina z widoczną niechęcią o nowej instytucyi: „Moralny wpływ musi być ujemny, bo dziecko od najdrobniejszych lat uczy się cudzym kosztem żyć, a rodzice przyzwyczajają się spuszczać się na obcą opiekę. Słychać skargi, że panie coraz mniej się zajmują głodnymi dziećmi". Naturalnie, kiedy była „narodowa żałoba", panie się nudziły i bardzo były szczęśliwe, że mają pretekst do ruszania się, do konferencyjek przeróżnych. Potem zapał ostygł..."

Panie profesorowe zgadzają się słowo w słowo z mężowskiem zdaniem: „Między dziećmi jest dużo biedy i nieraz są one istotnie głodne. Ale historya z „głodnemi dziećmi" na nic. Tylko wszelką ambicyę, a zarazem uszanowanie dla rodziców zabija. Nie wprost dzieciom, lecz rodzicom dla dzieci trzeba dawać".

„Tak — powtarza pani znana szeroko w Krakowie ze szczodrej, miłosiernej ręki — ‚głodne dzieci' w dzisiejszej swej formie przyczyniać się muszą do rozluźnienia rodzinnych węzłów. Matka

w nędzy, niema kawałka suchego chleba, a dziecko jej poluje tymczasem na smaczniejsze kąski i grymasi w najlepsze...“

Kilku panów, czynnych i energicznych, od wielu lat członków Towarzystwa św. Wincentego, a zatem dobrze obeznanych z krakowską biedą; kilka pań, zostających ze szkolnemi dziećmi w codziennych stosunkach, nie szczędzi o wiele dosadniejszych określeń:

„Jestem wprost przeciwny historyi „z głodnymi dziećmi“. Uważam to po prostu za coś niemoralnego. Wałęsają się, jedni drugich denuncyują, wzajemnie się okradają. Sam przez pewien czas dałem się modzie pociągnąć, ale po dłuższem doświadczeniu przekonałem się, że na tem polu nie da się nic zrobić prawdziwie pożytecznego. To szkoła socyalizmu, to zaprawianie do koszarowego życia. A jeśli już dzieci żywić, czemuż żywić tylko do pół marca? Czy później mają wszystkie zarobek, czy mają co jeść?“

„Dawniej cięższe były czasy niż dzisiaj, a mój ojciec, prosty rzemieślnik, wychowywał nas sześciu i wychował na ludzi. Czemuż dziś skazywać dzieci na włóczęgostwo od 11 do 2-giej, zamiast, żeby poszły do domu i przyuczyły się rodzicom pomagać i jeść z rodzicami, co Pan Bóg dał? Dziewczyny godzinami przed furtami stoją i wstyd w sobie niszczą. „Głodne dzieci“ żywcem przeszczepione z Kazimierza od Żydów, gdzie to potrzebne, bo tam rodziców od rana do wieczora w domu niema, i matka dopiero wieczorem coś ciepłego zgotuje. U nas zwykle jeśli nie ojciec i matka, to przynajmniej matka w domu siedzi; czemuż dziecko niema w południe do domu pójść? Ale czy tam dostanie zjeść? Z ośmnaściorga dzieci, które mi przedstawiono jako kandydatów na „głodne dzieci“, tylko troje naprawdę potrzebowało wsparcia. A później wszystkie przyjęto...“

„Gdyby odemnie zależało, pieniądze przeznaczone na obiady, przeznaczyłbym raczej na ubranie dla najbiedniejszych dzieci. Wyrobnik prędzej dla dziecka się postara o jedzenie, niż o ciepłe, porządne ubranie. A takie ubranie dziecko bądź co bądź uszlachetnia, podnosi...“

„Panie robią, a w każdym razie robiły sobie z głodnymi

dziećmi drugie wydanie ‚rękawki'; rzucały im cukierki, pomarańcze. Matka mówiła do ojca: ‚Chodź do Mośka, napijemy się, a Anusi albo Józkowi i tak szkoła musi jeść dać'. Matka dziecko uczy: ‚Weź dla mnie do garnka, a sama drugą porcyę zjedz!...“

Protektorzy i zwolennicy „głodnych dzieci“, zbijają te dobrze sobie znane zarzuty i w gorących słowach zastawiają się za niedawno utworzoną, ale bardzo pożyteczną, nikomu nie mogącą stanąć na drodze, instytucyą.

„Mówią, że św. Wincentemu zawadzamy. Tego nie mogę zrozumieć; z Towarzystwem św. Wincentego stoimy na najlepszej stopie, i zapewnić mogę, że zawsze stać będziemy. Obecnie, mowy być nie może, abyśmy mieli zwinąć chorągiew. Wspaniałomyślny zapis Hawelki, zapewnił nam egzystencyę; możemy robić mniej lub więcej, ale istnieć w każdym razie będziemy. Jesteśmy stowarzyszeniem ściśle chrześcijańskiem. Naszem zadaniem dbać o obiad dla dzieci, które skądinąd obiadu nie mają; dbamy o ciało, lecz nacisk kładziemy na duszę; modlitwa przed i po obiedzie odbywa się regularnie i pobożnie. Wiem z doświadczenia, że są biedne dzieci, co zostawione wyłącznie rodzicielskiej opiece, nie mają przez sześć dni nic ciepłego w ustach. Większa część z tych 600 do 700 dzieci, które żywimy, nie mają domowego ogniska. Przedtem nasze katolickie dzieci jadały w żydowskiem stowarzyszeniu na Dajworze, ale tam się nie modliły; u nas się modlą. Koszta znaczne; obiad dla jednego dziecka kosztuje nas 6 ct.; rocznie potrzeba około 3.000 złr. Zresztą używamy wszelkich możliwych środków ostrożności, aby wyłącznie najbiedniejsze dzieci korzystały z naszych obiadów. Wydaliśmy odezwę do dyrektorów szkół z prośbą o podanie nazwisk najbiedniejszych uczniów. Arcybractwo miłosierdzia daje ze swej strony relacye. Cóż więcej zrobić możemy?“.

„Jak z każdej ludzkiej rzeczy, tak i z tych obiadów płynąć mogą pewne niekorzyści, ale korzyści stanowczo przeważają. Towarzystwo dokłada wszelkich starań, aby usunąć cechę żebractwa. Różne powstawały plany. Ja np. osobiście byłem za tem, aby nie samym dzieciom obiady dawać, ale rodzicom dla dzieci; a może jeszcze lepiej, aby dawać rodzicom bilety, na

mocy których mogłoby potem dziecko do obiadu zasiąść. Panie opiekunki nie bardzo się do tego planu przychylały. Tyle bądź co bądź się zrobiło, że obecnie obiady rozdają się jedynie po klasztorach, a to już jakoś samo z siebie mniej razi, nasuwa piękne wspomnienia dawnych szkolnych żaków, mniej z żebractwem ma wspólnego".

„Oprócz obiadów towarzystwo nasze rozdaje dzieciom obuwie. Było z tem niejedno nadużycie; zdarzało się, że rodzice natychmiast otrzymane buciki sprzedawali za byle co. Dziś urządziliśmy się w ten sposób, że stowarzyszenie nasze daje dwie trzecie pieniędzy potrzebnych na buciki, a sami rodzice muszą resztę dołożyć. Jak sam reńskiego zapłaci, to za parę kieliszków obuwia nie zastawi".

Posłuchajmy jeszcze zakonnic, rozdających obiady w prowadzonej przez siebie szkole:

„I dzieci i matki bardzo z obiadów szczęśliwe i o to jedynie błagają, żeby jak najdłużej mogły dostawać. Kandydatek zawsze tyle, że ani myśleć, aby wszystkim prośbom zadosyć uczynić. Jednego roku próbowałyśmy podzielić dzieci na dwa oddziały po 50 dziewczynek; pierwszy oddział dostawał jednego tygodnia, a drugiego tygodnia drugi. Komitet ‚głodnych dzieci' nie zgodził się później na taką kombinacyę. Jak się widzi te biedaczki zziębnięte, w podartych bucikach, głodne, które do domu iść muszą i trzy kwadranse, i godzinę, i dłużej, toby się sobie samemu od ust odjęło, żeby je nakarmić i ubrać. Dawniej panie przysyłały częściej jakieś ubranie ciepłe, płótna na koszule, raz zajechał fiakier z workiem pełnym koszulek, spodniczek, kaftaniczków i nie mogłyśmy się nawet dowiedzieć, kogo nam Pan Bóg zesłał z takim hojnym darem. Dziś to ustało; coraz trudniej się od ‚Towarzystwa' na trzewiczki doprosić. Widać sami niewiele mają".

Takie sądy i zdania i przeciw i za instytucyą „głodnych dzieci". Które przeważają? Przeczyć nie myślę, że niejeden zarzut, skierowany przeciw „głodnym dzieciom", nie jest bez słuszności, że może dałoby się to lub owo zreformować, poprawić, oprzeć na innych podstawach. Ale czy instytucya sama w sobie zasłu-

guje na naganę? Proszę choć na chwilę wejść na salę, w której obiady dzieciom się rozdają, i przypatrzeć się, z jakim apetytem chwytają za chleb i zabierają się do ciepłej zupy. A czy miałyby taką porządną kromkę chleba, czy przed wieczorem miałyby w ustach co ciepłego, gdyby nie instytucya „głodnych dzieci“?

Biedne dzieci, głodne, opuszczone i pod materyalnym, i jeszcze bardziej pod moralnym względem. Czy na mniejszą litość zasługują starcy, pochyleni latami, dręczeni niemal regularnie przeróżnemi dolegliwościami, nieraz ciężką, nieuleczalną chorobą lub kalectwem? Biednym tym „starym dzieciom“ zapewniają w pierwszym rzędzie opiekę: Towarzystwo Dobroczynności, przytułek dla nieuleczalnych w tak zwanym „Angielskim ogrodzie“, dom ubogich Sióstr Felicyanek na Blichu, dom ubogich imienia Helclów.

Towarzystwo Dobroczynności obchodziło w czerwcu 1866 roku pięćdziesięcioletni jubileusz swego istnienia, a raczej powtórnego wskrzeszenia; przy tej sposobności wydano obszerną księgę, z której, kto ciekaw, może się bliżej zapoznać z jego celami, działalnością, historyą[1]. Szujski streścił je w jędrnym wierszu, napisanym „na sześćsetletnią założenia, a pięćdziesięcioletnią rocznicę odnowienia Towarzystwa Dobroczynności w Krakowie“:

Pod Woronicza Pawła pastorałem,
Wieszcza boleści, co pierś rozpierała,
Nowy przybytek zacnych serc udziałem
Stanął — by starość skroń schylić gdzie miała.
Stanął i Bożą otoczon opieką,
Dusz wielkomyślnych pomocą wspierany,
Otarł niejednę łzę, co hojnie cieką
Na ziemi w szatę pokutną odzianej!

W skromnej, zacisznej ścian jego ustroni
Niejedna rozpacz na spokój zmieniona;
Niejedna ręka od rycerskiej broni —
Od żebraniny bolu ochroniona;

[1] „Pamiętnik Towarzystwa Dobroczynności krakowskiego“, wydany z powodu obchodzonego w dniu 24 i 25 czerwca 1866 r. pięćdziesiątletniego jubileuszu wskrzeszenia w r. 1816 tegoż Towarzystwa. W Krakowie 1868.

Niejedna nędza, co w ciszy konała,
Miała czas jeszcze błogosławić Bogu:
Toż Ty, o Panie, błogosław jej progu,
Miłościw ziemi bądź, co litość miała!

Z dobroczynności Towarzystwa korzysta obecnie około 30 starców i przeszło cztery razy tyle staruszek. Tłumy zgarbionych, podpierających się na kiju kandydatów i kandydatek zgłaszają się jak do obszernego gmachu Towarzystwa Dobroczynności na ulicy Koletek, tak do skromnych izdebek przytułku na Blichu, do niemniej skromnych izdebek przytułku w „Angielskim ogrodzie". W tem troska i żal, że niejednej prawdziwej, ciężkiej biedzie trzeba drzwi zamknąć, bo wszędzie miejsca brakuje; zarządcy Towarzystwa Dobroczynności, aby o niem jednem wspomnieć, opowiadają w tej mierze rozdzierające serce szczegóły. Przytułek w Angielskim ogrodzie służyć mógł przez dłuższy czas za najlepszy dowód, jak nigdy i nigdzie nie mogą udać się próby ze świeckiem, płatnem miłosierdziem: dziś dawniejszych płatnych administratorów, płatne gospodynie zastępują pełni poświęcenia tercyarze i tercyarki Brata Alberta.

Gorącem, najgorętszem pragnieniem złamanych kalectwem lub chorobą starców dostać się do „domu ubogich" imienia Helclów, lub wedle mniej urzędowej, ale za to dokładniejszej nazwy, do domu „nieuleczalnych i rekonwalescentów imienia Ludwika i Anny Helclów". Wspaniały to gmach, urządzony stosownie do wyraźnej woli założycielki, z wszystkiemi możliwemi wygodami; dużo w nim światła, dużo powietrza; choremu starcowi niczego się nie żałuje, co mu nietylko konieczne, ale pożyteczne, przyjemne. Namęczył się, nabiedował dosyć; chmurny był wschód, znojne i parne południe życia, niechże przynajmniej zachodzące słońce jaśniejsze promienie rzuci. Czy nie piękna to z prawdziwie chrześcijańskiego, kochającego serca płynąca myśl?

Uśmiechnięta, wesoła Szarytka, jak zawsze wesołe i uśmiechnięte te sługi i pocieszycielki ludzkiej biedy, prowadzi po wspaniałych krużgankach, wielkich salach, miłych, jasnych pokoikach. W jednym pawilonie kobiety, w drugim mężczyźni. Miejsca dużo tak, że gdyby skrupulatnie je zużytkować, znaleśćby mogło

przytułek około 300 biedaków. Niestety! obecnie fundusze pozwalają na utrzymywanie na koszcie zakładu tylko do stu ubogich; nadto około 40 starców i chorych korzysta za niewielką opłatą z zakładu i jego urządzeń. Pewien procent z tej pensyi przyłącza się do funduszu żelaznego, a tem samem płacący chorzy i starcy przyczyniają się do stopniowego pomnażania liczby niepłacących.

„To trudno — objaśnia oprowadzająca Siostra Miłosierdzia i przybyły tymczasem mianowany z ramienia Wydziału krajowego kurator zakładu. Krzyczano na nas, pisano i szkalowano; niech zdrowi krzyczą i piszą! Zresztą paru szkalujących, i to w dodatku szkalujących z prostej, nieuczciwej zemsty, weszło później w siebie i w listach do Sióstr odwołało rzucone potwarze. Wyraźną było wolą fundatorki, aby biednym, znajdującym schronienie w tym domu było dobrze, wygodnie, miło. Dlatego i ogród dość obszerny, i sale piękne; jedna szkoda, że za mało separatek. Jedzenie mają również bardzo dobre; ci, którzy potrzebują, dostają nietylko śniadanie, obiad, kolacyę, ale i podwieczorek i drugie śniadanie".

Do Sióstr panuje widocznie wielkie, siostrzane, braterskie zaufanie. Jeden z kalek prosi o jakąś drobnostkę, drugi przedstawia, że dobrzeby było domino kupić, bo jest paru, którzyby w nie chętnie zagrali. Siostra odpowiada po prostu:

„Popołudniu będę w mieście, to kupię".

Trzeba widzieć wesoły uśmiech na zwiędłej twarzy schorowanego starca; cieszy się z całej duszy, jak dziecko, że będzie miał pożądaną zabawkę.

I w zakładzie Helclów, i wogóle we wszystkich zakładach, przytułkach, przeznaczonych dla ubogich, a na pierwszem miejscu dla starców, najróżniejsze choroby gospodarują, z samej natury rzeczy, jak we własnym domu. Specyalnie i wyłącznie chorym służą: powszechny szpital krajowy św. Łazarza, szpital Braci Miłosierdzia na Kazimierzu, szpital św. Ludwika dla dzieci. Przez pierwszy przechodzi w jednym roku około 10.000 chorych; przez ostatni, licząc już ambulatoryjną lekarską poradę, około 6000;

szpital Braci miłosierdzia, dzięki niestrudzonym zabiegom swego zarządcy i przełożonego, Letusa Bernatka, z roku na rok się rozszerza.

We wszystkich szpitalach długa a smętna galerya wszelkiego rodzaju nędz, chorób, kalectw. Najbardziej wzruszająca to galerya w dziecięcym szpitalu św. Ludwika.

W tej sali wszechwładnie panuje szkarlatyna, w tamtej dyfterya, w dalszej zaczerwienione gorączką twarzyczki rzewnie ku wchodzącemu się podnoszą, jeszcze w dalszej szeregi chłopaczków, dziewczynek z obwiązanemi rączkami, główkami po świeżej operacyi; z dalszych sal dochodzą niekończące się krzyki płacze niemowląt przy piersiach. Dużo ich, dużo dzieci, licznych potrzeba mamek, służących; potrzeba przedewszystkiem bezgranicznego poświęcenia Sióstr miłosierdzia, potrzeba ich poczciwości, ich pieszczot, których nie skąpią biednym chorym sierotom. Najsmutniejszy oddział ze ślepemi, na pół ślepemi dzieciakami: napróżno się do nich uśmiechasz, dopiero gdy po włoskach pogłaszczesz, pocieszające słowo rzucisz, poruszają się drobne usteczka do słabego uśmiechu. Kilkunastu małych rekonwalescentów bawi się — zawsze pod dozorem czujnej zakonnicy — na świeżem powietrzu. W osobnym pokoiku maleńka dziewczynka sama jedna z zakonnicą to się bawi, to się modli. Straszny wrzód usta jej wyżarł i pełza dalej, coraz dalej po twarzy; dziecina wie, że jej dnie i godziny policzone, ale tymczasem cieszy się całą pełnią radości, że ktoś do niej zajrzał; ogląda wciąż z nową pociechą parę dopiero co otrzymanych obrazków. Na chwilę zdawaćby się mogło, że nic do szczęścia jej nie brakuje.

Na Kazimierzu skupia się wszelka możliwa nędza; niezmordowane w walce z nędzą Szarytki chciałyby w swym kazimierskim domu wszelkiego rodzaju biedzie wedle sił zapobiedz. W domu tym, raczej w szeregu domków różnego rodzaju krużgankami i przejściami ze sobą powiązanych mieści się: ochronka dla małych dzieci, schronienie dla staruszek i idyotek, szkoła, szwalnia, pralnia.

W szwalni, w której biedne dziewczynki od najmłodszych do dwudziestoletnich uczą się wszelkich potrzebnych a nawet

i zbytkownych robót, które im będą mogły później zapewnić wygodniejsze życie. Śliczne niektóre z tych robótek, zwłaszcza przeznaczonych do kościoła. „Jak do kościoła co trzeba zrobić, zaręcza opowiadająca Siostra, to nasze dzieci tak się cieszą, tak ochoczo się biorą do pracy, że trudno je od niej oderwać". I dziś widocznie do kościoła coś robią, bo gwar wesoły z serdecznym śmiechem zmieszany rozlega się po wązkich korytarzykach. Dobrze im tu, jak w domu i nie można się dziwić, że choć się podrosłej już dziewczynie trafia odpowiednia służba lub praca, żal jej opuszczać ukochany kazimierski klasztorek; że i potem raz po raz do klasztorku zagląda, pewna, że w każdej przygodzie znajdzie w nim radę, pociechę, gdy potrzeba, to i przytułek.

„Najsmutniej — powtarza przezacna, prawdziwie miłosierna Siostra do zbytku znaną mi zwrotkę — najboleśniej, że tak mało mamy stosunkowo miejsca i musimy z niczem odprawiać tyle biednych matek, które błagają o kącik dla swych córek. Każdego tygodnia kilka próśb, a tu ani łóżeczek, ani co gorsza najmniejszego kącika na łóżeczko niema".

Dla dzieci są ochronki, dla starców różnorodne przytułki, dla chorych szpitale. A dla tych czyż niema zmiłowania, co nie będąc ani wprost chorymi, ani dziećmi, ani niedołężnymi starcami, głód cierpią, nie mają na noc kącika, nie mogą znaleść uczciwej, możliwej dla siebie pracy; dla tych, co choć mieliby może prawo ze względu na lata i zdrowie, napróżno pukają do szpitalów, do przytułków, do ochron, bo wszystkie miejsca aż do ostatniego, w nich zajęte? Oczywiście, że chrześcijańskie miłosierdzie nie zapomniało o tych, częstokroć najbiedniejszych i największej litości godnych; długi szereg wspaniałych instytucyj i dawnych i nowszych, i w ostatnich latach powstałych przychodzi im z pomocną ręką.

Z funduszami, z instytucyami, będącemi pod bezpośrednim zarządem magistratu krakowskiego krótko możemy się załatwić. Fundusze te dość znaczne i ciągle — jak raz po raz gazety donoszą — mnożące się różnemi poważnemi datkami i w pieniądzach, i w naturze; sama policya za różne licencye muzyczne,

taneczne i t. p. nie licząc w to grzywien za pewnego rodzaju nadużycia, dostarcza magistratowi rocznie na ubogich około 4000 złr. Cóż, kiedy szafowanie niemi nikogo jakoś nie zadowalnia! Wymyślają ubodzy, że węgle nie węglami, ale czarnym prochem; żalą się — wcale oczywiście nie powiadam, że słusznie, tembardziej, że zawsze słusznie — na koterye, protekcye, ba! i gorsze sprawki, o których dawniej mniemano, że jedynie w przekupnej Rosyi mogą się zdarzyć. Żalą się ludzie bardzo poważni, że przeprowadzenie badań, kto zasługuje lub nie zasługuje na magistrackie wsparcie, poruczane czasem bywa ludziom niekoniecznie do tego kompetentnym; czasami, jak mi zaręczano, miejskim pachołkom, od których, pozostając skądinąd z winnym respektem dla ich honoru i stanowiska, wydelikaconej jakiejś bezinteresowności nie sposób się spodziewać. Ba! samiż miejscy radcy, sami nawet członkowie komisyi dla spraw dobroczynnych i fundacyjnych ostrej krytyki nie szczędzą. W każdym razie, choćby tylko dla uspokojenia opinii publicznej, dobrzeby chyba było gruntownie raz wreszcie zająć się kwestyą magistrackiej dobroczynności i zaprowadzić w niej pewne reformy, zdaniem wszystkich bez wyjątku, niezbędne. Radca, któryby tę sprawę opracował, poruszył i przeprowadził, dobrzeby się zasłużył dla miasta.

Całe państwo nędzy naprawdę pod swe berło objęły Towarzystwo św. Wincentego à Paulo i Arcybractwo Miłosierdzia. Czy komu głodno, czy chłodno, czy do domu daleko, a dostać się do niego niema sposobu czy choroba przyciska, czy brak pracy wypędził ostatnie grosze z woreczka, zgłasza się do św. Wincentego, pisze, jak w dym, prośbę do Arcybractwa. Wszystkim prośbom, a cóż dopiero wszystkim potrzebom ani myśli zadośćuczynić; dobrze, że pewnej liczbie nędzarzów w pewnej mierze można ulgę przynieść.

Z końcem ubiegłego (1895) roku istniało w Krakowie pięć męskich konferencyj św. Wincentego. Łącznie liczyły one zalednie do stu czynnych członków; wydawały rocznie na wsparcia około 4500 złr. Członkowie, stosownie do ustaw Towarzystwa, odwiedzają ubogich osobiście w ich mieszkaniach i sami wręczają im bony na żywność i opał, płacą za nich zaległy czynsz

a zupełnie wyjątkowo udzielają pieniężnej zapomogi. Raz na tydzień zbierają się członkowie na naradę o ubogich rodzinach poruczonych swej pieczy; odczytują nadsyłane prośby i umawiają się, kto się ma przekonać o prawdziwości podanych w nich szczegółach. Przed ukończeniem posiedzenia skarbnik zbiera tajną składkę, która stanowi główną podstawę dochodów konferencyi. Prócz opieki nad poszczególnemi ubogiemi rodzinami, Towarzystwo założyło w Krakowie i utrzymuje internat dla kandydatów do stanu nauczycielskiego w szkołach ludowych. Internat ten liczył w ostatnich paru latach od 30 do 40 wychowanków.

Jak każda sprawa piękna i święta, ma i Towarzystwo św. Wincentego swych entuzyastycznych wielbicieli i zapalonych wrogów. To prawica i lewica; w *centrum* stoją tacy, którzy oddając najgłębszą cześć poświęceniu dzisiejszych członków, radziby, aby św. Wincenty liczyć mógł swe hufce nie na dziesiątki, na setki, lecz na tysiące, a tem samem pomożył co najmniej do kwadratu swą działalność i wpływ.

Profesor, znany szeroko z gorliwości w szerzeniu „wincentowskiej“ idei, opowiada sam o sobie:

„Przez dłuższy czas słyszałem i wiedziałem o „Wincentowiczach“ tylko ze złej strony. Aż raz pewien zacny kapłan wciągnął mię prawie gwałtem na konferencyę, żeby się samemu przekonać, a nie dawać ślepej wiary złośliwym językom. Przekonałem się i dziś nie mam wątpliwości, że to instytucya ze wszystkich najznakomitsza. A jakież dopiero mogłaby w Krakowie zająć stanowisko, gdyby więcej ludzi zrozumiało jej wagę i zechciało do niej przystąpić. Trudno pojąć, dlaczego tak nas stosunkowo niewielu!“

„Tak to niełatwo pojąć — potwierdza ktoś drugi — dlaczego tak mało mamy i członków, i ogólnego współczucia. Chodzenie po domach, w których mieszkają najbiedniejsi, przynosi korzyść odwiedzanym, ale jeszcze większą odwiedzającym. Chłopak, akademik, który przez parę tygodni regularnie odwiedza poruczonych sobie ubogich, zmienia się do niepoznania, hartuje się, nowe światy się przed nim otwierają. A czyż Towarzystwo mało dobrego robi? Ot teraz właśnie kupiliśmy jednej dziewczynie

maszynę do szycia; dla pewnej kobiety postaraliśmy się o kramik z jabłkami. Wiem o dwóch panach, zajmujących obecnie wcale poważne stanowiska, którzy św. Wincentemu zawdzięczają, że wyszli na ludzi. Czasem obłożnie chorego nie chce rodzina oddać do szpitala; to się wywalcza. Uczesze go się, umyje, sprowadzi fiakra — i w drogę".

Więc skąd ta obojętność dla św. Wincentego, skąd niedowierzanie, z którem w szerokich warstwach się spotyka? Czy może z rozsiewanych z pewnym systemem przeciw niemu zarzutów?

Zarzuty te są często wprost zabawne, czasem wstrętne w swej głupocie, w przebijającej przez nie stronniczej tendencyi. Jakiś były powstaniec miotał się przedemną na Towarzystwo św. Wincentego dlatego, że przed trzydziestu kilku latami jedna z warszawskich konferencyj nie mogła mu wskazać na razie żadnego zajęcia, chcąc mu jednak przyjść z pomocą, wręczyła bony na kaszę.

„Ja kaszy nie chciałem, ja chciałem roboty!"

Inny, a raczej zbyt wielu innych powtarzali jak pacierz za panią matką, oszczerstwa, zasłyszane na socyalistycznych zebraniach, wyczytane w socyalistycznych gazetkach: „Panowie protegują tylko zrujnowanych szlachciców, dawnych swych fagasów, lub ofiary swej lubieżności: panom nie zależy na niesieniu pomocy, ale na hodowaniu pańskich lizuniów". Socyalistycznym przewódcom nie można się dziwić, że uważają wszelką broń za dobrą w walce przeciw znienawidzonemu stowarzyszeniu, które, jak wybornie to rozumieją, im bardziej się rozwija, tem bardziej udaremnia ich agitacyę. Smutniejszą jest rzeczą, że nawet ludzie dobrej woli nadstawiają czasem ucha na tego rodzaju z błotnistych bagien płynące podszepty.

Na damski oddział Towarzystwa św. Wincentego padają mniej silne i częste ciosy ze strony uznanych wrogów chrześcijańskiej dobroczynności. Dlaczego? Czyżby dlatego, że oddział ten nie rozwija równie szerokiej, równie przynajmniej bezpośredniej, osobistej działalności, a przeto mniej niebezpiecznym się wydaje? Kilku nietylko panów, ale i pań, głębiej wtajemni-

czonych w dzieje krakowskiego miłosierdzia, daje na to pytanie w delikatnych słowach zawartą, lecz bądź co bądź twierdzącą odpowiedź. Nie wystarcza — słyszę na prawo, na lewo — zebrać pewną sumę i dać ją do rozdania Szarytkom; nie wystarcza zajechać powozem przed domek, w którym mieszka protegowana uboga i z powozu z nią się rozmówić. Trzeba wejść samej w środek biedy, a im czarniejsza bieda, tem głębiej w nią trzeba wejść. Trzeba w danym razie samej izdebkę uporządkować, rozpatrzeć się, czego chorej matce brakuje, dzieci umyć, uczesać. Tak czyniła i czyni pewna liczba pań i panien z arystokratycznych domów, które rozumieją ducha św. Wincentego; taka musi być ogólna norma postępowania całego Towarzystwa, jeżeli przejąć się chce naprawdę ideałami swego patrona.

(C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

TWÓRCZOŚĆ LIRYCZNA ASNYKA
I JEJ ZNACZENIE W POEZYI POLSKIEJ.

— —

Asnyk wytknął kierunek nowoczesnej poezyi polskiej, tj. tej, która po 63 roku powstała. Soki żywotne czerpał on z natchnień poezyi mesyanicznej, z nią przeto ściśle i bezpośrednio jest związany. Ale w miarę lat oddalały go od niej zawody i smutki nowych warunków życia narodu: poeta patrzał na ostateczne rozbicie nadziei i marzeń polskich, lecz na zgliszczach przeszłości ujrzał nowy świat powstający i jemu przyniósł w ofierze marzenia, które z mistycznych wyżyn króla-ducha, „niosącego w błękity“ ojczystą ziemię, spadały w głębie jego duszy, skrzydląc ją do przepaścistych lotów.

Głęboka treścią i świetna formą nie zajęła jednak poezya Asnyka i zająć nie mogła tego górującego stanowiska, z którego przyświecały narodowi twórcze pomysły nieśmiertelnych mistrzów poprzedniego okresu. Po grożącej zagładą najstraszniejszej klęsce, jaka spadła na Polskę, środek ciężkości myśli narodowej ze sfery marzeń przeniósł się do analizy, poezya ustąpiła pierwszeństwa nauce dziejów. Kalinka, Szujski i ci, co z nimi i za nimi poszli, wycisnęli na nowej epoce najwyrazistsze i niezatarte znamię. Ale surowa i mrożąca powaga nauki, biorącej rozbrat z najdroższem sercu polskiemu marzeniem, nie przemówiła do umysłu

poety, czuł on w niej oddech śmierci, przewidywał zmateryalizowanie uczuć, zanik godności, spodlenie charakterów. Obawa tych następstw groźnych zasłaniała przed nim wzniosłość myśli i czystość zamiarów u przodowników nowego kierunku; co było uroczystym i w czyny brzemiennym smutkiem młodości z łez wylęgłej i wśród grobów spędzonej, to był on gotów brać za uwiąd starczy i w chwilach rozgoryczenia nie wahał się, niestety, obrzucać pogardą mistrzów, którzy z pomocą nauki dziejów torowali narodowi nowe drogi.

A jednak, pomimo odmiennego punktu wyjścia i odmiennych dróg, kroczył w jednym z nimi kierunku. Tamci zaczynali od analizy historyi i polityki, Asnyk od rozmyślań nad odwiecznemi zagadnieniami natury i ducha, ale do jednego zmierzali celu. Wyniosła i szlachetna wstydliwość poetycka Asnyka rumieniła się w nim przy zetknięciu z poziomością życia, uciekał więc od życia, zamykał się w wysokich, niedostępnych podmuchom nizin twierdzach myśli, ale tam, po długich zapewne i bolesnych walkach wewnętrznych, dochodził do tegoż wyrzeczenia się „zdradliwej słodyczy marzeń“ o Chrystusowem posłannictwie Polski, które u innych potępiał, i głosił rezygnacyę, lecz niewypowiedzianie smętną, bo czuć w niej było rozdzierające łkanie tęsknoty do zaginionej świetności. Zapatrzony w melancholiczne łuny, krwawiące niebo polskie po słońcu mesyańskich nadziei i natchnień, które już zaszło bezpowrotnie, zstępował on ku milczącym i smutnym zastępom nowych pracowników i „choć chłód ich lodem spadał mu na serce“, witał ich i błogosławił on, pogrobowiec chwały narodowej, i „niósł im życzenia gasnących pokoleń na trudy przyszłych mozolnych wyzwoleń“ [1].

Rezygnacya pokryta bliznami walk stoczonych w odmętach zwątpienia, bolesna, ale podnosząca i kojąca wiarą, że „przetrwają gromy przeznaczenia ci, co w nieśmiertelność swą wierzą i że moc tęsknot ducha przedrze się w czasów szczęśliwych zaranie“, rezygnacya ta jest ostatniem słowem rozmyślań i na-

[1] „Poezye“, t. IV. Wiersz w 25-letnią rocznicę powstania 1863 roku.

tchnień poety. Jej źródłem refleksya. Znamionuje ona wybitnie i stale tak osobę jak twórczość Asnyka, przenika całą poezyę dzisiejszą, której on dał początek i wyróżnia ją od mesyanicznej poezyi okresu poprzedniego. Wprawdzie i Krasiński był myślicielem niemniej jak poetą, ale myśli jego nadawało kierunek uczucie ogniste a tęskniące i rwące się do przyszłej ojczyzny, wyzwolonej, wielkiej, promiennej blaskiem czynów ducha; u Asnyka działo się odwrotnie, myśl brzemieniem swojem przytłoczyła uczucie. Za to wysoko niosła ją wyobraźnia na skrzydłach marzeń, które od lat wczesnych żarem tęsknot rozsadzały pierś poety i pędziły w nieskończoność, zapalone żądzą poznania i kontemplacyi źródeł istnienia. Wzajemny stosunek marzenia i myśli rozmaitym bywał w rozmaitych epokach twórczości poety: w pierwszych latach, w utworach które w skład pierwszych dwóch tomów weszły, przeważało rozmarzenie; harmonijne zlanie się dwóch potęg ducha nastąpiło w tomie III. (r. 1880), który stał się, dzięki temu, jednym z klejnotów liryki polskiej; w IV. tomie (r. 1894) wzięła górę refleksya.

I.

Asnyk brał czynny udział w ostatniem powstaniu i tem donośniejszem echem odbiły się na jego twórczości wrażenia strasznego pogromu. Innej były one natury niż te, które zostawił po sobie rok 31. Po upadku pierwszego powstania nie upadł duch narodu, owszem począł nową poić się otuchą i nadzieją. W ciągu bohaterskich zapasów szala zwycięstw chyliła się nieraz na stronę Polski, dzięki temu przybrała walka w pamięci narodu rozmiary epopei. Rzucając światło poza siebie, obudziła z grobu rycerską przeszłość ojczyzny. Wyczytano w niej znamiona ciągłej myśli bożej, ciągłych dążeń do sprawiedliwości powszechnej, do wcielenia ideału chrześcijańskiego; nie mogło przeto zginąć, co było nieśmiertelne, i klęska narodu straszna, ale promienna blaskiem bohaterskich wysiłków, zdawała się zapowiedzią blizkiego tryumfu, pochodziła z woli Opatrzności przez cierpienie podnoszącej naród na wyższy szczebel, aby go do przyszłych zdobyczy duchowych przysposobić. Dla takich nadziei

nie było już miejsca po roku 63. Z głębin poniżenia i ucisku zsunął on naród na samo dno piekła upadku; nie słyszano tam modlitwy i proroctw ks. Piotra, nie docierały Irydionowe natchnienia, przestały świtać jutrznie mesyaniczne, lecz tem donośniej i boleśniej dźwięczał głos wieszcza, który przeklął swą matkę marnotrawną i wznosząc się ponad przepaści bolu usiłował przedrzeć chmury i poruszyć niebo zbrojną w moc nieskończonej namiętności tęsknotą do królów-duchów, zbawicieli upadłej ludzkości.

Poezya Słowackiego, rozpaczająca i burzliwa, odpowiadała nastrojowi umysłów zwichniętych i przerażonych ogromem klęski, marzycielskie zaś usposobienie Asnyka znajdowało prócz tego specyalny dla siebie pokarm w zaświatowych polotach wieszcza i w wyniesionej przez niego z wyżyn fantazyi wspaniałej pogardzie dla tłumów pogrążonych w nikczemnej bezmyślności. Idąc więc śladem Słowackiego, próbował Asnyk w swych pieśniach smętnych („Apostrofa“, „Do ...“) „gromem wstydu palić tych, co płazowe szczęście, nie wielkość obrali“,

Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny
Z pokorą znosi losów wyrok twardy,
My im zapłaćmy jałmużną pogardy.

Ale tej zażyłości z bolem, która cechowała poetów pessymizmu, Asnyk mieć nie chciał. Z goryczy i smutków negacyi usiłował, też jak Słowacki, wyrwać się na skrzydłach marzeń w jakiś świat lepszy. Ten stan duszy swojej, pogrążonej w rozpaczy i szukającej wyzwolenia, streszczał on najobszerniej w lirycznym poemacie „Sen grobów“.

W utworze tym spotkały się wpływy „Boskiej Komedyi“ i „Króla Ducha“. Dantejski pomysł wędrówki po krajach zatracenia i Dantejski rytm, obrazy zaś czerpane z tych skarbnic fantazyi, które Słowacki odkrył, migocą więc przejrzystemi i rozpływającemi się barwami świtów i zachodów, rozsiane na tle nieskończonych przestrzeni, pojących duszę nieskończoną jakąś tęsknotą i melancholią. Trzeba wysiłku wyobraźni, aby zespolić się z fantazyą poety i wraz z nim w mgle srebrnej, okalającej duchów roje, „rozfalowane w tajemniczem drżeniu“, szybować

po światach zamarłych i samotnych, wśród ogromów lodowych, wśród szańców usypanych z lawin, wśród poszarpanych granitów, wśród gór, przepaści i skał, „topniejących w nieskończoność ciemną“... i niestety, to wysiłenie wyobraźni nie osiąga celu. Niejasnym jest układ poematu, niejasną myśl przewodnia, niejasnym nawet jest nastrój poety, zbyt mglistem uczucie żalu po utraconej ojczyźnie. Poeta niesie na barkach zamarłą, „bezechową“ przeszłość narodu; pogrążony w rozpamiętywaniu jej ostatnich słów, mieni się „myślą pogrobową skonań“; „przez mgieł powodzie, przez zaspy śniegowe, przez błotne zacisza bagien, przez stepy jałowe, gorzkie jeziora i piaszczyste wydmuchy“, pędzi go boleść w jakąś noc nieskończoną, przed nim tylko „nicość, wielka, uroczysta“; nicość tę przyjąć musi za dziedzictwo jedyne po wiekach bezpowrotnie minionej sławy. Jedyną osłodą w rozpaczy bez granic jest marzenie, wskrzeszające bohaterów wielkiej przeszłości, ale nie są to owe pół-bogi z „Przedświtu“, „królowie, radne pany, rycerze i hetmany“ i nie bije im z postawy ani „senatorska wspaniałość, ani szlachty stara śmiałość i niewoli wzgarda ducha“, nie, to jakieś smętne, bezcielesne postacie, poeta w nich wielbi „sługi krzyża, kapłanów ducha“ i łudzi się przez chwilę nadzieją, że

W ich opadnięciu cichem, ofiarniczem
Pod Chrystusowe nogi wczesnym zgonem,
Spoczywa natchnień nieujęta siła,
Co świat nastraja nadzmysłowym tonem.

Ale oto jakiś „anioł przeznaczeń“ rozsiewa sen błogi, wyprowadza poetę z „utraconego raju kłamliwych widzeń“ i każe mu iść „przez drogi pełne klątwy i rozpaczy“ w kraje piekła, „między skowane w łańcuchach upiory“, tam pozna on, jak wola boża, „mająca odrodzenie światów na pieczy“ wydobywa nowe życie z pod warstw zgnilizny i pleśni, która stary świat pokryła. Czyby to miało znaczyć, że chrześcijański ideał dawnej Polski był tylko „kłamliwem rojeniem“ i że przyszła ojczyzna innym torem pójdzie? Nie wyjaśnia tego poeta w pieśni drugiej, w której wprowadza nas w otchłanie krajów potępienia. Straszną pieśnią rozpaczy płaczą tam roje skazanych za niemoc ducha

i za hańbę, w której żywot ziemski spędzili, ich istnienie, raczej ich męka jest „jednym ciągiem pragnień i niemocy“, gdzieś na wysokości, osłoniony dymem obłoków króluje „wielki potępieniec“, lutnista, „co deptał światów zwyczajne porządki i duchom wstydu wypalił rumieniec“, wieńcem mglistym otaczają go dzieci jego marzeń: Lelum i Polelum, Roza i Lilla, i ów tajemniczy jezdziec, który budził śpiące pod śniegiem żołnierze, gdy przyszedł czas żywota dla ludzi silnych. Pełen zachwytu, „nie śmiejąc skłócić powietrza westchnieniem“, poeta na wieki chciałby tam zostać i „wżyć się w tę chwilę natchnioną“, ale „przybiegły wichry rozpaczać na lutni wieszcza“, płyną w błękity burzliwe fale harmonii, budzą się trupie zastępy skazańców — bez głów i bez rąk — symbol ich niemocy i głupstwa; kołyszą się one „w takt dzikiego tonu i wyją“, pasując się z bolem i litości błagając; trwoga i boleść nieskończona „wieją w tej widziadeł szalonej rozterce“, lecz noc już się kończy, słońce wejdzie i wskaże światu drogę, wiodącą „wśród ciągłych bojów i oczyszczeń“ przez szeregi przeobrażeń do „anielskiej ojczyzny ludów“.

To nagłe, urwane zakończenie źle się zlewa z pasmem poprzednich widzeń, całość robi wrażenie czegoś nieociosanego i nieobmyślanego. Wiara w doskonalenie się drogą przeobrażeń zbyt daleki ma związek z rzeczywistością polską, a przecie Polskę miał poeta na myśli, gdy tworzył „Sen grobów“; nie pojmujemy, dlaczego to zaznaczył on przeciwieństwo między ideałem chrześcijańskim, który „nastraja świat nadzmysłowym tonem“, a swoją filozofią, upatrującą w dziejowym szeregu ciągłych „zatraceń i zniszczeń“, nieprzerwany postęp ludzkości do coraz wyższych przeznaczeń; nie pojmujemy również jego stosunku do Słowackiego, którego przedstawia jako potępieńca, pomimo iż mówi o nim z najwyższym zachwytem; nie wiemy, czy w tym wypadku solidaryzuje się on z wyrokiem nieba, czy też przeciwnie mamy przed sobą wylew zbuntowanych uczuć, grzmiący ironią protest przeciw chrześcijańskiemu poddawaniu się woli Boga.

Na pytania te zapewne sam poeta nie odpowiedziałby wówczas. Był w rozterce z sobą; „widział zbrodnie, ale nie widział kary“ („Pod stopy krzyża“). Ból gnębił go, wysilał się i zda-

wało mu się, że zdobywał rezygnacyę, ale była to rezygnacya rozpaczy, stąd płynąca, że nadzieja nie miała już mocy nad jego sercem,

Więc wolę pełen pogardy i wstrętu
Odwrócić moje obłąkane oczy
Od tego lądu próżnego lamentu,
Od tej przyszłości, którą robak toczy,
I zapatrzony w mój ideał biały
Stać jako posąg na ból skamieniały [1].

Ale gdzie był ów ideał i czy miał on moc ukojenia bolu? W szeregu wierszy p. t. „Asceta“ wypowiadał Asnyk tęsknotę do cichych upojeń i do tej pełni rozkoszy, którą daje wiara, lecz wątpił zarazem, aby wiara mogła się ostać wobec ogromnej boleści żywota, dalej jeszcze szedł on w „Julianie Apostacie“, przez którego usta wołał: „Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku! lecz jutro!... gdzie jutro świata?“ Ale słowa te, z upodobaniem podkreślane przez wielbicieli poety z radykalnego obozu, niknęły wobec płomiennej siły jego religijnych tęsknot. Wśród walk, wątpień, rozpaczań i upadków Asnyk umiał nieraz być wielkim potęgą zmysłu moralnego, który go uczył zstępować w głąb własnej duszy i w sobie, nietylko w ludziach, szukać przyczyn nieszczęścia. „Widziałem niemoc i trwogę konania — wołał on w wierszu „Pod stopy krzyża“, jednym z najpiękniejszych wytworów liryki polskiej ze względu na głębokość treści i siłę wyrazu — widziałem duchów hańbę i upadek“... lecz patrząc na to zwyrodnienie serc i umysłów, nie poprzestawał poeta na karceniu, ale zapytywał siebie, czy sam nie był uczestnikiem nieprawości powszechnej, badał wnętrza własne i na dnie duszy znajdował „wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche, olbrzymią nicość i olbrzymią pychę“, słowem, „wszystko to samo, co mu się zdało być u drugich plamą“. W tem poczuciu winy jednoczył się on z ukochanym wieszczem w chwilach jego najlepszych natchnień, gdy wylewając żale nad upadkiem narodu, dodawał, iż tembardziej był smutny, „że sam pełen winy“. Je-

[1] „Pożegnalne słowo“.

szcze donośniej, niż na lutni Słowackiego, brzmiała przed wieki pieśń pokory, którą wznosił natchniony król-psalmista. Badając grzech swój, zapuszczał się największy liryk świata w otchłanie nędzy człowieka i dla wyrażenia bolu znajdował dźwięki, jakich ani przed tem, ani potem nie słyszeli ludzie, czuł bowiem, że „nieprawość jego przeszła głowę i ciężyła jako brzemię", czuł, że „przed obliczem Boga nie usprawiedliwi się żaden żywy człowiek", więc w bolu ogromnym chleb swój jako popiół jadał i napój mieszał ze łzami, serce jego więdło jako trawa ścięta, dni zeszły jako cień i kości wyschły jako kamień w ognisku, ale czuł także, że wzdychanie duszy przed Bogiem nie jest skryte, więc z głębokości upadku wołał ku Panu i Pan go pocieszał, i na gruncie oblanym łzami pokory wyrastał kwiat nadziei. Podobnie i Asnyka ratowała pokora, otaczając ból jego blaskiem wyżyn duchowych. Pokora to uznanie nicości własnej wobec ogromu cierpienia jednych i cnoty drugich, to zatopienie nędzy pożądań i rozczarowań swoich w oceanie wszechświatowego bytu, to szczególnie żywe i intensywne uczucie nieskończoności, wytryskujące tęsknotą do źródeł życia, rozkwitnięte w modlitwie i rozpłomieniające duszę tą świadomością, że Jego słowo nie przeminie, choć przeminą ziemia i niebo... Poznawszy swe serce chore, czuł się poeta nędzarzem wielkim w „zburzonym duszy kościele" i właśnie „ta upadku ostateczność dała mu poznać wyższej a razem nieskończonej mocy wszechwładną konieczność", pojął on, że sama namiętność jego rozpaczy i żądz świadczyła o Bogu, przypomniały się modlitwy dziecięce, zadrżał tęsknotą do uwielbionej postaci Ukrzyżowanego, rozjaśniło go „światło wiecznie nowe, spadające z jasnych ramion krzyża" i łzy rozrzewnienia począł lać na „skrwawione stopy Chrystusowe".

I znów słyszałem te boskie wyrazy:
Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
We mnie jest spokój i we mnie jest życie,
Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
Wszystko przemija, prawda nie przeminie.

Nastrój twórczych natchnień Asnyka był najczęściej religijny. Ale sam nastrój, sama tęsknota nie wystarcza; tak umysł

jak serce żądają dla przedmiotu tęsknień i czci jakichś określonych kształtów, które tylko wiara jedna, wobec bezsilności wiedzy, dać może. Poeta czuł i rozumiał wiarę i jej szczęście, ale jej utrwalić w sobie nie umiał i chwiała się ona pod ciosami zawodów, w kim zaś ona osłabnie, kogo ciernie życia i dążeń społecznych i narodowych zakrwawią, czyjego serca nie zaspokoją chłody filozofii, ten w miłości szukać pójdzie nie wiecznotrwałej zaiste, ale choćby tylko przelotnej ulgi i pociechy.

I Asnyk uciekał w kraje miłości. Utarło się u nas mniemanie, że Asnyk to polski Heine i Musset, powtarzający ich motywy w swych wierszach miłosnych. Pogląd ten podziela Tretiak, Chmielowski zaś, chociaż podkreślił samodzielność poety w tym względzie, ale zrobił to bardzo słabo. Asnyk w rzeczy samej dawał wyraz w niektórych utworach swoich tym uczuciom, które uprawiali i Heine i Musset, zmysłowym, lekkim, trochę zaprawnym szczyptą ironii. Doskonale określił je Tretiak, mówiąc, że tony ich w liryce naszego poety były „tak przyzwoite i tak wdzięczne, iż mogły swobodnie ślizgać się po woskowych posadzkach salonów, a dość przytem były zmysłowe, aby w bezdusznej sferze budzić zajęcie". Wiersze tej kategoryi w twórczości Asnyka nazwałbym, zgodnie z tytułem jednego z nich, karmelkowemi, nie dlatego, aby miały ckliwą słodycz karmelków, ale że dały początek tej rzeczywiście karmelkowej i do obrzydliwości ckliwej poezyi, która, zastąpiwszy wytworną salonową ironię przez płaską galanteryę, z Warszawy rozchodzi się dziś i grasuje po całej Polsce, niezmordowanie na rautach publicznych popularyzowana przez aktorki polskie, niepomne tego, że posłannictwem ich uprawianie prawdziwej sztuki, nie zaś zniżanie się do roli szansonistek w celu dogodzenia poziomym upodobaniom rautowej gawiedzi, gotowej zawsze oklaskiwać rzeczy płaskie i głupie.

Asnyk sięgał i dalej, i wyżej. Nie mogły go zadowolić płoche umizgi do nadobnych dam. Zrośnięte z jego duszą rozmarzenie pędziło go w objęcia poezyi Słowackiego i pogrążało

w kwiecistych potokach jego twórczych dumań. Umiał on wyssać upajającą słodycz „Szwajcaryi“; umiał zmysłowe tęsknoty uczucia zanurzyć i unicestwić w powodzi blasków, czarów i woni, w srebrnych szumach lasów i w wesołych łoskotach górskich wodospadów („Między nami nic nie było“); lubił przenosić kochankę w jakieś fantastyczne kraje i tam na tęczowem tle marzeń, które sam w niej zasiał, wielbić płynące w jego duszę, w przeźroczach mgły srebnej, odblaski miłości wielkiej, wiecznej, tej, której świat dać nie może („Z podróży Dunajcem“). Nie twierdzę przez to, aby Asnyk naśladował Słowackiego, pokrewny był mu tylko, blizki kierunkiem marzeń, zatopionych w kontemplacyach zaświatowych. Powiedziałbym nawet, że szedł dalej jeszcze w świat nadzmysłowy, pochłaniała go bowiem „męczarnia nieskończoności“ z siłą, jakiej prawie nie znamy u innych poetów. Wobec tego nie mogły mu, jak to sam nie tak dawno wyznawał, wzruszyć serca „śpiewnej melodyi słodycze“ („Zmierzch melodyi“), duch jego pożądał więcej, chciał, aby w męskiej nucie pieśni „dźwięczało głębsze odczucie duchowych dróg“, więc nie dziw, że mrok zaziemski bezmiarem swoim ocieniał mu „nawet miłosne marzenia“. Jego tchnieniem owionięty rozsnuwał poeta swą miłość na nieskończonem tle błękitów eteru i śnił, że na skrzydłach wielkiego uczucia „w obłoku jasności i woni“ płynął po szlakach gwiaździstych przestrzeni, wsłuchany w pieśń, którą mu „nadziemskie śpiewały sfery o wieczystych pragnieniach ducha“. Słowem, umiał on stłumić niższe pożądania miłości, zapominał o tym gruncie, na którym rosła, a poił się tylko odurzającą wonią jej kwiatów, zaspokoić nią pragnął tę żądzę absolutu, co mu duszę szarpała, w uniesieniu miłosnem chciał mieć przedsmak wieczystej słonecznej szczęśliwości Platońskiego świata wzorów, przez miłość dążył do pojednania z porządkiem świata. W „Uwielbieniu“, najwznioślejszym z wierszy miłosnych, które napisał, wielbił on ukochaną nie za marność „sennych pieszczot“, których nie zaznał i nie pragnął, ale za „nieskończoną moc pożądań piękna“, które mu ona dała, wielbił

Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,
Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
Wiecznej miłości!

I wzniosłość uczucia podnosiła go we własnych oczach, wprawiała w uroczysty jakiś nastrój: „I nigdym — wołał on w „Nagrobku“ — usty nie dotknął drżącemi ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały, senne mnie tylko widma kołysały“...

Ta czystość. grobu nimfom poślubiona,
Dała mej mglistej duszy świąteczną pogodę...

Ubliżają więc Asnykowi ci, co w jego wierszach miłosnych upatrują tylko motywy Heinego i Musseta; wysokością nastroju przerósł ich znacznie, stanął obok najczystszych i najszlachetniejszych liryków miłości, obok Lamartine'a i Shelleya, obok Krasińskiego, gdy z Beatrycze swoją śnił cudowny sen „Przedświtu“.

Ale „świąteczna pogoda“, którą poeta widział, a raczej chciał widzieć w sobie, była pogodą melancholii, co to pogrąża duszę w cichem drzemaniu, ale nie zabezpiecza od bolu, każdej chwili mogą ją wstrząsnąć i w spazmie rozpaczy skurczyć ponure odgłosy jęków ziemi. Daremnie przeto marzył poeta o tem, aby zyskać sobie wieczność senną z takim aniołem, „co życia nie budzi, lecz tylko duszę kołysze promienną, i łzami czoło rozpalone studzi“. Uczucie osobiste nie ukoiło nigdy tego, w kim serce czułe na niedolę powszechną. Choć miłość była u poety marzeniem o niebie, natchnionem przez duchów czystych, nie znalazł w niej szczęścia, bo go nie widział na świecie. Wepchnięta w fatalne koleje ślepej walki o byt, o litość, zdawała się wołać moralnie i materyalnie zagłodzona ludzkość. W powodzi jej łez, we krwi tych, co w walce o światło padali, znikały urocze sny miłości, i zrozpaczony pieśniarz chciał nad pobojowiskiem świata rozciągnąć mrok nocy, milczące otchłanie wzywał, „by łona nad nim zawarły“:

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przede mną wzywali...
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał: Idź dalej, idź dalej!

I poeta szedł dalej, dalej w bezmiary ludzkiej niedoli; sercem chciał ją odczuć i myślą zgłębić; skrzydlatą młodość, która nawet smutki zaprawia rozkoszą marzenia, żegnał czarem „słowiczego śpiewu“, myślom dawał teraz wolę, z nich chciał wznieść schronienie dla ducha, nad poziomością powszednich zgiełków królujące, niedostępne napaściom wątpień.

II.

Celu tego nie dopiął, ale zbliżył się do niego; świadczą o tem utwory, które weszły w skład III. tomu (1880). Z odmętu rozpaczy, w którą wpychało go bolesne czucie przeciwieństwa między światem marzeń a rzeczywistością, próbował wyrwać się siłą myśli szukającej ładu w pozornym bezładzie bytu i znalazł on nie ukojenie i szczęście, ale przynajmniej tę względną harmonię, którą filozoficzna wiedza niekiedy daje.

W podaniu o „Ociemniałym Thamirysie“ streszczał on swój nowy pogląd na świat, będący wynikiem dokonywającego się w jego umyśle rozejmu w walce pragnień idealnych z poczuciem nędzy ziemi. Utwór to słaby pod względem formy, bo przeładowany refleksyą i z tego powodu wpadający w rymowaną prozę, ale ważny jako wyraz nowego usposobienia poety, jego nowej, cichej rezygnacyi, stanowiącej, w zestawieniu z dawną odrętwiałą rezygnacyą rozpaczy, wielki krok naprzód na drodze do wyżyn ducha. Wieszcz Thamirys[1] przepowiadał ludziom w pieniach swoich blizkie przyjście wieku złotego, tymczasem nie zmieniało się nic w powszechnej nędzy bytu, rozpacz szła za uciskiem, gwałt kroczył za siłą, nienawiść rozdzielała narody i wiecznie, jakby ogniwa jednego łańcucha, snuły się te same zbrodnie i klęski. Oskarżyli go więc ludzie o zawód w nadziejach, pogardą i szyderstwem okryli, potwarzą ich splamiony, zaniósł on bogom swe skargi i żale, błagając o rozwiązanie zagadki żywota, o wytłumaczenie, dlaczego to wiecznie do idealnych światów prowadzi nas tęsknota, gdy wszystko na ziemi ginie, jak sen marny. Odpowiadali mu zesłańcy nieba, że ani doskonałość, ani

[1] Streszczam przeważnie słowami poety.

tryumf nie są udziałem ludzkości, że nie wolno miarą krótkich dni ludzkich mierzyć biegu świata i nie wolno żądać od bogów, aby za życia czynili nas świadkami rozkwitu niebiańskich zasiewów. Przez przepaście wieków prowadzi droga do ideału, i szczęście swoje powinien człowiek pokładać na ciągłym postępie w dążeniu do niego, na wiecznem dobra, prawdy i piękna pożądaniu, więc nie smuć się, poeto, że cię marzenie zawiodło, bo przyjdzie czas, gdy pieśń twoja, dziś martwa i głucha, idealnem tchnieniem przejmie młodą ludzkość i ten tryumf pośmiertny będzie ci nagrodą za mękę życia.

Tem przeświadczeniem o ciągłości w rozwoju myśli Bożej usiłował poeta ukoić łkania zawiedzionych marzeń, gorycze osobiste zamykał w sercu jak w grobie, wsłuchiwał się tylko w odgłosy cudzych męczarni, one wydobywały mu łzy z pod powiek i żalem targały pierś („Ból zasnął"). Szlachetność tego uczucia działała nań jak balsam, myśl, że w życiu innych ludzi zdarzają się chwile szczęścia, wynagradzała mu jego własne bole:

Nie mów — że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą!
Zdrój czystych uciech będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą.

Rezygnacya poety miała charakter metafizyczny, wysoko bowiem wzlatywała ponad kres ziemi i zapatrzona w nieskończoność wszechświata, przejmowała się żywem i głębokiem czuciem nędzy wszystkiego, co osobiste i krótkotrwałe, wobec wieczystego kręgu przemian, w którym jedne po drugich giną w mroku zagłady kształty wszystkie, aby użyźniać grunt pod coraz to nowe zasiewy przyszłości. W rozwielmożniającej się już wówczas ewolucyjnej filozofii z jej prawem rozwoju znajdował poeta uzasadnienie dla zapatrywań swoich, ale bezduszną naukę ubierał on we wdzięk wszechsilnych w nim metafizycznych tęsknot. Już nie płonnym marzeniom, jak dawniej, ale myślom swoim rozkazywał szybować nad ziemią, po szlakach gwiazd, a pamięć tych wędrówek nadawała im czar przepaścistej jakiejś głębokości, której poezya polska nie znała przedtem. Marzenia dusz lepszych o idealnej przyszłości porównywał on do mgieł

kosmicznych, „rozsianych w światów przestrzeni“, męczą się one i chwieją, skupiając swoje lotne pyły, lecz z czasem zbiją się w szeregi ognistych ciał i wyjdą z nich nowe światy, „gdy już nasze słońca pogasną, w kosmiczny zetrą się pył“; podobnie płyną po niebie mgły marzeń ludzkich, gnane tęsknotą do życia w przyszłości, przez wieki daremnie szukają kształtów dla siebie, ale przyjdzie jutrzenka i nada im byt słoneczny i stworzą one nowy świat... („Mgławice“). Dusze ludzkie — wołał poeta w „Światłach“ — znaczące nad ziemią swe drogi jasne, to gwiazdy, które po drżącym eterze ślą jasność w bezbrzeżne otchłanie; wieki całe płyną ich promienie nim celu swego osiągną; gdy ciemność rozproszą nikt nie wie skąd się światło ich wzięło, ale „moc nie ginie i promień skrzydlaty do życia nowe powołuje światy“. Ta wiara w niezniszczalność piękna, tęsknień i dążeń do prawdy, wlewała strugę niespodzianego światła w ciemnie walki o byt, ściskającej cierpiącą ludzkość w żelaznych obręczach prawa mocniejszego, i z pod zawodów i klęsk, które ona niosła, poeta zwycięsko się wydostawał z pieśnią nadziei na ustach: „Napróżno — zwracał się on do dzisiejszych idealistów w wierszu pod tymże tytułem — chcecie wykluczyć gwałt z duchowej sfery istnienia“, on trwa, walka powszechna szaleje wszędzie, tylko wyższe przybiera kształty w głębiach ludzkiego sumienia, bo „ten zwycięscą, kto drugim da najwięcej światła od siebie!“

Więc jeśli, pomimo potoków ze krwi i z łez, w które wylewają się codzienne rozczarowania, upadki i cierpienia ludzkie, zbliża się powoli, krokiem żółwim, zwycięstwo ideału, jeśli z „rozpierzchłych w przestrzeni“ blasków marzeń wyższych umysłów o prawdzie i szczęściu na świecie, „kiedyś nowa powstanie jutrzenka i opromieni ludzkość, to „ucisz się serce, swoich strat nie opłakuj stroskane“, nie tęsknij daremnie za pogrzebanym snem młodości, ale pozdrów świat wschodzący, błogosław wiośnie nowych nadziei i snów, pozdrów myśli, pragnienia i cele przyszłych pokoleń, ich prace i poświęcenia w walce z widziadłem nędzy i zbrodni, kwiaty ich uczuć i cnót wzrosłe na naszym popiele:

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,
Który zaledwie widnieje,
W ich ręce swoją wiarę złóż,
Swą miłość i swą nadzieję!

W tym niezrównanym pod względem myśli i melodyi wierszu czuł się jeszcze żal za utraconą przeszłością marzeń, ale już raźniej dźwięczała rezygnacya w energicznym jambowym pędzie „Daremnych żalów"; poeta ostatecznie się godził z nowym światem i nowemi dążeniami, nie świeciła im „lampa mistycznych zachwytów", umilkły wieszcze natchnienia, chłód i rozwaga rysowały się na czołach nowych ludzi, ale myślą sięgali oni głębiej w niziny cierpień maluczkich i ta ich głębsza znajomość nędzy była nową a mocną bronią w walce o powszechną sprawiedliwość, więc idźmy z nimi, nie oglądajmy się za siebie, na zwaliska romantycznych zamków, nie pomogą skargi, „bezsilne gniewy, próżny żal, świat pójdzie swoją drogą".

Godził się więc poeta z porządkiem świata w tem filozoficznem przeświadczeniu, że, pomimo cierpień i upadków, ludzkość szła jednak naprzód i że „promienne świtanie jutrzenki" miało rozpędzić kiedyś mrok, który dziś pokrywał ziemię. Buntownicze wybuchy indywidualizmu rozmarzonego pod czarem wielkich natchnień Byronowskiego okresu poezyi, nazywał on teraz „samolubnemi smutkami" i topił je w nadziejach przyszłości lepszej, choć jeszcze bardzo dalekiej. Dawniej wywyższał on stanowisko poety: wyznając, że poezya stała się „niezrozumiałym szumem", oskarżał on o to nie poetów lecz społeczeństwo, potępiał je za bezmyślność i bierność („Poeci do publiczności"), teraz w prześlicznym wierszu „Dałam ci moc", obiecując poetom mniej, niż dawniej, nakładał na nich nierównie cięższe obowiązki, wymagał, aby pożegnawszy się z nadzieją ziszczenia snów, dawali jednak ludziom całą swą duszę, aby ich krwią własnych serc karmili, nie żądając nic dla siebie, pogodzeni z tą myślą smutną, że zejdą do grobów, nieznani światu, „bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu, bez bratnich łez jałmużny".

Tę rezygnacyę opromieniało ciepło wiary, bo czuł poeta,

że „tym, którzy smutni“ nie mogą wystarczyć zimne słowa nauki:

Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litośnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej.

Jednym z tych smutnych był sam poeta, tęsknoty swoje religijne wylewał w cyklu wierszy poświęconych wrażeniom tatrzańskiej przyrody. Z większem przejęciem się niż rzeźwiącą wesołość górskich poranków, która poi duszę panteistyczną jakąś żądzą rozlania się w szumach potoków i lasów i w woniach świeżej zieloności, malował poeta zgrozę zamarłego świata głazów, malały w nim sny człowiecze, noc księżycowa lała srebro w głębie przepaści i na skały nagie, bieliła je odblaskiem przeraźliwym, niby „zmarłych śmiertelną pościelą“, „czarne wody, rysując się w płomienne pręgi, przypominały piekieł dantejskie okręgi“, ogrom dziwnym smutkiem przygniatał, truchlała myśl, poeta czuł swą bezsilność i chciał się cofać:

. . . . . przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem, bezlitośnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem... [1]

Ale właśnie ta trwoga była pierwszem odczuciem myśli ukrytej w wielkim poemacie świata, mijał dreszcz zgrozy, poeta wchodził w głąb własnej duszy i czuł jak wszystkie jej władze skupiały się w cichem wielbieniu owej „nieznanej mocy“; zachwyt wyciskał łzy z oczu i duch wolny, zrzuciwszy z siebie obrożę zmysłów, leciał w błękit, „w przestrzeń nieskończoną, gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną“, tam znajdował „wspólne ognisko żywotów“ i własny związek „z wieczystym duchem, co mu podać gotów rękę z ciemności“, jego twórczej myśli poddawał się jako drobny atom i uspokojony „odpoczywał jak pod matki okiem“.

[1] „Noc pod Wysoką“.

W wierszach tych poeta nie wymienił jednak ani razu imienia Boga. Religijność też jego lecąca w błękit i szukająca spoczynku pod okiem „wieczystego ducha", który porusza „wielkie koło bytu" i łańcuchem braterstwa rozciągniętym przez otchłanie eteru wiąże ze sobą wszystkie istoty myślące, uderzała, przy całej swej wzniosłości, pewnym chłodem i nie była jeszcze tem prostem, chrześcijańskiem, pełnem pokory i ufności poddaniem się Ojcu Niebieskiemu, ale była tęsknotą do Niego, i podniesiony mocą i czystością uczucia swego, poeta znowu pędził pod stopy krzyża, wracał myślą w błogosławione lata dziecięce („Ciche wzgórze"), kiedy modlił się do Chrystusa wyciągającego swe ramiona nad „krwawym znojem ziemi", starał się wskrzesić w sobie dawną wiarę, zlać się duszą z pobożną pieśnią ludu.

Pierwiastki religijne i filozoficzne wspólnie się złożyły na utworzenie wzniosłej jego rezygnacyi, ale pamiętał poeta, że był spadkobiercą poezyi, której hasłem i duszą była ojczyzna, i pamiętał, że żal nad jej utratą natchnął go do skreślenia pierwszych jego rymów. Zapragnął więc teraz spokój, który sobie powoli zdobywał, powiązać z myślą o kraju i dokonał tego w poetycznym wstępie do cyklu „W Tatrach".

Był to pełny tak rzadko zdarzającej się u niego rzewności hymn na cześć ziemi, matki i karmicielki, która „codziennym cudem wiecznej myśli Bożej", przerabiała ożywczą rosę i promienie słoneczne na chleb, co się mnoży. Z tą ziemią czuł się on nierozerwalnie spojony wszystkiemi ogniwami jestestwa, myśli jego latały po niebie, ale czuł, że z ziemią musiały żyć w zgodzie, aby nie zabłąkać się w „ciemnej mgle urojeń, w złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy i w walce daremnej", rozumiał, że wyrazem tej zgody musiała być praca wytrwała i miłośna na tej grządce, którą ona każdemu wyznaczała, przywiązanie do niej stwarzało ojczyznę, jako cel miłości. „Każdy — wołał poeta — może tylko tam na swej własnej niwie zakwitać silnie i szczęśliwie, tam tylko znajdzie odpowiednie soki, właściwy zakres i warunki bytu",

> Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
> Na czas dojrzewa i na czas zamiera.

Z tych wszystkich utworów bije blask harmonii, dlatego to zajmują one, pomimo niektórych drobnych rozdźwięków jak np. w wierszu „Tantal“, jedno z najwyższych stanowisk w poezyi polskiej. Dawniej usiłował poeta wdrapać się na kryształową górę i zdobyć zaczarowaną tam w zamku królewnę, w którą wcielił swoje sny o pięknie, zuchwałość tę przypłacił spadnięciem w otchłanie rozpaczy, teraz z otchłani tych wydostawał się z pomocą światła myśli, już wiedział, że zamku nigdy nie posiędzie, a jednak tam, w tę stronę czarowną kierował zawsze wszystkie moce duszy, bo w walce i pogoni za ową „piękną na błękicie“ tkwiło całe szczęście istnienia, bo warto było, nawet „płacąc krwią i bolem“ ujrzeć choć raz z dala ów „zaklęty gmach z kryształu“, ową idealną ojczyznę duszy („Baśń tęczowa“). Słowem, te nieskończone sfery, w których błąkały się dawniej rozwichrzone marzenia, poeta obejmował teraz myślą i oświecał, myśl ujmowała ster marzeń, między nią a niemi zapanowywała harmonia, stanowiąca źródło czaru poezyi Asnyka.

Przygrywką do III. tomu, wyrażającą nowy nastrój w twórczości poety, był najdźwięczniejszy jego wiersz „Przeminął czas“. Zanadto jest piękny i zanadto znany, abym miał jego czar zagrzebywać w prozaicznem streszczeniu. W utworze tym zlewały się w jeden wielki chór zasadnicze pierwiastki natchnień Asnyka: dźwięczał żal po umarłej przeszłości narodu, kiedy hufce „skrzydlatej hussaryi za ojczyznę lały krew, padając z imieniem Maryi“; po tej przeszłości, której ostatniem, konającem echem była walka, w której poeta sam uczestniczył, — i ból dźwięczał nad upadkiem poezyi i wraz z nią idealnych pragnień duszy; „opustoszał święty las“, pieśń nie budziła już odgłosu w sercach, wyrzekli się ludzie jasnych królestw piękna... Potok rozpaczy sączył się z rozczarowań poety i zalewał jego duszę; runął „gmach wzniesiony wiarą pokoleń, została nędza, niemoc, strach“... Lecz tu, z popieliska pogrzebanych marzeń, nagle płomieniem potężnym wybuchała pieśń wiary; zanadto ukochał poeta ideały swoje, aby mógł uwierzyć w ostateczny ich upadek, po przesileniu bolów musiał nastąpić hymn nadziei, bo „co nieśmiertelne musi żyć, choć zmienia kształty zużyte“, więc „z prochu, w który duch

ludzki dziś się wpił na ruinie dawnych marzeń, zaczerpnie on zapas nowych sił", kwiat ideału znów wonią swoją napełni świat, zmartwychwstanie pieśń, zwycięży miłość.

Porywający nastrojem, cudowny czarem obrazów utwór ten działa tem silniej, że w samym rytmie usymbolizowało się natchnienie poety: po krótkich, męskiemi rymami zakończonych, jakby zrywających się do lotu jambach w pierwszym i trzecim wierszu każdej strofy, następuje nagłe zawieszenie w wierszu drugim i czwartym i pęd jambowy przeobraża się w poważne, niby melancholiczne skupienie dwóch powolnie kroczących stop amfibrachicznych splecionych z jedną trocheiczną — zdaje się, że przed dalekim odlotem zaszumiały skrzydłami łabędzie, już się wzniosły do góry, ale, nim jeszcze ulecą, przeciągłym i nieskończenie tęsknym śpiewem żegnają krainę smutku, zamierającą w odrętwieniu jesiennej niemocy.

Niemniej niż treścią, powiedzmy tu nawiasem, czaruje Asnyk formą, mianowicie nieprześcignioną w mowie naszej melodyjnością, którą zawdzięcza bogactwu i rozmaitości rymów i rytmów. Pod tym względem, ze stanowiska formy zasługiwałaby jego poezya osobnego i poważnego studyum.

Twórczość Asnyka wlała ożywczy promień światła w otchłanie smutków i bolów narodu, nadając wyraz poetyczny nowemu zwrotowi w umysłach. Zaznaczyłem już wyżej, że po klęsce 1863 roku nie było miejsca dla ideałów mesyanicznych. Wszystkim myślącym logicznie natarczywie rzucała się myśl, że mozolna, wytrwała, o r g a n i c z n a praca pokoleń była odtąd jedyną możliwą dźwignią pracy narodowej, jedynym więc koniecznym warunkiem zdobycia jakichś znośnych warunków bytu w przyszłości, ale myśl taka z natury rzeczy przeradzała się w poziomych umysłach czytającej, rozprawiającej i stanowiącej opinię publiczną gawiedzi w płaski i wstrętny dla dusz szlachetniejszych utylitaryzm. Od tego właśnie całą mocą natchnień swoich ratował ją Asnyk, wznosząc na wyżyny, rozwijając ją na tle wieczystych ewolucyj światów, ucząc, że „fale pokoleń i rzeki ludów" tonęły jedne po drugich w oceanie nieskończoności, że marnem i śmiesznem było wobec tego wszelkie sta-

wianie siebie czy narodu swojego w środku wielkiego koła bytu, że poznanie niezmiennych praw i współdziałanie z twórczą myślą kierującą wszechświatem powinno było stać się podstawą życia, źródłem postępu. Stanąwszy na wyżynie rozmyślań, poeta zstępował z niej rzadko, nie lubiąc wtrącać się do wiru spraw powszednich. W natchnieniach swoich nie rozłączał on, lecz jednoczył w wyższej harmonii przeciwne sobie prądy, nurtujące społeczeństwo polskie: niezaprzeczona religijność nastroju zbliżała go do ruchu umysłów, którego siedliskiem był Kraków, filozoficzność, podająca rękę pozytywnym kierunkom myśli, zdobywała dla niego serca postępowców warszawskich, przez rezygnacyę zaś wiejącą z całej pracy twórczej, w której cierpienia osobiste zlewał on z cierpieniami narodu i ludzkości, wiązał się on z poezyą mesyaniczną. Krasiński, który poezyi tej ostatniem był słowem, wołał, że „zginąć chce cząstką w trudów arcydziele i skonać zwrotką w poświęcenia hymnie", myśl w tych wyrazach wypowiedziana przenikała całą twórczość Asnyka, ale u Krasińskiego miała ona źródłem swojem wiarę w Opatrzność, była oddaniem siebie Bogu żywemu w ofierze, wówczas gdy u Asnyka graniczyła z posępnym fatalizmem, płynąc z zapatrzenia się w wieczysty pochód natury, która zużywała stare kształty, aby wiecznie odradzać się w nowych. Słowem, rezygnacya Asnyka nastrojoną była o ton niżej, oczywiście nie winię w tem poety, był i jest on dzieckiem tej epoki w życiu narodu, którą straszna klęska ciężarem swoim nachyliła ku ziemi.

W mesyanizmie skojarzyły się dwa pierwiastki: bajronizm i ojczyzna. Bajronizm był wybuchem indywidualizmu, który, usiłując ale nie mogąc przekształcić ziemi w kraj ideału, stawał zrozpaczony wobec zagadki o celu istnienia i w spazmach bolu gotów był jak w „Królu Duchu" powstać przeciw niebu, byle zmusić Boga, aby wtrącił się do biegu świata. Indywidualizmowi temu nadały cierpienia ojczyzny odrębny kierunek. Pod brzemieniem nieszczęścia, które spadło na naród, niedoskonałość warunków bytu ziemskiego odczutą została w Polsce głębiej i boleśniej, niż gdzieindziej, głębiej też skutkiem tego zrozumiano u nas, że źródła złego należało szukać w złej woli ludzkiej, że

jedyną drogą do ideału było podniesienie tej woli na wyższy poziom moralny i że szczytem indywidualizmu nie był bunt, ale, owszem, poddanie się Bogu, zespolenie słabej i do złego skłonnej woli z Najwyższą Wolą i Najwyższem Dobrem. Nigdzie nie przeszedł indywidualizm tak szerokiej skali uczuć jak w Polsce, zwłaszcza w poezyi Mickiewicza, która w sobie esencyę ducha polskiego zawarła. Zacząwszy od żalu i od buntu Konrada z „Dziadów", od najnamiętniejszej, jaką znają dzieje świata, skargi na rządy boskie, od wyzwania Stwórcy do walki na serca, kończył on aktem skruchy i miłości i na gruzach uczuć rozbitych w walce z odwiecznym porządkiem wznosił krzyż chrześcijański, znamię pokory i zaparcia się siebie. Szczegółowym rozwojem myśli Mickiewicza była cała twórczość Krasińskiego, Słowacki wtórował jej tęsknotą swoją do królów duchów, którzy czystością ducha gładzą wobec Boga grzechy ludzi i narodów. Wielka, nie tyle chrześcijańskością ideału, który wyznawano i w innych krajach i wśród innych warunków, ile potęgą przywiązania do tego ideału, poezya polska nadała mu zabarwienie mesyaniczne. Porywało to tem bardziej serca polskie, ale tkwiło w tem niebezpieczeństwo, nie zdając bowiem sobie sprawy z tego, mesyanizm czynił to swoje szczytne, chrześcijańskie rozwiązanie poruszonych przez Byrona zagadnień niejako zależnem od urzeczywistnienia marzeń polskich. Wyszło to też na jaw po 63 roku. Bóg nie wysłuchał modlitwy narodu i poezya, nietylko pożegnała się z myślą o Chrystusowem posłannictwie Polski, co było zupełnie naturalne i słuszne, ale zapomniała o największej chwale swojej, o tej mocy ducha ewangelicznego, którą dopiero co byli w nią wpoili jej najwięksi mistrzowie. Odtąd błąkała się po manowcach rozmaitych filozofij. Asnyk, dzięki rozległości pomysłów i sile wyrazu, wycisnął na niej swoje własne znamię i wskazał jej nowe drogi, miłość była ostatniem słowem jego natchnień, tylko innym jaśniała ona blaskiem, niż ta, która zapalała wieszczów-mesyanistów, była filozoficznym altruizmem, nie zaś miłością bliźniego, jej źródłem była mądrość świata, a nie słowo Chrystusa, jej celem ludzkość, a nie chwała boża.

Wierny syn epoki, Asnyk nie był zdolny do wiary czystej, prostej. Miewał chwile cudownej tęsknoty do pobożnych wspomnień dziecinnych; znużony wielkim smutkiem istnień, gonił duszą gdzieś za krańce światów, aby spocząć „jak pod okiem matki“ na łonie „wieczystego ducha“, w którym było wspólne ognisko żywotów, ale na drodze tej piętrzyły się przed nim i wstrzymywały go wątpienia z rozczarowań, z bolów i z łez życia powstałe, i nie poznawał poeta Boga na wysokościach. Bóg do którego wołał, nie chcąc go jednak imieniem Boga nazwać, był chłodną tylko abstrakcyą, nie zaś owym żywym Bogiem którego wysławiali prorocy Izraela i którego znają i czczą chrześcijanie, ową najkonkretniejszą Istotą, w której realizują się święte pożądania prawdy, dobra i piękna, śniące się ludziom w najlepszych chwilach ich życia. Nie miotał poetą ów ogień święty, co to rozżarzał duszę króla psalmisty żądzą oglądania oblicza Pana, który „obrócił opokę w wodne jeziora, a skałę w źródła wodne“, morze ujrzało Go i uciekło, Jordan wrócił się nazad, góry skakały „jako barani, a pagórki jako jagnięta“, ziemia zadrżała przed obliczem Boga Jakóbowego, a wieszcz i prorok, porwany szałem świętym, chciał chwałę Pana rozpowiadać narodom i czując bezsilność mowy, wołał w zachwyceniu wielkiem, że „kłamcą człowiek każdy“, bo kłamią słowa myślom wielkim i tylko serce skruszone i uniżone godną jest Pana modlitwą. Uczuć i natchnień tej miary nie słyszano później w poezyi: płoche wdzięki ziemianek zasłoniły przed wzrokiem poetów wyżyny duchowych uniesień. Dopiero w wieku naszym fale wielkich cierpień uniosły poezyę polską od znikomych gwarów świata w cichą dal modlitwy i tam wylała ona z siebie natchnienia, jakby owiane skwarnym oddechem i napojone bezbrzeżną tęsknotą tych pustyń Izraela, które głodem Boga i rzeczy wiecznych napełniały dusze starych proroków. Wielkiem wołaniem do Boga była poezya Mickiewicza, który po Prometejskich walkach i Hiobowych rozpaczaniach i skargach wracał w głąb własnej duszy i „nicość swoją spowiadał przed Panem“, czując, że ten akt skruchy był pierwszym wstępem do mistycznych rozkoszy obcowania duszy z Panem. Myśl o Bogu

przejmowała Słowackiego drżeniem zachwytu, Boga umiał on czuć wszędzie, na błękitnych polach Ukrainy i w „przestrachu natury", na Golgocie i w tajemniczych drgnieniach serca. „Oblicze Jehowy — wołał on — błyskawicowe jest, ogromnej miary!" i na skrzydłach modlitwy wzlatywał na wyżyny i we wdzięczności wielkiej rozpływał się przed „dziwnie dobrym i litośnym" Bogiem, który duszę jego nawiedzał, świecąc jej promieniem łaski. I jakże trudno było mu wracać stamtąd „między gady!"

W tym względzie nie umiał za nimi podążyć przedstawiciel epoki rozumującej i rozkładającej. Uczuciom Asnyka zabrakło tego ożywczego pierwiastku i tej potęgi, którą nadaje im wiara, jednocząc je z ich wieczystem źródłem i zapalając duszę nieskończoną żądzą zlania swego życia wewnętrznego z twórczą wolą, kierującą światem. Tak mesyanistom, jak Asnykowi przyświecała idea miłości, chciał nią objąć cały ród ludzki, lecz było to u niego uczucie raczej wyrozumowane, niż bezpośrednie. Kochamy rodzinę i ojczyznę, bo z jedną i z drugą spojeni jesteśmy wszystkiemi ogniwami duszy; ich dobro i chwała są naszem dobrem i naszą chwałą, ale ludzkość, rozdarta na tępiące się wzajemnie narody i warstwy społeczne, to już abstrakcya, nie wyciśnie ona łzy z oka i nie napełni duszy zapałem. Tylko rozkaz boży miłowania bliźniego jako siebie samego roznieci wielki ogień w sercu, tylko wtedy przez miłość tę zapragniemy wtajemniczyć się w odwieczne plany boskie, aby działać w zgodności z ideą Jego, wyrytą tak w dziejach ludzkich, jak w życiu każdej z osobna jednostki i tylko wtedy zespolimy się duszą z wieszczem biblijnym, który chwały żądał nie dla siebie, ale dla imienia bożego. Czyny nasze uzacni pieczęć boskości, bo płynąć będą z kryształowych głębin duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo boże, i Boga, i chwały Jego szukającej w wszechświecie.

III.

Wpatrzona w błękit, w szukaniu prawdy zatopiona, rozmyślaniem o drogach ludzkości w jej dziejowym pochodzie pochłonięta, ale pozbawiona ognia żywej wiary, nie wywarła poezya

Asnyka tego wrażenia, jakie przy potężnym talencie poety wywrzeć mogła. Wiał z niej chłód filozofii, zabrakło tego ciepła serdecznego, które czarem niezrównanej i nieśmiertelnej rzewności opromieniło Syrokomlę, poetę z siłą niezaprzeczenie mniejszą niż Asnyka, wreszcie pomimo chwalebnej dążności poety do podnoszenia pieśnią ducha narodowego i do gojenia ran przeszłości, utwory jego mroziły nieraz ukrytym wewnątrz sceptycyzmem, czuło się, że pod pozorami wyniosłej filozoficznej rezygnacyi drgały niepokoje pustoszących duszę wątpień. W poezyi szukamy ulgi; skoro wkracza na mroczne morze odwiecznych zagadnień, żądamy, aby ukoiła nas wiarą, chcemy widzieć światło latarni, oświecającej daleką drogę do przystani ideału; jeśli wichry owo światło zgaszą i poeta nie może już wydobyć z siebie pieśni nadziei, chcemy, aby przynajmniej zapalił nas i porwał tytanizmem walki z wzburzonemi bałwanami. Tymczasem Asnyk, wypłynąwszy na morze, ani widział przystani, ani też chciał walczyć z burzą, oddał się wiatrom, płynął z falą, chciał czuć się cząsteczką tej nieznanej a ogarniającej nieskończoność potęgi, która kierowała biegiem światów.

Było to fatalistyczne poddanie się losowi, pomimo że poeta w szlachetnem poczuciu obywatelskiego obowiązku silił się ubrać je w optymizm, opartej na ewolucyonizmie wiary w ciągły postęp ku lepszemu. Ale chwiał się ten optymizm, bo chwiejne były jego podstawy. W pierwszych dwóch tomach utworów Asnyka przeważały rozpaczania i smutki, płynęły one z niemożności pogodzenia marzeń ze światem rzeczywistym, niekiedy łagodziła je zlekka pieśń miłości. W tomie trzecim poeta siłą myśli przywrócił ład wśród rozwichrzonych marzeń i dopiął harmonii, różniła się ona jednak od tej, którą przed nim zdobywali mesyaniści. U nich miała ona za źródło wiarę żywą, nawet namiętną, bo noszącą wybitne znamię rozbujałego indywidualizmu. Ich Bóg nie był „robaków tylko Bogiem i tego stworzenia, co pełza". Wprawdzie te słowa nieśmiertelne wygłaszał Słowacki, ale wygłaszał w imieniu całej epoki, cechowały one jej nastrój, więc silił się mesyanizm wznieść się do Boga i do nieba „hucznym lotem" wszystkich mocy jestestwa skupionych w ogni-

stem pożądaniu prawdy i przejętych przeświadczeniem o wszechpotędze woli, zapalonej żarem wiary. Przeciwnie, harmonia Asnyka odpowiadała duchowi nowych czasów: filozoficzną była a nie poetyczną, zrezygnowaną, a nie pnącą się w górę. Była uznaniem znikomości nietylko osobistych smutków, ale i cierpień narodów wobec ogromu wszechświata, który twórcza siła drogą usianą szczątkami zużytych kształtów prowadziła do coraz wyższych przeznaczeń; w jedności z tą siłą chciał działać poeta, chciał ją przeniknąć i zrozumieć nieskończoną tęsknotą myśli; w cudownych wierszach wylewał zachwyty swych kontemplacyi, tylko wierzyć, jak niegdyś wierzył Mickiewicz, nie umiał, nie był w stanie. Powstawało przed nim groźne pytanie, czy r o z u m n ą była ta siła twórcza i cel światów czy był rozumny, nurtowało mu ono duszę, wyprowadzało ją znowu na morze nowych rozmyślań, nowych cierpień i niestety nowych wątpień, pozbawiających go owej harmonii, którą tak niedawno i z takim trudem był osiągnął. Nowy zwrot znajdował wyraz w IV. tomie poezyi (1880—1884), nie jaśniały one łagodnem światłem wewnętrznego uspokojenia, które takim wdziękiem zdobiło wiersze III. tomu, chmura smutku towarzyszyła dumaniom poety, ale bolał on nie nad płonnością marzeń, jak dawniej (t. I, II), ale nad niemocą myśli.

Wyniki zaciekań swoich streścił poeta w cyklu 30 sonetów „Nad głębiami". Stanowią one jednę z wielkich zdobyczy poezyi nowoczesnej, żaden bowiem z poetów polskich nie kusił się przed tem o ubranie oderwanego rozumowania o zagadkach bytu w powiewne szaty z rymów; nie wiem zaś z kim na Zachodzie mógłbym go porównać: Vrchlicki nie sięgał tak głęboko, a Sully Prudhomme nie zawsze umiał utrzymać tę przedziwną i tak trudną harmonię między niepoetyczną myślą a poetyczną formą. Powiązane jednością pomysłu, najczęściej logicznie wysnuwające się jeden z drugiego sonety te świadczą o wszechstronnem filozoficznem wykształceniu i samodzielnych badaniach poety i stwierdzają pogląd prof. Rostafińskiego, który już w utworach III. tomu witał świtanie nowej epoki, mającej węzłem ściślejszego braterstwa połączyć naukę i sztukę.

Pierwsze 8 sonetów to wylew bolów myśli rzuconej w ciemne odmęty wiecznego oceanu, niosącego na falach swoich nieskończoność światów. Daremnie szuka ona wyjścia z mroku przytłaczających ją tajemnic; niemy stoi przed nią wszechświat i milczeniem drażni; wszędzie głąb niezmierzona, ciemna, straszliwa, „przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa", nie dotrze wzrok do niej, próżno w nią patrzymy, posyła nam tylko odbicie naszej własnej twarzy

I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

Pogrążone w niewiadomości jedne po drugich płyną przez otchłanie bytu łańcuchy pokoleń, „nie wiedząc nawet, skąd wyszły, gdzie spoczną". Daremnie usiłują one z pomocą blasku mozolnie zdobywanej wiedzy torować sobie drogę wśród mroku nieskończonej przestrzeni: światło zapalone w nocy oświeca miejsce, w którem się znajdujemy, ale tem czarniejszą wydaje się wtedy otaczająca otchłań ciemności, podobnie wraz z blaskiem wiedzy rośnie obszar nieprzebytych mroków i to, cośmy dostrzegli, jest niczem w porównaniu do tego, co myśl „męczarnią nieskończoności" dręczona dla uspokojenia i szczęścia własnego wiedzieć i rozumieć pragnie. Słowem, wszędzie „noc, noc wieczysta, głuszą przedbytową otaczająca kręgi drgające istnienia", a nad nią duch świata, który „bezustannie czuwa i przyszłych istnień z siebie nić wysnuwa", ale nieznany, nieujęty, zimny jakiś duch, rozpływający się „w bezwładnej czczości" wszechświatowej nocy.

Po tych wylewach bezdennego smutku następuje długa, na 16 sonetów rozłożona, nieuzasadniona logicznie, ale kojąca pieśń otuchy. Sprężysta, poczuciem obowiązku przejęta natura poety zwycięzko wzleciała ponad ciemność wątpień i pędzi w kierunku ujrzanego w dali światła nieśmiertelności. Ginie — woła on — i na pastwę idzie robakom to wszystko, „co nosi zachceń osobistych znamię i co się przystraja w pychę odrębności", lecz to, co w człowieku „chwilowy swój zakres wyprzedza i co się brata z życiem przyszłych pokoleń, to jedno leci w nieśmiertelność „wyplątane z sieci czasu" i grób proroka, mędrca lub

bohatera staje się „jasnych żywotów kołyską“, więc kto się z jarzma rozpaczy chce wyzwolić, niech rozszerzy granice swego istnienia przez związek „z wszechświata ogromem“, niech zakosztuje życia „w tem, co było, co jest i co będzie“. Ta konieczność służenia ludziom wypływa z nierozerwalnego złączenia ogniw wszystkich istnień, wszyscy umarli i żywi „związani są wspólną macierzą“, więc zależą jedni od drugich, „odpowiadając na wypadków fali każdy za wszystkich, za każdego wszyscy“, i ten „wzajemności twardy obowiązek“ powinien utrwalać ludzkość w wielkiem religijnem zjednoczeniu. Więc jeśli w rozwoju świata ma wagę myśl każda, mogąc swem światłem zapalić to, co martwe było i głuche, to, co znaczą wszelkie „cząstkowe zgony“, co znaczą nawet „kaskady, lecących w otchłań stuleci!“ Nie istnieje śmierć! Ona jest „stopniem wyższego rozwoju“ „ciągłego postępu chorążym“, ona usuwa zapory wschodzącym kiełkom:

I z jej opatrznej choć surowej łaski
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią,
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią
I w coraz nowe przystraja się blaski.

Myśl poety, zapuściwszy się w otchłanie zagadnień dręczących ludzkość od początku świata, doszła do ostatecznego zwątpienia, do bolesnego wyznania, że wszędzie „noc, noc wieczysta“, ale uczucie moralne, uczucie odpowiedzialności pisarza wobec społeczeństwa wyprowadziło go z toni, i poeta, przyzwawszy na pomoc prawo przyczyny i skutku, powiązał pokolenia ludzkie łańcuchem braterstwa i wystąpił z nauką o wynikającym stąd „twardym“ obowiązku, ale ten imperatyw moralny nie dał mu jednak skrzydeł, nie zaniósł tam „gdzie graniczą Stwórca i natura“, gdzie duchem sięgał Mickiewicz, gdzie czerpał potęgę wiary niezłamanej żadną ziemską mocą. Zdawałoby się, że poeta, pomimo tego iż był zatopiony w studyach filozoficznych, nie chciał jednak wyjrzeć poza pozytywizm i ewolucyonizm i że niepostrzeżenie mimo niego przeleciał młody, silny, nakazujący wiarę w imię etyki ruch neokantowski, który światłem potężnego umysłu oświecił Karol Secrétan, najdostojniejszy z myślicieli wieku. Nie dziw więc, że poeta czuł, jak

mu się chwiał grunt pod nogami, nawoływał ludzi w sonecie XVI., aby szukali tarczy przeciw złemu w poznaniu prawdy, bo ona „potęguje miłość, która dostarczy środków zbawienia“, ale chwilę przed tem sam był wyznał, że wraz z blaskiem wiedzy czarniejszym stawał się mrok niedostępnych dla myśli przestrzeni, wątpienie znowu go ogarniało, siły opuszczały i już w XXV. sonecie wołał, że „bezcelową“ jest natura wieczna i twórcza, że przeto nie poznamy jej nigdy i daremnie, po sobie o niej sądząc, narzucamy jej „ludzkiej dążności znamię“. Więc smutnym jest schyłek wieku, w którym poszły w niwecz usiłowania pokoleń, nic wiemy i nie dowiemy się niczego, nasza wiedza o świecie jest tylko odbiciem naszego j a, więc, kto wie, może świat jest złudzeniem, może prawdę mówił Anhelli, że „wszystko jest snem smutnym“.

Wobec goryczy tych wyznań tracą moc swoją dalsze nawoływania do prac i walk w imię ideału. Nie wierzymy poecie, gdy zaklina, abyśmy nie rozpaczali, kiedy burza pustoszy żniwo, bo „ziemi łono drżeć wtedy zaczyna tysiącem nowych kiełków“, bez wrażenia czytamy idące po „Głębiach“ cztery sonety o „Przyjściu Mesyasza“, poświęcone wysławianiu Chrystusowej mocy w cierpieniu, zapewniającej zmartwychwstanie krzyżowanym przez złość ludzką ideom. Czujemy, że przez usta poety nie przemawia żywa wiara, że tylko sili się on wierzyć i że, wiedziony szlachetnem uczuciem, sili się on z toni rozbicia, w którą wtrąciły wiek burze filozoficznych wątpień, uratować jakieś wytyczne na przyszłość zasady.

I nietylko trawiąca duszę refleksya podmywała kruche podstawy tego gmachu z myśli kojących bole istnienia, który poeta z takim wysiłkiem stawiał. W parze z refleksyą szły gorzkie doświadczenia i rozczarowania. Dawniej w prześlicznym wierszu błogosławił poeta tych przyszłych rycerzy — wiernych sług ludzkości, którzy światło poniosą „głodnym i ciemnym i pójdą walczyć, aby zgnieść widziadło nędzy i zbrodni“, teraz gdy roje takich rycerzy mnożyły się wokoło, poeta przekonywał się, że niestety rzadkie było u nich bohaterstwo i rzadko kierowała niemi żądza dobra powszechnego. Z współczuciem dla poniewie-

ranych i uciśnionych, splatały się ambicya, nienawiść, chciwość, a uczucia te groziły powodzią łez i krwi, nowym najazdem dziczy, przed którym należało ratować podstawy życia społecznego („Świat się ogniami zapala"). „W zaćmieniu ducha — wołał on w poetycznem rozmyślaniu Wśród przełomu[1] — w dzikich żądz zamęcie rodzi się świat nowy, wichrzy się i kłębi rój nowych tworów zrodzonych z matki nędzy — z ojca głodu.. Tłum barbarzyńców wkracza na widownię świata, z zapalonemi głowniami w ręku. Na przedzie świecąca nagiem ciałem biegnie bachantka-wiedza, nie ta, co prawdy szuka, ale zalotnica sprzedająca usługi swoje. Precz z ideałem — woła — burzcie starą społeczeństw budowę, kościół, ojczyznę i rodzinę, świat w pustynię zamieńcie, niech się skończy przeżyta forma, w której zasklepiło się brudne robactwo, w nowe koryto pchnijmy strumień życia. I pędzą za nią obłąkane tłumy, wykonawcy ślepi bezwiednych potęg drzemiących w ciemności".

Przed tem widmem strasznego jutra stanął poeta w rozpacznej zadumie. Jak fale, toczyli się przed nim ludzie, gnani przez nieznane siły ku nieznanym brzegom. I porównał ich z falami morza bijącemi w oporne brzegi:

I żadna z nich nic nie wie
W bezsilnym swoim gniewie
Do jakich celów służy,
Lecz powracając ginie
W bezdennej wód głębinie
Po krótkiej swej podróży. („Fale").

Poeta był zawsze skłonny do fatalizmu, ale dawniej rozjaśniał go barwami optymistycznej wiary w ludzkość niezmiennie kroczącą po szlakach postępu, teraz zdawał się już być blizkim fatalizmu rozpaczy.

W rzeczach formy, zwłaszcza rymu i rytmu, doprowadził Asnyk poezyę polską do doskonałości, jakiej nie znała przedtem. Pod względem treści, ze stanowiska ideału, twórczość jego, jako ciągłe szczere i gorące szukanie Boga, podnosiła ducha, ale nie

[1] Rozmyślania poety przytaczam w krótkiem streszczeniu.

stanęła na najwyższych wyżynach. Zabrakło poecie tej energii moralnej, którą mieć trzeba, aby wśród nawały filozoficznych wątpień wieku, utrzymać w sobie wiarę żywą. I nie wysłuchał Bóg wołania jego, i myślom, uczuciom i pieśniom jego — ojca nowej poezyi i najświetniejszego jej przedstawiciela — nie dał tej siły nieśmiertelnej, kruszącej zapory czasu, którą dał wyznawcom swoim, wieszczom poprzedniego okresu.

Dr. Maryan Zdziechowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O cenzurach kościelnych z uwzględnieniem najnowszych dekretów Stolicy św. Napisał *ks. J. Nep. Opieliński*, dr. filozofii i św. teologii, profesor przy seminaryum gnieźnieńskiem, egzaminator prosynodalny. Poznań. Nakładem autora. 1894. (W 8ce, str. 352).

Komentarz do cenzur kościelnych po dziś dzień obowiązujących. Napisał *Tenże*. Poznań. Nakładem autora. 1896. (W 8ce, str. 410).

Znajomość cenzur kościelnych potrzebną jest nietylko dla duchowieństwa; posiadać ją też powinien w pierwszym rzędzie każdy prawnik a nadto, czy to w pracach naukowych, czy też w rozmaitych położeniach życia przydatną a nieraz i konieczną może ona być dla każdego. Nie brak wprawdzie licznych prac wydanych w tym przedmiocie w obcych językach, zwłaszcza łacińskim, (że wspomnimy tylko znane dzieła msgra Pennacchi i kardynała d'Annibale); z różnych jednak powodów nie wszystkim są te prace w równej mierze dostępne; przytem milej bywa posługiwać się książką napisaną w ojczystym języku, oczywiście wtedy tylko, jeśli ta książka treścią swą i wartością nie pozostaje zbyt w tyle poza podobnemi publikacyami zagranicznemi.

Obydwa dzieła ks. Opielińskiego, których tytuły wypisaliśmy powyżej, nie potrzebują się lękać porównania z zagranicą; rzecz tem bardziej zasługująca na podniesienie, że — o ile nam wiadomo — jest to pierwsza tego rodzaju większych rozmiarów praca w teologicznej literaturze polskiej.

Warto rozglądnąć się nieco dokładniej w treści dwu tych dzieł, albo raczej dwóch tomów jednego dzieła, chociaż autor tomami ich nie nazywa.

Tom pierwszy „O cenzurach kościelnych“ dzieli się na dwie części. Pierwsza część traktuje w 9 rozdziałach o cenzurach w ogólności. Jest więc mowa nasamprzód o właściwościach cenzury i jej podziale (rozdział I.); dalej o warunkach potrzebnych, ażeby występek podlegał cenzurze (rozdz. II); o okolicznościach chroniących od popadnięcia w cenzury (rozdz. III); o władzy Kościoła karania cenzurami (rozdz. IV); o osobach, które mogą cenzury nakładać (rozdz. V); o osobach, które w cenzury popaść mogą (rozdz. VI); o sądowym wyroku cenzury (rozdz. VII); o absolucyi z cenzur (rozdz. VIII); wreszcie o sposobie praktycznym pisania do Penitencyaryi (rozdz. IX).

W każdym z tych rozdziałów autor równie dobrze wywiązuje się z zadania: podaje poglądy dokładne i ściśle uzasadnione, w kwestyach spornych główny punkt kontrowersyi formułuje zawsze jasno, a dyskusyę naukową przeprowadza z przenikliwością i wielkim zasobem erudycyi. Żeby o niektóre szczegóły potrącić, z wielkim zadowoleniem czytaliśmy (rozdz. III, nr. 23) rozbiór kwestyi: jaka nieświadomość uwalnia od popadnięcia w cenzury, przedewszystkiem podnosimy ustęp, w którym autor roztrząsa pytanie, czy każda nieświadomość z ciężkiego niedbalstwa pochodząca *(graviter culpabilis)* jest już tem samem *crassa et supina*, jak utrzymują niektórzy, czy też nie. Z równem uznaniem przyjąć należy (rozdz. VIII, nr. 83) rozróżnienie potrójnego *forum;* wiadomo ile niejasności i zamieszania wywoływało zaniedbywanie różnicy między *forum conscientiae* a *forum sacramentale.*

W części drugiej pierwszego tomu znajdujemy w trzech rozdziałach wyłożenie trzech rodzajów cenzur w szczególności, więc ekskomuniki, suspenzy i interdyktu. Do wywodów autora pozwalamy sobie dorzucić niektóre drobne uwagi. I tak: roztrząsając władzę przysługującą biskupom suspendowania podwładnych sobie duchownych bez procedury sądowej wyłącznie na podstawie sumiennego przeświadczenia *(ex informata conscientia)* mówi między innemi: „nieważny byłby wyrok, gdyby biskup *ex informata conscientia* .. skazał duchownego na ćwiczenia duchowne“ (str. 283, nr. 185). Niechby i tak było; cóż jednak z tego, kiedy biskup i bez dodatku: *ex informata conscientia* może skazać kapłana na odprawienie ćwiczeń duchownych; sama instrukcya Propagandy wskazuje przecie na to, jako na zwykły i nader skuteczny środek poprawy. Po drugie sądzę, że zacytowana przez autora odpowiedź Kongregacyi Soboru z 3 lutego 1593 (str. 291) nie jest już dziś miarodajną wobec nowszych postanowień, tyczących się suspenzy *ex informata conscientia.* Warto w tej mierze porównać *Archiv für*

Kirchenrecht z roku 1895 [1]; znalazłoby się tam i parę innych szczegółów, na podstawie których możnaby poczynić w tej partyi książki ks. Opielińskiego pewne, nieznaczne zresztą modyfikacye, np. co do formy wyroku suspenzy na piśmie.

Na końcu pierwszego tomu mamy cztery dodatki. Przy czwartym można było dokładniej powiedzieć, którzy biskupi mają wspomniane tamże pozwolenia; są to biskupi Niemiec, Austryi, Rosyi, Węgier, Belgii i niektórzy inni. Nie udziela zaś tych pozwoleń Penitencyarya, lecz Kongregacya *de Propaganda Fide* [2]; od Penitencyaryi mogą otrzymać podobne pozwolenia także kapłani do użytku w trybunale spowiedzi [3].

W drugim tomie, zatytułowanym: „Komentarz do cenzur kościelnych", omawia ks. dr. Opieliński szczegółowo cenzury bulli *Apostolicae Sedis,* jakoteż inne dziś istniejące. Komentarz jest bardzo obszerny i dokładny; ciągnie się przez 400 stron druku. Wywody autora oparte są na najlepszych powagach, a zalecają się, podobnie jak tom I, bardzo dobrym układem i jasnością przedstawienia rzeczy. Komentarzowi temu w praktyce bezpiecznie można zaufać; jest on pewny i wyczerpujący. Jeżeli mimo to pozwalam sobie i co do tego drugiego tomu parę uwag dorzucić, przeznaczone one są jedynie dla szan. autora i dla innych kolegów w naukowym zawodzie. Zresztą będą to tylko drobiazgi. I tak: Na str. 23 tłumaczenie terminów *implicite* i *explicite* uważam za niedosyć dokładne i niewystarczające. Na str. 34 (w. 16 z góry) przy zdaniu autora: „te jedynie książki w myśl kanonu rozumieć należy, które pod karą ekskomuniki, papieżowi zastrzeżonej, potępione zostały", dodałbym uwagę, że to mniemanie nie jest jednak w nauce powszechnem [4]. Dalej nie jest mi jasnem, dlaczego na str. 27 wbrew wielu autorom nie wyjmuje ks. Opieliński z ekskomuniki „obrony, choć bezskutecznej", podczas kiedy na str. 38, mówiąc o innym przedmiocie całkiem słusznie twierdzi, że do popadnięcia w ekskomunikę wymaga się, aby dzieło w rzeczy samej zostało wydrukowane. Na str. 51 przeciwko zdaniu, że z tytułu *detinentes* nie popadają w klątwę ci, co tylko moralnie, np. nakazem ustnie lub listownie danym, do przytrzymania osób, o które chodzi w cenzurze, przyczyniają się, podniósłbym zarzut, że wpadają oni przecież w cenzurę z innego tytułu w tekscie

[1] Tom LXXII, str. 115.
[2] Por. Konings-Putzer, *Commentarium in facultates apostolicas.* Pag. 3.
[3] Por. Marc, *Theol. mor.*, II, 739.
[4] Por. Bucceroni S. I. *Theol. mor.*, II, 1165.

cenzury mieszczącego się, tj. jako *mandantes*. Odnośnie do kwestyi omawianej na str. 54 pozwoliłbym sobie zaznaczyć, że — mojem zdaniem — za surowym jest autor, kiedy sprawców zbrodni w pewnych szczególnych okolicznościach uwalnia od wpadnięcia w ekskomunikę, a nie uwalnia od niej tych, co tylko na zbrodnię przyzwalają *(ratihabentes)*. Również za ostrem wydaje mi się zdanie, umieszczone w ostatnich wierszach str. 59, w którem mowa o rekursie do władzy świec kiej. Na str. 81 mówi autor, że bulle papieskie pisane były starogreckiemi głoskami; zapewne miało być staroniemieckiemi. Zresztą przez *motu proprio* papieskie wprowadzone już zostały litery łacińskie. Na ostatek na str. 88 i 296 pragnąłbym w drugiem wydaniu dzieła napotkać najnowsze dekreta, odnoszące się do dwóch, na tych stronicach omawianych, nader ważnych przedmiotów.

Wszystkie te uwagi służyć mogą za dowód, jak pilnie czytałem dzieło ks. Opielińskiego i jak je cenię. Praca to ze wszech miar poważna, napisana gruntownie i wyczerpująco. Podnoszą jej wartość wywody historyczne, jakie tu i ówdzie rozrzucił autor, a co w tego rodzaju pracach, nawet u pisarzy skądinąd bardzo wybitnych, rzadko się spotyka. Mile też uderza, nie zawsze niestety przestrzegana w tym tak spornym przedmiocie, objektywność sądu i brak uprzedzeń do szkół i autorów. Wreszcie, co rzadziej jeszcze się trafia, rzecz suchą, prawniczą umiał autor podać we formie zawsze jasnej i przystępnej, która nietylko ułatwia, ale nawet uprzyjemnia czytanie. Tego tylko może szkoda, że więcej nieco nie popróbował sił swoich, w przyswojeniu polskiemu językowi niektórych ważniejszych przynajmniej terminów technicznych.

Kończymy uwagą, że obydwa dzieła ks. Opielińskiego powinny się znajdować w ręku każdego kapłana, polskim mówiącego językiem.

Ks. Augustyn Arndt.

Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XIX. Rozprawy i sprawozdania. Tom I. *St. Tarnowski.* W Krakowie. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1895. (W 8ce, str. 297).

Pod powyższym tytułem ukazał się zbiór rozpraw prof. Tarnowskiego rozproszonych po różnych czasopismach. Niektóre z prac tu pomieszczonych sięgają jeszcze r. 1868; jedna z nich (o „Księgach pielgrzymstwa“) jest stosunkowo niedawna (z r. 1889). A jak różne co do czasu, tak rozmaite są pod względem treści: mamy tu rzecz „O Kolędach“ i o „Rachunkach“ Bolesławity, o „Horsztyńskim“ Słowackiego

i o „Rocznikach polskich“ z lat 1857—1861. Wrażenie książki nie może być zatem jednolite; sama też wartość pomieszczonych w niej studyów i sprawozdań nie jest jednakowa: dwie obok siebie wydrukowane prace o Mickiewiczu są różnej wartości. Sprawozdania z teatralnego przedstawienia „Konfederatów Barskich“ jest z natury rzeczy dorywcze i nie sięga głęboko w genezę utworu; przeciwnie studyum o „Księgach pielgrzymstwa“ odznacza się gruntownem obmyśleniem przedmiotu, jasnością sądu, umiejętnem uzasadnieniem zapatrywań. W ciągu kilkudziesięciu lat wydoskonalał się zmysł krytyczny autora; może najmniej zmienił się styl.

Przypatrzmy się po kolei rozprawom, składającym tom I„ Rozpraw i sprawozdań“.

Rzecz „O kolędach“ nie rości sobie prawa do wyczerpania przedmiotu. Pisana zrazu do felietonów *Czasu* (1882 roku) dla szerszego ogółu, miała ta rozprawka na celu wykazać, ile kolędy nasze kryją w sobie wdzięku poetyckiego i prawdy moralnej pod pozornie ubogą i niezgrabną formą. Rozbiór estetyczny najbardziej znanych kolęd jest bardzo biegle przeprowadzony. Widzimy, jak najszlachetniejsze, najwdzięczniejsze motywy zwolna przez powtarzanie się, przez przesadne nagromadzenie szczegółów wyradzają się, tracąc pierwotną prostotę i grzeszą, utrzymaną zrazu w karbach, poufałością ludzką wobec Bóstwa. Kolędy dyalogowe prowadzą autora do kwestyi początku misteryów; ale tak ważny przedmiot nie mógł być rozwiązany na kilku kartkach. Jest tu raczej wskazana potrzeba i korzyść badań na tem polu. Autor słusznie upatruje w „szopce“ odbicie słabe jakiegoś zaginionego religijnego dramatu, jakiegoś średniowiecznego misteryum. „Ci zaś chłopi, Żydzi, żołnierze, szlachcice i t. d., którzy dziś w naszej szopce występują, oni są oczywistym zabytkiem komicznych intermedyów, które w plan tych dyalogów swego czasu wchodzić musiały koniecznie“.

Rzecz o „Konfederatach Barskich“ Mickiewicza, pisana była w r. 1872 jako sprawozdanie teatralne w *Przeglądzie Polskim*. Autor do sprawozdania z r. 1872 dodał „słowo objaśnienia“, w którem ze złotą szczerością wyznaje pomyłki i usterki tego pospiesznego rzutu oka na „Konfederatów“. „Pod pierwszem wrażeniem uniosłem się w podziwieniu do oczywistej przesady, skoro stawiałem ‚Konfederatów‘ na równi z ‚Wallenrodem‘... przekonałem się, że pisząc nie porównałem nawet przekładu z oryginałem i nie spostrzegłem, że przekład rozwijając i parafrazując niejednę myśl oryginału, nieraz znacznie od niego

odstępuje". Rzeczywiście punktem błędnym oceny „Konfederatów" jest, zdaje mi się, zbytnie zawierzenie niewiernemu tłumaczeniu Olizarowskiego; oryginalny zaś tekst francuski „Konfederatów" ukazał się w r. 1867 w Paryżu staraniem syna poety p. Władysława Mickiewicza (Por. *Mélanges Posthumes* I, str. 109). Warunki, wśród których Mickiewicz pisał „Konfederatów" nie były dla utworu tego pomyślne. Pisał najpierw w języku obcym i przedewszystkiem dla obcych. Stąd pewien przymus nie spotykany dotychczas w jego twórczości. Zresztą i lata 1836—1837 nie były urodzajnemi dla poety; „Konfederatów" pisze on z musu, z potrzeby, po prostu „dla chleba" (por. list do Odyńca w Kor. I, 162). Dramat nie zrodził się przeto z jednolitego i gorącego natchnienia, a jakkolwiek zawiera piękne i znakomite ustępy, trafnie uwydatnione przez prof. Tarnowskiego, to jednak całość widoczne nie robiła wrażenia na Francuzach, skoro, jak mówi sam Mickiewicz, „usnęła" publiczność w teatrze Porte Saint-Martin. Życzliwa poecie pani George Sand, chwaląc styl „Konfederatów Barskich", nie wydaje sądu o sztuce samej: *(en fait de drame, je ne suis pas un juge compétent).* W powodzenie jednak dramatu na scenie francuskiej nie wierzy, osładzając tę przykrą dla Mickiewicza pigułkę uwagą może słuszną, że „publiczność francuska jest dziś tak haniebnie głupia *(ignoblement stupide),* iż wyśmiałaby nawet sztukę Szekspira". Drugi sędzia, wybrany przez Mickiewicza, Alfred de Vigny, jest bardzo lakonicznym w krótkim bileciku dotyczącym „Konfederatów"; radzi wprawdzie Mickiewiczowi wystawić sztukę na scenie, ale „ma kilka ważnych uwag do zrobienia". — W liście z r. 1863 jest George Sand o wiele wstrzemięźliwszą w pochwałach; dramat nie zdawał się jej wtenczas łatwym dla sceny francuskiej *(pas facile à adapter à la scène française).* Głośny wtedy aktor Bocage znajdował w „Konfederatach" „bardzo ładne rzeczy, ale nic takiego, coby miało wywrzeć wrażenie bezpośrednie na widza". Inny Francuz, autor dramatyczny, Mallefille, przypominał sobie dokładnie w r. 1867, że w „Konfederatach" było mnóstwo pięknych myśli i uczuć, ale nie było całkiem akcyi dramatycznej i scenicznego interesu (*Mélanges Posth.* I, 15). Zresztą chciejmy sobie, choć na chwilę, uprzytomnić co ówcześni Francuzi mogli wiedzieć o historyi polskiej i o Konfederatach barskich, ile wtajemniczeni byli w delikatne aluzye o politycznych partyach w Polsce, nietylko tacy wyjątkowi Francuzi jak Montalembert, Alfred de Vigny lub George Sand, ale ta zwykła parterowa publiczność z teatru Porte Saint-Martin — a może zrozumiemy dlaczego „Konfederaci Barscy" nie weszli na scenę francuską. Dla nas zapewne są

Konfederaci „rzeczywistością tak żywą, tak blizką serca, że widoku i wrażenia ich prawie znieść nie można“; ale to, co z „Konfederatów“ ocalało nie daje nam prawa do twierdzenia, że w przedstawieniu tego fragmentu dramatycznego „odsłania się potęga dramatyczna taka jak u Schillera, jak u Goethego, taka że sam Szekspir (!) mógłby się do niej przyznać“. W tym sądzie czuć oczywiście przesadę. Zupełnie jednak zgadzamy się z autorem, że brak całości „Konfederatów“ jest wielką dla literatury naszej stratą. Żałować trzeba, że tak świetnie w pierwszych dwu aktach nakreślone charaktery: wojewody, księdza Marka, jenerała i t. d. nie doczekały się zupełnego rozwinięcia i dochowały się tylko fragmentarycznie.

Rzecz o „Księgach Pielgrzymstwa“ jest rozprawą, nie sprawozdaniem. Wydrukowana po raz pierwszy w III. roczniku Pamiętnika Towarzystwa im. Mickiewicza (Lwów 1889), nosi na sobie znamię spokojnego, wytrawnego sądu. Znać, że kilkanaście lat upłynęło od wrażeń „Konfederatów Barskich“. Autor daje przedewszystkiem króciutką historyę znaczenia i wpływu „Ksiąg Pielgrzymstwa“ w ostatnich pokoleniach społeczeństwa polskiego. Pierwsze, współczesne Mickiewiczowi, nie śmie jeszcze wdawać się w krytykę wielkiego poety; pokolenie drugie nie bez trudu i walki spostrzegało plamy na tem słońcu: jeżeli nie wierzyło w mesyanizm, to „Księgom Pielgrzymstwa“ wiary nie odmawiało; trzecie wreszcie pokolenie ma już „Księgi Pielgrzymstwa“ za „szanowne złudzenie“. Prof. Tarnowski zastanawia się nad genezą tych „Ksiąg“ i bardzo pięknie określa stan duszy poety i nastrój duchowy społeczeństwa po r. 1830. Stosunek wzajemny Mickiewicza i księdza de Lamennais jest tylko zaznaczony, ale nie udowodniony należycie. Autor zapytuje: „Czy można przypuścić, że Mickiewicz nie przeczytał np. tego *Essai sur l'indifférence en matière de religion*, o którem mówiła cała Europa? A jeżeli przeczytał, to czy można znowu przypuścić, że dzieło to potężne nie wywarło nań wpływu?“ (str. 83). Wątpliwość pod tym względem usuwa sam Mickiewicz w liście do Odyńca z d. 19 listopada 1830 r. Donosi tam poeta: „Czytam wiele i w domu siedzę teraz nad dziełami *l'abbé Lamennais* medytuję i życzę, abyś je z uwagą przeczytał“ (Kor. IV, 114). Nie brak zresztą innych dowodów, że Mickiewicz poznał osobiście księdza de Lamennais w lipcu 1831 r., a zatem przed napisaniem „Ksiąg Pielgrzymstwa“. P. Tarnowski zaznacza, że „Księgi Pielgrzymstwa“ jako zamiar są doskonałe — ale jako pojęcie są w części mylne, jako wykonanie są przykre. Bliższe uzasadnienie tej tezy jest

właśnie treścią jego rozprawy. Znajdzie tam czytelnik znakomity rachunek sumienia narodowego, doskonałe wyróżnienie tego, co się w „Księgach“ przestarzało, od tego, co jest zawsze jeszcze wzniosłem i pouczającem, bo prawdziwem. „Trafne w złem, jakie wytykają, mądre i dobre, kiedy każą nam ducha nie gasić i pielęgnować w sobie wiarę, nadzieję i miłość, błądzą „Księgi Pielgrzymstwa“ w swoich pojęciach i historycznych i politycznych i moralnych nawet, kiedy nam każą wierzyć w nasze ‚umęczenie za grzechy świata‘, kiedy nam mówią, żeśmy lepsi i wyżsi od drugich i kiedy nam każą apostołować cywilizacyą chrześcijańską po świecie, przyjmując za pewne, sposobem śmiałym i lekkowiernym, że ją sami posiadamy“. Pod koniec wraca prof. Tarnowski raz jeszcze do zaznaczonego na początku pracy stosunku i wpływu wzajemnego Mickiewicza i ks. de Lamennais. Szkoda wielka, że autor nie rozwinął szczegółowiej rzuconych tutaj, ale nie uzasadnionych, choć z pewnością, zdaniem naszem, słusznych domysłów. Liczne są podobieństwa myśli Mickiewicza-towiańczyka, do argumentów z *Affaires de Rome;* ale obok podobieństw są też liczne różnice. Kwestya to niewątpliwie bardzo trudna do zbadania.

Bardzo trafnie wskazał prof. Tarnowski genetyczny związek poetycznego ideału Polski w „Księgach Pielgrzymstwa“ z mową Brodzińskiego o „Narodowości“. Zachodzi tu jednak nietylko związek „niewidzialny, ukryty“; owszem możemy mówić o wyraźnym wpływie; da się on wykazać nawet w planie zewnętrznym „Ksiąg“ i w ich stylu. Szczegółowo nie możemy dowodzić tego na tem miejscu; uczynimy to niebawem gdzieindziej.

Wśród rozpraw wypełniających omawiany przez nas tom, należy stanowczo przyznać pierwsze miejsce rozprawie o „Księgach Pielgrzymstwa“, napisanej z niezwykłą, nawet u autora, świetnością stylu, a obmyślanej starannie i głęboko.

W dalszym ciągu spotykamy trzy rozprawy o poezyach Słowackiego; są to rozbiory „Mazepy“, „Niepoprawnych“ i „Horsztyńskiego“. Pisane były „przygodnie, prawie przypadkiem“. Autor podaje na str. 107 charakterystyczne *scholion* do własnych studyów: „Niepoprawni“, to treść jednego z publicznych odczytów w Krakowie, tych kłopotliwych odczytów, do których nieszczęśliwy prelegent musi szukać przedmiotu, a takiego, któryby nie był ani za długi, ani za nudny, ani (jeżeli w Warszawie) podejrzany dla cenzury; i po długiem szukaniu obrabia wreszcie z rozpaczy jakiś przedmiot, choć sam dobrze nie wie, dla-

czego ten właśnie a nie inny. Taki początek tych rozprawek tłumaczy (jeżeli nie usprawiedliwia) ich usterki".

Prof. Tarnowski jest w tych uwagach zbyt surowym dla siebie, podobnie jak jest za surowym wogóle dla Słowackiego. W „Mazepie", zdaniem jego, Słowacki „wyprawia łamane sztuki", ulegając złemu przykładowi romantycznego teatru francuskiego, a zwłaszcza Wiktora Hugo, który dopuścił się nieraz „dramatycznego szarlatanizmu".

Wykazawszy błędy kompozycyi dramatu, nienaturalność w akcyi i przesadę w sytuacyach, doszedłszy do wyniku, że „Mazepa jest złym dramatem", przyznaje mimo to autor, że „jest zawsze piękny, a czasem prześliczny". Dramat ratują trzy postacie wielkiego uroku: Wojewodzina, Zbigniew i Mazepa. Jabym dodał, że oprócz tych postaci ratuje dramat od zapomnienia piękny, szczeropolski język. Autor zajęty scenicznością i naturalnością utworu, przeczył ważną kwestyę stosunku „Mazepy" Słowackiego do „Pamiętników Paska". Wpływ „Pamiętników" jest widoczny w „Mazepie", jakkolwiek nie wszędzie ton Paska jest czysto utrzymany. Owszem do tonu XVII. wieku mieszają się inne, fałszywe nuty. Taka Robroncka np. to wiek XVIII., a nie brak i odgłosów romantycznych. Mazepa, kozak, zawadyaka, wyraża się czasem tak, jak nigdy Mazepa prawdziwy nie byłby mówił, np. „Głosek twój szklany (!)". Nawet Amelia, zresztą tak piękna i naturalna, zapomni się przed królem i uraczy go przemową, godną Nowej Heloizy:

Zawstydzona, ile że ubrana mniej skromnie,
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę (!)

Ba, nawet Jan Kazimierz, według Słowackiego cynik trochę i hipokryta XVII. wieku, będzie przebierał czasami na strunach romantycznych:

O! pani, jakże teraz samotnemu miło
Znaleść tak piękną smętnych uczuć powiernicę,
Tak białą dłoń i miękką mieć do łez otarcia...

Dokładne wykazanie drobnych ale charakterystycznych odcieni językowych w „Mazepie" rzucić może sporo światła na historyę tego dramatu i wykryć w nim wcześniejsze, genewskie pierwiastki obok niewątpliwych późniejszych paryskich z końca 1839 roku.

W odczycie o „Niepoprawnych" znajdujemy sporo trafnych i dowcipnych spostrzeżeń, doskonałą charakterystykę osób, zwłaszcza Fantazego i Idalii. Przed 20 laty autor bardzo oględnie pozwalał się domyślać pod temi dwiema postaciami ludzi prawdziwych, z których on

„dramatyzował swe życie“, a ona „paradowała swojemi nieszczęściami i swoją egzaltacyą“; dzisiaj, po różnych niedyskretnych publikacyach, wie się, kim był Fantazy i rozumie się coraz lepiej, dlaczego Słowacki dramatu tego nie ogłosił.

„Horsztyński“ pomimo że jest tylko fragmentem, uważany jest przez prof. T. jako najbardziej oryginalny ze wszystkich dramatów polskich, najdoskonalszy z dramatów Słowackiego jako przeprowadzenie akcyi, jako pomysł i wierne utrzymanie charakterów. Zestawienie Szczęsnego z Hamletem nasuwało się samo przez się i jest tu dokonane bardzo pięknie, chociaż z widoczną dla Szczęsnego sympatyą: „Nieszczęśliwszego człowieka jak ten Szczęsny niema w poezyi. A jaki przytem pociągający i uroczy, jak przez jego gorycz i ironię przebija się uczucie, przez jego spokój i obojętność zapał, przynajmniej zapał wyobraźni, jeżeli nie energii — przez wszystko natura, która przez nieszczęścia stała się chorobliwą, złamaną i bezwładną, ale natura wyższa i niepospolita“ (str. 205).

Prof. Tretiak zastanowił się nad Horsztyńskim w osobnem studyum, zatytułowanem „Hamlet polski“ [1]. Porównawszy szczegółowo Szczęsnego z Hamletem i wykazawszy podobieństwa i różnice tych dwóch postaci, inaczej określa on moralną wartość Szczęsnego: „Pesymizm jego nie pochodzi z tej wrażliwości czystej duszy, jaką widzimy w Hamlecie, ale raczej z niezadowolonej ambicyi, z nieporządnej rozbujałej wyobraźni. Są w nim jakieś nieokreślone pragnienia wielkości, roi mu się, że jest stworzonym do wielkich czynów, a jednocześnie uczuwa nicość swoją i to wywołuje w nim rozdwojenie i niepokój. Zajęty ciągle sobą, nieustannie przymierza swoją osobę i ambicyę do ludzi i wypadków. Człowiek to bez przekonań i bez miłości, rządzący się rozkapryszoną tylko fantazyą“.

Od „natury wyższej i niepospolitej“, jaką chce widzieć w Szczęsnym prof. Tarnowski do „człowieka bez przekonań i miłości“ według prof. Tretiaka — prawdziwa przepaść. Czem ją wypełnić? Poeta nie wykończył nigdy dramatu, nie wyrównał rysów sprzecznych Szczęsnego; Hamlet mącił mu te rysy i zbyt narzucał własne. Fragmenty mają to do siebie, że je rozmaicie z rozmaitem powodzeniem uzupełniać można. Może najlepiej ocenił sam siebie Szczęsny w monologu (Akt I., sc. 4): „Patrząc na te gwiazdy dusza moja wyrywa się do nieba. Gdyby rozszerzenie i wzniosłość myśli, jaka przelatuje błyskawicami przez

[1] Szkice liter. I. Kraków 1896, str. 183—200.

moją duszę były naturalnym stanem człowieka i nie znikały ze słońcem, człowiek ten byłby wielkim bohaterem, a przynajmniej byłby szczęśliwy uczuciem wewnętrznem wielkości i dumy". Wyrywanie się do nieba, poprzestające w końcu na uczuciu wewnętrznem wielkości i dumy jest moralną sprzecznością. Być może, że Szczęsny dłużej żyjąc, a zwłaszcza działając, byłby się przekonał o tej sprzeczności i wyrywając się do nieba, byłby może rzucił o ziemię „wielkość i dumę".

Dwa sprawozdania literackie o książkach przepełnionych polityczną treścią zamykają tom „Rozpraw". „Roczniki polskie" należą do literatury emigracyjnej i ukazywały się pierwotnie jako „Wiadomości Polskie" (1857—61). Ocenił je prof. Tarnowski jeszcze w r. 1868, a to, że przedrukował swe uwagi po tylu latach, dowodzi wielkiego uszanowania dla „Roczników Polskich". Były bowiem one przez lat cztery jak żeby strażnicą polskich interesów i wewnętrznego życia Polski. „Nie gazeta to więc, ale raczej wszechstronny i zupełny obraz życia Polski przez ciąg ważnych bardzo lat czterech". Czytelnik znajdzie w uwagach autora o „Wiadomościach" ciekawą i trafną charakterystykę polityki Napoleona III., tem ciekawszą, że pisaną przed wojną francusko-pruską. Działaniom emigracyjnym poświęcił tu prof. T. krótką ale piękną wzmiankę, godną przypomnienia dziś zwłaszcza, gdy tak prędko zapominamy o zasługach emigracyi Polskiej z r. 1831: „Że te trudy zostały bez widomego, bez wielkiego skutku, o tem nie bez przekąsu lubimy sobie w kraju powtarzać; że nie przeszły bez śladu, że o Polsce mówiły, świadczyły, że jej nie dały zaginąć w pamięci i w sumieniu europejskich narodów, że przypominały ustawicznie jej prawa, jej krzywdy, jej znaczenie w świecie i dla świata, o tem nie radzi pamiętamy: że ten ciągły, z wielkim zaprawdę trudem utrzymywany związek Polski z Zachodem może jeszcze w przyszłości przydać się jej i bardzo, tego dziś rozumieć nie chcemy".

Równocześnie (1868 r.) napisana ocena „Rachunków" Bolesławity ma jeszcze więcej od poprzedniej cech politycznych, ale stanowczo mniej znaczenia na dziś. Do „Wiadomości Polskich" trzeba zaglądać, bo są tam „takie wzory języka, stylu i opracowania materyi, o jakie nigdy i nigdzie nie łatwo"; ale komu dziś zależy na „Rachunkach"? Kto badać zechce szczegółowo tę epokę, ten musi sprawdzić „Rachunki" i wtedy z pożytkiem odszuka w *Przeglądzie Polskim* z r. 1868 ich recenzyę. Tutaj, w tomie rozpraw i sprawozdań z datą 1895 r.

wydały nam się uwagi o „Rachunkach“ czemś tak strasznie przestarzałem, jak „fikcyjne prawa korony św. Szczepana do Galicyi“.

Sumiennie i obszernie zdaliśmy sprawę z treści tego pierwszego tomu „Rozpraw i Sprawozdań“ hr. Tarnowskiego. Treść ta jest bardzo obfitą, różnorodną i wogóle niezwykle interesującą. Nic nowego nie powiemy, jeśli dodamy, że forma zewnętrzna jest (jak zawsze) piękna i wykwintna — a przytem bardzo przystępna [1].

Dr. Józef Kallenbach.

Pogadanka o różnych książkach.

(St. Tarnowskiego, „O dramatach Schillera“ — St. Jachowicza, „Bajki. powiastki i pieśni“. — „A. E. Koźmiana Listy“, t. IV. — L. hr. Dębickiego, „Trzy pokolenia w Krakowie“. — M. Lityńskiego, „Sycylia, Szkice z podróży“. — St. Bełzy, „Obrazy Korsyki“. — K. Nitmana, „Grześ w legionach polskich“. — W. Pola, „Losy poczciwej rodziny“, — D-ra Karola Mátyása, „Podania z Szczepanowa“. — „Zapust, Popielec, Wielkanoc“. — „Wilia, jeden z jasnych dni chłopskiego żywota“. — „Motas, chłop-poeta“. — „Wesele Stalowskie“).

Książki, zebrane z redakcyjnego stołu, podobne są do gromadki podróżnych, którzy znaleźli się na pokładzie tego samego statku, choć każdy z nich jedzie z innego powodu i na inną odległość; zgromadziła ich przygoda i zbieg okoliczności. Nadesłane do redakcyi druki nie mogą stanowić dokładnego obrazu piśmiennictwa z pewnego okresu (mówiąc wyraźnie, z danej pory roku), boć od przygody zależy, co wydawcy i autorowie poślą do tej lub owej redakcyi, a czego wolą nie posłać. Pomimo to jednak i taki nawet przygodnie zebrany szereg druków może być pouczającym. Czyż owi podróżni, których nie

[1] Niektóre jednak błędy i pomyłki wytknąć trzeba z obowiązku recenzenta. Z ważniejszych wymieniam: *W* dwóch naturach, zam. *o* dwóch (str. 89); Egestim (str. 112); tym poważnym i smutnym, który znamy, zam. którego (str. 116); Wszystko, ale nie, zam. albo nic (str. 190); mutnem zam. smutnem (216); *sine acceptione* zam. *exceptione* (str. 237). Forma odczytowa wpłynęła czasem na niejasność okresu, który w stosownej intonacyi głosu mógł być zupełnie jasnym, ale dziś w czytaniu razi, np.: „ale wrażenie tego szaleństwa i prawdopodobnej jej śmierci (bo kochanka tego Hamleta niezawodnie jak Ofelia kończyła śmiercią) na Szczęsnym“ (str. 223).

łączy właściwie nic, nie nadają się do obserwacyi, czyż nie stanowią tematu do rozmyślań na temat kultury? Człowiek, umiejący się uczyć, dowie się niejednego szczegółu, wzbogaci swą myśl niejednem spostrzeżeniem, dokonanem na najzwyklejszej nawet wędrownej gromadce; trzeba tylko zrobić jedno zastrzeżenie: Podróże kształcą, lecz nie bezwarunkowo! Kształcą one człowieka już wykształconego, tj. wzmagają jeszcze bardziej jego wykształcenie; taki może snuć wnioski nawet na przygodnym materyale, bo zachowa stosowne środki ostrożności. Podobnież dla obeznanego ze stanem piśmiennictwa; zbiorek książek przypadkowo dobranych, może się stać punktem wyjścia do obserwacyj w zakresie wielkiej dziedziny atramentu, a to tem bardziej, gdy druki te należą do jednego języka, przez co są ułamkami jednego potężnego objawu i odłamu kultury, zwanego narodem.

Dwa są wielkie warunki rozkwitu literatury: związek z poezyą ludową i związek z literaturą powszechną. Nasza dzisiejsza literatura spełnia obydwa w dostatecznym stopniu. Nasi przedstawiciele nadobnego piśmiennictwa są dobrze obeznani z belletrystyką europejską, której też dzielnie dotrzymują kroku (takie moje zdanie). Inaczej jednakże ma się rzecz z nauką literatury; ta bardzo szwankuje, prawie niema jej całkiem. Wiadomo, że do dziś dnia nie posiadamy historyi literatury polskiej, cóż więc mówić o dziełach naukowych z zakresu powszechnej! *Rara navis in gurgite vasto,* wyszło właśnie dzieło St. Tarnowskiego „O dramatach Schillera“ [1]. Jest to rzecz, jednem słowem, znakomita i ze wszystkich tego autora dzieł — mojem zdaniem — najlepsze.

Estetyka poetycka niema nigdzie tyle pola do rozwoju, jak w literaturze dramatycznej, bo tu ma się do czynienia na każdym kroku z wszystkiemi jej kryteryami; toteż wielkie znaczenie autora, jako estetyka, okazuje się tutaj w całej pełni. Przedmiot obcy, nie grzejący ani ziębiący subjektywnych uczuć, ułatwia i pisarzowi i czytelnikowi utrzymanie się na poziomie naukowej akademickiej dyskusyi. Bardzo dobrze się stało, że przygodny zbieg okoliczności (chwilowe zastępstwo na katedrze literatury niemieckiej) podał autorowi ten temat. Ta sama tu estetyka, jak w rozprawach o Słowackim, ale w krew literatury naszej wejdzie ona dopiero przez tę książkę o Schillerze. Oby weszła jak najbardziej! Bogactwo treści jest tu tak wielkie, że, gdyby tę

[1] „O dramatach Schillera“. St. Tarnowski. W Krakowie 1896. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. (W 8ce, str. 395).

książkę pociąć i w odmiennym ułożyć porządku, powstaćby mogła teorya zupełna poezyi dramatycznej, popierana przykładami głównie z Schillera, ale także z innych dramaturgów. W literaturze zaś naszej niema dotychczas jasnego zrozumienia, czem jest ten dział poezyi i jakie warunki jego powodzenia. Każdy autor sceniczny powinienby się rozczytywać bez końca w tej książce.

Autor ma jednę wielką zaletę, że w sądach estetycznych jest ścisły i surowy. Jest to bardzo nieprzyjemne dla krytykowanych, lecz potrzebne dla dobra literatury, a jak najkorzystniejsze dla literatów, skoro każdy sąd jest obszernie motywowany. Nie znalazł też Schiller najmniejszego pobłażania. Zwracam zwłaszcza uwagę na rozdział o „Dziewicy Orleańskiej", gdzie surowo jest potępioną cała oś tragedyi, jej założenie, charakter bohaterki w pojęciu autora, obmyślenie niewłaściwego momentu tragicznego, nastrój ogólny utworu i zakończenie, słowem, wszystko. Ale też, gdy przy innych utworach nie brakowało sposobności podniesienia Schillera, równą miarką mierzono jego zalety i wady, ostateczny zaś wyrok o poecie, oparty nie na wadach, lecz na zaletach. W zakończeniu powiedziano pięknie: „Łatwo jest, i nieraz słusznie, romantyków ganić, trudniej im dorównać".

Wszystkie literacko-krytyczne prace Tarnowskiego to mają wspólnego, że szerzą kult wielkiej poezyi. On jest zresztą jedynym dzisiaj w Polsce estetykiem, który wie dobrze, a umie wyrazić dokładnie, na czem polega tej sztuki wielkość, czem się różni poeta wielki od średniego, średni od małego. Każda jego rozprawa jest bodźcem ku wyżynom, a miara estetyczna jego krytyk brana jest zawsze z wyżyn Olimpu, nigdy ze spodnich stoków boskiej góry. Przymioty te nigdy nie wystąpiły jednak tak jasno i tak organicznie, jak w dziele o Schillerze. Toteż pozostanie to dzieło dla potomności świadectwem, że krytyka polska nie zupełnie przestała chcieć dużo i sięgać daleko wtenczas, kiedy w całej reszcie Europy porzucono miarę Fidyasza. Potomni wdzięczni będą prof. Tarnowskiemu, jako estetykowi, za to, że miał wielkie wymagania, budził ambicyę i zawsze pokazywał, którędy się idzie — *ad astra*. Wygodnickim miernotom może to nie na rękę, ale kto kocha sztukę całem sercem, kto wyznaje zasadę, że nie ideał jest od tego, żeby go ku sobie zniżać, lecz artysta od tego, żeby się ku niemu wznosił, ten w surowej krytyce, byle jasnej i lojalnej, najlepszego znajdzie sprzymierzeńca i będzie ona mu szczeblem do dalszego wznoszenia się.

Nie mamy historyi literatury, ale mamy wyborną estetykę lite-

racką. Sam prof. Tarnowski historykiem literatury nie jest, ale jest estetykiem tak znakomitym, że go nam każda literatura pozazdrościć może. To uprzedzenie historyi przez estetykę jest zresztą zupełnie na swojem miejscu; wpierw trzeba wiedzieć, co sądzić o zdolności i artystycznej wartości autorów, a potem dopiero badać i konstruować historyę literatury.

My w Polsce czekamy zjawienia się wielkiego dramaturga z niecierpliwością, wzrastającą coraz bardziej, w ostatnich czasach dochodzącą do istnej newrozy. Dzieła nawet takie, jak to Tarnowskiego, nie wytworzą dramatycznego poety, bo to nie ludzka rzecz; poetą trzeba się rodzić. Jeżeli jednak urodziłby się nam taki poeta, książki podobne do omawianego dzieła byłyby mu dogodnym szczeblem do sławy grodu.

Sława różne miewa koleje; zestawianie sławy za życia z pośmiertną należy do najciekawszych studyów. Bywają sławy, które się rozpadają w gruzy po śmierci człowieka i niejeden mocarz znany jest później tylko zawodowym historykom. Bywa też, że skromny, niepokaźny człowiek rośnie w sławę coraz bardziej, choć kości jego już spruchniały. Pestalozzi i nasz Jachowicz tworzą dwa wzniosłe przykłady tego. Obchód setnej rocznicy urodzin Jachowicza napawał nas otuchą, wiarą w lepszą cząstkę natury ludzkiej, że przecież niekoniecznie trzeba na świecie błyszczeć, żeby coś znaczyć między ludźmi, lecz że wystarczy górować zapałem i cichem poświęceniem. Jachowicz nie miał ani „stanowiska“, ani dostatków, a jednak wybił swe piętno na społeczeństwie w właściwym sobie zakresie, imię zaś jego rośnie coraz bardziej w sławę. Objaw to bardzo dobrze świadczący o naszem społeczeństwie. Jubileuszowe wydanie Jachowicza „Bajek, powiastek i pieśni“ dokonane przez Fr. Majchrowicza[1], powinnoby znaleść się wszędzie, gdzie są polskie dzieci. Nigdy żaden pisarz, poświęcający swe pióro młodocianemu wiekowi, nie zebrał w małej książeczce tyle ziarn zdrowych, ile ten polski pedagog w swych powiastkach. Są krótkie, jędrne i odznaczają się niezwykłą prostotą; nie nudzą, one naprawdę dzieci bawią, rozwijają umysł, krzewią wyobraźnię, a niewidzialnie kierują sercem. Jachowicz niezrównany jest pod tym względem. Ale bo też to był wielki człowiek; w małym swym światku służył bowiem wiel-

[1] „Bajki, powiastki i pieśni“ Stanisława Jachowicza. Zebrał, wstępem o życiu i pracach autora poprzedził dr. Fr. Majchrowicz. Lwów 1896. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. (Str. X, 112).

kiej idei ze wszystkich sił swoich i dla tej idei obmyślał nowe drogi. Ideą tą było, żeby się przyczynić do wychowania ojczyźnie lepszego pokolenia i wskazać, jak polskie dzieci zawczasu przysposabiać do tego, ażeby godnie a bez znużenia dźwigały dalej brzemię odrodzenia narodu. U nas jeszcze on za mało ceniony i jeszcze nie dosyć rozpowszechniony i nie wyzyskany tak należycie i wszechstronnie, jakby należało; wzmagający się jednak w Galicyi kult Jachowicza pozwala tuszyć, że zajmie on niedługo naczelne miejsce w wychowaniu szkolnem. Trzeba dążyć do tego, żeby dokładna znajomość Jachowicza była warunkiem kwalifikacyi nauczycielskiej; zdarza się bowiem, że odnośne czynniki łamią sobie czasem głowę nad zagadnieniami, które dawno już rozwiązane zostały przez starego Jachowicza.

Korespondencye wielkich ludzi mają urok i wartość trwałą. Któżby przeczył? Trzech tylko Polaków korespondencye wydano u nas dotychczas na wielką skalę: jednego z XVI. wieku, kardynała Hozyusza, i dwóch z wieku XIX., a to: Adama Mickiewicza i Andrzeja Edwarda Koźmiana. Wcale się nie wypieram, że w tem zestawieniu jest intencya ironiczna. W *Przewodniku naukowym i literackim* drukowano korespondencyę A. E. Koźmiana od niepamiętnych czasów, teraz wyszedł oddzielnie tom jej IV. i ostatni [1]. Gdyby te cztery tomy wyszły były nakładem rodziny, możnaby sprawę wytłumaczyć pietyzmem familijnym. Korespondencya ta wychodzi jednak jako przyczynek historyograficzny do historyi lat 1829—1864. Bardzo słusznie, bo jest tam ciekawości rzeczywiście sporo, ale żeby drukować wszystko *in extenso*, to zabawne! Gdzie autor tych listów jadał i co jadał, jakie widział bale i z kim spędzał czas na spełnianiu banalnych obowiązków towarzyskiego życia, to dla potomności arcyobojętne i nikogo to nic nie obchodzi, bo A. E. Koźmian nie jest dość wielką postacią, żeby aż wszystko miało interesować, cokolwiek tyczy jego osoby. Należało podać tę korespondencyę w ekscerptach i jeden tom byłby wystarczył dla historyi najzupełniej. Wielkich nowin tam niema i niczego takiego, coby wpłynęło na konstrukcyę historyi porozbiorowej. (Senzacyjne niektóre wiadomości wymagają sprawdzenia z krytyczniejszych źródeł). Jest jednak doskonały obraz powierzchni życia politycznego i literackiego, a zbiór odnośnych ustępów stanowi rzeczywiście bardzo cenny przy-

[1] „Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana". IV. (1860—1864). We Lwowie 1896. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. (W 8ce, str. A—C, 696, XXI.).

czynek historyograficzny; szkoda, że tych ustępów trzeba dopiero wyszukiwać w powodzi banalności. Możnaby odpowiedzieć, że to źródła do historyi kultury XIX. w., a w takim razie każda drobnostka jest cenną. Ależ do historyi kultury XIX. w. znajdą się źródła lepsze od korespondencyi Koźmiana — o to nie trzeba się turbować.

Skarbczykiem ciekawych i wielce pouczających wiadomości jest książka Ludwika hr. Dębickiego, zatytułowana: „Trzy pokolenia w Krakowie“ [1].

Autor oie zajmuje się ogółem ludności krakowskiej; ogranicza się niemal wyłącznie do warstwy najzamożniejszych i nader rzadko tylko wykracza poza sferę salonową. Zarzucićby mu można, że dawszy się porwać tematowi, popadł w pewien kult salonu i bez krytyki patrzy na wszystko, cokolwiek z tej sfery wychodziło, przez szkła różowe. Celem jednak pracy nie było krytyczne przedstawienie sprawy, ale tylko dostarczenie informacyj, a te są obfite i wybornie zebrane. Praca obejmuje czasy od kongresu wiedeńskiego aż do r. 1863, pisana bardzo plastycznie, potoczyście i barwnie. Informacye autora są niewątpliwie autentyczne, bo opisuje, co sam widział i słyszał, a przynajmniej, co sam do swojej zalicza tradycyi; o takie zaś informacye z tej właśnie sfery dość trudno.

Znajdziemy tu niejeden ważny szczegół do wypadków porozbiorowej historyi, niejednę wiadomość cenną dla historyka. Autor traktuje swój przedmiot na tle ogólnego życia narodu; opisuje salon nie dla salonu, ale dla tego, że on jest także integralną cząstką społeczeństwa. A w tem krakowskiem „towarzystwie“ nie brakło też w żadnem pokoleniu ludzi wyższej wiary, o których pisać prawdziwą jest przyjemnością; ujęty urokiem ich pamięci patrzy autor z rodzajem epicznego pobłażliwego uśmiechu na tych, którzy nie dorósłszy do tej miary, niczem nie mogli być poza salonem: faktów atoli żadnych nie ukrywa, tylko komentarz pozostawia czytelnikowi, każe go sobie dośpiewać.

Przedmiot tej książki zasługuje na gruntowniejsze opracowanie; zapewne autor nie poskąpi nam tego trudu. W obszernej monografii znajdzie się też miejsce na krytyczne oświetlenie materyału, które jest koniecznie potrzebne, choćby tylko dlatego, że brak krytyki ze strony

---

[1] „Trzy pokolenia w Krakowie“, Ludwik hr. Dębicki. Kraków 1896. Nakładem redakcyi *Czasu*. Główny skład w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej“ (W 8ce, str. 173).

do krytyki powołanej, wywołuje krytykę zażartą i namiętną ze strony niepowołanej, co pożądanem nie jest.

Książka hr. Dębickiego jest sympatyczna i przez to, że wieje z niej szczególniejsza miłość starego Krakowa; jest to ten rodzaj przywiązania, który dać może tylko tradycya i bogactwo własnego doświadczenia. Takie lokalne sympatye są uczuciem bardzo pozytywnem, a w bilansie społecznym o wiele donioślejsze mają znaczenie, niżby się zdawać mogło na pozór; bez nich bowiem niema miejsca na elementarne podstawy pracy społecznej. Uważałem nieraz, że krakowskie mieszczaństwo za mało kocha swój Kraków, za mało ma, że tak powiem, krakowskiej ambicyi, tej ambicyi, żeby z Krakowa chcieć zrobić coś coraz lepszego dlatego, że to swoje miasto, że to właśnie Kraków. Bodaj, czy nie tem tłumaczą się wszystkie niemal ujemne objawy w życiu „gminy m. Krakowa". Przywiązania gniazdowego przykładem świeci hr. Ludwik Dębicki, pod tym względem nikt go nie przewyższy, niewielu mu dorówna.

Rzecz szczególna! W mieszczańskiej warstwie nie znajdujemy takich miłośników Krakowa. Ś. p. Walery Rzewuski był unikatem, a po jego śmierci — któż? Natomiast ze sfery hr. Dębickiego możnaby przytoczyć więcej przykładów nadzwyczajnego przywiązania do tego grodu. Ale dajmy temu pokój; mieszczaństwo nasze jeszcze się nie znalazło. Lud się zbudził, a ono jeszcze drzemie.

Ze spraw najbliższych przenieśmy się do dalszych, od krakowskiego bruku do — podróży!

Lektury treści geograficznej nie może być nigdy za dużo; jest ona bardzo kształcąca, bo nietylko rozszerza horyzont myśli, ale też wyrabia zmysł krytyczny przez porównywanie. Czyż warunkiem wszelkiego krytycyzmu nie jest właśnie oswabadzanie się z więzów, narzucanych tokowi myśli przez jedną chwilę i jedno miejsce?

Podróże nadają się niezmiernie do lektury, łącząc *utile dulci*. Trzeba jednak, żeby podróżnik wiedział, co opisywać, co w danym kraju jest naprawdę ciekawego. Tak np. podróż po Sycylii warto opisać natenczas, jeżeli się miało i czas i sposobność poznać tamtejsze stosunki agrarne, tudzież ogólny stosunek kraju i mieszkańców do królestwa włoskiego. Jesteśmy ciekawi, o ile Sycylia związaną jest z sabaudzkim Rzymem, co mu daje, co od niego bierze, czy węzły te są ścisłe, czy luźne; radzibyśmy dowiedzieć się, dlaczego dawny śpichlerz Europy przestał być wogóle spichlerzem i jak też wyglądają na miejscu

te sprawy, o których niedawno tyle rozpisywały się dzienniki. Ale w szkicach z podróży po Sycylii Michała Lityńskiego [1] o tem wszystkiem ani słychu. Więc może to opis Sycylii jako cząstki powierzchni ziemi? o jej górach i wodach, o przyrodniczych podstawach zaludnienia, o faunie i florze, o warunkach klimatu wreszcie? A może o przyczynach, dlaczego Sycylia jest piękną ziemią, dlaczego na mieszkańcu północy wywiera silne wrażenie? Ani o tem, ani o owem! Autor wpadł do Sycylii, jak po ogień, kupił bilet okrężny i z okien wagonu przypatrywał się krajobrazom; miał zapewne z sobą Baedekera, zajrzał do jakiego podręcznika i sprawa załatwiona. Przeciw takiej metodzie „robienia książek“ trzeba zaprotestować. Szkice z podróży nie mogą być notatkami spisanemi na podstawie przypatrywania się na prędce; podstawą ich musi być nauka i badanie! Podróżnik, pragnący napisać książkę o swej podróży, musi się do niej przygotować, zanim jeszcze wyruszy z domu, musi z góry ułożyć sobie szereg pytań, na które podróż ma mu dostarczyć odpowiedzi; nie przygodny, lecz celowy ma być układ książki! Opis Sycylii przez p. Lityńskiego zawisł nie od tego, co Sycylia ma w sobie ciekawego; ale od... rozkładu pociągów na kolejach sycylijskich. Gdyby o danej godzinie pociąg ruszał w innym kierunku, byłby nam autor opisał inną część tego kraju; a gdyby przypadkiem przez dwa tylko dni koleje żelazne w Sycylii nie kursowały — nie byłoby całkiem książki. Ani też w niej ładu, ani w niej składu. Nie jest to wcale a wcale ani opis Sycylii, ani nawet nie szkice z podróży po Sycylii, lecz po prostu przyczynek biograficzny do życia p. Lityńskiego, opisanie jego na Sycylię wycieczki.

Powiedzmyż wyraźnie, że co innego podróżnik, a co innego podróżny, czyli turysta. Turyści o tyle tylko mają prawo ogłaszać drukiem opisy swych podróży, o ile uczynią to w formie artystycznej (np. Sienkiewicza „Listy z Afryki“); kto z nich tego daru nie posiada, niechaj jeździ, pisuje (bo to szlachetna prywatna zabawka), lecz bezwarunkowo niechaj nie drukuje (bo to sprawa publiczna). Treścią wszystkich takich „podróży“ jest koniec końców zawsze zwiastowanie światu, co p. X. lub Y. widział. A co to kogo obchodzi?

Podróżnikiem posiadającym zawodowe do tego wykształcenie jest u nas np. prof. Siemiradzki, o którego ciekawej książce inne pióro na

[1] „Sycylia“ Szkice z podróży Michała Lityńskiego. Lwów 1896. Gubrynowicz i Schmidt. (W 8ce, str. 144).

tem miejscu podało niedawno sprawozdanie [1]; zresztą sami prawie turyści. Typem jednak turysty, który, dzięki talentowi i sumiennym studyom, coraz bardziej przekształca się w podróżnika, jest p. Stanisław Bełza, który obdarzył nas nową książką p. t.: „Obrazy Korsyki“ [2]. Podróż tę odbył on z planem, ułożonym z góry — plan też ten z całej książki przebija. Opisaniu przyrody korsykańskiej niejeden brak można zarzucić, ale stosunki społeczne wyspy przedstawione są doskonale. Opis ludności przeprowadzony na podstawie typów, których autor szukał, mozolne za nimi nieraz odbywając wycieczki. Vendetta i bandytyzm nie anegdotkami tylko scharakteryzowane, ale wyjaśnione dlaczego istnieją, czemu władza rządowa wykorzenić ich nie może. Stosunek Korsyki do Francyi uwzględniony należycie i opisany na podstawie najnowszych badań Pawła Bourde. Wynika z nich, że Korsyka dała wiele Francyi, za to Francya, a zwłaszcza Paryż, Korsyce — nic. Jest w pracy p. Bełzy dużo opisów w ciaśniejszem znaczeniu tego wyrazu, dużo opowiadania, anegdot wreszcie — ale to wszystko nie stanowi tu istoty książki, lecz jest tylko środkiem pomocniczym do zrozumienia natury Korsyki i jej stosunków. Opisując zaś, czyni to dokładnie i wszechstronnie

Autor jechał na Korsykę z Marsylii; rozpoczyna tedy książkę od charakterystyki tego miasta, uważającego się za najpiękniejsze we Francyi, i od opisu jego okolicy. Następuje podróż morska do Ajaccio, opis wybrzeża i archipelagu skalistych wysp w pobliżu tej stolicy Korsyki, której potem poświęcono dwa rozdziały. Kult Napoleona spotyka się tu na każdym kroku, autor więc słusznie zbiera dokładnie jego objawy. Ekonomiczne warunki życia mieszkańców przedstawione jasno; zwrócono też uwagę na przyszłość Ajaccia, jako miejsca klimatycznego. W trzecim rozdziale wprowadza nas autor w głąb wyspy, do Vizzavona i Boccognano, w czwartym do Monte d'Oro i Corte, w ostatnim wreszcie do Bastyi i Calvi. Te trzy rozdziały służą do scharakteryzowania ludu i kultury korsykańskiej, które to zadanie spełnił autor wybornie.

St. Bełza ma dar do opisów podróży, bo umie pisać plastycznie; z każdej z jego książek pozostaje w pamięci nietylko ogólne wrażenie, ale nawet utkwi w niej niejeden szczegół. Nadto posiada on estetyczne

---

[1] Por. *Przegl. Powsz.*, (1896) listopad, str. 279.

[2] Stanisław Bełza, „Obrazy Korsyki“. Warszawa 1896. Gebethner i Wolff. (W 8-ce, str. 232).

wykształcenie; artystyczny zmysł i zdolność odczucia piękna przyrody. Toteż lektura jego pism jest przyjemną i pozostawia po sobie pewien wdzięk w umyśle. Pospolicie przypisuje się to językowi autora, tymczasem nic mylniejszego! Można bardzo nieudolnym językiem rzucać szereg myśli rozbudzających zmysł estetyczny, podobnież jak najpiękniejszym językiem można pisywać bardzo brzydkie rzeczy. Autor „Obrazów Korsyki“ umie bardzo dobrze ugrupować przedmioty i zwrócić uwagę czytelnika na ich harmonię, umie oświetlić wszystko ze strony najbardziej się nadającej do pokazania i w tem tajemnica jego powodzenia. Tok myśli u St. Bełzy jest jasny i harmonijny — ale sposób wyrażania ich nie jest pięknym. Język jego rzadko kiedy jest dobrym, a bardzo często urąga wszelkim prawidłom polszczyzny.

Zabieram w tej sprawie głos, ponieważ zdarzyło mi się czytać kilka recenzyj wychwalających język autora. Typem jego stylistyki jest jednak takie np. zdanie:

„Nie przyjeżdża się na Korsykę dla zobaczenia jednego Ajaccio. Miasto to, acz interesujące niezwykle, już z tego jednego względu, że jest kolebką niepospolitego człowieka, acz położone w zakątku Europy, który zaklął w sobie tyle czarodziejskiego piękna, że obdzielić niem możnaby kilka miast, i każde z nich miałoby jeszcze pochwalić się czem przed światem — dla tego, kto się naraża na oddaloną morską podróż, do klasycznej ziemi wendetty i rozbójnictwa, dziś jeszcze mało w Europie znanej, a jeśli znanej, to z przerażającej powieści Merimego, pełnej zemsty, mordów i krwi, nie jest, zaiste być nawet nie może celem podróży, lecz pierwszym zaledwie jej etapem“ (str. 86).

Albo: „Żal to, czy litość, co w tobie piękne te rysy, bólami konania wykrzywione, wywołują, współczucie nad obezsilnioną przez wolę wyższą siłą, czy może ulgi uczucie, że ta druzgocząca po drodze swojej wszystko za życia moc, w niemocy leży teraz przed oczyma twojemi?“ (str. 30).

Ileż tu błędów przeciw składni zgody, ileż przytem nieostrożnych zestawień wyrazów, mących przejrzystość zdania! Wykracza też autor ciągle przeciw zasadniczym prawidłom polszczyzny: żeby orzeczenie było przy podmiocie i żeby nie używać zdań wtrąconych, a jak najmniej rzeczowników słownych. Pozwala też sobie kuć nowe wyrazy i to szpetne, jak np. owo „obezsilnione“.

Mamy przed sobą dowód, że co innego piękność języka, a co innego zręczne ujęcie przedmiotu, czyli plastyka. Język St. Bełzy jest

plastyczny; pięknym wcale nie jest! Recenzenci nie spostrzegli się i pomieszali jedno z drugiem.

Plastyka byłaby u tego autora jeszcze większą, lektura jego prac o wiele lepsze czyniłaby wrażenie, gdyby się pozbył dwóch narowów: nadużywania t. zw. frazesów i rozwlekłości. Czyż potrzeba trzech stronic druku, żeby powiedzieć, że w Ajaccio jest kobiet bez porównania więcej, niż mężczyzn? Siedmnaście wierszy druku na niepotrzebne zgoła pytanie retoryczne: Gdzież są mężczyźni? Zwiększanie objętości książki za pomocą t. zw. sosu literackiego (czyli po prostu gadaniny) — uwłacza autorowi tej miary, co St. Bełza. Warto to wytknąć, bo autor posiada inne przymioty tak cenne, że zasługuje w zupełności, żeby go traktować na seryo i krytykować nie po reportersku półsłówkami, lecz po literacku, poważnie a szczerze.

Mamy przed sobą nieco broszurek tyczących się ludu i pisanych dla ludu. Zacznijmy od tych drugich. Tyle już dziesiątek lat minęło, odkąd powstało pragnienie, ażeby wieśniak czytał! Czy wyniki podjętej w tym kierunku pracy są zadowalniające?

Fatalną było pomyłką, że celem zachęcenia ludu do czytania zabrano się do tworzenia jakiejś sztucznej literatury ludowej. Powstała cała biblioteka dziełek, że tak powiem, dydaktycznych, które trzeba było za darmo wieśniakom rozdawać, bo inaczej byłby ich nikt nie czytał! Powstał przesąd, że dla ludu trzeba pisać gorszym językiem, że treść trzeba dobierać tak zręcznie, żeby odczytanie książeczki zrobiło z wieśniaka to, czem go autor mieć pragnie. Takie nakręcanie chłopa przez książeczki umyślnie dla niego pisane, okazało się utopią; a jednak pokutuje ono jeszcze do dziś dnia. Pokutuje nawet w pracach skądinąd tak dobrych jak K. Nitmana: „Grześ w legionach polskich“ [1].

Ubogi Grześ kochał bogatą Halkę, a ta Halka pragnęła gorąco być jego żoną; on do niej przemawiał „rybeńko moja złota“ i zabawiał ją lekturą na pięknych książkach pożyczanych od księdza lub panicza ze dworu. Pyszny jednak ojciec Halki nie pozwala na związek z hołyszem. Grześ tedy szuka lekarstwa na swój ból osobisty w poświęceniu się dla sprawy publicznej i rusza do legionów; walczy we

[1] „Grześ w legionach polskich“. Opowiadanie historyczne z 1797 r. Napisał Karol I. Nitman. Lwów 1896. Nakładem Komitetu wydawnictw a dziełek ludowych. (W małej 8-ce, str. 164).

Włoszech, w Hiszpanii, bierze udział w wojnie moskiewskiej. Ranny nad Berezyną dowleka się o chłodzie i głodzie do rodzinnej wioski. Halka podstarzała żyje tu z dziećmi w ubóstwie. Wydał ją ojciec za bogatego parobka, ale to był hulaka, zły człowiek, a w końcu został podpalaczem i siedzi w więzieniu. Grześ dostaje od gromady grunt i chatę na własność, jako *panis bene merentis* za obronę idei narodowej.

Cała historyjka o Grzesiu i wyższej ponad pieniężne względy Halce — to oczywiście tylko ramki; treść właściwą stanowi opowiadanie o legionach. Jest ono napisane udatnie i niewiele w niem należałoby dodać, a mielibyśmy bardzo dobre popularne dziełko o tych czasach, na tle przygód legionisty Grzegorza. Nie sprzeciwiałoby się nic prawdzie dziejowej, bo w legionach wieśniaków rzeczywiście nie brakło. Temat nader ciekawy, dużo rozmaitych przygód, tak przez lud w książkach pożądanych; autor zaś ma prawdziwie zdolność do popularnego pisania, opowiada żywo, barwnie i dramatycznie, wyraża się jasno, zdania układa przejrzyście: słowem, mamy tu wszystko, co stanowi dobrą książeczkę ludową.

I dlaczegóż nie było na tem poprzestać?! Poco było psuć własne dzieło temi nieszczęsnemi ramkami o Halce! Zdawało się widać autorowi, że książka nie byłaby „ludową“, gdyby jej nie osadzić przy jakiejś chłopskiej chacie i nie zrobić „sielanki“! Napisał tedy rzecz w tej formie, że historya legionów jest niejako wielkim nawiasem w biografii Grzesia. Autor podziela powszechny przesąd, że polskiemu chłopu nie można dać książki p. t. „Legiony polskie“, ale koniecznie trzeba, żeby był „Grześ w legionach polskich“.

Otóż rzecz się ma przeciwnie. Chłop nie lubi, żeby go robić bohaterem tendencyjnych powiastek, wogóle nie lubi czytywać o chłopach. Spostrzeżmyż się raz, że wieśniak zżyma się, gdy ktoś z inteligencyi przemawia doń jego dyalektem; z tej samej przyczyny nie cierpi całej literatury słodkich powiastek osnutych niby na tle jego stosunków. Chętnie będzie czytać o jenerale Dąbrowskim, nie dla tego, że polski, ale dla tego, że w ogóle lubi w literaturze jenerałów i królewiczów, o Samosierze, o S. Domingo i o Berezynie słuchać będzie z wytężoną ciekawością, póki mu się nie zacznie opowiadać — o Grzesiach, jako takich.

A jeszcze jedno. Po co komitet wydawnictwa dziełek ludowych wypisuje na karcie tytułowej każdej książeczki: „Wydawnictwo ludowe“? Takie pouczanie ludu, że panowie każą dla nich drukować osobne chłopskie książki, jest wybornym środkiem... odstraszającym; co gor-

sza, jestto mimowolne podżeganie chłopskiej podejrzliwości. „Musi w tem coś być — że oni nie chcą, żeby chłop czytał na pańskiej książce, tylko osobne kazują dla nas robić“, tak rozumuje zwyczajny Mazur. Unika przeto „literatury ludowej“. Podejrzliwość może zniknąć, gdy Mazur bardziej oświecony, takich jednak jeszcze niewielu; ale wstręt do wszystkiego, co na tytule nazwane jest „ludowem“, pozostanie z innej przyczyny. Oto chłop oświecony uważa się za tak samo mądrego, jak surdutowcy i obraża się, że dla niego mają być jakieś osobne książeczki, że mu ofiarują jakiś (w jego mniemaniu) poślad literacki.

Skoro już wprowadza się chłopskich bohaterów do tendencyjnych powiastek ludowych, trzeba to robić przynajmniej przezornie. Gdy jednak Grześ strzałą miłości zraniony postanawia ruszać na koniec świata, każdy żyjący Grzela powie, że to czysty waryat! bo jak świat światem, nikt o takiej miłości na Mazurach nie słyszał. Gdy bohater Grześ zaleca się do posażnej Halki, a stary Grzęda kijem go od córki odpędza, po czyjejże stronie będzie sympatya Grzeli-czytelnika? Oczywiście po stronie kija, bo Grzela-czytelnik postąpi sobie w podobnym wypadku taksamo. Ale ten Grzela-czytelnik zaraz zmiarkuje, że autor innego jest zdania i że Grzędzie przygania, a staje po stronie Grzesia. Natenczas albo sobie pomyśli, że autor kpi z niego, albo też, że widać strasznie jeszcze młody i naiwny, świata nie znający; książkę zaś samą uważać pocznie za wytwór, że tak powiem rewolucyjny. Jakto? hołysze mają brać gospodarskie córki? A toby dopiero! Całą tradycyę, cały uświęcony wiekami porządek wiejski, powagę gospodarzy, „mores“ i rygor wioskowy — to wszystko ten pan do góry nogami wywraca; ładna mi książka! Niech sobie panowie po miastach wydają córki za ubogich młodzieńców, ale na wsi niech zostanie po staremu: grunt do gruntu. Wszelka sentymentalność jest w oczach ludu brakiem rozumu; warto, by o tem pamiętali autorowie książeczek „ludowych“.

Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej zerwało właśnie z fabrykacyą sztucznej literatury ludowej. Zaczęło od pięknej powiastki Wincentego Pola: „Losy poczciwej rodziny“ [1]. Proste to dzieło ma tę zaletę, że treść jego mówi sama za siebie; niema też tu tendencyjności

[1] Wincenty Pol. „Losy poczciwej rodziny, zdarzenie prawdziwe“. Kraków 1896. Wydawnictwo Krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej. (W 16-ce. str. 53).

w rzemieślniczem znaczeniu tego wyrazu. Postanowiło też to samo Towarzystwo wydać w taniem wydaniu cały szereg znanych powszechnie powieści historycznych, między niemi kilka Kraszewskiego (Bolesławity). Wyszedł już „Kordecki“ z tej seryi. Postanowienie tem rozumniejsze, że powieść historyczna stanowi właśnie ulubioną lekturę wieśniaczą, zupełnie tak samo, jak wśród inteligencyi.

Postanowienie to zasłużonego Towarzystwa jest punktem zwrotnym w sprawie szerzenia oświaty ludowej. Może inne podobne stowarzyszenia dadzą się też przekonać, a gdy raz pojmiemy nareszcie, że „ludowe“ znaczy li tylko: tanie i prostym a dobrym pisane językiem — natenczas książki zaczną się rozchodzić w setkach tysięcy egzemplarzy.

Autorowie, pisujący dla ludu, powinni dużo czytywać o ludzie, żeby się informować o swych czytelnikach. Należy w tym celu dobierać sobie lekturę całkiem przedmiotową, której nie brak już dzisiaj; mam na myśli coraz liczniejsze sumienne opisy wiejskiego życia, spisywane przez etnografów. Publikacye te mają znaczenie rozległe i doniosłe. Opracowywane metodą naukową, wytwarzają jakoby nowy rodzaj nauki opisowej, która się nie troszczy o wrażenia odnoszone z faktów przez nią stwierdzonych; nadają się tedy na szkołę dla każdego, bez względu na kierunek jego uczuć i stopień wrażliwości. Dopomagają słowem do znawstwa przedmiotu. Bywają one zimną wodą na nienaturalne zachwyty i czułostkowości, ale też zarazem zdołają wykorzenić niejedno niesłuszne uprzedzenie.

Wśród polskiej literatury etnograficznej od szeregu już lat zwracają uwagę studya dra Karola Mátyása. O kilku nowszych chcemy pomówić.

„Podania z Szczepanowa“ [1], rodzinnej wioski św. Stanisława, (drukowane niegdyś w *Przeglądzie Powszechnym*), są ciekawym przykładem, jak lud wszystko asymiluje do swoich stosunków. Święty męczennik, gdy za młodu chodził do szkoły, ma brać plagi od „profesora“, za Wisłą rwie groch na polu, wspina się na lipę i t. p. To jeszcze nic; ale cóż powiedzieć na to, że królowa Saba i święta Hanna były polskiemi królowemi! Ta zdolność „przekręcania“ rzeczy w taki sposób jest właśnie oznaką wielkiej siły cywilizacyjnej, która drzemie w tym ludzie; wnosić z tego należy, do jakiego stopnia ten lud potrafi przyswajać sobie

[1] „Podania z Szczepanowa“. Zebrał Dr. Karol Mátyás. Kraków, nakładem autora. 1895. (W 8-ce, str. 17),

wszelkie pierwiastki, ale nie naśladując niewolniczo, lecz przetapiając niejako na swoje, na rodzime; potrafi — gdy oświata posunie się wyżej, o dużo wyżej.

Szczepanów jest a raczej był pełen tradycyj historycznych. Tu natrafimy jednak na rzecz bardzo przykrą. Oto, co pisze autor: „Podania o królu Kazimierzu Wielkim lub Bolesławie Śmiałym, albo o spiącem w górze polskiem wojsku, podania, które starzy czasem sobie opowiadają, nie bawią młodych; młodzi nie słuchają ich, nie znają ich, a przeto nie będą mogli podać ich przyszłemu pokoleniu. Nić tradycyi historycznej dziś zrywa się". Widać że pod wieśniaczą strzechą dzieje się zupełnie to samo, co wśród warstw ukształconych. Gdzież dzisiaj u nas nie zrywa się nić tradycyi historycznej? Czy po szlacheckich dworach dużo jej jeszcze zostało? ależ ona tam już należy do wyjątków! To samo widzimy w miastach; nawet w tak historycznem mieście jak Kraków, pozrywała się tradycya. To stanowczo źle; ale fakt faktem, trzeba się z nim liczyć. Cały naród przechodzi przez kryzys i zatraca nić tradycyi, równocześnie gdy pracuje nad odrodzeniem charakteru narodowego. Uznaliśmy nasze błędy, pragniemy zwiększyć dawne zalety i nabyć szereg nowych; odbyliśmy ciężki rachunek sumienia narodowego z pomocą historyi. A oto przerywa się tradycya właśnie w tem pokoleniu, które najbardziej nad historyą pracowało. Jest u nas przełom; my chcemy być innymi na przyszłość, niż byliśmy dotychczas. Jest w tej pracy całego narodu nad samym sobą coś tak wspaniałego, że historya tego ruchu będzie należeć kiedyś do imponujących ustępów w historyi. Czy w tej pracy nie popełniamy tu i ówdzie błędów? Oczywiście, boć wszystko, co ludzkie, jest zarazem ułomne. Ułomnością naszego dążenia do poprawy jest, że z przesadną surowością zwracamy się ku przeszłości, a uprzedzeni względem niej, mamy niejako intencye dopatrywać się błędów we wszystkiem, czegokolwiek tkniemy. Kamieniami rzucamy nieraz tam, gdzie wystarczyłoby wyrazić ubolewanie. Nie wyrzekamy się przeszłości, ale się jej w znacznej części zarzekamy i coraz częściej lubimy się jej zarzekać. Wchodzi to coraz bardziej w zwyczaj niejako, a wychodzi na to, że zarzekamy się też niejednego, co wcale a wcale nietylko nie zasługuje na potępienie, ale nieraz byłoby godnem zachowania. Cóż począć? Gdzie drwa rąbią, drzazgi lecą; byle tylko w ostatecznym rezultacie suma pozyskana nowego dobra przeważała sumę utraconego dobra dawnego. Trzeba się poddać konieczności i być przygotowanym na to, że utracimy wiele z tradycyi. Ale i ta rezygnacya musi mieć

swe granice i należy wytężyć wszystkie siły, żebyśmy zbyt prędko nie utracili całej tradycyi; w takim bowiem razie zanikłby dawny polski charakter, zanimby wytworzył się nowy i bylibyśmy narodem — bez charakteru.

Daleko nas zawiodła drobna książka etnograficzna, ale każda książka jest przecież od tego, żeby pobudzała do myślenia.

Tarnobrzeski powiat obrał sobie dr. Karol Mátyás za główne pole swych badań. W drugiej broszurze: „Zapust — Popielec — Wielka Noc — kilka zwyczajów ludu w Tarnobrzeskiem [1]", stwierdza w przedmowie, że utracyuszostwo karczemne zmniejszyło się tam pomiędzy ludem, co oby o każdej ziemi dało się powiedzieć! W dokładnym opisie zwyczajów i obyczajów ludowych znowu zwraca uwagę fakt, że niejeden zwyczaj wychodzi już z użycia; kilka razy bowiem spotykamy się z spostrzeżeniem, uczynionem przez autora, że tak bywało przed laty jeszcze kilkunastu, a nawet tylko kilku, a dziś już tego lub owego zaniechano. Przyznać jednak trzeba, że w Tarnobrzeskiem wychodzą z użycia zwyczaje takie, które najmniej mają zdrowego sensu i niema się czem trapić; owszem, uważajmy to raczej za skutek wzrostu oświaty ludu wiejskiego. Dostrzedz też można, że zwyczaje ludowe dążą szybko do uproszczenia; a czyż nie tak samo jest między inteligencyą?

Zwyczaje życia towarzyskiego przechodzą zazwyczaj od warstw wyższych do ludu. Użyjmy wyrażenia całkiem nowoczesnego i powiedzmy, że pod tym względem lud ma spóźnioną modę. W starym Reju z Nagłowic opisano niejedno, jako zwyczaj szlachecki, co dziś znajdujemy opisywane w zbiorkach zwyczajów ludowych. Ceremoniał towarzyski ludowy, zawiły a pedantyczny nad miarę, co więcej, przywiązywanie wielkiej wagi do obserwowania go jak najściślej — przypomina czasy, kiedy Hiszpania nadawała ton Europie. Tak jest, mówię wyraźnie: ludowy ceremoniał towarzyski, chłopskie *savoir-vivre*. Jest ono rozwinięte bez porównania bardziej od naszego, a „dobrze wychowany", czyli, jak lud mówi (a tak samo mawiał Rej) „polityczny" wieśniak krępuje się na każdym kroku tysiącem regułek, które przewidują każdy jego krok niemal, ilekroć znajduje się w położeniu równoległem do tego, które my oznaczamy wyrażeniem: być w towarzystwie.

---

[1] „Zapust — Pópielec — Wielkanoc". Kilka zwyczajów ludu w Tarnobrzeskiem. Napisał Dr. Karol Mátyás. Lwów. Nakł. Towarzystwa ludoznawczego 1895. (Str. 22, w 8-ce).

Obecne upraszczanie ceremonialności może uchodzić za dalszy ciąg prądu wszczętego przed laty 50 przez inteligencyę; jeżeliby się zaś okazało, że upraszczanie to postępuje po wsiach szybko, należałoby z tego wysnuć wniosek, że przedział pomiędzy miastem a wsią u (nas możnaby powiedzieć: pomiędzy dworem a chatą) zmniejsza się — przynajmniej pod tym względem. Przedziału tego bowiem kryteryum jest rachuba czasu, a mianowicie różnica chronologiczna towarzyskiej mody sielskiej od tej doby, kiedy ten sam zwyczaj był w modzie u szlachty, a choćby na dworze królewskim. Zdaje się, że ta różnica chronologiczna zmniejsza się coraz bardziej, a w niektórych okolicach nawet raptownie.

Tegoż autora „Wilia, jeden z jasnych dni chłopskiego żywota“ [2], samym już tytułem mówi wiele, może nawet za dużo. Ile bowiem ma być jasnych dni w czyjemś życiu, to nie zależy od tego, w jakim stanie kto się rodził; jest coś sentymentalnego w tym tytule, a trzeba jeszcze wziąć na uwagę, że z pracy tej dowiemy się, jakto włościanie kilka godzin tego dnia spędzają w karczmie, więc nie bardzo... jasno. Zdaje mi się, że wilia, jako „dzień jasny“, oddziaływać może zarówno na inteligencyę, jak na lud; dlatego też niewłaściwie, mojem zdaniem, książeczka p. Mátyása zaczyna się od ustępu, pisanego w poetycznym nastroju na temat, że wilia rozjaśnia szare życie chłopa. A czyjegóż nie rozjaśnia? Z ustępem tym możnaby zrobić ciekawy eksperyment. Zamiast słowa: chłop, powpisywać wszędzie: szlachcic, zamiast chata dać dworek i odczytać; ustęp nie straci nic a nic sensu. Tak samo można zrobić doświadczenie z wyrazami: rzemieślnik, kupiec, literat etc. i zawsze wyjdzie na to samo, bo to nie chłopska rzecz, lecz wogóle chrześcijańska. Wszyscy mamy swoją „dolę“, choć nie wszyscy przed wilią „suniemy do karczmy“.

Krótka ta rozprawka jest tak dokładnym i ścisłym opisem zwyczajów przywiązanych w danej okolicy do świąt Bożego Narodzenia, że pod tym względem niewiele może mieć sobie równych. Wszystkie zaś studya etnograficzne dr. Mátyása cechuje jędrność i zwięzłość, zaleta w tym rodzaju literatury, niestety, wcale nie powszechna.

W broszurze „Zapust — Popielec — Wielkanoc“ cytował autor często chłopskiego poetę Tomasza Walskiego w Stałach; są to ciekawe

---

[1] „Wilija. Jeden z jasnych dni chłopskiego żywota“. Napisał Dr. Karol Mátyás. W Krakowie. W drukarni „Czasu“ 1895. Nakładem autora. (Str. 16, w 8-ce).

rymoróbstwa, z satyrycznem zacięciem. Wiejskich rymotwórców jest wśród milionów polskiego ludu niewątpliwie kilka tysięcy, co jest rzeczą bardzo prostą wobec faktu stwierdzanego przez całą historyę powszechną, że ludzie zawsze najpierw pisują mową wiązaną, a później dopiero niewiązaną. Stylistyka poetyczna jest starsza od prozaicznej. Dziś wśród naszego ludu niema jeszcze ani jednego średniego prozaika, ale jest już kilku znanych dobrych poetów, lepszych od niejednego z zachwalanych przez warszawskie tygodniki.

Dr. Mátyás „odkrył" dla literatury jednego takiego poetę i robi mu słuszną reputacyę w broszurce p. t.: „Motas, chłop-poeta" [1]. Piękna dusza, zdrowy rozum i inteligentne poczucie formy w tym wieśniaku: otuchą serce wzbiera, gdy się widzi, że tacy się rodzą pod strzechami. Wyższy o szczebel od swego otoczenia, chociaż z niem najzupełniej zrośnięty, jest jakoby okazem, jakiem mniej więcej będzie następne pokolenie... jeżeli bieg rzeczy nie dozna spaczenia.

Poetyczne usposobienia u ludzi dojrzałych należą do wyjątków we wszystkich warstwach jednako; pamiętać o tem trzeba i ani nie przypuszczać, jakoby lud wogóle był poetycznym; nie jest on pod tym względem wcale lepszym od inteligencyi, a gruby materyalizm przeważa u niego podobnież jak wśród nas.

Doskonałym tego okazem jest tegoż etnografa: „Wesele Stalowskie" [2]. Lud tarnobrzeski spowiada się tu przed nami, jak się zapatruje na ważną sprawę małżeństwa. Kubek w kubek to samo, co pomiędzy inteligencyą! Żona powinna nietylko mieć na swoje utrzymanie, ale majątkiem swym przyczyniać się do utrzymania męża; uroda nie stanowi wprawdzie przeszkody do małżeństwa, ale jest sprawą drugorzędną wobec brzęczących argumentów. Serce jest od kochania, a od żenienia jest rachunek: kochanie istnieje, ale chodzi sobie swoją drogą, a żenienie swoją drogą. O posag można się nietylko kłócić, ale nawet procesować; oszustwo zaś w sprawach posagowych jest dozwolone najzupełniej. Polowanie na mężów i żony, zięciów i synowe kropka w kropkę takie samo, jak wśród „śmietanki społeczeństwa". Ani pod tym względem lud nie jest lepszy od warstw t. zw. wyższych.

Pod jednym jednakże względem przewyższa nas ten lud o dużo.

---

[1] Dr. Karol Mátyás. „Motas", chłop-poeta. Kraków, nakładem dwutygodnika ilustr. *Świat* 1894. (Str. 16, w 8-ce).

[2] Dr. Karol Mátyás. „Wesele Stalowskie." (Odbitka z tomu IX. „Wisły"). Warszawa. Druk Józefa Jeżyńskiego. 1895. (St. 24, w 8-ce).

Oto — nie kłamie, nie udaje, ale bez osłonek powiada co myśli; niema u niego hipokryzyi poświęcenia; samolubstwo występuje jawnie. Postępuje tak, jak za stosowne uważa, nie pozostaje w sprzeczności sam z sobą i prawie nigdy nie rozumie, że możnaby postępować inaczej, lepiej. Zasadnicza różnica inteligencyi a ludu zdaje się polegać u nas na tem, że podczas gdy my jesteśmy obłożnie chorzy na choróbsko: *video meliora proboque, deteriora sequor;* lud *sequitur, quae probat.* Niema tam rozdźwięku ducha, niema sprzeczności wewnętrznych.

Do takich wniosków dochodzi się z lektury etnograficznej, wśród której prace dra Mátyása zasługują na wyróżnienie jak najzaszczytniejsze.

Jak będzie jutro? Czy lud dostrzegłszy i zrozumiawszy *meliora*, przylgnie do nich, czy też wkroczy w ślady „starszej braci"? Ha, tego już z żadnej lektury wyczytać się nie da!

Dr. Feliks Koneczny

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Sittlichkeit auf dem Lande. Von *C. Wagner,* Pastor. 4-te Auflage. Leipzig. Verlag von R. Werther. (W 8-ce).

Na pytanie, jak wygląda wieś dzisiejsza, spotkać się można na Zachodzie coraz częściej z odpowiedzią, że wsi niema już wcale. Gdzież się ona podziała? Jedni mówią, że powędrowała do miasta, a drudzy, że miasto jak wielki polip pochłonęło wieś zupełnie. Wychodzi to na jedno, bo ostatecznie czy wieś sama rzuciła się w paszczę miejską, czy ona jej na miejscu dosięgła, zawsze pozostaje ten rezultat, że miasto wieś pochłonęło.

Oczywiście nie chodzi tutaj o samo zniknięcie tej „wsi spokojnej, wsi wesołej", której dawny urok tylu poetów opiewało, o zatarcie się dawnego romantycznego charakteru wsi w czasach tak prozaicznych jak dzisiejsze, w wieku pary i elektryki. Biadają nad tem już od dawna estetycy jak np. Vischer, biadają powieściopisarze i poeci, ale socyologowie wcale ozięble traktują tę stronę metamorfozy stosunków, a przynajmniej nie okazują żywego współczucia dla tych żalów. Dla nich społeczne konsekwencye stanowią główne pole obserwacyjne. A jest ono tak ważne i ciekawe, że po słuszności należy mu się pierwszeństwo.

Możnaby zarzucić, że dla nas sprawa ta nie jest jeszcze tak

aktualną, jak na zachodzie Europy, albo, ściśle rzecz biorąc, jest aktualną więcej, jeżeli nie wyłącznie, ze strony estetycznej, o ile chodzi właśnie o zanik romantyczności wiejskiej (o ową opiewaną przez poetów „wieś spokojną, wieś wesołą"). I u nas wprawdzie wieś korzysta z ułatwionej niesłychanie lokomocyi, wędruje także powoli ku miastu, a polip miejski coraz więcej ramiona swoje rozszerza. Wszystko to jednak odbywa się na małą skalę w porównaniu z zachodnią Europą, gdzie wielkie ogniska przemysłowe z krociową ludnością powyrastały jak grzyby po deszczu i już drugie z rzędu pokolenie wiejskie ściągają do siebie jako materyał robotniczy.

Co jednak dziś u nas dopiero kiełkować zaczyna, to w krótkim czasie rozwinąć się może na stopę zachodnią. Prędzej niż prądy polityczne, zakreśla ewolucya przemysłowa szerokie kręgi ku wschodowi, a nadto kiedy pierwsze natrafiają na zapory, z któremi długo walczyć muszą, druga ma drogę otwartą przed sobą, jest z natury rzeczy w tryumfatorskim pochodzie swoim nietylko wszędzie tolerowana, lecz nawet z otwartemi ramionami witana i na każdym kroku forytowana. Niema prawie kraju w wschodniej Europie, któryby nie pragnął stanąć jak najprędzej na jednej wyżynie rozwojowej pod względem przemysłowym z krajami, które go wyprzedziły. Wobec niezmiernych korzyści, uśmiechających się stąd na pewne, nikt przecież nie będzie naprzód myśleć o akcesoryach ujemnych, które do pewnego stopnia są nieuniknione, ale przy roztropnem wyzyskaniu doświadczeń na zachodzie poczynionych, dadzą się może jeżeli nie zażegnać zupełnie, to przynajmniej zneutralizować. Zresztą o owych akcesoryach prawią najwięcej moraliści, a ich głosy i przestrogi tak łatwo zagłuszyć i zdyskredytować wśród dzisiejszego pokolenia, tak nie lubiącego się oglądać na jutro, a tak przytem skorego do wyzyskania tego wszystkiego, co chwila obecna daje i czego w całej pełni użyć pozwala.

A jednak może więcej wypadałoby się liczyć z głosami tego rodzaju, bo już obecnie, chociaż nam jeszcze daleko do stosunków zachodnio-europejskich w złem tego słowa znaczeniu, nie braknie symptomów, świadczących o pewnem obniżeniu poziomu moralnego w życiu ludności wiejskiej. Stoją jeszcze wprawdzie silnie główne podstawy zdrowia moralnego, jak kościół, dom i rodzina, ale któż zaprzeczy, że pewne zluźnienie rygoru pod tym względem spostrzegać się daje nietylko w najbliższem otoczeniu nielicznych jeszcze ognisk przemysłowych, miast w ogóle, lecz także w odleglejszych promieniach? Główny powód złego stanu za granicą, uruchomienie ludności, spowodowane wielkim

rozwojem przemysłu, objawia się tylko sporadycznie, ale drugi, wspólny dziś wszystkim krajom europejskim tj. powszechna służba wojskowa, zaprawiająca młode pokolenie do wszystkich przywar życia miejskiego, działa wszędzie jednakowo. Można z predylekcyi dla życia miejskiego łagodzić podnoszony przeciw niemu zarzut, że jest ono szkołą wszelkiej niemoralności, ale przy największej pobłażliwości dla tego życia i przy stanowczej nawet adoracyi dla rozkwitu miast, jako dodatniego objawu kulturalnego rozwoju. nikt tego nie zaprzeczy, że kilkuletni pobyt w mieście z takiemi przywilejami swobody ruchów i życia wogóle, jaki wszędzie daje zawód żołnierza, wszczepia w młode, niewyrobione, bardzo podatne a wskutek nizkiego stopnia inteligencyi mniejszą siłą odporną w znaczeniu moralnem wyposażone natury wiejskie, jad wszelkiego zepsucia w stopniu mniejszym lub większym, a tem samem w sposób utrudniający mniej lub więcej, zawsze jednak znacznie, odzyskanie zupełnego zdrowia moralnego, pierwotnej czerstwości moralnej, po powrocie do dawnego otoczenia i dawnego życia.

Można być jeszcze optymistą w ocenianiu naszych stosunków wiejskich pod względem moralnym zwłaszcza w porównaniu z tem, co się na Zachodzie dzieje, ale wobec zaraźliwości złego niewolno odwracać oczu od odstraszającego przykładu, jaki daje dziś najbliższe nam z tytułu sąsiedztwa społeczeństwo niemieckie.

Jak to? — zawoła czytelnik. Niemcy miałyby dawać przykład odstraszający, te same Niemcy, które nieustannie chełpią się słowami cesarza Wilhelma I., że stanowią „kraj bojaźni bożej i dobrych obyczajów“, że zatem niejako zachowały dotąd to żelazne zdrowie moralne, jakie Tacitus przypisywał Germanii w chwili jej zetknięcia się ze strupieszałym już światem rzymskim w znanem zdaniu: *Plus ibi valent boni mores, quam alibi bonae leges* (Więcej tam znaczą dobre obyczaje, aniżeli gdzie indziej dobre ustawy).

Że jednak mimo to wszystko tak jest, jak wyżej powiedzieliśmy, na to są niezbite klasyczne dowody, pochodzące od samych Niemców. Już dawno bowiem potworzyły się w Niemczech, najczęściej z inicyatywy i ze zachęty pastorów, osobne towarzystwa, zajmujące się badaniem złych stosunków wiejskich pod względem moralnym i wyświeceniem przyczyn złego dla obmyślenia środków zaradczych. Na wspólnej konferencyi delegatów tych towarzystw ułożono przed kilku laty kwestyonarz z pytaniami, wyczerpującemi główny przedmiot badań a otrzymany w ten sposób materyał informacyjny opracowany i wydany został w kilkutomowem dziele. Wstęp do tego dzieła a raczej treściwe

resumé zawartego w niem materyału, który obejmuje tylko protestancką część Niemiec, stanowi książka pastora C. Wagnera, jednego z najgorliwszych propagatorów intensywnej akcyi na tem polu, wydana w krótkim czasie aż w czterech nakładach p. t. „Moralność na wsi".

Pierwsze zaraz wrażenie, jakie nieuprzedzony czytelnik odnieść musi z tej, jak widać z liczby nakładów, bardzo popularnej książki, zamknąć możnaby w jednem słowie a raczej w jednym wykrzykniku: *Horrendum!* Nawet czytelnik niezupełnie nieuprzedzony wobec Niemiec musi w końcu przyjść do przekonania, że stosunki społeczne składają się tam na obraz gorszy, aniżeli sobie wyobrażał.

Nie możemy dać obszerniejszego sprawozdania z tej książki, gdyż sam autor w przedmowie daje do zrozumienia że rzeczy nie obwijał w bawełnę i sytuacyi nie upiększał, a zdrożności wyliczał pod właściwem mianem, wskutek czego książka jego nie w każdem ręku znaleść się powinna. Jestto przestroga aż nadto wyraźna dla wszystkich, których taka lektura, podjęta bez poważnego celu badawczego, dla samej tylko ciekawości, niezawodnie zgorszyćby musiała.

Uderzającym symptomem zwichnięcia dawnych stosunków wiejskich wskutek wpływu miast jest przedewszystkiem fakt, że, co zazwyczaj uważane bywa za smutny rys charakterystyczny samych miast, zwłaszcza fabrycznych, mianowicie brak mieszkań przestronnych, wskutek czego w jednej ciasnej izbie tulić się muszą całe rodziny, osoby różnego wieku i różnej płci, to dziś stało się już w Niemczech także plagą wsi. Że taki stan rzeczy nietylko sprowadza następstwa dla stosunków zdrowotnych szkodliwe, lecz nadto wytwarza już w domu pierwszą i najgorszą, bo młode istoty ogarniającą szkołę zepsucia *(corruptio optimi pessima!)*, nad tem rozwodzić się niepotrzeba. Że dalej stan ten jest we wsi niemieckiej już nie wyjątkiem, lecz zwyczajnem, w różnych prowincyach powtarzającem się zjawiskiem, na to wskazuje sam fakt, iż autor nasz porusza potrzebę interwencyi państwowej przez ustanowienie osobnych inspektorów publicznych dla kontrolowania wiejskich stosunków mieszkalnych i że pod tym względem nie jest ze zdaniem swojem odosobniony, lecz owszem powołuje się na głosy wielu kolegów swoich w pastoralnym zawodzie.

Z takiej szkoły zepsucia, jaką stanowi mieszkanie przepełnione osobami różnej płci, mianowicie ze służby wiejskiej, wychodzi pokolenie, dla którego instytucya małżeństwa straciła już dawny rygor moralny. Wskutek tego w związku z mnogiemi innemi przyczynami, mia-

nowicie z ową z miast do wsi zaniesioną swawolą w sposobie zabawiania się i wogóle w całym trybie życia, powstało formalne zdziczenie obyczajów, niejako cofnięcie się wstecz w pojmowaniu stosunku mężczyzny do kobiety. Ustawodawstwo ultraliberalne przyczyniło się do tego także przez wysunięcie na pierwszy plan cywilnego charakteru związków małżeńskich, na czem zdaniem naszego autora kościelna powaga ślubu i cały wpływ pastorów najwięcej ucierpiały. Wszystko to składa się razem na ten smutny objaw, że zawieranie małżeństw po formie prawnej uchodzi w okolicach z protestancką ludnością już niejako tylko za sformalizowanie faktycznego stanu rzeczy, za nadanie charakteru formalnie-prawnego zawiązanemu już przedtem i bez wszelkich skrupułów jawnie prowadzonemu dzikiemu pożyciu wspólnemu. Swoją drogą taka deprawacya małżeństwa znalazła już przed najściem wsi przez miasto grunt podatny w upośledzonem traktowaniu kobiety w kołach ludności wiejskiej. W niektórych okolicach Niemiec np. istnieje stare ludowe przysłowie, którego sens moralny ujęty w wierszowaną formę tak opiewa, że niewielka to szkoda, jeżeli kobieta umrze, ale biada temu, komu szkapa zginie.

Z rozprawy Wagnera, opartej na dokładnem zbadaniu faktycznych stosunków, pokazuje się, że — co po scharakteryzowanem wyżej sponiewieraniu instytucyi małżeństwa dziwić nie może — ludność wiejska w Niemczech nietylko zna, lecz co ważniejsza, uznaje za uprawniony i wszelkiemi środkami podtrzymuje również ohydny a dotąd przez Niemców z obłudnem zgorszeniem francuskiemu społeczeństwu wytykany „system dwojga dzieci“

Można sobie wyobrazić, ile brudu moralnego streszcza w sobie fakt, że na rozległych obszarach Niemiec włościanin uważa to za akt przezorności i rozumu, aby małżeństwo nie doprowadzało do powstania licznego pokolenia. Wagner z obrzydzeniem stwierdza, iż jak to już przed nim Bebel podniósł, ten sam włościanin niemiecki, który nietylko cieszy się bardzo, lecz nawet dumny jest z tego, gdy na oborze przybytek w danej chwili jest większy niż dotąd, frasuje się przyjściem na świat trzeciego lub czwartego dziecka, a już w desperacyę popada na wiadomość, że nadliczbowe dziecię jest płci żeńskiej.

Nasz autor radby tę ohydną maksymę pożycia małżeńskiego w protestanckiej wsi niemieckiej przedstawić jako importowaną z Francyi w czasie wojen napoleońskich, ale że jest sumienny i dbały o prawdę, jako niezbędną podstawę dla obmyślenia trafnej akcyi sanacyjnej, więc

nie upiera się przy tem, lecz owszem zaznacza, iż za powstaniem tej maksymy w Niemczech po wojnie siedmioletniej bez wpływu obcych przykładów przemawiają wiarogodne przedstawienia historyczne. Gdyby autor był mniej sumiennym mógłby był w współczesnych niemieckich publikacyach historycznych znaleść podstawę do zwalenia winy na — Polaków i byłby w ten sposób poszedł tylko za śladem ks. Bismarka, dla którego źródłem wszystkiego złego są Polacy. Żeby ta uwaga nie zakrawała na koncept żartobliwy, przytaczamy na dowód rozprawę Beheim-Schwarzbacha, drukowaną w r. 1892 w roczniku niemieckiego towarzystwa historycznego w Poznaniu, o stanie ziemi nadnoteckiej w czasie pierwszego podziału Polski. Niemiecki historyk opierając się na inwentarzach, które Fryderyk II. po zajęciu tej ziemi z nowej posiadłości swojej spisać kazał, doszedł do tego rezultatu, że panował tam w chwili uszczęśliwienia ludności rządami pruskiemi barbarzyńsko-polski „system dwojga dzieci“. Tymczasem krytyka umiejętna d-ra K. Krotoskiego (w ostatnim zeszycie *Kwartalnika Historycznego*) wykazała w sposób niezbity, że niemiecki historyk nie połapał się na tem, iż owe inwentarze, obejmujące zresztą także i ówczesne osady niemieckie ziemi nadnoteckiej, nie zawierają dat prawdziwych, gdyż ludność z obawy przed pruskiemi planami administracyjnemi ukrywała prawdziwy stan rzeczy. Zdaje się, że nasz autor nie wiedział nic o tym artykule, gdyż sam także w rozprawie swojej zdradza polonofobię, która nie pozwoliłaby mu była pominąć takiej gratki. Polonofobia ta objawia się mianowicie w ustępie zalecającym w celach umoralnienia ludności wiejskiej taką poprawę losu robotników rolnych, aby nie potrzebowali emigrować do miast lub nawet do Ameryki. W ten sposób — mówi Wagner — zapobieżonoby także niebezpieczeństwu polonizacyi (na Pomorzu), gdyż z 100.000 wędrownych robotników, po największej części Polaków, prawie 10% zawiera tam małżeństwa i osiedla się na miejscu.

Nie samych tylko Polaków obawia się nasz autor, lecz wogóle świata słowiańskiego, mianowicie „kolosu wschodniego“. Przewiduje bowiem, że jeżeliby moralność się nie podniosła, to Niemcy, tak samo jak Francya i Węgry, zaczęłyby wkrótce uczuwać fatalne następstwa w zastoju wzrostu ludności lub nawet w jej stopniowem zmniejszaniu się, co zawsze uchodziło za oznakę zaniku siły narodowej a dziś, w okresie wybujałego militaryzmu, byłoby tem więcej niż kiedykolwiek.

Nic dziwnego, że na poskromienie tego domowego Malthusya-

nizmu autor nasz kładzie nacisk szczególny i tak mu chodzi o rzecz samą, że chociaż jako gorliwy pastor protestancki pewnie nie jest skory do zachwalania katolicyzmu, w tym wypadku bez zastrzeżeń przytacza następujące charakterystyczne zdanie, wyrażone przez jednego z kolegów zawodowych w prowincyi nadreńskiej: „Według oświadczenia jednego z burmistrzów, bardzo dobrzeznających stosunki życia wiejskiego, konfesyonał wywiera w okolicach z ludnością rzymsko-katolicką wpływ znakomity w kierunku poskramiającym ‚system dwojga dzieci', kiedy tymczasem my, ewangeliccy pastorowie, jesteśmy stosunkowo bardzo bezsilni mimo najostrzejszego potępiania tego nadużycia przy każdej sposobności w kazaniach i w wykonywaniu obowiązków duszpasterskich. Dziękujmy Bogu, że mamy wreszcie własne kolonie, gdyż inaczej nie moglibyśmy dać niemieckiemu włościaninowi praktycznej odpowiedzi na jego pytanie: w jaki sposób jako człowiek roztropny obejść się może bez tego systemu".

Kolonizacya stanowi rzeczywiście dzielny środek przeciw obawom przeludnienia i szerzącym się pod tym pretekstem nadużyciom ohydnym w powyższym rodzaju. Ale ostatecznie jest to środek tylko administracyjny, zależny od działania państwa, które w sprawach takich jak zakładanie i utrzymywanie kolonii, ma w pierwszym rzędzie na oku własne interesa materyalne, jak otwarcie nowych dróg zbytu dla swoich produktów, podniesienie potęgi morskiej i t. d., a interesów moralnych wprawdzie przytem zaniedbywać nie powinno i nie może, lecz na pierwszy plan nie wysuwa. Owa kolonizacya zatem stanowi odrębny środek pomocniczy, który tylko popiera, ale nie czyni zbytecznem ani nawet obojętnem wytężenie środków moralnych, w pierwszym rzędzie i głównie do akcyi ochronnej potrzebnych. Nasz autor nie zapoznaje tego bynajmniej i dlatego przedewszystkiem nawołuje duchowieństwo protestanckie do wytężenia całego wpływu moralnego. Nacisk pod tym względem pada na misye, ale i tutaj znowu wyrywa się autorowi z głębi serca żal, czy zazdrość, że znowu wyższość musi przyznać katolicyzmowi. Upominając bowiem duchowieństwo ewangielickie, aby urządzało jak najczęstsze objazdy i misye w celach umoralnienia mówi: „Podobnie postępuje w Niemczech Kościół katolicki. Posiada on pod względem urządzania misyj i kazań wędrownych wyższość nad nami tak samo, jak w zakresie prasy". Ten żal w związku z poprzednią wzmianką o moralnej skuteczności spowiedzi katolickiej stanowi rys wielce charakterystyczny. Z ust pastora słyszy się potwierdzenie zdania, wypowiedzianego raz mimochodem przez znakomi-

tego niekatolickiego prawnika niemieckiego, Iheringa. Nazwał on etykę chrześcijańską teoryą a konfesyonał praktyką moralności i na tej podstawie bez zastrzeżeń przyznał także wyższość katolicyzmowi w pracy nad umoralnieniem społeczeństwa. A mimo to wszystko w niemieckich sferach rządowych wcale jeszcze nie wygasły sympatye dla nieszczęsnego *Kulturkampf*'u, którego ziarno najwidoczniej na polu moralności bujny plon wydaje. Dowodem na to niedawna głośna sprawa Opalenicka, niegodne cywilizowanego państwa tolerowanie wybryków przeciw powadze należnej księciu Kościoła katolickiego. Czyż bowiem bohater tego rozgłośnego skandalu, komisarz von Carnap, został tak skarcony, jak tego demoralizujący charakter zajścia wymagał?

A jakżeż rzecz się ma w miastach niemieckich? O tem nie pisze Wagner, bo pisać nie potrzebował wychodząc z tego założenia, że zdziczenie obyczajów po wsiach jest następstwem nowoczesnego zbliżenia się miast do wsi, zawleczeniem zarazy moralnej z zaułków i nor miejskich do chat włościańskich. Wobec tego faktu niemoralność szerząca się po wsiach niemieckich uważana być musi tylko za słaby odblask niemoralności miejskiej. Z ponurej charakterystyki stosunków wiejskich i z ponurych horoskopów zawartych w książce Wagnera czytelnik odnieść musi to wrażenie, że autor uważa miasta za takie zbiorniki mikrobów zepsucia, o których oczyszczeniu na razie już i myśleć nie można, bo pilniejszą sprawą jest zlokalizowanie złego, rozciągnięcie kordonu moralnego, któryby zapobiegał dalszemu zawlekaniu zarazy w sposób dotychczasowy. Że tak jest istotnie, jak się książka Wagnera domyśleć każe, to stwierdzają wychodzące od czasu do czasu na jaw takie odrażające fakta zepsucia miejskiego, że aż ciężka i niezgrabna machina parlamentarnego ustawodawstwa karnego wprowadzana bywa w ruch przyspieszony dla dostarczenia społeczeństwu nowej broni (np. tak głośna w swoim czasie berlińska sprawa Heintze).

Niemcy są dumne ze swoich ogromnych postępów, zwłaszcza w zakresie nauki. Mają do tego prawo niezaprzeczone, ale nie mogą zapominać o tem, że na wspaniałym obrazie ich ewolucyi cywilizacyjnej znajdują się takie plamy, jak te, które teraz Wagner odsłonił. Ludzie wyższej miary intelektualnej, więc nie zaślepieni pozorami, widzą to dobrze. Niedawno np. jeden z najznakomitszych prawników niemieckich (Bekker) powiedział — nie w dziele prawniczem, lecz w książce poświęconej ogólnej charakterystyce sytuacyi społecznej w Niemczech,— że wśród stosunków dzisiejszych należy wziąć sobie do serca trafny aforyzm: *qui proficit in litteris et deficit in moribus, plus deficit quam*

proficit. Słowa te objaśnił uczony niemiecki uwagami o nadzwyczajnem zdziczeniu obyczajów w dzisiejszem społeczeństwie niemieckiem, które pod tym względem zamknie rachunek bieżącego stulecia z wielkim niedoborem i przekaże następnym edukacyę moralną jako jedno z najpilniejszych zadań.

Przed dwudziestu pięciu laty głosów takich nie słyszano w Niemczech. Wtedy bowiem w upojeniu zwycięskiem po świeżo zakończonej wojnie z Francyą widziano wszystko w różowem świetle, a słowa zwycięskiego cesarza Wilhelma, nadające Niemcom nazwę kraju bojaźni bożej i dobrych obyczajów, stały się artykułem niewzruszonej wiary politycznej dla całego społeczeństwa. W konsekwencyi przedstawiano pokonaną Francyę jako ofiarę własnych grzechów, deprawacyi obyczajów, sprowadzonej przez drugie cesarstwo. W tem ostatniem twierdzeniu i wogóle w wywyższaniu się Niemiec ponad Francyę pod względem moralnym było wówczas niezawodnie wiele racyi. Czy jednak i dziś jeszcze zachodzi taka sama różnica? I we Francyi także owo stopniowe pochłanianie wsi przez miasto sprowadziło wiele złego pod względem moralnym, a nowoczesny Malthusyanizm, ów zgubny system, który tak przeraża naszego autora niemieckiego, liczy tam pewnie nie mniej zwolenników, aniżeli w Niemczech. Jeżeli jednak rozpatrzymy się w obrazach współczesnej deprawacyi obyczajów we Francyi, kreślonych przez Francuzów nie optymistycznie, lecz owszem tak ponuro, aby wzbudzały obawę o przyszłość, a tem samem wywoływały zdrową refleksyę i dążenie do poprawy (np. w dziele Joly'ego: *La France criminelle*), to spostrzeżemy tam może więcej wyrafinowanego zepsucia, ale za to daleko mniej tego zdziczenia, niemal zwierzęcego poniżenia, jakie przebija z nakreślonego przez Wagnera obrazu stosunków moralnych we współczesnej wsi niemieckiej. A w dodatku we Francyi owa broń skuteczna przeciw postępowi deprawacyi, jaką za świadectwem klasycznem pastora Wagnera, jest katolicyzm ze swojemi instytucyami praktyki moralnej, nie została jak w Niemczech w połowie uronioną, lecz tylko stępiła się cokolwiek w pokoleniu współczesnem, chorującem jeszcze na sceptycyzm, czy indyferentyzm religijny. Pod tym względem we Francyi spostrzegać się już dają oznaki powolnej ale stale postępującej zmiany na lepsze, kiedy tymczasem w Niemczech panuje bezradność, której symptomem jest także poniekąd i głos Wagnera, nawołujący dobitnie do refleksyi a nie wskazujący skutecznych środków akcyi zaradczej.

Jeżeli takie głosy, jak powyższe, odzywają się w społeczeństwie,

które ćwierć wieku dopiero dzierży hegemonię polityczną w Europie, z mocy wielkich sukcesów wojennych, to fakt ten wiele daje do myślenia, a przedewszystkiem nasuwa pytanie: czy dziś w okresie gorączkowego, przyspieszonego niejako życia, narody miałyby się tak samo jak jednostki przedwcześnie wyczerpywać i starzeć lub popadać w charłactwo? W każdym razie mimochodem tylko w pracy Wagnera podniesiona obawa przed „kolosem północy", który u siebie Malthusyanizmu w system nie ujął i corocznie wykazuje milionowy przyrost ludności czerstwej fizycznie i moralnie, brzmi dla czytelnika nie-niemieckiego tak, jak gdyby autor chciał bodaj półgłosem powiedzieć: *Mane, Tekel, Phares!*

Dr. B. Ł.

Nouvelle éducation de la femme dans les classes cultivées. Par *la Vicomtesse d'Adhémar.* Paris. Librairie Académique.

Jeśli dla chłopców nic nie zastąpi szkół publicznych i korzyści, płynących z życia koleżeńskiego, dla dziewcząt pozostanie zawsze ideałem wychowanie domowe i macierzyste, o dwustronnym pożytku, skoro kształcąc córki z pod własnej niewypuszczone opieki, i matka zwykła się wyrabiać i kształcić. Zakusy feministek wywołały nawet pod tym względem pewną we Francyi reakcyę i coraz częściej słychać tam, zwłaszcza w klasach przewodnich, o edukacyi domowej i zacisznej, przy rodzicielskiem ognisku. Atoli stopień kultury, wymaganej za dni naszych, wzrósł znacznie i nie każda matka potrafi sprostać zadaniu bez pomocy wytrawnej i wykształconej nauczycielki. Potrzeba tychże daje się wszędy odczuwać tem dotkliwiej, iż zbyt często awanturnice lub amatorki chwytają się tego często niewdzięcznego, częściej przykrego kawałka chleba. Polskie przekleństwo: Abyś cudze dzieci uczyła! zaciężyło nad zawodem, branym jako rzemiosło tylko, i to rzemiosło dorywcze, bez należytego przygotowania obrane. Gdyby weń wlać ducha apostolstwa, zamienić w powołanie, z odpowiednim nowicyatem, z odpowiedzialnością wobec przełożonych, cały stosunek od razuby się zmienił, możnaby z całem zaufaniem dzieci swe powierzać osobom, w właściwym kierunku wychowanym, one nawzajem mogłyby liczyć na większe poparcie i szacunek w domach, gdzieby im oddawano dzieci, miałyby za sobą i nad sobą swych przełożonych, oraz dom, do którego powrócićby zawsze mogły.

Czując dwustronne niedostatki, wicehrabina d'Adhémar napisała książkę, której tytuł wypisujemy powyżej, a która jest poniekąd ma-

nifestem, zapowiadającym rozwój dzieła, powstającego w tej chwili na zawsze rodzajnej niwie katolickiej Francyi. Autorka niniejszej książki postanowiła bowiem zawiązać stowarzyszenie noszące miano znaczące: *Dames du préceptorat chrétien.* Oto główny zarys reguł powstającego zakładu: nowicyat trwać będzie lat pięć, a raczej studya przygotowawcze, bo nie będzie to właściwie zakon, lecz tylko związek ściśle chrześcijańskim duchem ożywiony. Na tych lat pięć, trzy zostaną spędzone na prowincyi, dwa ostatnie w Paryżu, dla uzupełnienia studyów i dokończenia nauki. Zarazem instytut roześle je na żądanie po różnych domach i stanowiskach, nie zrywając przeto węzła zadzierzgniętego dobrowolną zależnością i ślubem. Wychowanie i przynależność do zakładu chrześcijańskiego nauczania już będzie dostateczną rękojmą umiejętności i wyrobienia, jednając przez to samo wychodzącym stąd nauczycielkom osobne uznanie i szacunek. Instytut dwustronną rozciągnie opiekę, nad rodzinami chrześcijańskiemi, dostarczając im pewnych nauczycielek, oraz nad temi ostatniemi, umieszczając je w bezpiecznych domach, i nie tracąc ich nigdy z oczu.

Staranne programata naukowe, wyniesione z pięcioletniego nowicyatu, zastosowane zostaną do poszczególnych edukacyi uzupełnianych w dalszym ciągu tem, co pani d'Adhémar nazywa wychowaniem za pomocą poważnych książek i lektur doniosłych. Nauczycielki będą mogły zawsze powracać do głównego zakładu, odświerzać w nim ducha, ożywiać w sobie apostolskie zapały i poświęcenia. „Godzien jest robotnik zapłaty swojej", zaczem i strona materyalna nie zostanie przy zakładach pominięta, oraz zastrzeżenie chwil koniecznych dla skupienia własnych sił i dalszego kształcenia się osobistego. Instytut zajmować się też będzie zastępowaniem nauczycielek, gdyby wypadło takowe odmienić. Słowem, roztoczy sumienną opiekę nad wychowaniem domowem zabezpieczając takowe wypróbowanemi nauczycielkami. Wszędzie dziś patrzeć nam przychodzi na bankructwo indywidualizmu, na konieczność wspólnego działania i pracy, na potrzebę roztropnej organizacyi i połączenia sił. Nie same feministki dzierżą monopol czynu, pomysłowości i reform, z chrześcijańskiego obozu raz po raz witać przychodzi znakomite zrozumienie nowych potrzeb, nowych żądań i postulatów. A nie lękać się, aby związek chrześcijańskich nauczycielek miał zniżyć poziom ducha niewieściego. Mylą się dzisiejsze nowatorki, mniemając, iż one to dopiero zagają erę wyższego dla kobiet wykształcenia. Tertulian wielokrotnie przemawiał do niewieściego świata w podniosłych wyrazach. Św. Augustyn przypisywał matce swojej kierunek filozoficzny

własnego umysłu. Monika też pierwsze zajmuje miejsce w filozoficznych z Cassiciacum rozhoworach. Św. Hieronim tłumaczy za pomocą rzymskich matron i dziewic tekst grecki i hebrajski Pisma św. — Hroswitha czy Sioba, w niemieckich czy angielskich klasztorach świadczą o swej wysokiej kulturze. W średnich wiekach spotykamy u niewiast znajomość wielu języków, klasyczne oczytanie, studya humanistyczne. Przeciąga się to aż ku nowszym czasom. Pani de Sévigné czytuje Ojców Kościoła w całym majestacie łacińskiego tekstu, nie brakło i helenistek wśród niewiast XVII. wieku. A nie potrzeba nam szukać za granicą wzorów wyższej kultury, kiedy i w Polsce wykształcenie niewieście stało wysoko, opierało się na węgłach łaciny i podciosach umiejętności prawdziwie męskiej. Wracać nam raczej do odbieżanych szlaków poważnej mądrości babek naszych, zamiast przyjmować nowe, puste, próżne i czcze hasła feministek, które probują rozszerzyć wiedzę kobiecą kosztem jej pogłębienia, wzbić niewieści umysł w nizką pychę, miasto go w górę rwać i unosić. W każdym razie książka pani d'Adhémar może mieć wpływ zbawienny na czytelniczki, a instytut przez nią zakładany, gotów skutecznie wpłynąć na ogólny wychowania kobiecego kierunek. Wystarczy nadmienić, że świeżo zmarły msgr. d'Hulst, oraz kardynał Boyer, popierali gorąco zawiązujące się stowarzyszenie „Pań nauczycielstwa chrześcijańskiego", t. zw. *Dames du préceptorat chrétien.*

M.

Z pism czasowych.

Przegląd literacki. Organ Związku literackiego w Krakowie. Rocznik pierwszy. 1896. Zeszytów 1—12. Redaktor główny i odpowiedzialny: *Kazimierz Bartoszewicz.*

Cała europejska literatura twórcza przebywa stadyum agonii: brak haseł, brak zasad, ciągłe szukanie po omacku jakiegoś światła, któreby wskazało pewną drogę: realizm i naturalizm, dekadentyzm i symbolizm, neochrystyanizm i socyalizm — wszystkie te i różne inne choroby mącą i obałamucają twórczość, która drga i miota się i kurczy i słania. W takiej chwili jakże cennem byłoby u nas literackie pismo krytyczne, dające nie ster, ale przynajmniej wskazujące wszystkie kierunki i zboczenia, wszystkie niezdrowe symptomata, a przytem stojące murem przy ochronie naszego narodowo-literackiego skarbu, pismo,

któreby umiało powiedzieć, który prąd zagraniczny dla nas jest trucizną, który zdrowiem. *Przegląd literacki* mógł być takiem pismem i jest nadzieja, że zostanie niem może w przyszłości, dotychczas jednak mimo swych niezaprzeczonych zalet i rzetelnych zasług, o których niżej powiemy, do tego ideału nie dorósł. Sam dodatek: „Organ Związku literackiego w Krakowie“ — mówiłby, zdaje się, że *Przegląd* jest wyrazem stałych zasad pewnego grona ludzi, zasad oczywiście nie politycznych lub socyalnych, ale literackich. Tymczasem w praktyce dzieje się inaczej. *Przegląd* szeroko otworzył swe łamy dla wszystkich kierunków, nawet akcentuje swoją tolerancyę.

I tak zaraz w drugim numerze na czele ocenia dwa dzieła: ks. Karola Niedziałkowskiego: „O chrześcijańską zasadę“ i ks. Jana Gnatowskiego: „Studya“. Oba chwali, pierwsze nawet bardzo chwali. Ale bezpośrednio potem (str. 4), w artykule pełnym superlatywów wysoko podnosi „Poezye“ Maryi Konopnickiej, które takiej surowej krytyce właśnie w dopiero co zachwalanem przez *Przegląd* dziele poddał ks. Niedziałkowski. Weźmy inny przykład. *Przeglądowi* wydaje się oryginalnym i sympatycznym „Listopad“ p. Andrzeja Niemojewskiego (Nr. 11); podoba mu się „niepospolita forma i bystrość spostrzegawcza“ Maurycego Zycha w noweli: „Rozdzióbią nas kruki, wrony“, a inny jego utwór p. t.: „Poganin“ jako „rzetelną prawdę“ podkreśla[1] (Nr. 2); w obu tych rzeczach nie widzi oślepiony formą, nic złego, a jednak sam w tymże drugim numerze cytuje i objaśnia piękne słowa Ernesta Hello: „Krytyka powinna być sumieniem sztuki, i przeto jej obowiązkiem zabijać truciznę, wstrzymując od upadku tę sztukę, która zamiast być blaskiem prawdy, jak tego chciał Plato, gotowa nieraz zaprzepaścić w mroku religijne i etyczne pożądania ludzkości. Niestety, oszołomiona wrzaskliwymi odgłosami zwyrodnionej sztuki, narzucającej się społeczeństwu mnogością i rozmaitością wytworów swoich, zbyt często milczy krytyka, sama na znieczulenie moralnego zmysłu chora“. Milczenie *Przeglądu* w pewnych wypadkach, w którychby z męską otwartością mówić należało, nie pochodzi oczywiście z „znieczulenia zmysłu moralnego“; nie wątpię, że jestto pewna modna dziś tolerancya z przymieszką może odrobiny lęku wobec różnych krzykliwych opinii, któreby się mogło podrażnić; zdaje mi się jednak, że prawda jedna jest i że kto się opiera na jej gruncie, ten

[1] Za przedruk właśnie tego utworu c. k. Prokuratorya skonfiskowała socyalistyczne pisemko *Naprzód*.

się niczego lękać ani uwzględniać nie ma powodu. Wszakże sam szan. redaktor *Przeglądu* uważa to za „wielką i bardzo wielką zasługę“, jeżeli się nie uznaje teoryi „sztuka dla sztuki“. Skoro tak jest, to każda szkodliwa dla naszego społeczeństwa tendencya literackich utworów powinna być piętnowaną, choćby nawet formę tych utworów sprawiedliwość chwalić nakazywała. Jedno obok drugiego całkiem dobrze może się ostać.

Jest jeszcze druga słaba strona pisma, nie mniej dotkliwie odczuwana przez wielu ludzi myślących. Kto bodaj z grubsza zna produkcyę naszą literacką z dwu lat ostatnich, tego musi zastanowić okoliczność, że *Przegląd* ocenia dużo utworów małego znaczenia, zwłaszcza powieści, a milczy o pracach poważniejszych, o utworach większej znacznie doniosłości. Dość przejrzeć spis dzieł i autorów omówionych w pierwszym roczniku *Przeglądu*. Szanuję niejedno z wymienionych tam nazwisk i nie żądam bynajmniej, aby je ignorowano; ale dlaczego w ich szeregu nie spotykam autorów bądź co bądź większego dla literatury znaczenia, dlaczego całe mnóstwo rozpraw krytyczno-literackich a także i niejedno nawet dzieło literacko-naukowe nie doczekało się oceny w *Przeglądzie*, tak jakby stało po za jego ramami i w program jego nie wchodziło. Dla przykładu wymienię choćby ostatnie prace Brücknera, Małeckiego, Tarnowskiego, Chmielowskiego, Tretiaka, dalej takie rozprawy jak Hösicka o Krasińskim, Słowackim i Mickiewiczu, Gumplowicza o Gallusie, Kętrzyńskiego o „Kronice Wielkopolskiej“, Plenkiewicza o „Odprawie posłów greckich“, Windakiewicza o Reju, Czubka o Potockim i wiele innych. Czyni to takie wrażenie, jakby *Przegląd* chciał się stać rodzajem salonu *des refusés*, lub rozsadnikiem sławy młodych talentów. Nie przeczę, że wobec rozmiłowania się publiczności w lekturze lekkiej powieść z natury rzeczy doznać musi ze strony *Przeglądu* pewnych względów, ale i tu powolność dla kursujących gustów i upodobań nie powinnaby iść za daleko. Pismo tego rodzaju powinno kierować, nie zaś być kierowanem. Wogóle *Przeglądowi* nie zaszkodziłoby wcale — zdaniem mojem — nieco przyprawy ostrego sosu, przynajmniej dopóki zechce się ograniczać do powieści i utworów krytycznych małej wagi. Boć jeśli np. oceniając utwór Cezarego Jellenty „Nurty“ rozpoczyna *Przegląd* od zdania, że autor należy do „najbardziej filozoficznie oczytanych literatów warszawskich“, a następnie w dwustu czterdziestu wierszach streszcza utwór niesłychanie bałamutny i dziwaczny i niezdrowy — to naczelnego zdania, mówiącego o rozumie i jasności na seryo

brać żadną miarą nie można. Przychodzi tedy na myśl albo, że krytyka jest nader wyrozumiałą, albo, że pisała ją przyjacielska ręka, albo — cokolwiek innego, tylko nie to, że krytyka jest „sumieniem sztuki". Wszystko, co powiedziałem, nie ma intencyi służenia za dowód, jakoby *Przeglądowi* brakło racyi bytu lub siły żywotnej. I owszem, zaznaczam to z naciskiem, że uważam to pismo za bardzo potrzebne, że już w leżącym przedemną roczniku widzę niejedną rzecz i dobrą i uczącą, choćby np. obszerniejsze streszczenia pogadanek lub bardzo starannie prowadzony dział bibliografii i wiadomości literackich, nawet wiele recenzyi. Jestem szczerym przyjacielem pisma, życzę mu jak najlepszego powodzenia i rozwoju, ale właśnie dla tego uważałem za obowiązek wskazać słabe — jak mi się zdawało — strony wydawnictwa w chwili, gdy ono znajduje się na drodze do wzrostu i rozszerzania się, bo na tem — nie na ślepem chwaleniu — jak mniemam, polega prawdziwa przyjaźń. „Jeżeli gryzę, to gryzę sercem".

Antoni Mazanowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicy wobec rządu francuskiego. — Między Koptami. — Stosunki greckie.

KATOLICY WOBEC RZĄDU FRANCUSKIEGO.

We Francyi wolnomyślne gabinety jedne po drugich tę samą prowadzą robotę prześladowczą, którą przeciw Kościołowi rozpoczął Ferry ze wspólnikami. Napróżno skrajne głosy w izbie paryskiej wołają dzisiaj na Meline'a i Darlana, że czasby wypowiedzieć już otwartą wojnę Kościołowi, znieść ambasadę przy Watykanie, wypowiedzieć konkordat i t. d. Meline uspokaja zapalczywych wykrętami, stosunków z Rzymem dyplomatycznie nie zrywa a dalej prowadzi dzieło zgubniejsze może dla katolików we Francyi, niż zupełny rozbrat między państwem a Kościołem. Z daleka trudno o tem sądzić; można tylko przywieść głosy, zabierane przez poważne pisma, które nie kryją myśli, że gdyby rząd francuski zerwał konkordat z Rzymem, nie szkodziłby Kościołowi przez wpływ na dostojników kościelnych. Teraz nadużywa, jak mówią, konkordatu i dokazał dzieła, smutnego dla Francyi: doprowadził do tego, że do list kandydatów na stanowiska kościelne nikt nie śmie zapisywać nazwiska ludzi dzielnych i niebezpiecznych dla rządu, i posadę co wybitniejszą zajmują mężowie pobożni i uczeni, ale, z bardzo nieznacznym wyjątkiem, nie dość odważni. Bez

ogródki tę uwagę wypowiedziała katolicka *Germania* na widok niepoczesnego skutku, do którego doprowadził zjazd kilkudziesięciu dostojników Kościoła w Reims. Kilka najpoczciwszych w świecie, wymownych wyrazów, jedna czy dwie skargi nieśmiałe na drobne szczegóły, ślady jakichś zarzutów przeciw uciskowi, wymawianych w sposób najgrzeczniejszy dla rządu, ledwie tyle można było usłyszeć na obradach podczas zjazdu. Duchowieństwo niższe wzywało do bliższych stosunków z ludem, ale wyższe nie podziela tego zwrotu „demokratycznego“ i, podług *Germanii*, traci pożądany wpływ na wiernych. Mimowolnie czytelnik *Germanii* mógłby wątpić, czy nie za czarno przedstawia sprawę pismo, choć katolickie, przecie może dlatego, że niemieckie, skłonne do nieprzychylnych sądów o występach i mowach francuskich katolików. Nawet „niezależne“ pismo polskie *Gazeta Toruńska* obłudnie wygląda zgorszona sądami *Germanii* o biskupach i uważa, że w jej ślady może wstąpić, aby napadać na księdza biskupa Koppa! Wniosek nielada! Ale w ostatnim zeszycie *Revue catholique des Institutions* tę samą skargę powtarza także Francuz i pisze:

„Czego dokazać mogą drobne spory o szczegóły i szczególiki, kiedy można pokazać góry bezprawia i nawałę klęsk, gromadzonych nam nad głowami urzędownie i bez żadnego znikąd oporu? Nie krasomówskich to zwrotów nam trzeba, nie dworackich półsłówek, które wypowiadają myśl trwożliwie i oględnie, aby nie urazić rządu zarzutami za jego zgubne postępki. Mieliśmy od bardzo dawna aż za wiele dźwięcznych słów. Francyę zabija jałowe krasomówstwo. Nam trzeba czynu. Nam trzeba w dwóch słowach nieustannie parlamentowi i Francyi pokazywać okropne skutki urzędowej szkoły bezbożnej, która wychowuje więcej zbrodniarzy i wykolejonych, niż uczonych i pożytecznych. Podniósł parlament pytanie, dlaczego coraz mniej chłopców uczęszcza do szkół rządowych? Na księżycu szukali odpowiedzi, a nikt z pomiędzy katolików, nikt nie wstał, żeby powiedzieć w dwóch słowach, że w rodzinach nie zupełnie odartych z chrześcijańskiego zmysłu nigdy ojciec ani matka nie pomyślą nawet przez sen o tem, aby mieli syna do szkoły rządowej wyrzucać

na pewną zatratę; że wolnomyślni bezbożnicy, jak sam nieszczęsny Jourdan, sami takiego zabójstwa duchowego dla dzieci swoich unikają, posyłają synów do szkół zakonnych i do uroczystego nabożeństwa sprawiają monstrancye, chociaż w Izbie występują najzajadlej przeciw religii i wyznaniowej szkole. W dwóch słowach tę nędzę rzeczywistą przedstawić czyżby mi wystarczyło? Po co popisów z wymową? Katon nie układał mów, żeby codzień powtórzyć Rzymowi, że ma zburzyć Kartaginę, jeżeli nie chce ginąć sam przez nią. Potrzebujemy, żeby przedstawiciele Francyi chrześcijańskiej wzięli sobie za wzór tego poganina genialnego i powtarzali codzień, bez krasomowskich rozpędów ani gry słów, że szkoła bez Boga, czy początkowa, czy średnia, nakoniec ściągnie na Francyę śmierć, a nim tego dokona nieuchronnie, tymczasem zapełnia kaźnie i Kaiennę, jak świadczy samo sądownictwo. A nietylko o bezbożnej szkole tak mówić trzeba, ale także o wszelakiego rodzaju bezprawiach, które stanowią rząd wolnomularski, o prześladowanej wierze, o doczesnych stratach majątkowych z powodu Panamy, o tem wszystkiem co widzimy i cierpimy prawie bez słówka skargi na ustach. W dniu, kiedy zobaczymy w Izbie i w Senacie stronnictwo katolickie gotowe wstać w każdej przygodzie ze słowami prawdy bez krasomówstwa, bez obawy, bez względów i względzików, i oddać głos jak jeden mąż przeciw zamysłom bezprawia i jego zapędom zgubnym dla Francyi: w dniu tym można będzie czuć w piersiach nadzieję. Do tego dnia leżć będziemy, jak już leziemy przez lata, albo cofamy krok z jednej klęski w drugą, albo przestajemy podnosić ręce ku obronie".

Tak mówi Francuz, katolik, zasłużony urzędnik, Albert Desplagnes. I widok obrad w Izbie poselskiej w Paryżu pozwala przypuszczać, że Desplagnes słusznie oskarża współwyznawców i współrodaków o jakieś niedołęstwo niepojęte. Spokojny, zanadto spokojny zjazd katolicki już daje prawo Mirmanowi, jednemu z wrogów Kościoła, aby zaczepił rząd, czemu pozwala dostojnikom Kościoła podnosić rogi i odbywać narady, kiedy ustawa zabrania urzędnikom państwowym odbywać na własną rękę zjazdy albo ze sobą umawiać gromadne występy? Rząd w osobie mini-

stra Darlana odpowiedział, że tak za rządów poprzednich bywało, a obecny nie myśli wojny toczyć z ideą religijną. I katolicy nie podnieśli głosu oburzenia, żeby Mirmana nauczyć, że dostojnicy duchowni do urzędników państwowych nie należą, więc korzystają z praw obywatelskich, które nie bronią wolnym ludziom zjazdów towarzyskich. Tego nie umiał powiedzieć żaden z posłów katolickich, nie umiał nawet żaden należycie ocenić odpowiedzi Darlana, bo uważali ją za dobrą odprawę, która powinnaby zawstydzić Mirmana, a tymczasem taka gadanina, jak odpowiedź Darlana, powtarza prawie słowo w słowo to samo, co wszyscy prześladowcy paryscy, od Juliusza Ferrego zacząwszy, mówili z uśmiechem dyplomatycznym, kiedy podpisywali ustawy najniebezpieczniejsze dla katolików.

Tym razem tak samo katolicy winszowali sobie, że minister dał odprawę Mirmanowi, a sam minister Darlan, zaraz po rozprawie, podpisał dwa listy na dowód, że nie myśli walczyć przeciw idei religijnej. W pierwszym liście, rubasznym i grubiańskim, porozsyłanym do biskupów, uwiadomił ich, że nie mają użytku wolnego swoich pałaców i budynków seminaryjnych, ale mają tylko prawo w nich mieszkać z klerykami, a nie mogą w nich urządzać uroczystych przyjęć, obchodzić żadnych dni pamiątkowych ani gościć uczestników jakiegobądź zjazdu.

Oczywiście żaden z biskupów, nawet najspokojniejszy, nie dojdzie do tego stopnia służalstwa względem rządu, aby wiele sobie robić z przepisu ministeryalnego, nieopartego na żadnej ustawie. Sam minister dobrze to wiedział i, jak prasa wolnomyślna uważa, tylko udawał Jowisza gromowładnego względem biskupów i wiedział, że nikogo nie przerazi przez swoje gromy papierowe. Jednak niejeden wolnomyślny prefekt znajdzie w tym przepisie ministeryalnym pobudkę do dokuczliwszych kroków przeciw biskupom. Do takich to wyników prowadzi polityka ustępstw, złudzeń i optymizmu: odbiera wszystko aż do ostatka powagi i uszanowania ze strony prześladowców, których obiecywała rozbroić.

Drugi list, wysłany w następstwie zjazdu w Reims, donosił jednemu z tutejszych proboszczów, że minister Darlan zawiesza

jego kongruę za nieodpowiednie postępki. Nieodpowiednio, podług ministra, począł sobie ten proboszcz, iż w przemowie wystąpił z zasadą najprawdziwszą, że przez wypłatę kongruy rząd duchowieństwu ani dobrodziejstwa z łaski nie wyświadcza, ani nie wylicza pensyi urzędnikom, tylko oddaje dług, zaciągnięty przez państwo sto lat temu i wyznany w konkordacie. Te więc dwa listy ministra wynikły z interpelacyi.

Na takie następstwa zaczepek Mirmana katolicy nie zwracają uwagi i uważają, że nad bezbożnikiem dobra sprawa odniosła zwycięstwo przez odpowiedź ministra. Smutne zwycięstwo które wygląda podobniej do psoty, wyrządzonej Kościołowi. Czy w dobrej wierze, czy z zasady ktoś upatruje w porażce zwycięstwo, ten, jak *Revue catholique* uważa w opisie tych wypadków, ten prowadzi politykę, która goni za klęskami.

I znowu zwycięstwa sami sobie odmówili katoliccy posłowie pod koniec listopada. Socyaliści z Millerandem i Lobletem na czele natarli na rząd zapalczywie, czemu dotąd nie uwolnił młodzieży francuskiej od ostatniej szkoły wyznaniowej? Minister na obronę wykazywał brak środków pieniężnych na budowę nowych szkół bez Boga. Ale nad napaścią socyalistyczną musiała izba głosować. I cóż zaszło? Ledwo 72 głosy poparły rząd przeciw wnioskowi socyalistów, ale głosów nie oddali posłowie umiarkowani i tak zwani „zjednoczeni“, którzy na głos Leona XIII. przystąpili do zgody z rzeczpospolitą. Millerand szyderczo pochwalił ich za to, że nie występują już w sporach daremnych o ustawodawstwo szkolne. I któż pojmie co w tej gmatwaninie? Milczą katolicy, kiedy mają w myśl Leona XIII. dowieść wrogom Kościoła, że popierają rzeczpospolitę w rządach, ale od niej żądają ustaw chrześcijańskich. We własnej sprawie widzą ministra, zaczepionego przez skrajną lewicę, a nie korzystają ze stosownej chwili, aby okazać, czem są i czego chcą.

A nie można im zarzucać braku najlepszych chęci: wytknąć im trzeba tylko nieporadność, rozbicie i brak wodzów. Na te zarzuty zasługują np. za sposób, jak odbyli niedawno wiec w Lugdunie. Sama nazwa tego wiecu nie mówiła wcale, że to katolicy zjechać mają na narady o sprawach polityczno-religijnych; na-

dali swojemu zjazdowi nazwę wiecu chrzecijańskiej demokracyi. Nie mogli znaleść biskupa, któryby chciał stanąć na ich czele; miejscowy biskup odmówił im wręcz udziału w ich pracy; szukali zamiejscowego, arcybiskupa z Aix, oczywiście dostali odmowną odpowiedź. Więc musieli dawać sobie radę bez przewodnictwa dostojników kościelnych. Ale ze świeckich katolików taki hrabia de Mun ani nikt równie poważny nie śmiał zasiadać na miejscu należnem zwierzchnikom duchownym; więc uczestnicy wiecu złożyli nad sobą przewodnictwo w ręce antysemity Drumonda. Pod takim przewodnikiem wydział przygotowawczy nie umiał uniknąć nacisku na to, żeby wydzielił ze siebie sekcyę niesłychaną na wiecach katolickich, mianowicie sekcyę antysemicką. Nie toczył dotąd żaden wiec katolicki walki przeciw szczepowi żadnemu, jako takiemu; dokazali tego katolicy dopiero pod dowództwem Drumonda. Samo takie dowództwo ubliżało katolickiemu zjazdowi. Aby nadać jakiś pozór swojemu wyborowi Drumonda na wodza, podnosili jego dzielne i z talentem w *Libre Parole* toczone walki przeciw nadużyciom w Kościele i przeciw wrogom katolicyzmu. Choćby Drumond zebrał najznakomitsze zasługi pod tym względem: przecie katolicy nie mogą stać pod chorągwią pisarza, który pozwalał sobie na różne wycieczki przeciw biskupom, nie zawsze usprawiedliwione, a zawsze niestosowne. Z tego też powodu żaden wcale biskup nie przybył na zjazd; młodzi członkowie wydziału przygotowawczego sobie zostawieni, pracowali gorliwie, ale bez zimnego rozsądku. Mimo nieprzychylnego stanowiska, zajętego przez arcybiskupa lugduńskiego, uczestnicy wiecu uchwalają dla niego telegram powitalny, na który nie dostali żadnej odpowiedzi. Tylko do duchowieństwa swojego wydał arcybiskup list pasterski, w którym pisze: „Uważamy wiece za pożądane, jeżeli władza duchowna na nie przystaje i staje na ich czele. Ale zrozumiecie nasz ból, z jakim spoglądamy na zjazd ludzi niepowołanych i czytamy opisy ich narad, przy których dziwne lekkoduchy rozprawiają nad zawiłą sprawą konkordatu i wyznaczają biskupom takie stanowisko, na jakim duchowni zwierzchnicy musieliby doznawać wstydu przed niższem duchowieństwem. Liczymy na swoich księży

podwładnych, że pozostaną daleko od ducha, który nie powiał od Boga, ponieważ *hoc non expedit*. Niech Bóg błogosławi gorliwym trudom wszystkich, którzy chcą podnieść oręż w dobrym boju, nie jako nieposłuszni podjazdowcy, ale jako wojsko karne pod chorągwią książąt Kościoła".

Słowa te świadczą, że arcybiskup zupełnie źle spogląda na wiec lugduński, w którym jednak *Univers* widzi wyraźnie wypełniony program papieskiej polityki i jej zwycięstwo.

Uchwały wiecu lugduńskiego zatwierdziły, że jego uczestnicy zgodnie spoglądają na konkordat, jako na umowę w takim razie pożądaną, jeżeli obie strony przestrzegają swoich praw i obowiązków. Ale katolicy nie upatrują pożytku z konkordatu, którym rząd wojuje, kiedy ma ze szkodą dla Kościoła odnosić pożytki dla siebie; więc nie występują przeciw konkordatowi, ale widzą w nim maskę, pod którą rząd ukrywa najzdradliwsze zamiary i czyny. Lepiejby znosić otwarty ucisk, niż cierpieć obłudną przyjaźń. Niejednę korzyść odniósłby Kościół, gdyby wypowiedział konkordat. Tak orzekli uczestnicy wiecu, ludzie młodzi, więc pełni zapału, ale niedoświadczeni.

Nawet bardzo przychylny dla tego wiecu sprawozdawca z *L'Association Catholique*, p. Ségur-Lamoignon, nie może utaić zarzutu, że młodzież, mianowicie redakcya pisma *France Libre*, która urządziła lugduński wiec, okazała najlepsze chęci na wiecu ale nieszczęściem, zdradza braki bardzo poważne. Wiele dobrego mogło wypaść stąd, że prawie codzień w przeciągu tygodniowych obrad, wieczorem socyaliści przychodzili na rozprawy, nietylko słuchać ich, ale także zabierać głos.

Ożywiona wymiana myśli odniosła skutek wcale pomyślny: socyaliści wyrazili, że, zdumieni i wybici z dawnych poglądów na katolicyzm, słyszą w ustach „klerykałów" słowa i poglądy zupełnie nie „kapitalistyczne"; że jeżeli mowcy i obrońcy tych poglądów szczerze czują, co mówią i piszą, wszystko może pójść dobrze i nastanie zgodna walka o dobrobyt uciśnionych i wyzyskiwanych tłumów; ale czy w samej rzeczy szczerze występują katolicy z temi poglądami? trudno wierzyć, utrzymywali socyaliści, że Kościół popierałby ich istotne prawa, ponieważ

tak późno zabrał głos; nakoniec wyrazili tę myśl, że ani do wielkiej rewolucyi nie byłoby doszło w przeszłym wieku, gdyby katolicy tak byli stanęli na czele ludu krzywdzonego, jak stają dziś!

Ten sąd socyalistów może oczywiście uchodzić za przykrą nauczkę dla dawnych katolików we Francyi; jednak składa hołd pracy, podjętej przez „młodych demokratów chrześcijańskich". Tyle chwały zdobyli sobie na wiecu lugduńskim... ale okazali wielki brak nauki i ładu w pojęciach, a przedewszystkiem brakuje im doświadczonego dowódcy.

MIĘDZY KOPTAMI.

Raz po raz dochodzą do nas wieści o gromadnym powrocie tych i owych innowierców na łono Kościoła powszechnego. Ale z pomiędzy tych wieści może najpożądańszą będzie ta, która dochodzi z Egiptu o zwrocie ku katolicyzmowi pomiędzy tamtejszymi Koptami. Ich odszczepieństwo, choć smutne dla Kościoła, mniej musiało od nich odrażać serca katolickie, niż odstępstwo od wiary innych Kościołów wschodnich, bo Koptowie niejednym objawem okazywali, że niedość rozumieli swój błąd i w dobrej wierze wyznawali naukę chrześcijańską, chociaż zerwali węzły z Rzymem. Ich błędna zasada pochodzi od Eutychesa i Dioskora i polega na tem, że nie uznają dwóch natur w jednej osobie Zbawiciela; ale jak rozumieją swoją zasadę, tego nie można dokładnie określić; w każdym razie nie rozumieją tak, jak mniemał Eutyches i Dioskor, bo ci przypuszczali jakieś zmieszanie natury Boskiej z ludzką w osobie Pana naszego, a teraźniejsi Kopci nic podobnego nie przypuszczają i odróżniają w jednej osobie Boskiej Zbawiciela Bóstwo od człowieczeństwa. Więc trudnoby orzec, o czem myślą, kiedy uznają i Bóstwo, i człowieczeństwo, i obie natury różne a nie pomieszane, chociaż przytem nie uznają dwóch natur. Przytem odznaczała ich od wieków niezmierna wytrwałość w wierze. Prawda to, że przeciwko chrześcijanom, bizantyjskim cesarzom, wezwali Saracenów i oddali im nad sobą zwierzchnictwo: ale pogańskiej pomocy wezwali na obronę właśnie swojej wiary, którą cesarze bizantyjscy niechrześcijańską przemocą wydrzeć im chcieli. Muzułmanie oczywiście tylko w pierwszej chwili zostawili Koptom

swobodę wiary: potem prześladowali ich gorzej niż Carogród. Ale Koptowie nie dali sobie wiary wydrzeć mimo ucisku i zdzierstw swoich ciemiężycieli: ponosili męczeństwa i po dziś dzień liczą kilkaset tysięcy wiernych, z aleksandryjskim patryarchą na czele. W piętnastym wieku zaświeciła dla wschodnich Kościołów nadzieja zgody z Rzymem: także Koptowie na sobór florencki w zastępstwie patryarchy wysłali swojego pełnomocnika, archimandrytę Andrzeja. Ówczesny jego zwrot ku Rzymowi nie przyniósł owoców trwałych.

Teraz znowu powiał między Koptami duch zgody z katolickim Kościołem. Tak w dyecezyi Minio już część mnichów złożyła wyznanie wiary a inni zgłosili prośbę o unię z Rzymem. Przykład duchowieństwa podziałał skutecznie: wróciły już do Owczarni Piotrowej wsie: Mansafis, Naglet-Abu-Gattas, Berbe, Beni-Ebeid, Etsa-Naglet i Sarhis. Inne, jak Hour, rozpoczęły kroki ugodowe. W dyecezyi tebańskiej cholera zostawiła po sobie skutek nieoczekiwany: powrót wielu owieczek pod pasterską laskę katolickiego biskupa, ks. Berzi. Mianowicie Koptowie w Sohag zdziwieni spostrzegli, że tylko odszczepione ich duchowieństwo ucieka z okolic, nawiedzonych zarazą, a katoliccy księża bez obawy szli na niebezpieczeństwo śmierci, aby zaopatrywać chorych. Ten widok wstrząsnął umysłami w Sahog; w Luksor i Kene kilkudziesięciu Koptów zapragnęło powrotu na łono Kościoła; w okolicy Babana jeszcze liczniejsi monofizyci postanowili odstąpić od błędów. W Aklunim cała rodzina pewnego subdyakona poszła za dobrym przykładem, a taki wypadek znaczy tam wiele, bo subdyakoni wywierają przemożny wpływ na wiernych. W Omme-Domc liczą nawróconych 150 osób, 60 w Kom-el-Naggar, 450 w Kom-abu-Hagar.

STOSUNKI GRECKIE

Odszczepieńcy greccy w pismach swoich, chociaż nie dobrem okiem spoglądają na ostatnią encyklikę papieską o jedności Kościoła, przecie nie okazują dla niej niechęci tyle, ile niechęci, nawet żółci w sercu okazali z powodu poprzedniego pisma papieskiego o zjednoczeniu Wschodu z Zachodem. Przyczyną takiej zmiany może być obecny naczelnik odszcze-

pionego Kościoła greckiego, Prokop Oikonomides, zupełnie niepodobny do swojego poprzednika, Germana Kaligasa, który zeszedł z tego świata blizko przed rokiem. O obu dostojnikach Kościoła greckiego donosi *Civilta Cattolica* wiele szczegółów, które rzucają światło na stosunki kościelne w Grecyi, mało nam znane. Metropolita German, zarazem naczelnik synodu duchownego w Grecyi, znalazł niespodzianą śmierć podobnie jak w ostatnich tygodniach w Canterbury anglikański prymas-biskup Benson, wkrótce po zjadliwych wycieczkach na Leona XIII. za jego zamiary względem połączenia Kościołów. Ateński metropolita wydał bezimienną książeczkę pod napisem: „Odpowiedź na encyklikę Ojca świętego Leona XIII. o jedności Kościoła“, ale przepełnił swoją pracę nie dowodami, tylko takiemi zwrotami języka, że *Civilta* nie szczędzi im miana karczemnych, rubasznych i szpetnych. Za to przed Bogiem już zdał sprawę po zgonie, nieopłakiwanym przez nikogo, chyba przez najbliższych. Blizko w miesiąc po jego śmierci, synod miał przystąpić do obioru jego następcy, ale znalazł przy tem tyle przeszkód, że niejedną czarną przebył godzinę.

Dla nas, nieobeznanych ze stosunkami greckiemi, wypada wiedzieć o ustawie królestwa greckiego, która, nie wiadomo na jakim kanonie starożytnego Kościoła oparta, żąda, żeby biskupów obierał synod a król potwierdzał. Do synodu należy czterech biskupów, zmienianych co roku, prócz metropolity ateńskiego, który przewodniczy synodowi przez całe życie. Przytem komisarz królewski zasiada razem z członkami synodu na obradach i piastuje urząd dozorcy nad nimi, rozstrzyga ich uchwały i dopuszcza tylko te, których pragnie rząd, upartego członka ma prawo upomnieć i obłożyć karą a miłemi niespodziankami nagradza powolnych rządowi. W takiem służalstwie nie znajdują hańby biedni biskupi, którzy odmawiają posłuszeństwa papieżowi, aby zostać wolnymi.

Według takiej ustawy mieli następcę po Germanie obrać sobie czterej pozostali członkowie synodalni, zebrani pod przewodnictwem najstarszego, zwierzchnika Kościoła *sede vacante*. Ale narada przeszła jedna i druga, miesiące mijały a synod na-

zwisk królowi nie podawał. Przyczynę łatwo odgadnąć: wypadło tak, że kogo innego chciał mieć metropolitą synod, kogo innego król i jeszcze innego rząd. Wieść o tem przeszła obręb sali obradowej, wzburzyła lud w Grecyi, dotarła do Carogrodu i zgorszyła w Fanarze patryarchę ekumenicznego. Patryarcha kazał swojemu pismu urzędowemu Ἐκκλησιαστικὴ Ἀλήθεια wystąpić z ojcowską przyganą dla wielebnych członków synodu ateńskiego, za to, że „gorszą całą cerkiew prawosławną przez swój postępek, przeciwny kanonom kościelnym! Choć są αὐτο-κεφαλοι, przecie niech przyjmą uwagę od metropolii bizantyjskiej, jak dorosła córka ustępuje matce“.

Ale jakby w złą chwilę dla siebie Carogród wystosował macierzyńską uwagę dla niesfornej córki, bo nietylko ją naraził sobie, ale obraził także jej opiekuna: rząd ateński. Półurzędowe pismo Παλιγγενεσια, wojowniczo wystąpiło przeciw pismu z Fanaru: i z bólem, i z gniewem dowodziło, „że Stambuł leży w państwie tureckiem a królestwo greckie ma swoją stolicę w Atenach; niech pierwej matka nauczy się geografii, nim zacznie upominać córkę, której pilnuje rząd grecki; niech matka pierwej przestanie sama gorszyć świat postępkami przeciwnemi prawu kanonicznemu i w sobie wygoi wewnętrzne rany, które ją pożerają; nim innych przywoła do porządku, niech pamięta więcej, że trzeba wystąpić z dobrym przykładem ze siebie, nie z bizantyjską frazeologią, a na największe nieszczęście dla zgorszonego prawosławia, nikogo nie budują przykłady z Carogrodu, szczególniej wybór ostatniego patryarchy!“ Słowem, tak do siebie przemówiły matka z córką, jakby u nas w Krakowie para przekupek. Po odprawie, danej patryarsze, synod trwał w uporze przeciw rządowi, aż biskupi nie dokonali roku na swoim urzędzie. Tymczasem rząd z królem przyszedł do zgody co do nowej głowy Kościoła greckiego, powołał do synodu nowych biskupów i nim pozwolił im zasiąść na obrady wyborcze, pierwej minister oświaty musiał im wypowiedzieć co się zowie kazanie polityczno-kanoniczne; w pierwszej części wykładał im, że zajmują stanowisko ważne dla społeczeństwa; w drugiej, że od nich zależy dobro jednostek; nakoniec wezwał, aby szukali chwały Ojca

Przedwiecznego. To kazanie tak pokrzepiło na duchu członków nowego synodu i tak owiało ich duchem jednomyślnym, że, jak donoszą, już za drugim razem, kiedy zasiedli do wyboru, powtórzył się cud z legendy żydowskiej o 70 tłumaczach biblii: każdy sam bez narady z drugimi napisał nazwisko wybrańca rządowego, a może właściwiej mówią drudzy: wybrańca królowej. I któżby nie widział, ile pożądanej zgody natchnąć umie rząd pomiędzy biskupami greckiego synodu!

Ale niema złego, coby na dobre nie wyszło. Prokop Oikonomides, prócz wspaniałej postawy zewnętrznej, posiada wiele przymiotów wewnętrznych. Wychowany w monasterze, został mnichem i używa dobrej sławy, jako człowiek z charakterem, uczony i surowego żywota. Zwiedził Rosyę, Francyę, Rzym, poznał dosyć Kościół zachodni, włada kilku językami, zna doktorów łacińskich, nigdy nie działał na szkodę katolików, owszem ani pismem, ani słowem im nie uwłóczył. Po wyborze swoim na metropolitalną stolicę grecką, dał znać arcybiskupowi katolickiemu, że żywi dla niego uczucia czci i miłości i pragnie z nim żyć w zgodzie braterskiej i szczerej. W samej rzeczy obaj dostojnicy zamienili ze sobą odwiedziny i obaj ze sobą przestawali bardzo otwarcie i serdecznie.

Pod jego rządami wielu z jego owczarni Greków kupuje encyklikę *Satis cognitum*, wydaną w greckim przekładzie przez czasopismo Ἁρμονία; kupują, czytają i milczą... tylko wysyłają synów do liceum ateńskiego imienia Leona XIII., albo do szkoły oblatów św. Franciszka Salezego w Naxos, a córki do Urszulanek w Naxos i w Tine, albo do Józefinek w Atenach i Pireach. Czy można stąd jakie wnioski snuć, o tem czas powie. W najgorszym jednak razie wiele zyskać może młodzież grecka w katolickiej szkole, bo dotychczas oświecone warstwy narodu objawiały straszne nieuctwo religijne, zaprawione indyferentyzmem i najbrzydszym liberalizmem w poglądach obyczajnych. I któż ich miał uczyć wiary? Duchowieństwo nie posiada nauki albo żadnej, albo przynajmniej szczerze chrześcijańskiej, bo ci tylko coś umieją, którzy w Europie poduczeni wracają do kraju z zasadami racyonalizmu protestanckiego. Nic dziwnego nakoniec,

że lud opuszczony, przeważnie w najlepszej wierze, czci Paua Boga fanatyzmem, z którym pilnuje obrzędów takich, jakich ojcowie i dziadowie strzegli, ale tak samo nie rozumie, jak dawniejsze pokolenie. Prócz takiej wiary, w obrzędach pokładanej, nie okazuje po sobie wiele chrześcijańskiego ducha ten naród.

Ks. K. Czaykowski.

Parę słów o odczycie p. Daszyńskiej.

Dnia 10 stycznia pani Zofia Daszyńska, docentka berlińskiej akademii Humboldta, wygłosiła w Krakowie w sali rady miejskiej przed licznie zebraną publicznością odczyt o współczesnym ruchu kobiecym wobec kwestyi robotnic. Odczyt ten, zapowiedziany trochę kabalistycznym tytułem: „Przed jutrem“, poprzedziło pewne zajęcie i zaciekawienie. Ci i owi zadawali sobie pytanie, jakim tonem przemówi prelegentka, i do jak dalekich posunie się granic w swoich poglądach i postulatach. Dowiadywano się, jakie są jej przekonania moralne i religijne, a nieświadomi stosunków zasięgali informacyj, jaki stopień pokrewieństwa łączy ją z... *Naprzodem.* „Tęgie duchy“ obiecywały sobie po jej występie wielki tryumf „tłumionych idei“ i wielki pogrom przestarzałych haseł; trwożliwsze znowu natury drżały na myśl, że sala ratuszowa, ostatnia do niedawna ostoja porządku i ładu, szturmem będzie wzięta przez zwycięską docentkę z nad Sprei przy dźwiękach „Czerwonego sztandaru“.

Tymczasem p. Daszyńska zarówno zawiodła nadzieje jednych, jak obawy drugich. Odczyt odbył się w tonie pokojowym, a pod względem form tak był poprawnym i przyzwoitym, że w słuchaczu, nieprzygotowanym na coś podobnego, budziło się mimowoli wrażenie, jakoby oddychał atmosferą przeciętnego burżuazyjnego salonu. Nie było mowy o „Czerwonym sztandarze“. Zamiast niego zwracał na siebie uwagę biały kwiatek, nie bez szczypty pewnej kokieteryi zatknięty u pasa prelegentki, prawdopodobnie jako symbol umiarkowania, zgody i pokoju. Do tegoż tonu dostrojoną była treść i forma odczytu. Czuć w nim było wielką oględność i rezerwę; w ogóle odnosiło się wrażenie, że prelegentka żadnym ostrzejszym tonem nie chce zrazić nie dość może jeszcze „uświadomionego“ audytoryum, owszem, że pragnie je sobie zjednać i podbić.

Było do przewidzenia, że pewne pisma krakowskie, gotowe zawsze pod niebiosa wynosić wszystko, co nosi na sobie stempel Daszyńskich, nie odstąpią i tym razem od przyjętej zasady i zrobią prelegentce szeroką reklamę.

Tak się też stało.

Socyalistyczny *Naprzód* stwierdza, że odczyt o ruchu kobiecym należał do tych spraw poważnych, których niepodobna zbyć kilkoma pochwałami; zapowiada, iż w niedalekiej przyszłości pojawi się w osobnej broszurze; tymczasem zaznacza, że były w nim rzeczy znakomite, a za jedną z głównych zalet poczytuje, iż zamiast frazesów i morałów zawierał daty naukowe i statystyczne.

Dziennik Krakowski większy poniekąd nacisk kładzie na inne momenta; podnosi on niezwykle sympatyczną powierzchowność prelegentki i konstatuje, że odrazu podbiła sobie publiczność wdziękiem kobiecości i ujmującą prostotą. Stwierdza, że mówi ona głosem dźwięcznym i miłym, spokojnie i bez pośpiechu, miarowo chociaż nie monotonnie. Wskutek tych zalet nietylko „przekonywa, ale i — suggeruje“ [1].

To ostatnie wynurzenie jest nieocenione!

Ale mimo że reporter *Dziennika* uległ pod suggestyą ujmującej prostoty i miarowego choć nie monotonnego głosu, a sprawozdawca *Naprzodu* poddał się hypnotycznemu działaniu dat naukowych i statystycznych, to jednak w dość licznem gronie słuchaczy p. Daszyńskiej znalazły się przecież *media*, mniej podatne na tego rodzaju wpływy. W imieniu tych ostatnich pozwolimy sobie zauważyć, że wdzięk kobiecości i najbardziej nawet ujmująca prostota są rzeczą niezmiernie podrzędną w rozstrzyganiu kwestyj społecznych i naukowych, a wiązanka — wcale zresztą skąpych — dat statystycznych, sama przez się, nie stanowi jeszcze o gruntowności i naukowej metodzie. W odczycie p. Daszyńskiej pod pozornem umiarkowaniem kryły się rzeczy wcale nieumiarkowane, a niebotyczna jej naukowość zatwierdzała się raczej słowami i kolosalną pewnością siebie, niż rzeczywistem dowodzeniem i gruntownością. I to jest racya, dlaczego zabieramy głos w tej sprawie.

Pierwszą zasadą ścisłego i umiejętnego traktowania kwestyj jest

[1] *Naprzód* i *Dziennik Krakowski* w opisaniu szczegółów odczytu zgadzają się harmonijnie a nawet dopełniają nawzajem. W jednym jednak punkcie zaszła różnica równie zabawna, jak charakterystyczna. *Dziennik* twierdzi, że na odczycie poważną ilość miejsc stojących zajmowali robotnicy i robotnice, podczas gdy *Naprzód*, zgodnie z rzeczywistością, utrzymuje, iż robotnic było niestety tak mało!

bezwątpienia jasne ich określenie i sformułowanie. Prelegentka mówiła ciągle o ruchu kobiecym, o wyzwoleniu i emancypacyi kobiety, a nie zaznaczyła ani razu, o jaką emancypacyę jej chodzi i w jakich pragnie ją objąć granicach. Pod tym względem od początku do końca odczytu panowała kompletna niejasność. Wiadomo, że w sprawie ruchu kobiecego panuje wiele poglądów, nieraz bardzo od siebie różnych i oddalonych. W kilka dni po odczycie p. Daszyńskiej otwierał we Lwowie prof. Ćwikliński kursa akademickie dla kobiet i w mowie wstępnej słusznie zaznaczył, że ruch, dążący do tak zwanej emancypacyi kobiety nie w jednym idzie kierunku i nie jednym toczy się korytem, a fale jego dążą nieraz tam, gdzieby ich ludzie poważni i trzeźwo myślący widzieć nie chcieli. Myślę, że emancypacya tak pojęta, jak ją sformułowały doktrynalnie powagi naukowe socyalizmu, a przystępnie wytłumaczył i spopularyzował niebawiący się w dwuznaczniki Bebel, bardzo chyba jest różną od tej, w imię której otwarto we Lwowie wspomniane kursa uniwersyteckie, a pewnie ją potępiają i ci, którzy dali początek żeńskiemu gimnazyum w Krakowie. Na razie nie wchodzę w to, czy którakolwiek z tych form emancypacyi jest do przyjęcia i o ile, która przypada do gustu piszącego, a która odpowiada pragnieniom p. Daszyńskiej i jej najbliższych przyjaciół — o to na razie mi nie idzie. Idzie tylko o to, że zabierając publicznie głos w tej sprawie, ma się obowiązek jasno sformułować swe tezy, wyjaśnić swe poglądy i przedstawić otwarcie cele, do których się zmierza. Kto postępuje inaczej, ten świadomie czy nieświadomie wywołuje niejasność i zamęt pojęć, tem szkodliwszy, im poważniejszą jest sprawa, o którą chodzi, a nadto niejednokrotnie narazić się może na zarzut, że boi się wypowiedzieć prawdę i że ma coś w zanadrzu, z czem przezorna taktyka nakazuje mu się ukrywać. Tego rodzaju metodę z różnych punktów widzenia różnie można nazwać — naukową nie będzie ona w żadnym wypadku.

Inną właściwością odczytu p. Daszyńskiej było rzucanie gołosłownych affirmacyj, podających jako pewniki naukowe zdania, które pewnikami wcale nie są. Jakąż np. może mieć wartość pretensyonalne i żadnym nie poparte dowodem zapewnianie słuchaczy, że kwestya emancypacyi kobiety rozstrzygniętą już została w sferze akademickiej, i żadnych wątpliwości nie przedstawia w teoryi; tam tylko, gdzie z wyżyny naukowej wkracza w życie praktyczne, spotyka się jeszcze z przesądami i wywołuje walkę.

Dlaczego prelegentka nie wytoczyła ani jednego z tych nauko-

wych dowodów, które rzekomo rozciąć już miały gordyjski węzeł tej kwestyi; dowody te przecież, jeśli są tak kategoryczne, światła dziennego bać się nie powinny. Dlaczego nie rozebrała zarzutów, podnoszonych przeciwko różnym formom i rozmiarom emancypacyi, przez ludzi bądź co bądź myślących, filozoficznie wykształconych, a nieraz nawet ruchowi kobiecemu przychylnych i życzliwych.

Profesorowie uniwersytetu lwowskiego, zajmujący się żywo ruchem kobiecym i urządzający dla kobiet akademickie kursa, mają może inne poglądy na emancypacyę niż berlińska doktorka — może więc ona nie pisać się na te poglądy, może je zwalczać; w każdym jednak razie niema prawa gronu ludzi, złożonemu z filozofów i ekonomistów i poświęcających się wyłącznie nauce odmawiać kompetencyi do wydania sądu o tem, co jest naukowo stwierdzonem, a co nie. A właśnie w imieniu tego grona prof. Ćwikliński wypowiedział zdanie, że sprawa kobieca nietylko w całej swej rozciągłości, ale nawet w jednym swym odłamie, tj. w kwestyi dopuszczenia kobiet do studyów uniwersyteckich i nadania im praw, jakie te studya dają mężczyznom — naukowo rozstrzygniętą nie jest. Twierdził, że sprawy tej nie można rozwiązać drogą dedukcyi, bo niema dotychczas zdania naukowo uzasadnionego, z któregoby tę dedukcyę można było czynić; niema też kraju, któryby mógł posłużyć za przykład, bo nawet w Ameryce Północnej zasada równouprawnienia nie jest doprowadzona do ostatnich konsekwencyj. Te i inne tego rodzaju poglądy mogą nie przypadać do gustu pani Daszyńskiej; w takim razie, powtarzamy, może je zbijać i słuszności własnych poglądów dowodzić. Do tego ma prawo. Ale ignorować ryczałtem wszystkie szkoły i kierunki odmienne od własnego, tak jakby nie było w nich wszystkich źdźbła zdrowego sensu, a dla własnego zapatrywania uzurpować bez żadnych dowodów, drogą prostej affirmacyi jakiś wyłączny monopol naukowości, z taką młodzieńczą pewnością siebie, która aż śmieszy zamiast oburzać, to znaczy: albo nie rozumieć sprawy, albo (co gorsza), rozumiejąc ją, chwytać słuchaczy na lep ułudnych frazesów, obliczonych chyba na ich naiwność.

Podobny sąd wydać trzeba o innem jeszcze, równie śmiałem jak bałamutnem twierdzeniu p. Daszyńskiej. Powtarzała ona raz po raz zdanie — znowu jako prawdę dowiedzioną naukowo i niedopuszczającą dyskusyi — że kobieta z mężczyzną równe ma prawa i obowiązki. Zdanie to było wypowiedziane w formie ogólnej, uprawniało więc do wniosku, że prelegentka żadnego nie dopuszcza w niem zastrzeżenia, że nie chodzi jej o niektóre tylko prawa kobiety, należące się jej po

równi z mężczyzną, ale po prostu o wszystkie prawa i obowiązki, bez żadnych ograniczeń.

Tego rodzaju korkołomne twierdzenia, abstrakcyjnie rzecz biorąc, wolno ostatecznie każdemu stawiać, kto ma po temu odwagę lub ochotę — postawiwszy je jednak, nie wolno ich nie dowodzić — a tem mniej jeszcze, nie dowiódłszy ich wcale, chełpić się z naukowej metody... na podstawie dat statystycznych. Dlaczego pani Daszyńska nie sięgnęła do podstaw kwestyi? Dlaczego mówiąc o prawach i obowiązkach kobiety omijała jak najstaranniej punkt najbardziej zasadniczy, właśnie ten, którego nigdy pominąć nie można z jakiegokolwiekbądź zresztą traktuje się tę sprawę stanowiska. Punktem tym to fizyczna i duchowa różnica, jaka zachodzi między mężczyzną a kobietą, różnica dla olbrzymiej większości rodzaju ludzkiego oczywista, dostrzegana i uwzględniana przez wszystkie ludy, we wszystkich wiekach i na wszystkich stopniach cywilizacyi, stwierdzona zresztą i głębiej uzasadniona przez naukę: przez fizyologię, przez psychologię, przez historyę kultury.

Ci z socyalistów, którzy mają odwagę odsłonić przyłbicę i wypowiedzieć szczerze co myślą, w postulatach odnoszących się do emancypacyi kobiety i wywalczenia należnych jej, jak mówią, praw, idą co prawda bezczelnie daleko, bo aż do tak zwanej „wyższej formy rodziny“ i do systemu „wolnej miłości“, opartej na prywatnej umowie, która każdej chwili obustronnie zerwaną być może. Taki Engels wykłada te rzeczy tetycznie, z pewną pseudo naukową pretensyą, a głośny Bebel rozszerza je popularnie z całą cyniczną szczerością. Ale ci panowie myślą przynajmniej logicznie. Kwestyi różnicy między kobietą a mężczyzną żaden z nich nie ignoruje. Owszem przyznają, że ona istnieje, a chcąc ten niewygodny szkopuł usunąć z drogi, starają się wykazać, że różnica ta nie jest wytworem przyczyn naturalnych, ale tylko następstwem wiekowego ujarzmienia kobiety i zamknięcia jej w sztucznie wytworzonych szrankach. Stan ten wycisnął, jak mówią, na jestestwie kobiety pewne stałe piętno, które się propaguje dziedzicznie. Skoro się jednak usunie sztuczne zapory i wyzwoli kobietę, wszelka różnica między nią a mężczyzną, oprócz płciowej, całkiem się zatrze. Cały ten wywód śmieszny jest bezwątpienia i nikogo chyba na seryo nie przekonuje; pokazuje jednak, że ci, co go wymyślili, rozumieli w czem leży *punctum saliens* kwestyi i jasno widzieli, że go pominąć nie można. Z tego przecież punktu wychodzą wszystkie poglądy i twierdzenia przeciwników socyalistycznej emancypacyi. Jak z jednej strony z jedności natury wywodzą oni rów-

ność zupełną kobiety i mężczyzny pod względem godności i ludzkiej wspólności celu ostatecznego tak znowu z różnic owych, o których wspomnieliśmy, wyprowadzają różność bezpośrednich celów i przeznaczeń już to indywidualnych już to społecznych kobiety i mężczyzny, a co za tem idzie, różność pod niejednym względem praw i obowiązków. Wiem, iż w najbliższem otoczeniu pani Daszyńskiej poglądy te nie popłacają, że teorya o różnicy zachodzącej między mężczyzną a kobietą i o odmiennych zdolnościach i powołaniu tej ostatniej, piętnowaną tam bywa jako rzecz przestarzała, możliwa dzisiaj w jednej tylko zacofanej Austryi, gdzie kobietę gnębi z jednej strony drobnomieszczaństwo, lękające się kobiecej konkurencyi, z drugiej klerykalna szlachta obawiająca się rozluźnienia dawnej formy rodziny — jak to obwieścił *urbi et orbi* niespełna przed rokiem p. Stanisław Gall w krakowskiej *Krytyce* — ośmielam się jednak zauważyć, że na powierzchni naszego mizernego planety, obok poglądów reprezentowanych przez *Krytykę* egzystują jeszcze inne poglądy utrzymujące, że między kobietą a mężczyzną, naturalna a nie sztucznie wytworzona różnica rzeczywiście istnieje; zwolennicy tych poglądów, jeśli się nie mylę, są cokolwiek liczniejsi od panów i pań z *Krytyki*, a mają tę odwagę, czy może upór, że twierdzą stanowczo, iż ich zapatrywania są również naukowo uzasadnione. *A priori* rzecz biorąc, żadnej nie widzą racyi, dla którejby ich zapewnieniom mniej należało dawać wiary, niż zapewnieniom pani Daszyńskiej. Czyż nauka — to wielkie słowo, a zarazem najbardziej nadużywane w naszych czasach pojęcie — zamykaćby się miała w ciasnem kółku, skupionem koło *Krytyki*, koło *Naprzodu*, koło *Dziennika Krakowskiego?* Zabawne doprawdy pretensye, choćby tylko ze stanowiska... cyfr statystycznych!

Punktem wyjścia dla wniosków i postulatów pani Daszyńskiej, zmierzających do równouprawnienia kobiety, był fakt całkowitego przeobrażenia się za dni naszych stosunków ekonomicznych.

W dawnych czasach — mówiła ona — kiedy gospodarstwo społeczne na innych było oparte podstawach, rodzina stanowiła pod względem ekonomicznym osobną i ważną jednostkę wytwórczą: kobieta znajdowała w jej obrębie szerokie i godne zabiegów pole pracy a wraz z niem może i sumę szczęścia, która ją zadowalniała, zwłaszcza, że wystarczały jej w zupełności ówczesne ideały moralne i religijne. Dzisiaj rodzina przestała być jednostką ekonomiczną; kobiecie w rodzinie coraz ciaśniej, potrzeba zarobku i racyonalnego zajęcia wypycha ją przemocą z dawnych szranków i każe szukać nowych pól szerszej i samodzielnej pracy. Jedynie na wsi, gdzie przechowała się jeszcze nieracyo-

nalna i do upadku chyląca się gospodarka, zachowała kobieta dawne swe stanowisko, a rodzina dawną swą formę.

Z tych twierdzeń pani Daszyńskiej — przynajmniej niektórych — z całego toku jej myśli, z pewnych wreszcie wyrażeń i zwrotów, narzuconych znacząco, choć niedomówionych, mogło i musiało w niejednym ze słuchaczy obudzić się podejrzenie, jakoby prelegentka na dnie duszy nosiła przekonanie, iż równocześnie ze zmianą stosunków ekonomicznych upadły wszelkie podstawy dawnej rodziny w znaczeniu chrześcijańskiem. Bo i cóż jest w stanie — rozumował sobie myślący słuchacz — skupić dzisiaj rodzinę koło jednego ogniska? Dawniej skupiały ją, zdaniem prelegentki, jeżeli nie wyłącznie to przynajmniej pierwszorzędnie, warunki ekonomiczne. Ale dzisiaj?! Dzisiaj rozwój gospodarstwa społecznego ciągle postępujący naprzód, dąży przecież stopniowo do całkowitego rozbicia rodziny. Dawniej... skupiały ją może pewne moralne i religijne węzły. Ale dzisiaj?! Dzisiaj moralne i religijne ideały nie wystarczają już kobiecie nowożytnej. Cóż więc za wniosek ostateczny? Chyba ten, że dotychczasowa forma rodziny jest już na wymarciu, że w niedalekiej przyszłości rozsadzi ją samą siłą faktów szybko idący naprzód rozwój ekonomicznych stosunków, i wtedy nastanie tak zwana „wyższa forma rodziny", o której się czytało w pismach socyalistów; ta wyższa forma będzie prawdopodobnie polegała na systemie wolnej miłości, wytwarzającym dowolne i każdej chwili rozerwalne związki dwojga płci, dzieci tych związków wychowa państwo socyalistyczne, do którego „jutro" należy — dawna zaś forma chrześcijańskiej rodziny, zabytek z czasów ciemnoty i niewoli, zostanie tylko ponurem wspomnieniem na jasnym widnokręgu odrodzonej ludzkości. To jest przynajmniej logiczne!

Ktoś co p. Daszyńską zna tylko z ostatniego odczytu, mógłby nam zarzucić, że w domysłach i przypuszczeniach idziemy może za daleko; że chwytamy prelegentkę za słowa i imputujemy jej doktryny, do których ona w odczycie wcale się nie przyznała. Przecież nigdzie wprost nie wystąpiła przeciw formie rodziny chrześcijańskiej, owszem parę razy miało się wrażenie, że staje w obronie rodziny i moralności, że mówi o niej z godnością i pewnem nawet ciepłem. Przecież słowami pogardy obrzuciła robotnicę, która się zaprzedaje (zwłaszcza bogatszym!?) a tylko za smutną konieczność uznała fakt, iż kobietę od rodzinnego ogniska odrywa praca fabryczna. Takich zdań było kilka.

Słyszeliśmy te zdania w odczycie pani Daszyńskiej i przyznajemy otwarcie, że żadne z nich nie uszło naszej uwagi — ale twierdzimy

zarazem, że one właśnie przeciwko swej autorce najsilniej się zwracają. W tak jaskrawej bowiem stoją sprzeczności z poglądami, do których się p. Daszyńska otwarcie przyznała gdzieindziej, że mamy wszelkie prawo napiętnować je jako prosty i niechwalebny fortel (szeroko zresztą praktykowany przez partyę, której pani Daszyńska jest wyrocznią), polegający na tem, aby przybierać pewne pozory ortodoksyi, tam, gdzie wywieszenie prawdziwych haseł w całej ich nagości, mogłoby być przedwczesnem i niepopularnem.

Tak ciężki zarzut powinien być udowodnionym. O to jednak nie trudno. Pani Daszyńska w sprawie emancypacyi kobiet zabierała już głos dawniej i wtedy okoliczności pozwoliły jej być o wiele więcej szczerą, niż w ostatnim odczycie. Dla charakterystyki jej poglądów przypominamy teoryę, którą (znowu w imię nauki) propagowała przed rokiem nietylko w Berlinie, ale także w krakowskiej *Krytyce*, o potrzebie uregulowania przez kobietę, (która, jako głównie interesowana, sama o tem decydować powinna), liczby dzieci w familiach. To uregulowanie leży, zdaniem p. Daszyńskiej, zarówno w osobistym interesie kobiety, jak i w interesie ogółu, dla którego zanadto wielkie nagromadzenie ludności nietylko nie przynosi żadnego pożytku, ale jest nawet ciężarem [1]. Wynalezienie tej teoryi nie jest wprawdzie zasługą p. Daszyńskiej, jak wogóle chwała samodzielnej inwencyi nie przysporzy liści w jej wieńcu — jest jednak propagatorką tej niemoralnej doktryny, a to wystarcza, aby ją zarekomendować dostatecznie... wobec polskich matek.

Nie poskąpiła nam też p. Daszyńska dokładniejszych, niż w odczycie wskazówek, co sądzić należy o tak zwanej nowej formie rodziny W tym samym zeszycie *Krytyki* (str. 228) twierdzi ona, że ruch emancypacyjny wtedy dopiero nabierze pełnego znaczenia, kiedy kobieta obznajomi się z nauką ekonomii. Wykształcenie ekonomiczne przekona bowiem kobietę, że rozwój nowożytny stosunków gospodarczych wymaga z konieczności głęboko idących zmian — także w rodzinie. Konieczną będzie zmiana „stanowiska członków rodziny wobec siebie“, konieczną zmiana „moralnego stosunku obu płci“, a zatem pójść oczywiście musi zmiana „opinii publicznej“, która zresztą faktycznej ewolucyi stosunków dotrzymuje zawsze kroku.

Niemniej wymownem jest inne jeszcze wyznanie autorki, kiedy w tej samej znowu *Krytyce* (str. 229) wspomina mimochodem o celach, do których zmierzać winien ruch emancypacyjny kobiecy. Ostatecznym

[1] *Krytyka* 1896, nr. 5 i 6 str. 227.

jego celem — powiada — nie są kwestye zarobkowe i gospodarcze, one są tylko nieodzownym poprzednikiem i wstępem społecznym w walce o należące się kobiecie prawa... na dalszym planie leży uniezależnienie i równouprawnienie prawne i umiejętne... wreszcie u kresu przyświeca... „nowe ukształtowanie się życia familijnego i uczuciowego".

To chyba wystarczy!

Po tych cytatach nie potrzeba już dodawać, że o Bogu, który wedle poglądów, dzisiaj zapewne już przestarzałych, bywał ze dawnych czasów początkiem i końcem wszelkiej budowy społecznej i wszelkiej na tem polu reformy, głucho było — przejmująco głucho — w odczycie p. Daszyńskiej. Czyżby to miało być dowodem przekonań, że Bóg i religia są rzeczą prywatną?

Po tem, cośmy słyszeli powyżej, nie wątpimy, że tak.

Fale ruchu kobiecego wzmagają się u nas coraz bardziej; jest to fakt, wobec którego na nic się nie zda rozdzierać szaty ze zgorszenia, lub bezczynnie oczy zamykać. W jakim kierunku ten ruch się potoczy, zależeć będzie od tego, jakich on znajdzie kierowników. Dzisiaj olbrzymia większość polskich kobiet odrzuciłaby jeszcze ze wstrętem hasła: „wyższej formy rodziny" i inne podobne, gdyby je nazwano po imieniu. O tem się wie! Więc się idzie do tych kobiet przezornie, i kokietuje się je wdziękiem ujmującej prostoty, pozorami umiarkowania i blichtrem nauki.

Uważaliśmy za obowiązek wyświecić tę taktykę, a zarazem przestrzedz wszystkich, którym na sercu leży godność polskiej niewiasty, że ster kobiecego ruchu powinny ująć co prędzej życzliwe i pewne ręce — póki jeszcze czas!

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Czesi, Morawianie i Słowacy.

Związek katolicki w królestwie czeskiem i *Katolické Listy.* — Morawianie w walce z socyalizmem. — Obudzony duch pośród Słowaków.

Czechom za dużo było liberalizmu z jednej strony, a z drugiej radykalnych Młodo-czechów: widzieli w jednym starczy zanik sił, a w drugich więcej słów niż czynów. I przez chwilę wyglądało, że po zagasłej gwieździe wolnomyślnej doby i po wypalonych na marny żużel ognikach radykalizmu zapanuje w czeskiem społeczeństwie bezradna niemoc i gnuśny sen. Już nawet takie pismo wytrawne, jak *Politik,* spoglądało na czas ubiegły jako na dobę rozstroju i upadku, i mó-

wiło: „Jak gdyby polotu zabrakło i zgasł żar w sercach, tak mdło i nędznie wyglądają wypadki ubiegłe. Brak im wielkich pomysłów, rozpędu w daleki przestwór, piękna dziejowego. Małe potyczki, które drażnią siły, ale ich nie rozwijają; podjazdowa wojna o drobnostki, często o mrzonki; kulawy pośpiech do urojonej mety; rozdrażniona tęsknota za suchotniczemi widmami szczęścia; leniwa gonitwa za nikłemi pozorami albo pustemi wykrzyknikami, które mają zastąpić pojęcia i myśli: z takiego to przędziwa najnowsza doba snuje nić wypadków, którym brak zaokrąglenia, przejrzystości i związku. Mamy znów rok dekadentyzmu za sobą. Dumne nadzieje, pokładane w nieokiełznanym popędzie ku wolności, zkarłowaciały i sączą gorycz zawodu do duszy narodowej. Różowa jutrzenka, co obiecywała nową dobę światła, zapadła na widnokręgu i zaczyna nas ogarniać szary zmrok zamierzchłego wieczora. Stoimy w porze liści wyżółkłych i kwiatów wywiędłych, rozkładu i zamętu. Z niepowstrzymanym zapałem zwycięzców poszły młode stronnictwa na pole walki parlamentarnej i stanowczo zamierzały rządom nałożyć wolę ludu. Ale wkrótce wypłynęła na jaw potęga rządu, której nie sprostały siły przewrotowe“. Takie słowa świadczą o zlodowaciałym stanie umysłów, które darmo na prawo i na lewo spoglądają i nie widzą nigdzie światła ani podpory. Ale, chociaż gdzie indziej po nieudałych zapędach długo trwa okres rozpaczy albo wzajemnych wymówek i sporów o to, kto zawinił w upadku: jednak w królestwie św. Wacława ludzie dobrej woli nie spuścili rąk na długo; prędko spostrzegli, którędy droga dla nich, żeby wyjść z zamętu, nad którego naprawą darmo radził liberalizm: dostał suchot a nie poradził; później burzliwe żywioły usiłowały wyciągnąć z mielizny narodową łódkę czeską: dziś z zagorzałych zwolenników przewrotu jedni zchodzą na stanowisko przestarzałe, inni tracą już wszelką miarę w rozstrojowych zapędach. Więc katolicy szukają drogi w duchu chrześcijańskim i stają złączeni w nowy związek, który od niedawna powstał a dał świeży dowód żywotnych sił. Przeciw wolnomyślnym prądom walczył dotychczas drobnemi pismami, między któremi *Čech* i *Večerni Noviny* najskwapliwiej dostarczały swoim czytelnikom powszedniej strawy nowin dziennikarskich, aby katolickiemu społeczeństwu zastąpić pisma bezwyznaniowe. Skromne początki doprowadziły sprawę do pomyślnego rozwoju. Od nowego roku Czesi posiadają już dziennik pokaźnych rozmiarów, *Katolické Listy*, który zajął poważne stanowisko w rzędzie innych pism i służy jakby za urzędowy organ czeskiego katolicyzmu.

W tem piśmie czytamy na wstępie program katolickiego związku

w królestwie czeskiem, który zapowiada, że przeciw wolnomyślnym siewcom zamętu do walki wstępuje, a za proporzec bierze: krzyż, i za hasło: prawdy wieczne. Stąd członkowie związku za pierwszy swój obowiązek poczytują obronę praw Kościoła, a mianowicie śmiało wyznają, że nie chcą w ustawodawstwie dłużej cierpieć „zdobyczy wolnomyślnego ducha“, ale walczyć będą o ustawy państwowe i krajowe zgodne z zasadami chrześcijaństwa i jego przykazaniami.

Oddając Bogu, co Boskie, wyraźnie zaznaczają, że szczerem sercem i bez obłudy zamyślają cesarzowi składać wszelką dań winnej czci i posłuszeństwa, i w niczem w tej mierze nie pozostawać w tyle za Niemcami, w których nie widzą wrogów, tylko bliźnich.

W zamian wyrażają nadzieję, że ujrzą zabezpieczone swoje prawa dziejowe i koronę świętego Wacława na skroniach cesarskich.

Co do potrzeb swoich narodowych pamiętają najprzód o duchowym rozwoju: więc bez ogródki wymieniają brak szkoły, a temu, kogo dziwiłaby skarga na brak szkół w Czechach, odpowiadają wyraźnie: tych zakładów, gdzie bałamucą młodzież nauką bezwyznaniową, nie nazywamy szkołą: raz niech nastanie już u nas szkoła wyznaniowa!

Dalej żądają ustawy o święceniu niedziel i świąt, i rządu przychylnego związkom i stowarzyszeniom katolickim, które mają ludziom pracy dać ochronę tak przed wyzyskiem, jak przed pokusami socyalistów: więc zamierzają zdobyć takim związkom zawodowym prawo wyborów do sejmu, a sejmowi prawo, żeby wysyłał zastępców do rady państwa.

Przeciwko loteryom, lichwiarstwu i innym środkom wyzysku zamierzają wystąpić stanowczo i oprzeć ustrój społeczny na dawnych wzorach chrześcijańskich.

Nakoniec mówią: „nie taimy przed sobą przeszkód, jakie na wielu miejscach spotkają nasze zamiary, ani walk, jakie w dzisiejszych stosunkach czekają taką pracę, jak nasza. Wszakże powszechnie rozpanoszona bieda w społeczeństwie i coraz widoczniejszy brak pomocy od innych stronnictw, codzień mocniej wołają nas do dzieła pod proporcem Chrystusowym“.

K čemuž pomahej vám Bůh! możemy życzyć czeskim pobratymcom, a tem szczerzej życzyć im pomocy Boskiej, że wydawcy *Katolickich Listów* także nam Polakom dobrze życzą; nie milczą o krzywdach, wyrządzanych nam przez Hakatystów, ale bez ogródki wypowiadają sąd o naszej doli: widzą między Polakami w regencyi poznańskiej a murzynami w Kamerunie tylko tę różnicę, że murzynom prusak drze

skórę z grzbietów razami rzemieni z nosorożców, a nam chce ducha zabić i serce w kawały porwać. A przeciwnie podają jako radosną nowinę wieść, że pod berłem rosyjskiem ma ustać kontrybucya.

Śledzą pilnie najnowsze prądy w stosunkach Polski do Rosyi i objawy pojednawcze najświeższe, rozbierają książkę p. Koźmiana i nawet pracę p. Moszyńskiego. Albo kiedy *Národni listy* zaczęły powtarzać za rosyjskim *Świetem* zachęty dla nas, żebyśmy założyli swój kościół narodowy, zaraz *Katolickie Listy* wystąpiły z wstępnym artykułem, *Volavky na Poláky*, w którym przedstawiają, że jak najdroższego skarbu broniliśmy dotąd Wiary ojców i mowy matek naszych, więc że wolnomyślny organ zawiele imputuje naiwności swoim czytelnikom, jeżeli mniema, że ci nie rozśmieją się na niedorzeczną myśl o Polakach nie wiernych Kościołowi! Potem dodają *Katolickie Listy:* „Niedźwiedzie i wilcy wołają na Polaków: miłe owieczki, opuśćcie owczarnię katolickiego Kościoła a przystąpcie do owczarni naszej, nie bójcie się o nic, oswobódźcie się z jarzma „jezuitów", my wam wasz język zaręczamy. Opuśćcie najpewniejszą basztę swojej narodowości: baszta to katolickiej wiary, a tak was my łatwo połkniemy i strawimy. *Nár. Listy* przez swą nagonkę do rosyjskiego odszczepieństwa muszą w polskich oczach wyglądać na błaznów. Zobaczymy, co im na to odpowiedzą polskie pisma". Tak piszą *Katolické Listy.*

Wypadałoby i nam tak śledzić przygody i wypadki u Czechów, jak oni u nas. Bardzo wdzięcznie Czesi podnoszą, kiedy tylko spostrzegą w Polsce wzrok zwrócony na ich sprawy. Niedawno *Politik* skrzętnie opisała objawy przyjaźni polskiej ku Czechom. A jest co o Czechach wiedzieć. Z samych *Katolickich Listów* możnaby poznać wiele szczegółów z czeskich spraw, w których tylko moglibyśmy ich naśladować. Czyż np. nie przydałoby się u nas po gminach obostrzyć swobodę tańców w podobnej mierze, jak urząd miejski postąpił w gminie Malotice-Lhotky? Nie pozwolił właścicielom gospod urządzać tańców, chyba tym, którzy znani z uczciwości, uzyskają osobne na to prawo: ale nawet ci nie mogą dopuszczać do tańcu w czasie postu, adwentu i w przeddzień niedziel i świąt, a w tłusty wtorek ściśle tylko do północy; do 15 roku młodzież nie może wchodzić do gospody podczas tańców; za każdy przypadek ważniejszy, bitkę albo pożar, zdarzony przy tańcu, odpowiada właściciel gospody, i podpada karze do 10 złr. Innych także nie brak szczegółów, któremi dają nam Czesi przykłady dobre. Jednem z nich właśnie są te poczciwe *Katolické Listy*, które powstały z wielkiem zaparciem samolubstwa ze strony wydaw-

ców i nakładców, ale widocznie czuli to, co ogłosili w jednym z odcinków pod napisem: „Apostolstwo prasy“, że takie apostolstwo musi dziś stać się hasłem każdego, kto szerzenie chrześcijańskiej prawdy na sercu ma.

Dziwić może ton, którym przemawiają katolicy innych krajów w sprawie socyalnej. Tak np. w Morawskiej Ostrawie wydają rzemieślnicy katoliccy z Czech, Moraw i Szląska swoje pisemko, *Zájmy dělnictwa*, według programu, przyjętego na zjeździe w Litomyśli. Zawsze ten związek morawskich robotników toczył walkę przeciw socyalistom i zawsze usiłował toczyć ją w duchu szczerze chrześcijańskim. A jednak śmiało wyznawał, że występuje przeciw wadom w obecnym ustroju społecznym, mianowicie przeciw temu układowi stosunków, żeby „wszystko, co nazywa się ‚wielkiem‘ miało przywileje, a wszystko, co się nazywa ‚małem‘ było gniecionem i uciskanem“. I dodaje, dla czego nastaje i napada na wielki kapitał: „powody były głównie te, że wielki kapitał najwięcej niszczy, będąc sam w wygodach, mały przemysł i rzemiosło i prowadzi ten to średni stan w przepaść proletaryatu. Wielki kapitał założył stronnictwo niemiecko-wolnomyślne, nieprzyjazne nam pod każdym względem. A stronnictwo to przecie najwięcej wydało ustaw, któremi niszczyło rolnictwo, rzemiosła i wszystko, co mogłoby naród jako tako utrzymać przy dobrobycie! Kto obrócił bogatych obywateli w pańskich niewolników? Kto zamożne miasteczka przemienił w żebrackie dziury? Kto z zamożnych wsi zostawił gromadę lepianek? Kto napełnił te dziury i lepianki suchotnikami?

„Myślimy, że sprzeciwić się temu stronnictwu powinnaby z całych sił socyalna demokracya, która nibyto chce wyrwać lud a zwłaszcza robotników z rąk kapitału, która nibyto chce zegnać upiora, jaki siedzi wżarty w ciele robotnika i niemiłosiernie ssie z niego krew. Ale co widzimy ze zgrozą? Wszędy, gdzie się chce ktobądź o to pokusić, pierwszą jest socyalna demokracya, która, jakby szalona bije i kąsa, a chroni oną klikę kapitalistów, aby jej nikt nie ubliżył. Dość wspomnieć Wiedeń. Czemuż to? Skąd zasłużył na miłość największy szkodnik? Tego pojąć nie możemy ani nie rozumiemy... rozumieją to dobrze tylko głowacze socyalnej demokracyi: żyd Adler, żyd Verkauf, żyd Ellenbogen, żyd Singer, i cała ta szajka żydów, którzy nigdy nie pracowali, nigdy się nie namęczyli, nigdy się źle nie mieli, tłustych posad i urzędów robotniczych się dobili i teraz po zdartych i zgiętych plecach robotników chcą się dostać w V. kuryi do rady państwa, na

dyetę 10 złr. dziennie i tam pięknie usiąść na lewicy ze swoimi przyjaciółmi i pracować dalej na dobro (?) ubogich, na pożytek proletaryatu... ich całą żądzą i największym czynem dla robotników jest własna kapsa pełna i tłusty kęs na półmisku.

„Nigdy nie wystąpiliśmy przeciw potrzebom gospodarzy i prawom robotnika, rolnika albo rzemieślnika, choćby wzmianka o tych potrzebach pochodziła z taboru socyalno-demokratycznego. Za czem nie byliśmy, do czego rąk nie wyciągaliśmy, były to logiki bałamutne dla ludu o równym majątku, o swobodzie państwa socyalno-demokratycznego, który wystawić na księżycu dla robotników chcą rude głowy z zagiętym nosem, były to bluźnierskie namowy ludu do wiary, że człowiekowi najlepiej bez Boga, bez kościoła, i że ksiądz, to przecie nieprzyjaciel robotnika! Za takiemi bajkami nie byliśmy, ale za pomocą i dla ducha i dla ciała byliśmy, ale wszelkiej poprawy stosunków chcieliśmy na podstawie Wiary, aby ciało zyskało ani dusza nie cierpiała".

Takim tonem, jasno i bez ogródek wypowiadają katoliccy Morawiacy swoje zamiary. Ale umieją nie poprzestawać na śmiałych poglądach ogólnych: umieją także szczegółowo przedstawiać robotnikom, jakich lekarstw powinni szukać na społeczną chorobę Wymieniają oczywiście lekarstwa, których nabyć można w aptece socyalnej demokracyi: więc nieustannie pokazują, że biedak znajdzie w hasłach socyalistycznych: pustą bańkę z mydła. I tu można ich naśladować: nie poprzestają na tem, że raz przejdą główne wykrzykniki o prawie do pracy, o wyzysku przez kapitalistów, o ośmiogodzinnym dniu pracy, o zabezpieczeniu kalek albo o podziale zysku. Socyalistyczni przywódcy nie boją się po sto razy powtarzać coraz innemi słowami albo i temi samemi te same myśli. Więc katolicy odpowiadają im także sto razy, a dla zmiany, aby przynajmniej tych samych słów nie powtarzać, coraz inne pióra obrabiają te same myśli: więc zawsze coś nowego w zewnętrznej szacie albo w układzie dowodów, albo w stanowisku pisarza uderzy nowem światłem oczy czytelnika: i dlatego mimo rozmaitości nie przestają wbijać tych samych pojęć w umysły, bez niebezpieczeństwa, że kogo nużą. Czytelnik nie dość rozwinięty w samodzielnej pracy umysłowej może utknąć nieraz i nie poznać się na tej samej myśli, którą raz już znał rozwiniętą po katolicku, kiedy ją rozwinie socyalista; choć poprzednio myśl tę rozumiał i nie odczuwał żadnej chętki do przewrotów społecznych: kiedy jednak o tym samym wypadku przemówi socyalista, już niejeden słuchacz prostoduszny traci

wątek dawnej myśli i zawahany w poglądzie, zaczyna przystawać na zachcianki przewrotowe. Dla takich to umysłów wiele znaczy słyszeć albo czytać po wiele razy z rozmaitych stron rozwiniętą prawdę, aby módz ją pojąć dość wszechstronnie i z każdej strony umieć odeprzeć zarzuty. Dlatego to podziwiać możemy morawskich katolików, którzy niezmordowani ani niezrażeni powtarzają różnemi sposobami raz już wyłożone prawdy. Jak prace ich i wywody znajdują posłuch między robotnikami, widać to stąd, że kwitną ich związki katolickie, jak „Novojická jednota katol.-politická“, „Mistecká jednota“, „Dačická jednota“ i inne. Także drobne ich pisemka spływają ze sobą w coraz większe pisma i już dosyć poważnemi organami stawiają zapory przeciw przewrotowcom. Tak np. dwa pisma *Obecné Noviny* i *Týdennik Hlas* spłynęły w jeden poważny i obszerny tygodnik dla ludu *Hlas*, którego dzielna redakcya, dobór treści i jędrna obrona hasła „za pravdu a právo“ daje rękojmię, że im dalej będzie walczył, tem świetniejsze odniesie zwycięstwa.

Słowacki dziennik *Národnie Noviny* donosi, że magyaryzm przeliczył siły swoje w walce ze Słowakami i zamiast ich złamać, dodał im bodźca do tęższej pracy w obronie przed uciskiem. Nie upadli Słowacy na duchu tak, jak niestety Rusini węgierscy. Ci po ostatnich wyborach stracili już ochotę do dalszych zapasów; z rozpaczą sprzedają zagrody i opuszczają kraj, aby za morzami szukać lepszej doli w Ameryce. I jeszcze po drodze dostają od Magyarów bolesne upominki, aby zrozumieli dokładnie, że Magyarowi wszystko wolno.

Ale Słowacy skądeś wynajdują w sobie nieprzewidywany zapas sił i dobrej otuchy. Wszędy widać między nimi rozbudzone życie i ruchliwą pracę, która pokazuje, że po wiekowym letargu ci ludzie zaczynają się czuć nie helotami, ale wolnymi obywatelami słowackiej ojczyzny. Liberalizm okazał się im w postaci ohydnego kłamstwa i pobielanym grobem, pełnym zgnilizny. Słowak widzi, że w katolickim związku ludowym ma obrońcę, który szczerze broni jego praw narodowych. Otworzył oczy, przejrzał prawdę i staje przeciw prześladowcy z okrzykiem: *S nami Boh!*

J. R.

Druk ukończony 30 stycznia 1897 r.

P. ANNAEUS FLORUS.

I.

W roku 86 ustanowił Domicyan w Rzymie literackie zapasy kapitolińskie, które się miały odbywać co 4 lata. Z początku ubiegali się o nagrodę mowcy heleńscy i rzymscy, a jednym ze stałych tematów była oracya na cześć Jowisza kapitolińskiego. Miejsce popisów retorycznych zajęła jednak wkrótce poezya zarówno grecka, jak i łacińska. Sam cesarz, otoczony pompą dworską i dostojnikami państwa, wręczał wieniec dębowy zwycięzcy-poecie, a światowy rozgłos miejsca przyczyniał się jeszcze do podniesienia uroku wyszczególnienia. W tej samej Romie na Kapitolu senator Ursus uwieńczył uroczyście skroń Petrarki 8 kwietnia 1341. Wywiązywało się też dlatego wielkie współzawodnictwo między Grecyą a Rzymem. Dochodzą nas wieści o kilku wybrańcach losu, odznaczonych między r. 86—94, ale znanych zaledwie tylko z nazwiska: Collinus, Carus i Scaevius (Scaevus?) Memor. Przed przeszło 20 laty odnaleziono w Rzymie nagrobek chłopczyka, który w 12 wiośnie życia podobno z pomyślnym skutkiem brał udział w konkursie poetycznym. Był to Q. Sulpicius Maximus. Improwizował on 43 greckich heksametrów, wyłuszczających, „jak Zeus mógł mówić, kiedy karcił Heliosa za nieostrożne powierzenie rydwanu słonecznego Faetontowi“. To dziecko cudowne miało jednak dzień i noc ślęczeć nad wierszami, aż z wycieńczenia umarło [1].

[1] Friedlaender, *Sittengeschichte Roms,* III (1890) 426 n.

O palmę pierwszeństwa ubiegał się też w roku 90 lub 94 młodziutki poeta Florus, rodem z Afryki. Publiczność miała być za nim, tylko Domicyan, niechcąc rzekomo, by nagroda wielkiego Jowisza dostała się Afrykańczykowi, sprzeciwił się stanowczo ogólnemu żądaniu. Mogły tu wchodzić w grę intrygi literatów greckich, którzy ośmieleni przychylnością władcy dołożyli wszelkich starań, by zwycięstwo, zachwiane wystąpieniem niebezpiecznego rywala, na swoją przechylić stronę. Niewiadomo wcale, z jakim utworem wystąpił pokrzywdzony poeta, ale na podstawie jego usposobienia i zapatrywania, któremu później znaczący dał wyraz, wolno się dalej domyślać, że nie było w tym popisie kadzidła, niewolniczo palonego na cześć samolubnego cezara. Domicyan dusił niezależność słowa i pisma, a jeżeli niektórzy pisarze łacińscy, jedni dla płaskości ducha, drudzy dla zysku schlebiali ciemiężycielowi, napływowy zaś element Greków dla obu naraz powodów bił przed nim czołem, to w tym „krewniku“, jakby się Rej wyraził, z gorącym temperamentem szedł w parze już w młodych latach zaznaczający się kult republikańskiej Romy, pociąg do tężyzny czysto rzymskiej, niemniej kiełkowały w jego wnętrzu zarody samodzielności i uporu. Taki ton produkcyi zapaleńca-renegata musiał się nie podobać cesarzowi, chociaż wywołał poklask szerszych kół zgromadzenia. I kto wie, czy to nie była prawdziwa tajemnica niepowodzenia.

Dosyć wcześnie chęcią wiedzy i ciekawością zwabiony do Rzymu, odbywał tu studya prawie równocześnie ze Swetoniuszem, późniejszym sekretarzem Hadryana i biografem cezarów. Atoli od dnia, w którym go pozbawiono wieńca nagrody, odwraca myśl i serce od stolicy, szarpany bolem zapomina o rodzicach i szuka ukojenia w podróżach. Jak boski młodzieniec Triptolemus z rozkazu matki-ziemi przebiegał świat na wozie, unoszonym przez skrzydlate węże, by krzewić uprawę roli, tak poeta (wedle własnego wyrażenia) wędrował po imperyum, by wyrzucić z duszy ziarno goryczy. Zwiedza więc Sycylię, Kretę, Cyklady, Rodus i Egipt, skąd wraca do Italii. Jak długo trwała przerwa, niewiadomo. Lecz sprzykrzywszy sobie morze, gdy żyłka włóczęgostwa znowu się w nim odezwała, wyprawia się w Alpy

i do ludów północnych, poczem zwróciwszy się w kierunku zachodnim, przekracza Pireneje i osiada wreszcie w hiszpańskiem mieście Tarraco, dzisiejszej Tarragonie, gdzie jako w kolonii rzymskiej zatknięto orły szóstego legionu „tryumfatorskiego".

W Rzymie tymczasem wstępuje na tron cezarów pierwszy obcokrajowiec Trajan, pochodzący z hiszpańskiej prowincyi Baetica. Dzielny wódz, zapatrzony w polityczny ideał Aleksandra Wielkiego, zwrócił zdobywczy oręż ku wschodowi, przywracając — jak się zdawało — blask i życie młodości starzejącemu się organizmowi państwa rzymskiego. W dwóch pomyślnych wyprawach 102 i 106 roku kruszy potęgę Decebala, króla naddunajskiej Dacyi i kraj jego zamienia w prowincyę rzymską. Monumentalnym pomnikiem tego podboju jest stojąca po dziś dzień w Rzymie kolumna Trajana, pamiątką zaś poetyczną miał być panegiryk Florusa, napisany w Tarraco pod wpływem zachwytu, który się udzielił dobrowolnemu wychodźcy, tak łatwo zresztą zapalnemu. W rządach Trajana witał głęboki umysł Tacyta wschodzącą gwiazdę wolności harmonijnie zespolonej z jedynowładztwem; w wielkie uniesienie wprawia go powrót swobody ducha, tłumionego za Domicyana. Zmysł spostrzegawczy Afrykańczyka nie sięga tak daleko; ślizga się on po powierzchni wypadków i śledzi pilniej powodzenie miecza, niż koleje myśli i wewnętrznych sprężyn narodu. Był wtedy jeszcze młodym, ale i w dziełku historycznem, wykończonem ostatecznie w wieku późniejszym, widzimy podobną naturę jego poglądu. Szczęśliwe wojny i bitwy są dla niego podwaliną i szczytem dziejów. Z tego punktu widzenia nazwie on później czasy cesarstwa epoką zgrzybiałej starości, a chrobre czyny Trajana odszczególni jako drugą wskrzeszoną młodość narodu. Tryumf dacki był więc tematem pożądanym dla Florusa, a musiał niewątpliwie wpłynąć na poetę i ten fakt, że przebywał w kraju rodzinnym bohatera. Kiedy ten utwór powstał, po pierwszej, czy po drugiej wyprawie, trudno powiedzieć. Napisany z młodzieńczą werwą i niewątpliwie tchnący uwielbieniem dla świetnych dni republiki, odradzających się teraz w osobie Trajana, musiał obudzić wielkie zajęcie w Rzymie i porwać uczestników tryumfalnego obchodu. Zjazd ciekawych z da-

lekich stron przy ułatwionej komunikacyi był naturalnie liczny, nie brakło też tam Hiszpanów z krainy Baetica, ojczyzny tryumfatora. Kilku z nich wraca właśnie do domu, lecz zapędzeni przeciwnym wiatrem wysiadają na wybrzeżu tarrakońskiem i tu przypadkiem spotykają odpoczywającego Florusa. Jeden z przybyłych, przypomniawszy sobie poetę z dawnego pobytu w Rzymie w czasie owego literackiego agonu za Domicyana, nawiązuje ciekawą rozmowę, której sam początek jest wyrazem uznania dla poety. Nad Tybrem — mówi mu — rozkoszują się twojemi wierszami, po forum rozbrzmiewa owa wspaniała pieśń tryumfalna z powodu zwycięstwa dackiego *(clarissimus ille de Dacia triumphus)*. Zdziwiony jego losem pyta dalej, z czego się utrzymuje, czy może ojciec z Afryki dostarcza zasiłków? Gdzież tam — odparł Florus — pogniewał się na mnie za moją tułaczkę; jestem tu nauczycielem i z tego żyję. O zgrozo — rzecze Hiszpan — i ty tak z lekkiem sercem siedzisz w szkole i uczysz chłopców? Nie dziwię się — odpowie Florus — że takie masz zdanie o nauczycielstwie, bo i ja przez pięć lat początkowych pobytu w Tarraco miałem odrazę do tego zawodu i myślałem, że niemasz pod słońcem większego nieszczęśliwca nad bakałarza. Lecz potem zmieniłem przekonanie i na tle niepewnych kolei i licznych trudów życia wystąpiły wyraźnie dobre strony podjętego zajęcia. Otóż wiedz, że niczem bogactwa, godności i zaszczyty wobec mego zawodu, niczem stopień centuryona, prefektura lub trybunat. Nie Cezar, lecz Fortuna wskazała mi to stanowisko piękne i wzniosłe! Bo rozważ, proszę cię, czy nie zaszczytniej kierować młodzieżą łagodnego i niewinnego serca, niż kiełznać dzikie i barbarzyńskie szeregi. O dobry Jowiszu, jaka to królewskość, zasiadając na podwyższeniu wszczepiać w serca moralność, poezyę i sentencyami kształcić mowę i rozbudzać umysły, budować młodzież przykładami...

Na tych słowach urywa się niestety rozmowa bardzo piękna i szkoda, że cała reszta gdzieś zaginęła. Dochowany fragment może z góry liczyć na sympatyę czytelnika, jako rzadka w swoim rodzaju płomienna obrona zawodu nauczycielskiego, a zarazem szkic autobiografii pedagoga-poety, roztaczającego przed nami

barwny obrazek przebytej Odyssei. Całość ujęta była w ramy dyalogu i odpowiadała istotnym warunkom misternej formy literackiej, w którą Grecya, a za nią Roma przelewały swe poglądy lub roztrząsania naukowo-społeczne. Uprzytomnijmy sobie „Wieczory Florenckie“ i „Wieczory nad Lemanem“, by się przekonać, jak puls dramatyczny, ożywiający rozprawę, i artystyczny powab utworu zapewniły dyalogowi stałe powodzenie w piśmiennictwie aż po dni dzisiejsze, w których też nadto doczekaliśmy się jego historyi dwutomowej, skreślonej przez Rudolfa Hirzela[1].

Platon przenosi już swe osoby poza granice Attyki, na Kretę, a Cycero poza Rzym, do Efezu. Z Florusem dopiero przerzuca się dyalog na daleki zachód. Scenerya charakterystyczna: świątynia w Tarrakonie wśród zieleni drzew, muskanych orzeźwiającem powietrzem — plusk rzeczułek ogrodowych — w pobliżu szum morza. Według lokalnego podania w tych okolicach rozstał się Zeus z porwaną Europą i osiadłszy na wybrzeżu, które polubił, zażywał ogólnej czci... Być może, że rozmowa toczy się koło jednej z tych „starożytnych“ świątyń, wzniesionych dla „rogatego uwodziciela“, bo między osobliwościami Tarrakony poeta szczególnie na nie zwraca uwagę. Podobnie u polyhistora Warrona rzecz o uprawie roli podejmuje kilka osób w przybytku bogini Ziemi *(aedes Telluris)*. Prócz Florusa i Hiszpana w rzeczonym fragmencie nikt więcej nie zabiera głosu; nie jest wszakże wykluczona możliwość, że i inni towarzysze z Betyki mieszali się do rozmowy, w każdym razie jednak udział ich byłby drobny i małoznaczący. Pierwszą osobą dyalogu, nadającą główny ton, jest niewątpliwie Florus. Ważną jest okoliczność, że na samym wstępie sam gość z Betyki wysuwa go na pierwsze miejsce, kiedy schylając głowę przed jego geniuszem, z właściwą Hiszpanom przesadą, mówi: Jakżeż ty możesz wytrzymać w tym zapadłym kącie prowincyi, człowiek tak n i e p o s p o l i t e g o t a l e n t u i n i e z w y k ł e g o u s p o s o b i e n i a! Zresztą młody poeta nie jest ani zbyt skromnym, ani zbyt umiarkowanym i zdaje się sam domagać takiego uznania wyższości. Widać to z całego nastroju jego przemówień

[1] *Der Dialog.* Ein literarhistorischer Versuch. Lipsk 1895.

A w swoim żywiole być musiał, bo szło rozmawiającym o odpowiedź na paradoksalne pytanie: *Za co uważać Wergiliusa, za mowcę, czy za poetę?* Wprawdzie twórca Eneidy praktycznym mowcą nigdy nie był, a kiedy raz miał przed sędziami wystąpić, zrobił wrażenie prostaka, tak mu mowa szła ciężko, jakby po grudzie; pisał jednak z wielkiem zabarwieniem retorycznem, bo wogóle retoryzm wycisnął znamienne piętno na poezyi rzymskiej. Lecz kiedy historyi wierszowanej Lukana, opowiadającej domowe zapasy między Pompejuszem a Cezarem, pod koniec I. wieku naszej ery wystawiał krytyk Kwintylian słuszne świadectwo, że nadaje się do naśladowania raczej mowcom, niż poetom, współczesne koła literackie uważały Wergiliusa za pierwszego poetę i dla nich miarodajnym miał być wyrok idealnego Materna, przekazany i podpisany przez Tacyta w jego „Dyalogu o mowcach". Wielki epik Rzymu staje tu obok nieśmiertelnego Homera, jak z drugiej strony wymowę przedstawiają Demostenes i Cycero. Tę samą kwestyę stosunku poezyi do wymowy podnosi nasz dyalog. Florus, jako poeta, staje na stanowisku pokrewnego sobie duchem Materna, podczas gdy widocznie Hiszpan z Betyki podkreślał więcej charakter retoryczny Wergiliusa. Zdanie Florusa, jako głównej osoby rozmowy, odniosło zwycięstwo [1].

[1] Wszyscy uczeni, o ile mi wiadomo, podzielają przeciwne zapatrywanie. Ich zdaniem Dyalog powyższy miał prowadzić do wyniku, że Wergilius jest mowcą. Hirzel stara się to twierdzenie uzasadnić. Przypisuje on Betykowi pierwszą rolę w rozmowie i sądzi, że zdanie jego: „Wergilius jest mowcą" musiało być rozstrzygające: „Denn was sollte sonst das ‚vir, ut postea apparuit, litteris pereruditus' des Eingangs (mowa tu o Hiszpanie z Betyki), das doch ebenso wie das μάλα φιλόσοφος zu Anfang des Platonischen Sophistes das später zur Geltung kommende geistige Uebergewicht ankündigt?" (*Der Dialog*, II, 67). Powołanie się na Sofistę Platońskiego jest niewłaściwe, bo forma dyalogiczna gra w nim bardzo podrzędną rolę i wyraźnie jest zaznaczona jako czynnik obojętny (217 C). (Por. H. Bonitz, *Platonische Studien*, 3 wyd. str. 176—177). Dalej stawia sobie Hirzel pytanie, jak przyszło do rozmowy na nasz temat? Hiszpan (mówi Hirzel) nie pochwala Florusowi nauczania dzieci i nie zadawalnia się objaśnianiem Wergiliusa w zakresie elementarnej nauki, bo interpretacya poety, podawana chłopcom, może być tylko powierzchowną — a jedynie ten w zupełności rozumie Wergiliusa, kto w nim widzi i ceni wielkiego mowcę. I ta konklu-

Gdyby to był prosty spór akademicki, nie zatrzymywalibyśmy się dłużej przy nim. Ale jeżeli pojmiemy sprawę jako rzecz aktualną, jako wyraz dwu prądów ówczesnego życia umysłowego i krytyki estetycznej, dalsze uwagi nie będą zapewne zbyteczne.

Pierwszy wiek cesarstwa i początek drugiego odznaczają się szeroko rozgałęzionym dyletantyzmem poetycznym. Epoka ta żyje spadkiem poezyi z czasów Augusta, najświetniejszego okresu twórczości rzymskiej. Sile, płynącej z utworów Wergilego, Horacego lub Owidyusa, ulegają nawet natury trzeźwe i prozaiczne, ludzie starsi i na wysokich stanowiskach, wśród żmudnych zajęć zawodowych, nietylko w Rzymie, ale także w pomniejszych miastach Italii. Zamiłowanie poezyi było znamieniem ogólnem: służyła ona nietylko do ozdoby i uprzyjemnienia życia, ale także uchodziła za integralną część wykształcenia, należała do dobrego tonu. I dlatego też nawet indywi-

---

zya dała bodźca do rozprawy. Przypuszcza w dalszym ciągu, że Florus dał się nakłonić do prowadzenia kursu retorycznego dla dojrzalszej młodzieży (bo tam w całej pełni będzie mógł uwydatnić zalety retoryczne czytanego poety): a w takim razie byłby Dyalog rodzajem programu tej nowej działalności na wyższym kursie.

Lecz z całego fragmentu widać, że Betykowi zależało wyłącznie na tem, by Florus porzucił Tarrakonę, gdzie zagrzebuje swe wybitne zdolności i przeniósł się do ogniska ruchu, do Rzymu. Dziwi go wogóle, że poeta jest nauczycielem, mniejsza o to, jakich uczniów, młodszych czy starszych. Wobec tego tłumaczenie Hirzel'a jest bardzo nieprawdopodobne. Naturalniejszem wydaje się nam inne objaśnienie. Florus kładzie nacisk na etyczno-umysłową i językową korzyść, płynącą z nauki szkolnej; a że ta opierała się głównie o Wergiliusa, tak na niższym jak i na wyższym stopniu, więc łatwo mogło się wyłonić pytanie, jak właściwie należy pojmować poetę, czy widzieć w nim źródło dla zaspokojenia potrzeb wyższych, bo serca i umysłu, jak czynił Florus, czy też tylko podstawę do ćwiczeń językowych, a więc czytać go, jak podówczas zaczęto robić z poetami, dla celów retorycznych? Pytanie zdawało się być uzasadnione i przez to, że Lukana, którego obok Wergiliusa wprowadzono do szkół, wspomniany powyżej krytyk rzymski nazwał raczej retorem, niż poetą. Dopiero w IV. wieku i z początkiem V-go spodobało się Donatowi i Makrobiusowi zaliczyć wyraźnie Wergiliusa do retorów i objaśniać jego utwory z tego stanowiska. Dziwaczny wyrok głów „twardej i wichrowatej nauki" odrzuciła potomność.

dua grubego kroju, jak dorobkiewicz Trymalchion u Petroniusa, stroją się w pióra poezyi [1].

Stan rzeczy zmienia się mniej więcej około połowy II. w. Proza zaczyna panować tak dalece, że ku niej przeważnie zwracają się (nie mówiąc o dyletantach) ludzie prawdziwie poetycznie uzdolnieni, jak np. Apuleius. Różnie ten zwrot ogólny można tłumaczyć. Ale jeden z ciosów, który zabił poezyę, wyszedł ze wschodu greckiego, od tak zwanej greckiej sofistyki, przez którą rozumiemy osobliwy rodzaj wymowy. Wirtuozi tego nowego gatunku deklamacyi przybrali w Grecyi starą nazwę sofistów. Podziw, jaki ta sztuka wzbudziła, oraz zastęp talentów przez nią pochłoniętych dowodzi, że sofistyczne oracye odpowiadały i smakowi ówczesnemu i wypełniały lukę w duchowem życiu. Uderza w tej retoryce drobiazgowość form i pedantyzm reguł dla stylu, rytmu i budowy zdań. Wielką kładziono wagę na poprawność wyrażenia, a dochodziło się do tego przez studyum lub często nawet przesadne naśladownictwo starych wzorów, zwłaszcza attyckich. Wielką klasyczną wymowę przemieniono w karykaturę; formie sztucznej i pełnej pretensyi towarzyszy czczość i banalność treści. Retorzy dążą teraz do wszechwładztwa na polu literatury, do usunięcia poezyi, a względnie do wciągnięcia jej w swój zakres. Dla poetów mają zazwyczaj uśmiech politowania, często pogardę — a jeżeli kiedy sami piszą co wierszem, to tylko dla wprawy stylistycznej i przygotowania się do retoryki. Czytają tragedye, ale dla wyuczenia się (!) podniosłości i dźwięku mowy. Tak tworzy się poetyczna proza. Lirykę przeszłości, mniemano, że zastąpią mowami uroczystemi na cześć bogów i herosów, lub oracyami panegirycznemi, wielbiącemi współczesne i dawne wielkości. Wpływowi tej sofistyki, scharakteryzowanej wybornie przez Rohdego *(Der griechische Roman)*, ulega świat rzymski. Ateny przyciągały do siebie młodzież z Italii i zachodnich krajów; sami retorzy greccy podróżowali z wykładami, a wielką ich ambicyą było zdobycie katedry grec-

[1] Por. K. Morawski, „Petronius Arbiter i romans w starożytności“ (*Bibl. Warsz.*, 1894).

kiej wymowy w samym Rzymie. Znaczenie ich podnosili cesarze rzymscy swą bezgraniczną dla nich sympatyą i opieką: dostawały się im odznaczenia, podarunki i wysokie godności. Dziwna była ich arogancya i często śmieszne, nawet oburzające wymagania. Ale cezarowie byli dla greckich intruzów cierpliwi i pobłażliwi. W ślad za władcami szła publiczność. Niemniej literatura łacińska pragnie styl prozaiczny uczynić olśniewającym na sposób grecki. Ale jak? Czy przez przyłączenie się do ruchu, zainaugurowanego przez Kwintyliana, a więc przez powrót do Cycerona? Bynajmniej. Zwrócono się do starszych jeszcze wzorów, do inkunabuł literatury: zaczyna się panowanie kierunku archaizującego. Rozkopuje się ziemię starożytną, wydobywa z niej dawne, często już zardzewiałe skarby. Ale była to bezduszna pogoń za błyskotkami, rzadkiemi wyrazami i zwrotami. Rodziły się dziwolągi stylu. Poeci i prozaicy klasyczni musieli ustąpić miejsca kolegom prastarej daty. Istniała już dawniej w Rzymie koterya estetyczna, poprzestająca na krytyce i negacyi nowych, postępowych objawów; zasad jednak swych nie ujawniała w produkcyach literackich. Był to nurt idący popod powierzchnią piśmiennictwa. Do tej roboty kreciej dorzucały swój grosz i kobiety, popisując się staremi wierszami, wyciągniętemi gdzieś z odległych zabytków literatury. Gdy pisarze I. stulecia opuścili scenę, teraz koło połowy II. wieku na widownię literackiej działalności wychodzi z poza kulis ten szereg zacofańców, kończy się zarazem akcya odrodzenia, podtrzymywana głównie przez Kwintyliana. Z pyłu bibliotek zaczęto więc wydobywać dawnych autorów na pokarm dla młodzieży szkolnej, robiono z nich wyciągi i układano zbiory wyrazów. Przy pomocy tego rynsztunku, niemniej po przyswojeniu pewnych wiadomości i reguł retorycznych, uważano się już za przygotowanego do pracy literackiej. Samodzielność i natchnienie kończyły swój żywot u pogan tej epoki. Antykwarskim pokostem powlekano własną trywialność i ubogą szatę duchową strojono w „różnorodne gałganki“ starych czasów. Była w tem wszystkiem wielka tragikomiczność!

Odbiciem omówionych prądów, ścierających się z sobą, byłby (jak już zaznaczyliśmy) nasz Dyalog. Hiszpan, który nie zamykał się w Betyce, wszak widzimy go dwa razy w Rzymie za Domicyana i Trajana, występuje w rozmowie jako człowiek „bardzo wykształcony“ *(vir, ut postea apparuit, litteris pereruditus)*; musiał więc dobrze wiedzieć o nowym przełomie zapatrywań literackich i w tym duchu postawił kwestyę retoryczności poety. Florus jednak nietylko jako poeta salwował sławę poetyczną Wergiliusa. Zobaczymy później, że wbrew panującemu zwrotowi do hellenizmu, okazywał niechęć dla „zwyczaju greckiego“, a w podróży przedsięwziętej po owej porażce za Domicyana nie był wcale w Atenach, które przecież wywierały podówczas pierwszorzędną siłę atrakcyjną. A właśnie greccy deklamatorowie usuwali w cień płody poetyczne i twory muzy podciągali pod cele retorycznej prozy! Broniąc więc wieszczego charakteru Wergiliusa zgodnie ze swem usposobieniem, potępiał i te roboty bezdusznej krytyki greckiej, przeszczepionej na grunt rzymski. Tak pojęty Dyalog wyda nam się śpiewem łabędzim idealnej partyi, wyrażającej zachwyt dla sztuki życiodajnej. Z Hiszpanii wyszedł cezar, który pobudził do zwycięstw uśpione orły rzymskie; z miasteczka hiszpańskiego wychodzi równocześnie apologia poety, który tym orłom światowładczą zakreślił misyę:

Ty w podział Rzymianinie weźmiesz świat podbity.

II.

Z podziwem dla poezyi łączy Florus wielką wrażliwość na piękno przyrody. Jest w nim jakaś iskra artysty nerwowego, obdarzonego żywą imaginacyą i czułego na czary barw świata zewnętrznego. To też przedstawia nam w dyalogu malowniczą okolicę tarrakońską ciepło a zarazem wymownie i szczerze, bez afektacyi, bez najmniejszej sztuczności. Współcześni retorzy greccy opisywali wprawdzie ładne miejscowości (np. dolinę Tempe) lub kreślili sceny z życia idyllicznego, czynili to jednak przeważnie dla efektu, czerpiąc natchnienie nie z duszy, tylko

z książek [1]. Uczucie przyjaźni, tak bardzo wielbionej przez starożytnych, i w naszym dyalogu znalazło piękny wyraz. Zaledwie Florus zobaczył przybysza, gorącym rąk uściskiem stwierdza budzącą się przychylność, a na innem miejscu chlubi się przyjacielskiemi stosunkami, jakie go związały z obywatelstwem tarrakońskiem i przyjaźń tę uważa za podstawę i osłodę spokojnego życia. Nic dziwnego, że w uroczej i cichej Tarrakonie oplotły wrażliwą duszę Afrykańczyka także więzy miłości. Nazwisko ukochanej wycina Florus na korze młodych drzewek i odtąd rośnie zarówno z niemi jego namiętne uczucie, bez końca i bez ulgi. Widocznie spotkał go zawód i serce zaszło ciemnością, kiedy wielbi Apollina i Bacchusa, bo

Ów rozpędza nocy cienie, ten rozwidnia mroki serca [2].

W cierpieniu staje się niesprawiedliwym dla kobiet, twierdząc, że każda z nich ma słodycz w słowach, a w sercu truciznę. I być może, że również za pobytu w Tarrakonie nakreślił kilka innych wierszyków pessymistycznych, na temat, „to źle i to niedobrze“: „Źle jest mieć pieniądze i nie mieć, źle jest być zawsze odważnym i zawsze skromnym, źle jest wiele milczeć i wiele mówić, a tą samą plagą dla człowieka jest przyjaciółka za domem, co żona w domu“. Tylko w tych zwierzeniach osobistych wolelibyśmy widzieć objawy przejściowego rozgoryczenia, które jak łatwo mogło powstać, tak prędko zapewne w sprzyjających okolicznościach ustąpiło miejsca pogodnemu i dobrodusznemu zapatrywaniu. Wkrótce też nastąpiła zmiana w stosunkach poety-nauczyciela. Mimo gorącego entuzyazmu dla pracy pedagogicznej, nie mógł Florus zataić tęsknoty za stolicą imperyum i za atmosferą, odpowiadającą jego usposobieniu. Jeżeli w dyalogu stawia mu pytanie Hiszpan z Betyki, jak może „człowiek niepospolicie uzdolniony siedzieć w zakątku prowincyonalnym i nie zważać nic na Rzym, którego potęga i aureola ciągnie ku sobie tak ludzi jak bogów“ — to pochlebne te słowa są jakby wyjęte z duszy Florusa i musiały trafić do jego przekonania. Plan prze-

[1] Rohde, *Der griechische Roman,* str. 508 n.

[2] Drobne wierszyki Florusa przytaczam według prof. K. Morawskiego: „Tyberyusz i Hadryan“, str. 107—108.

niesienia się do Rzymu dojrzał i przyszedł do skutku najpóźniej w pierwszych latach rządów Hadryana, który miał nienasyconą ambicyę mecenasa sztuk i nauk i dlatego kupił koło siebie gromady uczonych, literatów i artystów [1]. Otaczały więc cesarza klientele gramatyków, filozofów, retorów, poetów, muzyków, malarzy, geometrów, matematyków i innych, a na wszystkich spadały obficie z łaski opiekuna zaszczyty i bogactwa. Do osoby Hadryana zbliżył się i Florus, lecz zajął wobec niego odmienne stanowisko od wiernych satelitów. Wielka rzesza małych charakterów i słabych głów była na żołdzie panującego i niewolniczo go słuchała — a służba była ciężka i przykra, bo mecenas z wszechstronnością umysłu łączył płytkość, a co gorsza zarozumiałość; dyletant literacko-artystyczny nie znosił obok siebie prawdziwej wiedzy i w każdej dyspucie narzucał przeciwnikowi swe zdanie, bo pan trzydziestu legionów musiał mieć racyę i w sporach naukowych. Z Florusem łączył go jednak stosunek swobodniejszy, niemal poufały i o ile wolno wnosić z dochowanych świadectw, Afrykańczyk umiał i w tych warunkach zachować swą niezależność — a wrodzona duma oraz ambicya, podsycana nie najpośledniejszym talentem, nie pozwalała mu uginać się niewolniczo nawet wobec potężnego tronu. Hadryan wędrował namiętnie po całem państwie, a gdy raz wezwał Florusa, by mu towarzyszył w podróży, dostał od niego zabawną odmowę:

Ja nie chciałbym być Cezarem,
Po Brytanii maszerować
I scytyjskie znosić mrozy.

Niemniej uszczypliwie odpowiada cesarz:

Ja nie chciałbym być Florusem,
Maszerować po szyneczkach,
Ostre znosić much kąsania [2].

[1] Prof. K. Morawski, „Dwaj cesarze rzymscy Tyberyusz i Hadryan". Kraków 1893, str. 105—106.

[2] Tradycya rękopiśmienna przekazuje nam cztery wiersze w odpowiedzi Hadryana. Jeden z nich („Wiek przemarnić po karczemkach") uważam za późniejszy dodatek, co na innem miejscu będę miał sposobność uzasadnić. Tamże przedłożę nadto dowody na niektóre twierdzenia, wypo-

Wiadomo, że Hadryan był w r. 122 w Brytanii celem umocnienia rzymskiego pasu granicznego. Do tego więc czasu odnosiłby się powyższy wierszyk Florusa. Wnosić zarazem należy, że poeta prowadził w Rzymie życie domatorskie, o którem od dawna marzył. W dyalogu powoływał się na zwierzęta, które dążą do stałego legowiska i na ptaki, starzejące się w gnieździe, a czemużby on miał ciągle koczować? A kiedy w ślad za cesarzem kosmopolitycznym tłumiono w sobie uczucie specyalnego patryotyzmu i między innemi wyciągano ramiona do świata helleńskiego, Afrykańczyk stoi na gruncie czysto romańskim, zatopiwszy wzrok, jak Kato republikański, w ideale cnoty i męstwa rzymskiego:

Obyczajem gardź zamorskim, tysiąc niesie on mamideł,
Nikt nie żyje tak po prawie, jako Rzymu obywatel;
Ja Katona stawiam wyżej ponad trzystu Sokratesów!

Jest to bardzo znaczące wyznanie poety konserwatysty, głoszące zasadę życia i polityki, której niestety rzeczywisty stan rzeczy przeczył na każdym kroku.

Zawinąwszy do przystani rzymskiej mógł się Florus swobodnie oddawać pracy literackiej — a jakie były jej owoce, zobaczymy niebawem. Między utworami poetycznemi mniejszych rozmiarów znajduje się poemacik *(Pervigilium Veneris)*, złożony z 93 wierszy, któremi poeta opiewa święto wszechpotężnej Wenery, królowej wiosny i kwiatów, protektorki państwa rzymskiego. Nie jest to wylew osobistych uczuć [1], żadna fikcya poetyczna, tylko kompozycya z nastrojem hymnu na cześć bogini miłości, przeznaczona najwidoczniej do śpiewu [2] w czasie noc-

---

wiedziane w tym artykule. Tutaj przypominam podobny makaroniczny wiersz Piotra Rojzyusza, odnoszący się do niewygód w czasie jego podróży po Litwie:

. . . . . parvi cum matre prosienta
Excutient somnum quamvis sis ipse kamieniusz,
Nec tibi pluskwa ciałum noctem śmierdząca per omnem
Rodere cessabit...

[1] Por. E. Laurenti w *Rivista di filologia*, tom xx (1891) str. 132.

[2] Paul Monceaux, *Les Africains; étude sur la littérature latine d'Afrique (Les païens)*. Paris 1894, str. 382—383.

nych obrzędów świątecznych i wskutek tego stosownie do różnych ceremonij rytualnych podzielona na strofy o nierównej objętości, kończące się pięknym refrenem [1]:

Jutro, kto nie kochał nigdy, pewnie miłość popamięta,
A kto kochał — i ten jutro wejść w miłosne musi pęta!

Uroczystość ma się odbywać w Sycylii, bo na Hyblejskiem kwieciu każe bogini wznieść tron dla siebie, a obecnymi będą Amor, Ceres, Bacchus i Apollo, Diana zaś ma na ten czas zaprzestać łowów:

Wenus do dziewiczej Djany skromne szle dziewicze posły:
„Ustąp Djanko! ustąp panno! — taką tylko prośbę wniosły —
Niech się knieja już nie broczy ode krwi dzikiego zwierza,
Niech zielenią bujnie cała i kwiatkami się odświeża!
Ciebie także Wenus chciała prosić na Miłości święto,
Lecz dziewicą jesteś czystą, twoja skromność nieugiętą!
Chóry byś widziała strojne, co z trzechnocnej rade pory
Gromadami i tłumami ciągną przez twe gaje... bory...
Ceres, Bacchus i Apollo też tam będzie, pan natchnienia —
Czuwać będziem nockę całą, czuwać nucąc wdzięczne pienia!
Wenus dziś tu w kniejach włada — ustąp Djano choć nie rada."

Nie można odmówić poecie „delikatnego poczucia piękna przyrody, świeżości w przedstawieniu i pewnego wdzięku mistyczności, jaką przyoblec umie najpowszedniejsze zjawiska w naturze". Sam początek tchnie wiosennem uniesieniem, na któreby się nie zdobył chłodny, czy przesadny retor:

Wiochno świeża! Wiochno śpiewna! ziemia się odradza! Wiosna!
Wiośnie miłość się przygodzi — gwara ptasząt tak miłosna...
Błonia deszczem użyźnione, zdobią się zielenią świeżą...
Jutro wszechmiłości matka pod cienistych drzew rubieżą,
Z zielonego mirtu liścia wdzięczne tam schronienie splecie,
Tron zasiędzie — z tego tronu sądzić będzie boskie dziecię.

Perłą kompozycyi jest sam hymn, w którym odzwierciedla się czarująca siła Wenery i dar subtelnego obrazowania poety,

[1] Przytaczam wyjątki podług udatnego przekładu J. H. Kallenbacha, zamieszczonego w *Przeglądzie Akademickim* z r. 1883, nr. 2, p. t. „Sobótka miłości".

a wiersze o pączku róży, rozwijającej się w słońcu miłości, są jednem słowem przepiękne:

Wenus, rodzicielka nasza, co z modrawej wyszła fali...
Leje czar i światu wszemu każe wiecznie się odradzać...
Jej to sprawa, że w prześlicznym kwietnym wieńcu lato chodzi,
A gdy pączki się rozwiną, ciepły wietrzyk je nawodzi,
Że wypełniać los swój muszą — ona też je zwilża rada,
Brylantowej rosy łezką, która zwykle w nocy pada.
Oto drżą te łezki chwiejne swym ciężarem i migocą
Już, już upaść chce kropelka, lecz się drobną trzyma mocą,
Aż się wreszcie kwiatka skromne, różowiutkie zdradza łono:
Rosa, co z tych gwiazdek leci, które na lazurze płoną,
Uchyliła płaszcz wilgoci rankiem z dziewiczego pączka.
Jutro kto nie kochał nigdy, pewnie miłość popamięta,
A kto kochał — i ten jutro wejść w miłosne musi pęta.

Kto jest autorem tego powabnego utworu, na pewne nie wiemy. Kilka poważnych głosów oświadczyło się za Florusem, a na poparcie hypotezy przytaczają i podobieństwo językowe, i niektóre wspólne rysy talentu poetycznego [1]. Najkonkretniej sformułował swe zdanie Michał Latkóczy w odczycie na zjeździe filologów we Wiedniu (1893). Według niego *Pervigilium Veneris* napisał Florus na uroczystość 6 kwietnia 123 roku, która się miała odbyć w Hybli sycylijskiej podczas odwiedzin cesarza Hadryana. Ze stanowiska stylistycznego nie można niczego przytoczyć przeciwko autorstwu Florusa [2]; również koloryt poetyczny, szata obrazowo mistyczna przystawałaby do poety afrykańskiego pochodzenia. Ale nasuwają się trudności innego rodzaju. Autor kreśli życie wiosenne tak żywo i plastycznie, mówi o przygotowaniach do święta w ten sposób, że mimowoli sądzić musimy o nim, jako o jednym z uczestników, patrzącym na wszystko, tworzącym niemal pod wrażeniem chwili i autopsyi. W takim razie o Florusie myśleć nie podobna, kiedy z Rzymu trudno go było ruszyć nawet tak kapryśnemu, a potężnemu Hadryanowi.

[1] Por. nadto pięć heksametrów Florusa o róży (np. w Riesego *Anthol. latina*, nr. 87).

[2] Schmidinger, *Untersuch. über Florus* (*Jahrb. für class. Phil.* xx. Supplementband) str. 801 n.

Ale przypuśćmy, że poeta, który za młodych lat zwiedził Sycylię, teraz odtwarza sobie wrażenia tak silnie i wymownie, że wydaje się, jakoby pisał pod świeżą impresyą miejsca i przygotowań uroczystościowych. Jakże w takim razie pogodzić z usposobieniem Florusa charakterystyczne zakończenie poemaciku, w którem poeta daje folgę melancholii i tęsknocie za utraconą wiosną... miłości, a co ważniejsza, natchnienia poetycznego:

Jaskółeczka nuci... ja zaś?! Wiosny czyż doczekam dzionka,
Kiedyż jak jaskółka owa przerwać będę mógł milczenie?!
Muza pierzchła gdzieś od mruka — odwróciło się natchnienie.

Żali się, ktokolwiek to pisał, że długo milczał i spłoszył przez to Muzę, odwrócił od siebie Apollina *(Perdidi Musam tacendo, nec me Phoebus respicit)*. Florus przeciwnie ma zbyt wysokie wyobrażenie o sobie i każe patrzeć na swój dar poetyczny, jak na rzadkie zjawisko, gdyż

Każdy rok przynosi nowych konsulów i prokonsulów,
Ale królem i poetą nie corocznie świat nas darzy.

Jakkolwiek będziemy się zapatrywali na tę kwestyę, to nie ulega wątpliwości, że cechy wewnętrzne, a po części i językowe przemawiają bardzo za pochodzeniem afrykańskiem tego utworu i dlatego zwróciliśmy tu na niego szczegółowszą uwagę, by mieć choć w przybliżeniu pojęcie o zakresie idei i fakturze poetycznej, któremi się posługują poeci, ziomkowie Florusa[1]. Z tego względu godzi się zaznaczyć, że jeden z uczonych francuskich[2] przypisuje *Pervigilium* poecie afrykańskiemu trzeciego wieku, Nemezyanowi z Kartaginy.

Za Hadryana w Rzymie wydał Florus „Zarys historyi rzymskiej“ od założenia miasta aż do czasów Augusta i w dziełku tem przekazał nam najwierniejszy obraz swego ducha i zdolności autorskiej. Niewielka książeczka przechodziła najdziwniejsze koleje. Dawne wieki unosiły się nad nią, a nawet uważały ją za

[1] Por. Gaston Boissier, *L'Afrique romaine*, VI, str. 259 nn. (*Revue des deux mondes*, 15 nov. 1894).

[2] P. Monceaux, l. c. str. 381 nn.

wzór metody dziejopisarskiej. Św. Augustyn korzysta z niej skwapliwie, a Jordanis wypisuje ją prawie dosłownie. W wieku XVII. i XVIII. podobała się niezmiernie, a nie da się zaprzeczyć, że ówcześni pisarze francuscy, przedstawiając dzieje Rzymu, nie gardzili Florusem, zwłaszcza jego pojmowaniem i tłumaczeniem wypadków historycznych. Nowsi krytycy, rozpatrując dziełko jako źródło historyczne, z rozkoszą Zoilów znęcają się nad autorem za liczne pomyłki, błędy i niedostatki rzeczowe i sprowadzają wartość jego do zera[1]. To znowu, przechodząc na teren po większej części jałowy, wskazują dla tego pisemka najróżnorodniejsze (często nieprawdopodobne) źródła i uważają je z nieznacznemi odmianami za wyciąg z Liwiusa lub wogóle za kompilacyę, albo przypisują dziełku głównie znaczenie retoryczno-stylistyczne. Nam zależeć będzie na wyjaśnieniu stosunku, w jakim pozostaje „Zarys“ Florusa do współczesnych kierunków dziejopisarstwa rzymskiego, oraz na określeniu zamiaru, tendencyi autora.

Wprowadzenie rządów monarchicznych pociągnęło za sobą zmianę w doborze i rozmiarach przedmiotu, jako też modyfikacyę formy w historyografii rzymskiej. Jeżeli historycy rzeczypospolitej zajmowali się wyłącznie dziejami ojczystemi, całkiem odmiennie od greckich logografów i od ojca greckiej historyografii, Herodota, wychodzących poza granice rodzinnego kraju, to z chwilą przejścia republiki na państwo światowe, trzymane w karbach wolą jednego władcy, pierwszem i najważniejszem zadaniem dla dziejopisarza staje się przedstawienie uniwersalnej historyi, co też za Augusta spełnia równocześnie dwóch pisarzy: Diodor po grecku, a Trogus Pompejus po łacinie. Lecz prostem następstwem rzeczywistego, choć pozorami osłoniętego przelania praw ludu na jedynowładcę był ten fakt, że zamiast całości występowała jednostka i że powoli historya państwa przemieniła się w dzieje poszczególnych cezarów. Zasada annalistycznego przedstawienia ustępuje stopniowo miejsca biografii. Z biografią

[1] Por. np. Curt Wachsmuth, *Einleitung in das Studium der alten Geschichte*. Lipsk 1895, str. 610.

łączy się ściśle zmiana stanowiska samego pisarza. Historyk podnosi sprawy ogólne, publiczne — biograf przeciwnie wytwarza obraz osoby, przypominający zupełnie zdjęcia fotograficzne bez retuszowania do tego stopnia, że często aż niemiłe robią wrażenie [1]. Miarodajnemi dla tego gatunku historyograficznego stały się biografie cezarów Swetoniusza, piszącego równocześnie z Florusem. Autor był sekretarzem Hadryana. Zamiast dać obraz psychologiczny osoby, gubi się w drobiazgach i rzeczach zewnętrznych; zachowuje zrazu porządek chronologiczny, lecz porzuca go niebawem, przechodząc do schematycznego wyliczania zdarzeń i czynów podług pewnych rubryk; podaje obszerne i często niedyskretne wiadomości o życiu prywatnem, o jedzeniu, piciu, o znakach zapowiadających śmierć, o rodzaju zgonu, testamencie, budowlach i o wyglądzie fizycznym. W źródłach nie przebiera: pamflet stawia na równi z aktem urzędowym, z pism czyni liczne i pilne wyciągi bez krytyki, wyławia ciekawostki a nawet brudy i otwiera przystęp bajkom i pogłoskom z ulicy. Zbiera, jakby się dziś wyrażono, dokumenty ludzkie, ale wobec nagromadzonej masy stoi bezradny. Ani twórczością, ani sercem niczego nie zdoła ożywić i jak sztywny, chłodny archiwista sortuje wszystko według szablonu i szematu, z góry obmyślanego. Zrozumienia politycznego ruchu i przejrzenia ukrytych sprężyn działania nie posiada wcale; występuje jako uczony szperacz, krótkowidzący, powierzchowny obserwator. Taka robota przypadała widocznie do smaku ówczesnego społeczeństwa. Idzie też za Swetoniuszem cały szereg małych talentów, a koroną ruchu biograficznego są tak zwani *Scriptores historiae Augustae,* kreślący życiorysy cezarów od Hadryana aż do Numeryana (117—284). Równocześnie przerywa się tradycya historyi, pojmowanej w wielkim stylu Tacyta. Poziom umysłowy i ideały klasycyzmu spadają bardzo nizko, niknie interes dla życia politycznego i zrozumienie spraw publicznych. Publiczność wymaga podręczników, jak najpraktyczniej ujętych i napisanych. Jeżeli więc oprócz biografij pojawiają się

[1] E. Wölfflin, *Die Scriptores historiae Augustae.* (*Sitzungsber. d. bayer. Ak. d. W.* 1891) str. 465—467.

pisma historyczne według dawnego systemu annalistyczno-pragmatycznego, to nie są one niczem innem, jak tylko krótkiemi zarysami dziejów lub wyciągami z obszerniejszych dzieł.

Florus tworzy swoje dziełko pod wpływem entuzyazmu dla potęgi Rzymu: wszystko zdąża u niego do roztoczenia jak najświetniejszej gloryi nad dziejami narodu rzymskiego, którego rozwój organiczny kończy się według autora z chwilą wprowadzenia cesarstwa. Jak w epopei, osią i duszą przedstawienia jest *Populus Romanus*, pojęty alegorycznie jako jeden człowiek, w którego historyi dadzą się odróżnić cztery stopnie rozwoju: okres chłopięcy, młodzieńczy, męzki i okres starości. Epoka królów to czas niemowlęctwa, lata republiki do zupełnego podboju Italii wiek młodzieńczy, odtąd do Augusta (29 r.) wiek męzki, a z cesarstwem rozpoczyna się zgrzybiała starość, ogólny stan marazmu, przerwany raz tylko przez Trajana w wojnach z Dakami i Partami. Autor zajmuje się tylko trzema pierwszemi okresami, których głównem tętnem są dla niego wojny tak, że słusznie całemu dziełku dałby można napis *Bella Romana*. Porządek chronologiczny i związek pragmatyczny nie jest jedyną zasadą układu. Autor ma skłonność do grupowania faktów pokrewnej natury podług ich ważności, np. pierwszą i drugą wojnę z niewolnikami sycylijskimi stawia z umysłu po wojnie ze sprzymierzeńcami, opuszcza fakta odosobnione lub nawet szeregi wypadków, jeżeli tylko nie mają w sobie nic osobliwszego. A co najważniejsza, wprowadza obok chronologii zasadę szematyczną, kreśląc osobno wojny zewnętrzne, osobno wojny i rozruchy domowe. Dla tego samego powodu dzieli okres trzeci na dwie części, na wiek złoty pełen cnoty i pobożności i na wiek żelazny, zalany krwią bratnią, lata nędzy moralnej i wstydu. Zadaniem jego było w sposób najplastyczniejszy, jakby jednym rzutem, uwydatnić świetność oręża rzymskiego: czyni to na wzór malarza, dobierając barw z poezyi i retoryki. Lecz fantazya Afrykańczyka, nieznająca miary rzymskiej, ani symetryi, prowadzi do niesmacznej nieraz przesady i znużenia przez natłok porównań, stereotypowych frazesów, wykrzykników i superlatiwów. Jakkolwiek rzeczowo i stylistycznie zależy od Salustyusza, Liwiusza, a zwłaszcza od lite-

ratury cesarstwa, to jednak nie można go posądzić o mechaniczne kopiowanie lub sklejanie szczegółów, umie on bowiem na całości wybić piętno talentu stylistycznego i oryginalnego pomysłu. Jakkolwiek w zapale panegirycznym, nie szczędzi tu i owdzie nagany, a wogóle stara się oceniać zdarzenia dziejowe ze stanowiska moralności. Za daleko jednak idzie P. Monceaux, kiedy „Zarys" Florusa nazywa filozofią historyi i porównywa z tego powodu stanowisko naszego autora z metodą, jaką się posługiwał Bossuet, a co więcej Montesquieu [1].

Bella Romana Florusa są w rzeczywistości traktatem literackim na temat historyczny z tendencyą panegiryczną; autor mówi do nas w charakterze poety i retora moralizującego, do którego nie należy przykładać miary historyka. Metoda, której używa, jest kombinacyą dwóch zasad, chronologicznej, przekazanej przez dawną tradycyę, i szematycznej, występującej u współczesnego Swetoniusza. Pojęcie zaś alegoryczne narodu rzymskiego jako jednego człowieka zbliża całe przedstawienie do formy biograficznej. Wybór przedmiotu i zapał, z jakim go omawia, są najlepszym wyrazem *credo* patryotycznego Florusa. Jeżeli zarysy historyczne tego wieku służyły interesom dynastycznym, nasz pisarz zachował samodzielność sądu i patrzy z góry, niemal z lekceważeniem na świat grecki, kiedy duch czasu pchał umysły w stronę Oryentu.

Jakkolwiek Florus większą część życia przepędził poza Afryką, nie zatarł jednak zupełnie właściwości afrykańskich, przez których pryzmat patrzeć należy na niego, jako na człowieka i na autora. Mieszkańcy zromanizowanej Afryki są przedewszystkiem ludźmi impetycznego i jak ich klimat gorącego uspo-

[1] „Son (Florusa) originalité est d'avoir déjà compris l'histoire à la façon de Bossuet, surtout de Montesquieu: d'avoir écrit une oeuvre purement littéraire sur un sujet historique, un Discours sur l'histoire des Romains; d'avoir cherché à dégager la philosophie des faits, à en tirer des exemples et des conclusions morales. Ce qu'on admire chez nos grands classiques français, est-il juste de le condamner à priori chez le rhéteur africain?" (l. c. str. 200). Por. nadto: *Panégyrique de Rome et philosophie de l'histoire: voilà tout le fond de l'ouvrage* (tamże str. 204).

sobienia; idą zawsze za naturalnym popędem, ulegają wrażeniom chwili i jakkolwiek gorliwie przyswajają sobie kulturę łacińską, za nic w świecie nie pozbywają się rdzennych, rodzimych właściwości. W każdym z nich będzie zawsze mniej lub więcej pierwotnego temperamentu Getula, Numidy lub Mauretańczyka, dużo gwałtownego usposobienia, dalekiego od powagi i umiarkowania Rzymian cywilizatorów.

Pisarze tego kraju [1] z małemi wyjątkami wnoszą do literatury rzymskiej świeży element, pierwiastek indywidualny, osobisty i ta manifestacya swojego ja jest nową poniekąd, a bardzo ważną stroną produkcyj literackich drugiego wieku po Chrystusie. Florus bez zastrzeżeń odsłania w dyalogu tajniki swej duszy, dzieli się z czytelnikiem swą radością i bolem, jakby się zwierzał przyjacielowi. Ten popęd do wyznań osobistych dał światu wstrząsające swą treścią *Confessiones* św. Augustyna. Rzymianin walczył konsekwencyą i logiką, Afrykańczyka znamionuje fantazya i ruchliwość. On jest niewątpliwie bardzo pilny, wcale zdolny, a czego się podejmie, robi to z pasyą i wytrwałością, nieraz z pedanteryą. Wielkie skarby cywilizacyi helleńsko-rzymskiej ciągną go z nieprzepartą siłą, a gdy rodowici Rzymianie tej epoki milkną, Afryka występuje na arenę literacką z animuszem, ze spotęgowanym zapałem neofitki. Afrykańczyk jest sumiennym uczniem uniwersytetu, pochłania wiedzę gramatyczną, filozoficzną i prawniczą, lubi się pysznić nowym nabytkiem i pragnąłby, by wszyscy wyznawali jego naukę. W zapędzie ostentacyjnym i misyonarskim gotów jest przerwać najpiękniejszą rozmowę suchą historyą „obleśnego“ słówka, by błyszczeć choćby zapleśniałym rupieciem kramu gramatycznego.

Szkoły cieszyły się w Afryce niesłychanym rozwojem, ale też za to każdemu pisarzowi ciąży u nogi kula bakalarskiej maniery [2]. Daru i ochoty do mówienia nikomu z nich nie brak. Poganin (jak trafnie mówi Monceaux) będzie retorem, profeso-

[1] Por. L. Friedländer, *Das römische Afrika* (*Deutsch. Rundschau* IX) str. 251.

[2] Th. Mommsen, *Röm. Gesch.* V, 3 wyd. str. 656.

rem, adwokatem i mistrzem w urządzaniu odczytów; chrześcijanin zapala się do kaznodziejstwa, nawraca, polemizuje, pisze apologie i odezwy do prokonsulów i imperatorów, zwalcza herezye lub toczy dyskusye. Ale gorąca krew porywa ich jeszcze dalej. Jeśli kto jest poganinem, nie wystarcza mu kult ani praktyka oficyalnej religii; wędruje po różnych bractwach, wtajemnicza się w obrzędy misteryów, upaja się mrzonkami nowoplatonizmu, bawi się astrologią i sztuczkami magii. Jako chrześcijanin nie może się wyrzec mistycyzmu, zaprząta swój umysł subtelnościami, docieka niezgłębionych tajemnic wiary, staje się łatwo jednostronnym ascetą lub rygorystą i w rojeniach swych wpada w sieci herezyi. To też Afryka jest kolebką nietylko adwokatów, ale i heretyków. Z takiego środowiska wyszedł Florus, wynosząc z niego umysł elastyczny, choć nie głęboki, nadto serce, przystępne delikatniejszym wrażeniom i głosom czułości. Talent jego wystarcza na tworzenie w małym zakresie; śmielszego i pewnego lotu natura mu odmówiła. Ale w epoce wyjałowionej, archaizującej on stanowi korzystny wyjątek, a usposobienie gorące i żywa wyobraźnia przeciwstawiają Florusa wpływowemu Frontonowi z Cyrty, który na odwrót jest tak pusty i suchy, jak piaski Afryki.

Dr. Adam Miodoński.

OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

(Ciąg dalszy.)

Towarzystwo św. Wincentego walczy na każdym kroku z brakiem funduszów; szczęśliwsze w tym kierunku Arcybractwo Miłosierdzia nie potrzebuje mozolnie o każdy cent się dobijać. Pod zarządem Arcybractwa i Banku Pobożnego zostaje w obecnej chwili [1] dwanaście w różnych czasach powstałych funduszów: jałmużniany, kamieniczny, Banku Pobożnego, posagowy ogólny, posagowy Kmiecińskiego, na podrzutków, Jana Tarły, Bractwa pięciu ran Chrystusowych, ks. Franciszka Lampki, dla rzemieślników, Bractwa Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, fundusz na nabożeństwa. Przychód roczny z wszystkich tych funduszów wynosi przeszło 50.000 złr.; lwia część, bo około 30.000 złr. przypada na fundusz jałmużniany. Z tego funduszu rozdaje Arcybractwo stałe miesięczne jałmużny, jednorazowe, terminowe z woli fundatorów, dla rekonwalescentów, dla ciemnych, na pogrzeby; udziela datków na lekarstwa, groby, na tanią kuchnię; wreszcie spłaca pensyę urzędnikom i służbie i zaspokaja inne wydatki niezbędne przy administracyi tak po-

[1] Sprawozdanie z czynności Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie za rok 1895. W Krakowie 1896. — Por. „Książka pamiątkowa Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożego w Krakowie od r. 1584 do r. 1884“, W Krakowie 1884. Z końcem 1895 r. należało do Arcybractwa 7 sióstr i 251 braci.

ważnych sum [1]. Z funduszów posagowych otrzymuje rocznie pewną zapomogę około 80 „ubogich a cnotliwych panien“; w ubiegłym roku rozdana suma doszła do 2.375 złr. Z funduszu dla rzemieślników otrzymało, również w roku ubiegłym, stypendya czterech terminatorów i sześciu, kształcących się za granicą czeladników. Z funduszu dla podrzutków wydano tylko 30 złr. na jedno podrzucone dziecko. Obrotowy kapitał Banku Pobożnego przeznaczony do bezprocentowych, zabezpieczonych na zastawach pożyczek wynosi 67.000 złr.; z tego z końcem r. 1895 było wypożyczone 46.845 złr. 50 ct. na 2.845 fantach klejnotowych; 3.157 złr. 30 ct. na 1875 fantach sukiennych; 16.997 złr. 20 ct. znajdowało się w książeczkach kasy oszczędności i kasie podręcznej.

Jak widać jasno z tych już cyfr i dat, Arcybractwo jest instytucyą finansowo tak potężną, jak bodaj żadna inna miłosierna instytucya w naszym kraju; korzenie jej działalności rozchodzą się we wszystkich niemal kierunkach przez nędzę wyżłobionych. Arcybractwo, zgodzić się muszą na to wszyscy, robi

---

[1] Przepisujemy z ostatniego sprawozdania Arcybractwa rozchód z funduszu jałmużnianego w r. 1895:

1.	Pensye urzędników i służby	2.330	złr.	—	ct.		
2.	Sprzęty i koszta kancelaryjne. . . .	277	„	15	„		
3.	Koszta sądowe, stemple i porta . .	23	„	11	„		
4.	Dożywocia.	1.182	„	45	„		
5.	Na groby	420	„	15	„	i 33 sr. 75	kop.
6.	Jałmużny stałe miesięczne	5.208	„	—	„		
7.	„ jednorazowe.	4.360	„	25	„		
8.	„ terminowe z woli fundatorów.	2.892	„	87	„		
9.	Jałmużny rekonwalescentom:						
	a) z chorób zwyczajnych . . .	528	„	90	„		
	b) z chorób umysłowych . . .	22	„	—	„		
10.	Jałmużny dla ciemnych	88	„	75	„		
11.	Jałmużny na pogrzeby.	518	„	—	„		
12.	Za lekarstwa dla ubogich	497	„	06	„		
13.	Wydatki na nabożeństwa i stypendya	5.550	„	57	„	i 653 sr. 62½	kop.
14.	Wydatki na tanią kuchnię	1.300	„	—	„		
15.	Rozmaite wydatki przygodne. . . .	416	„	73	„		
	Razem	25.615	złr.	99	ct.	i 687 sr. 37½	kop.

bardzo wiele dobrego. Czy nie mogłoby robić jeszcze więcej, czy środków które posiada, nie mogłoby wyzyskać jeszcze skuteczniej, praktyczniej?

Kilku ludzi, biorących od dłuższego czasu żywy udział w pracach Arcybractwa jako jego radcy lub wizytatorowie, odpowiadają z całą szczerością na to pytanie.

„Arcybractwo mogłoby wywierać zbawienniejszy i szerszy wpływ niż dziś wywiera, gdyby mniej pieniędzy obracało na proste jałmużny, z których niejednokrotnie niema ani Bogu, ani ludziom pociechy, a natomiast pomyślało o założeniu paru instytucyj niezbędnie w mieście potrzebnych; gdyby przedewszystkiem więcej ludzi dobrej woli wzięło w niem czynny udział. Prawda, że na każdego człowieka rozgarniętego, a chętnego do pracy spada więcej ciężarów, niż udźwignąć ich jest w stanie; ale bądź co bądź nie należałoby urzędów, obowiązków przywiązanych do urzędów arcybrackich kłaść na szary koniec i pocieszać się: To każdy z brzegu potrafi zrobić! Nie, nie potrafi! Bijący w oczy dowód złożyło w tym względzie paru dawniejszych wizytatorów, wprost fatalnych. Dziś rzeczy stoją o wiele lepiej. Liczba wizytatorów podniosła się do ośmnastu, co wobec rozrostu miasta w ostatnich latach jest z pewnością za mało, lecz przynajmniej ludzie to wogóle mówiąc energiczni, inteligentni. Ta — powiadam — jedna i najcięższa bieda, że nieraz innemi, ściśle obowiązkowemi pracami do zbytku przeładowani“...

Powtórzmy jeszcze, kompetentne bezwątpienia zdanie hr. Ludwika Dębickiego w wydanej przed szesnastu latami, ale i dziś ważnej i na czasie będącej broszurze o krakowskiej biedzie i dobroczynności [1]:

„W statutach Skargi, po trzech wiekach, żadnej dziś nie potrzeba zmiany, choć w działaniu arcybractwa może niejedna byłaby pożądana reforma, głównie jednak w przejęciu się pierwotną myślą założyciela... Głównym do tego warunkiem byłoby pomnożenie wizytatorów. Obecnie jest ich kilkunastu; niepodo-

[1] „Słowo o biednych i o dobroczynności w Krakowie“. Str. 48. Kraków 1880. Str. 20 np.

bna też żądać, aby obowiązki swoje spełniali ściśle według statutu; głównym zaś obowiązkiem, na który baczyćby należało, aby wizytatorowie szukali ubogich w domach, sprawdzając na miejscu ich stan, nie zaś, aby ubodzy szukali ich protekcyj. Arcybractwo rozdaje znaczne kwoty ubogim co miesiąc. Zasiłki udzielane w pieniądzach wymagają tem większej przezorności i przekonania się naocznego o użytku, jaki tej pomocy nadaje ubogi, czy pierwszeństwa tu nie mają natręci nad wstydzącymi się żebrać".

„Instytucya Banku Pobożnego — pisze dalej hr. Dębicki — połączona z Arcybractwem jest wielkiem dobrodziejstwem. Bezprocentowa pożyczka na zastaw przynosi korzystniejszą pod względem moralnym ulgę ubogiemu, niż nawet niezwrotny jednorazowy datek pieniężny, gdyż pobudza ubogiego do pracy i oszczędności, aby odzyskać zastaw".

Bez kwestyi, Bank Pobożny wielkiem jest dobrodziejstwem. Rzemieślnicy, robotnicy, często nienajgorzej skądinąd mający się mieszczanie, potrzebują raz po raz gwałtownie i natychmiast mniejszej lub większej pieniężnej sumy, której nie wiedzieć skąd wydostać. W kasie domowej rozpaczliwe pustki; wstyd iść do sąsiadów i nie na wieleby się może przydało; zdrowy rozsądek odradza iść do żydów-lichwiarzów; a tu niezbędnie potrzeba kilku, kilkunastu ba! i kilkudziesięciu guldenów. Bogatszy bierze rodzinne klejnoty, zegarek, pierścionek, żoni ie bransolety; uboższy zimowy paltocik watą podszyty, w lecie niepożyteczny surducik; służąca bez miejsca jedyny swój skarb: korale, i spieszy do Pobożnego Banku, krzepiąc się nadzieją, że za parę miesięcy fortuna pokaże przyjaźniejsze oblicze, a wtedy zegarek, pierścionek, surducik, po chwilowych odpoczynku w bankowych składach, wrócą do swego prawowitego pana [1].

---

[1] Kilka cyfr i dat najlepszem tu będą wyjaśnieniem: w jednym roku od 15 lipca 1895 r. do lipca 1896 r. zastawiono w Banku Pobożnym.

Fantów klejnotowych sztuk	2.449
Fantów sukiennych	3.814
Wykupiono fantów klejnotowych	2.325

Kto nie wie, czy nie wierzy jak potrzebne takie zastawnicze zakłady, takie lombardy, jak ważną rolę odgrywają w życiu przeróżnego rodzaju biedaków i jak wiele na tem zależy, aby to były banki „pobożne“, a przynajmniej obywatelskiem poczuciem kierujące się, niech zaglądnie do jednego z licznych prywatnych żydowskich lombardów, w których biedne ofiary niemiłosiernie bywają oszukiwane i wyssysane; niech złączy się z tłumem, czekającym swej kolei przed kratami zastawniczego oddziału w kasie oszczędności lub w samymże Pobożnym Banku.

Co za różne np. typy i postacie dobijają się do krat zastawniczego oddziału w kasie oszczędności! Kilka pań, bardzo starannie ubranych, ciśnie w dłoni małe pudełeczka z zegarkami, z kolczykami; kilka służących konferuje płaczliwym tonem, wiele też dadzą za ten pierścionek, pamiątkę dawnych pomyślniejszych czasów; w kącie stanęła gromadka wiejskich bab, jedna ze łzami w oczach przygląda się dwom sznurkom korali, które przejdą za chwilę w ręce taksatora, za drugą chwilę, odpowiednim numerem opatrzone powiększą piętrzącą się coraz wyżej, wyżej koralową górę. Byle przynajmniej prędzej, byle raz nakoniec dostać do ręki niezbędne pieniądze na czynsz, od kilku miesięcy niepłacony, na lekarstwo dla dziecka, na trumnę dla wczoraj zmarłego ojca. Byle prędzej! Trzech „ekspresów“ po sali się snuje i gotowi na zawołanie siłą potężnych ramion przez tłum się przebić i na pół gwałtem wcisnąć do rąk zmordowanemu urzędnikowi poruczony sobie klejnocik; gotowi, ale tę usługę trzeba co najmniej „szóstką“ opłacić, a czyż nie lepiej za „szóstkę“ kilka bułek kupić?

„Mój Boże! — lamentuje skurczona staruszka — nie mam ani centa, żeby tregerowi dać, a on za ułatwienie domaga się aż 30 centów. Jeden mam pierścioneczek, najwyżej za niego cztery reńskie dostanę, jakże mogę 30 centów obiecywać?!

Wykupiono fantów sukiennych	3.757
Sprzedano na licytacyi fantów klejnotowych	72
Sprzedano fantów sukiennych	131
Zwrócono zastawiającym nadwyżek z licytacyi	złr. 105
Wogóle załatwiono spraw	12.720

Inna staruszka czekała, czekała, aż wreszcie zdecydowała się, wydobyła z najgłębszej skrytki kilka drobnych monet i wręczyła je ekspresowi wespół z małym pierścioneczkiem. Nawet to nie jej własny pierścionek. Poczciwa córka nie mogąc matce inaczej przyjść z pomocą, zdjęła go sobie z palca: „Niech mama na zastaw zaniesie!“ — „Cóż miałam robić — pyta z płaczem — taka słaba jestem, przed paru latami wóz mię na ulicy przejechał, zębów nie mam...“ Biedactwo! — gdy posługacz do kraty się przedostał i pierścionek wręczył taksatorowi do oceny, zachwiała się na nogach, oparła się z wysileniem o ławkę i złożyła ręce do modlitwy. O! żeby też choć z pięć reńskich dali!

Młodziutka dziewczyna pokazuje znawcy sznurek drobnych korali i w oczy mu z niepokojem spogląda, wiele też na nie dadzą. — Bardzo niewiele, — ledwie co warte...

Inna przyniosła w zawiniątku fartuszek, spodniczkę, chusteczkę. Była już w Banku Miłosierdzia, lecz tam dawali jej tylko 50 centów. Może tu więcej dostanie. Prawda, w kasie trzeba będzie procent płacić a w Banku procentuby nie płaciła i prawdopodobnie samo Arcybractwoby jej później zastaw wykupiło. Ale mniejsza o to co później; teraz, zaraz potrzeba pieniędzy.

Smutno, ciężko, obecni szeptem ze sobą się komunikują, parę pań spuściło woalki i widać jak drżą, aby ich kto znajomy nie podpatrzył. Inne nie zdobyły się na tyle nawet cywilnej odwagi. Tak się bały, aby która z przyjaciółek nie rzuciła im niby litościwego zapytania: „Cóżeś zastawiła?“, że wolały zawołać żydka i z nim na stokroć gorszych warunkach interes odrobić. Jeszcze inne uciekają się do faktorów i za pośrednictwo płacą im gruby procent. Wymieniono mi nazwisko kobiety, która wyłącznie utrzymuje się z pośrednictwa między zakładem zastawniczym a wstydzącemi się do niego osobiście zgłaszać.

A tymczasem w tę smętną ciszę, przerywaną od czasu do czasu głośniejszem zapytaniem którego z urzędników, wpadają z przyległego pokoju kłótliwe krzyki, stentorowe wezwania do spokoju lub znów poważne, jakby młotkiem wybijane: „Po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci!“ To publiczna licytacya

fantów nie wykupionych na czas, nie prolongowanych przez opłatę należnego procentu. Ten sam tu ścisk, lecz inne twarze, zupełnie odmienna atmosfera. Honorowe miejsca zajmuje kilka żydówek-ekspertek; wkoło legion faktorów, kupców, kupcowych noszących wybitne cechy semickiego pochodzenia. Wrzekomo, dla honoru lub zamydlenia oczu naiwnym, zawzięcie ze sobą się kłócą; w gruncie rzeczy wszyscy ściśle ze sobą sprzymierzeni. Dalej dopiero garść przybyłych na ochotnika Krakowian-katolików; jeszcze dalej kilkanaście wiejskich gospodyń wyczekujących niecierpliwie rychłoli przyjdzie kolej na możliwie niedrogie, możliwie wielkie, czerwone korale...

Skąd ta masa zastawionych, niewykupionych klejnotów, korali, chust, szalów? Co ciągnie tłumy potrzebujących do kasy oszczędności, kiedy w Banku Pobożnym nie potrzebowałyby opłacać procentu i zawsze bądź co bądź w razie chwilowej niemożności wykupienia zastawionego fantu, liczyćby mogły na większą względność? Czy to, że w kasie przychodzi łatwiej zastaw uskutecznić; czy to, że choć biedak procent w przyszłości będzie musiał płacić, woli tam iść, gdzie na razie więcej pieniędzy na ten sam zastaw dostanie; czy czasem i jakaś ambicya w grę tu nie wchodzi i nie tłumaczy: „W kasie robisz prosty interes, w Banku zawsze tak wygląda, jakby ci świadczyli miłosierdzie; czy może wreszcie zdarzają się tacy co po prostu nie wiedzą o istnieniu, o zasadniczych statutach Banku Pobożnego? Bodaj, że wszystkie te względy pewną rolę odgrywają, a szkoda, że tak poważną rolę odgrywają. W ostatnim roku, jak przekonywujemy się z odnośnego sprawozdania, na 67.000 złr. stanowiących obiegowy kapitał Banku Pobożnego, 16.000 złr. leżało w książeczkach kasy oszczędności, a zatem nie odpowiadało właściwemu swemu przeznaczeniu. Prawda, że widoczny tu już postęp na lepsze, bo w r. 1894 leżało w kasie oszczędności zamiast rozchodzić się między uboższą klasą w formie bezprocentowych pożyczek, 20.000 złr., a w r. 1893 przy niezmiennym obiegowym kapitale 22.000 złr. Nikt nie wątpi, że odsetki od tych sum idą na najlepsze cele, przeznaczone są prawdopodobnie na wykupywanie fantów złożonych przez najuboższych, którzyby ich sami

własnemi środkami nie zdołali wykupić; lecz bądź co bądź, mając na uwadze właściwy cel instytucyi, pamiętając ilu biedaków tonie w lichwiarskich szponach, czy nie należałoby użyć wszelkich możliwych środków, aby zwrócić te i dziś jeszcze znaczne sumy do właściwego koryta?...

W ostatnich latach powstała i rozwinęła się pod skrzydłami Arcybractwa druga instytucya, na wiele mniejszą skalę obrachowana, niż Bank Pobożny, ale niemniej bardzo pożyteczna: Tania kuchnia.

Paweł Popiel, zasłużony prezes Towarzystwa św. Wincentego, długoletni członek Arcybractwa, obeznany jak rzadko kto i teoretycznie i praktycznie z miłosierdziem zwykł był mawiać: „Niema lepszej jałmużny, jak dostarczyć ubogiemu pożywnej, ciepłej strawy. Dasz dziesięć centów — przepije. Daj mu porządną kromkę chleba, daj tęgi garnuszek gorącego mleka i aż pociecha patrzeć z jakim apetytem bierze się do tych darów bożych“. Kto głębiej zapuścił się w przepaściste krainy ubóstwa, nie zawaha się potwierdzić prawdziwości tych słów. Przypatrywaliśmy się już wyżej w jednym z poprzednich obrazków, co i jak jedzą krakowscy lazaroni w obrachowanych na zysk, rozsianych po Podgórzu, po Kazimierzu „tanich kuchniach“. Jakże inaczej wygląda „tania kuchnia“ Arcybractwa na ulicy św. Tomasza. Na ścianach patryotyczne i pobożne obrazy, na stołach czysto wymyte talerze, sztućce oczywiście nie arystokratyczne, ale zupełnie porządne. A co najważniejsze, potrawy smaczne i porcye tak obfite, że śmiało i z wytężeniem można po nich pracować od południa do wieczora. Ceny obiadów kilka razy się zmieniały; obecnie rozdaje „Tania kuchnia“ obiady po 20, 12, 10 i 5 centów. Same w sobie, a tembardziej ze względu na jakość i ilość rosołu, barszczu, mleka, kartofli, kapusty, kluseк, krup, mięsa, które za nie się dostaje, ceny to bardzo skromne i nie można się dziwić, że Arcybractwo pokrywać musi regularnie niedobór w rocznej kwocie przeszło tysiąca reńskich. Ale ze względu na najuboższych ceny to jeszcze o wiele za wysokie; tylko pewnego rodzaju arystokracya ubogich: studenci, rzemieślnicy, lepiej płatne szwaczki myśleć mogą i myślą o prze-

stąpieniu progów arcybrackiej kuchni. Dawniej stołowała się w niej znaczniejsza liczba studentów uniwersytetu; od czasu powstania osobnej uniwersyteckiej kuchni, stali ci goście dla których osobny pokój był zarezerwowany, wyemigrowali na własne gospodarstwo, a na ulicy św. Tomasza zostawili po sobie pustkę przez dłuższy czas niezapełnioną. Liczba stołowników tak stopniała, rozchody tak się z dochodami zgodzić nie mogły, że przez dłuższy czas, w wiosennych i letnich miesiącach ubiegłego roku krążyły po Krakowie uporczywe wieści o blizkiem zwinięciu utrzymywanej przez Arcybractwo taniej kuchni. Ufajmy, że nietylko do tego nie przyjdzie, ale że „Tania kuchnia“ pod bacznem okiem a energiczną ręką dzisiejszego głównego swego opiekuna i zarządcy, rozwinie się jak nigdy i na ulicy św. Tomasza, w śródmieściu, i założy swe kolonie, zastosowane do miejscowych potrzeb, na Stradomiu i na Kazimierzu, na Piasku i na Kleparzu. Bardzoby warto założyć je i na dalszych za rogatkami rozrzuconych przedmieściach, ale tam już bezpośrednia działalność Arcybractwa nie sięga i jeśli nie inni ludzie, to inna instytucya musiałaby się tą sprawą zająć.

Źle, gdy zbliża się południowa godzina, a nie wiedzieć czy i gdzie będzie można upolować łyżkę ciepłej strawy; jeszcze gorzej i na sercu cięrzej, gdy na dworze ciemno i zimno, a tu nietylko głodno, ale bardzo chłodno i nie ma gdzie głowy przytulić. Czasem uda się pod schody wślizgnąć, przekraść się do stajni, do oranżeryi, uda się urządzić sobie wygodny nocleg w budującym się lub świeżo wybudowanym domu. W lecie miło przejść się za przedmieścia i zagrzebać się w stogu siana. Nieszczęściem, nie zawsze pogodne lato i nie zawsze stróż zapomina bramę na klucz zamknąć; gdzie się schronić, gdy deszcz, śnieg, a każda z kolei brama zawarta na dziesięć kłódek? Kilka jeszcze lat temu — aż do roku 1889 — nie było innej rady, jak ukłaść się pod mostem, przykucnąć pod kościelnemi drzwiami, wsunąć się między przygotowane do wiosennej budowy stosy cegieł, lub zdecydować się na wędrówkę do miejskiej, utrzymywanej przez magistrat ogrzewalni. Tak! zdecydować się, bo z dwojga złego lepiej nieraz było i dla duszy, i dla ciała spać

pod mostem, niż w ówczesnej ogrzewalni. Wedle zgodnych relacyj wszystkich, którzy odważyli się zaawanturować do dawnej miejskiej ogrzewalni, było to strachem i obrzydzeniem przejmujące zbiorowisko nietylko wszelkiej nędzy, ale wszelkiej moralnej zgnilizny, wszelkiego rodzaju występków. Oto, co o tem opowiada jeden z weteranów krakowskiego miłosierdzia, który w ogrzewalni bywał stosunkowo dosyć częstym gościem:

„Po dziś dzień dreszcz mię przejmuje, gdy sobie przypomnę te nocne wizyty. Nie było parkanu, nie było wychodków. Brud, smród bez nazwy, miny zbójeckie, krzyki, przekleństwa. W ciasnej izbie około 200 ludzi się tłoczyło. Chłopcy uczyli się kraść od starszych; jedni drugich okradali. Byli tacy, co i w dzień nie mogli wychodzić, bo w najściślejszem słowa znaczeniu nie mieli się w co ubrać. Było kilku — nawet imiona ich utkwiły mi w pamięci, taki Grela, taki Wojtek — którzy siłą pięści i donośniejszego głosu ujęli rządy, pili wódkę, w karty grali i tyranizowali innych, słabych staruszków, których tolerowali jakby z miłosierdzia. Miejski pachołek miał niby porządek utrzymywać, ale nie głupi był hersztom się narazić. I bał się o skórę, i niczego mu się nie chciało. Biedak jaki konał pod pryczą, nikt mu nie przychodził z pomocą. Cóż dziwnego, że w takich warunkach pojawiały się w ogrzewalni i na miasto z niej wychodziły najniebezpieczniejsze choroby, że tyfus plamisty raz po raz tu zaglądał?“

Stosunki te należą już na szczęście od lat ośmiu do historyi, dzięki poświęceniu Braci i Sióstr trzeciego zakonu św. Franciszka. Sami zowią się „tercyarzami“, bo przyjęli regułę zakonu św. Franciszka; Krakowianie nazywają ich często „Albertynami“, „Albertynkami“, od bardzo między wszystkiemi sferami i stronnictwami popularnego imienia ich założyciela, lub raczej — aby na możliwe protesta się nie narażać — ich wskrzesiciela w Polsce. Postać Brata Alberta zanadto znana i w Krakowie, i w całym kraju, aby tu było potrzeba kreślić jej wizerunek; zresztą niebezpieczna to rzecz szkicować obraz malarza, zwłaszcza takiego, co ma swe odrębne pojęcie o sztuce i zamiast podziękować gotówby się jeszcze na seryo zachmurzyć.

Lepiej, korzystając z uprzejmości „starszego brata“, siądźmy na jego miniaturowy, często, gęsto po Krakowie za jałmużną, za tysiącznemi sprawami kręcący się wózeczek i dalej na Kazimierz, najprzód do przytuliska dla mężczyzn, potem do przytuliska dla kobiet.

Kto zwiedzał kiedy stary, kazimierski dom z wązkiemi korytarzami, stromemi na prawo i na lewo drabiniastemi schodkami, słabo do murów przylepionemi balkonami i ganeczkami, z których roztwiera się szeroki widok na sąsiednie ganki i okna, obwieszone męskiemi i damskiemi ubraniami; kto, jeśli nie miał szczęścia poznać Kazimierza, zna Zarwanicę, zna małe nasze żydowskie miasteczka, temu nie trudno sobie odfotografować w wyobraźni zewnętrzny obraz przytuliska św. Alberta. Przed niewielu latami królowały tu żydowskie brudy; dziś w tych samych izbach i izdebkach, bo na fundamentalne ich przekształcenie brak pieniędzy, święci tryumfy chrześcijańskie miłosierdzie. Trzeba się ściskać, nie można myśleć o salach, o gmachach, w którychby się rozkoszowała artystyczna dusza. Nie można myśleć, bo tylu nędzarzy głodnych, drżących z zimna, a chleba nie za dużo; bo nawet samym tym nędzarzom nie swojskoby było przechodzić przez jasne, wielkie korytarze do wielkich sal, pełnych powietrza i światła. Wszak jutro rano trzeba będzie znowu wyjść na ulicę, głodowi w oczy zajrzeć.

Bracia właśnie przy kolacyi w dość wielkim pokoju, służącym za refektarz. Krzeseł niema, stołu niema, bo inne pilniejsze wydatki, ale taka drobnostka nie psuje prawdziwym tercyarzom ani humoru, ani apetytu. Zasiedli w kółko na ziemi; malowniczym, tureckim zwyczajem nogi każdy pod siebie podciągnął i zwolna sięga łyżką do garnuszka, w którym znajduje się zupa, nieznana w kucharskich podręcznikach, ale bardzo zdrowa, smaczna, a w dodatku niesłychanie tania, jak brat Albert z całą powagą zaręcza. Jeden z Braci niedomaga, więc ma przed sobą w szklance trochę wina; inni wodę popijają. Ale za to jaki humor przy tej uczcie; jaka pogoda, wewnętrzne zadowolenie po dobrze spędzonym dniu na twarzach się rozlewa! Tak biesiadować musieli tebajscy pustelnicy, kiedy na wspólną agapę się zebrali.

Brat Albert prowadzi od sali do sali. W dzień prawie puste, teraz coraz szybciej się napełniają i przepełniają. To sala przeznaczona dla młodszych chłopców; niejeden z nich od dzieciństwa tu się wychował i jedynie przytulisku zawdzięcza, że nie wyszedł na łotra i, da Bóg, nie zgnije w kryminale. Kłopotów z nimi nie mało — ot choćby np. z tym krępym, strasznie rezolutnym huncwotem, ktorego wódka tak potężnym magnesem ku sobie ciągnie, że płacze, w piersi się bije, a kiedy flaszkę na ulicy zobaczy, nie może się oprzeć jej urokowi.

„Co robić? — pyta jeden z Braci z żalem, ale i z wielką wyrozumiałością. Niejeden biedak pijany do nas przychodzi; dobrze że przyjdzie, zamiast w gnoju, jak dawnemi czasy, się zakopać. My się na nich nie gniewamy, co najwięcej ‚Brat starszy' pogrozi i powie: ‚Ej! pić nie trzeba'. Dopiero nazajutrz, gdy się wytrzeźwi, przemówi mu się do serca i choć na dzień odciągnie go się od kieliszka. I za to chwała Bogu!"

W sali dla starszych mężczyzn może jeszcze pełniej. Wielu już na pryczach rozłożyło zmarznięte, zmęczone członki; inni siedli na ziemi i majstrują koło czarnych swych łachmanów; inni przynajmniej pod pryczami wyszukują możliwego kąta. Ścieżki zostawione między pryczami również zajęte, tak, że chcąc się przedostać z jednego krańca sali na drugi, ustawicznie skakać trzeba przez zagradzające drogę ludzkie ciała. Strasznie parno i duszno, bo i dużo ludzi i w piecu napalono, ile się dało; ale pół nagim żebrakom nie za gorąco; tak im cały dzień zimno, że teraz formalnie ciepłem się rozkoszują i im prycze bliższe pieca, tem żywiej są pożądane. Wyschły jak szczepa suchotnik który musiał szpital opuścić, a gdzieindziej nie znalazł schronienia, z wewnętrznego zimna dygoce. Chudy żyd ukrył się pod ścianą, lękając się może żartów chrześcijańskich kolegów. Eksstolarz, eksmalarz opowiadają przytłumionym, trochę płaczliwym głosem, o niewesołych kolejach swego życia; eksmalarz nie stracił przynajmniej zupełnie nadziei w bardziej różową przyszłość; byle się wziąć mógł do kopiowania obrazków Matki Boskiej Częstochowskiej, muszą mu je ludzie rozkupić i życie potoczy się gładszą drogą.

„Byle mróz ustał — zwierza się drugi z mniej świetnemi, ale podobno praktyczniejszemi marzeniami, zarazby lepiej było człowiekowi. Możnaby urządzić wyprawę na smieci, na szmaty; kto wie, gdzie się obrócić i karku nie żałuje, zarobi na szmatach i do 15 ct. na dzień".

Obok niewielki pokoik przeznaczony na infirmeryą dla zupełnie chorych; w tej chwili jeden tylko staruszek w niej leży i błogosławi Braci za ciepło, za jedzenie, za opiekę. Zwłaszcza ciepłem dość się nie może nacieszyć: to prawdziwy raj na ziemi!

Przytulisko dla kobiet, zostające pod prawdziwie siostrzaną opieką Sióstr trzeciego zakonu („Albertynek"), bardzo podobne i w szczegółach i w ogólnych zarysach do przytuliska męskiego. I tu w salach pełno, wszystkie prycze najszczelniej zajęte; pod pryczami, nawet na wązkich ścieżkach zostawionych między pryczami, wszędzie ludzkie ciała w łachmanach. Matek niepodobna naturalnie odłączyć od drobnych dzieci; dużo też dzieci na pryczach i pod pryczami, niemało dziecinnego pisku i krzyku. Są i dzieci, co nie mają, a przynajmniej nie znają ani ojca, ani matki; jest np. dziewczynka znaleziona na bruku, o której, mimo wszelkich usiłowań, policya dowiedzieć się nie mogła, ani jak się nazywa, ani kto ją na bruk wyrzucił. We drzwiach pokazała się dorosła dziewczyna, bardzo porządnie ubrana, ale zobaczyła obcych gości i uciekła zawstydzona, że bieda przymusiła ją tutaj na bezpłatny nocleg się zgłosić.

„Przyjdzie ona za chwilę — uspokaja zakonna Siostra — przyjdzie, skoro się przekona, żeście odjechali"...

W mroźne zimowe noce korzysta z przytuliska od 350 do 400 kobiet i mężczyzn; więc tylu co najmniej bez dachu, bez sposobu zapłacenia sobie najciaśniejszego kącika. Brat Albert z zasady nie pyta, czy ten, co na nocleg się zgłasza, ma swoje papiery w porządku, czy należy do krakowskiej gminy, czy z policyą stoi na przyjaznej, czy na wojennej stopie. Dość że biedny, że mu zimno i spać się chce, a nie ma gdzie się ogrzać i wyspać.

„Kto do naszej bramy puka — zaręcza z uśmiechem założyciel przytuliska — ten z pewnością bardzo biedny, bo nie znaj-

dzie u nas rozkoszy; twarda deska pod głowę, trochę ocieplonego powietrza, w najlepszym razie garnuszek gorącej zupy. I jakże mam mieć sumienie wypytywać trzęsącego się z zimna i głodu: ‚A skądeś przyjacielu, a czy rodziłeś się przed rogatkami, czy za rogatkami krakowskiemi; a udowodnijże mi świadkami i legitymacyami, żeś nigdy nic nie przeskrobał'. Wielka armata magistracka na nas wymierzona: ‚Niechaj przytulisko będzie wyłącznie dla ubogich krakowskiej gminy, bo dla cudzych nie możemy dawać subwencyi'. A czy na szupasowanie nie potrzeba kosztów? Odszupasują żebraka, bo nie ma gdzie nocy spędzić, a on po trzech dniach wraca wściekły, głodny, chory; trzeba go dać do szpitala, albo na złodzieja idzie, a zawsze gminie kulą u nogi... Przyznać chyba trzeba, że miasto ma w tercyarzach idealnych pachołków".

„Ale — słyszałem już takie zdanie — co nas to obchodzi? Koszta szupasowania płaci kraj, nie miasto!"

„Piękna mi historya! To jakby malarz poszedł do piwnicy, żeby stamtąd obraz oglądać. A potem mówią wysokie rzeczy: rozwiązanie kwestyi socyalnej, prawodawstwo społeczne. Bardzo ładnie; ale tymczasem, zanim kwestya socyalna zostanie rozwiązaną, niech ludzie nie marzną i nie dostają głodowego tyfusu".

W niedzielę, w święto wczesnym rankiem zbierają się najbiedniejsi, zwłaszcza kazimierscy, stradomscy, podgórscy wyrobnicy i żebracy w nizkiej, bardzo ubogiej kaplicy przytuliska na mszę św. i krótką nauczkę. Do kościołaby nie poszli; wstydziliby się pokazać w kościele boso, w łachmanach przesiąkłych cuchnącemi woniami. Tu się nie wstydzą, bo w przytulisku czują się u siebie; wiedzą, że są między swoimi, że to ich dom. Z ochrypłych stu, dwustu gardzieli płyną w górę to — stosownie do czasu — wesołe kolędy, to Godzinki o Matce Boskiej, to żałobne hymny Gorzkich żalów. Dzwonek się odzywa, Pan Jezus zstępuje z nieba do tej prawdziwie betleemskiej stajenki, pieśń ustaje a wszystkie czoła korzą się w prochu przed przybywającym Panem. Jak byliby oni dopiero naprawdę nieszczęśliwi bez podnoszącej duszę wiary, bez nadziei w przyszłe, lepsze życie!

Raz do roku uproszony kapłan wygłasza w kapliczce kilka

misyjnych nauk jako przygotowanie do odbycia dobrej, gruntownej spowiedzi. Rzęsiste łzy spływają nieraz po twarzach w czasie tych prostych, do głębi serca wstrząsających nauk; przy zaimprowizowanych konfesyonałach odzywają się głębokie westchnienia, głuchy jęk przerywa raz po raz serdeczne wyznania. „Czemuż my tego wcześniej nie wiedzieli — powtarzają biedacy — nie bylibyśmy Boga obrażali i inaczej może życieby się pokierowało".

Inny widok przedstawia przytulisko w parę najuroczystszych świąt; na Wielkanoc nie brak święconego, Boże Narodzenie rozpoczyna się tradycyjną wilią. Czemuż i ci najbiedniejsi nie mieliby brać udziału w ogólnej radości katolickiego świata; dlaczegóż i dla nich betleemska gwiazdka nie ma zabłysnąć żywszem światłem i nasunąć rzewne, zdrowe dla duszy wspomnienia dawnej może przy wspólnym rodzinnym stole spędzonej wilii? Przez środek sal biegną długie stoły. Około ósmej zasiadło do nich w męskiem przytulisku około 70 biesiadników, w żeńskiem przytulisku zebrała się niemniejsza liczba biesiadniczek i żwawo do łyżek, bo już nadciągają nowe gromady i czekają niecierpliwie rychło się dla nich miejsce oprożni. Do dziesiątej zmieniać się ciągle będą; nikt nie odejdzie nienakarmiony. Sami Bracia rozdają do miseczek groch z ryżem, obok kładą kawałek śledzia, na wety rozlewają do czarek dymiący się garus, na którego dnie pływają apetyczne śliwki. Twarze, z początku jakby zmrożone, ponure, zwolna się rozjaśniają, poprawiają się humory; ktoś zaintonował „W żłobie leży", inni ochrypłemi głosami mu wtórują. Przemyślne Siostry przygotowały dla swych wilijnych gości miniaturową szopkę, zawiesiły ją na słupie i zapaliły kilka świeczek. Wnet koło szopki grupują się najlepsze śpiewaczki, jedna kolęda po drugiej w niebo płynie. Ochota wciąż rośnie, kilkanaście młodszych i starszych chwyciło się za ręce i tańczy koło Sióstr, koło szopki.

„Kiedy tak zaśpiewają — zwierza się jedna ze Sióstr — kiedy widzę, jakie szczęśliwe te moje biedaczki, to jakbym w niebie była!"

„Nasz klasztór — dodaje Brat Albert — to najweselszy klasztor na świecie".

I przy pracy w wielkiej sali, w której kilkanaście, kilkadziesiąt rąk majstruje koło słynnych już dziś w Krakowie giętych mebli, zapewniających ubogim i zajęcie i jaki taki stały dochód — nie wolno niezdrowej melancholii się rozgościć! To śpiew ją ożywia, to prosty, a zdrowy żart daje materyę do niekończącego się śmiechu, to jeden z Braci, który ze słynnym Sabałą mógłby walczyć o palmę pierwszeństwa, opowiada przez parę godzin z rzędu wysnutą na prędce z wyobraźni bajkę-przypowieść o chłopie, co parę razy nawracał się i znowu wpadał w dawne nałogi, aż wreszcie ostatecznie się nawrócił: o pijaku, niemogącym się oprzeć widokowi różnobarwnych flaszek z zabójczą wódką; maluje — jak najlepszy powieściopisarz — jakie głosy mu się w sercu odzywały, co flaszki mówiły, co on im odpowiadał, co działo się w sercu w czasie długiej, bardzo długiej i bardzo serdecznej spowiedzi. Słuchacze połykają każde słowo; głęboką zadumą, na pół otwartemi ustami, nieraz łzą w oku dają nie dwuznacznie znać, jak silnie im się każde słowo do serca dobiera.

„Na pierwszem miejscu — streszcza Brat Albert swe teorye, swe plany, swe marzenia — potrzebne są przytuliska; to fundament. Ale na fundamencie trzeba budować co rychlej domy pracy; to pierwsze piętro. Najprzód trzeba się postarać, aby przymierający z głodu nędzarze, mieli co zjeść i gdzie się wyspać, bo głodni i zmęczeni nie mogą naprawdę pracować; a potem włożyć im w rękę robotę i powiedzieć: Chcesz i dziś zjeść, to pracuj!..."

Domy pracy!... Ileż na udowodnienie konieczności domów pracy w Krakowie spożytkowano piór i atramentu; ile spisano ustaw, uchwalono projektów!... Największa część pozostała projektami; inne po krótkich wysiłkach połączyły się z milionowem wojskiem projektów nieudanych; kilka, dzięki prawdziwie zdumiewającym zapasom energii i dobrej woli swych inicyatorów i protektorów, przeszły w życie i pomimo licznych trudności,

ani myśleć chcą o ustąpieniu z zajętych pozycyj. Brat Albert każe swoim żebrakom wyrabiać krzesła, kanapki, fotele. W znanej już nam fortecy chrześcijańskiego miłosierdzia na Kazimierzu, w wielkim klasztorze Szarytek znajdują zgrabniejsze dziewczyny zatrudnienie w szwalni; mniej zgrabne idą do pralni. Za ciasna niestety! szwalnia; za ciasna dziś jeszcze i pralnia i ani myśleć, aby dać mogła pracę wszystkim dziewczynom czy kobietom, mającym parę zdrowych rąk, chcącym dobrze ich użyć, a nie wiedzącym jak i gdzie. Ale już obok wznoszą się mury obszernej, wedle wszelkich najbardziej postępowych wymagań urządzonej pralni, w której, w chwili gdy te linie wyjdą z pod drukarskiej prasy, wrzeć już będzie życie w całej pełni i drugie tyle praczek, co dziś, znajdzie dostateczny, a uczciwy zarobek. W pokrewnem przewodnią myślą przytulisku założonem i wystawionem staraniem księdza Pelczara, służące znajdujące się bez służby, otrzymują nocleg i jedzenie a jednocześnie uczą się szyć, prać, prasować, gotować. Zakład św. Jadwigi rozciąga moralną i materyalną opiekę nad kilkudziesięciu dziewczynami, utrzymującemi się z szycia, haftu, krawieczyzny...

Piękne, prześliczne instytucye, ale żadna z nich ani w części sprostać nie może istniejącym i wciąż wzmagającym się potrzebom. Przełożona zakładu św. Jadwigi, całą duszą swym „dzieciom“ oddana Nazaretanka, opowiada ze smutkiem:

„Niezmiernie wiele dobrego dałoby się zrobić, gdyby nie ta do znudzenia wszędzie wracająca piosnka: brak funduszów! Wiele zwłaszcza straciłyśmy ze śmiercią ks. Marceliny Czartoryskiej, która jak gdzieindziej, tak tu była — śmiało powiedzieć można — duszą całej sprawy. Z początku, w chwili pierwszego zapału, otrzymywaliśmy przesyłki już nietylko z potrzebnemi rzeczami, ale i zbytkownemi specyałami: dziczyzną, owocami; po roku źródło wyschło, potok przesyłek płynąć przestał. A tymczasem z pensyi płaconej przez panienki, półtora reńskiego miesięcznie za mieszkanie, osiem reńskich za całe życie, trudno je utrzymać; tem bardziej, że zawsze to tę, to tamtę choroba nawiedzi, i sprowadza znaczniejsze koszta. Ale duch bardzo dobry;

jest wzajemna miłość, swoboda, chęć do rozmowy z Bogiem; każdą uwagę przyjmują bardzo dobrze. Jedna mówiła mi: Wolałabym w zakładzie pracować o suchych ziemniakach, niż gdzieindziej mieć wszystkie wygody. Dotąd nas P. Bóg nie opuścił, choć bywały ciężkie chwile; ufamy, że i na przyszłość zawsze przynajmniej na suche ziemniaki wystarczy".

(Dok. nast.).

Ks. Jan Badeni.

MIRON COSTIN.

PRZYCZYNEK DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ XVII. WIEKU.

(Dokończenie).

II.

Costin, jako pisarz, jest przedewszystkiem historykiem. Pisze historyę Węgier, historyę kraju ojczystego, latopis ziemi mołdawskiej [1], dzieje pierwszej osady kraju mołdawskiego, fragmenta i t. p. W pracach tych objawia się uderzająco wpływ pisarzy polskich, a mianowicie Maksymiliana Fredry i Piaseckiego; co najmniej trzy czwarte nazwisk, które Miron Costin cytuje, są nazwiskami polskiemi.

Mówi sam o sobie, że zawodu historyka podjął się z miłości dla swego kraju i narodu; głównym jego celem było dowieść, że ludy zamieszkujące Mołdawię, Multany i Siedmiogród ze starej Romy początek swój wywodzą i że w żyłach ich płynie krew Rzymian. To była teza jego ulubiona i nawet w utworach poetycznych starał się ją uzasadnić.

Mimo że kochał naród i kraj rodzinny gorąco, pozostał bezstronnym, utrzymując słusznie, że nic tak nie szkodzi historyi, jak udawanie i obłuda. Dlatego mówi gorzką prawdę tam, gdzie

[2] Tłumaczenie łacińskie latopisu znajduje się w bibliotece Czartoryskich pomiędzy rękopisami nr. 1393 p. t.: „Historya wojny wołoskiej 1595". Tytuł ten jest fałszywy a brzmiećby powinien: „Latopis ziemi mołdawskiej". Brakuje w manuskrypcie karty tytułowej i kilku następnych stron. Rumuńskim uczonym rękopis ten (o ile wiem) nie jest znany.

ją mówić było potrzeba, chwali co pochwały godne, a gani złe; nie uważa czy ma do czynienia z wrogiem, czy też z przyjacielem; jak jednemu, tak drugiemu wymierza sprawiedliwość.

O zadaniu historyi ma Miron wysokie wyobrażenie. „Ona, jak powiada, toruje nam drogę do poznania Boga“. Głęboka też religijność cechuje jego dzieła. Formalnem wyznaniem wiary w Wcielenie Słowa rozpoczyna swą kronikę, wierzy w Opatrzność Bożą, nie chce monarchy bez bojaźni Pańskiej i ostro karci nie grzechy polityczne książąt, ale grzechy ich religijne, objawiające się w niezachowaniu prawa Bożego. Jest biczem dla Lutra i luteranizmu, piętnuje kalwinizm, nazywając jego twórcę „popem z Flandryi, który wyzwolił się z pod posłuszeństwa papieża rzymskiego i stanął ponad powagą soborów, zatwierdzonych rozlicznemi cudami“.

Dzisiaj uśmiechają się w Rumunii na wzmiankę o tych poglądach Mirona; mówią, „że się pośliznął“, podobnie zresztą jak i pierwszy kronikarz Urekje [1], który boleje, że soborowi florenckiemu nie udało się połączyć kościoła zachodniego z wschodnim, i rzuca słowa potępienia na „zazdrość Greków“, przypisując im jedynie rozchwianie się wielkich usiłowań.

W zapatrywaniach politycznych jest Miron monarchistą. Był przekonanym, że wszelka władza na ziemi od Boga pochodzi, dlatego oburzał się na każdą zniewagę panującym wyrządzoną, a spiski i bunty nazywał lakonicznie ale dobitnie „paskudztwem“. Mimo to, broniąc gorąco książąt i królów, mówi im nieraz gorzką prawdę, i raz po raz zaznacza, że niema nic gorszego jak zbrodniczy władca i że nigdzie grzechy takiego wrażenia nie robią, jak popełniane na tronie. Stąd też wymaga, aby panującym dodawać do boku wiernych doradców, którzyby ich od złego strzegli i biczem byli mianowicie dla podchlebców i dworaków.

Już z tego możemy poznać, że Miron Costin nie był kronikarzem w ciasnem tego słowa znaczeniu. Jego określenie historyi: „ona nam rozjaśnia umysł, toruje drogę do Boga, przy-

[1] Dzisiejszy wydawca dzieł M. Costina pochodzi z tej samej familii.

bliża czasy przeszłe, a w chwilach minionych przyszłość nam objawia" — wskazuje, że miał on doskonalsze wyobrażenia o tej gałęzi wiedzy ludzkiej. Nie jest on też prostym tylko analistą, który sucho fakt po fakcie przedstawia, ale krytykiem; porównuje bowiem autorów, dzieła ich rozbiera i bada, nie przyjmuje ich twierdzeń na wiarę i bez zastrzeżeń, przytem opiera się na starych dokumentach, rozumie wartość źródeł pomocniczych, jak tradycyi, etnografii, numizmatyki; stąd stwarza dzieła wznoszące się pod niejednym względem nad swój czas.

Obok historyi zabawiał się Costin i poezyą. Sam opowiada jakie do tego skłaniały go pobudki. Chciał pokazać, że i rumuński język do wiersza się nadaje — racya, która już wielu poetów do pisania zachęciła. I rzeczywiście, wartość poezyi Mirona przedewszystkiem polega na tem, że był on pierwszym poetą rumuńskim, który swe wiersze drukował. Z drugiej strony spowodował on swem wystąpieniem pewien ruch literacki, który między innemi tem się objawił, że metropolita Dosofteiu, zachęcony jego przykładem, zaczął naśladować naszego Kochanowskiego i w szatę wiersza Pismo święte ubrał.

Drobne wiersze Mirona stały się w krótkim czasie tak popularne, że przeszły na własność narodu. Jedna z jego pieśni: „Życie świata", napisana pod wrażeniem walki pod Wiedniem i nieszczęść ojczyzny, była długi czas śpiewana przez t. zw. „płaczki" przy pogrzebach i uroczystościach żałobnych.

Dzisiaj w literaturze rumuńskiej różne o wierszach Mirona napotyka się sądy. Nie można tym wierszom zaprzeczyć dość pięknego języka i formy, jak na ten czas wyrobionej, mierzone wszakże miarą naszych czasów i wymagań, z pewnościąby do niej nie dorosły. Jeśli zaś jeden z najuczeńszych Rumunów, prof. Haszdeu, pisze, że współczesna poezya rumuńska, chociaż już dwieście lat upłynęło, niewiele się różni od wierszy Mirona, jest to zdanie literata-pesymisty, którego brać nie można na seryo.

Utworów wierszowych Mirona jest tylko kilka; największym z nich wspomniane już powyżej: „Życie świata", mające za motto słowa Pisma św.: „marność nad marnościami i wszystko marność".

W rzeczach bezpośrednio Polskę obchodzących pisał Miron po polsku i po rumuńsku.

Już w swej historyi Polską zajmować się musiał, przedstawiając stosunki, jakie ojczyznę jego łączyły z Polską. Nie tu miejsce rozbierać szczegółowo jego zapatrywania w tym względzie; wystarczy tylko wspomnieć, że patrzy się on na Polskę wogóle ze stanowiska przyjaznego i że pozostawił kilka ustępów, odnoszących się wyłącznie do historyi polskiej, jak np. opowiadanie o połączeniu Litwy z Polską, o Władysławie Warneńczyku i t. p. Przetłumaczył też na rumuński język ceremonie, zachowywane przy koronacyi królów polskich a podane przez Stryjkowskiego i Gwagnina, dodając, że uczynił to jedynie dlatego, ponieważ z powodu stosunków panujących między Polską a Mołdawią, opisanie tych uroczystości zainteresować może jego rodaków.

Po polsku pisał prozą i wierszem. Prozą pozostawił nam trzy krótkie przemówienia, zatytułowane: *In eum modum salutati sunt magnifici Kostini Illustrissimum Principem Moldaviae, Eidemque obtulerunt Labyrinthum in laudem nominis eius adscriptum. A. D. 1676* [1].

Drobne te przemowy zawierają życzenia, złożone w uroczystość Bożego Narodzenia hospodarowi Antoniemu Rusetowi i jego synowi. Uderza nas w tych mowach przedewszystkiem łatwość a zarazem i poprawność języka polskiego, prawdziwa serdeczność i głęboka religijność. Ażeby swe obowiązki względem księcia w świętym dniu Narodzenia Bożego dobitnie zaznaczyć, ucieka się do dość niezwykłych, lecz ujmujących i naiwnych form retorycznych.

„Jeżeliby się kto ludzkości od ludzi nie nauczył, jeżeliby jej z swojej wrodzonej natury nie nabył, jeżeliby i z cnoty ludzkości owej nie poznał, niechżeby się za to niemego słupa Memnonowego wstydał, niechżeby się i ludzkości od onego uczył, o którym to powiadają, iż jakoby on niegdy na przywitanie

[1] Rękopis zawierający w sobie te polskie przemówienia, znajduje się w bibliotece seminaryum schyzmatyckiego w Jassach pod nr. 36, cap. xx.

zarannego słońca, gdy go swemi złotowłosemi promieniami osypało, wdzięczne głosy wydał i właśnie jakby na jakimś instrumencie zabrzmiał. Taką ludzkość, taką wdzięczność, chociaż niemy słup pożądanemu od wszystkiego świata gościowi pokazał i wyświadczył. Zaiste i my dziś musielibyśmy się niepomału owego słupa wstydać, gdybyśmy"...

„Sprawił to niegdyś ów sławny i waleczny Jozue, hetman iż na jego zawołanie niebieskie słońce bieg swój zatrzymało i póty owemu świeciło, póki w swoich dzielnych sprawach końca i skutku szczęśliwego nie odniósł. Jaśnie Wielmożny, Miłościwy Hospodaru, Panie nasz wielce Miłościwy, jeżeliż to słońce materyalne, uczynione a nie wieczne, na zawołanie hetmana taki fawor, takie ministeryum wiecznej pamiątki godne sprawiło — owóż przedwieczne i wszechmocne słońce dziś na betleemskim horyzoncie zajaśniało... do tego my słońca betleemskiego nasze głowy podnosimy i nasze wota przed nim przekładamy, aby"... i t. d.

Wyrażając w innem przemówieniu radość, że na nowo księcia powitać może, tak się czuje tem uweselonym, że „zdaje się nam jakoby po rezolutnej, ciężkomroźnej zimie owe pierwoletne kwiateczki przed oczyma naszemi rozkwitały, zda się nam, iż jakoby wdzięczna harmonia niebieskich ptaszków wiosnę zaczynających już o uszy nasze się odbijała, nawet widzi się nam, iż jakoby i te nieme ściany jakąś wdzięczność po sobie pokazując, głosy z siebie wydawały i nam mowie dopomagały".

Ponieważ jednak, jak sam mówi, nie czasy od człowieka, ale człowiek od czasów zależy, nie potrafił się ustrzedz Miron i wad swojego wieku; dlatego tu i ówdzie przerywa (zresztą dość zręcznie) tok mowy łacińskiemi cytatami, a helikońskie muzy, które „pańskiemu imieniu... aplaudując, wieniec z kwiecia wesela i z ziela niewiędniejącej sławy... składają i uwijają", stale wprowadza pod koniec każdego przemówienia.

III.

O polskim poemacie lub raczej rymowanej po polsku kronice pisarza rumuńskiego, mało wogóle znajdujemy wzmianek

w naszej literaturze. O ile mi wiadomo, wspomina o tym utworze p. St. Krzyżanowski w swojej broszurze: „Początki Wołoszczyzny“, i Aleksander Jabłonowski w dziele: „Źródła dziejowe, t. X. Sprawy wołoskie za Jagiellonów“. Napisany on został w Polsce (w wiosce Daszawie *in domo venationis*) w lipcu 1684 r., a treścią jego opis ziemi mołdawskiej i multańskiej.

W bibliotece Czartoryskich pod nr. 1348 znajduje się rękopis tego poematu. Jest to dość mała broszurka, zawierająca kilkadziesiąt stron i pisana bardzo starannie. Na ostatniej stronie czytać można następujący napis: „*10 Septembris anno 1700* darowana mi Xiąszka w Jasiech podczas Legaciey Tureckiey dla Informacyey Kraiu Multanskiego od JPana Wargałowskiego Pisarza Hospodara Konstantyna Kantymira“. Wydawca pism Costina, profesor Urekje, który nie widział rękopisu krakowskiego i zna go tylko z drugiej ręki, na podstawie powyższej notatki mniema, że rękopis jest autografem Mirona, dlatego że został darowany jakiemuś posłowi polskiemu dziewięć lat po śmierci poety i to przez sekretarza księcia Kantemira, który z pewnością dzieła Mirona skonfiskował.

Porównywałem pismo rękopisu i różne *facsimilia* pisma Mirona Costina, które miałem pod ręką i zdaje mi się, że przypuszczenie p. Urekje nabiera wielkiego prawdopodobieństwa, ponieważ charakter pism wskazuje pewne pokrewieństwo. Ostatecznie sądu o tem dzisiaj jeszcze nie można wydać, chyba po bliższych badaniach uczonych rumuńskich, posiadających bogaty materyał porównawczy. Zresztą jest to dla nas kwestya podrzędna.

Pierwszy zapoznał Rumunię z manuskryptem prof. B. P. Haszdeu, tłumacząc go prozą w swojem *Archiwum historycznem Rumunii*, później znów podał go p. Urekje w tomie II. dzieł Mirona, załączając także tłumaczenie prof. Haszdeu.

Polski ten utwór rumuńskiego historyka posiada dla nas pewną wartość a zawdzięcza to z jednej strony okoliczności, że pisał go cudzoziemiec, syn kraju Polsce nieprzychylnego, a z drugiej, że autor poświęcił swą pracę królowi Sobieskiemu, nazywając Jana III. swoim dobrodziejem, a siebie wiernym poddanym i najniższym podnóżkiem.

Poemat składa się z przedmowy, trzech pieśni i dodatku.

W przedmowie mówi autor do Sobieskiego: „Jako Bóg na niebie, którego tu na ziemi królowie namiestnikami są, przyjmuje od wielkich i świętych ludzi piękne i obszerne oracye, tak, jako przyjmuje i od prostaczka jedno z szczerego serca pochodzące Kyrie elejson — tak i Wasza Królewska Mość, pan mój miłościwy, będąc namiestnikiem bożym, racz przyjąć miłościwie tę małą historyę, nie wybornemi słowy wyrażoną". Przystępując do pisania utworu tego „wstydam się, powiada, Muzy mojej sarmackiej, nie z tego, żeby ona nie miała zdołać największym materyom i najsubtelniejszym geniuszom, ale z mego w języku tym niedostatku". Następuje wielce ciekawy, a zarazem trochę naiwny ustęp o bogactwie języka naszego: „Bogatszy on jest aniżeli sławny łaciński język, który siła w sobie ma słów pożyczanych z greckiej mowy, jako się widzieć daje z tych słów: *philosophia* złożone *ex* φίλος *et* σοφία, *theologia ex* θεός *et* λόγος; te słowa po łacinie żadną miarą jednem słowem wymówić się nie mogą. A owi dawni Słowianie wszystkie te słowa swoim wyrazili językiem, nie pożyczając u dawnych Greków; bo *philosophia* ‚lubomudriem' nazwali, dostatecznie tedy *philosophia* polską mową może się mówić ‚lubomądrość'. Pięknie Słowianie *theologia* ‚bogosłowiem' nazwali; po polsku może się nazwać ‚bogosłowstwem', teolog wybornie ‚bogosłow' albo ‚bogosłowiec'. Tak astronom po polsku może się mówić ‚gwiazdomieniec', astrolog ‚gwiazdosław', geometryk jednem słowem polskiem ‚ziemiomierzec', — a po łacinie jednem wymówić się słowem nie może. Tak i geograf ‚ziemiopis' i inszych słów wiele u Słowian swoją mową, nie pożyczając od drugich języków, wyrażonych jest".

Zwyczajem epików rozpoczyna Miron pieśń pierwszą od naszkicowania treści i wezwania pomocy Muzy:

Ojczyznę opłakaną i biednych mieszkańców
Mołdawskiej ziemie powiem: ci niegdyś od szańców
Trajanowych osiedli Dacyje oboje,
Aż ich czas i długi wiek rozdzielił na troje...
Tak tamci, jako i ci Rumunami słyną,
Niech w tem żaden nie wątpi, że od Rzymu płyną!
Muzo przebacz sarmacka, że twym wychowanym

Pięknie synom nie zdołam...
Ale pozwól przynajmniej prostym głosem zjawić,
Skąd naród jest wołoski, światu to objawić
I pod srogiem tyraństwem jak długo są żywi;
Przy synach twych sierota niech się też pożywi.

Po tej inwokacyi opowiada poeta, jako niegdyś Dakowie palili i pustoszyli stare państwo rzymskie. Cesarz Trajan „zwiódłszy z gęstej Italii lud", wyruszył przeciwko nim do walki. Nie uląkł się Decebal, król Daków. Sprawiwszy swój jezdny naród

. . . dał srogą bitwę
Rzymianom — ale przegrał Marsową gonitwę.

Trajan, zwyciężywszy Decebala, zbudował most na Dunaju, lecz ostatecznie dopiero po śmierci króla Daków panowanie Rzymian ustaliło się w tych stronach. W Dacyi niższej osadził cesarz Rzymian, stawiając na ich czele *dominos*, w Dacyi wyższej czyli Siedmiogrodzie pozostawił tylko *praesidia* dla oporu i powstrzymania Daków. Ci ostatni, których granice leżały między górami illiryjskiemi, Polską, Dniestrem i Dunajem, przyszli z Tataryi; ich potomkami są Sasi, w Siedmiogrodzie mieszkający. Przebywali oni po wielkich miastach, jak w Białogrodzie, Chocimie, Suczawie. Początki tych miast są nam wprawdzie nieznane, ale wiemy jak bardzo były one w tych stronach potrzebne:

Ach, potrzebne na ten czas, gdy Tatarom wstręty
Odważne z nich rycerstwo dodawało wszędy;
Ach, potrzebne na teraz, gdy nasze zbawienie
Bóg zaczął twą prawicą, wielki królu Janie!
Teraz w ruinach stoją, żal wspomnieć, o Boże!
Bied naszych od poganów kto wymówić może?

Wylicza poeta dalej różne miasta, wspominając o ich założycielach i przechodzi znowu do Trajana. Monarcha ten przeszedł Seret i Prut, upokorzył Dniestr, pozostawił za sobą Dniepr i Don, budując aż do tej ostatniej rzeki „swój wieczny szaniec", pobił Tatarów, odnowił z nimi pakta Pompejuszowskie, poszedł do Baktriany, stamtąd do Persyi i Egiptu, aż wreszcie umarł w Kairze.

I tu niech się przypatrzy potencyi takiej
Każdy, w teraźniejszych świat wiekach niema jakiej,
I monarchy takiego, by jednym zachodem

Świat okrążył za jednym kilku lat zawodem
Z pól nie schodząc. — I czemu tureckim dziwuje
Się kto wojnom?...
Rzym jednak nieśmiertelnym Trajana pokazał,
Wieczną jego kolumną światu to okazał,
Że wieczna sława wasza, sławni monarchowie.
Czemu tacy na wieki nie żyją panowie?

Pieśń druga przedstawia nam osady Trajana rozpraszające się pod naciskiem Tatarów. Co Trajan zbudował, zepsuł był Hadryan, który zburzył most na Dunaju, pozostawił kolonistów na łasce Tatarów, a dla dogodzenia fantazyi wybudował w Tracyi Adryanopol, które to miasto zostało później pierwszą stolicą Turków w Europie. Gdy już koloniści napadów tatarskich odeprzeć nie zdołali, cofnęli się do miejsc górzystych.

Już wytrzymać nie mogąc mnóstwa szalonemu,
Niezmiernie codzień w liczbie przybywającemu,
Ledwie obronną ręką w góry ustąpili,
Pustynią swe rozkoszne miejsca zostawili.

Część Rzymian osiedliła się w Hercegu i Fegeraszu nad Oltem i wybudowała obronne klasztory, do których w późniejszych czasach w razie wojny ludność się chroniła.

. . . Tak biedni Rzymianie
Z włoskich delicyj swoich w ciasnościach mieszkanie
Swoje odtąd miewali. Nie przez krótkie wieki,
Lecz kilkaset lat trwały tamte ich zasieki.

W dzisiejszej Mołdawii długo walczyli koloniści z wrogami, ale i oni w końcu ustąpić musieli; uszli więc w góry do Maramureszu nad rzekę Cisę. W tym też czasie zaczął się psuć język łaciński; przyjął on wiele elementów serbskich, slawońskich i t. d. Stosunki zupełnie się zmieniły.

. . . A w tych wiekach może
Każdy tego doczytać: świat odmienny — stąd, że
Państwo rzymskie z sił swoich z boskiego wyroku
Odpadło. — I kto może najmniejszego kroku
Ubliżyć albo ruszyć, kiedy Bóg zakłada
Pewny kres monarchijom i odmianą włada
W świecie? Drugi wstępuje po pierwszego zejściu;
Bóg zakazał fortunie stać na jednem miejscu.

Stolicę cesarstwa przeniesiono do Bizancyum, a walki, zagmatwania i obojętność sprawiły, że świat zupełnie o prowin-

cyach naddunajskich zapomniał. Tym sposobem zdziczeli dawni Rzymianie, ale zawsze ślady minionej wielkości w nich pozostały. Powoli uformowały się i Węgry, zostały wyniesione do godności królestwa, a król Władysław, chcąc raz śmiałości i zapędom tatarskim koniec położyć, powołał Rzymian z gór z nad Oltu i Maramureszu do walki.

Szli weseli Rumuni z Rzymian przemienieni
I w imieniu tem wielkiem już nadwerężeni,
Pamiętając rozkoszne swe miejsce nadane
Przez Trajana i cnoty wojenne ich dawne.
Najpierwej z gór Tatarów ruszyli potężnie
I w polu dalej trupem bijąc onych mężnie,
Stanęli u Syretu Tatarowie w sprawie —
Teraz Roman tam miasto leży — lecz rozprawie
Marsowej niestrzymawszy w rzekę apelują
Blizko siebie Seretską, a tu persekwują
Z tyłu mocno zwycięscy: aż trupem tamują
Rzekę całą. Rumuni już po nich harcują,
Trupem wszędzie zasłanym — a król sam smakuje
Taką łaźnią tatarską. Wesół wykrzykuje:
„Seretem ją seretem“ — językiem węgierskim;
„Tak. tak mi się podoba!“ — tym słowem królewskim
Syret rzeka na wieki w tem imieniu płynie,
I sława tej wiktoryi na wieki nie zginie.

Ta walka umożliwiła rozbitym i po górach kryjącym się kolonistom powrót do dawnych osad i ona się stała początkiem szczęścia i wielkości ojczyzny poety, więc też z piersi jego gorącem uczuciem przejętej wyrywa się piękna apostrofa:

O trzy i cztery razy szczęśliwsi wnukowie
Niż ci, którzy przegrali wasi pradziadowie
Ojczyznę im nadaną. I ta walka złota
W powtórną wam osadę otworzyła wrota.

Pieśń trzecia przedstawia ową powtórną osadę Mołdawii i Multan i pierwsze zawiązki nowego państwa. Po pogromie Tatarów nastąpiły chwile spokojne i sprzyjające wewnętrznemu rozwojowi, to też wkrótce zajaśniała gwiazda szczęścia dla prześladowanego dotąd narodu.

W Maramureszu znajdowała się wieś Kucha; w niej mieszkał Dragosz, syn Bogdana, jednego z pierwszych książąt. Młodzieniec ten czuł w sobie siłę i pociąg do wielkich czynów —

czekał tylko okazyi; ta wkrótce się nadarzyła. Do wsi zabłądził przypadkowo stary żubr. Dragosz zabrał z sobą 300 zbrojnych towarzyszy i puścił się w ślad za zwierzem. Ścigali go daleko; nim się spostrzegli, dobiegli do końca Karpat i ujrzeli nagle przed sobą cudną ziemię: szerokie pola nad Dniestrem rozłożone, łąki nadprutowe i ten modry Dunaj, który

. . . Ciasne ściany aż nurtami moczy
I o promienie wojnę z samym Febem toczy,
Skałami zwiesistemi przed niebem się kryje...
Dalej widzą i lasy stąd, skąd rzeki płyną,
Doliny rozciągnione — i gdzie okiem skiną
Widzą ziemie podobne bujnemu sadowi...
. . . . . oczy ku wschodowi
Zapatrzywszy dziwią się takiemu krajowi
I kwiatorodnym polom podobnym rajowi.

Uniesieni tym widokiem wojownicy zapomnieli o żubrze i z pewnem niedowierzaniem posuwali się naprzód, gdy nagle pies Molda zaszczekał; w poblizkim lesie spostrzegli żubra, rzucili się nań i zwierz padł pod ich razami. Dragosz biorąc to za dobry znak, postanowił tu osiąść na stałe; przyłączyli się do niego towarzysze łowów i od tego czasu Mołdawia ma w swoim herbie głowę żubra. Tymczasem zraniony pies Dragosza rzucił się w rzekę, aby ugasić pragnienie i zginął w jej nurtach; od niego rzeka otrzymała nazwę Mołdawy, a od rzeki kraj cały Mołdawią nazwano. Tak więc Dragosz pierwszym został Mołdawianinem i wybudował najstarszą wioskę, którą na pamiątkę tego zdarzenia „Boureni“ nazwano[1]. Z niemałym poetycznym wdziękiem opisuje Costin założenie drugiej wsi Mołdawskiej, zwanej „Jackani“:

. . . Dragosz upatruje
Dalej miejsca każdego i wszędzie lustruje
Położenia, — aż widzą dym siwy do góry
Z rana przy cichej zorzy słupem prosto w chmury
Pnie się: stali zdumieni, na takich pustyniach
Ktoby mieszkał? Bez ognia dym w samych jaskiniach
Nie bywa. Na dym prosto idą niezmrużeni;
Spadają na powtórną rzeczkę, nawróceni

[1] Żubr nazywa się po rumuńsku *bour*.

Dymem, a nad nią widzą przelaski okrągłe
I wesołe; zarazem gdzie te dymią węgle
Obiegają ten gaik, a drudzy dochodzą,
Staruszka zgrzybiałego w pasiece nachodzą.
A on ule nakrywa, i koło nich chodzi,
Czegoby tam poprawić, czy sporo wywodzi
Która matka swe pszczółki, lub prątków poprawia,
Lub im ambrowy woszczek zdziera a ich wznawia
Do pilniejszej roboty.

Łatwo zrozumieć przestrach starca, który od dawna sam tu mieszkał i nikogo z ludzi nie widział. Po długich trudach dowiedzieli się od niego, że jest on Rusinem i że nazywa się Jackiem z Śniatyna.

Od kilka lit zajszowszy tut pasiczku maju,
A nikoho oprocz was teper ne wydaju.

Dragosz opisał mu obecne położenie a Jacek, zachęcony jego obietnicami, wrócił się do Śniatyna, przywiódł z sobą swych krewnych i założył wieś Jackani, drugą najstarszą wieś w Mołdawii. Wioska ta zamieniła się z czasem na miasto Suczawę, tak nazwane od kuśnierzy węgierskich (*szöcs* = kuśnierz). Powoli więc zaludnił się cały kraj. Dragosz zamieszkał między dwoma rzekami, Repedea i Limpedea; Mołdawia, jak uczy tradycya, rozsiadła się między Dniestrem, Morzem Czarnem i Dunajem, Rumuni zajęli płaszczyzny, a Rusini miejsca więcej górzyste około Czerniowiec, Chocimia i t. d.

Żadnego państwa nie masz, żeby wraz tak nagle
Osiadło w swych granicach, i jak prędko żagle
Sprawny okręt podnosi, lub powódź przypada
Na potokach podgórnych, wnet prędko i spada:
Podobnym i te ziemie sposobem osiadły...

Tymczasem uformowało się i drugie państwo między Dunajem, Seretem i górami, tj. Multany. Zawiązek tej części państwa rumuńskiego był następujący. Ksiażę Multan, mieszkając jeszcze w Fegeraszu, dał swej oblubienicy pierścień, prosząc, aby w razie potrzeby z swem dziecięciem i sygnetem do niego się udała. Oblubienica zabrała po pewnym czasie swe dziecię, Negruła i wraz z bratem poszła do księcia. Zmęczeni zasnęli wędrowcy w drodze, a mały chłopczyna bawił się pierścieniem,

gdy nagle z pobliskiego drzewa kruk zleciał, pierścień porwał, połknął i na nowo na drzewie siadł. Zapłakało przestraszone dziecię, matka się zbudziła i z rozpaczą spostrzegła, że zginął pierścień, jedyny znak, po którym mogła być poznaną. Brat, widząc niebezpieczeństwo, napiął łuk, zabił kruka, a namacawszy pierścień w szyi ptaka, zabrał go z sobą i już weseli podążyli razem do księcia. Książę przyjął żonę z radością, synowi dał tytuł „wajda“ i zrobił go później księciem Fegeraszu. Od tego czasu herbem Multan jest kruk. Podobnie jak Dragosz, zaludnił Negruł w krótkim stosunkowo czasie ziemię naddunajską.

Spokojnie, ale stale rozwijała się Mołdawia, wielu książąt zasiadało na jej tronie, aż kolej wreszcie przyszła na Aleksandra Dobrego. Monarcha ten podniósł kraj wysoko, a chcąc zorganizować kler, postanowił nawiązać stosunki z Konstantynopolem. Projekt się nie udał, gdyż cesarz znajdował się podówczas wraz z patryarchą na soborze w Florencyi. Aleksander, poradziwszy się stanów, wysłał kandydatów do kapłaństwa do Serbii, gdzie w Ohrydzie ich wyświęcono. Wraz z święceniami przynieśli oni i język serbski, który odtąd w kościele i aktach oficyalnych prawo obywatelstwa pozyskał.

Odtąd cię już bezpiecznie odsyłam do twego
Czytelniku łaskawy, Kromera, Bielskiego,
Stryjkowskiego Litwina, świeżo Piaseckiego.
Którym skryptorom siła winni Mołdawowie...
Ze mnie dosyć i tego na moje kłopoty,
Bo wierszom zmysł wesoły dodaje ochoty.
Ja zniszczony tyrańskwy, aż i z mej ojczyzny
Ustąpić z żalem muszę bez słusznej przyczyny.

Słowami: *Ad M. D. G.*, będącemi może reminiscencyą, wyniesioną ze szkół jezuickich, kończy się poemat.

Historyk miałby tej poetycznej kronice Costina nie jedno do zarzucenia. W kwestyi założenia i powstania obydwóch krajów dochodzi on wprawdzie do tych samych mniej więcej wniosków, do których dzisiaj historya się skłania; mianowicie początek Multan odnosi do r. 1284, a Mołdawii do r. 1304.

Blizko czterechset lat swych od Negruła liczą,
Mołdawie nad trzysta lat ośmdziesiąt dochodzą.

Trudniej jednak przyjąć jako fakta historyczne całą np, opowieść o Dragoszu i Negrule, równie jak i inne podobne szczegóły poematu, które Miron w dobrej wierze jako rzeczy pewne podaje.

Nie chodzi nam tu jednak o wierność historyczną; opowieści te są pięknemi legendami i dobrze się stało, że Miron je spożytkował; ostatecznie te naiwne legendy ratują sławę jego poetycką. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że większa część poematu Costina jest sobie po prostu rymowaną kroniką. Nuży w niej jednostajność i suche wyliczenie zdarzeń, nudna, bez żadnego polotu proza i w treści i w wyrażeniach. Samo już drobiazgowe dowodzenie umiłowanej tezy, że Rumunowie „od Rzymu płyną", które jest właściwie celem całego poematu, nie bardzo się nadaje do poetycznego obrobienia. Pełno przytem w kronice innych także szczegółów, które nic wspólnego nie mają z poezyą. Poucza nas poeta o rozpraszaniu się i łączeniu swego narodu, o czasie, w którym książęta otrzymali tytuły wojewodów i hospodarów, wywodzi, skąd pochodzą te nazwy i co oznaczają, rozpisuje się nawet nad tem szczegółowo, jak i kiedy język łaciński zaczął się psuć, a rumuński wytwarzać, przyczem nie brak ciekawych może dla dzisiejszego czytelnika, ale wcale nie poetycznych refleksyj z zakresu filologii.

. . . Ten wiek korumpuje
Język czysty łaciński. Czego nie popsuje
Czas za długiemi wieki! Już gdzie trzeba *deus*
To *zeŭ*, albo *dumnezeŭ*, *al meŭ* zamiast *meus*.
Taki mowy uszczerbek: gdzie *caelum* to *cerul*
Homo — omul, frons - frunte, angelus — ângerul.
Żadnych jednak słów niemasz, żeby lubo przodkiem
Lub ostatkiem nie wspomniał, albo samym środkiem
Swojej najpierwszej mowy. Stoją jedne w cale:
Barba — barbă, tak *luna* — drugie bardzo w male
Różnią się . . .

Przytem napotyka się w poemacie Mirona rzeczy niesmaczne i trywialne, jak np. opis choroby, która była przyczyną śmierci Trajana (dyzenterya), albo unoszenie się nad ową szczęśliwą epoką złotego wieku:

Kiedy świat jeszcze nowy, wolny od humorów
I swądów zaraźliwych i rozgniłych zborów
Chorób żadnych nie czynił w śmiertelnych naturach
Ani febr w ciałach ludzkich, ni wrzodów na skórach.

Jeszcze więcej możnaby wynaleść tego rodzaju ustępów, które nie dodają kronice ani siły, ani wdzięku.

Są też w poemacie liczne błędy i braki jużto pod względem formy poetyckiej, jużto pod względem samej poprawności języka.

Rumuński wydawca dzieł M. Costina, p. Urekje, zacytowawszy jeden z lepszych ustępów kroniki, taką czyni uwagę: „Z tego wzoru każdy może się przekonać, że z współczesnych Mironowi polskich poetów, jakimi byli Zimorowicz, Gawiński, Opaliński, Twardowski i t. d. nikt nie przewyższył go czystością, elegancyą i śmiałością".

Chętnie przychylilibyśmy się do tego zdania, gdyby cały poemat był napisany tym samym językiem i odznaczał się tą samą siłą, jaka cechuje przytoczony ustęp. Lecz niestety tak nie jest. Rym i rytm są często tak nieodpowiednie, język tak nieraz zawiły i ciemny, że tylko z kontekstu domyśleć się można, co właściwie chciał Costin powiedzieć, i nie wstydzę się przyznać, że czasami chcąc treść zrozumieć, musiałem się uciec do rumuńskiego tłumaczenia p. Haszdeu. A i on, choć znakomity znawca języków słowiańskich, przyznaje, że nieraz mógł się sensu tylko domyśleć.

Bądźmy jednak wyrozumiali. Te rzeczy pisał przecież Rumun, i to w tym wieku, kiedy poetycki język polski nawet u krajowych naszych poetów nie osiągnął jeszcze szczytu wydoskonalenia. Kto wie zresztą czy te błędy i braki językowe, które wytknęliśmy, znajdowały się w oryginale. Przepełnione jest wprawdzie niemi bukaresztеńskie wydanie dzieł Mirona, zarówno jak i krakowski rękopis. Ale ostatecznie nie jest dostatecznie stwierdzonem, czy krakowski rękopis jest w rzeczy samej autografem Mirona. W każdym razie uderza nas szczegół, że w mowach polskich Costina, a także w prozaicznym

wstępie i dodatku do kroniki język polski o wiele jest czystszym i poprawniejszym.

Bądź co bądź, biorąc poemat nawet w tej szacie, w jakiej go dziś posiadamy, obok wytkniętych już braków, przyznać mu musimy niejednę piękność. Jak miłe np. na czytelniku robią wrażenie owe zestawiania minionej świetnej przeszłości ze smutną teraźniejszością, które raz po raz napotykamy w kronice, a z których kilka już poznaliśmy. Kiedy wspomina o owych potężnych zamkach i grodach, dodaje:

Teraz w ruinach stoją, żal wspomnieć o Boże!
Bied naszych od poganów kto wymówić może?

i niżej:

Boże mój niedościgły, czy jest jeszcze jaka
Nadzieja w tem, czy zginiem już i do ostatka?

Barwnemi epizodami (jak np. o powstaniu nazwy Seretu) a nieraz całym szeregiem bardzo udatnych porównań umie on przerywać i urozmaicać bieg nużący i jednostajny opowiadania. Przytaczam tu dla przykładu wstęp do drugiej części:

Jak wspaniałe struktury na swych fundamentach
Są mocne, tak i trwają w swych apartamentach
Labirynty; tak kwitną, jak mają dozory
Owocorodne sady; tak role komory
Napełniają obficie, jak pracowitego
Miewają gospodarza, dozorcę sprawnego;
Jak okręt morski płynie, kiedy ma dobrego
Nauklera, stado wcale zaś nieospałego
Pasterza: tak i państwa w osobie jednego
Króla stoją w całości, za rządem którego
Rosną w siły królestwa, szerzą swe granice...

Samo rozdzielenie przedmiotu na trzy części: przygotowanie, walka, zwycięstwo jest bardzo logicznem a zyskuje na wartości przez to, że każdy ustęp kończy się jakiemś silniejszem zdaniem, głębszą jakąś myślą. Część trzecia zaś, jak to z treści poznać można, przedewszystkiem pięknością się oznacza. Legendy owe o Dragoszu lub Negrule tworzą prawdziwie skromną a jednak wdzięczną idylę, pełną prostoty i wdzięku. Wreszcie przebija w całym poemacie głęboki duch religijny i wiara w Opatrzność Bożą, która państwami rządzi i od której królowie zależą.

Zostaje jeszcze do omówienia dołączony do poematu dodatek, napisany przez Costina również po polsku. Opisuje w nim poeta wewnętrzne urządzenia Mołdawii i Multan jako to: hierarchię duchowną, senat, urzędy dworskie i ziemskie, wreszcie powiaty kraju.

Wiele ciekawych szczegółów przynosi ten dodatek; niektóre z nich opisuje nawet bardzo żywo i plastycznie. Między innymi pisze Costin, że Mołdawia za jego czasów oprócz czterech biskupów schyzmatyckich, miała jeszcze biskupa katolickiego z rezydencyą w Bakowie; jurysdykcya tego prałata rozciągała się aż na Budziak a „za dawnych a podobno roztropnych hospodarów", miał on pod sobą trzech władyków i zasiadał w senacie obok metropolity.

Niemniej ciekawym jest rozdział, w którym nas zapoznaje z senatem świeckim. Mówi tam o wielkim logofecie czyli kanclerzu, który nosi w czasie swego urzędowania laskę zieloną w złocisto-żółte kostki; o hetmanie wielkim, posługującym się w senacie laską czerwoną, złotem przeplataną, w obozie zaś buzdyganem; o marszałku z laską srebrną, okowaną — jego rumuńskie imię *postelnic* wyprowadza od polskiego p o ś c i e l, ponieważ „jemu wnijść wolno, choćby hospodar jeszcze nie był ubrany, i wolno mu wnijść, choćby nie był wokowany"—; o mieczniku czyli spatarze wielkim, przywdziewającym złotogłową suknię; o podczaszym, który „*in festivitatibus* u stołu hospodarskiego w kaftanie złotogłowym, kitajką czerwoną przepasanym *assistit* i u stołu pierwszy kieliszek nalewa, bo potem kupar *alias* cześnik *hoc officium exercet.* Do jego urzędu kotnarskie starostwo należy. *Conveniunt rebus nomina saepe suis*, bo tamże i wino najlepsze się rodzi"; o podskarbim czyli wisterniku, którego urząd bardzo trafnie charakteryzuje „ustawicznie *curae illius sollicitant animum*" i t. d.

Z pomiędzy urzędników, którzy tylko w bardzo ważnych wypadkach w radzie zasiadali, interesuje najwięcej armasz wielki, do którego „należą tuie albo buńczuki tureckie i ziemskie, które za hospodarem noszą. Turmy i więźniowie przez całe państwo od jego dyspozycyi *dependent.* Nie żart do kogo hospodar go

pośle; on z dekretów i śmierć egzekwuje, dlatego słusznie może się nazywać po polsku instigator".

Opisaniem urzędów ziemskich i powiatów, czy to do kraju należących, czy też przez Turków zabranych, kończy się polski utwór Mirona [1].

Pobieżny nasz szkic dobiega do końca. Pozwolimy sobie tylko na parę jeszcze słów.

Bywa to nieraz losem poetów i pisarzy a jeszcze częściej ludzi odgrywających wybitne role w życiu publicznem, że współcześni nie oceniają należycie ich zasług a czasem nawet obrzucą ich pamięć krzywdzącemi zarzutami. Ten sam los spotkał i Mirona Costina. Z jego imieniem złączono miano zdrajcy, i nieraz złorzeczono jego pamięci; pisma jego znał chyba historyk a i on z niedowierzaniem do nich zaglądał. Naszym dopiero czasom danem było oczyścić pamięć Mirona i przedstawić go w właściwem świetle. Dzisiaj poezya rumuńska opiewa tego, „którego ręce kajdanami skute, pisały o cnocie i bohaterskich czynach przodków", a w tragicznem jego życiu i śmierci znajduje przedmiot do rzewnych balad i romansów i z boleścią się pyta:

Zawszeż Mołdawio, ojczyzno droga,
Bezwinnie ginąć mają twe syny?
Zawszeż zwyciężać będzie złość wroga,
Niezasłużone zbierać wawrzyny? [2]

Historya bada jego życie i pamięć przekleństwem obciążoną z oszczerstw oczyszcza; archeolog poszukiwał niedawno grobu i prochów poety a kiedy je znalazł, cieszyło się niemi społeczeństwo jak narodową relikwią.

Ośm już lat minęło od chwili, kiedy ulicami Jass uroczysty przeciągał orszak. Szumiały chorągwie, lśniły się barwne mundury wojska i narodowe stroje bojarów. Wśród ulic i domów przybranych w kobierce i zieleń i gęsto obsadzonych pu-

[1] Tłumaczył dodatek na rumuńskie p. Koźlinski, pułkownik i inżynier, słabo i błędnie; język ojczysty ulatuje widocznie powoli z pamięci i serca tłumacza.

[2] Esecutarea fratilor Costinesti. Din Almanah pentru Romani pe 1857, Jasi. Tipografia Buciumului Român.

blicznością, ciągnął ten pochód na dzisiejszy plac teatralny, na którym kosztem publicznym wzniesiono bronzowy posąg pierwszego historyka i najlepszego syna ojczyzny. Wysoki postument mieści po bokach sceny ważniejsze z życia Mirona, wśród których jedna przedstawia poetę odczytującego polski swój utwór przed królem Sobieskim i jego dworem. Wśród licznych wieńców złożonych u stóp posągu widziano też wieniec Polaków rumuńskich, jako wyraz wdzięczności należnej temu, który w otoczeniu Polsce niechętnem a nieraz wrogiem, miał odwagę sympatye swoje dla Polski głośno wyznawać i uwiecznić je nawet polskim poetycznym utworem [1].

Wiktor Wiecki.

---

[1] Dwa polskie listy Mirona, i jeden syna jego Mikołaja, odpisane dokładnie z oryginałów, znajdujących się w Archiwum Szczuki, otrzymałem w ostatniej chwili od pana Fr. Kluczyckiego, któremu za tę niezwykłą uprzejmość składam na tem miejscu serdeczne podziękowanie. Szczegóły w listach tych zawarte nie zmieniają w niczem poglądów, wyrażonych w mej pracy; są tylko nowem ich poparciem i dopełnieniem. Listy Mirona, pisane były do Ant. Stan. Szczuki, sekretarza króla Jana III. i regenta jego kancelaryi: pierwszy (Archiw. Szczuki, vol. 10, list 145) nie ma daty, ale zdaje się pochodzić z r. 1684, drugi (Arch. Szczuki, vol. 15, list 240) nosi datę 6 8-bris 1685 r. Obydwa dowodzą, że Miron Costin pozostawał ze Szczuką w blizkich stosunkach: nadto z drugiego dowiadujemy się, jak życzliwie donosił on dworowi polskiemu o ruchach wojsk tureckich i tatarskich, i że w jesieni 1685 r. przebywał jeszcze w wiosce Daszawie (koło Stryja?), gdzie go „Pańska *clementia* J. Kr. Mści Pana Mscwego z dziatkami... przytuliła". List Mikołaja Costina, pisany z Jass do Marcina Kątskiego, przebywającego wówczas w Kamieńcu, nosi datę 29 O-bris (prawdopodobnie st. stylu) 1705 r. (Arch. Szczuki, vol. 5, list 32). Mikołaj poczuwa się do obowiązku złożyć Kontskiemu „powinną weneracyę", bo żyje mu jeszcze w pamięci „*propensissima voluntas* WMWM. Pana przeciwko ś. p. nieboszczykowi rodzicowi mojemu, Imci Panu Mironowi Kostynowi, Logofetowi wielkiemu tutecznej ziemi, którą jako zawsze *dulci memoria recolo,* tak się do podobnej ku sobie uniżenie wpraszam".

SĄDOWNICTWO NA ŻMUDZI.

I.

Dzień 25 czerwca (6 lipca) 1840 r. był ostatnim dniem Statutu Litewskiego i starej organizacyi sądownictwa cywilnego; tego dnia przestały istnieć sądy główne, grodzkie i podkomorskie, tegoż dnia zniesiono urzędy podkomorzych, komorników, woźnych, chorążych i t. d.[1]. Opowiadano mi, że w Poniewieżu ostatni podkomorzy, złożywszy swój urząd, zemdlał. Wogóle zniesienie dawnego sądownictwa i zamiana Statutu Litewskiego zbiorem praw rosyjskich odbyła się wśród powszechnego żalu i głośnych skarg. Szlachta polska nie zdobyła się na żaden krok stanowczy, tylko przez usta Rzewuskiego złożyła Mikołajowi I. w imieniu stanów portugalskich podziękowanie uroczyste za nadanie nowych praw, ale szlachta małoruska zaniosła podanie do tronu, prosząc o zachowanie Statutu. Miłościwie pozostawiono jej prawo familijne statutowe, tak, że w chwili obecnej szlachtę gubernij czernichowskiej i połtawskiej nie obowiązuje prawo familijne ogólne. Rzeczywiście żal ów był słuszny; bo zamiast sądownictwa swojskiego, acz już bardzo wadliwego, otrzymaliśmy obce, stokroć gorsze, potajemne, inkwizycyjne, zupełnie zależne od administracyi, a w dodatku odbywające się w języku obcym.

---

[1] „Pełne zebranie praw", nr. 13591, tom XXV.

W chwili utworzenia gubernii kowieńskiej zorganizowano izbę kryminalną w Kownie, którą składali prezes, wice-prezes i dwóch asesorów, wybieranych przez szlachtę z pośród grona osób, posiadających *census* majątkowy oraz rangę (o wykształceniu prawniczem nie było nawet mowy). Oprócz tego istniała kancelarya, złożona z sekretarza, protokolisty, registratora, archiwisty i innych urzędników sądowych. Był to sąd drugiej instancyi, któremu podlegały wszystkie sądy powiatowe, magistrat miejski w Kownie, t. zw. ratusze w miastach powiatowych oraz sądy sumienia w Kownie *(sowiestnyj sud)*, słowne i sierockie w miastach powiatowych. Sądy powiatowe składały się z sędziego, trzech asesorów, sekretarza i kancelistów; sędziego i dwóch asesorów wybierała na sejmikach szlachta. Przy sądach powiatowych istniały t. zw. opieki szlacheckie, składające się z marszałka szlachty, sędziego powiatowego i dwóch asesorów szlacheckich; miały one własną kancelaryę. Magistrat miejski w Kownie oraz ratusze w miastach powiatowych składały się z burmistrza i czterech ratmanów, miały swoje kancelarye, złożone z sekretarza i kancelistów. Przy nich też istniały sądy słowne i sierockie. Sąd sumienia w Kownie składał się z jednego sędziego, obieranego przez szlachtę, oraz 6 asesorów, po dwóch od szlachty, kupiectwa i chłopów. Oprócz tego istniała jeszcze w Kownie izba sądowa cywilna, która składała się z prezesa, wice-prezesa, asesora od korony i dwóch od szlachty; miała ona nader liczną kancelaryę, ale rozstrzygała tylko sprawy cywilne.

Kompetencya tych licznych sądów nigdy nie była ściśle określona, tak, że bardzo często powstawały z tego powodu spory nieskończone, trwające lata całe; oprócz tego niektóre stany, np. miejskie, miały swoje sądy własne, niektóre też sprawy rozstrzygano w sądach wyłącznych; tak np. w Rosieniach i w Telszach przy miejscowych sądach powiatowych istniały osobne wydziały dla spraw przemytniczych. Kompetencyi sądów powiatowych podlegały wszystkie sprawy karne i cywilne wszystkich stanów oprócz kupców i mieszczan, oblatowanie aktów prawnych, intromisye, sądownictwo ochronne, rozstrzyganie sporów handlowych, niektóre czynności ściśle policyjne lub obra-

chunkowe, np. rewizya kas rządowych i t. d. Wogóle można powiedzieć, że nikt nigdy nie wiedział, jaką jest kompetencya sądów powiatowych. Opieki szlacheckie, przy nich istniejące, zajmowały się sierotami szlacheckiemi i ich mieniem. Magistrat miejski i ratusze rozstrzygały wszystkie sprawy cywilne i kryminalne kupców i mieszczan; sądy słowne rozstrzygały ustnie wszelkie spory i zatargi pomiędzy kupcami i rzemieślnikami, sierockie zaś opiekowały się mieniem i osobami sierot, należących do stanu miejskiego. Do izby sądowej kryminalnej w Kownie należała rewizya spraw kryminalnych, rozstrzygniętych w sądach pierwszej instancyi, skargi incydentalne, dochodzenie w sprawach o przestępstwa służbowe oraz wszelkie inne sprawy kryminalne bez wyjątków żadnych; do niej też należały sprawy o bezprawnych sprzedażach włościan poddanych, tudzież samowolnym podziale rodzin włościańskich. Wyroki tego sądu nie były ostateczne, niektóre ulegały rewizyi senatu rządzącego, niektóre zaś zatwierdzeniu p. gubernatora, na inne natomiast można było zanosić skargi apelacyjne. Sądowi sumienia podlegały wszystkie sprawy o przestępstwa, spełnione przez waryatów, głuchoniemych i t. d. oraz sprawy o czary, „ponieważ zawierają one głupotę, oszustwo i ciemnotę“ *(pojeliku onyja zakluczajut u siebie głupost', obmuni i nieuieżestwo)*, o zniewagę rodziców i t. d.; sprawy majątkowe pomiędzy rodzicami a dziećmi też podlegały jego kompetencyi.

Władza administracyjna posiadała wpływ przeważny: do gubernatora należał nadzór nad sądownictwem całem, nawet z prawem rewizyi instytucyj sądowych; zatwierdzał on bardzo dużo wyroków sądów kryminalnych, posiadał nawet prawo łagodzić w niektórych okolicznościach kary, wyznaczone przez sądy; od niego bezwarunkowo zależały też sprawy cywilne, w których uczestniczył skarb państwa. Dochodzenie sądowe należało do policyi, zupełnie zależnej od gubernatora, przeto miał on prawo naznaczać dochodzenia dodatkowe, nawet umarzać nietylko śledztwa, ale i sprawy wszczęte, słowem, o niezależności sądownictwa nie mogło być ani mowy nawet, tem bardziej, że

wszyscy urzędnicy sądowi, nie wyłączając nawet obieralnych, mogli być w każdej chwili usunięci przez gubernatora.

Oprócz tego dla nadzoru ogólnego nad urzędami administracyjnemi i sądami istniał prokurator gubernialny, a przy nim dwóch „strapczych", jeden dla spraw skarbowych, drugi dla kryminalnych; w każdym powiecie też był strapczy powiatowy. Do strapczych należał też dozór nad więźniami.

W tej całej organizacyi sądowej widzimy niesłychaną pstrociznę i brak jedności: jednocześnie z sądami normalnemi działały sądy nadzwyczajne, wyznaczone dla spraw, miejsc i osób określonych, co już samo przez się gmatwało kwestyę kompetencyi, która zresztą nigdy nie została ściśle określoną dla sądów poszczególnych. Zależność sądownictwa od administracyi pozbawiała je wszelkiej samodzielności i stanowczości, zmuszając stosować się do poglądów gubernatorskich. Brak samodzielności stworzył oryginalną formę „wyczekiwania ukazu na ukaz", oraz niesłychaną przewlekłość, drobiazgowość i formalistykę. Czasem sprawy wlokły się przez lata całe, często zaś nawet nie mogły dobiedz do końca właściwego. Skład osobisty sądowników był opłakany i nader nieliczny; *census* umysłowy nie istniał, przeto o wykształceniu szerszem, a tembardziej prawniczem, nie było mowy. Tu też dodać należy niesłychane łapownictwo, o którem dotąd krążą całe legendy; i rzeczywiście, wszystko można było zrobić. Jeśli sędziowie obieralni nie brali łapówek, to jednak zawsze kierowali się pobudkami, które nie miały nic wspólnego ze sprawiedliwością; bez szerszego wykształcenia umysłowego, bez znajomości prawa, nawet bardzo często i języka urzędowego, pełni uprzedzeń ziemiańsko-szlacheckich, z konieczności rzeczy musieli zależeć od sekretarza sądu, który posiadał zwykle rutynę urzędniczą i niejaką znajomość prawa; bez sekretarza sąd nie mógł ani poruszyć się. Sekretarz faktycznie nawet dyktował sędziom wyroki, ci zaś podpisywali. Rozumie się, sprzedajność panowała niepodzielnie. Warto też zauważyć, że wynagrodzenie urzędników sądowych było śmiesznie małem, np. sekretarz sądu powiatowego do r. 1850 pobierał 10 rubli miesięcznie, potem zaś 24 rub.! Mimo to jednak umieli żyć bardzo dobrze i składać nawet fundusze!

Wszakże największe braki owego sądownictwa występowały w sprawach karnych: dochodzenie sądowe (śledztwo) należało do urzędników policyjnych, którzy zwykle nie posiadali żadnego wykształcenia prawnego; dodać tu należy, że poziom ich umysłowego i moralnego rozwoju był bardzo nizki. Mimo to jednak wyrok musiał opierać się na tym materyale faktycznym, którego dostarczyło śledztwo, bo sąd nie mógł ani przeprowadzić własnego dochodzenia, ani nawet widzieć oskarżonych. Prawo nie ufało sędziom, krępując ich działalność teoryą dowodów formalnych, których czerpać należało z dochodzenia, przeprowadzonego przez urzędników policyjnych.

Rozumie się — w tych warunkach sądownictwo całe było niczem innem, jeno tylko parodyą wykonywania sprawiedliwości, siecią pajęczą, w której łapały się muszki drobne lub głupie, bo mądre lub wielkie zawsze ją mogły przerwać; faktycznie ludzie bogaci i możni cieszyli się zupełną niemal bezkarnością... Wedle podania, taki ks. Ogiński mógł bezkarnie poniewierać chodaczkową bracią szlachtą, chociaż zdarzało się niekiedy, że tradycyjna solidarność zaścianków i okolic szlacheckich brała górę: bracia, nie pytając o sądy, sami wymierzali sobie sprawiedliwość.

W r. 1861 było dokonane polepszenie znaczne na zasadzie prawa z dnia 28 grudnia 1860 r.: dochodzenie w sprawach karnych zostało odebrane policyi... Na mocy tego prawa przekazano je osobnym urzędnikom sądowym, sędziom śledczym, mianowanym przez ministra sprawiedliwości, zatem zupełnie niezależnym od miejscowej władzy administracyjnej; w gubernii kowieńskiej ustanowiono 20 rewirów sądowych. Jednocześnie też ustanowiony został osobny urzędnik sądowy z prawami wyjątkowemi dla rozstrzygania spraw o kradzieżach koni.

Krwawe wypadki 1863—1864 r. wstrzymały wszelkie reformy, w ich liczbie reformę sądownictwa; wszakże zaraz prawie po stłumieniu powstania zbrojnego, bo już 28 maja 1865 r., minister sprawiedliwości polecił prokuratorowi gub. kowieńskiej zebrać dokładne dane o działalności wszelkich sądów, oraz przedstawić projekt organizacyi nowych instytucyj sądowych w myśl

ustawy z dnia 2 grudnia (20 listopada) 1864 r.; projekt ów winien on był ułożyć, zasięgnąwszy zdania prezesów sądowych, marszałków szlachty, członków komitetu statystycznego i t. d.

Prokurator wywiązał się z tego polecenia bardzo sumiennie i dokładnie, pomimo okoliczności nader nieprzyjaznych; normalny bieg spraw zatamowały sądy wojenne, niektóre archiwa były zniszczone w czasie walki orężnej, we wszelkich instytucyach rządowych i sądach panował wielki nieład, wywołany warunkami ówczesnymi, zmianą urzędników i t. d. Sprawozdanie, przesłane ministrowi sprawiedliwości, zawiera 540 arkuszy litografowanych; obfituje ono w nader ciekawe fakty. Okazało się, że wśród wszystkich urzędników sądowych tylko trzech (prokurator oraz prezesowie Izb sądowych, kryminalnej i cywilnej) posiadali wyższe wykształcenie prawnicze; z pozostałych zaś ani jeden nawet nie ukończył gimnazyum; wśród 10 sędziów śledczych nie było ani jednego prawnika skończonego, był natomiast aptekarz i nadleśniczy i t. d. Sprawozdanie przypuszczało konieczność otwarcia trzech sądów okręgowych, mianowicie w Kownie, Rosieniach i Szawlach oraz zaprowadzenia instytucyj przysięgłych; czasowo radziło ono dozwolić posługiwanie się w sądach językami: polskim i litewskim, acz w zakresie szczupłym; znaleziono nawet lokale dla sądów przyszłych. Wszakże w Petersburgu postanowiono sprawę reformy zasadniczej odłożyć na czas nieokreślony, lecz uznano też, że dalsze istnienie takiego stanu rzeczy jest wprost niemożliwem, przeto prawo z dnia 23 (11) października 1865 r. nieco przekształciło i polepszyło sądownictwo: przedewszystkiem Izbę sądową kryminalną i cywilną połączono w jednę pod nazwą Izby sądowej cywilno-kryminalnej, wprowadzono jawność postępowania sądowego wraz z oskarżeniem i obroną, podniesiono znacznie stopień wykształcenia urzędników sądowych, zwiększono gaże, dozwolono nie tak już pilnie przestrzegać teoryi dowodów formalnych i t. d. Ta reforma częściowa, lubo dokonana w bardzo szczupłym zakresie, dała jednak rezultaty dość dobre; uniezależnienie sądów od administracyi miejscowej zachowało im pewną powagę oraz możność wyrokowania wedle prawa, nie zaś zachcianek guber-

natorskich... przynajmniej w teoryi. W owym też czasie znacznie osłabło łapownictwo; zasada równości wszystkich w obliczu prawa zaczęła być przestrzegana pilniej niż przedtem. Mimo to ludność miejscowa z upragnieniem wyglądała wprowadzenia nowego sądownictwa wedle ustaw z dnia 2 grudnia (20 listopada) 1864 r.; nawet wyżsi przedstawiciele administracyi, jak generał-gubernatorowie Potapow, Albedyński i Todleben, w nowych sprawozdaniach corocznych domagali się reformy sądowej, ale długo jeszcze wypadło czekać na nie, zresztą porobiono w niej wyjątki, gdy zastosowano do Litwy. Przedewszystkiem jednak zreformowano sądownictwo niższe: prawo z dnia 5 lipca (23 czerwca) 1871 r. nakazało w 3 guberniach zachodnich wprowadzić sądy pokoju, wszakże z zastrzeżeniem, że sędziowie pokoju, honorowi i rzeczywiści, mają być mianowani przez ministra sprawiedliwości, któremu krom tego pozwolono nawet mianować na te posady osoby nienależące do mieszkańców miejscowych i nieposiadające censusu majątkowego. Wówczas nakazano utworzyć osobne komisye powiatowe pod prezydencyą marszałków szlachty, złożone ze sądowników i urzędników administracyjnych; na nie włożono obowiązek podziału powiatów na rewiry sądowe, wynajmu lokalów dla sądów, uformowania listy osób, mających prawo zająć posady sędziów pokoju i t. d. Ich wnioski przedstawiano gubernatorom, którzy, porozumiawszy się z marszałkami szlachty, burmistrzami i przedstawicielami wyższej miejscowej władzy sądowej, swe decyzye ostateczne składali generał-gubernatorowi; ten ostatni komunikował je ministrowi sprawiedliwości. Minister sprawiedliwości, porozumiawszy się z ministrem spraw wewnętrznych, przedstawił swój projekt do zatwierdzenia Dep. Senatu rządzącego. Senat zatwierdził podział gubernii na 7 zjazdów okręgowych sędziów pokoju i 30 rewirów sądowych. Prace te ukończono bardzo prędko: już 1 kwietnia (20 marca) 1872 r. Senat postanowił, że dniem otwarcia sądów pokoju ma być dzień 14 (2) kwietnia tegoż roku, ale rozkazu tego wykonać nie można było, bo termin wynajęcia lokalów rozpoczynał się zwyczajowo od św. Jerzego tj. 23 kwietnia wedle starego stylu; z tej to przyczyny sądy pokoju zostały uroczyście otwarte 8 maja (27 kwie-

tnia) 1872 r.; pierwsze publiczne, a zupełnie jawne posiedzenie sądowe odbyło się 22 tego miesiąca. Rozumie się, zaprowadzenie sądów pokoju zmusiło skasować wszelkie sądy inne, niższe: słówne i powiatowe, bo magistraty i ratusze oraz sąd sumienia w Kownie zostały zniesione już 23 października 1865 r. Już 27 stycznia 1872 r. senat polecił ministrowi sprawiedliwości ogłosić zniesienie sądów słównych oraz wypracować instrukcyę odpowiednią; to rozporządzenie zostało wykonaniem 11 lutego tegoż roku. Rewizya dokonana w tym czasie udowadnia aż nadto dobrze, czem były owe sądy słówne: w sądach siadowskim, widzkim, szawelskim i wiłkomierskim okazało się, że niema umeblowania żadnego; w poniewiezkim składało się ono z jednego kufra, w którym przechowywano sprawy; zastępował on też krzesło dla sędziego; w rosieńskim znaleziono obraz, krzesło i stolik i t. d. Te fakty cytuję ze sprawozdania urzędowego.

Przed ostatecznem zniesieniem sądów powiatowych minister sprawiedliwości polecił dwom swoim urzędnikom do szczególnych zleceń rewizyę szczegółową, która wykryła dziwy: spraw nierozstrzygniętych okazało się 1580! Tę okoliczność prokurator gubernialny w stylu urzędowym tak tłumaczył: „w ogóle w sądach powiatowych sędziowie i asesorowie są bardzo mało uzdolnieni, bardzo niedbali w spełnianiu swych obowiązków służbowych... niezupełnie uczciwi. W wiłkomierskim sprawy rozstrzyga tylko jeden sędzia, ponieważ asesorowie są niezdolni do żadnych czynności ludzkich z powodu nadużycia trunków gorących; w rosieńskim sędzia pijak znany, a asesorowie ludzie bardzo ograniczeni. W poniewiezkim asesor z powodu pijaństwa doszedł do stanu zupełnego idyotyzmu“ i t. d. Wykonanie wyroków sądowych wołało o pomstę do nieba; w jednym tylko sądzie szawelskim okazało się 357 wyroków zapadłych, a niewykonanych z powodu niedbalstwa policyi!

Rozumie się, ludność odetchnęła głęboko, gdy sądy pokoju zaczęły działać prawidłowo; one to urzeczywistniły wielką zasadę równości w obliczu prawa, jawności postępowania sądowego. One to zaczęły rozstrzygać sprawy z taką szybkością, o jakiej ludność miejscowa nie miała pojęcia. Od chwili zapro-

wadzenia sądów pokoju znika uprzednie łapownictwo, nieskończone procesowanie się z powodu zbytu instancyj sądowych i t. d. Rozumie się, potem stan rzeczy pogorszył się znacznie, ale w porównaniu z uprzednim stanem sądów niższych jest o wiele, wiele lepiej. Organizacya jest bardzo prosta: pierwszą instancyę stanowi sędzia pokoju, drugą zaś, apelacyjną, ich zjazd; na wyroki zjazdu można zanosić tylko skargi kasacyjne. Sądom pokoju podlegają wszelkie sprawy cywilne, nieprzewyższające 500 r., restytucye władania, postępowania spadkowe i ochronne i t. d., z karnych zaś te, za które kara nie może przenosić roku więzienia lub 500 r. grzywny. Stanowią one osobną gałąź sądownictwa, niemającą nic wspólnego z t. zw. sądownictwem ogólnem na wprowadzenie którego wypadło jeszcze czekać lat 12.

W połowie 1883 r. zapadła uchwała Rady Stanu, nakazująca wprowadzić do 9 gubernij zachodnich ogólne ustawy sądowe bez żadnych ograniczeń, zatem sąd przysięgłych i nieusuwalność sędziowską. Z gubernij wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej organizowano okręg sądowy wileński; zorganizowano Izbę sądową w Wilnie i 4 sądy okręgowe, w Wilnie, Kownie, Grodnie i Mińsku. Osobne komisye powiatowe ułożyły listy osób, z pośród których przez losowanie miano wybierać przysięgłych, po 30 na każdą kadencyę sądową. Ludność miejscowa z wielką niecierpliwością oczekiwała sądów przysięgłych, które zapewniały jej wpływ poważny na wymiar sprawiedliwości. Niezależność sądu od administracyi, zupełna jawność i publiczność postępowania sądowego, nieusuwalność sędziów i wogóle sądowników, ich niezależność materyalna, wykształcenie umysłowe i prawne, oraz dobra wola, wówczas jeszcze nieulegająca wątpliwości, usprawiedliwiały jej wyczekiwania i nadzieje, które urzeczywistniły się w pewnym stopniu. Jedne tylko sądy ogólne cieszą się dotąd uznaniem i zaufaniem mieszkańców. Sąd okręgowy w Kownie otwarto 8 grudnia 1883 r.; otworzył go bardzo uroczyście prezes Izby sądowej wileńskiej, głośny później p. Stodolskij. W swej mowie, zwróconej do sądowników, mówił on o znaczeniu reformy sądowej, ich prawach i obowiązkach, oraz trudnościach: „trzeba zwalczyć tutaj wszystko, co będzie wam

przeszkadzało. Mowię o innoplemiennej ludności gubernii kowieńskiej, która w bardzo słabym stopniu, niestety, włada naszym językiem rosyjskim, językiem państwowym, w którym jednak będą się załatwiały wszelkie czynności sądowe. Niewątpliwie, ta okoliczność będzie stanowiła przeszkodę poważną, przynajmniej z początku, ale niechże wszystkie organy władzy sądowej tj. sędziowie, prokuratorya, adwokatura, notaryat i sędziowie śledczy, słowem, wszystko,co wedle litery i treści prawa stanowi ogólne pojęcie sądu, połącza się ściśle na korzyść tej sprawy wspólnej której służą, a przeszkody wszelkie znikną same przez się. Ludność miejscowa polubi swój sąd nowy, zleje się z nim duszą i sercem, potem zaś stopniowo przemówi w jego języku. Panowie! Zasady ustaw sądowych są tak podniosłe i słuszne, że nie wymagają żadnej obrony. Bądźcie tylko panowie ich przedstawicielami godnymi, bądźcie tylko zawsze na wysokości swego stanowiska, pamiętając dobrze, że waszem hasłem być musi: ‚prawda i miłosierdzie niech panują w sądach!' Nie wątpię, że z czasem sąd potrafi zająć to stanowisko wśród społeczeństwa, które mu wyznaczył prawodawca zmarły". Ceremonia otwarcia zakończyła się złożeniem przysięgi przez nowo-mianowanych sądowników. Tegoż dnia rada miejska w Kownie uchwaliła wydawać corocznie 200 r. zapomogi kolonii karnej dla przestępców nieletnich, którą miano założyć niezwłocznie, ale ten zamiar spezł na niczem. W pierwszej połowie 1884 r. rozpoczęły się prawidłowe kadencye sądowe we wszystkich miastach powiatowych i miasteczku Tawrogach; ludność miejscowa bardzo przyjaźnie witała nowe sądy, gorliwie spełniając obowiązki przysięgłych. Na pierwsze kadencye zjeżdżano się tłumnie, np. przy otwarciu kadencyi w Poniewieżu stawiła się prawie cała szlachta z powiatu. Zasady nowego sądownictwa — niezależność, jasność, ustność, publiczne oskarżenie i obrona, oraz udział przysięgłych we wszystkich sprawach karnych, pociągających ograniczenie praw cywilnych — zapewniały, jak się zdawało, sąd sprawiedliwy, prędki, a tani, zapewniały, jak mniemano, legalność. Ubolewano wprawdzie, że bezwarunkowe usunięcie języków polskiego i litewskiego tudzież żywiołów miejscowych z pośród grona są-

downików utrudni i obniży wymiar sprawiedliwości, ale przypuszczano, że dobra wola sądów potrafi znacznie złagodzić te środki. Przypuszczenie to okazało się tylko poniekąd sprawiedliwem; wprawdzie sądy dotąd nie uznały za swój obowiązek zachować Murawjewski zakaz posługiwania się językiem polskim, nie wywiesiły nigdy i nigdzie tablicy z napisem „wzbrania się mówić po polsku“, ale starają się usilnie, zwłaszcza w czasach ostatnich, by zeznania składano w języku urzędowym; tylko w razie oczywistej niemożliwości zezwalają składać je w językach innych, posługując się tłumaczem przysięgłym. Zdarza się jednak dość często, że sąd tak przemawia do świadków: „Świadkowie! mówcie lepiej po polsku, bo my zrozumiemy dokładniej!“ Przyczyna niedokładności tłumaczów zwykle z powodu słabego posiadania języka urzędowego. Zdarzało się, że sądy nakazywały zeznawać po rosyjsku, jeśli przypuszczały, że świadkowie znają ten język, ale nakazy te nie były zwykle spełniane. Zwykle też sądy nie pozwalają oskarżycielowi prywatnemu przemawiać inaczej, jak w języku urzędowym; tłumacza mu nie dają, musi on posiadać własnego, który składa przysięgę na równi z sądowym.

Ważne też zasady nowego sądownictwa stopniowo uległy pewnym ograniczeniom. Niezależność sędziów śledczych *(sudiebnych sledowatielej)* już oddawna jest mytem, bo p. minister sprawiedliwości mianuje tylko spełniających obowiązek sędziów śledczych; ci ostatni są usuwalni i zależni od prokuratoryi, bo nie są sędziami. Notaryusze do niedawna nie korzystali z praw służby państwowej, ale tylko mogli stracić swoją posadę na mocy wyroku sądowego; zrobiono ich urzędnikami, nie rozciągając na nich zasady nieusuwalności. Jawność posiedzeń sądowych została naruszoną; pomijając władzę prezesa, który może usunąć z sali posiedzeń sądowych pewne kategorye osób, wzbroniono być obecnym na nich młodzieży uczącej się, wychowańcom szkół wojskowych i t. d.; oprócz tego każda sprawa może być rozstrzyganą z wykluczeniem jawności, jeżeli tego wymaga zachowanie porządku publicznego, co ostatecznie rozstrzyga władza administracyjna wyższa. Z pod kompetencyi sądu przysięgłych wyjęto sprawy o nadużyciach i malwersacyach pieniężnych w in-

stytucyach kredytowych i kasach, oporze przeciwko władzy, czynnej obeldze urzędników przy spełnianiu obowiązków służbowych, zakłóceniu porządku i spokoju publicznego i t. d. W tych sprawach zastąpili przysięgłych przedstawiciele stanów, co doprowadziło do wzrostu jurysdykcyi Izby sądowej, bo mogą oni uczestniczyć w t. zw. osobnych wydziałach Izb sądowych lub senatu rządzącego (dla rozstrzygania spraw politycznych). Przedstawiciele stanów to marszałek gubernialny, lub w jego zastępstwie jeden z powiatowych, mianowanych na to wyłącznie, burmistrz miasta, w którem odbywa swe posiedzenie Izba sądowa, oraz jeden z wójtów, naznaczony w tym celu przez władzę administracyjną. Taki wójt *(starszyna)* zwykle gra rolę zupełnie bierną, chociaż posiada takie same prawa, jak i inni członkowie kompletu sądowego; na posiedzeniu wydziału Izby sądowej wileńskiej z Poniewieża w sprawie o opór władzy taki wójt nie śmiał bez rozkazu prezesa usiąść, kłaniał się tylko i powtarzał: *Ko ponos sake, taj bus* [1].

(Dok. nast.).

Jan Syrokomla.

[1] „Co pan powiedział, niech tak będzie". Okazało się, iż po rosyjsku nie mówił, ale nieco rozumiał.

PRZEGLĄD NAJNOWSZYCH BADAŃ Z HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ

(1893—1896).

(Ciąg dalszy).

IV.

Może żadnym z pisarzy ubiegłych wieków nie zajmowano się tyle w ostatniem trzechleciu, co Rejem. Nie mamy wprawdzie dotychczas wyczerpującej o nim monografii — Janicki był pod tym względem szczęśliwszy — ale materyały do niej są zebrane prawie w całości i czekają tylko życzliwej a zdolnej dłoni.

Do zastanawiania się nad życiem i spuścizną literacką Reja pobudziły „Materyały do biografii Mikołaja Reja z Nagłowic“, zebrane i wydane przez d-ra Zbigniewa Kniaziołuckiego w Krakowie w 1892 r. W zbiorze tym pomieścił dr. Kniaziołucki przeszło 800 urzędowych aktów, dotyczących poety i rodziny jego, a wydobytych z ksiąg sądowych ziemskich — powiatów i ziem, w których leżały liczne włości rejowskie. Złożyły się na nie archiwa krakowskie, lwowskie, warszawskie, kieleckie i lubelskie. Akta te dostarczyły tyle nowego do biografii poety, że dopiero teraz postać ta zamaszysta wyłania się z potrzebną wypukłością z głębi czasu, aczkolwiek już spółczesny Trzycieski sportretował ją był przyjacielskiem piórem. W ślad za najważniejszą publikacyą Kniaziołuckiego idą pomniejsze przyczynki, również niepozbawione wagi. Są to prace Brücknera, Chlebowskiego, Chrza-

nowskiego, Przyborowskiego i Windakiewicza[1]. Do życiorysu poety najwięcej niewątpliwie szczegółów wydobył lub sprostował Br. Chlebowski. Wedle tego Rej urodził się 13 lutego 1505 roku we wtorek mięsopustny w Żórawnie. Wbrew Trzycieskiemu wskazują akta, że nie był jedynakiem, ojciec bowiem Stanisław miał z pierwszego małżeństwa dwóch synów i trzy córki, a ożeniwszy się powtórnie z Barbarą Herburtówną, wdową po Żórawińskim przejął jej dwóch synów z pierwszego małżeństwa. Mikołaja wychowują rodzice w domu do r. 1518, w którym ojciec umieszcza trzynastoletniego chłopca w bursie Jeruzalem. W siedm lat potem przebywa Mikołaj na dworze Tęczyńskiego, a w 1628 traci ojca. Młodzian obejmuje w 1529 r. majątek, pożycza 700 zł. spłaca dług na Słonowicach, spłaca sumy posagowe sióstr przyrodnich, a w rok potem już jako komornik sądowy służy sprawie publicznej z polecenia Jana Tęczyńskiego, podkomorzego krakowskiego. Równocześnie krząta się około majątku. W 1531 zaślubia Zofię, córkę Jana Kościenia Jastrzębczyka z Wywli i Sędziszowa, po matce spokrewnioną z Andrzejem, arcybiskupem lwowskim. Po nim bierze dobra w ziemi chełmskiej. 20 grudnia 1531 r. staje układ majątkowy między małżeństwem. Mikołaj przeznacza żonie dożywotnio Topolę, Zofia mężowi dobra chełmskie. Odtąd Rej w częstych podróżach do majętności na Rusi, w Chełmskiem i Krakowskiem. Trzycieski utrzymuje, że po opuszczeniu dworu Tęczyńskiego przebywał dłuższy czas „między przyjacioły na Rusi, a osobliwie przy hetmanie Miko-

[1] 1. Al. Brückner, „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej". VII. „O pismach dziś nieznanych". *Bibl. Warsz.* 1895, t. I, str. 1—19.

2. Bronisław Chlebowski, „Mikołaj Rej w świetle nowych świadectw". *Ateneum* r. 1893, styczeń, str. 99—110.

3. Ign. Chrzanowski, „Zwierzyniec Mik. Reja z Nagłowic". *Ateneum* 1893, t. III, str. 73 i d.

4. Tenże, „Facecye Mik. Reja". Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. filolog. Ser. II, t. VIII, Og. XXXIII. Krak. 1894, str. 320 i d.

5. R. Zawilińskiego, „Krótka rozprawa między trzema osobami M. R. z N." — J. Przyborowskiego w *Bibl. Warsz.* R. 1893. t. II, str. 190—196.

6. Dr. Stanisław Windakiewicz, „Mikołaj Rej z Nagłowic". *Przegląd Polski,* r. 1895, Og. t. CXVII, str. 1—38, 349—376, 596—638 i oddzielnie.

łaju Sieniawskim. W dokumentach niema śladu o tem, natomiast wskazują one, że bawił w Małopolsce i trzymał się Tęczyńskich; pobyt zaś na Rusi i stosunki z Sieniawskim odnieść wypada do lat poślubnych. W r. 1539 pisze się już *in Reyowecz heres*, a oprócz Kobylego i Siennicy trzyma w dzierżawie królewszczyzny Stajne i Plisków. Nadto zakłada w 1542 r. wieś Sawczyn tak, że ogólny obszar tych majątków wynosił 25.000 morgów, w tem $^3/_4$ lasu. W r. 1541 kupuje w Krakowie przy ulicy Grodzkiej kamienicę od Anny Odrowążówny, księżny Mazowieckiej. Dobra chełmskie zagospodarowywa, zakładając tam nowe osady, karczmy, browary, dozorując lasów, ale rezydencyę swą obiera w Nagłowicach w Krakowskiem i wytwarza tu drugi kompleks majątków przez założenie na obszarach wsi Powęzowa i Tworowa miasta Okszy. Do Nagłowic należą rozległe lasy nad Nidą i poblizki Ślęcin. O parę mil pod Skalmierzem posiada Rej Topolę i Słonowice, a pod Słomnikami Dziewiąciele. Topola obejmowała 1000 morgów dobrego gruntu; Nagłowice miały las ogromny i wielkie zarybione stawy. Jeżeli dodamy Temerowce, Seredne, Dubowicę i Kołodziejów na Rusi, musimy się zgodzić na to, że Rej był człowiekiem bogatym. Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że brał udział w życiu publicznem. Świadczą o tem jurgielty i nadania królewskie. W r. 1547 Zygmunt I. na prośbę Bony przeznacza *pro generoso Nicolao Rey aulico nostro* 50 grzywien rocznej płacy ze stacyi w Skalmierzu. Zygmunt August w 1552 nadaje mu Dziewiąciele za zasługi „względem ojca i nas". Akt sądowy w Przemyślu w 1561 r. pisany nazywa go „sekretarzem J. K. Mości". Nadto pobierał 30 grzywien z cła chełmskiego. Akt z r. 1546 darowywa mu wieś Temerowce w powiecie stanisławowskim, nazywając go *bene de nobis merendum in posterum reddere alacriorem*, a przed tekstem dodano: *Donatur villa Temerowce g. N. R. vati Polono alias Rymarzowi.* I z dedykacyi „Żywota Józefa" Izabelli, córce Zygmunta I., widać, że Rej z dworem pozostawał w dobrych stosunkach. Stąd orzeczenie Trzycieskiego: „żadnym ziemskim urzędem nie chciał się parać", musi uledz modyfikacyi.

Zarząd tylu majętności, rozrzuconych w różnych stronach

kraju, wymagał rąk pomocniczych. To też Rej przeważnie mieszka w Krakowskiem, żona w Chełmskiem, a obok tego trzyma *factores*, zarządców i plenipotentów. Rozdział małżonków niedostatecznie usprawiedliwia się dozorem majątkowym. Może stosunki poety z żoną nie były zawsze najlepsze. To pewna wszelako, że z teściem Kościeniem procesuje się nieraz, nawet o drobne sprawy, np. o pożyczoną mu księgę *Cronica mundi*, którą od Kościenia wziął sąsiad Wodzisławski i zatracił. Jużto, co prawda, sama ilość aktów sądowych niekorzystnie przemawia o skłonności Reja do procesomanii. Bardzo częste są procesy z duchowieństwem. Trzeba tu oczywiście wziąć pod uwagę wyznanie Reja, usposabiające go wrogo względem katolickiego duchowieństwa; jednakże akta mówią niełylko o zatrzymaniu dziesięcin, lecz o uchybieniach w wypłacie zobowiązań pieniężnych. Tak pleban ze Skrzydlny w r. 1550 pozywa poetę o dziesięcinę z Topoli, a Jan, kanonik krakowski o dziesięcinę od kmieci; Jan, pleban z Racławic, w 1560 o dziesięcinę z Dziemierzyc, Stanisław Górski, kanonik wiślicki, pleban w Piotrowicach o dziesięcinę z folwarku powęzowskiego za lata 1656 do 1558.

Inny przykład. W r. 1546 odstąpił Rej kolegiacie św. Anny w Krakowie 30 zł. czynszu ze Słonowic i Bobina za 600 zł., obowiązując się płacić czynsz w ratach półrocznych po 15 zł. Jednakże już w 1549 przestaje płacić i pienia się o to. Procesa z duchowieństwem znane są już w XVI. wieku pod nazwą rodzajową „Rej z mnichy“ i trwają do końca życia poety. O ile względem katolickiego duchowieństwa występował swarliwie, zaczepnie i wrogo, o tyle pośród świeckich towarzyszów był, jak mówi Trzycieski, „człowiek zachowały, ludźmi zabawiony i wszem znajomy“. Ale i tu na podstawie aktów zmienić wypada trochę objawy serdeczności przyjaciół, obdarzających wrzekomo Reja nadaniami. Inaczej nieco wyglądają dary „braci blizkich„ Bystrama i Herburta Odnowskiego. Pierwszy przekazuje Rejowi posiadłości swe Popkowice i Skorczyce w r. 1548, ale już w 1541 takimże aktem grodzkim dał był je swemu teściowi Myszkowskiemu. Zdaje się, że chodziło tu o usunięcie jakichś niemiłych krewnych od spadku i zdaje się również, że Rej z tego zapisu

nie osiągnął żadnej korzyści. Druga niby darowizna, ustąpienie Rejowi przez Odnowskiego Dziewiącieli, przedstawia się jako układ obustronnie dogodny. Odnowski zrzekł się tej królewskiej dzierżawy za zgodą króla na rzecz Reja pod warunkiem dożywotniej rocznej płacy 220 zł. Jedynym darem przyjacielskim, o którym milczy Trzycieski, a mówią akta, było oddanie Rejowi w 1544 r. przez Hieronima Szafrańca z Pieskowej Skały rozległych łąk nad Nidą: *Nicolao Rey, amico suo charissimo, de libera sua gratia, non more venditionis, nec alicuius debiti, sed ex sincero amore erga ipsum Nicolaum... dono amicabilis donationis.*

Wynotowaliśmy niemal wszystkie główne szczegóły nowe nabyte ostatnimi laty do życiorysu i charakterystyki Reja. Tą ostatnią dokładniej zajmuje się dr. Windakiewicz [1]. W studyum swem zgoła niepozbawionem bystrych i trafnych spostrzeżeń,

---

[1] W dziełku swem. j. w., kreśli dr. Windakiewicz i biografię Reja. Jednakże, pomimo tego, że się ono ukazało po pracy Chlebowskiego, biograficzne szczegóły w niem są niekiedy w niezgodzie ze szczegółami Chlebowskiego, a niezgoda nie ma motywów, co należało uwzględnić, skoro obaj z tych samych źródeł czerpali. Wątpliwe te punkta w pracy d-ra Windakiewicza zaznaczę:

1. Na str. 2 powiada dr. Windakiewicz, że około r. 1518 „uniwersytet krakowski uchodził za najlepszą szkołę środkowo-europejską". Czy tak było w istocie? A dlaczegóż Jakób Górski w przedmowie do dziełka swego *De Periodis,* wydanego w Krakowie w r. 1558, tak się niepochlebnie o nim wyraża? „Młodość naszą — powiada — która nas do wymowy powinna była zaprawić, straciliśmy marnie, albo strawiliśmy na naukach, które więcej wzgardy niż ozdoby przysporzyć nam mogły. Przypadła ona na czasy, w których najwstrętniejsze barbarzyństwo panowało samowładnie, w których ladajakie rozprawy, przez ludzi, czasu i rozumu nadużywających, spisane, z wielką młodzieży, do lepszych studyów uzdolnionej, i rzeczypospolitej szkodą wszędzie rozbrzmiewały. To też wśród rozpraw de lana caprina, jak to mówią, najlepszy czas, który można było na studya wymowy obrócić, zmarnowaliśmy". Wprawdzie Górski był uczniem wszechnicy krakowskiej w 1542, a zatem w kilkanaście lat po Reju, ale jeżeli za Reja uniwersytet świecił, jako „najlepsza szkoła środkowo-europejska", czyż jest rzeczą możliwą, ażeby w ciągu lat kilkunastu dokonał się taki nagły upadek? Dr. Morawski, z którego studyum o Górskim wiadomość powyższą biorę, dodaje: „Stare i utarte wykłady, oparte na tłumaczeniach łacińskich Arystotelesa, panowały tu jeszcze wszechwładnie; dla świata klasycznego, który młodzież ówczesną nęcił i czarował wdziękiem młodości, świeżości i nowości, za mało zostawało miejsca (str. 248), „stara zaś szkoła wśród przełomu między śre-

zajmuje się dr. Windakiewicz prócz życiorysu, który wypadł najsłabiej, ideałem etycznym Reja, tendencyą literacką, talentem jego oraz językiem i stylem. Najcenniejszym jest niewątpliwie rozdział ostatni, a dowodzi w nim autor, że Rej pierwszy „przełamał martwotę średniowiecznego języka przez wprowadzenie doń pierwiastka indywidualnego i zbliżenie języka pisanego do mowy potocznej“. Ogólne stanowisko Reja w naszem piśmiennictwie i znaczenie jego może zbyt pochlebnie wobec powyżej wyłuszczonych wywodów d-ra Brücknera, ale wyczerpująco przedstawione. Szczegółami zajmują się inni badacze nasi. I w tym

---

dniemi wiekami a odrodzeniem, nie znajdowała w sobie dość siły i odwagi, aby zerwać z dotychczasowym systemem średniowiecznym, a przyjąć i wprowadzić nowy, odpowiadający duchowi czasu i duchowi nowych pokoleń“. Tak było za Górskiego w 1542 r., tak — jeśli nie gorzej — i o kilkanaście lat wstecz za Reja. Sam Rej zresztą powiada, że ówczesny uniwersytet krakowski darmo tuczył niejednego z nauczycieli, którzy zamiast strzedz młodych, opiece swej powierzonych, czas na fraszkach przepędzali, urzędu swego nie pilnując. O tem świadczy i *Liber diligentiarum facultatis artisticae* Wisłockiego, a poprawa stosunków datuje się może dopiero od r. 1539, kiedy rozpoczął uniwersytecką działalność swoją Szymon Marycki.

2. Na str. 3 opowiada dr. Windakiewicz, że „po opuszczeniu dworu Tęczyńskiego spędził poeta bezczynnie kilka lat na Rusi, często hetmana Sieniawskiego odwiedzając. Nudziło mu się podobno. Chciał wstąpić do wojska. Wtem ojciec umarł (1529)“. Idzie w tem autor za Trzycieskim, jednakże zapomina, że na dwór Tęczyńskiego udał się Rej w r. 1525, że bawił tam nie wiemy jak długo, ale najmniej rok (jeśli mamy dać wiarę Trzycieskiemu, że na tym dworze nabył takiego wykształcenia), że dalej ojciec Reja umarł w końcu 1528, albo najpóźniej w początkach 1529 skoro 13 maja t. r. pisze się Mikołaj *in Slanovicae heres*, że zatem pomiędzy opuszczeniem dworu Tęczyńskiego a śmiercią ojca zgoła niema miejsca na „kilka lat“ bezczynnej zabawy na Rusi, lecz co najwyżej na dwa lata. Jeżeli się uwzględni brak jakiejkolwiek wzmianki o ówczesnej znajomości Reja z hetmanem Sieniawskim w dokumentach d-ra Kniaziołuckiego, to musi się przyznać słuszność Chlebowskiemu, który wzmiankę Trzycieskiego o pobycie na Rusi i stosunkach z Sieniawskim przesuwa poza rok 1532. Dziwna rzecz, że dr. Windakiewicz w późniejszej swej pracy nie uwzględnił wywodu Chlebowskiego albo należycie swego nie umotywował.

3. Sprawę stosunków Reja z dworem wyjaśnia dr. Windakiewicz także niedostatecznie. Na str. 5 powiada: „Urzędu stałego nie przyjmował wcale, jednak posiadał tytuł sekretarza dworskiego, otrzymany zapewne za dedykacyę Postylli“. Postylla wyszła w r. 1557, tytuł sekretarza spotykamy dopiero w akcie z 1561, zatem w lat 4 po dedykacyi Postylli.

razie nowe rzeczy komunikuje profesor berlińskiego uniwersytetu. Dyalog Reja p. t. „Warwas“ znaliśmy dotąd tylko z biografii Trzycieskiego. Otóż uczony dr. Zirbt zwrócił uwagę d-ra Brücknera na „Warwasa“ czeskiego, znajdującego się w muzeum w Pradze. Dr. Brückner, przekonawszy się, że czeski „Warwas“ jest przekładem polskiego, po raz pierwszy zaznajamia z treścią tegoż, podając przekład. „Warwas“ to dyalog satyryczny, nicujący kobiety ówczesne tak, że suchej nitki na nich nie zostawia. Mężczyzna miał ochotę do ożenku, ale rozważając przywary białogłowskie, żadnej kobiety bez wady i braku nie znalazł i ochoty

---

Ale wiemy dokładnie, że już przedtem bo w 1546 i 1547 pozostawał Rej w stosunkach z dworem i świadczył jakieś usługi. Oba zatem twierdzenia: i „że nie przyjmował i że za dedykacyę Postylli“ przyjął, wymagają dowodu. I w tej kwestyi musimy przyznać przynajmniej tymczasem, zanim dowody nie przybędą — więcej słuszności Chlebowskiemu, który na str. 100 l. c. mówi: „dlaczego, pomimo życzliwości króla i wszechwładnej Bony, nie zasiadł na stołku senatorskim, którym z pewnością by nie wzgardził, trudno odgadnąć. Miłość swobody, którą Trzycieski objaśnia ten fakt, może była osłoną zawiedzionych pragnień ambitnych. Że bowiem brał udział czynny w życiu politycznem, że umiał zasługiwać się dworowi, świadczą udzielone mu nagrody w stałych pensyach i nadaniach dzierżaw“. Przemawiałyby za tem złośliwe charakterystyki Bony i Izabelli w „Zwierzyńcu“ i nieżyczliwa charakterystyka dworu i życia dworskiego w „Żywocie człowieka poczciwego“.

4. Wątpliwem jest też zdanie d-ra Windakiewicza, wyrażone w dziełku na str. 5, że „w życiu prywatnem cieszył się wielkiem szczęściem“ Życie prywatne — to znaczy rodzina i stosunki towarzyskie. Co do pierwszego, to akta stwierdzają, że ilekroć dla jakiej tranzakcyi potrzebne było zezwolenie żony, która mieszkała stale w Chełmskiem a Rej przeważnie w Krakowskiem, tylekroć Rej zobowiązywał się sprowadzić ją nie do Proszowic lub Krakowa, lecz do Krasnegostawu. Słusznie mówi Chlebowski, iż „ten długoletni rozdział, rzucający niezbyt pochlebne światło na pożycie małżeńskie Reja, zostaje zapewne w związku z naprężonemi stosunkami, jakie zachodzą między p. Mikołajem a jego teściem Kościeniem“ (str. 102).

Co do drugiego — to niewątpliwie Rej cieszył się sympatyą szlachty, ale dr. Windakiewicz, przytaczając między innemi na poparcie tego dwa dary — jeden Hieronima Szafrańca, drugi Pawła Bystrama — idzie co do drugiego za daleko, czyniąc tę sukcesyę owocem czystej przyjaźni.

5. Wogóle studyum d-ra Windakiewicza grzeszy subjektywnością. Rej jest mu sympatycznym i dlatego zamyka oczy na ludzkie ułomności Reja, upatrując w nim ideał wszelakiej doskonałości. Nadto ze zdań, w pi-

się wyrzekł; oto właściwa treść „Warwasa“. Dyalog pisany wierszem ośmiozgłoskowym; rymy nędzne. Od Trzycieskiego mamy także wiadomość o „Kupcu“ Reja. Dr. Brückner znalazł w rękopisach Jerzego Krzysztofa Pisańskiego, profesora królewieckiego z XVIII. w., wzmiankę o „Kupcu“ Jana Seklucyana z r. 1549. Że zaś w inwentarzu po Helenie Florianowej z r. 1551 zapisany jest „Kupiec polski“, nasuwa się pytanie, czy dramat-pamflet Seklucyana a „Kupiec“ Reja nie są temi samemi albo podobnemi dziełami. Pytania tego dr. Brückner nie rozstrzyga; informuje tylko, że ów dramat Seklucyana jest przeróbką sławnego w swoim czasie utworu Tomasza Kirchmayera v. Nao-

---

smach Reja wypowiedzianych, sądzi o jego życiu (ob. np. str. 22). Jest to metoda nieostrożna, zwłaszcza w zastosowaniu do dawnych ludzi. Słusznie mówi Ignacy Chrzanowski, że „jeżeli przyjrzymy się ludziom XV. i XVI. stulecia, zauważymy w nich, jako dominującą cechę charakteru — sprzeczność w poglądach i, co ważniejsza, sprzeczność pomiędzy poglądami a praktyką, sprzeczność pomiędzy zasadami, które głosili, a czynami, które popełniali. Ludzie ci, wychowani w szkole odrodzenia wiedzy, mniemali, że, aby być cnotliwymi, dosyć jest umieć pisać lub dysputować o cnocie z łatwością i wprawą Cycerona i z uroczystą powagą Seneki. Ludzie ci odróżniają niby złe od dobrego, lecz nie wiedzą, co to grzech lub przestępstwo, a jeśli niekiedy zakłócą swem postępowaniem harmonię wewnętrzną, umieją w krótkim czasie odzyskać ją, a przeto nie wiedzą, co to skrucha“. „Stąd w życiu i działalności Reja spostrzegamy sprzeczności, stąd i on głosi zasady, któremi nie zawsze kieruje się w czynach; wytyka np. swym rodakom, że ciągłe procesy prowadzą, wychwalając tych, którzy „prawa nie znają“, a sam wiecznie się procesuje; karci życie hulaszcze, pijatyki i wystawne biesiady, a sam pod tym względem nie jest wolny od zarzutu, choćby nawet świadectwom niechętnych mu katolików w połowie tylko dać wiarę“. (Ig. Chrzanowski, „Facecye Mik. Reja“, Rozpr. Akad. Umiej. Wydz. filol. t. XXIII, r. 1894, str. 376).

Tymczasem dr. Windakiewicz, charakteryzując Reja, bez braku czerpie dowody z dzieł jego — z „Wizerunku“, „Zwierzyńca“, „Żywota“, a skutkiem tego obraz wypada jednostronnie, w wysokim stopniu optymistycznie. Mówię tu oczywiście o charakterystyce postaci samej (str. 13—23), nie zaś o charakterystyce dzieł Reja.

6. Na str. 375 *(Przegląd Polski)* twierdzi dr. Windakiewicz, że „Stanisław Odrowąż... zapisał mu w dożywocie w 1541 kamienicę przy ul. Grodzkiej, żeby mógł swobodnie w Krakowie przemieszkiwać“. Br. Chlebowski zaś utrzymuje (str. 100 *Ateneum*), że „29 marca 1541 kupuje kamienicę przy ul. Grodzkiej od Anny Odrowążówny“. Nie mam Kniaziołuckiego pod ręką i nie mogę powiedzieć, które zdanie słuszne.

georga i skłania się ku przypuszczeniu, że Rej posłał swego „Kupca", którego w Krakowie nie mógł drukować, Seklucyanowi do Królewca, gdzie tenże może poprawił i przerobił.

O „Zwierzyńcu" Reja gruntowne studyum napisał I. Chrzanowski. Dotychczas znaliśmy to dzieło w ogólnych zarysach, często podręczniki streszczały wstęp i zadowalały się pobieżnym rzutem oka na całość. P. Chrzanowski drobiazgowo analizuje utwór, podaje źródła, ocenia ze stanowiska literackiego i społecznego. Stąd przybywa nam mnóstwo rysów, służących do poznania autora. „Zwierzyniec" rozpoczyna się rozmową Rpltej z Prywatem i Stańczykiem; p. Chrzanowski sądzi, że rozmowa ta jest naśladowaniem łacińskiej „Skargi Religii i Rpltej" Krzyckiego. W rozdziale I. następują powiastki i anegdoty historyczne. Zbiory takich anegdot istniały. Najsławniejsze były Erazma Roterdama: *Apophtegmatum ex optimis utriusque linguae scriptoribus libri octo* i *Baptistae Fulgosi opus in X. libros digestum de dictis et factis memorabilibus imperatorum, principum, ducum, episcoporum etc., a Camillo Gilino ex vernaculo idiomate latinitate donatus, Basileae 1541.* Oba dzieła, znane w Polsce, były na składzie u Szarfenberga i Unglera. Rej pragnął wypełnić lukę w piśmiennictwie polskiem i uwzględnił zarówno powiastki z dziejów rzymskich i greckich, jak wogóle z historyi starożytnej i średniowiecznej. Co do anegdot np. z historyi Izraelitów, mógł je znaleźć w biblii, rzymskie mógł wziąć wprost np. z „Rozmów tuskulańskich" Cycerona, nieraz wydawanych w Krakowie, ale korzystał też z Erazma i Fulgoza. Tak np. Rej przytacza anegdotę o Sulpicyuszu; taką samą podaje też Erazm z tą różnicą, że nie o Sulpicyuszu, ale o Marku Bibulusie, a dopiero po niej bezpośrednio idzie u Erazma anegdota o Sulpicyuszu. Podobnie pisze Rej powiastkę o Talancyi, Spartance z Fulgoza, gdzie wszakże anegdota ta nie wymienia nazwiska Spartanki, a dopiero następna jest o Talancyi, matce Pedareta. U Erazma i Fulgoza jedne powiastki przedstawione krótko, inne obszerniej, Rej zaś każdą wtłacza w 8 wierszy. Stąd musi rozszerzać lub skracać. Skracając opuszcza szczegóły, pożycza nawet treści, wykładając ją własnemi słowy. Niekiedy zmienia nawet szczegóły. Tak np.

u Fulgoza znajdujemy powiastkę o Lamuzyuszu III., królu Longobardów, którego matka wrzuciła była jako dziecię do rowu (po longobardzku *lama*). Rej wcielił tę anegotę, ale zmienił *lama* na „jama“, Lamuzyusza na Jamuzyusza. Wogóle wedle wykazu p. Chrzanowskiego przerobił Rej z Erazma i Fulgoza 147 anegdot. Rozdział 2 zawiera epigramata na rody i familie w Polsce. Zaczyna od Zygmunta I., którego porównywa do Jowisza. Potem idą Zygmunt August, Bona i Katarzyna, dygnitarze świeccy i duchowni, wreszcie szlachta. Nadto jeden cudzoziemiec, Piotr Royzyusz, Hiszpan. Wszystkich epigramatów 177. Satyry tu prawie niema; dwukrotnie tylko przygania Włodzisławskiemu pieniactwo, Słupeckiemu zamiłowanie strojów cudzych. W jednym wierszyku treści politycznej wzywa Litwinów do połączenia się z Polską, na ostatku pomieszcza wiersz o sobie i powiada, że nie łaknie uciech świata, przekładając spokój zacisza. (Miał lat 57).

Rozdział 3 dotyczy spraw krajowych. W pierwszej części przypadki króla, dygnitarzy i wojskowych, zaprawione satyrą. O królu mówi, że

> Nie boi się przymówek, a każdemu gębę
> Zamknie, że y ia z nimi pewnie milczeć będę,

a ma może na myśli owe przez siebie wypowiedziane „przymówki“ we wierszu „Polska chromiącz thula się po świątu“, gdzie obrzuca Zygmunta i Barbarę błotem, nie cofając się przed użyciem obelg [1]. Po epigramacie do króla następują satyryczne przycinki wojewodzie, kasztelanowi, staroście, poborcy podatków od młyna, sądownikom i t. p. „Ironiczne są też epigramata na trzecie wici i na ‚wojnę pospolitą‘, w których Rej ubolewa nad niedbałością Polaków w obronie ojczyzny; wici tak długo ‚kręcą‘ że nieprzyjaciel korzysta z tej zwłoki, a gdy przyjdzie wreszcie pospolite ruszenie, szlachtę zajmuje głównie nie sprawa publiczna, lecz przygotowanie zapasów żywności“.

W części drugiej rozdziału trzeciego z nielitościwem szyderstwem występuje Rej przeciwko stanowi duchownemu. W epi-

[1] Wyd. J. Korzeniowski w *Roczniku Filareckim* l. 575—610. Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznej treści, 1548—1551.

gramacie na papieża równa go Rej z Nabuchodonozorem, Rzymowi wróży upadek, smaga biskupów, ale z największą złością opatów i zakonników. Obrzędom kościelnym poświęca też niejeden epigramat. Szydzi z mszy św., ze zwyczaju kropienia w kościele wodą święconą, z kadzideł, ze święcenia ziół, z palenia świec i ceremonii przy sakramencie chrztu św. Wogóle obrzędy to wedle Reja „szczyre plotki", w których się boża chwała „ćmiła"; dopiero Luter usunął je, a Witemberga, gdzie głosił naukę ten „zacny doktór", wydaje się Rejowi niemniej sławnem miastem jak Betleem, gdzie się urodził Zbawiciel.

W trzeciej części rozdziału 3. następują „przypadki świata tego". Chwali rząd i cywilizacyę Prus, a także ks. Albrechta, na którego dwór posłał syna [1]„ biada nad niezgodą na sejmach naszych, gdzie każdy poseł korzyść osobistą ma na baczeniu [2], skarży się na opłakany stan sądownictwa, narzeka, że zamki pograniczne pustkami stoją, radzi, aby Kozaków zużytkować ku obronie kraju. Jak widzimy, Rej jest za reformą, o której właśnie w 1563, tj. w rok po wyjściu „Zwierzyńca" było tyle mowy, jest jednak tak jak i Orzechowski przeciwny egzekucyi.

Rozdział 4. nosi tytuł: „Jako starych wieków przypadki świeckie ludzie sobie malowali". Są to emblemata, ryciny i wierszyki na czystość, miłość nieprzystojną, sławę i t. p. Potem idą bajki, czerpane po części z Ezopa. Po bajkach następują znów epigramaty z życia prywatnego: o rozrzutnych, kłótnikach, pijakach, zazdrosnych, graczach, kłamcach, lichwiarzach. Przyczyny upadku moralności upatruje w złem wychowaniu dzieci w epigramacie „Na wychowanie synów".

W następnej części rozdziału p. t. „Gospodarstwo" wystawia w niekorzystnem świetle życie szlachty. Epigramaty na dom, kuchnię, łaźnię, stajnię, na myśliwstwo, panią domu, czeladź, włodarza, wójta zawierają satyrę przeciw właścicielom ziemskim. W domu nieład, w kieszeni pustki, konie i psy chude, w bro-

[1] List Reja do księcia pruskiego Albrechta, ogłoszony przez d-ra Zygm. Celichowskiego. Poznań 1891.

[2] Że brał udział w obradach sejmowych ob. W. Czajewski, „M. Rej z Nagłowic na sejmach". Warszawa 1885.

warze brak słodu, zboże tegoroczne już sprzedane, ale gdy trzeba przyjąć gości — wystawa, choćby „szkapy i pacholce dwa dni nie jedli“. A pani prosi:

Kupcie, panie, tę bramkę, bo żydówka mówi,
Że kto ją za to kupi, iście się obłowi,
Bo samych pereł pewnie nie sprawiłby za to;
Darmo przyjdzie robota i apszlag i złoto,

pan zaś:

Ciągnie się, nędzny osieł, by szubki przystawić;
Pani też już pomyśla, w co się przy tym zawić,
Także sobie po trosze społu przykradają,
Aż w kalecie y w skrzynce pustki więc miewają.

Tak się zarysowuje treść „Zwierzyńca“. Wszystko stanowi rozumnie spojoną całość. Podstawą jest myśl, wyrażona we wstępie: czem „parać się“ powinni Polacy, czego unikać. Większość anegdot rozdziału pierwszego ma wskazać cnoty, których Polakom brakło: poszanowanie dla prawa, duch rycerski, oglądanie się wśród pokoju na wojnę, karność wojskową, patryotyzm, dbałość o dobro publiczne i t. p. W rozdziale drugim dowód, że jednak i w Polsce nie brak ludzi przykładnych. Rozdział trzeci uczy, jakimi być nie powinni Polacy, dowodzi, że protestantyzm wyższym jest niż katolicyzm; w rozdziale czwartym wskazówki dydaktyczne. „Zwierzyniec“ tedy jest obrazem społeczeństwa szlacheckiego, zawierającym już główne rysy „Żywota“. Pod względem literackim przyswaja tu Rej kilka nowych gatunków poezyi, jak wierszowane anegdoty historyczne, parabole, emblemata, po części epigramata.

Razem ze „Zwierzyńcem“ wyszły też „Facecye“ Mikołaja Reja, którym p. Chrzanowski poświęca oddzielne studyum. Wskazawszy pochodzenie i źródła tego rodzaju poezyi w literaturze europejskiej, stwierdza autor, że „Facecye“ Reja są w Polsce pierwszym zbiorem fraszek. Znani wprawdzie byli i cenieni facecyoniści, jak ów Korybut Koszyrski, *philosophus, poeta, citharoedus, aleator, ganeo, bibax, histrio, super modum vulgarem facetissimus,* ale drukowanych zbiorów nie było. Figlików Reja jest 235, wszystkie ośmiowierszowe. Oprócz facecyj znajdujemy tu i wierszyki dydaktyczne, kilka bajek, wiele satyrycznych, w których

szydzi z łatwowierności, głupoty i rubaszności chłopów, niekiedy z głupoty mieszczan, przedewszystkiem zaś ostro napada na duchowieństwo katolickie, a więc księży świeckich, zakonników, biskupów, kardynałów i na obrzędy Kościoła katolickiego, a więc mszę św., uroczystości wielkotygodniowe, władzę odpuszczania grzechów i t. p.

Charakterystycznem jest, że szlachty nie dotyka. Raz tylko występuje przeciwko zbytkownym ucztom (Co chciał w pół obiada wieczerzać), gdy opowiada, jak pewien Włoch, zaproszony do pana na obiad, zasnął wśród uczty, tak długo trwała. Poza tem są to farsy i dykteryjki. Wogóle podzielić je można na: 1. Żartobliwe powieści, 2. Misterne kusy a fortelne, 3. Apophtegmata abo z rozumem baczne powieści, 4. trefne przymówki i szyderstwa, 5. Chytrości niewieście, 6. Powieści o głupich ludziach.

Znaczna część tych figlików wzięta z literatury obcej. W Krakowie znajdowały się w handlu księgarskim facecye Poggia, Bebela i Gasta, były też bajki Ezopa i Wawrzyńca Abstemiusa, czytano również słynne *Colloquia familiaria* Erazma z Rotterdamu, które zawierają fraszki. Ważną rzeczą jest wiedzieć, że właśnie Bebel w swych figlikach ostro docinał duchowieństwu. Z porównywań okazało się, że z Poggia Rej wziął 26 fraszek, z Bebela 35 fraszek, z Gasta *(Convivales sermones Basileae 1543)* 3 fraszki, z bajek Ezopa 7, z Abstemiusa 11, z Erazma *(Colloquia)* 1 fraszkę. Nadto w drugiem wydaniu z Hulsbusch'a *(Silva sermonum iucundissimorum. Basileae 1568)* niemal dosłownie niektóre tłumacząc, przyswoił 13 figlików. W przerabianiu jednak zazwyczaj nie trzyma się niewolniczo wzoru, raczej parafrazuje, czasem skraca, opuszcza imiona własne i rysy lokalne, przenosi akcyę facecyi do Polski, słowem, zmienia tak, że można najczęściej opowiadanie nazwać oryginalnem. Tak np. Abstemiusz we fraszce: *De muliere virum morientem flente et patre eam consolante* opowiada, jak żona płacze niby po nieboszczyku mężu, lecz jednocześnie pyta ojca, czy jej przyszły mąż jest obecny. We figliku Reja: „Jako żona na pogrzebie omdlała“ pani również bardzo „narzeka“ i rzuca się na grób męża z boleści, a po pogrzebie pyta sąsiadek, czy dobrze grała komedyę. W innej fra-

szce: „Co kazał babę wójtowi w rz... całować“ znajdujemy parodyę bajki Ezopa o mowcy Demadesie, tylko Rej przerabia Demadesa na chłopa, Ateńczyków na wójta, Demetrę na babę, jaskółkę na wronę, węgorza na świnię.

Prócz tych źródeł służyła też Rejowi i powieść ludzka. Czysto polskiego pochodzenia są facecye, których wątek stanowi pisanie złośliwych i uszczypliwych rymów na ścianach, dalej płynące z gry słów polskich lub polskich homonimów, np. „Błazen szczukę zastawił“, „Dwa się czaczem nazywali“ i t. p. Są też z piętnem iście rejowskiego dowcipu, podsłuchane śród ludu, np. „Jako świnię oszukać“, „Pan, co wieczerzę rozkazował“, „Fortel na konika, co krzywi ogonem“, „Na czym kościół stoi“, „Baba, co ćwika przedawała“, „Jako kobyłę na rosie ukraść“ i t. p.

Obie te rozprawy p. Chrzanowskiego należą do rzędu bardzo poważnych badań. Autor starannie dochodzi źródeł, nie ima się drobiazgów i nie podnosi ich do znaczenia wielkich zdobyczy, stosuje przytem metodę ścisłą, panuje nad przedmiotem doskonale, uogólnia umiejętnie i jasno, a skutkiem tego obie prace służyć mogą za wzór i drogowskaz dla takich właśnie analitycznych i porównawczych dochodzeń z wieków minionych. Wraz z tem, co ostatnie lata przyniosły do znajomości życiorysu i charakteru Reja, plon wypadnie obfity. Nie masz wprawdzie dotychczas wyczerpującej monografii o Reju, choćby takiej, jak prof. Ćwiklińskiego o Janickim lub prof. Tarnowskiego o Kochanowskim, ale materyał do takiej monografii leży gotowy i czeka tylko na pracownika. W r. 1905 przypada czterechsetna rocznica Reja; być może, że rok ten obdarzy nas i krytycznem wydaniem pism Reja i jego monografią.

Postępując porządkiem chronologicznym, wypada nam zanotować w dziale poezyi XVI. wieku nową wiadomość o „Tragedyi żebraczej“, której tytuł tylko i pierwsze kartki znaliśmy. „Thragedyą żebraczą nowo uczynioną“ wybijano w Krakowie u Łazarza Andrysowicza w 1552, inwentarz atoli po Helenie Unglerowej z r. 1551 wymienia dwieście egzemplarzy tragedyj

żebraczych, a wiemy także o bujnym rozkwicie komedyi ludowej w latach 1550—1650 [1]. Otóż taką tragedyę żebraczą z jedynego egzemplarza Muzeum czeskiego wydał Józef Ireczek, a dr. Brückner, skonstatowawszy, że jest ona tłumaczoną z języka polskiego w r. 1573, streszcza ją po polsku [2]. Tragedya składa się z trzech aktów, akcya odbywa się w Potoku Złotym pod Częstochową, gdzie autor spotyka zgraję żebraków, którzy obchodzą ślub swego towarzysza Dygudeja. Dyalog między kupcem, wójtem żebraczym i żebrakami przedstawia występki zgrai, zabobony i nędzę. Ten sam temat opracowała o pół wieku późniejsza „Peregrynacya dziadowska", przedrukowana przez Kraszewskiego w „Pomnikach do historyi obyczajów w Polsce w XVI. i XVII. wieku". (Warszawa 1843).

V.

O ile Rejem zajmowano się pilnie w ostatnich paru latach, o tyle Kochanowskiemu, największemu poecie złotego wieku mało pracy poświęcono, cztery tylko bowiem wyszły rozprawy, wyjaśniające dokładniej utwory wieszcza czarnolaskiego: są to rozprawy Sienickiego [3], Plenkiewicza [4], Witkowskiego [5] i Sasa [6]. Rzecz o Psałterzu nie daje nic nowego. Dowiadujemy się, że Kochanowski znał *Paraphrasis,* gdyż mówi o tem w jednej z fraszek łacińskich, a że zeń korzystał w swym przekładzie udowo-

---

[1] Por. St. Windakiewicz, „Pierwsza kompania aktorów w Polsce", Rozpr. Akad. Um. Wydz. filolog. Og. t. XVIII, str. 387.

[2] „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej". VII, „O pismach dziś nieznanych", *Bibl. Warsz.* R. 1895, t. I, str. 19—24.

[3] Antoni Sienicki, „Stosunek Psałterza przekładania Jana Kochanowskiego do Paraphrasis psalmorum Jerzego Buchanana". (Sprawozd. dyrekcyi gimn. w Samborze r. 1893, str. 3—65).

[4] Roman Plenkiewicz, „Geneza i rozbiór Odprawy posłów greckich". (*Bibl. Warsz.* R. 1896, t. III, str. 231—254).

[5] Stanisław Witkowski, „Stosunek ‚Szachów' Kochanowskiego do poematu Vidy ‚Scacchia ludus'". (Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. filolog. T. XVIII, r. 1893, str. 165—203).

[6] Marcin Sas, „O miarach poematów łacińskich Jana Kochanowskiego i o ich wzorach". (Tamże str. 334—385).

dnili już Kryński i Brückner[1]. Kochanowski tłumaczył swe psalmy nie z Vulgaty, lecz z łacińskiego tekstu, więcej zgodnego z tekstem hebrajskim, aczkolwiek nagłówki podawał wedle Vulgaty. Z mrówczą skrzętnością zebrany długi szereg miejsc „Psałterza“ zgodnych z tekstem hebrajskim a niezgodnych z Vulgatą (od str. 11—59) wykazuje zależność poety w przekładaniu od Buchanana. Tylko 33 psalmów nie zawierają zgoła reminiscencyi. Zależność ta idzie nawet tak daleko, że jeśli szkocki poeta dodaje myśl, której w Biblii niema, Kochanowski przekłada i ten dodatek. To jednak bynajmniej nie obniża znaczenia Psałterza, jako wielkiego dzieła poetycznego w XVI.

Rozprawa p. Plenkiewicza o „Odprawie posłów“ — pomimo wybornej pracy o tym przedmiocie prof. Nehringa[2] zawiera niejedną cenną i nową uwagę. Wedle p. Plenkiewicza Jan Zamojski w r. 1576 pomiędzy 30 maja a 12 czerwca, dążąc do Warszawy, odwiedza w Czarnolasie poetę, pragnąc go ująć dla swoich i Batorego zamysłów. Wtedy żądał odeń utworu, „w którymby naród się mógł, jak w zwierciedle, zobaczyć, poznać swe kardynalne wady i, przerażony ich skutkami, wszedł w samego siebie i o poprawie pomyślał“. Miała to być tragedya. Już wtedy, tj. w początkach czerwca 1576 zgodzono się na główne jej zarysy. Przypuszcza mianowicie p. Plenkiewicz, że Kochanowski jeszcze w Padwie miał upodobanie do postaci Antenora. Wszakże Livius (w I. ks.) i Wergilius powiada, że

> Antenor potuit mediis elapsus Achivis
> Illyricos penetrare sinus...
> Hic tamen ille urbem Patavi sedesque locavit[3].

Zresztą w Padwie, poczynając od XIII. wieku, ukazują nawet grobowiec Antenora przy jednym z zaułków, wychodzących na ulicę św. Wawrzyńca. Otóż poeta przejął się tą wiarą i czcią, czego dowodem przekład III. księgi Iliady, dokonany w Padwie, oraz wzmianka o Antenorze w Elegii 18, ks. III., napisanej

---

[1] Ten ostatni w *Archiv für slavische Philologie,* VIII, str. 477 i d.

[2] „Studya literackie“, str. 57 81.

[3] Aeneid. l. 241—243.

w Paryżu. Ten to ideał prawego obywatela, głęboko patrzącego w przyszłość polityka i mowcy, zmartwychwstał teraz w wyobraźni poety. Taki dodatek przybywa nam z pracy pana Plenkiewicza do genezy „Odprawy", jako uzupełnienie tego, co sam poeta w liście do Zamojskiego napisał. W rozbiorze tragedyi, ocenia autor artystyczną wartość utworu, śledzi aluzye do Polski XVI. w. i zastanawia się nad ideą, związaną z przeszłością narodu. Słusznie wbrew Nehringowi dzieli tragedyę na prolog, chóry, trzy (nie dwa) epizody i egzodos; słusznie też za część najlepszą uważa egzodos; zakończeniu pierwszego epizodu czyni zarzut niescenicznośći, ponieważ Antenor i Aleksander spieszą obaj na radę, a jednak poróżnieni rozchodzą się w różne strony; słusznie uważa, że epizod drugi i trzeci nie mają akcyi. Natomiast rady p. Plenkiewicza, że należało w drugim epizodzie pozwolić Helenie wylać swe uczucia nadziei, obawy, trwogi, idą jako zbyt subjektywne za daleko. W dalszym ciągu rozbioru wskazuje liczne reminiscencye z Iliady, Eurypidesa, Eneidy, *Epistulae Heroidum* Owidyusa, Agamemnona Seneki, nawet Lycophronesa, z którego tragedyi p. t. „Aleksander", wydanej w Bazylei w r. 1560, wziął poeta wiersz: „ciebie, mój bracie, stróżu ojczyzny, domu zacna podporo", oraz epitet „trupokupcze", jedynie w Lycophronie w takiej złożonej formie występujący (νεκροπέρνας — od νεκρός i πέρνημι).

Mówiąc o aluzyach do spółczesnych stosunków, charakteryzuje Pryama, jako starca przewrotnego, lubo dobrodusznego pozornie, pełnego fałszu i obłudy. Miał tu Kochanowski wszystkich złych ojców na myśli; Aleksandrów u nas też nie brakło: potomkiem jego prymas Dzierzgowski, Piotr Boratyński i cały tłum sejmowych mataczów; tu należą też i dwaj marszałkowie, których w Troi nie było, a którzy od 1569 wspólnie przewodniczyli u nas Izbie poselskiej, i starostowie pograniczni, donoszący o wojskach greckich.

Idea poematu leży w ponurych wróżbach Kassandry, stosujących się do losów Polski. Bystrem jest w rozprawie p. Plenkiewicza wyjaśnienie związku „Odprawy" z poematem *Orpheus Sarmaticus*. Tragedya ma na celu powstrzymanie Trojan od

wojny, gdyż wszystko, co działa Antenor, do tego zmierza. Była na czasie w 1576, tj. wówczas, gdy ją obmyślali Zamojski z Kochanowskim. Ale w grudniu 1577 nie odpowiadała już swemu celowi, bo horyzont pokojowy państwa groźnie się zasępił i królowi chodziło o pozyskanie szlachty, mającej zjechać na sejm warszawski, dla wojennych zamysłów przeciwko Iwanowi Groźnemu. To też — przypuszcza p. Plenkiewicz — Zamojski wysłał do poety naglące wezwanie o inny utwór, któryby uderzał w struny bojowe, a takim utworem był *Orpheus Sarmaticus*, przeznaczony i deklamowany w Jazdowie przez śpiewaka królewskiego Clabonusa. Związek z tragedyą widoczny. We wierszu 30 „Orfeusza“ po zachęcie do otrząśnienia się z gnuśnego pokoju, mówi poeta: *Non tibi pro gregibus raptis certamen habendum*, a właśnie tragedya kończy się sceną, w której rotmistrz opowiada, że Grecy, wylądowawszy, „Ludzi wprawdzie nie brali, ani też palili, Ale cokolwiek było w polu bydła, wzięli“. Tak Orfeusz jest jakby chórem, kończącym tragedyę — i ten to poemat uważać trzeba za właściwą pobudkę wojenną.

Przytoczyłem w sposób przedmiotowy główne myśli rozprawy p. Plenkiewicza, lubo zdaje mi się, że w upatrywaniu pobudek psychologicznych zarówno u Zamojskiego, jak Kochanowskiego, jakoteż aluzyi do spraw spółczesnych posuwa się za daleko. Jeżeli jednak pogląd ten na genezę „Odprawy“ się przyjmie, natenczas dotychczasowe rozumienie nasze myśli jej zasadniczej musi uledz zmianie. Spółczesny Reinhold Heidenstein o niej mówi, że przedstawiono ją *excitandorum maxima animorum iuventutis ad bellum causa*[1], tymczasem wbrew temu zmienia cel jej p. Plenkiewicz, twierdząc, że pobudką wojenną był wyłącznie wiersz „Orfeusz“.

O poemacie Kochanowskiego „Szachy“ napisał studyum p. Stanisław Witkowski. Oceniwszy w uwagach wstępnych odnośną literaturę, streszcza zarówno łaciński poemat Vidy, jak i „Szachy“ polskiego poety i zestawia ustępy podobne u obu. Rezultatem statystycznym tego zestawienia jest, że poemat kre-

[1] *Vita Ioannis Zamoscii* ed. Działyński str. 41.

mońskiego poety liczy wierszy 658, poemat „Szachy“ wierszy 602. Z tych naśladowane lub tłumaczone są partye: 1) W. 1—10 (wstęp), 2) w. 59—108 (opis figur i prawidła gry), 3) w. 135—271 (opis gry), 4) w. 301—446 (opis gry). Wszystkich wierszy mniej lub więcej zapożyczonych jest więc najwyżej 330—340.

Oryginalnemi są partye: 1) w. 11—58 (początek opowiadania), 2) w. 109—134 (dalszy ciąg opowiadania), 3) w. 272—300 (epizod w grze), 4) w. 447—602 (dalszy ciąg i koniec opowiadania). Oryginalnych wierszy zatem 260—270.

Co się tyczy genezy „Szachów“, to twierdzi p. Witkowski, że inwencya poematu pod względem czasu, miejsca, celu gry, osób grających jest zupełnie oryginalną tak, iż nie można go uważać nietylko za tłumaczenie, ale nawet za naśladowanie lub parafrazę. Przychyla się też do zdania J. S. Bandtkiego, Małeckiego i Chlebowskiego, że powstał on za pobytu Kochanowskiego we Włoszech przed rokiem 1557. Z porównawczego ocenienia obu utworów okazuje się wprawdzie wyższość łacińskiego co do formy, ale „Szachy“ mają pierwszeństwo inwencyi, całości, treści.

Miarami dzieł łacińskich naszego poety zajął się w gruntownej dużą erudycyę filologiczną okazującej, rozprawie p. Marcin Sas. Wyniki badania zestawia w następujący sposób: 1) Wszystkie miary poematów łacińskich Kochanowskiego są naśladowane z greckich lub rzymskich. 2) W poezyi opisowej używa heksametru daktylicznego akatalektycznego stychicznie wedle Wergiliusza, Owidyusza i Horacego. 3) W elegiach używał strofy elegijnej Owidyusza, Tibullusa i Propertiusza. 4) W epigramatach najczęściej strofy elegijnej, rzadziej heksametru daktylicznego akatalektycznego, trymetru jambicznego akatalektycznego, takiegoż dymetru, wiersza falecejskiego, raz dymetru jambicznego katalektycznego, raz wiersza adońskiego, raz strofy pityambicznej większej i dwa razy takiejże mniejszej. Wzorami są Martialis, Horacy, Avitus Alphius, Prudencyusz, Terentianus Marus. 4) W odach używa strofy alcejskiej śladem Horacego, rzadziej asklepiadejskiej III., saficznej mniejszej, alkmańskiej, asklepiadejskiej II. i wiersza asklepiadejskiego większego. 6) W dwóch

poematach: *Ad Stephanum Bathorrheum* i *In nuptias Ioannis de Zamoscio... Epithalamion* bierze za wzór Pindara: Nemea IX. i Isthmia III. „Jest to — powiada p. Sas — objaw niezwykły na owe czasy, gdyż wszyscy poeci łacińsko-polscy XVI. w. naśladowali pod względem metrycznym tylko poetów rzymskich; Kochanowski, o ile mi wiadomo, był w owych czasach jedynym, który także korzystał ze wzorów greckich. A że posiadał gruntowną znajomość języka greckiego, dowodzi tego najwymowniej uzupełnienie Cyceronowego tłumaczenia Arata, dokonane na podstawie greckiego oryginału". 7) Zdaje się, że Kochanowski miał wzór grecki przed sobą, kiedy pisał poemat *Andreae Patricio.* Wzorem tym był może Anakreon. 8) Znajomość iloczasu i budowa rytmiczna poszczególnych wierszy są wogóle u Kochanowskiego wzorowe.

Wskazałem, o ile mi wiadomo, wszystko, czem ostatnie lata przyczyniły się do dokładniejszej oceny największego naszego poety złotego wieku; do życiorysu, niestety, nie przybyło nic; utworów nowych nie odnaleziono, chyba te łacińskie, których autorstwo przypisuje Kochanowskiemu p. Marcin Sas w swym „Przyczynku do poezyi polsko-łacińskiej XVI. wieku" [1]. Nie wynika stąd zgoła, aby uczeni nasi uważali pracę nad Kochanowskim za skończoną. Jest to tylko dowodem rozumnej ekonomii zapełniającej te luki, które są większe, spieszącej z pomocą tam, gdzie istotna potrzeba nagli. Kochanowski ma już bardzo dobrą monografię, doczekał się nawet pomnikowego wydania, może jeszcze nie bez zarzutu, ale w każdym razie i takiego żaden z największych naszych poetów nie posiada.

(C. d. n.)

Antoni Mazanowski.

[1] Rozprawy Akad. Umiej. Wydz. filolog. t. XVIII, str. 302—333.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Rytuał rzymski a piotrkowski. Studyum prawno-liturgiczne. Skreślił *ks. Maryan Fulman*, Mag. św. teologii, b. mistrz ceremonii katedry włocławskiej. Kraków, G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1896. (W 8 ce, str. 198).

Szańcem niezdobytym dotąd, za którym bezpiecznie chroniła się wszelka u nas samowola w spełnianiu obrzędów liturgicznych, był rytuał piotrkowski. Czegoto nie przypisywano temu rytuałowi! Tymczasem nietylko tam nie ma ogólnej dyspenzy na samowolne dodatki czy zmiany, ale owszem z 35 miejsc, w których rytuał nasz różni się od rzymskiego, przeważna część pozbawiona jest wszelkiej podstawy prawnej. Wykazać to, zniszczyć ten dogodny szaniec, który służył za osłonę samowoli i nieporządków w służbie Bożej, przywrócić ze Stolicą Piotrową jedność i w św. ceremoniach — oto cel książki ks. Fulmana.

Jasno i gruntownie określa on przedewszystkiem (od str. 17 do 59) powagę rytuału rzymskiego. I z brewe Pawła V. *Apostolicae Sedi*, i z licznych odpowiedzi kongregacyi obrzędów, i z orzeczeń kongregacyi indeksu i wreszcie z nauki najpoważniejszych uczonych liturgistów wynika, że rytuał rzymski obowiązuje ściśle cały Kościół katolicki a wyklucza wszelkie rytuały partykularne. Rytuał piotrkowski mógłby tylko w takim razie mieć powagę prawa, gdyby go papież, najwyższy w sprawach liturgii prawodawca, zatwierdził, i przez to zwolnił Polskę od powszechnego obowiązku trzymania się rytuału rzymskiego. Na to żadnego niestety nie ma dowodu. Domysły zaś czy przypuszczenia wcale tu nie wystarczą. *Quod non est in actis, non est in mundo!* Może więc powaga piotrkowskiego rytuału opiera się przy-

najmniej na zatwierdzeniu synodu prowincyonalnego? Takie jest u nas powszechne mniemanie. Błędnem jest ono, bo synod piotrkowski z r. 1621 wydanie tylko rzymskiego rytuału uchwala *(cap. de libris agendorum)*, a komisyę, której tę sprawę porucza, upoważnia wyraźnie do zrobienia dwóch dodatków: pytań w języku polskim i niemieckim przy chrzcie św., i zamieszczenia używanej u nas formuły przy zawieraniu małżeństwa. Zresztą choćby nawet synod uchwalił wszystkie owe, w rytuale naszym zawarte dodatki, to znaczenia one żadnego nie mają, o ile sprzeciwiają się rozporządzeniom papieskim. Niechby miały i zatwierdzenie kongregacyi soborowej, jakie wraz z innemi uchwałami synodu piotrkowskiego otrzymały owe dwa dodatki do rytuału, to jeszcze nie mają sankcyi prawnej, bo rzeczy dotyczące obrzędów kościelnych należą do kompetencyi kongregacyi obrzędów, nie kongregacyi soborowej. Rytuał nasz może się poszczycić tylko zatwierdzeniem arcybiskupa-prymasa, Jana Wężyka. Biskup znów prawa papieskiego zmienić nie ma władzy; więc zmiany czy dodatki w naszym rytuale, przeciwne księgom liturgicznym przez Rzym zatwierdzonym, pozbawione są wszelkiej powagi prawnej; rytuał piotrkowski nie ma mocy obowiązującej. A zwyczaj tyloletni? Obrońcy praktyk naszych obrzędowych z tryumfem na niego się powołują, pewni zwycięstwa. Niestety i ta podstawa kruchą jest i niewytrzymuje naukowej krytyki. Aby zwyczaj nabrał znaczenia prawa potrzebnem jest obok innych warunków także przyzwolenie prawodawcy: *Dum princeps scit suam legem non servavi et tacet et tolerat, iam censetur connivendo consentire* — pisze Lucius Ferraris *(ad consuetudo n. 26)*. Jędrniej jeszcze wyraża się Benedykt XIV.: *Quod consuetudo praevaleat contra legem, id oritur ex ipsomet superioris consensu.* Można zaś mnóstwo przytoczyć dowodów, że ten przełożony nie zgadza się na zwyczaje przeciwne rubrykom, że je zawsze potępia, chociażby od niepamiętnych pochodziły czasów. To też De Herdt, znakomity pisarz dzieł liturgicznych, wcale się nie tający z zamiłowaniem do zwyczajów ojczystych w liturgii, bez ogródki twierdzi, że liturgia nie przypuszcza zwyczajów prawu przeciwnych *(contra legem)*, bo je władza prawodawcza ciągle i stanowczo odrzuca. *(Praxis liturg.* t. 1, n. 10). To samo zapatrywanie wypowiada dr. Val. Thalhofer, jakkolwiek radby gdzie tylko można, zastawiać się za swoje zwyczaje niemieckie *(Handbuch der kath. Liturgik*, str. 366). Znał zapewne doskonale zasady prawnicze autor wielu cennych dzieł z dziedziny prawa, D. Bouix, a przecież tego samego jest zdania, które też gruntownie uzasadnia *(Tractatus de iure liturgico*, pars 4, cap. 3). Możnaby jeszcze

przytoczyć *Ephemerides liturgicae,* miesięcznik wychodzący w Rzymie i cieszący się w sferach naukowych powszechnem poważaniem, który od początku swego powstania (r. 1883), stanowczo występuje przeciw zwyczajom zostającym w sprzeczności z prawami liturgicznemi. Nie ma rady; kruszy się ostatnia, na pozór najsilniejsza podpora naszego rytuału; rytuał piotrkowski traci wszelką podstawę prawną. Wszystkiego tego dowodzi ks. Fulman z wielką znajomością źródeł liturgicznych i obszernie, może nawet za szeroko, od str. 83—113.

Rozprawa jest ożywiona polemiką, odpierającą zarzuty ks. Kakowskiego, który w *Przeglądzie katol.* bronił naszych zwyczajów obrzędowych. Od str. 113—156 przechodzi autor szczegółowo, w czem rytuał piotrkowski sprzeciwia się przepisom mszału, gdzie pozostaje w niezgodzie z prawem ceremoniału i pontyfikału i rytuału rzymskiego. Szkoda, że przy tem gruntownem zresztą traktowaniu rzeczy, z lekka tylko i pobieżnie dotyka ks. Fulman jednego zarzutu. Nasuwa się mianowicie myśl, że znów na bezwzględne odrzucenie nie zasługuje rytuał piotrkowski, kiedy nasi biskupi (a było ich wielu i światłych i bardzo wybitnych i do Stolicy św. przywiązanych), trzymali się go przez tyle czasów i polecali go podwładnemu duchowieństwu; kiedy i naszym uczonym nigdy nie przyszła do głowy ani wątpliwość o jego powadze prawnej. Krótka na to byłaby odpowiedź: inaczej zapatrywano się na te sprawy dawniej, inaczej dzisiaj. Słowa Pawła V.: *hortamur in Domino* w brewe, zalecającem rytuał rzymski, tłumaczono jako radę a nie ścisły nakaz; to też jeszcze w ubiegłem stuleciu niezmordowany pisarz liturgicznych dzieł, Catalani, pozwala na używanie rytuałów partykularnych. Prócz tego sobór trydencki (sess. 24, cap. 1), dopuszcza przy zawieraniu małżeństwa na różne zwyczaje miejscowe; to orzeczenie rozciągnięto i na inne zwyczaje *(piae et laudabiles consuetudines),* jakto widać z zatwierdzenia prymasa Jana Wężyka, które czytamy na czele naszych rytuałów. Dzisiaj po tylu wyjaśnieniach, po tylu stanowczych odpowiedziach kongregacyi obrzędów, tylko ktoś (trzeba to już raz otwarcie powiedzieć) zupełnie nie znający się na rzeczy, albo stojący na niemożliwie przestarzałem stanowisku, może się jeszcze upierać przy zdaniu, że rytuał rzymski nie obowiązuje ściśle całego katolickiego Kościoła. Dzisiaj wiadomo, że ogólną regułą indeksu zakazane są rytuały, które zawierają jakieś dodatki do rytuału rzymskiego lub formuły benedykcyi, przez kongregacyę obrzędów nie zatwierdzone [1].

[1] W świeżo ogłoszonej konstutucyi papieskiej: *Officiorum ac munerum,* która zmienia ogólne reguły indeksu, czytamy następujący przepis w §. 18:

A teraz nasuwa się kwestya praktyczna: co czynić dalej? Czy wprowadzić rytuał rzymski natychmiast i bezwzględnie? Czy usunąć zwyczaje, z którymi od tylu wieków zrosły się sympatye ludu? Tego nikt nie żąda; owszem, wiele pięknych i budujących nabożeństw naszych ma prawo zwyczaju, bo nie są przeciwne przepisom liturgicznym, np. nasz Grób Pański, rezurekcya, procesya z 4 ołtarzami na Boże Ciało, procesya żałobna i t. d. Inne praktyki, potępione prawem liturgicznem powszechnego Kościoła, usunąć trzeba, a usunąć bez oporu i żalu, bo chodzi tu o sprawę ważną i o dobro ogólne. *Non sit molesta novitas, quae proba est,* powiada pięknie jeden ze starych pisarzy, którego słowa położył ks. Fulman jako *motto* na tytule swej książki. Zresztą i przy usuwaniu nadużyć czy bezprawi, Kościół nigdy nie postępuje gwałtownie i bezwzględnie, ale każe przeprowadzać zmiany z niezmierną oględnością i wyrozumieniem. Trzeba tu pewne zasady mieć w pamięci. Pierwszą z nich ta, że żaden kapłan nie ma prawa własną powagą zaprowadzać zmian w publicznem nabożeństwie. Rzecz ta ściśle należy do biskupów, jakto niejednokrotnie oświadczyła kongregacya obrzędów. Dalej, niektóre zwyczaje nasze dadzą się bez trudności usunąć, tak, że nikt tego nawet nie zauważy, np. użycie formuły z rytuału rzymskiego do błogosławienia wina w dzień św. Jana Ap., owsa w św. Szczepana i t. d. Inne zwyczaje, przeciwne rubrykom, należy usuwać z wielką ostrożnością i po poprzedniem przygotowaniu ludu. Najwięcej trudności przedstawiać może będzie usunięcie formuły przepisanej przez nasz rytuał przy błogosławieństwie Najśw. Sakramentem, a przeprowadzenie ścisłe prawa, zawartego w ceremoniale biskupim. Jednak i to wypada uczynić. Daremno tem się bronić, że ludy romańskie rozumieją śpiewy łacińskie, więc przeprowadzenie przepisów liturgicznych nie napotyka wśród nich na żadne trudności. Prosty lud włoski nietylko łaciny, ale i różnych narzeczy swego języka nie rozumie. Piemontczyk nie może się dogadać z Neapolitańczykiem. A i nasz lud czy rozumie wszystko, co śpiewa, chociaż i po polsku? Nieraz może jednego nie znajdzie w kościele, coby rozumiał słowa: „Niech ustąpią z testamentem Nowym sprawom już starzy, Wiara będzie suplementem“ i t. d. To też w archidyecezyach,

---

In authenticis editionibus Missalis, Breviarii, Ritualis, Caeremonialis Episcoporum, Pontificalis romani, aliorumque librorum liturgicorum a sancta Sede Apostolica approbatorum, nemo quidquam immutare praesumat: si secus factum fuerit, hae novae editiones prohibentur. *(Przyp. Redakcyi).*

dla których przedewszystkiem przepisany był rytuał piotrkowski, już dzisiaj przed benedykcyą Najw. Sakramentem śpiewają po łacinie: *Tantum ergo,* a po modlitwie: *Deus, qui nobis sub Sacramento,* kapłan wśród zupełnej ciszy udziela błogosławieństwa — zupełnie według normy ceremoniału biskupiego *(Decr. 2 congreg. 7 decanorum Archid. Gnesn. et Posn. a. 1892).* Bez wątpienia każdemu drogie są dawne zwyczaje, zwłaszcza jeżeli się samemu do nich przywykło; ale dla utrzymania ścisłej jedności liturgicznej z całym Kościołem żadna ofiara (nieraz tylko pozorna), nie powinna nam wydawać się za ciężką, tembardziej że okoliczności, w jakich żyjemy, nakazują nam, dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, abyśmy nie uronili ani jednego ogniwa z łańcucha, który nas przykuwa do Stolicy Piotrowej. Francuzom niemniej przykro było pożegnać się z własną liturgią. Gdy się ukazało dzieło Guéranger'a: *Institutions liturgiques,* podniosły się głosy nawet biskupów w obronie zwyczajów zadawnionych. Prawda wreszcie zwyciężyła. Drugie dzieło Guéranger'a: *Année liturgique,* niesłychany wpływ wywarło nawet na świeckich, pokonało wszelkie uprzedzenia. Usunięto wszędzie naleciałości, wprowadzono liturgię rzymską. Była to zasługa jednego męża, jak z uznaniem dla Guéranger'a wyrażał się Pius IX. Oby i u nas zrozumiano, jak doniosłą rzeczą jest jedność ze Stolicą św. i w obrzędach św. *Non sit molesta novitas, quae proba est!*

Ks. Fulmanowi należy się wdzięczność i uznanie, iż podjął się sprawy nader ważnej i aktualnej, i przeprowadził ją w swem dziele gruntownie i decydująco. Taka książka była u nas od dawna już pożądaną, a do jej napisania trzeba było dwóch rzeczy: nauki i odwagi. Ks. Fulmanowi nie brakło ani jednej, ani drugiej.

Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz.

Opowiadania z dziejów powszechnych dla niższych klas szkół gimnazyalnych i realnych. *Dr. Aleksander Semkowicz.* Część druga. Lwów 1894. (Str. 135). Część trzecia. Lwów 1835. (Str. 176).

Do rzędu samodzielnie opracowanych książek szkolnych, wypierających stopniowo ze szkół średnich dawne przeróbki niemieckich oryginałów, przybyły niedawno nowe podręczniki historyi, ułożone przez obecnego redaktora *Kwartalnika historycznego*, d-ra Semkowicza dla uczniów 2, 3 i 4 klasy szkół średnich. Podręczniki te wydane są starannie i ozdobione rycinami (wcale dobremi), których dotąd w żadnym podręczniku do nauki historyi nie było, a które nietylko przyczyniają

się do zainteresowania uczniów, ale też ułatwiają spamiętanie nazwisk i wypadków Krytyka podniosła już zalety „Opowiadań“ d-ra Semkowicza, a zarazem wytknęła różne pomyłki, jakie się wkradły do jego pracy i koniecznej w najbliższem wydaniu domagają się poprawy. Nikt jednak dotąd nie zwrócił jeszcze publicznie uwagi na pewne poglądy autora, które dotyczą spraw kościelnych. a historycznie uzasadnić się nie dają.

W części drugiej na str. 48 czytam, że Grzegorz VII. „zaprowadził celibat, tj. bezżeństwo kapłanów, aby się mogli troszczyć tylko o Kościół, a nie o swe rodziny“. Nie wiem, czy dotąd jeszcze upiera się wielu historyków przy takiem przedstawieniu rzeczy, ale kto szuka prawdy dziejowej bez uprzedzeń, przekona się łatwo, że to zapatrywanie jest nie tylko już w najwyższym stopniu nieprawdopodobne (bo trudno przecież przypuścić, żeby jeden człowiek, chociażby najpotężniejszy i najenergiczniejszy, mógł narzucić całemu duchowieństwu celibat), ale nie zgadza się poprostu z świadectwami historyi. Dosyć jest na to dowodów, że w Kościele zachodnim istniał celibat od czasów apostolskich i że żądanie Grzegorza VII. nie było wcale nowością. Tak np. pisze św. Hieronim w liście 48 (n. 21) do Pammachiusa: *Episcopi, presbyteri, diaconi aut virgines eliguntur, aut vidui, aut certe post sacerdotium in aeternum pudici.* Gdyby celibat był tylko zwyczajem, zachowywanym tu i owdzie w pewnej epoce, a nie był ustanowiony przez samych apostołów, nie możnaby wytłumaczyć sposobu, jakim wyraża się o nim także Siricius (w r. 385; ep. 1 n. 8), ani też uchwał synodalnych, które wzywają wszystkich duchownych do zachowania celibatu, oczywiście dlatego, że zdarzały się i w tym względzie wykroczenia, spowodowane ludzką słabością. Ze i w kościele wschodnim istniał już w pierwszych wiekach celibat, o tem świadczą między innemi wyraźne słowa św. Epifaniusa (haer. 59, n. 4:) *Quin eum, qui adhuc in matrimonio degit ac liberis dat operam, tametsi unius uxoris sit vir, nequaquam tamen ad diaconi, presbyteri, episcopi aut hypodiaconi ordinem admittit Ecclesia: sed eum dumtaxat, qui ab unius uxoris consuetudine sese continuerit, aut ea sit orbatus, quod in illis locis praecipue fit, ubi ecclesiastici canones accurate servantur.* Dlatego całkiem zgodnie z prawdą uczą inni historycy, i to nietylko kościelni, że Grzegorz VII. przypominał tylko dawniejsze dekrety kościelne i żądał, żeby ich przestrzegano. To samo mówią podręczniki dziś używane w wyższych klasach szkół średnich. Tak np. prof.

Zakrzewski pisze o dekretach Grzegorza VII. [1], że były one „ostrzejsze od dawniejszych“ i „bezwzględnie nakazywały duchowieństwu celibat“ (str. 68); a w innem miejscu czytamy, że „zakonnicy kluniaccy podjęli walkę z nadużyciami w samym Kościele, z których mianowicie dwa były najcięższą jego plagą: symonia i małżeństwo księży“ (str. 65). Czyż więc uczniowie klas niższych mają uczyć się innej historyi i przyswajać sobie poglądy, które dopiero profesor klas wyższych będzie miał obowiązek prostować?

Co do zatargu Fryderyka II. z Kościołem, wedle zdania p. Semkowicza, Fryderyk był rzeczywiście „chory“, kiedy w r. 1227 zaniechał zaprzysiężonej krucyaty; ale papież Grzegorz IX. „nie wierzył w jego chorobę“ i cisnął nań klątwę, piętnując go „w groźnych wyrazach jako kłamcę i obłudnika, który przez 12 lat odkładał krucyatę, wskutek czego chrześcijanie palestyńscy nieobliczone ponieśli szkody“; nazwał nawet cesarza „sługą Mahometa“ (str. 70). Że papież nie miał słuszności, tego p. S. wyraźnie nie mówi, ale to wynika jasno z jego przedstawienia rzeczy: bo skoro cesarz był chory i wytłumaczył się (jak czytamy dalej) w listach, rozesłanych do wszystkich państw europejskich, z powodów, które dotychczas przeszkadzały krucyacie — za cóż spotkała go klątwa? I za cóż później jeszcze potępił go papież i jego układ z sułtanem, w którym uzyskał Jerozolimę bez krwi rozlewu? Za cóż znowu Innocenty IV. „postanowił wytępić ród Hohenstaufów“? (str. 71) Fryderyk „pragnął zgody z papieżem“, ale ten „uważał go za obłudnika“, rzucił na niego klątwę i „ogłosił przeciw niemu krucyatę, jakby przeciw jakiemu heretykowi“ (str. 72). Cały ten ustęp musi wywołać w głowach uczniów jak najgorsze wyobrażenie o tych zwierzchnikach Kościoła, którzy bez słusznego powodu postanowili zgubić „nieszczęśliwego“ (str. 72) Fryderyka, posądzając go o obłudę i herezyę. Tymczasem w wyższem gimnazyum spotyka się uczeń z innym poglądem. W podręczniku prof. Zakrzewskiego znajdzie on całkiem odmienną charakterystykę Fryderyka. Dowie się, że cesarz ten „przedsięwziął pozbawić papiestwo tej potęgi i zwierzchniczego stanowiska, które mu dał Innocenty III.“; dowie się, że Fryderyk II. był to „człowiek wielkiego rozumu i nadzwyczajnych talentów, niezmiernie wykształcony, protektor uczonych i sam poeta, ale zarazem przewrotny, bez wszelkich zasad moralnych, pełen obłudy niedowiarek“ (str. 112); że „łudził przyrzeczeniami“ papieża, iż wyruszy na krucyatę, że, „tłumacząc

[1] „Historya wieków średnich“. Kraków 1894.

się chorobą", zaniechał wyprawy, że w walce toczącej się we Włoszech „występował z rosnącem ciągle okrucieństwem" (str. 116).

A w tych poglądach prof. Zakrzewski nie jest wcale odosobniony. Podzielają je nawet (po części) zwolennicy Fryderyka II. Tak np. Kugler w „Historyi wojen krzyżowych" [1] pisze między innemi: „Wenn auch in seinem Herzen die religiöse Stimmung nicht lange fortgewirkt hat, so ist dafür seine Sehnsucht nach Ausdehnung der kaiserlichen Allmacht über die Staaten des Morgenlandes stets gleich rege geblieben" (str. 327). „Der Kaiser hatte ja... seine religiöse Indifferenz rückhaltlos zur Schau getragen" (str. 340). Mohamedanie z którymi Fryderyk II. obcował, zapewniają stanowczo, że w religię Chrystusową nie wierzył[2]; nie był on prawdopodobnie autorem książki *De tribus impostoribus*, ale podobne myśli wypowiadał w zaufaniu, a zresztą cała jego polityka dowodzi najwymowniej, że dobro Kościoła nigdy mu nie leżało na sercu. Nie można dziś naturalnie stwierdzić, że w r. 1227 nie dla choroby zaniechał krucyaty, ale całkiem nieprawdopodobne jest przypuszczenie, że papież oskarżył go bez podstawy. Zresztą i później okazał Fryderyk aż nadto wyraźnie swoją niechęć do walki z Islamem, a układ, przez niego zawarty z sułtanem, nie zabezpieczał oczywiście posiadania Jerozolimy chrześcijanom; był on raczej korzystny dla ich nieprzyjaciół. Sam Kugler przyznaje (l. c. str. 340), że Fryderyk zapewnił Muzułmanom pomoc przeciw chrześcijanom, znajdującym się w Antyochii i w innych miastach Syryi północnej; jakże więc z tem pogodzić twierdzenie tegoż autora, wypowiedziane na stronie poprzedniej, że był to prawdziwy tryumf dla całego chrześcijaństwa, równie jak i twierdzenie p. Semkowicza (str. 71), że Fryderyk, „bez rozlewu krwi dokonał dzieła, o które najpotężniejsi władcy przez lat 40 daremnie się pokuszali"? Jakże to dziwnem musi wydawać się chłopcom, kiedy czytają zaraz poniżej, że papież ten układ potępił? Powodu autor nie podaje, więc była nim chyba jedynie zaciętość? Jednem słowem, cała prawie osnowa ustępu 22-go wymaga sprostowania!

Powstanie Niderlandczyków — tak twierdzi pan Semkowicz — wywołał sam Filip II. przez to, że „rządy namiestnicze powierzał Hiszpanom a nie rodzimym książętom. a w miastach utrzymywał załogi hiszpańskie..., że wystarał się u papieża o ustanowienie trzech

[1] *Geschichte der Kreuzzüge.* 2 Auflage. Berlin. 1891.

[2] Por. Reinaud, *Bibliothèque des croisades.* IV, str. 431, 483, 491, 496.

arcybiskupstw w Niderlandach i wydał srogie rozporządzenia przeciw heretykom". Wtedy dopiero „oburzona postępowaniem króla szlachta utworzyła związek celem obrony dawnych praw i wiary" (część III, str. 29). Kardynał Granvella był „srogim prześladowcą", więc wywołał ku sobie nienawiść, która spowodowała Wilhelma, Egmonta i Horna do wystąpienia z rady państwa (str. 30).

Wypadki te przybierają postać całkiem odmienną, kiedy się uwzględni korespondencyę Wilhelma, Filipa II., Małgorzaty, papiery Granvelli i inne uwagi godne dokumenty. Że Filip II. niejeden błąd popełnił, to przyznają wszyscy poważni historycy. Nie starał się on poddanych sobie pozyskać, bywał zanadto surowy i bezwzględny, a kiedy Pius V. udzielił mu dobrej rady, wybuchnął dumny autokrata gniewem wobec legata papieskiego, zarzucając Ojcu św., że miesza się w jego sprawy [1]. Ale nie błędy jego wywołały rewolucyą. Wywołała ją niezadowolona szlachta, na której czele stał Wilhelm orański, człowiek chytry, obłudny (wobec katolików udawał on katolika, a wobec luteranów zwolennika herezyi) a niezmiernie ambitny; sądząc z wszystkiego, co o nim wiemy, trzeba, mojem zdaniem, przyznać zupełną słuszność słowom Weissa (*Weltgeschichte* tom VIII[3], str. 381): „Die Reihe von Schritten, zu denen er den Adel zu verleiten wusste, ist eine wahre Musterschule, wie man ein Volk zum Abfall bewegen und einem König ein Land entreissen kann". Zaraz w r. 1559 namówił Wilhelm stany, że zażądały odwołania wojsk hiszpańskich, które też tego samego jeszcze roku kraj opuściły. Ten więc powód niezadowolenia był usunięty, ale teraz czepiono się sprawy biskupstw (p. S. mówi tylko o trzech arcybiskupstwach, nie wspominając o czternastu biskupstwach, które jednocześnie otrzymały Niderlandy); ze stanowiska religii i dobra kraju nie zasługiwał Filip w tym względzie na żaden zarzut (zresztą już ojciec jego rozpoczął starania o pomnożenie dyecezyi), ale szlachta miała swoje powody do niezadowolenia z tej nowości, a pomiędzy ludem rozpowszechniono obawę, że razem z nowymi biskupami wprowadzi Filip inkwizycyę hiszpańską do kraju. Także i owe „srogie rozporządzenia przeciw heretykom", które już istniały od czasów Karola V. i były czasem wykonywane, nie byłyby popchnęły Niderlandczyków do rokoszu, ale rokosz ten spowodowała agitacya

[1] Gachard, *Correspondance de Guillaume le Taciturne, prince d'Orange.* Tom I, str. 488. — Kervyn de Lettenhove, *Les Huguenots et les Gueux.* Bruges 1883—1885, Tom I, str. 470.

Wilhelma i jego stronników. Przeniknął ich zamiary kardynał Granvella i to było właściwym powodem ich nienawiści przeciwko niemu [1]. Nie wiadomo, dlaczego p. S. nazywa tego męża, który przejęty najlepszemi chęciami, pracował dla dobra kraju i królowi doradzał łagodność, o którym też nowsi historycy (a między nimi także protestanci) wydają sądy korzystne [2], „srogim prześladowcą". Gdzież na to dowody? Owszem sam Wilhelm, chcąc zachwiać stanowisko Granvelli, oskarżał go przed królem, że nie dosyć energicznie pracuje nad wytępieniem herezyi (por. Janssena, *Geschichte des deutschen Volkes* tom IV[12], z r. 1885, str. 251). Co innego Alba — ten był istotnie srogim; nikt też nie myśli zaprzeczać, że odpowiedzialność za jego postępowanie spada i na króla; ale zanim jeszcze go wysłał do Niderlandów, wywołała partya rewolucyjna owe straszne rozruchy, które właśnie skłoniły Filipa do użycia środków najsurowszych a zgubnych.

Słowa uznania dla Zygmunta Starego, że umiał „szanować przekonania religijne" heretyków, równie jak pochwała udzielona Zygmuntowi Augustowi, za to, że „nie chciał być sędzią sumienia ludzkiego" (cz. III, str. 14), musi chłopcom nasunąć myśl, że także inni królowie i władcy nie powinni byli występować przeciw herezyi, ale szanować przekonania religijne wszystkich odstępców i wrogów Kościoła katolickiego. Że „tolerancya cywilna" w pewnych wypadkach jest rzeczą dobrą i słuszną, zgodną z duchem Kościoła i Ewangelii, temu nikt z katolików nie przeczy; stąd jednak nie wynika jeszcze, że walki, prowadzone przeciw heretykom w dawnych czasach, były wogóle niesłuszne, że należało zostawić swobodę możnowładcom, którzy biednemu ludowi gwałtem narzucali herezyę i dążyli do wytępienia wiary prawdziwej. Zresztą i Zygmunt August wydawał mandaty przeciw niektórym sektom, zabraniające im zebrań publicznych, a więc i on, niekiedy przynajmniej, występował jako sędzia w rzeczach „wiary i sumienia". A i o Zygmuncie Starym pisze np. p Rawer w swych „Dziejach ojczystych dla młodzieży", że „zabraniał surowo rozpowszechniania nowych nauk i heretyckich książek" (str. 98).

W sądach o Józefie II. zachowuje dr. Semkowicz dziwną oględność

[1] Nawet Groen van Prinsterer *(Archives ou Correspondance inédite de la maison d'Orange-Nassau.* Leide 1835—1847; t. I, 191), stwierdza to w słowach: „Le principal grief de ses antagonistes était, qu'il avait l'oeil trop ouvert sur leurs desseins".

[2] Sądy te zestawia Janssen w dziele: *Schiller als Historiker* (1879, str. 56 i nast.).

Wprawdzie nie chwali on wszystkich jego „reform“, ale z drugiej strony nie chce też uznać głównych jego myśli za błędne. Pisze więc (na str. 111), że cesarz ten „chcąc usunąć wszelką samoistność prowincyonalną i jednakową w całym kraju zaprowadzić administracyę (centralizacyę), narzucił wszystkim ludom, podlegającym jego berłu, jedno prawo i jeden język; tym sposobem zniechęcił ku sobie ludność, przywiązaną do ojczystego języka, do dawnych urządzeń i tradycyi; chciał odrazu i gruntownie odrodzić Austryę, ale ten gorączkowy pośpiech spowodował chaos, zamieszanie i ogólne niezadowolenie“. Te i inne podobne wyrażenia muszą wywołać w umyśle uczniów sąd dodatni o twórcy systemu, zwanego Józefinizmem. O zniesieniu klasztorów i innych reformach religijnych Józefa II., nie wydaje p. S. własnego sądu; czytamy tylko (na str. 109), że te reformy „wywarły w Rzymie bolesne wrażenie“. To nie dosyć. Działalność Józefa II. na polu kościelnem była nieprawną i szkodliwą; mojem zdaniem, należałoby uczniom wprost o tem powiedzieć, podnieść niektóre przynajmniej jej skutki i zaznaczyć, że Rzym całkiem słusznie czuł się temi reformami dotkniętym i w swoich prawach pokrzywdzonym.

Na ostatek nasuwa mi się jedna jeszcze uwaga, nieco ogólniejszej natury. Podręczniki historyczne dla uczniów niższych klas szkół średnich powinny — mojem zdaniem — zawierać materyał historyczny bardzo starannie i oględnie wybrany, i traktować go w sposób odpowiedni temu stadyum rozwoju umysłowego, w jakiem znajduje się dziecko 12—14 letnie. Wydaje mi się rzeczą niewłaściwą dążyć do tego, aby uczniowie klas niższych zapoznali się, choćby w sposób elementarny, z całokształtem dziejów; niepodobna im wyjaśnić gruntownie na tym stopniu nauki związku wypadków historycznych, ich przyczyn i skutków, nie należy też roztaczać przed nimi poglądów na rzeczy zawiłe i trudne, z których nie potrafią zdać sobie sprawy; podawać im krytyki prądów duchowych, urządzeń kościelnych lub politycznych, do której nie dorośli. Ogólnie przyznają nauczyciele, że młodzież tak kształcona nie wynosi z klas niższych takich wiadomości historycznych, do których możnaby w wyższem gimnazyum nawiązać; — i nic dziwnego, bo te wiadomości nie czepiają się głów dziecięcych, więc muszą się bardzo prędko ulatniać. Żywe opowiadanie, działające na wyobraźnię, o jakimś czynie bohaterskim zapisze się nieraz na zawsze w pamięci dziecka, ale przyczyny i skutki wypadków, związek, jaki między nimi zachodzi, przeobrażenia polityczne, rozwój ustawodawstwa i t. p., wymaga już pewnej refleksyi, do której

chłopiec zdolny jest w roku 15-ym albo 16-ym, ale nie w 12-ym życia. Największa część uczniów niczego z tych rzeczy nie zrozumie a więc i nie zachowa w pamięci; jeżeli zaś znajdzie się jakieś bystrzejsze pacholę, które już zaczyna zastanawiać się nad poważniejszemi kwestyami, nauczy się ono szermować frazesami, których nie rozumie i podręcznik szkolny całkiem niepotrzebnie przyczyni się do przedwczesnego „rozpolitykowania" tego pacholęcia. Gorsze jeszcze skutki pociąga za sobą krytykowanie wobec dziatwy środków, któremi posługiwali się w polityce papieże. Można zapewne i trzeba w klasach najwyższych powiedzieć coś o błędach, które popełniali (chociaż stosunkowo bardzo rzadko) papieże, ale w klasie trzeciej taka krytyka musi zachwiać w oczach dziecka powagę i urok tej najwyższej instytucyi kościelnej, na którą jego umysł spoglądał dotąd z pietyzmem.

Jakie nauczanie historyi powszechnej jest dla tego wieku stosowne, trafnie określiło Ministerstwo oświaty, jak świadczy okólnik z 24 maja 1892 roku (*Verordnungsblatt*, str. 404 sq.); czytamy tam bowiem wyraźnie: „Der Unterricht auf dieser Stufe ist Vorbildung und unterscheidet sich wesentlich von jenem auf der Oberstufe. Er darf sich deshalb nicht die Aufgabe stellen, die Geschichte in systematischer Darstellung zu lehren, vielmehr wird er sich in sorgfältiger Auswahl auf jenen Stoff zu beschränken haben, welcher leichtfasslich, für lebensvolle Gestaltung geeignet ist und das Gemüth des Knaben zu erwärmen vermag, somit dem natürlichen Interesse der Schüler die erwünschte Nahrung und Befriedigung gewährt". A więc nie systematyczny wykład historyi, ale zajmujące, łatwe do zrozumienia, przemawiające do serca i do wyobraźni chłopców opowiadania o życiu i czynach najznakomitszych osobistości historycznych przeznacza ministerstwo całkiem słusznie dla niższego gimnazyum. Takie też opowiadania miał napisać prof. S. na życzenie Rady szkolnej krajowej. Myślę, że temu zadaniu szan. autor niezupełnie odpowiedział.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga, odnosząca się do nauczania historyi wogóle. Według mego zdania (które zresztą nie ma wcale pretensyj do oryginalności) należałoby systematyczną jej naukę zaczynać w klasie 4 tej i doprowadzać ją w klasie 7-ej do najnowszych czasów, nie traktując osobno historyi polskiej i austryackiej. Materyał, zawarty w podręcznikach, obecnie przepisanych, może być bez szkody dla uczniów znacznie skrócony. Wszystkie wiadomości, których nie potrafi jeszcze dobrze zrozumieć chłopiec 14 lub 15-letni, trzeba uwzględniać w tych

klasach o tyle tylko, o ile to jest konieczne do wyjaśnienia faktów. W klasie zaś 8-ej należałoby jeszcze raz przejść całą historyę powszechną w taki sposób, żeby uczniowie głębiej pojęli działające w niej czynniki; tu dopiero możnaby mówić z korzyścią o demokracyi i arystokracyi (ateńskiej i nowożytnej), o rozwoju cywilizacyi, o wielkich ideach średniowiecznych, o sztukach pięknych, o filozofii i t. p. Dziś mówi się o tem wszystkiem zawcześnie; już w klasie 5 ej słyszą uczniowie o Platonie i jego „ideach"(!) i siedzą naturalnie jak na tureckiem kazaniu; w 6-ej klasie nie mogą oni dobrze pojąć istoty „humanizmu", bo jeszcze za mało myślą i czytają, za mało znają starożytną i nowszą literaturę klasyczną (dopiero w klasie 7-ej uczą się o klasycyzmie w literaturze polskiej i niemieckiej); a czyż nie jest to dosyć dziwnym pomysłem naszego planu naukowego, że na zakończenie studyów historycznych podaje się uczniom zamiast szerszego poglądu na rozwój ludzkości — statystykę monarchii austryackiej? [1]

Uważałem za rzecz pożyteczną wypowiedzieć parę tych uwag w interesie naszej młodzieży i naszej szkoły średniej, której służę od dawna; sprawa wydawała mi się dość ważną i aktualną.

Ks. dr. Aleksander Pechnik.

Racławice, obrazek z Kościuszkowskiego powstania w 4 odsłonach. **Matka,** dramat z IV. wieku w 3 aktach. **Św. Cecylia,** obraz dramatyczny, na tle aktów męczeńskich ułożony w 5 odsłonach. Napisał *Margert.* Kraków. Nakładem A. M. Kosterkiewicza, 1895. (W 8ce, str. 112, 158, 102).

Autor, ukrywający się pod pseudonimem Margerta, daje nam w tej książce drugą już seryę „obrazów scenicznych", poświęconych — jak mówi jedna z kart tytułowych — młodzieży polskiej. Pierwszy z tych obrazów, p. t. „Racławice", podobny jest treścią do znanej sztuki Anczyca. Nie dorównuje jej wprawdzie, zwłaszcza ze względu na warunki sceniczne, wart jednak polecenia ze względu na piękną tendencyę patryotyczną, która żywo przemawia do duszy. Za zaletę trzeba poczytać autorowi i to, że na tle Kościuszkowskiego powstania scharakteryzował różne odmienne poglądy i opinie, nurtujące podówczas w polskiem społeczeństwie, wśród którego znajdowali się, jak

[1] Wniosek tej treści d-ra Leńka przyjęło niedawno jednomyślnie Koło tarnowskie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

wiadomo, nietylko ludzie pełni zapału i poświęcenia dla sprawy narodowej, ale też jednostki chłodne, a nawet nastrojone sceptycznie.

W drugim z rzędu utworze p. t. „Matka“, mamy do czynienia jako z postaciami pierwszorzędnemi, z wielkim Augustynem i pobożną jego matką, Moniką. Autor przedstawia nam duchowe jej bóle i katusze, jakie przechodziła przed nawróceniem syna, chociaż wśród swoich rówieśniczek uchodziła za najszczęśliwszą kobietę na ziemi. Akcya się toczy częścią w afrykańskiej Tagaście. częścią w Rzymie, kończy się wreszcie w Medyolanie nawróceniem św. Augustyna. Rzecz bez kwestyi podniosła, przeprowadzona z zapałem i polotem, choć jako utwór sceniczny mniej udana. Przytem za wiele w niej elementu erotycznego; cały wreszcie aparat duchów, wabików, syren, mających bądź nęcić Augustyna do złego, bądź na drogę cnoty prowadzić, zanadto jest fantastyczny, niepotrzebny i podniosłość wrażenia nieraz obniża.

Najsłabiej wypadła „Św. Cecylia“. Ma to być obrazek dramatyczny, ułożony na podstawie aktów męczeńskich świętej, a przedstawiający jej zaślubiny z patrycyuszem rzymskim Waleryanem, znane pojawienie się anioła, wreszcie nawrócenie Waleryana i jego brata Tyburcego i śmierć męczęńską ich obu wraz z świętą dziewicą. Rzecz pełna uroku i nadprzyrodzonego blasku w owem krótkiem a prostem przedstawieniu, w jakiem nam ją przechowały podania kościelne, w obrobieniu scenicznem p. Margerta, mimo najlepszych jego zamiarów i całego pietyzmu dla postaci świętej, traci nieco z swego uroku i prostoty, staje się nieraz nienaturalną, wymuszoną, w niektórych scenach i sytuacyach zupełnie nieumotywowaną, a czasem prawie przykrą. Podnoszono już nieraz, że męczennicy i święci wogóle nie nadają się do sceny; to przekonanie podzielamy w zupełności.

Książka p. Margerta wywołała swego czasu wiele wrzawy i polemiki w pismach Niektórzy z recenzentów odmówili jej wszelkich warunków scenicznych, inni nawet wszelkiej literackiej wartości. Na pierwszy zarzut godzimy się, o ile chodzi o większą scenę; zwracamy jednak uwagę, że autor dla niej nie pisał. Oprócz drugiego utworu: „Matka“, który niewłaściwie nazwał dramatem, określa on swe prace, jako „obrazy sceniczne“ lub „obrazki dramatyczne dla młodzieży“. Jest to określenie dość skromne i oznacza rodzaj, który bez wątpienia ma racyę bytu w literaturze, byleby tylko nie oceniać go wedle miary utworów ściśle dramatycznych, przeznaczonych dla właściwej sceny. Młodzież odgrywała już utwory p. Margerta, i to podobno z niemałem powo-

dzeniem, jak zapewnia prof. Cyfrowicz [1]. A zresztą choćby i dla scen młodzieży nie nadawały się te obrazki, mogą się przecież nadawać do lektury — i pod tym względem sądzę, że rzeczywiście na polecenie zasługują. Mimo swych braków pod względem scenicznym, mimo pewnej nienaturalności jużto w sytuacyach, jużto nawet w języku i formie spotykamy w nich ideały wiary, cnoty, patryotyzmu, przedstawione z wielkiem ciepłem, z jakąś świeżością uczucia i szlachetnego zapału, nieraz nawet z podniosłością i polotem poetycznym. Wiersz wogóle płynie gładko, a język wszędzie poprawny podnosi się nieraz do wyższej nawet piękności i siły Dodawać nie potrzeba, jak ożywczo tego rodzaju utwory, choćby nie były arcydziełami, działać mogą na umysły i serca młodzieży, wśród której pewne ideały i hasła tak zbladły w ostatnich czasach, a która tak często zabija czas, paczy sobie charakter i psuje serce płytką, bezmyślną, a zazwyczaj i niezdrową lekturą powieści.

Kazimierz Bronikowski.

Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny. Przez *Bronisława Gubrynowicza*. Lwów 1896. Odbitka ze sprawozdania Zakł. nar. im. Ossolińskich za r. 1895. (W 8-ce, str. 23).

Tę drobną, ale cenną pracę podzielił autor na dwie części, z których pierwsza zawiera rzut oka na stosunki artystyczne w Polsce, druga żywoty i dzieła malarzy naszych z czasów Jana III. Że w narodzie, który nie miał prawie chwili spokoju od wroga, mało miała sztuka pomyślnych warunków rozwoju, na to się chętnie każdy zgodzi; ogólny jednak obraz naszego artystycznego życia, na podstawie dotychczasowych badań, przedstawia się w barwach daleko żywszych, niż go autor nakreślił. Już znaczna liczba dzieł tej epoki, zajmujących się teoryą sztuki, które sam p. Gubrynowicz przytacza, a z których niejedno doczekało się licznych wydań, świadczy o dość szerokiem zainteresowaniu się sztuką; gdzie zaś jest zainteresowanie się, tam musi być i przedmiot, który wzbudza interes. Prócz tego z jednej strony zabytki dzieł sztuki, które nie uległy rabunkowi, zniszczeniu, nie przeszły do rąk obcych. z drugiej zaś inwentarze kościołów, tudzież rezydencyj pańskich i mieszczańskich, wydobywane dziś na światło dzienne przez skrzętnych naszych pracowników na niwie dziejów sztuki,

[1] *Muzeum*, 1896. Maj, str. 332.

dowodzą, że i w tym kierunku niewiele pozostawaliśmy w tyle poza naszymi sąsiadami, żyjącymi w daleko pomyślniejszych warunkach.

W drugiej, szczegółowej części swej pracy przesuwa autor przed naszemi oczyma szkice z życia i działalności najpierw malarzy obcej narodowości, pracujących u nas i dla nas za panowania Jana III., następnie rodowitych Polaków. Z pierwszych widzimy Marcina Altomontego, którego obrazy historyczne z dziejów Jana III. żywo i plastycznie autor opisuje, Ferdynanda van Kessel, Franciszka Desportes'a, doskonałego portrecistę, który nawet kobietę tak pretensyonalną jak królowa potrafił zadowolnić. Z polskich malarzy wymienia Rejznera i Bazylego ze Lwowa, dłuższe zaś ustępy poświęca Trzyckiemu i Elenterowi. Ta znaczna stosunkowo liczba nazwisk i dzieł, z czasu jednego tylko panowania, należącego zresztą do epoki powszechnego upadku sztuki, świadczy wcale korzystnie o ówczesnym ruchu artystycznym u nas, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy, że p. Gubrynowicz (jak to sam w dopisku zaznacza), nie pisze wyczerpujących dziejów malarstwa w Polsce za Jana III., lecz chce tylko podać do wiadomości „kilka nowych szczegółów". Oprócz nowych szczegółów podaje autor wiele z tego, co już dotąd było znane; szkoda, że nie wszystko, bo obraz byłby zupełniejszy i dokładniejszy. Historya sztuki w Polsce jest jeszcze nierozpoczętą budową; do zgromadzanego na tę budowę materyału dołożył autor jeden starannie obrobiony cios, za który należy mu się szczera wdzięczność.

Jan Bryl.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die innere Mission der Protestanten in Deutschland. In ihrem Wesen, Wirken und ihren Werken dargestellt von *P. Cyprian, O. Cap.* Zweites Tausend. Passau Verlag von Rudolf Abt. 1895. (8-o, 26 Seiten).

Die innere Mission der Protestanten in Bayern und München. Dargestellt von *P. Cyprian, O. Cap.* Zweites Tausend. Passau. Verlag von Rudolf Abt. 1895. (8-o, 32 Seiten).

Kościół protestancki w Niemczech, któremu, wedle zdania własnych jego teologów grozi całkowite i niedalekie już rozbicie na polu dogmatycznem, począł w ostatnich czasach szukać punktu oparcia i zjednoczenia się w działalności tak zwanej „Misyi wewnętrznej".

Instytucya ta, do niedawna mało była znaną wśród katolików, nawet niemieckich: dopiero szeroko znany z prac swych na polu socyalnem Kapucyn O. Cypryan, w dwóch bardzo zajmująco skreślonych, a nawzajem dopełniających się szkicach, podał dość dokładny jej obraz, podnosząc w pierwszym rzędzie szeroki zakres prac, jakie podejmuje i bardzo praktycznie przeprowadzoną jej organizacyę. Sądzimy, że nieco dokładniejsze sprawozdanie z treści obu tych broszur zajmującem będzie i dla polskich czytelników.

Pierwszych zawiązków Misyi wewnętrznej szukać trzeba przed początkiem bieżącego stulecia; poważniejszego jednak znaczenia nabrała ona w drugiej dopiero połowie naszego wieku. Twórcą i organizatorem misyi w dzisiejszym jej pojęciu był głośny swojego czasu Jan Henryk Wichern, pastor hamburski (zmarły 1881), którego klasyczna książka p. t.: *Denkschrift an die deutsche Nation,* pojawiła się prawie równocześnie z głośnemi kazaniami biskupa Kettelera o kwestyi socyalnej. W książce tej Wichern z jednej strony kreśli po mistrzowsku zatrważający upadek wiary i głęboką nędzę moralną i materyalną naszych czasów, zwłaszcza wśród klas roboczych, z drugiej strony przedkłada głęboko pomyślany plan systematycznie zorganizowanej Misyi wewnętrznej, jako lekarstwo przeciw religijnym, moralnym i socyalnym chorobom wieku.

Działalność Misyi wewnętrznej wedle Wicherna jest pewnym rodzajem pracy apostolskiej i duszpasterskiej; obejmuje ona bowiem te zadania, którym w kościele katolickim służy stan duchowny — kapłani i zakony — t. j. szerzenie nauk Ewangelii i wykonywanie dzieł miłosierdzia: mimo to jednak nie zamyka się ona wyłącznie w obrębie protestanckiego duchowieństwa. Wychodząc z doktryny reformatorów XVI. w., że kapłaństwo i duszpasterstwo jest powszechnym powołaniem wszystkich wiernych, wciąga Misya wewnętrzna do swej pracy zarówno osoby duchowne swego kościoła jak i świeckie wszelkiego stanu i płci. Jestto po prostu wedle trafnego określenia Buchruckera „rozszerzone duszpasterstwo z przybraniem do pomocy dobrowolnych sił z pośród gminy".

Zanim poznamy szczegółowo zakres działania Misyi wewnętrznej, warto przypatrzeć się nieco bliżej jej wewnętrznej organizacyi, tak jak się dzisiaj przedstawia.

Duszą całej instytucyi jest wydział centralny, rezydujący w Berlinie pod przewodnictwem cesarza, jako głowy państwowego protestanckiego kościoła. Wydział ten liczy obecnie 21 członków zamieszkałych

w Berlinie i ci zajmują się prowadzeniem spraw instytucyi i naczelnem jej kierownictwem. Członkowie zamiejscowi i tak zwani ajenci wydziału centralnego rozrzuceni są po wszystkich krajach Rzeszy i działają każdy w oznaczonem sobie terytoryum. Jest ich obecnie 44, a wszyscy należą do najwybitniejszych warstw protestanckiego społeczeństwa. Na Śląsku rezyduje ich czterech, w Westfalii czterech, w prowincyi reńskiej trzech, w Bawaryi czterech, w Prusach, Pomorzu, Brandenburgii, Poznańskiem, Württembergii i Oldenburgu po jednemu, w innych krajach lub prowincyach po jednemu, czasem po dwóch. Przez tych ajentów informuje się wydział centralny o religijnych, moralnych lub socyalnych potrzebach protestanckiego kościoła. Skoro taki ajent prowincyonalny przedstawi centralnemu wydziałowi potrzebę rozwinięcia silniejszej akcyi w pewnej prowincyi lub okręgu — wydział rozpoczyna zaraz akcyę wstępną, bardzo rozumnie i praktycznie. Dąży przedewszystkiem do tego, aby nowo powstać mającą filię Misyi oprzeć na silnych podstawach finansowych i zapewnić jej rzutkie i energiczne kierownictwo. W tym celu zwraca się do miejscowych władz politycznych i pouczywszy je należycie o stanie rzeczy, prosi o pozwolenie zbierania składek po zborach i po domach. Jestto tak zwana kolekta. W krajach protestanckich Rzeszy pozwolenie to otrzymuje się z łatwością; władze ich polityczne idą ręka w rękę z wydziałem centralnym Misyi i dają mu wszelkie poparcie; rządy katolickie również nie robią trudności: tak np. książe rejent bawarski pozwolenie na kolektę odnawia stale co pięć lat. Uzyskawszy to pozwolenie, rozgląda się wydział za rzutkim i energicznym człowiekiem, któremuby bezpiecznie powierzyć można nowo otwierające się pole pracy. Na to stanowisko wybiera zawsze jednego z duchownych protestanckich, któremu z swych funduszów przeznacza stałą pensyę. Miejscowy konsystorz wprowadza go uroczyście w urząd — i odtąd staje się on duszą całej akcyi misyjnej w powierzonej sobie prowincyi. Bywa nieraz, że takiemu duchownemu wyznacza się jako pole działania nie całą prowincyę, ale mniejszy jakiś okręg, lub nawet jedno tylko miasto. Dzieje się to tam, gdzie praca Misyi większego wymaga wytężenia, lub na większe napotyka trudności, jak np. w krajach i miastach rdzennie katolickich. W Bawaryi np. trzech takich duchownych utrzymuje Misya: w Monachium, w Augsburgu i Norymberdze. Duchowny przeznaczony dla miasta nosi nazwę „misyonarza miejskiego“ *(Stadtmissionär)*, przeznaczony dla całej prowincyi lub większego jej okręgu, nazywa się „duchownym związku“ *(Vereinsgeistlicher)*, lub „ajentem podróżnym“ *(Reise-agent)*. Pierwszym zadaniem takiego prowincyonalnego lub

okręgowego ajenta jest zjednać dla celów Misyi grono wpływowych ludzi i stworzyć z nich prowincyonalny związek misyjny z własnym wydziałem i organizacyą. Jako najodpowiedniejszy ku temu środek przedstawia się nawiązywanie osobistych stosunków, pouczanie prywatne i publiczne różnych sfer społecznych o potrzebach danej chwili i miejsca, o celach i zadaniach Misyi, o niebezpieczeństwach (rzeczywistych lub rzekomych) protestanckiego kościoła i społeczeństwa i t. d. Taki więc ajent duchowny przesiada się z pociągu na pociąg, z wózka na wózek (stąd jego nazwa *Reise-agent),* składa wizyty, wciska się na zebrania rodzinne i na publiczne zabawy, zabiera głos na festynach ludowych, w niedziele przemawia w zborach, miewa odczyty, rozrzuca druki — słowem, rozwija wszechstronną, bardzo praktycznie i psychologicznie pomyślaną agitacyę.

Skoro na liście ajenta zbierze się wystarczająca liczba członków, zwołuje on ich na wspólne zgromadzenie, na którem organizują się jako prowincyonalny związek Misyi wewnętrznej i wybierają z swego grona prowincyonalny wydział. Wydział ten rezyduje w głównem mieście prowincyi kościelnej lub okręgu i miewa 4—5 członków miejscowych, którym powierza się kierownictwo bieżących spraw związku. Inni członkowie, w liczbie zazwyczaj 40—50, rozrzuceni po prowincyi, podejmują się prac misyi w mniejszym lub większym zakresie po innych miejscowościach. Nadto w każdym dekanacie wyznacza się osobnego naczelnika dekanalnego Misyi, który pośredniczy między dekanatem a wydziałem prowincyonalnym. Mimo zawiązania się wydziału, duchowny związkowy, czyli ajent, nie opuszcza placu. Zadaniem jego teraz jest utrwalać całe dzieło i popierać jego rozwój. Do łatwiejszego przeprowadzenia tych celów dobiera sobie odpowiednich pomocników, zazwyczaj po jednemu w każdym dekanacie; za ich pośrednictwem urządza kolekty kościelne i domowe, na które władza nieraz parę razy do roku zezwala, nadto odbywa dalej podróże, prowadzi bardzo nieraz rozgałęzioną korespondencyę, przy tem czuwa nad prasą i pisuje do gazet korespondencye i artykuły sprawom Misyi poświęcone. Z pomocnikami swymi miewa częste zebrania, a nadto raz w rok zwołuje kongres wszystkich członków prowincyonalnego związku. Na taki kongres prowincyonalny przyjeżdża zawsze delegat centralnego wydziału z Berlina.

Jak są nieraz ruchliwi i czynni ci duchowni ajenci, świadczą sprawozdania z ich czynności, przesyłane do wydziału centralnego. I tak, jeden z ajentów bawarskich w ciągu roku objechał 25 różnych

miejscowości, nieraz dość odległych (raz nawet zapędził się aż do Austryi) i wypowiedział w tym czasie 40 mów lub odczytów, nieraz po parę na dzień. Ile przytem odbył wizyt, ile nawiązał stosunków — to się obliczyć nie da. Oprócz tego ten człowiek załatwił w tymże roku 2.490 urzędowych korespondencyi, nie licząc w to wysyłek druków, a nadto pisywał często do gazet. Inny ajent w misyjnej prowincyi brandenburskiej w przeciągu dziesięciu lat (1883—1893), niezwykłą zapobiegliwością potrafił zebrać ze samych kolekt 250.000 marek, nadto urządzić cały szereg odczytów, festynów, zebrań robotniczych i wieczorów domowych, a przy współudziale wpływowych członków, których zdobył dla związku, zdołał w tym czasie otworzyć 15 szpitali, 6 stacyi ratunkowych dla doraźnej pomocy, 50 szkół dla małych dzieci, zawiązał 20 stowarzyszeń męskiej młodzieży, 48 stowarzyszeń dziewcząt, 1 związek przeciw niemoralności, wprowadził do Brandenburgii 115 nowych dyakonisek, założył 30 gospod i przytułków, 1 kolonię robotniczą, 1 zakład dla epileptycznych, 1 zakład wstrzemięźliwości, 1 misyę specyalną dla zajętych przy rzecznej żegludze, 1 komisyę prasową i 1 związek kolportaży, który rozrzucił w przeciągu roku 7700 kalendarzy, przeszło 5000 olejodruków, 250 tomów kazań, 300 innych książeki całe masy ulotnych pism i broszur. To są cyfry doprawdy wymowne.

Mniej one dziwią, jeśli się zważy, jak wielkimi funduszami rozporządzają nieraz misye prowincyonalne i jak wpływowych mają protektorów. W Brandenburgii np. sama kolekta przynosiła w ostatnich czasach przeciętnie 25.000 marek rocznie; w Bawaryi, gdzie protestanci są w znacznej mniejszości, dawała ona rocznie 18.300 marek. Nadto każdy członek Misyi uiszcza z reguły wkładkę roczną w kwocie 3 marek. Festyny ludowe, loterye, albo tak zw. bazary dobroczynne także dość znaczny dają dochód. Bazar np. urządzony w Monachium 1893 r. przyniósł 30.000 marek. Nieraz dość znaczne fundusze wpływają do kas misyjnych drogą dobrowolnych ofiar i zapomóg. Miejski związek monachijski z tego tylko źródła zebrał w r. 1893/4 10.000 marek. Z 1.246 jego członków zaledwie 67 osób należało do warstw uboższych; wszyscy inni byli mniej więcej majętni, a przynajmniej wpływowi. Było między nimi wiele osób ze szlachty, bardzo wielu wyższych urzędników, profesorów, artystów, lekarzy, bogatych kupców, a nawet 150 oficerów. Wogóle raz po raz się zdarza, że w wydziałach Misyi zasiadają radcy i szefowie ministeryalni, dyrektorowie policyi, sekretarze królewscy, profesorowie uniwersytetu, najwyżsi urzędnicy sądowi i administracyjni Rzeszy, nawet jenerałowie i podsekretarze stanu. Z takimi

członkami, z takiem moralnem i materyalnem poparciem, nic dziwnego, że Misya jest w stanie prowadzić na bardzo szeroką skalę swą religijno-moralną propagandę.

Do rozszerzania np. znajomości „czystego słowa Bożego“ ma ona obecnie na swoje rozkazy 25 towarzystw biblijnych, których ajenci rozrzucają całe masy biblij nawet między katolikami, bardzo często za darmo. Popierane przez nią „związki do rozszerzania książek ewangelickich“ i inne podobne, są w stanie rozrzucać setki tysięcy książek i miliony ulotnych pism, po części znowu bezpłatnie. Olbrzymia ta propaganda obejmuje zwłaszcza kazania. Ponieważ w dzisiejszych czasach bardzo wielu ludzi na kazanie iść nie chce lub nie może, przeto powiedziała sobie Misya, że kazanie samo przyjść do nich powinno. Na tej zasadzie bije się co tydzień 132.000 egzemplarzy kazań (rocznie prawie 7 milionów) i rozrzuca się je po całych Niemczech. Osobni kolporterzy roznoszą je po hotelach, po placach publicznych, na których stoją dorożkarze, po szpitalach, po kasarniach, i wciskają bezpłatnie tym zwłaszcza, których rodzaj zajęcia pozbawia spoczynku i nabożeństwa niedzielnego. W sobotę wieczorem rozdają je dyakoni robotnikom powracającym z fabryk. Zdarza się wprawdzie, że niejeden książki nie przyjmie, wielu jednak przyjmuje, czeka na nie i szerzy je dalej wśród bliskich i znajomych. Stowarzyszenie norymberskie dla rozdawania kazań puściło w obieg przez przeciąg jednego roku 100.000 egzemplarzy kazań samego tylko Stöckera. Kolporterzy Misyi nie płacą zazwyczaj podatku zarobkowego (przynajmniej w Prusiech i Bawaryi), tem więc chętniej zaciągają się w służbę Misyi.

Urządza też Misya wieczory z odczytami, treści moralno-religijnej; urządza ustne wykłady Pisma św., tak zw. *Bibelstunden,* miane zazwyczaj przez kandydatów teologii lub nauczycieli ludowych, a w niektórych krajach, jak np. w Württembergii bardzo lubiane i rozpowszechnione; zakłada wreszcie biblioteki i wypożyczalnie książek, odznaczające się tem świetnem urządzeniem, że każdemu z członków, choć o to nie prosi, przynosi się co tydzień nową książkę wprost do mieszkania.

Aby sobie zapewnić wpływ na prasę, urządza Misya prowincyonalne lub lokalne komisye prasowe, które rozsyłają do pism i gazet litografowane egzemplarze korespondencyi i artykułów, w duchu Misyi pisanych. W sprawozdaniach niektórych z tych komisyi stwierdzono, że np. w księstwie Badeńskiem 70% istniejących tamże pism, w Brandenburgii aż 90% przyjmowało i drukowało wspomniane korespondencye. W Elberfeld za inicyatywą komisyi prasowej 1.200 czytelników pewnego

dziennika oświadczyło redakcyi, że cofną natychmiast prenumeratę, jeśli redakcya nie przerwie druku pewnej niemoralnej powieści. Groźba była wymowną — więc i skuteczną. W jednej katolickiej Bawaryi rozporządza Misya 14 wydawnictwami peryodycznemi, przeznaczonemi jużto dla wszystkich stanów, jużto dla poszczególnych grup i stowarzyszeń.

Do działalności Misyi wewnętrznej należy urządzanie nabożeństw i nauk religijnych dla opuszczonej młodzieży i klas ludności szczególnie zaniedbanych i wyjątkowej pieczy potrzebujących. Tu należą nabożeństwa i szkoły niedzielne dla dzieci. W r. 1873 szkół takich funkcyonowało 366, z udziałem 44.000 dzieci; w roku 1893 szkół niedzielnych było 3.000 z udziałem 200.000 dzieci. Szczególną opiekę duchowną roztacza Misya nad dorożkarzami, kolejarzami, służbą tramwajową i okrętową, nad kelnerami i pomocnikami handlowymi. Osobni pastorowie są wyznaczeni do pracy duchownej wśród robotników wychodzących co roku do Holandyi, osobno zorganizowana Misya obejmuje ludzi zajętych przy żegludze, urządza dla nich nabożeństwa, nauki i czytania na okrętach, i ma osobnych pastorów-misyonarzy nietylko w główniejszych niemieckich portach, ale też i w zagranicznych, a nawet za-europejskich, do których częściej zawijają niemieckie okręty. Członkowie tak zw. misyi kolejowej obchodzą budników po ich mieszkaniach, zaopatrując ich w pisma religijne i niosąc im słowa pociechy.

W ostatnich czasach założyła Misya, głównie po większych miastach, przeszło 50 schronisk dla dziewcząt służących; znajdują w nich pomieszczenie i opiekę w pierwszym rzędzie dziewczęta pozbawione służby; nadto i dziewczęta pozostające w służbie gromadzą się tam co niedzielę i znajdują odpowiednie sobie towarzystwo, zabawę i naukę. Schroniska te stoją także otworem dla kobiet i dziewcząt podróżujących, a istniejące przy nich biura wywiadowcze nabierają coraz większego znaczenia. Kieruje niemi osobny związek dam protestanckich, zwanych „przyjaciółkami młodych dziewcząt". „Przyjaciółki" (jest ich w Niemczech przeszło 2.000) są między sobą w ciągłem porozumieniu, znają dokładnie swe adresy, dla użytku podróżujących dziewcząt wydają „Poradnik" *(Rathgeber)*, zawierający adresy wszystkich sprzymierzonych przyjaciółek; jedna drugiej poleca listownie podróżujące dziewczęta, czekają na nie na dworcach kolejowych, odprowadzają do schronisk i wynajdują im służbę.

Zasługują też na podniesienie liczne związki młodzieży męskiej i żeńskiej, jakie w ostatnich czasach coraz częściej się zawiązują z ini-

cyatywy Misyi, a których celem odwrócenie lub złagodzenie niebezpieczeństw moralnych, temu wiekowi właściwych. Ciekawem między innemi, a z punktu widzenia protestanckich doktryn, bardzo nawet oryginalnem, jest stowarzyszenie „białego krzyża“, którego członkowie, rekrutujący się z młodzieży, obowiązują się (rzecz nie do uwierzenia) „ślubem“ do moralnego życia i szerzenia zasad moralności wśród rówieśników.

I ku upadłym moralnie wyciąga Misya rękę. Damy do jej związków należące, odwiedzają więzienia (jest osobny reskrypt ministeryalny zezwalający na to), niosąc skazańcom słowa nauki i pociechy, jakoteż religijne pisma; zajmują się wypuszczonymi z kaźni więźniami, wynajdują im miejsca odpowiednie i utrzymanie — najchętniej w gospodarstwach wiejskich. Z berlińskich więzień opatrzono w ten sposób przeszło 15.000 więźniów. Rozgałęzioną akcyę prowadzi Misya przeciw pijaństwu za pośrednictwem kilku stowarzyszeń, zwłaszcza stow. „błękitnego krzyża“, którego członkowie składają pisemne przyrzeczenie całkowitego wstrzymania się od upajających napojów. Setki tysięcy pism i traktatów o wstrzemięźliwości rozrzuca to stowarzyszenie pomiędzy ludem. Nie mniej uznania godną jest walka Misyi przeciw prostytucyi. Zakładów dla upadłych kobiet i dziewcząt liczy Misya przeszło 40. Berlińskie Stowarzyszenie kobiet opiekuje się upadłemi, które do zakładów wstąpić nie mogą; osobne stowarzyszenie, t. zw. misya nocna, złożona z świeckich mężczyzn, odciąga od złych domów.

Dzieła miłosierdzia względem cierpiących i biednych wykonuje Misya głównie przez dyakonów i dyakoniski. W 13 zakładach kształcą się w Niemczech dyakoni, w 41 domach macierzystych dyakoniski. W 780 szpitalach i 1.017 stacyach ratunkowych obsługują oni chorych.

Obejmuje też Misya kwestyę socyalną w obecnem jej pojęciu. Utrzymuje 48 tak zwanych „żłóbków“ *(Krippen)*, gdzie 2—4 letnie dzieci pracujących robotnic znajdują pomieszczenie i opiekę; prowadzi 450 szkół dla tychże dzieci, gdy już nieco podrosną; utrzymuje 125 przytulisk dla sierot: nadto istnieją różne przez nią powołane do życia, lub jej wpływem kierowane związki robotników, tanie kuchnie, biura wywiadowcze i t. d. W Berlinie organizuje misya opiekę nad ludźmi pozbawionymi pracy i dachu. Co niedzielę od września do kwietnia urządza się dla nich nabożeństwo ranne połączone z śniadaniem. Po 7-ej rano gromadzi się przeciętnie 600—800 tych ludzi w zborze zwanym *Schrippen-Kirche;* po śpiewie i stosownej modlitwie dostaje każdy porcyę kawy z przekąską — po czem następuje właściwe nabożeństwo

z śpiewem i nauką. O osobnych misyach dla robotników zajętych w portach, w kopalniach i na torach kolejowych mówiliśmy już powyżej.

Taka jest mniej więcej „Misya wewnętrzna“ protestanckiego kościoła w Niemczech w swej istocie i działaniu, wedle przedstawienia O. Cypryana, który niektóre jej urządzenia podnosi z uznaniem i do ich naśladowania niemieckich katolików zachęca.

Z pewnej strony podniesiono zarzut, że autor uniesiony przedmiotem, przecenia wartość Misyi wewnętrznej i nadaje jej znaczenie, jakiego w rzeczywistości nie posiada. Zwracano uwagę, że Misya mimo licznych środków, jakimi rozporządza i silnych sprężyn, jakie porusza, nie wpływa jednak odradzająco na te warstwy społeczne, ku którym się zwraca, i że jej działalność na ludzkich oparta środkach, pod względem skutków moralnych nie może się równać z rezultatami, jakie osiąga Kościół katolicki przez swoją odradzającą dusze działalność.

Chociaż O. Cypryan przeciwko temu zarzutowi się broni, mimo to jednak nie jest on może całkiem bezpodstawny. Zamiarem O. Cypryana było obudzić czujność katolików niemieckich i ostrzedz ich przed niebezpieczeństwem, jakie ze strony Misyi wewnętrznej grozi ich współwyznawcom w tych zwłaszcza krajach lub miastach, gdzie protestanci są w przeważnej większości. Pod wpływem tej myśli przewodniej, popadł może w pewną jednostronność, skutkiem której akcentuje zbyt silnie znaczenie Misyi, a braków i stron jej ujemnych nie dostrzega, a przynajmniej nie podnosi.

Zdaje nam się, że jeśli jest mowa o skuteczności Misyi wewnętrznej i o jej naśladowaniu, trzeba koniecznie rozróżnić charakter kościelny Misyi od jej działalności społecznej. O ile Misya wewnętrzna jest instytucyą kościelną, której zadaniem podnieść i zabezpieczyć przed wewnętrznym rozkładem kościół protestancki i natchnąć go tą siłą wewnętrzną, której nigdy nie miał i mieć nie może — o tyle jej działalność jest i pozostanie bezowocną: pod tym względem nie potrzebujemy szukać w niej wzorów. Kościół katolicki ma swoją hierarchię i organizacyę, która jest Boskiego początku, i jako taka odznaczała się wśród zmiennych kolei wieków jednakową zawsze żywotnością, niespożytą siłą, a przytem zdolnością dostosowania się do potrzeb i wymagań każdej epoki. Protestantyzm, który niegdyś odrzucił tyle mądrych i głębokich urządzeń kościelnych, przekonuje się coraz bardziej o ich potrzebie, i w samej jego Misyi wewnętrznej spotykamy niejedno, co jest poprostu słabą tylko kopią i nieudanem naśladownictwem Kościoła katolickiego. Naśladuje się dziś w łonie protestantyzmu urzą-

dzenia zakonne, naśladuje się instytucye miłosierne, naśladuje się bractwa, nawet śluby. Ale jestto proste naśladowanie form, pozbawione ducha i treści. Jeśli jednak patrzymy na akcyę zewnętrzną Misyi, bardzo ruchliwą, przemyślną i praktycznie urządzoną, na mądre wyzyskanie środków, jakie przynosi za sobą materyalny postęp naszych czasów — to przyznać trzeba, że niejednego nauczyć się od niej możemy. Ta pewność siebie, jaką daje katolikom świadomość posiadanej prawdy i obietnica, że bramy piekielne nie przemogą Kościoła, wyradza w nas czasem pewną wygodną bezczynność, skutkiem której wiele dusz ginie a zło coraz potężniej się szerzy. W takich razach nie jest ujmą uczyć się ruchliwości i zapobiegliwości choćby od przeciwników.

W Niemczech to już zrozumiano. Na wiecu kat. w Dortmundzie, na kursach socyalnych w Szwajcaryi i Württembergii, na zgromadzeniach ludowych i na pierwszym wiecu stowarzyszenia *Charitas*, coraz głośniej mówiono *von der alten, katholischen Gemüthlichkeit, die sich aus ihrer klassischen Ruhe so schwer bewegen lässt.* To też w ostatnich czasach zrobiono już wiele, zwłaszcza w południowych Niemczech, w kierunku ożywienia i skoncentrowania katolickiej pracy społecznej. Z wielu podjętych w tym celu usiłowań, powstają dzień za dniem nowe katolickie instytucye, które coraz świetniej się rozwijają. Wystarczy tu wspomnieć związek dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego, skupiający się koło fryburskiego miesięcznika *Charitas,* o którem *Przegląd* pisał już w listopadzie, jakoteż zawiązki międzynarodowego stowarzyszenia ochrony dziewcząt, o którem pomówimy na innem miejscu.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1894. *Dr. Arthur Poelchau.* Riga 1895. Verlag von N. Kymmel. (W 16-ce, str. 90).

Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1895. *Tenże.* Riga 1896. Bei Kymmel. (W 16-ce, str. 76).

Drugie i ostatnie wydanie powszechnie znanej w kołach naukowych europejskich bibliografii byłego prof. uniwersytetu dorpackiego, d-ra Edwarda Winkelmana, p. t.: *Bibliotheca Livoniae historica* (Berlin 1878), wykazało dzieł i rękopisów kilkanaście tysięcy.

Niepomierny pożytek owej bibliografii wywołał z kolei potrzebę uzupełniania jej z każdym rokiem. To też wszystkie, chociażby najmniej wyczerpujące prace i artykuły historyczne, dotyczące dawnych krain inflanckich a wydane po roku 1878 (a więc w pomnikowem

dziele E. Winkelmana jeszcze nie zawarte), notowała skrzętnie, w miarę ich ogłaszania, dawna gazeta ryska: *Rigasche Zeitung* w stałej rubryce p. t.: *Baltische Bibliographie*, po czem, już od roku 1880, wyliczać je poczęły redagowane bardziej systematycznie maluczkie zeszyciki, wydawane corocznie, zrazu przez miejscowego historyka, Karola Mettig'a (współpracownika ogłaszanych w Berlinie „Roczników histor." J. Jastrowa), a następnie przez pomocnika ryskiej biblioteki miejskiej, A. Poelchau'a.

Każdy taki zeszycik, wychodzący corocznie nakładem księgarza Kymmla, stanowi nader pożądany przewodnik bibliograficzny dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jako też dla czytających książki lub artykuły dotyczące przeszłości inflanckiej. Zeszycik z roku 1892 ogłoszony został pod redakcyą p. Poelchau'a zaledwie w końcu roku 1893. Z krótkiej przedmowy dowiedzieliśmy się, że szanowny autor z czasem zamierza przystąpić do nowego uzupełnionego wydania słynnej bibliografii Winkelmana, której tytuł przytoczyliśmy powyżej. To uzupełnione wydanie bibliografii Winkelmana będzie niewątpliwie dla wszystkich badaczy przeszłości inflanckiej pracą nader pożądaną, której też wszyscy uczeni nadbałtyccy jednozgodnie przyklaskują. Tymczasem zaś korzystać muszą ze skromnych zeszycików, z liczby których dwa ostatnie przytoczyliśmy dokładnie w nagłówku. Zeszycik na rok 1895 opuścił świeżo prasę i w tymże porządku co i dawniejsze przytacza na str. 3—8 recenzye i sprawozdania o pracach histor. inflanckich w ciągu ostatnich czasów ogłoszonych; na str. 8—13 publikacye źródeł lub dotyczące źródłoznawstwa inflanckiego; na str. 13—30 artykuły i rozprawy z dziedziny nauk pomocniczych, jako to: inflanckiej geografii, etnografii, statystyki, genealogii, heraldyki, sfragistyki, archeologii, numizmatyki, historyi sztuki, historyi cywilizacyi, lingwistyki i t. d.; na str. 30—40 monografie i artykuły pomniejsze; na str. 40—46 biografie; na str. 49—51 rozmaitości; na str. 51—63 pisemka lub artykuliki okolicznościowe; wreszcie na str. 63—65 nekrologi, w ciągu roku w dziennikach nadbałtyckich ogłaszane, mające przeważnie charakter czysto lokalny.

Z prac samoistnych oraz recenzyi ogłoszonych w języku polskim; wymienia tenże najnowszy zeszycik na str. 4 tej: *Kwartalnik historyczny* (Rocznik IX., str. 434—445); na str. 7-mej: *Ateneum warszawskie* (z r. 1894, str. 308—324), a także *Kwartalnik histor.* (IX., str. 292 i str. 327—329); na str. 8 mej: *Kwartalnik historyczny* (IX., str. 344); na str. 14-tej: *Wielką Encyklopedyę ilustrowaną* (tom XIV., str. 963),

na str. 27-mej: *Przewodnik naukowy i literacki* (z r. 1895, str. 673—689; 769—781; 865—885; 960—983); czasopismo *Wisłę* (z r. 1895, str. 361—397); na str. 33-ciej: *Kwartalnik hist.* (IX., 621—648); na str. 49-tej: *Kwartalnik histor.* (IX., str. 34), dotykając przeważnie prac Antoniego Prochaski, Antoniego Mierzyńskiego i Gustawa Manteuffla. Przytem popełnia liczne błędy w pisowni polskiej, szanownemu autorowi niestety całkiem nieznanej.

Umieszczony na str. 66—76 skorowidz, ułatwia czytelnikowi oryentowanie się w tej, dla badaczy przeszłości infiańckiej zawsze nader pożądanej publikacyi, za którą niestrudzonemu autorowi prawdziwa wdzięczność i szczere uznanie należą.

Gustaw Manteuffel.

Die Entzückung von *Theophil Lenartowicz.* Uebersetzt von *August Woycke.* Durch die Lebensbeschreibung des Dichters eingeleitet und herausgegeben von *Witold Leitgeber.* Posen. J. Leitgeber & Co. 1896. (W 8 ce, str. 40).

We wstępie podaje wydawca życiorys Lenartowicza i charakterystykę jego poezyi. Wstęp ten pisany jest z młodzieńczym zapałem i znać z każdego słowa, że autor pokochał poetę całą duszą, dlatego też pragnie jak najszersze koła zaznajomić z jego poezyą, uczynić ją drogą wszystkim, co tylko mają poczucie prawdziwego piękna.

„Zachwycenie“ Lenartowicza, które wydawca w tłumaczeniu p. Woycke'go podaje, należy bez wątpienia do najpiękniejszych utworów poety i najlepiej zapoznać może niemieckiego czytelnika z samą istotą i pięknością poezyi lirnika mazowieckiego. Wiadomo, że wiersz osnuty jest na podaniach ludu polskiego. Treścią poematu jest rozmowa matki, przebudzonej z letargu, która opowiada małemu synkowi, co przez ten czas widziała w raju, w czyścu i piekle. Nazywa bowiem lud polski letarg zachwyceniem, w ciągu którego dusza człowieka ma przed sobą odkrytą przyszłość, widzi i ogląda niebo i piekło, ale po ocknięciu się, o tem, co się widziało, mówić nie wolno, chyba przed istotami niewinnemi. jakiemi są małe dzieci. Nadmienić tu zaraz wypada, że dla niemieckiego czytelnika trzeba było koniecznie wyjaśnić to podanie w dopisku, gdyż bez tego wyjaśnienia wiersz może być niezrozumiałym. Samo też tłumaczenie niejedno zostawia do życzenia. Utwór polskiego poety odznacza się niezmierną prostotą, naiwnością, żywem uczuciem i wielkim wdziękiem. Pierwszym zatem warunkiem dobrego tłumaczenia byłoby zachować ten charakter w języku i treści.

Tymczasem w niemieckim przekładzie czuje się właśnie wielki brak naiwności i prostoty, skutkiem czego wiersz wiele traci na piękności. Jak dziwnie np. brzmią w ustach dziecka te słowa:

Und hohe Freud' wie wir haben auf Erden,
Mag dort sie bei Gott auch gefunden werden?

albo:

Gar Vieles zu sehen wollt' Gott dir gewähren!
Möchtst, Mutter, wohl wieder zum Himmel kehren,
O bitt' dich, verlässt du der Erde Getümmel,
Dann nimm mich doch mit dir zum Herrgott gen Himmel.

Oprócz tego forma miejscami jest bardzo niewykończona. Podaję tylko parę przykładów:

Ei dreissig Tage und noch die anderen!
Das ganze Leben hindurch muss man wandern!

albo:

Viel Räuber sitzen in düsteren Schaaren,
Viel derer auch, die von der Höll angestiftet,
Manch junges unschuldiges Leben vergiftet!

albo:

Doch die vom Pöbel als Fürsten Entfernten
Wind säend, wollen sie Stürme ernten!

Czasem tłumaczenie jest nawet zupełnie fałszywe i błędne. Tak np. wiersz następujący: „Bijąc się mężnie, modląc w kościele", autor tłumaczy: „Stets muthig im Streit und verzagt im Gebete".

Gdzieniegdzie udało się tłumaczowi dobrze i płynnie oddać ducha pierwowzoru, ale takich miejsc jest mało. Wogóle tłumaczenie jest ciężkie i nie może dać niemieckiemu czytelnikowi dokładnego pojęcia o całej piękności poematu.

Maksymiljan Kohlsdorfer.

Obrázky bez rámů. Napsala *G. Preissova*. V Praze 1896. (Obrazki bez ram. Skreśliła *G. Preissowa*. Praga 1896).

Szare i posępne, jak krajobraz jesienny, smutne i łzawe, jak dumka sieroca są powyższe nowele pani Gabryeli Preissowej. Farb do tych obrazków dostarczyły różnorodne ludzkie bóle i cierpienia, będące wynikiem bądź własnej winy, bądź jakiegoś fatalizmu. To też pomimo wielu ślicznych ustępów, oraz znacznej sumy talentu, włożonej w te utwory, kwintesencya odniesionych z nich wrażeń z powodu ogólnego pesymistycznego nastroju jest raczej ujemną, niż dodatnią.

Ulubionym typem szanownej autorki, szkicowanym przez nią *con amore*, są stare kobiety. Wyborne po większej części ich portrety napotykamy we wszystkich niemal obrazkach, trzy jednak najbardziej zasługują na uwagę. Jedną z sędziwych tych bohaterek jest pani kapitanowa w noweli: „Za zasłoną“ *(Za záslonkou)*, budząca dla siebie szacunek szlachetną godnością, z jaką znosi ubóstwo, maskując je przed ludźmi w najrozmaitszy sposób. Druga w obrazku *Nevidoma* odegrywa rolę opiekuńczego anioła względem ociemniałej i niekochanej przez resztę rodziny wnuczki. Obie te staruszki w zanadto identyczny sposób rozstają się z tym światem. Oto pewnego rana domownicy, nie mogąc się ich doczekać, wchodzą do pokoju i znajdują, jak mówi poeta:

Sur un peu de paille étendue et muette
L'aïeule, que l'hiver, hélas! a déjà faite
Assez froide pour le tombeau.

Trzecią wreszcie z pomiędzy tych Grossmütterchen, której autorka wspaniałomyślnie darowała życie, jest *Staženka Malouškova*, poczciwa i wielce sympatyczna postać czeskiej wieśniaczki, rzucająca jedyny niemal, jaśniejszy nieco promyk na tę całą galeryę ponurych obrazów.

Pomimo jednak szarego kolorytu niektórym z nich nie braknie wdzięku i zręcznie uchwyconej prawdy życiowej. Do takich należy nowela: „Trzewiczki robione na drutach„ *(Hačkovane střevičky)*. Treść jej następująca. Z przedstawienia, na którem po raz pierwszy doznała zupełnego *fiasco*, wraca do domu starzejąca się artystka dramatyczna, zdegradowana tego wieczora do ról drugorzędnych. Szukając pociechy po dotkliwem niepowodzeniu w upajających wspomnieniach minionej sławy i tryumfów, przerzuca ona gorączkowo dawne swe trofea — zwiędłe i zeschłe kwiaty, któremi niegdyś obsypywaną była na scenie, i nagle wzrok jej przykuwają do siebie małe, proste włóczkowe trzewiczki. Widok ich budzi w sercu rozczarowanej aktorki dawno uśpione uczucia i wrażenia. I ona niegdyś była szczęśliwą, a przynajmniej być nią mogła, gdyby tylko chciała. Bóg dał jej dobrego męża i śliczne dziecię, lecz nad ciche, rzeczywiste szczęście u rodzinnego ogniska wolała ona grzmot oklasków na deskach teatralnych. Tymczasem wątłe dziecię, pozbawione opieki matki, umarło, potulny mąż zeszedł do stanowiska lokaja, dźwigajacego wieńce i bukiety swej pani, w miarę obniżania się skali głosu i wdzięków dawna uwielbiana artystka zstępowała coraz niżej ze swego piedestału, aż wreszcie ujrzała pustkę dokoła siebie i bardziej jeszcze przerażającą próżnię we własnem sercu. Trzewiczki zmarłego maleństwa są dla niej niemym, lecz okropnym

wyrzutem, zwiędłe zaś kwiaty, pamiątki bezpowrotnie minionej przeszłości, zdają się mówić, że nie tędy droga do szczęścia. Dodajmy nawiasem, iż warto, ażeby to przeczytały panie feministki, których i u nas, niestety, nie braknie, a które chciałyby uszczęśliwić żeńską połowę ludzkości równouprawnieniem z mężczyznami. Każdej z tych pań również możnaby powiedzieć: nie tędy dla ciebie droga, bo

Inna przyszłość ciebie czeka,
W górę jasnem sięgnij czołem,
Chcesz się dobić praw człowieka,
Ty, co możesz być aniołem!

Toż samo pojęcie powołania kobiety, jako wajdelotki domowego znicza, a raczej nieuniknione następstwa zboczenia z drogi najświętszych obowiązków, stanowią osnowę innej noweli: „Gospodyni-niewolnica“ *(Gazdina-roba)*. Są to niezmiernie dramatyczne, a nawet nacechowane tragicznością dzieje nieszczęśliwej, bo z własnej winy wykolejonej kobiety. Wstrząsający ten obrazek, odmalowany na tle życia słowackiego ludu, jest z literackiego punktu widzenia najlepszym w całym zbiorze. Stary to zresztą nasz znajomy, bo już przed kilkoma laty spotkaliśmy go w łamach *Osvěty*.

Pewne znaczenie dla dziejów współczesnego społecznego fermentu posiada sylwetka pod tytułem: „Potomkowie Kořików“ *(Potomci Kořiků)*. Przedstawia ona trzy odrębne pokolenia robotniczej rodziny. Stary Kořik to robotnik dawnej daty, bogobojny, wierny swemu chlebodawcy, dbały o jego dobro i starający się jak najlepsze utrzymać z nim stosunki. Syn jego jest już zobojętniałym w wierze malkontentem, w którego sercu budzi się głuchy bunt przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, wnuk zaś zapaleńcem socyalistycznym, przesiąkłym ideami przewrotu. Wszystkie te trzy postacie dość trafnie na papier przeniesione zostały, szkoda tylko, iż autorka nie wyzyskała należycie tak bogatego w treść tematu.

Zewnętrzna, techniczna, że się tak wyrazimy, strona tych beletrystycznych utworów zadawalnia wszelkie wymagania. Dużo zaś wymagać mamy prawo, gdyż pani Preissowa to już nie *homo novus* w dziedzinie czeskiego piśmiennictwa, lecz znana firma literacka. Prace jej, wydane obecnie w dwóch seryach: *Obrázky bez rámů* i *Korulanské povídký*, tułały się już oddawna po rozmaitych czasopismach, a nawet wymieniona przez nas powyżej nowela: *Gazdina roba* przerobioną została na dramat i na scenie *Narodního dívádla* wprawia w emocyę czeską publiczność.

Ścisłość wreszcie każe nam dodać, że „Obrazki bez ram“ wyszły w tak zwanej „Taniej bibliotece narodowej“, wydawanej przez znanego czeskiego księgarza, Józefa Ottę w Pradze *(Ottova laciná knihovna národní)*. Popularne to wydawnictwo, cieszące się w Czechach wielką poczytnością, podaje swym czytelnikom zarówno oryginalne, jak i tłumaczone beletrystyczne płody. Z przekładów polskich katalog „Biblioteki“ wymienia kilka powieści lub nowel Kraszewskiego, Orzeszkowej i Jeża.

H. S.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KOŚCIÓŁ A DZISIEJSI PROTESTANCI.

Nie przestały do dziś dnia serca protestanckie doznawać jakiegoś lęku, kiedy w pamięci im staje papież i Kościół powszechny. Pozornie tylko wygląda świat protestancki już spokojny o swój byt i przekonany o zwycięstwie, odniesionem nad Rzymem; w głębi duszy musi doznawać ciągłych wyrzutów sumienia, bo raz rzuca na Rzym wzrok przerażony i wyszukuje w papiestwie słabych stron, w któreby ugodzić i zadać cios ostatni, innemi razami spogląda na Stolicę Piotrową z tęsknotą i wyszukuje jakichś ustępstw ze strony papieża, marzy o jakimś targu czy przymierzu, wyjawia chęć do zgody a przynajmniej jakąś zachciankę.

Przerażonym wzrokiem spogląda protestantyzm ciągle na „nieomylną“ Głowę Kościoła. Jakżeż łatwo przypuszczamy, że dość już, że już nawet za dużo świat słyszał o nieomylności papieża i przecie już rozumie tę naukę Kościoła powszechnego! Ale coraz nowe wypadki dowodzą, że w umysłach światłych skądinąd, pośród innowierców, panuje nieprzebyta ciemnota w tym względzie. Więc na papiestwo padają dzień po dniu zarzuty niepojęcie dziwaczne.

Niedawno Leon XIII. w rozmowie z jenerałem Adolfem hr. Piamianim wspomniał o Karmelitance, świeżo zmarłej, która w dwa miesiące przed śmiercią sama papieżowi wyznała, że za jego dłuższe życie oddała własne życie Panu Bogu w ofierze; choć młoda, zdrowa wtenczas i silnie zbudowana, zapadła nagle na zdrowiu i po krótkiej chorobie skończyła życie. Papież zauważył: „ofiara tej zakonnicy niewątpliwie podobała sią Bogu, dlatego ją przyjął".

Niktby nie zgadł, co z tych słów papieskich nie urobiła *Deutsche Reichszeitung*. Pisze:

„Widocznie to prawda, że papież żyje w zabobonie o ofierze, za niego złożonej i przez Pana Boga przyjętej! I wobec najwyższych przedstawicieli Kościoła, ze swojego stanowiska jako nieomylny namiestnik Chrystusowy jawnie wyraża tę okrutną, posępną myśl o Bogu miłosiernym, która odpowiada pogańskim wymysłom o bogach żądnych ofiar"...

I to pastor tak pojmuje chrześcijańską modlitwę, którą zakonnica dobrowolnie poparła ofiarą własnego życia!

Ale to nie koniec... znajdujemy jeszcze lepsze pojęcie o naszej wierze i obyczajach; pastor idzie dalej i twierdzi: „nie było to nawet wykluczonem, żeby Karmelitanka, w ekstatycznym zachwycie nietylko złożyła życie w ofierze Bogu i papieżowi, ale także w jakiś sposób sprowadziła albo przyśpieszyła skutek swojej ofiary. Wzmianka o silnej budowie i nagłej śmierci zaiste każe osłupieć".

Protestanci, karmieni takiemi bredniami, zaiste mogą słupieć albo odczuwać do Kościoła taką nienawiść, jaką niedawno w Monachium okazał jeden z nich, kiedy na Boże Narodzenie wszedł do kościoła, żeby tam bezczelnie fajkę palić!

Ale nie wiadomo, co gorzej szkodzi katolikom, czy taka zajadła nienawiść protestanta, czy zupełnie przeciwna postawa, jaką względem Kościoła zajmują niektórzy protestanci, może z marzycielstwa a może z przebiegłej obłudy.

Dziwne jakieś objawy zdradzają, że może przecież protestantyzm nie czuje spokojnego sumienia, że szuka jakichś nowych dróg, któremiby zaszedł gdzieś w stronę katolicyzmu;

a jak blizko stanąłby przy boku Kościoła papieskiego, gdyby szedł dalej nowemi drogami? o tem jeszcze sam nie wie, przynajmniej nie wypowiada jasno swoich nadziei czy mrzonek. Okazuje tylko, na nowym świecie i na starym, że stracił pierwotną nienawiść ku zasadniczym naukom Kościoła powszechnego. Za czasów Lutra miotał ostatnie obelgi na zakonne śluby: dzisiaj zakłada zakony; dawniej za Lutrem powtarzał, że papieże bałwochwalstwem skazili Kościół przez cześć świętych: dziś do niej wzywa sam uroczyście; przedtem ze wzgardą odpychał katolicką rękę, wyciągniętą do zgody: dzisiaj sarka, kiedy tej ręki nie widzi. Prawda to, że takie objawy nie tworzą jeszcze bynajmniej ogólnego prądu w całym protestantyzmie: występują tylko w poszczególnych kołach protestantów marzycielskich; ale zaczynają występować już na całej linii i choć może niewiele rokują, jednak zasługują na uwagę.

W Ameryce episkopalne wyznanie założyło już u siebie od trzydziestu lat pierwszy zakon, tak zwanych „braci nazaretańskich“. W przeciągu tego czasu nie upadł ten zakon, ale dostarczał wcale nierozpasanych mnichów: niejeden dość szczerze spełniał obowiązki dziwnie pojętego życia zakonnego. Ich przykład podziałał: przybywa teraz protestantom drugi zakon: „braci kościelnych“. Ich założyciel, Russel Whitcomb, pochodzi z Bostonu. Pierwotnie należał do wyznania „adwentowców“; czuł potrzebę pracy pożytecznej dla społeczeństwa, i przybył do Anglii, aby tu w Oxfordzie słuchać wykładów prawa. Ale chorobą oczu nawiedzony, musiał opuścić wszechnicę; więc wrócił do ojczyzny i w Bostonie obrał sobie zawód kupiecki. Niezadowolony jednak nadzieją szczęścia na ziemi, zaczął badać nauki poważne i wstąpił nakoniec do anglikańskiego seminaryum teologicznego. Tu dojrzały jego zamiary; ledwo skończył nauki, zaraz przystąpił do nowego dzieła: założył w Nowym Jorku dom zakonny i zyskał dla swojej myśli superintendenta amerykańskiej „High Church“, Ponnera, który zatwierdził ustawy nowego zakonu. Przyjęci do niego mnisi, po nowicyacie składają na pięć lat zwykłe śluby ubóstwa, posłuszeństwa i czystości, a potem odnawiają je co roku. Prócz tego przyjmują na siebie obowią-

zek opieki nad chłopcami, którzy uczęszczają do szkoły niedzielnej.

Nie możemy z katolickiego stanowiska ani jasno zrozumieć, ani wysławiać, ani potępiać zakonnych ślubów w protestantyzmie. Może być, że w takich wypadkach działa jakiś duch dobry, a przynajmniej dobra wiara. A może znowu przebrany tylko za anioła duch prowadzi zbłąkanych, i tak protestantów porusza, jak pobudza liberałów niektórych, aby przybierali pozory mniej wrogie katolicyzmowi, a nawet udawali, że jednomyślnie chcą iść z Kościołem w niektórych względach zasadniczych. Oczywiście w takim razie szłoby tylko o łatwowiernych prostaczków, których przeciwnicy Kościoła chcieliby podejść prawowiernemi pozorami, aby zaciągnąć ich pod swoją chorągiew. Tak liberał może nawet wytoczyć sprawę sądownie o obrazę, jeżeli nie dostaje miana katolika, przynajmniej umiarkowanego. Tak protestanci mogą marzyć dla swoich współwyznawców o ślubach zakonnych i także o czci świętych.

Właśnie niedawno, na prowincyonalnym synodzie ewangelików z Prus Królewskich, zwolenników znalazła myśl o obchodzie dziewięćsetnej rocznicy śmierci świętego Wojciecha. Poważni i szczerzy ewangelicy podpisali dziwną odezwę, która słowami zupełnie katolickiemi wzywała tamtejszych mieszkańców do uroczystych obchodów przy grobie świętego męczennika za wiarę. Cześć świętego Wojciecha, polecana przez odezwę pastorów, zdumiła katolików; nie wierzyli w szczere zamiary synodu. *Germania* nie umiała przemilczeć odezwy, w której odgadywała zdradę, i zadała ewangelikom pytanie, o co im idzie w głębi serca, iż dziwną podnoszą myśl: czci niespodzianej świętego biskupa katolickiego?

Na to *Germanii* odpisuje *Kreuzzeitung:* „*Germania* mogłaby pewno znaleść sobie co lepszego do roboty, niż kręcić i podsuwać opaczne zamiary odezwie, która pragnie uczcić pamięć chrześcijańskiego apostoła i męczennika. Ale, jeżeli tak podejrzliwie śledzi ukryte zamiary i za ‚dziwną' poczytuje odezwę, tedy niech sobie żywo przedstawi, jak z chrześcijaństwem torowały sobie drogę do Prus także niemiecki obyczaj i oświata, o któ-

rych rozwój dzisiejsi ultramontanie tak mało stoją, albo zupełnie nie dbają".

Germania nie została dłużna odpowiedzi i bez ogródek odpisała: „Jesteśmy wdzięczni za to światło rzucone na sprawę, którego nie odmówiła nam *Kreuzzeitung*. Ale *Kreuzzeitung* nie powinnaby nam brać za złe, że na zapowiedziany przez protestantów obchód ku czci św. Wojciecha spoglądamy zdumieni, bo wie, co Luter myślał i pisał o czci świętych i objawach nabożeństwa ku nim. Czyż *Kreuzzeitung* nie zna bluźnierstw Lutra o Grobie Pańskim: ‚o grób, w którym Pan leżał, Bóg dba tyle, co o krowy szwajcarskie?' (Tom XXVIII. *Ueber Missbr. d. Messen*). Przeciwnie, w zachodnich Prusiech prowincyonalny synod chce czcić i zdobić grób św. Wojciecha. Więc postawiliśmy pytanie o ukrytym zamiarze w tej czci dziwacznej. Dosłownie przytoczony przez nas artykuł berlińskich *Neuest. Nachricht.* wspominał o św. Wojciechu t y l k o jako o głosicielu ewangelii między pruskimi poganami, tylko o jego śmierci męczeńskiej. Ale *Kreuzzeitung* wyjawia nam ukryty zamiar, żeby w św. Wojciechu, praskim biskupie, czcić germanizatora, z chrześcijaństwem torowały sobie drogę do Prus także niemiecki obyczaj i oświata'. To właśnie mamy, czego szukaliśmy!"

Wyszło szydło z worka: przyparci do muru protestanci wyznają, że tym razem nie z katolickiego nabożeństwa do świętych zamierzają obchodzić pamięć śmierci męczennika za wiarę... inne pobudki podsunęły im myśl o uroczystości, na którą niejeden prostaczek mógłby dobrodusznie spoglądać, jako na objaw zgody protestantyzmu z nauką Kościoła powszechnego. Dzięki natarczywemu pytaniu *Germanii* i gadatliwej *Kreuzzeitung* otworzy niejeden oczy na prawdę, ktoby zaczynał myśleć, że takich znów różnic między nowoczesnym protestantyzmem a Kościołem już niema, o których prawią fanatycy.

Podobnie mógłby myśleć także Słowak na Węgrzech, który widzi, jak w nowszych czasach pastorzy przestali wojować przeciw katolickim kolędom. Obrzędy wigilijne, żłóbek, kolędy, cały nastrój religijny, którym tchną zwyczaje, przechowywane na rozległej Słowiańszczyźnie w dzień Bożego Narodzenia: to wszystko

uważane ściśle po lutersku, powinnoby przedstawiać zabytki pogaństwa i oburzać na siebie prawowiernych pastorów. To też, jak donoszą *Slovenské Pohlady*, „z końcem XVI. stulecia kolędowanie u ewangelików trenczyńskich było zniesione; ale iż sobie lud kolędy gdzieniegdzie przecie żądał, pomału znów w zwyczaj weszła. Roku 1609 był w Cieplickiem, w Żilinie, ewangelickim pastorem Jan Pannitonsor, inaczej Pannoniuszem zwany, przybyły tam ze Szląska. Tego to bytczański pastor Eliasz Láni, w rok później superintendentem mianowany, zaskarżył, że zaprowadza kolędę albo pieśń o Trzech Królach. I zasądzili go, że ponieważ dał w zborze przyczynę zgorszenia i przestąpił zakon, musi błąd swój wyznać i przepraszać w zborach żylińskim, kysucko-nowomiejskim, waryńskim i cieplickim, i, aby się powadze seniora zadośćuczyniło, także w zborze bytczańskim. Ale z końcem przeszłego stulecia znowu powszechnie także w zborach ewangelickich kolęda została wprowadzona“. Ustąpili pastorzy naciskowi wiary, nie zamarłej w sercach ludu, ale czy tak sobie paradzili, przekonani o potrzebie zewnętrznych oznak nabożeństwa? czy tylko dla oka protestanci politycznie cierpią katolickie objawy wesela w dzień Bożego Narodzenia! Któżby tę zagadkę stanowczo mógł rozwiązać?

Inną także zagadkę w tym rodzaju stanowią ostre występy protestantów saskich przeciw nowym napaściom na księdza Maksymiliana, księcia saskiego, którego zapomnieć nie chcą twardzi protestanci. Więc znowu Meyer-Zwikau, naczelnik ewangielickich związków w Saksonii, wystąpił w *Leipz. Tagbl.* z obelżywą rozprawą na tle kapłańskich święceń katolickich, przyjętych przez królewskiego siostrzeńca. Nie dziw, że nikczemne obelgi wywołały odrazę w sercach katolickich: ale niespodzianie katolicy ujrzeli po swojej stronie poważnych protestantów, jak superintendent dr. Panck i prof. Rietsche, którzy ostro skarcili zuchwałego współwyznawcę swojego. Ten, obrażony „katolicyzmem“ superintendenta, wystąpił ze wszystkich związków, do których należy dr. Panck; ale sam za wygranę nie dał i zjadliwą rozprawę przedrukował jeszcze raz w piśmie związku ewangielickiego *Kirchl. Corresp.* I tutaj katolicy znaleźli przy sobie

wybitnych protestantów... ale, gdzie szło o obrazę rodziny królewskiej, czyż można wierzyć, że tam głos protestantów płynął z ducha życzliwego katolikom, a nie ze względów łatwo zrozumiałych?

Ostatnie wypadki w Ameryce północnej także świadczą, jak trudno wierzyć protestantom, którzy ściskają rękę katolickim biskupom i zapewniają, że chcą widzieć całe chrześcijaństwo w jednej owczarni. Dwóch szczególnie biskupów, choć najprawowierniejszych, protestanci widocznie nie rozumieli, bo tak wysławiali ich w pismach i przyjaźnie witali ich wszędzie, że aż katolików narazili na rozmaite domysły, które szkodziły sławie tych biskupów. Byli to: arcybiskup Ireland z Saint-Paul i biskup Keane, rektor katolickiej wszechnicy w Washingtonie. Wobec nich słyszeć było można z ust protestanckich zapalone słowa o zwalonych już chińskich murach, które dawniej dzieliły katolików od protestantów; nieraz w oczy i poza oczy tych biskupów powtarzali na ich pochwałę, że, dzięki ich wyrozumiałym poglądom, protestant z katolikiem pod jedną chorągwią ruszą na walkę o królestwo boże. Ale ostrożniejsi katolicy amerykańscy widzieli w tych zapowiedziach tylko mrzonkę, opieraną przez protestantów na nadziei, że katolicyzm coś spuści ze swojego a coś wytarguje na protestantach, i przez obopólne ustępstwa od soboru trydenckiego i nauki Lutra Rzym wytworzy z innowiercami wspólne chrześcijaństwo.

To też w Washingtonie protestanci zdradzili swoją niechęć do katolicyzmu, kiedy papież wezwał biskupa Keane, aby złożył urząd rektora na wszechnicy washingtońskiej. Na wieść o zmianie rektora powstała w dziennikach amerykańskich wrzawa i zgiełk, w której najdonośniej brzmiały nowiny najniedorzeczniejsze, jakoby czerpane ze źródeł rzymskich. Raz miał papież zsadzić ze stolicy arcybiskupa Irelanda, innym razem zapowiedzieć karne śledztwo przeciw kardynałowi Gibbonsowi, przynajmniej wyznaczyć przy jego boku koadjutora bardzo niemiłego, potem gruchnęła wieść, że wszyscy profesorzy uniwersytetu, z wyjątkiem jednego, mają stracić urząd i posadę.

W dalszym ciągu dziennikarskich pogłosek zabrzmiały za-

wzięte hasła protestanckie i okrzyk zwycięstwa. Czytać było można wykrzykniki zgrozy nad haniebnym postępkiem władzy, która postępuje z biskupami, z rzekomymi następcami apostołów, jak z parobkami, których można kiedybądź odprawić!

Kiedy z całego hałasu wynikały takie wnioski, łatwo było zrozumieć, czyja głowa pracowała nad posiewem kłamstw. Ale nawet najmniej domyślnych mógł w końcu przekonać list, który urzędownie zaprzeczał wszystkim wieściom, wyzyskiwanym do walki przeciw papieżowi. List, przez papieskiego sekretarza stanu kardynała Rampollę, podpisany i wysłany na imię apostolskiego delegata, msgra Martinellego, brzmi:

„Ojcu świętemu było bardzo przykro słyszeć o burzy, w umysłach wywołanej przez korespondencye i telegramy, rzekomo z Rzymu nadsyłane do Stanów Zjednoczonych. Zapowiadano w tych depeszach różne ostre środki, wymierzone przeciw znakomitym prałatom amerykańskim i wybitnym profesorom katolickiej wszechnicy.

Wasza Wielebność niech zechce zaprzeczyć urzędownie wszelkim tym wymysłom: wytworom podstępów niechwalebnych".

DELEGAT APOSTOLSKI W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Być może, że zmiana w delegaturze apostolskiej dodawała ducha zwolennikom myśli o jakiemś ogólno chrześcijańskiem tle, na którem katolicyzm podawałby rękę protestantyzmowi. Poprzedni delegat niczem nie poparł takich mrzonek. Za jego pobytu w Ameryce arcybiskup Ireland zdobywał sobie coraz większy mir u tych katolików, którzy przedtem z ukosa spoglądali na jego stanowisko, zajęte wogóle względem liberalizmu, a szczególnie w sprawie szkoły wyznaniowej. Następca kardynała Satollego, arcybiskup Martinelli, niczem nie usprawiedliwiałby domysłów, że w czemś ważniejszem zejdzie z toru, ubitego przez poprzednika. To, co o nim dotychczas wiemy, świadczy najchlubniej o jego zaletach, które stawią zapory wszelkim mrzonkom wolnomyślnym. Dziennik *Amerika* dostał od któregoś ze swoich przyjaciół list, który świadczy, że msgr. Martinelli uchodzi w oczach Amerykanów prawie za niezwykłe zjawisko, tak uderza i buduje każdym krokiem

i ruchem. To też wymieniony list bardzo szczegółowo opisuje postać przedstawiciela Watykanu w Waszyngtonie; czytamy w nim:

„Przedewszystkiem były to trzy przymioty, które w apostolskim delegacie najmilej mię uderzyły i zostawiły trwałe wrażenie: prostota, dobroć, roztropność. Już prostota jego mieszkania i pokoju recepcyjnego wprost mię zdumiły. Bez tarcz herbowych, bez wywieszonych flag nie okazuje po sobie ten dom niczego, co odznacza budynki rządowe albo publiczne, tylko w środku drzwi mała płytka mosiężna podaje napis: *Apostolic Delegation*. Więc wątpić nie mogłem, że stałem przed drzwiami zastępcy Jego Świątobliwości. Zadzwoniłem... drzwi zaraz otwarte przekonały, że wnętrzny układ domu delegata odpowiada zewnętrznej prostocie. Najsurowszy brak wszelkiego zbytku zdobi pokoje: stół, kilka prostych krzesełek, jeszcze prostsza sofka, na ścianie fotografia jedna i druga, gipsowy biust na stoliku bez ozdób, Krucyfiks; tak delegat urządził sobie skromną poczekalnię. A jak jego postać odpowiada zupełnie do tła tych pokoi, urządzonych jednak może nie przez niego samego, tylko przez jego poprzednika!

„Tak! Arcybiskup Martinelli, to mąż pełen prostoty. Wiadomo, że pochodzi z wysokiego rodu; jeden z jego braci umarł kardynałem. Ale sam odrazu okazuje się prostym zakonnikiem, jakim jest, bo należy do mnichów św. Augustyna. Nie używa jednak habitu (w Ameryce możeby raził innowierców), tylko nosi zwykłą sutannę czarną, z fioletowemi wypustkami i guzikami. Chód, głos, postawa, ruchy: nic nie zdradza przymusu albo przesady albo czegobądź urzędowego. Ledwo możebnem było pocałować pierścień jego biskupi. Uprzejmie zaprosił, żebym przy nim usiadł, i wezwał, żebym przedstawił sprawę, z którą przybyłem. Spokojnie wysłuchał, nie taił żywego udziału, jaki bierze w sprawie, wyraził, że rad słucha ustnego opisu wypadku, i polecił mię swojemu *Uditore*, który z urzędu musiał tę sprawę prowadzić. Mimowolnie, takie zjawisko jak ten delegat nasunęło mi do myśli słowa: To człowiek pełen prostoty gołębiczej! A że posiada także roztropność wężową, o tem nie mogłem wątpić, kiedy spoglądałem na jego oko czarne, głębokie, przejrzyste, na

jego twarz spokojną i wyrazistą, kiedy uważałem, jakie zadawał pytania, i jakich udzielał rad".

Z innych stron nadesłane wiadomości potwierdzają te szczegóły i dodają, że zmateryalizowanych Amerykanów niezwykle uderza i ujmuje skromna prostota, w której występuje przedstawiciel Stolicy Piotrowej. Stąd wnosić można, że upadają wywody tych umysłów wolnomyślniejszych, które twierdziły, że Kościół na Amerykanów działać nie może bez zewnętrznego blasku, wystawy i przepychu, którym olśniewałby ten naród dziecinny. Taka postać nie zapowiada świeckiego dyplomaty, gotowego do targów o prawdę z wolnomyślnymi, jak niektórzy katolicy w Ameryce by chcieli. Ale skutki pokazują, że tych targów nie potrzeba. Bez żadnych ustępstw Kościół od wieków żądał wiary i teraz żąda posłuszeństwa od anglikanów: przecie liczba nawróconych bez targu rośnie widocznie.

STAROKATOLICY

Inaczej postępują „starokatolicy", skłonni do ustępstw i gotowi prawdę naginać do uszu słuchacza. Jeden z nich, nieszczęsny „biskup" dr. Weber, następca Reinkensa, umie być z katolikami po prostu katolikiem, a przy lutrach wcale otwartym zwolennikiem reformacyi; zaszczycił grono protestantów przemową, w której, według witteńskiego *Tagblattu*, w Witten 25 października 1896 r., powiedział te słowa: „Wielka odpowiedzialność drugiego biskupa starokatolickiego polega na tem, że we wszystkich gminach usiłuje dopiąć jednego celu: zwalczyć ultramontanizm i na nowo odbudować czysty Kościół katolicki, jaki na zasadach Ewangelii istniał przez sześć pierwszych wieków".

Tak przemówił wobec licznie zebranych pastorów, a w kilka tygodni potem, 18 grudnia, wobec swoich owieczek, jak donosi starokatolicki *Volksblatt* nr. 48, wystąpił w Bonn z mową przy uczcie i już inaczej mówił; mianowicie twierdził, że „było to, doprawdy, wielką pomyłka w XVI. wieku, zakładać obok Kościoła powszechnego, inny zbór, nazwany ewangelickim, chociaż i w tym wypadku nie możemy nie uznawać rządów boskiej Opatrzności i wielu dobrodziejstw, które przez reformacyę spły-

nęły. Przeciwnie, zawsze z naciskiem powtarzaliśmy: jesteśmy katolikami i takimi zostaniemy, bo jesteśmy pewni, że przez sobór watykański, rzymski Kościół, jeszcze wtenczas katolicki, został niekatolickim".

PATRYARCHAT CAROGRODZKI.

Ojcowskiego serca i patryarchalnych rządów nie mogą znaleść Słowianie i Rumuni u swojego patryarchy w Carogrodzie. Serbowie w grudniu 1896 r. dostali nakoniec posłuchanie u patryarchy, aby przedstawić prośbę o słowianina na biskupiej stolicy w Skopii. Patryarcha zmienił postawę. Przedtem niedostępny na wszelkie uwagi Serbów, teraz zaczął ich zapewniać o najżyczliwszych zamiarach dla ich narodu i o pilnej trosce swojej, aby dogodzić serbskiemu gronu biskupów. Już po tych słowach nadzieja mogła świtać w sercu Serbów, aż nagle patryarcha uważał za stosowne dodać, że spełnić ich prośby nie może ani nie obsadzi po ich myśli biskupstwa w Ueskueb, mimo najlepszych chęci, ale ta sprawa nie należy do zakresu jego władzy. Więc Serbowie opuścili progi Fanaru, aby swoją prośbę zanieść do synodu patryarszego, ale tutaj nie mogli tuszyć sobie żadnych nadziei, bo synod już przedtem orzekł, że według praw kościelnych raz obrany Grek na biskupstwo ueskuebskie powinien na niem zostać nieodwołalnie. Tymczasem nadszedł dzień imienin cesarza Mikołaja II. Patryarcha, mimo tysiąca kłopotów swoich, nie zapomniał o dniu carskim i wysłał swoich zastępców z łona synodu, którzy w jego imieniu złożyli życzenia na ręce posła Nelidowa. A tu ich spotkała przykra niespodzianka. Na służalcze wyrazy czci dla obcego władcy, Nelidow odpowiedział wyrazami przygany za obór Greka na biskupstwo w serbskiej dyecezyi. Słowa Nelidowa podziałały jak rószczka czarodziejska: już dla synodu prawa kościelne przestały stanowić przeszkodę do oboru słowianina na stolicę skopijską; już niektórzy biskupi postanowili uznać wybór Greka za nieważny... Aż tu, w najgorszą dla siebie porę, białogrodzki biskup Michał, naczelnik kościoła serbskiego, wystosowuje list do patryarchy, i bez ogródek wypowiada niepochlebny sąd o patryarsze i jego stanowisku nieprzychylnem dla Serbów; nako-

niec zapowiada, że jeżeli patryarcha nie zmieni poglądów helenizatorskich, wtedy Serbowie założą sobie osobny patryarchat w Ipeku. Darmo powaga Nelidowa nadała sprawie obrót pomyślny dla Serbów: list Michała popsuł wszystko, obraził greckich biskupów w Synodzie, doprowadził ich do stanowczej uchwały, iż raz dokonanego wyboru Greka zmieniać nie pozwoli nigdy żadne prawo Kościoła: nakoniec sam patryarcha wygotował odpowiedź, dotąd nie ogłoszoną, na buntowniczy list Michała.

Ale Serbom nie zabrakło znowu pomysłu w walce przeciw patryarsze. 20 grudnia zjechali tysiącami do Białogrodu, gdzie powzięli pięć wojowniczych uchwał, a w jednej z nich postanowili złożyć dzięki rządowi, carowi i Czarnogórze, za ich wpływy wywierane na sułtana i patryarchę, w duchu przychylnym dla Serbów: nadto uchwalili wysłać odezwę do europejskich państw, aby poruszyć je do obrony Serbów przed patryarchą. W duchu tych uchwał, jak świadczy *Pol. Corr.*, prezes gabinetu serbskiego pan Nowakowicz rozesłał do dyplomatycznych przedstawicieli Serbii w krajach postronnych urzędowy okólnik, w którym przedstawia sprawę biskupstwa skopijskiego i opisuje jej dzieje od początku aż do najnowszych kroków rządu serbskiego wobec patryarchy. Dziwnie wyglądać mają dyplomaci serbscy wobec rządów europejskich, kiedy roztoczą przed nimi opisy swoich zatargów narodowych z ekumenicznym patryarchą!

Rządowy dziennik serbski Видело nie stracił ducha i wyrażał nadzieję, że poselstwo skopijskie przecie wywrze wpływ pożądany na nieszczęsnym patryarsze. Ale dodaje, że gdyby ta nadzieja zawiodła, nie możnaby nic poważnego zarzucić Serbom w tureckiem państwie, którzyby na wzór Rumunów zerwali ostatnie węzły z carogrodzkim patryarchą. Ta zapowiedź odszczepieństwa nie wystarczała jeszcze serbskiemu pismu; dodaje jeszcze nową groźbę: że mogliby przecie władycy rumuńscy, serbscy, bułgarscy i inni autocefaliczni biskupi zwołać wspólny sobór, na którymby wyklęli ekumenicznego patryarchę i ogłosili heretykiem, razem z wiernymi jemu Grekami!

Taka wojownicza postawa może podziała na patryarchę, który nie okazuje znowu zbyt wielkiego zapału do walki na

życie i śmierć. Więc np. wyklął rumuńskiego arcybiskupa, który w Carogrodzie postawił nową stolicę, naczelną nad wszystkimi rumuńskimi biskupami w Turcyi. Wyklął patryarcha buntownika, ale potem ogłosił, że zawiesza skutki klątwy, aby dać czas zbuntowanym do namysłu. Taki brak stanowczych kroków rozzuchwala tylko upornych. Przytem wszystkiem patryarcha nie tracił ducha jakby nie przeczuwał, że jego władza zaczyna należeć do wieków ubiegłych, i myślał o nowych podbojach: ni mniej, ni więcej, tylko chciałby widzieć u nóg swoich potężnego Menelika z całą Abissynią.

Inicyatora takiej myśli znalazł patryarcha w archimandrycie Doroteuszu Nikitaidisie, który sobie już od kilku lat wbił do głowy klina, że Abissynię nawróci na prawosławie greckie. Więc jeszcze za poprzedniego króla Jana pojechał do Makale, gdzie odbył długą naradę z królem i naczelną głową duchowieństwa abissyńskiego, imieniem Cagies. Ale czas upływał, a rozmowa w Makale nie odnosiła żadnych skutków [1].

Mimo wszelkich obietnic, poprzednik dzisiejszego Menelika pozostał w odszczepieństwie. Niewiadome jeszcze powody dodały Anthimosowi VII., patryarsze ekumenicznemu otuchy, że nowa

[1] Nie na wiele posłużył list, którym aleksandryjski patryarcha zaopatrzył archimandrytę Nikitaidisa, i na który od króla Jana, poprzednika obecnego negusa jednak dostał odpowiedź następną, według pisma carogrodzkiego Νεωλογος:

„Król Abissynii i okolic południowych.

„W imieniu Jezusa Chrystusa wiekuiście chwalebnego.

„Odemnie Jana, który w Bogu szukam pomocy, króla prawowiernej Abissynii,

„Do boskiego, błogosławionego i najwyższego Sofroniusza, źródła pokory i miłości i patryarchy greckiego

„Najprzód dowiaduję się o zdrowie Waszej Wszechświętości, i składam modły, abyście byli zawsze zdrowi. Jeżeli życzycie mieć wiadomość o tem, co mnie dotyczy, wiedzcie, że my, i nasze wojska, i nasi ministrowie, i nasi jenerałowie, skutkiem modlitw świętych Ojców z Syonu, jesteśmy zdrowi, dzięki orędownictwu Świętych.

„Donosimy Wam, że dostaliśmy na czas Wasz list, z rąk Waszego posłańca, uczonego bogoznawcy Demetryusza Nikitaidisa, razem z księgą modlitw przy służbie bożej, przez Was nadesłaną. Więc otrzymaliśmy i przyjęliśmy. Niech Bóg za to zapłaci hojnie! I jesteśmy przekonani, że życzycie, żeby królestwo Abissyńskie rosło na sile i potędze. I wiemy dobrze, że

wyprawa Nikitaidisa do Abisynii podziała skutecznie na Menelika. Ale dla skutku wyprawy trzeba było jechać do Abisynii z Carogrodu na — Petersburg! Więc Anthimos i były patryarcha jerozolimski Nikodem, przytem wielu dostojnych Greków zaopatrzyli Nikitaidisa listami pochwalnemi do świętego synodu i członków arystokracyi rosyjskiej. Tak polecony apostoł prawosławia carogrodzkiego wyruszył w początku grudnia 1896 do cara Mikołaja II., pod którego skrzydła opiekuńcze chce złożyć swoją wyprawę do Menelika.

Nie wiadomo, czy Nikitaidis doprowadzi do skutku swoją mrzonkę, bo wkrótce może pozostać bez podpory, której w swoich zamiarach doznaje teraz ze strony patryarchy. Obecny naczelnik Fanaru nie chciał czekać, jaki obrót wezmą zabiegi o nawrócenie Menelika; w ostatnich dniach do żywego uczuł niesmak i gorycz ciągłych zatargów z podwładnymi biskupami i zamiast dalej walczyć, posłał do Ildiz-Kiosku prośbę o dymisyę i już dostał zastępcę.

Tymczasem na Wschodzie coraz mniej chrześcijan spogląda na zciemnioną gwiazdę Fanaru; coraz liczniejsi odszczepieńcy wyciągają ręce do Watykanu. O Koptach znowu donosi *Univers:*

Wasza Wszechświętość modli się zawsze za wielkość i jedność naszego królestwa. O tem nie wątpimy zupełnie, bo królestwo Abissyńskie istnieje od czasów króla Konstantyna Wielkiego, i odtąd miłość królowała między Abisynią i Grekami, którzy tutaj przybywali często i mieszkali. Jako uczeni, wyświadczali usługi tutaj i rozrzucali światło.

„Wiemy, że nasz Kościół nie pochodzi od Koptów, tylko od Greków, i że później król grecki, Jutan, połączył się z Kalisipem, królem abisyńskim, i że zwołali sobór, na którym zgodnie wydali ustawy o miłości i spokoju, i zatwierdzili wiarę apostolską; potem każdy z nich wrócił się do swojego królestwa i strzegł wiary prawosławnej; i wszystkich łączyła jedna wiara. Potem, za patryarchy aleksandryjskiego, Dioskora, błędy powstały, i za czasu Leona, patryarchy rzymskiego, odszczepieństwo rozdzieliło was od nas. Teraz, dzięki miłości, którą mam dla Was, i także dla dobra wiary, przystaję na rozprawy listowne o dogmatach. Ja, nie odrzucę, co będzie rozstrzygniętem, bo odszczepieństwo trwało wskutek przygód czasowych. Nasze królestwo Abissyńskie, z początku było słabe i ścieśnione w wązkich granicach; ale dzisiaj, z mocy i miłosierdzia bożego, rozszerzyło granice i nabrało potęgi...

„Dan w stolicy Makale, 22 dnia miesiąca Baramcha 1879 roku (1887 według naszej rachuby)".

„Nowiny coraz pomyślniejsze dochodzą z Kairu o ruchu na szerokie rozmiary, rozbudzonym między odszczepieńcami koptyjskimi, którzy myślą o powrocie na łono Kościoła powszechnego.

„Aby poprzeć ten ruch, papież wysłał mgra Sogoro, dawniej wikarego apostolskiego z Sudanu, aby ten w Aleksandryi upatrzył miejsce i rozpoczął przygotowawcze prace pod budowę seminaryum dla kleryków obrzędu koptyckiego. Jak donosi teraz mgr Sogoro, a po nim także mgr Mohorg, dzieło zamierzone przez Leona XIII. przybrało obrót najzupełniej pomyślny. Nietylko władze miejscowe i krajowa ludność oddają wszelkie usługi pożądane przy budowie nowego seminaryum, ale niejeden także budowniczy obcokrajowiec oświadczył, że bezpłatnie służyć będzie pomocą wszelką, jakiej sprawa zażąda. Potrzebne wydatki zostały już zaopatrzone, częścią z hojnej na takie zakłady szkatuły papieskiej, częścią ze szczodrobliwej pomocy Jego apostolskiej Mości, cesarza Franciszka Józefa, który od niepamiętnych czasów odziedziczył prawo opieki nad Koptami katolickimi. Zebrane pieniądze wystarczą nawet na budowę liczniejszych kościołów i kaplic w patryarchacie aleksandryjskim, których brak przeszkadzałby odszczepieńcom wracać na łono Kościoła. Więc wszystko rokuje nadzieje, że wschodnio-katolicki patryarchat aleksandryjski, wskrzeszony przez Leona XIII. niezadługo odzyska dawny swój blask, o jakim świadczą chlubne podania“.

NA WĘGRZECH. Przyjętym zwyczajem, zwycięzcy zwyciężonym nakładają kontrybucyę, aby powetować sobie koszta wojenne. Od tego zwyczaju nie odstąpił węgierski liberalizm zwycięzca; zamyśla wglądnąć w kieszenie duchowieństwu katolickiemu. W związku prawników wystąpił radca ministeryalny Darday z wykładem o prawie państwa do nadzoru nad fundacyami. Jako mąż prawy, pan Darday wcale nie wyznał, że zmierza do sekularyzacyi dóbr kościelnych; owszem, szlachetnie zaparł się cienia podobnych zamiarów; obiecał tylko odpowiedzieć na pytania prawne, już dawniej poruszane, ale nierozwiązywane dotychczas poważnie.

Jakież to pytania czekały na odpowiedź z ust radcy Dardaya? W szesnastym jeszcze stuleciu ze strony rządu węgierskiego spadły na Kościół katolicki różne pociski, w duchu protestanckim rzucane, między innemi zamachy także na dobra kościelne. Ale napotkały na taki opór ze strony wiernych, że ledwo nie wywołały wojny domowej, bo dawni właściciele dóbr, darowanych Kościołowi, nie chcieli słyszeć o tem, żeby państwo miało zmieniać ich prawomocne zapisy lub darowizny. Więc zarażony protestantyzmem rząd musiał powstrzymać łupieskie zapędy i odmówić sobie kościelnych majątków. Ale pan Darday, jako prawnik, nie mógł przenieść na sobie widoku ustawy niewykonanej, a dla państwa korzystnej; więc musiał tę sprawę poruszyć w grobie, w którym już trzysta lat spoczywa.

I, co prawda, trzeba przyznać, że radca ministeryalny miał już sto lat temu poprzednika, który usiłował wygrzebać z pleśni ustawę przeciwną Kościołowi. Za Józefa II. duch wspaniałomyślnego liberalizmu zalatywał do Węgier z patentem, który odnawiał z przed wieków nieudaną ustawę i zarządzał zabór dóbr kościelnych. Jednak jeszcze sto lat temu Węgry nie rozumiały takiego dobrodziejstwa i józefiński patent pozostał na papierze dowodem, jak duch wolnomyślny troskliwie dba o dobro Kościoła.

Radca Darday, jako wielbiciel paragrafów i wyznawca zasady „porządek przedewszystkiem“ pragnie zaradzić nieładowi i jawnej pogardzie ustaw; więc nawołuje do pracy, aby wygotować rządowi prawo do dóbr kościelnych. Jeszcze raz wzywa bezstronnych słuchaczy na świadków, że do grabieży żadnej nie nawołuje; przedstawia tylko potrzebę nowej ustawy, którąby po pierwsze: zażądała od duchowieństwa spisu ich majątku i dochodów; powtóre: ustanowiła wydział z pośród posłów albo urzędników państwowych do nadzoru nad nowemi zapisami na dochód duchowieństwa; po trzecie: przyznała rządowi prawo odrzucać te zapisy albo na nie zezwalać; po czwarte: nałożyła na rząd obowiązek straży nad duchowieństwem, aby używało dochodów w myśl pobożnego dawcy.

Wniosek natchnięty duchem wolnomyślnym zjednał radcy

ministeryalnemu oklaski dziękczynne ze strony związku prawników, który postanowił nad tym świetnym pomysłem odbyć nową naradę. — Tak zaczyna liberalizm iścić nadzieje, obudzone jego zwycięstwem nad klerykałami.

LIST PASTERSKI BISKUPÓW MONARCHII AUSTRYACKIEJ.

Wobec ważnej chwili, jaką przebywamy w przeddzień wyborów, nie zabrakło nam cennych wskazówek, niby pochodni, która pątnikom na rozdrożu odkrywa gościniec jasny i pewny. Tych wskazówek udzielili nam nasi naczelni wodzowie hufców Chrystusowych, które po różnych krajach korony austryackiej stoją pod chorągwią Krzyża. Słyszymy z ust arcypasterskich takie nauki, o jakich żaden chrześcijanin zapominać nie może, kiedy ma swoim głosem wyborczym przeważać szalę na korzyść najgodniejszego przedstawiciela ludu w izbie ustawodawczej. Więc przypominają dostojni arcypasterze, czego wymagać wypada od posła: obrony praw bożych i walki o dobro stanu, który w ręce przedstawiciela swojego powierza najgorętsze swoje potrzeby. W obronie praw bożych powinien poseł w pracy ustawodawczej nalegać na święcenie świąt po chrześcijańsku i orędować w imieniu rodziców w sprawie bogobojnego wychowania dzieci. Przy tem musi wyraźnie stanąć do walki przeciw czerwonemu sztandarowi, podniesionemu na zgubę Kościoła, przy hasłach niebezpiecznych dla świętości małżeństwa i wrogich dla właścicieli majątku osobistego. Nakoniec nie może poseł sumiennie zasiąść w Izbie, jeżeli nie pozna dokładnie potrzeb tego stanu, którego pragnął zostać przedstawicielem. W opisie tych obowiązków poselskich okólnik biskupi porusza wiele myśli, tchniętych przez listy apostolskie Leona XIII. w sprawie ustroju społecznego. Jak na czasie wystąpili książęta Kościoła ze zbiorowem pismem, świadczą o tem niemądre uwagi, z jakiemi pisma bezwyznaniowe wspominają o tej pobudce wojennej przeciw szkodliwym skutkom ustawodawstwa wolnomyślnego. Takiemi uwagami oddają owe pisma cześć naszym arcypasterzom, a społeczeństwo chrześcijańskie swoim dowódcom składa wdzięczny hołd za odezwę i zachętę do zwycięstw w walkach o Boga.

Ks. K. Czaykowski.

Z odkryć w dziedzinie egzegezy.

Nowoznaleziony rękopis hebrajski księgi Ekklesiastyka. — Listy z czasów Jozuego.

Profesor literatury talmudyckiej na wszechnicy w Cambridge, p. L. Schechter, ogłasza w czerwcowym zeszycie pisma *Expositor*, że zamierza wydać nowo wynaleziony tekst hebrajski niecałych dwóch rozdziałów księgi Ekklesiastyka, od 15 wiersza rozdziału XXXIX. do 6 w. r. XL.; do ciekawej zapowiedzi dodaje uczoną rozprawę, w której wykazuje, że ten tekst jest pierwotnym, chociaż nie zawsze zupełnie zgodnym z tekstami greckim i syryjskim, najdawniejszymi ze znanych dotychczas.

Grecki tekst pochodzi z czasów Ptolomeusza Euergetesa, jak świadczy sam grecki tłumacz, wnuk Siracha, który z hebrajskiego przełożył na grecki język księgę swojego dziadka. Ale kiedy żył ów Ptolomeusz Euergetes, tego nie wiemy dokładnie. Dość ścisła rachuba wyznacza dla niego drugą połowę trzeciego wieku przed Chr.; ale inni o cały wiek później kładą tego Euergetesa, którego biorą za Physkona. Grecki przekład doszedł do nas w blizko dwudziestu starych rękopisach, ale te wszystkie są już nowsze od Wulgaty i oparte widocznie na jednem źródle, bo powtarzają ten sam błąd w rozkładzie rozdziałów od XXXI. do XXXIII., który nie przychodzi w przekładzie łacińskim i syryjskim. Łaciński przekład poprzedza czasy św. Hieronima i służył już pisarzom kościelnym z III. wieku, nawet z II. po Chr. Syryjski doszedł do nas dopiero w późniejszych czasach, dopiero w wieku XVI.; ale w drobiazgach odstępuje raz od Wulgaty, drugi raz od przekładu greckiego.

Wskutek tych różnic bardzo pożądanym był pierwotny tekst hebrajski, znany jeszcze za czasów św. Hieronima. Nieszczęściem nie doszedł do nas, ledwo kilkadziesiąt nieznacznych urywków z niego przytoczył talmud żydowski Te urywki razem z innemi wskazówkami niewiele wprawdzie mogły usług wyświadczyć wydawcom poprawnej Wulgaty: przecie żadna inna księga biblijna tylu nie doznała poprawek, co właśnie Ekklesiastyka. Oryginał hebrajski tem łatwiej mógłby oddać przysługę uczonym, im mniej sam był narażony na dobrowolne zmiany, bo podobno był ułożony cały rytmicznie wierszami, w których trudniej przestawiać wyrazy albo zmieniać, niż w prozie. Do tego

wniosku prowadzą rozprawy umieszczane w *Wiener Zeitschrift für die Kunde des Morgenlandes.*

Oryentaliści nie tracili nadziei, że odnajdą pierwotny tekst hebrajski. W ostatnich latach wyszły z kryjówek różne dzieła, miane już za stracone: tak np. w Medyolanie niespodziankę sprawiły nowo odnalezione psalmy (II.) z Hexaplów Oryginesa. Góra Synai dostarczała także drogocennych niespodzianek, zawdzięczanych głównie mozołom takich poszukiwaczy, po których trudno było oczekiwać jakichbądź zdobyczy na polu paleografii: Szkocya wydała dwie siostry, panie Gibson i Lewis, które od kilku lat w monasterze św. Katarzyny badają i przepisują starożytne rękopisy wschodnie. Ich pracom zawdzięczamy przed paru laty odkryty przekład syryjski Ewangelii i arabski przekład listów św. Pawła.

Takie początki dodały oryentalistkom zapału do dalszej pracy. Zwiedziły Ziemię św. i w Jerozolimie nabyły kilka urywków ze starych rękopisów hebrajskich. Między innymi znalazły papierową kartę, nie na całe dwa decymetry długą i prawie tyle szeroką, zapisaną w dwu kolumnach, którą powierzyły profesorowi Schoechterowi. Ten odczytał na nowo odkrytym rękopisie trzydzieści kilka wierszy z księgi Ekklesiastyka.

Wieść o tym szczątku księgi Ekklesyastyka nie pozostała bez wpływu na miłośników starożytności: w ślady szczęśliwych Szkotek poszli inni doświadczać swojego szczęścia... ale musieli działać w tajemnicy, bo rządy we wschodnich krajach zaczynają pilnować cudzoziemców, którzy za bezcen kupują stare rękopisy i odprzedają je muzeom na wagę złota. Więc krytemi chodnikami zaszedł do muzeum w Oxfordzie dalszy ciąg rękopisu, odkrytego przez Szkotki. Tylko kilka wierszów brakło bezpośrednio między obu rękopisami; ale za to drugi rękopis zawiera prawie całych dziewięć dalszych rozdziałów. Teraz już bardzo niecierpliwie oryentaliści i egzegeci oczekują, żeby rychło sekretarz oxfordzkiego muzeum wydał podobiznę drogocennego rękopisu.

•

Nowa odmiana badaczy powstała na świecie, szczególniej w Egipcie: już to nie uczeni oryentaliści rozkopują zwaliska starożytnych grodów, tylko ciemni żebracy, fellahy, pokryjomu badają na własną rękę zabytki wieków minionych, aby zarobić na życie. Rząd egipski nie pozwala tym biedakom rozgrzebywać rumowisk, bo niewprawna ręka psuje najcenniejsze pomniki; ale głód przemawia do nich silniej, niż przedstawiciel władzy; raz po raz przynoszą drogie wykopaliska na

sprzedaż za bezcen, a główna część zdobyczy płynie do Europy wzbogacać British Museum.

Ale kilka lat temu Muzeum berlińskie zręczniej od brytańskiego zarzuciło wędkę na fellahów, i wydobyło od nich z górą sto listów, skreślonych na cegiełkach pismem klinowem; dopiero potem Anglicy sypnęli złotem i wydostali jeszcze dalszy ciąg: kilkadziesiąt listów; kilkadziesiąt także zostało w rękach prywatnych, a są ślady, że fellahy nie wszystko dotychczas pokazali, co umieli przez długi czas zgromadzić w swych kryjówkach.

Miejscem tego połowu były gruzy, rozsypane przy prawym brzegu Nilu powyżej Siutu, mniej więcej w połowie drogi między Kairem i zwaliskami Teb. Gruzy te przedstawiają szczątki starodawnego grodu egipskiego Chutnaton, dzisiaj Tell el Amarna; stąd uczeni nazywają wynalezione listy tablicami z Tell el Amarna.

Prawie wszystkie te listy noszą napis: do króla Micri; niektóre wymieniają tych królów po imieniu; ich nazwy i nazwa kraju wyjaśniają, że czytamy listy pisane do faraonów ośmnastej dynastyi, współczesnych Jozuemu. Przychodzą zaś te listy do Egiptu z Babilonii i Syryi od królów i wielkorządców egipskich. Treść tych pism rzuca na stosunki społeczne i dyplomatyczne światło ciekawe dla archeologów i oryentalistów. Badacze dziejów świata nie mogą dość naopowiadać szczegółów, wyczytanych w tych listach, ale te szczegóły żywo zająć mogą chyba zawodowego historyka.

Pod innym także względem wielką przysługę wyświadczają nam listy z Tell el Amarna: służą za dobrych przewodników przy wykładzie ksiąg Starego Zakonu.

Najprzód wyświecają dokładniej geografię Palestyny; w tym kraju także niektóremi miastami rządzili albo wielkorządcy egipscy, albo książęta, którzy z najniższem służalstwem składali swoje berło pod nogi Faraonom. Ci wzmiankują o tysiącznych przygodach w swoich okolicach i przytem wymieniają przeróżne miejsca, między niemi także miasta i wsie, o których wspominają Mojżesz, Jozue i inni pisarze żydowscy: przez to nowoodkryte listy uzupełniają i silnie potwierdzają wiadomości geograficzne ksiąg starozakonnych.

Dalej opisują podboje jakiegoś plemienia Habari, którzy postrachem przed sobą napełniają kraje i narody. Jeżeli domysł słusznie upatruje w tych Habirach Hebrajczyków, w takim razie mamy nowe szczegóły o dziejach narodu żydowskiego przy ich pochodzie do krainy miodem i mlekiem płynącej.

Nakoniec listy z Tell el Amarna kładą tamę błahym zarzutom, podnoszonym przeciw starożytności psalmów. Źródłem tych zarzutów była metoda krytyki niezbyt logiczna, ale zbyt często używana: mianowicie krytycy, racyonalizmem przesiąknięci, twierdzili, że obrazowego języka nie znajdują w starożytnych pismach klinowych i hieroglifach: więc psalmy nie pochodzą z czasów tak bardzo dawnych, jak o nich podanie niesie, które przynajmniej część psalmów przypisuje Dawidowi. Listy z Tell el Amarna zbijają ostatecznie ten zarzut, bo sięgają starożytnych czasów, z przed doby króla Dawida, a opływają w obrazy i zwroty, które nadają właściwe piękno językowi psalmów. Więc widocznie obrazowy język żył w ustach starożytnych ludów i potem przeszedł do pisma w psalmach Dawidowych. Tak np. Tagi pisze do Faraona: „Oto moje oczy zwrócone są na Ciebie. Czy spoglądamy na niebo wysoko, czy po ziemi dołem, przecie głowa nasza w ręku Twojem". Albo Jabitiry z Gazy pisze: „Spoglądnę tam, spoglądnę tu, a wszędzie ciemno, ale spoglądnę na króla pana mojego, a jasny już dzień". I znowu książe Tyru pisze: „Kto królowi, panu swojemu posłusznie i wiernie służy, nad tym słońce wschodzi i dobre słowo z ust jego pana spływa na niego. Ale kto nie słucha słów pana swojego, tego miasto przepada, i dom jego zaginie, i imię jego gaśnie na wieki. Sługa, który słucha pana swojego, temu dobrze w jego mieście, i dom jego zażywa dobrego, i imię jego trwa na wieki. Ty słońce, które nad nim wschodzi, ty wał na jego obronę" i t. d.

Także w Jerozolimie świeżo odkryta sadzawka Siloe, w której anioł wodę poruszał, wyjaśniła egzegetom i patrologom niejedno świadectwo ewangelistów albo opis w dziełach Ojców Kościoła.

Słowem, nietylko dla zakresu świeckiej archeologii tydzień prawie każdy przynosi cenne zdobycze: wykopaliska pozwalają nam coraz słuszniej oceniać powagę dziejopisów i pogańskich i chrześcijańskich. Świecka nauka w ostatnich miesiącach tryumfuje, że gdzie Dido rządziła, gdzie legły zwłoki Budy albo sławnych mężów Hellady, gdzie nieznana ręka ukryła pod ziemią niezrównany zabytek starożytnego rzeźbiarstwa: wszędzie motyka dociera i wygrzebuje coraz ciekawsze pomniki. Ale i chrześcijańskie podania zyskują na tym postępie prac archeologicznych: coraz nowe dowody potwierdzają starą zasadę, że między Wiarą i zdobyczą rozumu niema prawdziwego przeciwieństwa.

*Ks. *** T. J.*

Ze Słowacczyzny i Łużyc.

Organizacya Słowaków w Wiedniu. — Łużycki oddział na wystawie drezdeńskiej.

Jeszcze Słowacczyzna żyje!

Te słowa przychodziły na myśl niejednemu Słowianinowi, który z Czech, Polski, Chorwacyi, albo innej części Słowiańszczyzny przybył 8 grudnia 1896 r. do domu przy ulicy Gumpendorfstrasse w Wiedniu, gdzie słowacki związek „Národ“ urządził wieczorek dla swoich rodaków i pobratymczych Słowian.

Tem radośniej można było powiedzieć, że jeszcze Słowacczyzna żyje, im mniej pomyślnych wróżb rokował związek „Národ“ jeszcze do niedawna. Najżyczliwszy przyjaciel związku, najgorliwszy jego członek już tracił prawie ducha na widok stanu Słowacczyzny wiedeńskiej, która tak wyglądała, jakby nie miała sił ani środków, aby bronić swojej narodowości od upadku i zmódz przeszkody do rozwoju i nawet bytu dłuższego. Gasła cała nadzieja i tylko jedna myśl dodawała otuchy, że przecie nie przepadł jeszcze związek słowacki. ostatnie ognisko założone z poczciwym zamiarem, aby zgromadzić do wspólnej obrony wszystkich Słowaków wiedeńskich.

Ale, aby dokonać tego zamiaru, było trzeba nasamprzód dostać ludzi, a tych nie było na podorędziu, albo było ich bardzo mało, a i ci co byli, nie stali na wyżynie ducha, potrzebnego do pracy narodowej. Słowackie pismo *Národnie Nowiny* tak opisuje przeszłoroczny stan związku:

„Nie wypada mi posądzać członków, którzy łożyli czas, pieniądze i wszystkie swoje siły dla rozwoju związku; wszak takich nie brakło i wszyscy ich znamy; ale jednego brakło, tego, co ożywia i posila pracę narodową; brakło dobrej drogi do celu i klucza do serca Słowaków wiedeńskich. Robiło się, robiło, ale zawsze na ścieżkach błędnych i nieodpowiednich. Zarząd związku nie zbadał i nie poznał ducha i życia, pragnień i własności charakteru i szczególnych okoliczności, w których we Wiedniu żyją Słowacy. Między zarządem a ogółem nie było żadnej styczności! To była wewnętrzna przyczyna upadku. Teoretyczne rozprawy, debaty, interpelacye, gadaniny, mnóstwo formalności szczupła liczba uprawnionych do wyborów dawały posiedzeniom związku dziwny pozór. Taki ustrój nietylko nie przyciągał, ale odstraszał. Każde posiedzenie mijało, jak burza chwilowa, nie zostawiając po sobie nic żywotnego... błędne środki były dla nas pobudką, abyśmy zakładali

drogi nowe. Te drogi były i przedtem częściowo znane. Słowacy we Wiedniu osiadli, głównie roznosiciele jarzyn i pieczywa, pochodzą w większej części z okolicy nitrzańskiej i presburskiej. Słowackie kraje zachodnie, od Moraw po Presburg i aż porzecza Wagi ciągną ku Wiedniowi i prawie tak, jak Gesner, Liptawa i Zwoleń zaopatrują Peszt w murarzy, cieśli i robotników ogólnie, tak zachodnie okolice nasze wysyłają całe roje do Wiednia na zarobek, gdzie Słowacy przy Czechach tworzą największą część robotniczego ludu. Twierdzą, że około 20.000 Słowaków żyje we Wiedniu, a ta liczba nie będzie wyglądać za wysoką, kiedy przypomnimy, że ze samego Św. Jura (w okolicy Presburga) znajduje się około 500 osób we Wiedniu. Szasztyn, Straże, Św. Mikołaj i Piotr, Kuklow, Św. Jan, Kuty, Lewary i t. d. wysyłają rocznie setki za setkami ludu do Wiednia i Niższej Austryi. A czem biedniej w domu, czem ciężej wyżyć na roli ojcowskiej, tem więcej i gromadniej osiedlają się w Wiedniu. Z tych okolic pochodzi 90% całej Słowaczyzny wiedeńskiej.

„Na nich to trzeba było obracać zwrok przy zakładaniu związku, ale co nie napracowali się niektórzy akademicy, aby wprowadzić do związku naszych roznosicieli, przecie to nie miało stałego skutku. Przyszli raz i więcejśmy ich nie widzieli; nie znali nas ani my ich; towarzystwo, spiewy, gra i zabawa u nas podobały się im; ale parlamentaryzm w związku, ostre mowy, wiele razy i słowa wcale nieparlamentarne z jednej i drugiej strony: musiało to robić przykre wrażenie na nich, niezapoznanych ze sprawami, ludźmi i okolicznościami, chociaż nam zdawało się to całkiem dorzecznem, ze starego nałogu, a wielu wogóle uważało to za niezbędną przyprawę „żywszego“ udziału w rozmowie. Ludzie prości nie rozumieli nas, nie umieli toczyć całogodzinnych rozpraw nad głoską, nie bawili się dobrze i widzieli zaraz pierwszego dnia, że nie nadają się do towarzystwa, gdzie takie „wysokie“ rozprawy prowadzą, a przewidzieli, że jako członkom nie pozostałoby im nic, jak płacić za wstęp, a w niczem nie módz wziąć udziału i tylko panów „doktorów“ czcić pokornie. I nie przyszli więcej.

„I tak powtórzyło się z „Národem“ to, co widzimy, że stale dzieje się w ojczyźnie. Upadek i rozkład, kiedy niema organizacyi.

„Organizacyę przedstawiam sobie nie w tem, żeby zgromadzać naród społem pomiędzy ciasnemi scianami domu związkowego; związki nie są zaczątkiem organizacyi, ani jej warunkiem, tylko jej następstwem. A przeto można wymawiać się, że nie ruszamy się, bo nie mamy związku. Ale kto myśli o organizacyi, tego tak sobie przedstawiam:

wstępuje pomiędzy lud z ogólnym pomysłem gotowym, rozwija swoje zasady przystępnie, rozbudza wśród ludu zajęcie i ochotę, poznaje żywotne potrzeby ludowe i do nich stosuje swój pomysł, przymierza swoje zamiary do ludu, do jego braków duchowych i materyalnych, dowodzi stale przykładem i czynem, że myśl wzniosła a piękna nie przechodzi sił ludzkich, a co główne, jawnie okazuje, że własnego pożytku nie szuka. Lud musi widzieć i czuć, że pracujemy za niego i dla niego, a nietylko dla siebie, tedy przylgnie do nas z zaufaniem, nie opuści nas ani naszych haseł! ‚Napowrót w lud!' poczęliśmy w ostatnich czasach coraz częściej wołać, niech chwyci się tego hasła każdy, kto swój lud prawdziwie miłuje: więc napowrót do ludu, do pierwiastku ludowładczego, napowrót do słowackiej chaty; nie miasta z inteligentnymi spekulantami, ale wsie, ze swoim zachowawczym i znamiennym ludem oswobodzą, rozsławią nas, jeśli będą zorganizowane!

„Od podwalin, od ludu trzeba stawiać, organizować. Nowe wybory „Národa" stworzyły skład zarządu taki, jak nigdy przedtem. Nowy zarząd szedł między lud, między te masy Słowacczyzny wiedeńskiej, a nie na darmo, nie bez skutku. Jakby się było wszystko przerodziło, tak wygląda zarząd a z nim cały związek. Już na walnem zgromadzeniu widzieliśmy, że się coś kuje, i dziwiliśmy się my starzy, przywykli do tych samych twarzy od lat. Ale dnia 8-go grudnia otworzyliśmy oczy. Co się stało? Skąd to poszło? pytaliśmy się jeden drugiego. A inni znów: ba, gdzie się aż tylu nabrało?...

„Około godziny 7 wieczorem była sala na Gumpendorferstrasse przepełniona: była nam od dwóch lat za obszerna, ale naostatek pokazała się za ciasna. Młody zarząd się zwijał, witał gości i odprowadzał na miejsca. Ja, abym prawdę wyznał, czułem się jakoś dziwnie. Stare, znajome oblicza znikły przy tylu nowych; przy długich stołach obsiedli nasi dzielni Słowacy wiedeńscy, przyszli w zwartym zastępie z żonami, a niektórzy z dziećmi. Trzeba było ich widzieć, jaka radość żarzyła się im z oczu a razem i nam na szarym końcu, kiedy przedstawił się nam „Národ" wnet przy swoim wieczorku pierwszym po walnem zgromadzeniu w takiej sile i urodzie".

Opisują potem *Nowiny*, z ilu tam okolic słowackich i z ilu pobratymczych krajów słowiańskich przedstawiciele zasiedli w braterskiem gronie, jakie tam mowy, odczyty, śpiewy i wiersze bywały słuchane z natężoną uwagą i nagradzane rzęsistym oklaskiem, jak tam „chrobrzy Słowacy, dziwno, że ze skóry nie wyskoczyli, tak mocno działał śpiew na nich" w języku rodzinnym, którego po kilkadziesiąt

lat niektórzy już nie słyszeli: więc śpiewakom „wołali na sławę, klaskali i winszowali, wielu nawet łza zaświeciła w oczach... Nakoniec nie zabrakło ulubionej piosenki: *Hrach sa mi neurodil* („Groch mi się nie urodził")... Młodzież i obecni wojacy nie byliby lenili się skoczyć w pląsy, ale ze względu na adwent ograniczyła się zabawa tylko na cichej wesołości i radości poważnej".

Taki początek dodał wielkiej otuchy zarządowi *Národa*. Ledwo nastały zapusty, już członkowie urządzili nowe dwa zgromadzenia: 17 i 24 stycznia. I tu ich spotkała nowa niespodzianka: zarząd najął już obszerniejszą salę „Leberową", żeby przecie pomieścić wszystkich uczestników zabawy; ale ich liczba tak rośnie nadspodziewanie, że jeszcze większej sali na przyszły raz muszą szukać; widać, że zarząd umie wlać duszę w odczyty i zabawę. Przytem zasługuje na uwagę ich nowy sposób, jakim wyszukują rodaków w Wiedniu: każą sobie z kraju przysyłać nazwiska wychodźców i obszukują Wiedeń, aż znajdą każdego; więc osobiście wchodzą w stosunki z każdym, nad każdym czuwają i tym sposobem ułatwiają rozproszonym drogę do wspólnego ogniska Słowacczyzny wiedeńskiej. I tę pochwałę przyznać im należy, że nie wpadają w zachwyt jedni nad drugimi: po występach z odczytami albo śpiewami umieją zdrowym rozumem chłopskim odróżnić dobre od złego i nie tają, w czem chcieliby na przyszły raz widzieć poprawę; wskazówki, życzliwie dawane, przynoszą owoce.

Na zdar! możemy powiedzieć braciom Słowakom, którzy umieli dla wynędzniałych wyrobników założyć ognisko wspólne, rozegrzać im serca miłością ojczyzny i wywołać uśmiech na ogorzałe twarze biednych druciarzy i roznosicieli jarzyny... rozweselili ich, a jednak kazali pamiętać o adwencie... Na zdar im! iż dzielnie pracują dla swoich rodaków, a nam przytem dają przykład, jak szukać klucza do serca ludu naszego, który także potrzebuje ręki przyjaznej.

Czytelnicy *Przeglądu* z poprzednich jego roczników poznali ciężką pracę, z jaką łużyccy Serbowie usiłują bronić swojej narodowości przed ostateczną zagładą. Aż do przeszłego roku wysiłki te przynosiły plon oczywiście, ale bez rozgłosu po świecie szerokim. Ledwo pobratymcze plemiona słowiańskie śledziły owoce tej pracy mozolnej i spoglądały na nią zawsze z trwogą i obawą, bo wątpiły, czy mimo ciężkich wysiłków ta wysepka Słowiańszczyzny, dziś najdalej wysunięta na zachód, nie utonie w morzu germańskiem, jak Obotryci i inne plemiona słowiańskie.

Przecie otuchę budzi widok dzieła, dokonanego kilka miesięcy temu przez łużyckich Serbów podczas przemysłowej wystawy drezdeńskiej. Postanowili rozprzestrzenić zakres pracy narodowej i zająć poczestne stanowisko na szerszej widowni. Sposobną do tego porę znaleźli podczas narad odbywanych w Dreźnie przed wystawą, kiedy członkowie wydziału przygotowawczego postanawiali przedstawić „Stare Drezno“ na wzór „Starej Antwerpii“ na wystawie holenderskiej przed dwoma latami, albo „Starego Berlina“ i „Starego Pesztu“ na wystawach przeszłorocznych. Więc Łużyczanie podali myśl Saksończykom, żeby przy „Starem Dreźnie“ urządzić wieś łużycką, z muzeum i etnograficzną wystawą serbską. Pierwszy raz wobec obcych zamierzyli wystąpić na stanowisku narodowem: i stąd rząd saski, i nawet dom królewski, przychylnie poparł myśl o etnograficznej wystawie plemienia słowiańskiego, które umiało pielęgnować w sobie ducha narodowego w spokoju i cichej pracy. Królewna Matylda, która chętnie rozmawia z Serbami w ich języku, wzięła udział w ich wystawie etnograficznej, jako jej urzędowa protektorka.

Uradowani takim zaszczytem Łużyczanie górni i nawet dolni z Brandenburgii, chociaż biedni, biedniejsi od nas, przecie nie urządzili „wystawy ubóstwa“. Nie wystąpili z halami maszyn i wyrobami fabrycznemi; poprzestali na domkach schludnych, otoczonych gospodarskimi budynkami, w których występowali przedstawiciele różnych powiatów w swoich strojach miejscowych przy codziennej robocie. W dnie uroczyste, jak przy odwiedzinach króla z dworem i w. ks. rosyjskiego Sergiusza, przy napływie widzów i przy innych gościach dostojnych występowali z popisami w śpiewie, a kiedy ich odwiedzały liczniejsze gromady z różnych okolic, przyjmowali ich zabawą, w której po odczytach stawali wszyscy do tańców narodowych.

I w tych domkach i w muzeum serbskiem wystawcy zgromadzili wszelakie okazy domowych swoich przyrządów, wyrobów snycerskich i malowidła: więc sprzęty szczególne w swoim rodzaju, ozdobne naczynia, narodowe narzędzia muzyczne, osobliwe przybory i zastawy stołowe w dnie uroczyste, pisanki wielkanocne i t. d. Słowem, wystawa etnograficzna przenosiła widza do wsi na błotach łużyckich i przedstawiała obraz sielski, wcale powabny, bo przedstawiał świat nieznany, niby przechowany z wieków zamierzchłych, a przecież żywy i świeży.

Sprawozdawcy niejednego dziennika, czy to niemieckiego, czy czeskiego, polskiego, rosyjskiego albo innych pism słowiańskich zachęcali swoich rodaków, żeby w przejeździe przez Drezno koniecznie oglądnęli

łużyckich pobratymców w ich zwyczajach i obyczajach, żywo przedstawionych na wystawie.

Takie głosy sprawozdawców wywarły najlepszy skutek na umysłach ludu serbskiego, który zdumiony usłyszał, że o jego zacisznej wsi tyle umieją powiedzieć ludzie z dalekich krajów, że polecają nauczycielom zwiedzać wystawę z dziećmi szkolnemi, że uczeni obchodzą każdy jej zakątek i pilnie zapisują pochlebne uwagi. Więc wielu Serbów otworzyło oczy dopiero teraz i zrozumieli, jak mylnie sami o sobie sądzili, kiedy pomiatali narodowym strojem i obyczajem, a nawet uważali sobie za ujmę i wstyd przemawiać po łużycku na ulicy. Teraz jakby oczyszczeni z piętna hańby spojrzeli radośnie po sobie i zaczęli cenić tę narodowość swoją, którą świat uznał i dopuścił do równych praw z każdą inną narodowością na świecie.

I ten to skutek: żywo rozbudzona świadomość narodowa z ochotą do obrony języka, zwyczajów i całej spuścizny po przodkach, ten owoc wystawy stanowi najważniejszy z niej pożytek. Z tygodnia na tydzień rosła liczba rozradowanych teraz Wendów; ostatni dzień wystawy zgromadził, jak świadczy miesięcznik *Łužica,* ogromną liczbę 50000 widzów. Nie dziw, że Serbowie obronną ręką wyszli z ryzyka i zawstydzili tyle narodów, które kończyły wystawę krociami tysięcy niedoboru. Nie dziw też, że na nowo rozgrzany duch narodowy z zapałem zasila kasę *Macicy Serbskiej,* o której ostatni raz *Przegląd* donosił, że zebrała do 13.000 złr. na budowę własnego domu; dziś już ta liczba wyrosła do 33.000 złr. Z nadzieją więc przystępują w tym roku do budowy narodowego ogniska. Szczerze można im życzyć: *Bóh žohnej ze swojim niebieskim žohnowaniem Waśu nadžiju!*

J. R.

Ruch słońca w przestworzu.

Nie przeciw Kopernikowi wystąpił p. Tisserand, ani nie stanął w obronie żadnych zastarzałych od wieku teoryj, kiedy w ostatnim zeszycie pisma *Annuaire du bureau des longitudes* zdał sprawę z najnowszego stanu naukowych poglądów na ruch słońca w przestworzu.

O tym ruchu nie mogli mówić uczeni, póki szkieł nie używali, stąd rozróżniali gwiazdy stałe, jakoby zupełnie pozbawione ruchu, od komet i planet, błędnych gwiazd. Mędrzec toruński spojrzał na gwiazdy błędne okiem przenikliwszem, niż jego poprzednicy; ale innym

gwiazdom zachował imię stałych, bo żadnego ruchu w nich nie zauważył. Z biegiem czasu Edmund Halley (1718), zdziwiony sam, do równie zdziwionych słuchaczy powiedział, że niektóre gwiazdy stałe coś wyglądają na niezupełnie stałe. Słowa jego wzruszyły umysły; uczeni uznawali w nim powagę, nabytą już wtenczas przez czterdzieści parę lat pracy nad atlasem astronomicznym, ale nie wiedzieli, co o jego słowach sądzić, tembardziej, że sam Halley wyraził tylko swój domysł, a nie twierdził stanowczo. Ale posiew, rzucony przez Halleya, zakiełkował w umyśle trochę późniejszego astronoma, Jakóba Cassiniego, który wydał nowy atlas gwiazd i już stanowczo powtórzył, w dwadzieścia lat po Halleyu, że „dość znaczna liczba gwiazd zmienia swoje miejsce w konstelacyach; odbywają ruchy bardzo odmienne jedne od drugich, nawet te, które wyglądają bardzo blizko na sklepieniu niebieskiem zawieszone". W kilka lat później Tobiasz Mayer zbadał tę sprawę szczegółowo i wydał pierwszy opis ruchów, zauważonych przy dwudziestu czterech gwiazdach stałych. Po nich nie brakło już licznych badaczy, którzy od stu kilkudziesięciu lat śledzą zagadkowe drogi gwiazd, i doszli do tego wyniku, że oznaczyli u wielu gwiazd ruch jednostajny prostodrożny, a mniej wyraźny u Syryusza i Prociona.

Wróciła znowu na porządek dzienny między astronomami zagadka, poruszana przy sporze między Kopernikiem i Ptolomeuszem: czy to gwiazdy zmieniają miejsce w przestrzeni, czy przeciwnie słońce wraz z ziemią i innemi planetami odbywa ruch w przestworzu gwiaździstym? Umysłów szczęściem już nie obciążał przesąd, że ziemia musi spoczywać bez ruchu, więc dość chętnie uczeni wyobrażali sobie drogę jakąś olbrzymią, po której w orszaku innych planet za słońcem mkniemy w przestwory. Już Jakób Cassini z Fontenellem przez ruch słońca wyjaśniał pozorny ruch gwiazd rzeczywiście stałych. Ale dopiero Tobiasz Mayer (1760) postanowił szczegółowo rozpatrzeć księgę gwiaździstego widnokręgu; usiłował dostrzedz, czy z której strony nie maleją konstelacye gwiazd, a z przeciwnej strony rozmiary ich nie rosną? Tak w podróży przez las widzimy, że drzewa przed nami jakby rozrzedzały się, za nami przeciwnie wyglądają już gęściej zbite, a z boku mijają nas jedne w tę stronę, drugie w przeciwną; las cały wygląda w ruchu. Podobnie konstelacye gwiazd musiałyby wyglądać rozstawione z jednej strony coraz rzadziej, z przeciwnej coraz gęściej; i konstelacye rosłyby albo malały, gdyby ruch nasz za słońcem od jednych nas oddalał, a zbliżał do drugich. Ale w spostrzeżonych do owego czasu ruchach dwudziestu czterech gwiazd Mayer nie umiał nic zauważyć, coby wskazywało, że

jedne konstelacye przed nami maleją, inne przybierają większe rozmiary. Więc domysł o ruchu słońca zaczął upadać; ruch gwiazd stałych wyglądał podobniejszy do prawdy. Aż znowu sławny Herschell poparł myśl o ruchu słońca poważnemi dowodami. Zwrócił uwagę na ruchy siedmiu gwiazd, dokładnie opisane w dziele Mayera, i przecież dostrzegł, że w konstelacyi Herkulesa rosną odstępy między gwiazdami a maleją w konstelacyach na przeciwnej stronie widnokręgu. To wskazywałoby, że nasze słońce stanowi tylko jakby olbrzymi aerolit albo planetę innego słońca, około którego zatacza drogę wraz z nami i dlatego zbliża nas do jednej z gwiazd w konstelacyi Herkulesa, mianowicie podobno do tej, którą astronomia oznacza głoską λ.

Gdyby Herschell odkrył prawdę, że coraz mniejsza przestrzeń dzieli nas od Herkulesa, może w takim razie nie byłoby nic dziwnego w tem zjawisku, że coraz jaśniej Herkulesa widzieć możemy, i późniejsi astronomowie raz po raz dopatrują dwóch gwiazd przy sobie, gdzie poprzednicy dostrzegali tylko jedną. Tak w gwieździe α Maskelyne w r. 1779 rozróżnił dwie; tak samo niedługo potem Herschell w gwieździe ζ, Clark w gwieździe μ i t. d. Późniejsze prace Gaussa i Argenlandera potwierdziły domysł Herschla tak silnie, że dziś już o nim nikt nie wątpi.

Cóż zostało dalej do roboty astronomom w tej mierze? Ledwo nauka uchwaliła jako prawdopodobny ruch słońca, zaraz zadała swoim przedstawicielom pytanie: z jaką szybkością odbywamy tę drogę po przestworzach niezmiernych? P. Tisserand zdaje sprawę z prac, które z tej tajemnicy odchylają zasłonę. Z jednej strony służyły teleskopy, z drugiej niespodziewany pomocnik badaczom przybył w spektroskopie.

Teleskop dawnym sposobem donosił o zmienionych rozmiarach konstelacyi i dostarczał osnowy do trygonometrycznych rachunków, z których, oczywiście mozolnie tylko, do przybliżonego wyniku doszli badacze i oznaczyli szybkość ruchu słonecznego w granicach od 10 do 40 kilometrów na sekundę.

Spektroskop w ręku najnowszych astronomów prześcignął zdobycze, do jakich służył w ręku nawet genialnych Kirchhofów i Hugginsów: okazał w liniach Frauenhofera zmiany, które nietylko donoszą nam o stanie ciepłoty ciała badanego, ale także o jego ruchu.

O tych zmianach teoretycznie nauka może już wiele powiedzieć, ale dopiero w ostatnim dziesiątku lat doświadczalną drogą astronomia zbadała te zmiany, szczególnie na widmie słonecznem. Wiadomo, że słońce, kula o promieniu 100.000 mil z górą, odbywa ruch obrotowy

w przeciągu miesiąca mniej więcej. Więc punkt, dzisiaj widziany z jednego brzegu tarczy słonecznej, za tydzień zajmie jej środek, a za dwa tygodnie podejdzie do drugiego jej brzegu; przy tym obrocie, po pierwszym tygodniu zbliży się do nas o 100.000 mil i znowu oddali się w przeciągu drugiego tygodnia. Otóż linie Frauenhoffera stosownie także zmieniają miejsce w widmie, otrzymywanem z ruchomego punktu na słońcu: innym zmianom podlegają w pierwszym tygodniu, a wprost przeciwnym w drugim. Stąd można było na mile obliczyć, jaka droga ciała ruchomego odpowiada danej zmianie w liniach Frauenhoffera. Największej do tego pomocy dostarczyły widma, utrwalone przez fotografię. Najprzód w Anglii wykonane rachunki przedstawiały sprawę ciekawie, ale jeszcze mglisto; dopiero poczdamskie obserwatoryum wydało tablice dokładne.

Otóż spektroskop, zwrócony na gwiazdy Herkulesa przedstawia powolną zmianę w układzie linij Frauenhoffera, a wręcz przeciwne zmiany następowały w widmie, otrzymywanem od gwiazd, po przeciwnej stronie widnokręgu; te dwie przeciwne zmiany uzupełniają jedna drugą i dostarczają miary, aby obliczyć ruch słońca. Niezmiernie, co prawda, trudno wykonać taką pracę, ale p. Vogel dokazał tego w obserwatoryum poczdamskiem: zastosował spektroskop do kilkudziesięciu gwiazd i mozolnie obliczył szybkość słońca w granicach od 9 do 15 kilometrów na sekundę.

Po nim p. Keeler, w obserwatoryum w Licku, badał tą drogą 14 mgławic, z których także jedne wypadają coraz bliżej nas, drugie coraz dalej. Sam p. Tisserand dokończył pracy, podjętej przez p. Keelera, i doszedł do wniosku, że odbywamy drogę z szybkością 15 kilometrów na sekundę.

Oczywiście te wszystkie pomiary okazują ledwo przybliżoną szybkość ruchu i przyjmują ten ruch tymczasem jakby za prostodrożny, bo dotychczas nie można zbadać, czy zachodzi jaka krzywizna, przy drodze słońca w przestworzu.

Rozprawa ta o ruchu słońca wyszła już jedna z ostatnich z pod pióra p. Tisserand, którego niedawna śmierć nietylko dla Francyi stanowi stratę dotkliwą.

K. C.

Druk ukończony 26 lutego 1897 r

SPIS RZECZY

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Rozumność wiary. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* .	1
Księstwo inflanckie xvii. i xviii. stulecia. Przegląd wybitniejszych jego postaci. Przez *br. Gustawa Manteuffla.*	23 161
Obrazki z krakowskiej nędzy. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*	48 198 343
Nowiny z historyografii polskiej. Przez *d-ra Feliksa Konecznego* (C. d.)	72
Kościół zamkowy w Brzeżanach i jego pomniki. Przez *Jana Bryla* (Dok.)	86
Miron Costin. Przyczynek do historyi literatury polskiej XVII. w. Przez *Wiktora Wieckiego T. J.* . .	145 361
Przegląd najnowszych badań z historyi literatury polskiej (1893—1896). Przez *Antoniego Mazanowskiego.*	180 392
Twórczość liryczna Asnyka i jej znaczenie w poezyi polskiej. Przez *d-ra Maryana Zdziechowskiego* . .	220
P. Annaeus Florus. Przez *prof. Adama Miodońskiego* .	321
Sądownictwo na Żmudzi. Przez *Jana Syrokomlę* . . .	381

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Kazania gniezieńskie. Tekst i glosy z rękopisu wydał, uwagami i słownikiem opatrzył Władysław Nehring. *(Stanisław Dobrzycki).* 98

Szkoły parafialne w Polsce w xiii. i xiv. wieku. Napisał dr. Antoni Karbowiak. *(Ks. Stanisław Załęski T. J.).* . . . 102

Historya gimnazyum tarnopolskiego. Okres I. 1820—1848. Dr. Maurycy Maciszewski. *(Ks. Stanisław Załęski T. J.).* . 103

Kilka słów o życiu i pismach Alberta Ines a i ocena jego panegiryku p. t. „Wanda". Sprawozd. c. k. gimn. w Wadowicach. Napisał Stanisław Rzepiński. *(Leszek Dziama).* . . 104

Pamiętniki Murawiewa („Wieszatela") (1863—1865) pisane w roku 1866, tłumaczone z oryginału rosyjskiego przez J... Cz... z przedmową St. Tarnowskiego. *(Ludwik Szwejgier).* 106

Pogadanki z dziećmi. Przez Jadwigę Chrząszczewską. *(Leszek Dziama).* 107

O cenzurach kościelnych z uwzględnieniem najnowszych dekretów Stolicy św. Napisał ks. J. Nep. Opieliński, dr. filozofii i św. teologii, profesor przy seminaryum gnieźnieńskiem, egzaminator prosynodalny. Komentarz do cenzur kościelnych po dziś dzień obowiązujących. Napisał Tenże. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.).* 250

Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XIX. Rozprawy i sprawozdania. Tom I. St. Tarnowski. *(Dr. Józef Kallenbach)* 253

Pogadanka o różnych książkach. (St. Tarnowskiego, „O dramatach Schillera". — St. Jachowicza, „Bajki, powiastki i pieśni". — „A. E. Koźmiana Listy", t. IV. — L. hr. Dębickiego, „Trzy pokolenia w Krakowie". — M. Lityńskiego, „Sycylia. Szkice z podróży". — St. Bełzy, „Obrazy Korsyki". — K. Nitmana, „Grześ w legionach polskich". — W. Pola, „Losy poczciwej rodziny". — D-ra Karola Mátyása, „Podania z Szczepanowa". — „Zapust, Popielec, Wielkanoc". — „Wilia, jeden z jasnych dni chłopskiego żywota". — „Motas, chłop-poeta". — „Wesele Stalowskie"). *(Dr. Feliks Koneczny)* 261

Rytuał rzymski a piotrkowski. Studyum prawno-liturgiczne. Skreślił ks. Maryan Fulman, mag. św. teologii, b. mistrz ceremonii katedry włocławskiej. *(Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz)* 412

Opowiadania z dziejów powszechnych dla niższych klas szkół gimnazyalnych i realnych. Dr. Aleksander Semkowicz. Część druga. *(Ks. dr. Aleksander Pechnik)* 416

Racławice, obrazek z Kościuszkowskiego powstania w 4 odsłonach. Matka, dramat z IV. wieku w 3 aktach. Św. Cecylia, obraz dramatyczny, na tle aktów męczeńskich ułożony, w 5 odsłonach. Napisał Margert. *(Kazimierz Bronikowski).* 424

Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny. Przez Bronisława Gubrynowicza. *(Jan Bryl)* 426

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Flora von Polnisch-Livland mit besonderer Berücksichtigung der angrenzenden Florengebiete etc. Dr. Eduard Lehman. *(Archiv für Naturkunde Liv-, Est- und Kurlands,* 2-te Serie, XI. Lieferung. Z mapą). *(Gustaw Manteuffel).* 108

Rechtsgeschichte Liv-, Est- und Kurlands. Prof. dr. Schmidt Oswald. (Ogłoszone w *Dorpater juristische Studien,* Tom III, zeszyt 2 i 3, przez d-ra E. Nottbeck'a, z przedmową wydawcy). *(Gustaw Manteuffel).* 111

La Conjuration de Cinq-Mars. Par J. P. Basserie, avec une préface par Alfr. Mézières, de l'Acad. franç. *(T. W.).* . . 113

L'antisémitisme de Saint Thomas d'Aquin. Par l'abbé H. Gayraud. *(N.).* 121

Die Sittlichkeit auf dem Lande. Von C. Wagner, Pastor. *(Dr. B. Ł.).* 279

Nouvelle éducation de la femme dans les classes cultivées. Par la Vicomtesse d'Adhémar. *(M.).* 288

Die innere Mission der Protestanten in Deutschland. In ihrem Wesen, Wirken und ihren Werken dargestellt von P. Cyprian, O. Cap. Die innere Mission der Protestanten in Bayern und München. Dargestellt von P. Cyprian, O. Cap. *(Ks. Wł. Piątkiewicz T. J.)* 427

Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1894. Dr. Arthur Poelchau. Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1895. Tenże. *(Gustaw Manteuffel)* 436

Die Entzückung von Theophil Lenartowicz. Übersetzt von August Woycke. Durch die Lebensbeschreibung des Dichters eingeleitet und herausgegeben von Witold Leitgeber. *(Maksymilian Kohlsdorfer T. J.)* 438

Obrázky bez rámů. Napsala G. Preissova. (Obrazki bez ram. Skreśliła G. Preissowa). *(H. S.)* 439

Z pism czasowych:

Przegląd literacki. Organ Związku literackiego w Krakowie. Rocznik pierwszy 1896. Zeszytów 1—12. Redaktor główny i odpowiedzialny: Kazimierz Bartoszewicz. *(Antoni Mazanowski).* 290

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Król serbski u papieża. — Z patryarchatu carogrodzkiego. — Trwoga rządu węgierskiego przed klerykalizmem. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 124

Zakład hr. Zamoyskiej w Zakopanem. Przez *d-ra K. Krotoskiego.* 131

Stronica

LUTY.

Sprawy Kościoła: Katolicy wobec rządu francuskiego. — Między Koptami. — Stosunki greckie. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 294

Parę słów o odczycie p. Daszyńskiej. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.* 306

Czesi, Morawianie i Słowacy. Związek katolicki w królestwie czeskiem i *Katolické Listy.* — Morawianie w walce z socyalizmem. — Obudzony duch pośród Słowaków. Przez *K. C.* 314

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Kościół a dzisiejsi protestanci. — Delegat apostolski w Stanach Zjednoczonych. — Starokatolicy. — Patryarchat carogrodzki. — Na Węgrzech. — List pasterski biskupów monarchii austryackiej. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 443

Z odkryć w dziedzinie egzegezy: Nowoznaleziony rękopis hebrajski księgi Ekklesiastyka. — Listy z czasów Jozuego. Przez *ks. K. C. T. J.* 460

Ze Słowacczyzny i Łużyc. Organizacya Słowaków w Wiedniu. — Łużycki oddział na wystawie drezdeńskiej. Przez *K. C.* 464

Ruch słońca w przestworzu. Przez *K. C.* 469

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.